

Mściwość

Jackson Lisa



calibre 0.9.43

Lisa Jackson

Mściwość

(Malice)

Prolog

Culver City, przedmieścia Los Angeles

Więc dzisiaj nie wracasz do domu, o to ci chodzi? – Jennifer Bentz usiadła na łóżku.

Przyciskając słuchawkę do ucha, usiłowała nie zwracać uwagi na zbyt dobrze znane pęta monogamii; dławili ją nadal, mimo że pękły.

– Raczej nie.

Jak zawsze chętny do rozmowy, jej eks nie chciał się zdeklarować.

W zasadzie nie miała mu tego za złe. Ich związek był trudny, choć chwilami bardzo namiętny. A ona zawsze była tą złą, cudzołożnicą, jak sama o sobie myślała. Nawet teraz, w tej chwili, zapach seksu unoszący się w przegrzanym pomieszczeniu drażnił jej zmysły, przypominając o niedawnych grzechach. Na nocnym stoliku stały dwa napełnione do połowy kieliszki martini i ociekający wodą shaker, dowody, że nie jest sama.

– Więc kiedy? – zapytała. – Kiedy wrócisz?

– Jutro. Może. – Rick rozmawiał z komórki, był w wozie patrolowym. W tle słyszała odgłosy ruchu ulicznego, wiedziała, że odpowiada krótko i zwięźle ze względu na siedzącego obok kolegę, który przecież wszystko słyszał.

Super.

Spróbowała jeszcze raz. Zniżyła głos.

– Czy jeśli powiem, że za tobą tęsknię, to coś zmieni?

Żadnej odpowiedzi. Jakżeż ona tego nienawidzi. Nienawidzi siebie żalostnej, błagającej go o spotkanie. To nie w jej stylu, absolutnie nie. To mężczyźni błagali ją, a ona się tym rozkoszowała.

Odezwały się w niej resztki skrupułów.

– RJ?

– Słyszę.

Zarumieniła się i spojrzała na bawełnianą pościel, która opadła na podłogę pastelową kaskadą.

O Boże. On wie. Miała w ustach metaliczny smak zdrady, ale grała dalej, nadal udawała niewinną. Nie może przecież podejrzewać, że była z innym, nie tak szybko po ostatniej zdradzie. Nawet ją samą to zaskoczyło.

Może on tylko blefuje.

Mimo...

Wzdrygnęła się na myśl o jego gniewie. Wyciągnęła asa z rękawa:

– Kristi będzie pytała, dlaczego nie wracasz. Już o ciebie pyta.

– I co jej mówisz? Prawdę?

Że matka nie umie utrzymać kolan razem? Nie powiedział tego, ale słyszała potępienie w jego głosie, wisiało między nimi. Boże, jak ona tego nienawidzi. Gdyby nie córka, gdyby nie ich córeczka...

– Nie wiem, ile czasu zajmie nam obserwacja.

Wygodne kłamstwo. Powoli krew zaczynała się burzyć w jej żyłach.

– Oboje wiemy, że nikt od ciebie nie wymaga, żebyś pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Oboje wiemy dużo różnych rzeczy.

Oczywiście wyobraźni zobaczyła go tak jak wtedy, w drzwiach sypialni, z niemym oskarżeniem na twarzy, gdy zobaczył ją w ich łóżku. Nagą, spoconą, w ramionach innego mężczyzny, tego samego, z którym już kiedyś miała romans. Biologicznego ojca Kristi. Rick sięgnął po broń, po pistolet ukryty w kaburze pod pachą, i przez chwilę Jennifer poczuła prawdziwy strach. Lodowatą panikę.

– Wynoście się – warknął wtedy, patrząc na nich ze śmiertelnym spokojem. – Na rany boskie, wynoście się z tego domu i nie wracajcie. Oboje.

Odwrócił się, zszedł na parter i wyszedł; nawet nie trzasnął drzwiami. Ale jego gniew był autentyczny. Namacalny. Jennifer uszła z życiem, ale nie odeszła. Nie mogła.

Rick nie wrócił. Nawet się nie pokłócili. Po prostu wyszedł.

Nie odbierał jej telefonów.

Aż do dzisiaj.

Ale było już za późno.

Znowu spotkała się z kochankiem. Zarówno z zemsty, jak i z pożądania. Pieprzyć to. Nikt nie będzie za nią kierował jej życiem, nawet Rick-Su-perglina-Bentz. Więc spotkała się z mężczyzną, o którym

nie mogła zapomnieć.

Szmata!

Dziwka!

To jej słowa. Zamknęła oczy, spuściła głowę, zagubiona, zmieszana. Nigdy, naprawdę nigdy nie zamierzała zdradzić Ricka. Ale okazała się za słaba, a pokusa zbyt silna. Pokręciła głową. Pustka wypełniała ją całkowicie. Kogo tak bardzo chciała ukarać? Jego? Siebie?

Przecież jeden z psychiatrów powiedział jej, że we własnym mniemaniu na niego nie zasługuje. Że dąży do samozagłady. Co za bzdura.

– Nie wiem, czego chcesz – szepnęła cicho.

– Ja też nie. Już nie.

Zobaczyła, że w kieliszku zostało jeszcze trochę martini, i wypila. Pętla na szyi raz zaciskała się, a raz rozluźniała. Boże, dlaczego z nim nie jest łatwo? Dlaczego nie może być mu wierna?

– Ja się staram, Rick – szepnęła, zaciskając zęby.

Nie kłamała. Problem w tym, że się starała, ale jej nie wychodziło.

Wydawało jej się, że na dole słyszy kroki. Zesztywniała, ale doszła do wniosku, że to tylko pogłos w słuchawce. Albo na dworze. Chyba zostawiła otwarte okno...

– Starasz się? – Rick się zachnął. – Ciekawe gdzie?

No wreszcie. Wiedział. Pewnie kazał ją śledzić, obserwować dom. Albo jeszcze gorzej: sam zaparkował niedaleko w nieznanym jej samochodzie i patrzył. Spojrzała na sufit: żyrandol, alarm przeciwpożarowy i wentylator, którego skrzydła przecinały gorące powietrze.

Czyżby ukrył gdzieś kamerę? Sfilmował jej ostatni wybryk? Czy widział, jak wiła się i jęczała w ich małżeńskim łóżu? Czy patrzył, jak przejęła kontrolę i błędziła ustami po brzuchu kochanka i niżej? Widział jej śmiech? Pieszczoty?

Boże, co za świr!

Zamknęła oczy wstrząśnięta.

– Walnięty sukinsyn.

– We własnej osobie.

– Nienawidzę cię. – Traciła panowanie nad sobą.

– Wiem. Nie wiedziałem tylko, czy zdołasz to przyznać. Odejdź, Jennifer. To koniec.

– Może nie doszłoby do tego, gdyby nie kręciły cię tak bardzo pościgi za zbrodniarzami, gdybyś nie odgrywał policyjnego superbohatera, może gdybyś poświęcał więcej uwagi żonie i dziecku.

– Nie jesteś moją żoną. Klik.

Odłożył słuchawkę.

– Sukinsyn!

Cisnęła telefon na łóżko. Rozbolała ją głowa. Ty to zrobiłaś, Jennifer, ty, nikt inny.

Wiedziałaś, że cię przyłapie, ale ryzykowałaś, posuwałaś się coraz dalej, odpychałaś wszystko, na czym ci zależy, także Kristi i szansę bycia z Rickiem, bo jesteś walnięta. Nie możesz się pohamować. Poczula, że po policzku spływa jej łza, i otarła ją gniewnym ruchem.

Nie ma czasu na płacz i uzalanie się nad sobą.

Tłumaczyła sobie przecież, że nie ma szans na pogodzenie się z Rickiem. A jednak wróciła do tego domu, do ich wspólnego domu, wiedząc doskonale, że popełnia błąd, wielki błąd. Tak samo jak wtedy, gdy składała mu przed laty przysięgę małżeńską.

– Idiotka! – zaklęła pod nosem i poszła do łazienki. W lustrze nad umywalką zobaczyła swoje odbicie.

– Kiepsko – stwierdziła, obmywając twarz wodą.

W sumie nieprawda. Dopiero niedawno przekroczyła trzydziestkę, ciemne włosy nadal opadały na ramiona miękką, gęstą falą. Jej skóra wciąż jeszcze była gładka i jędrna, usta pełne, oczy zielone – ich odcień zdawał się fascynować mężczyzn. Niewłaściwych mężczyzn, skarciła się w duchu. Zakazanych. A ona uwielbiała ich zainteresowanie. Pragnęła go.

Otworzyła apteczkę, wyjęła fiolkę valium i zażyła kilka tabletek, żeby się rozluźnić i rozpedzić nadciągającą migrenę. Kristi po treningu pływackim wybiera się do przyjaciółki, Rick wróci nie wiadomo kiedy, więc miała dla siebie cały dom i cały wieczór. Nie odejdzie.

Jeszcze nie.

Świst.

Z parteru na piętro dotarł nietypowy dźwięk.

Ruch powietrza? Ktoś otworzył drzwi? Okno?

Co tu się dzieje, do cholery? Zatrzymała się, nasłuchiwała, jej zmysły się wyostrzyły, dostała gęsiej skórki.

A jeśli Rick gdzieś tu jest?

A jeśli przez telefon kłamał, a w rzeczywistości jest już w drodze do domu, jak wtedy?

Skurczybyk mógł ją oszukać.

Może śledzenie podejrzanego to zmyłka, a może naprawdę planował śledzić kogoś przez całą noc, tyle że tym kimś jest jego własna żona.

Była żona. Jennifer Bentz patrzyła na swoje odbicie w lustrze i skrzywiła się na widok drobnych zmarszczek między brwiami. Kiedy się pojawiły? W zeszłym roku? Wcześniej? A może dopiero w tym tygodniu?

Trudno powiedzieć.

Ale były tam i przypominały boleśnie, że nie staje się coraz młodsza.

Skoro pragnęło jej tylu mężczyzn, jakim cudem wyszła za męża, rozwiodła się i zamieszkała z policjantem? W małym domku, od którego aż biło klasą średnią? Próbowali znowu być razem. Od niedawna, a teraz... a teraz wiedziała, że to koniec. Na dobre.

Bo nie mogła, po prostu nie mogła być wierna jednemu. Nawet jeśli go kochała.

Boże i co teraz? Zastanawiała się, i to nieraz, czy nie odebrać sobie życia. Już nawet napisała pożegnalny Ust do córki:

„Kochana Kristi, Bardzo mi przykro, kochanie. Uwierz mi, kocham cię nad życie, ale ponownie związałam się z twoim biologicznym ojcem i obawiam się, że to złamie Rickowi serce”.

I tak dalej, i tak dalej...

Co za melodramatyczny bełkot.

I znowu wydawało jej się, że coś słyszy – odgłos kroków na dole.

Chciała zawołać, ale ugryzła się w język. Podeszła cichutko do schodów, przytrzymała się poręczy i nasłuchiwała. Przez monotony szum wentylatora w sypialni słyszała coś jeszcze, jakiś cichy, niewyraźny odgłos.

Przeszył ją dreszcz.

Wstrzymała oddech. Słyszała każde uderzenie swego serca.

To tylko twoja wyobraźnia, zżera cię poczucie winy, pomyślała.

A może to kot sąsiadów. Tak, to na pewno ten wychudzony zwierzak, który wiecznie buszuje w pojemnikach na śmieci i poluje na myszy w garażu.

Na palcach wróciła do sypialni, podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Tego popołudnia w południowej Kalifornii nie zauważyła niczego podejrzanego, tylko gęstą szarą mgłę. Smog zniekształcał nawet słońce, czerwony dysk wiszący nisko nad dachami domów.

Tego dnia od oceanu nie wiała nawet najbliższa bryza, najśłabszy powiew nie wywoływał żadnego dźwięku. Nie dostrzegła też kota przemykającego się wśród suchych zarośli, na ulicy nie było rowerzysty. Ani samochodu.

Nic.

To tylko nerwy.

Uspokój się.

Wlała resztkę drinka z shakera do szklanki i wypła łyk w drodze do łazienki. Stając w progu, zobaczyła własne odbicie i ponownie zaatakowały ją wyrzuty sumienia.

– Zdrówko – szepnęła i skrzywiła się, widząc siebie ze szklanką przy ustach. Nie takiego życia chciała. Nie tak miała ją zapamiętać córka. – Idiotka! – Kobieta w lustrze nabijała się z niej. Żartowała. Bez namysłu cisnęła szklanką w roześmiane odbicie. Szkło rozprysło się głośno.

Trzask.

Lustro pękało powoli, po tafli rozpełzła się pajęczyna pęknięć. Odłamki wpadły do umywalki.

– Jezu!

Coś ty narobiła, do cholery?

Chcąc zebrać co większe kawałki, przecięła sobie opuszkę palca. Krew kapłała do umywalki. Wyjęła z apteczki plaster. Nie szło jej najlepiej, palce odmawiały posłuszeństwa, ale udało jej się oderwać ochronny pasek i okleić ranę. Krew jednak płynęła nadal, wypływała spod wąskiego opatrunku z plastiku i gazy.

– Niech to szlag – mruknęła i znowu zobaczyła swoje odbicie w resztkach lustra.

– Siedem lat pecha – szepnęła, zupełnie jak babka Nichols, która przewidziała okres katastrof, gdy wnuczka zbiła jej ulubione lusterko.

– Do dziesiątego roku życia będzie cię prześladował pech, Jenny! A kto wie, czy wtedy się skończy!
– Zazwyczaj łagodna babka wyglądała wtedy strasznie, blade wargi wykrzywione gniewem odsłaniały żółte zęby.

Jennifer, patrząc na odbitą w odłamkach zwierciadła własną twarz, ujrzała siebie jako starą kobietę – samotną starą kobietę.

Boże, co za dzień, pomyślała z trudem.

Idąc po szczotkę do zamywania i szufelkę, potknęła się lekko na schodach. Znalazłszy się na parterze, weszła do schowka.

Przez uchylone drzwi.

Nie zostawiła ich tak, tego była pewna. A kochanek wyszedł przez garaż. Więc? Czyżby Kristi ich nie zamknęła, wychodząc do szkoły? Czasami się zacinają, ale...

Po plecach przebiegł jej dreszcz strachu. Może naprawdę wcześniej słyszała, że ktoś był na dole? A może to tylko dżin? Jest trochę pijana, mąci jej się w głowie, ale...

Oparła się o blat i nasłuchiwała, usiłowała myśleć rozsądnie. Dobry Boże, to mało powiedziane, że mąci jej się w głowie. Weszła od kuchni i nalała sobie wody. W powietrzu wyczuła zapach papierosa. Zapewne Ricka. Ile razy mu powtarzała, żeby palił na zewnątrz... I to z dala od werandy, skąd przekłety smród wdzierał się podstępnie do domu.

Ale Ricka nie było tu od dwóch dni...

Znieruchomiała, jej wzrok powędrował w górę. Nic... A potem zaskrzypiała deska w podłodze. Rozległ się chrzęst szkła.

O Boże, nie.

Tym razem to nie domysły. Tym razem miała pewność. W domu ktoś jest.

I ten ktoś nie chce, aby o tym wiedziała. I nie życzy jej dobrze.

Zapach papierosa drażnił jej nozdrza. O Jezu. Nie, to nie Rick.

Bezgłośnie podeszła do blatu kuchennego, na którym stał stojak z nożami, i wybrała taki z długim ostrzem. Jednocześnie myślała o przestępcach, których ścigał Rick, o kryminalistach, których gniew kierował się na niego i jego bliskich, gdy ich aresztował i trafiali do więzienia. Niejeden ślubował detektywowi Bentzowi krwawą zemstę.

Nigdy jej o tym nie mówił, ale dowiedziała się od jego kolegów, którzy ochoczo rozpowiadali, jakie to groźby wygłaszali zbrodniarze.

A teraz ktoś jest w domu.

W ustach czuła suchość.

Wstrzymała oddech, zeszła do garażu i mało brakowało, a wywróciłaby się na progu, gdy się zorientowała, że drzwi do garażu są otwarte na oścież w niemym zaproszeniu, które intruz przyjął.

Bez zastanowienia wsiadła do samochodu. Kluczyki były w stacyjce.

Przekręciła je.

Silnik ożył.

Wrzuciła wsteczny, wyjechała z garażu, minęła podjazd. Tylko cudem nie rozjechała nieszczęsnego kota sąsiadów i nie przewróciła skrzynki na listy. Wyjeżdżając na ulicę, spojrzała w okna sypialni.

Jej serce na moment przestało bić.

W oknie stała ciemna postać, cień z okrutnym, krzywym uśmiechem.

– Cholera!

Światło się zmieniło i wizja zniknęła. A może był to tylko wytwór jej wyobraźni...

Czy to może być prawda?

Nie czekając, żeby się przekonać, nacisnęła pedał gazu i gnała na złamanie karku, akurat gdy stary pan van Pelt postanowił wyjechać swoim przedpotopowym czołgopodobnym buickiem na ulicę. Jennifer zahamowała z piskiem opon i wyminęła staruszkę.

W oknie nikogo nie było i dobrze o tym wiesz, tłumaczyła sobie. Nikogo.

Z jedną ręką na kierownicy drugą szukała na siedzeniu pasażera torebki i komórki, które, jak sobie teraz przypomniała, zostały w sypialni, tej samej, w której oknie widziała ciemną postać.

To tylko rozszalała wyobraźnia, powtarzała sobie, manewrując w labiryncie przecznicy, aż dojechała do autostrady i wtopiła się w ruch uliczny. Jej serce tłukło się o żebra, w głowie pulsowało. Krew z palca umazała kierownicę. Co chwila zerkała w boczne lusterko, szukała wozu, który jechałby za nią, w morzu chromu i stali szukała pojazdu, który ją śledzi. Słońce odbijało się w maskach i zderzakach. Była na siebie wściekła, że nie wzięła okularów przeciwsłonecznych.

Wszystko wyglądało normalnie. Tysiące samochodów w drodze na wschód: srebrne, białe, czarne, sedany, kabriolety, ciężarówki, SUV-y... To znaczy, wydawało jej się, że jedzie na wschód, nie była tego pewna. Nie zwracała na to uwagi, wreszcie się odprężyła, nabierała pewności, że wymknie się prześladowcy. O ile takowy istniał.

Kolejny dzień w południowej Kalifornii. Zobaczyła, jak szybko dogania ją granatowy SUV. Serce podeszło jej do gardła, ale minął ją, a w ślad za nim białe bmw.

Włączyła radio, chcąc ukoić nerwy. Pociła się, a palec nadal krwawił. Pokonywała kolejne kilometry, nic się nie działo, zaczynała oddychać spokojniej... Naprawdę się uspokoiła. Odplynęła trochę i niemal wjechała w inny samochód. Kierowca zatrąbił głośno.

– Wzajemnie, palancie – mruknęła, ale zdawała sobie sprawę, że nie powinna siedzieć za kierownicą

nie przy takim natężeniu ruchu, nie w jej stanie. Na najbliższym zjeździe skręciła w... Dobry Boże, gdzie ona właściwie jest? Na wsi? Nie poznawała tej okolicy, dziwiły ją domy rozsiane z rzadka wśród pól i zarośli. Była nie wiadomo gdzie, valium zaczynało działać. Mrużąc oczy od słońca, zerknęła w boczne lusterko. Zbliżał się do niej granatowy SUV.

Ten sam, co poprzednio?

Nie!

Niemożliwe.

Ziewnęła. Explorer trzymał się za nią, towarzyszył jej na wąskiej dwupasmówce, która wiodła ku wzgórzom przez pola uprawne.

Czas zawrócić.

Była już bardzo zmęczona.

Przez chwilę wydawało się jej, że droga się rusza. Zamrugnęła. Miała ciężkie powieki, powinna się zatrzymać i odpocząć, oprzytomnieć, może napić się kawy...

Możliwe, że w domu nikogo nie było. Jezu... Zważywszy ostatnimi czasy na napięcie, wyrzuty sumienia i stres, pewnie wszystko sobie wyobraziła. Myśli nie dawały jej spokoju.

Zobaczyła zakręt przed sobą i zahamowała. I wtedy zauważyła explorera za sobą.

– Wyprzedzaj, kretynie – mruknęła roztargniona, wpatrzona w lusterko. SUV miał zaciemnione szyby, ale dostrzegła kierowcę.

O Boże.

Serce stanęło jej w piersi.

Kierowca patrzył prosto na nią. Zdusiła krzyk. To był ten sam człowiek, którego widziała w oknie sypialni.

Przerażona do granic obłądu wcisnęła gaz do dechy.

Kto to jest, do cholery?

I dlaczego ją śledzi?

Zobaczyła zakręt i wzięła go ostro, licząc, że zgubi prześladowcę, ale źle oceniła odległość i wypadła z łuku. Koła zabuksowały na żwirze. Szarpnęła z całej siły, chcąc wrócić na jezdnię, ale wóz wpadł w poślizg, obracał się.

Dziko.

Szaleńczo.

Zupełnie straciła nad nim panowanie.

A potem zadrżał. Zakołysał się.

I runął w dół.

Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę Jennifer wiedziała, że umrze.

Co więcej, wiedziała, że zaraz stanie się ofiarą morderstwa, które prawdopodobnie zlecił jej przeklęty były mąż Rick Bentz.

Rozdział 1

Dwanaście lat później

Pogadamy za sześć tygodni.

Melinda Jaskiel była nieugięta. Zdecydowana. Rick Bentz stał na werandzie i czuł, jak telefon komórkowy przykleja mu się do ucha w dusznym upale bagien Luizjany. Zrozumiał, że szefowa się nie ugnie. Pot spływał mu z nosa. Spojrzał na czubek kuli tkwiący między kamiennymi płytami na patio. Bolały go plecy, każdy krok przynosił ból, ale nikomu się do tego nie przyzna, a już zwłaszcza nie Jaskiel. Jako szefowa nowoorleańskiego wydziału zabójstw mogła go przywrócić od czynnej służby. Albo nie. Wszystko od niej zależało.

Po raz kolejny Melinda Jaskiel trzymała jego los w swoich rękach.

Po raz kolejny ją błagał.

– Posłuchaj, muszę pracować. – Irytował go żaloszny ton własnego głosu.

– Żeby wrócić, musisz być w świetnej formie, na sto procent, może na sto dziesięć.

Zacisnął zęby. W upalnym słońcu Luizjany z bagien otaczających domek ukryty wśród drzew unosiła się lekka mgła. Jaskiel zatrudniła go, gdy nikt inny nie chciał zaryzykować po bałaganie, jaki zostawił za sobą w Los Angeles. A teraz go odpycha.

Słyszał, jak mruży coś pod nosem, i przez ułamek sekundy wydawało mu się, że zmieniła zdanie.

– Słuchaj, Rick, nie jesteś typem, który od rana do wieczora przekładałby dokumenty na biurku.

– Od kilku miesięcy mam fizjoterapię, jestem silny jak byk.

– Dość silny, by gonić podejrzanego? Powalić go na ziemię? Upaść, przeturlać się, wyjąć broń i

osłonić partnera?

– To telewizyjne bzdury.

– Czyżby? – W głosie Jaskiel zabrzmiała nuta sceptycyzmu. – O ile pamiętam, do szpitala trafiłeś właśnie po takich telewizyjnych bzdurach. – Za dobrze go znała. – Znasz zasady.

Przynieś zaświadczenie od lekarza, a porozmawiamy o powrocie do czynnej służby.

Porozmawiamy. Niczego nie obiecuję. Sam wiesz, że emerytura to całkiem niezły pomysł.

– Jezu, Melinda, zaczynam podejrzewać, że chcesz się mnie pozbyć – zachnął się.

– Nadal chodzisz na fizykoterapię, nadal jesteś zbyt spięty. Koniec tematu. Pogadamy później. – Rozłączyła się.

– Cholera jasna! – Przesunął kulę. Czubek zastukał o kamienną płytę, płosząc drozda, który siedział na krzewie magnolii. – Jasna cholera! – Zacisnął dłoń na komórce. Miał ochotę cisnąć ją w bagno, ale się opanował. Jeszcze czego, nieźle musiałby się z tego tłumaczyć. Na razie czepiali się jedynie jego stanu fizycznego. Nie chciał im podsuwać pretekstu do zainteresowania się jego psychiką.

Żadnych psychiatrów. Żadnych analiz. Żadnych zwierzeń. O nie.

Wstał z trudem. Mimo zapewnień, które składał Jaskiel, od wypadku miał kłopoty z równowagą. A noga czasami bolała jak diabli. Zdawał sobie sprawę, że nie nadaje się jeszcze do czynnej służby, ale od siedzenia w domu dostawał świra. Do licha, nawet z Olivią przestawało im się układać. Jej zegar biologiczny tykał jak szalony i naciskała na dziecko.

Jego córka Kristi zbliża się do trzydziestki. Nie był przekonany, czy na pewno chce zaczynać jeszcze raz.

I dlatego musi się wyrwać z domu i wrócić do pracy. Od wypadku minęły trzy miesiące, nie wytrzyma bezczynności ani dnia dłużej.

– Więc zrób coś – upomniał się. Zacisnął zęby i zrobił krok bez kuli. Najpierw jedna stopa, potem druga.

Żadne tam ciepłe kluchy – najpierw jedna stopa do przodu, potem dostawianie drugiej. O

nie. Przejdzie przez całe cholerne patio normalnie, krok po kroku, choćby miał paść trupem.

Już on im pokaże. Za miesiąc będzie biegał po tych cholernych kamieniach. Na dachu siedział

kruk i krakał głośno. Ochryply głos niósł się echem wśród dębów i sosen.

Bentz nie zwracał na to uwagi.

Trzeci krok.

Czwarty.

Pocił się. Koncentrował. Upał dawał się we znaki, słońce paliło bezlitośnie, nozdrza wypełniał ciężki zapach bagien. Kruk nie przestawał, nawoływał irytująco. Co za drań.

Kolejny krok. Bentz podniósł głowę znad nierównych kamiennych płyt i patrzył na swój cel – ławeczkę. Przejdzie całe patio na własnych nogach.

Jakby nigdy nie został ranny.

Jakby nie otarł się o śmierć.

Jakby nie musiał brać pod uwagę wcześniejszej emerytury.

Kolejny krok, pewniejszy, swobodniejszy.

I wtedy to poczuł.

Lodowatą pewnością, że ktoś go obserwuje.

Ze ściśniętym sercem zerknął za siebie. Suche liście zaszeleściły, choć nie powiał nawet najlżejszy wiaterek.

Kruk odleciał, karcące okrzyki ucichły.

Błysk światła wśród drzew. Coś się poruszyło w zaroślach po drugiej stronie werandy.

Jakiś cień przemknął wśród krzewów.

O Boże drogi.

Bentz instynktownie sięgnął po broń.

Odwrócił się w stronę zarośli z pustymi rękami.

Nie miał kabury.

Nie we własnym domu.

Zmrużył oczy.

Co to jest, do cholery?

Promienie słoneczne igrały z baldachimem liści i igieł. Jego serce biło jak szalone.

Zaschło mu w ustach.

To tylko jego wyobraźnia.

Znowu.

Prawda?

Ale dreszcze na całym ciele i napięte mięśnie sugerowały, że jest inaczej. Idioto, jesteś u siebie! Na własnym podwórku!

Odwrócił się lekko, chcąc się przekonać, czy intruz to opos, jeleń, a może nawet aligator, który wypełził z bagien, choć w głębi duszy wiedział, że to nie dzikie zwierzę zawędrowało zbyt blisko jego domu.

O nie.

Liście znieruchomiały w ten upalny, bezwietrzny dzień. Bentz wytrzymał wzrok. Wiedział, że ją zobaczy. Znowu.

I nie zawiódł się.

Widział ją w rozedrganym upalnym powietrzu. W tej samej czarnej seksownej sukience.

Uśmiechnęła się lekko. Stała między dwoma wysokimi cyprysami.

Jennifer.

Jego pierwsza żona.

Kobieta, której ślubował miłość do grobowej deski.

Suka, która go zdradziła... Nadal równie zmysłowa i piękna jak przed laty. W powietrzu unosił się zapach gardenii.

Przełknął ślinę.

Głośno.

Duch?

Czy człowiek z krwi i kości?

Kobieta, sobowtór jego zmarłej żony, stała w lesie, patrzyła na niego wielkimi oczami, uśmiechała się lekko... Boże, kiedyś ten uśmiech doprowadzał go do szaleństwa.

Jego serce przestało bić.

Poczuł dziwny chłód w żyłach.

– Jennifer? – zapytał głośno, choć wiedział, że jego pierwsza żona nie żyje.

Uniosła brew. Jego żołądek fiknął kozła.

– Jen? – Zrobił krok do przodu, zahaczył stopą o nierówną płytę i upadł. Ciężko.

Najpierw kolana. Bum! Potem podbródek – uderzył o kamień.

W jego głowie eksplodował ból. Kruk zarechotał, jakby się z niego śmiał. Telefon potoczył się po płytach patio.

– Cholera – zaklął pod nosem.

Przez kilka sekund leżał bez ruchu. Oddychał głęboko i powtarzał sobie, że jest cholernym idiotą, świrem, który widzi nieistniejące zjawiska. Poruszył najpierw jedną nogą, potem drugą i w myślach podliczał zniszczenia w umęczonym ciele.

Jeszcze nie tak dawno był sparaliżowany. Wskutek nieszczęśliwego wypadku podczas burzy z piorunami doszło do uszkodzenia rdzenia nerwowego. Powoli dochodził do siebie, a teraz coś takiego. Oby tylko nie doszło do ponownego uszkodzenia pleców i nóg.

Obolały przetoczył się na brzuch i uklęknął. Wbił wzrok w ten zakątek werandy, gdzie ją widział.

Jennifer, oczywiście, zniknęła.

Pyk.

Jak duch w starej kreskówce.

Wspierając się o ławeczkę, dźwignął się do pozycji pionowej i stał, potężny i silny.

Ostrożnie, starając się nie zwracać uwagi na ból, podszedł do werandy. Mrużąc oczy, rozejrzał się za czymś, czymkolwiek, co świadczyłoby, że naprawdę tam była. Że go kusila, drażniła. Sprawiała, że się obawiał, iż oszalał.

Ale w zaroślach nic się nie poruszyło.

W cieniu nie kryła się kobieta.

Nagły chłód nie zapowiadał nadejścia ducha.

A co najważniejsze, Jennifer nie żyła. Leżała pochowana na kalifornijskim cmentarzu, wiedział to równie dobrze jak to, że nazywa się Bentz. Czyż nie on sam ją zidentyfikował

ponad dwanaście lat temu? Wypadek zmasakrował jej ciało, była niemal nie do rozpoznania, ale kobieta /a kierownicą na pewno była jego piękną, niewierną pierwszą żoną.

Żołądek ścisnął mu skurcz niepokoju. Słońce skryło się za chmurą. Wysoko na niebie sunęły odrzutowce, przecinając błękit białymi pasmami. Dlaczego wróciła akurat teraz? W

każdym razie dlaczego teraz o niej myślał. Przez komę? Przez dwa tygodnie leżał w śpiączce i z tych czternastu dni w szpitalu nie pamiętał niczego.

Gdy się w końcu obudził, zobaczył ją przez łyzy. Smuga zimnego powietrza i upojny zapach jej perfum, znajomy aromat gardenii. I wtedy zobaczył ją w drzwiach, oświetloną blaskiem z korytarza. Posłała mu całusa, bardzo rzeczywista, namacalna.

Co oczywiście jest nieprawdą.

A jednak...

Teraz, gdy wpatrywał się w zamglone bagna, nad którymi kładły się wydłużone cienie, a zza cyprysów dochodził mdlący zapach stojącej wody, zaczął się zastanawiać, czy się nie pomylił. Kwestionował własną poczytalność.

Może to efekt środków przeciwbólowych, jakie podano mu zaraz po wypadku na żądanie córki, ich córki...

A może po prostu traci rozum?

– Bzdura – stwierdził, obrzucając las groźnym spojrzeniem. Ani śladu Jennifer.

Oczywiście.

To tylko jego wyobraźnia.

Podczas tamtych dwóch tygodni, gdy był na granicy między życiem a śmiercią, coś się zmieniło.

– Weź się w garść – mruknął do siebie.

Ileż dałby teraz za jednego papierosa. Rzucił palenie wiele lat temu, ale w sytuacjach stresowych nic tak nie uspokaja jak kłęb nikotynowego dymu w płucach.

Skrzywił się, gdy ciszę przerwało radosne ujadanie. Psia kłapka w drzwiach otworzyła się z cichym trzaskiem i po chwili na patio zastukały pazurki. Przez werandę maszerował Hairy S, terieropodobny kundel jego drugiej żony Olivii. Spłoszona wiewiórka czmychnęła na wysoką sosnę. Hairy, którego ochrzczono na cześć Harry'ego S. Trumana, ulubionego prezydenta babki Olivii, dosłownie oszalał.

Obszczekiwał pień, usiłował się wspinać na gałęzie, a wiewiórka kpiła z niego w żywe oczy, siedząc spokojnie na wysokim konarze.

– Hairy, cicho!

Bentz nie był w nastroju. Czuł narastający ból głowy, a ponadto podczas upadku jego duma mocno

dzisiaj ucierpiała.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – huknął Montoya i mało brakowało, a Bentz znowu runąłby jak długi.

– Chodzę bez kuli czy laski, a jak to wygląda?

Bentz odwrócił się i zobaczył, jak jego partner mija furtkę i pokonuje dzielącą ich przestrzeń z irytującym wdziękiem pумы. Jakby tego było mało, kundelek Olivii zapomniał o wiewiórce i biegał przy nogach młodszego policjanta, podczas gdy Bentz otrzepywał z kurzu dumę. Starał się tego po sobie nie okazywać, ale bolały go podrapane kolana. Na pewno będzie miał siniaki. Czuł też strumyk ciepłej krwi spływający po goleni.

– Obserwowałem cię zza furtki. Wydawało mi się, że chciałeś wykonać salto mortale.

– Bardzo śmieszne.

– Też tak sędzę.

Bentzowi nie uśmiechały się słowne przepychanki z przemądrzałym partnerem. Co gorsza, młodszym partnerem. O czarnych włosach, lśniących granatowo w popołudniowym słońcu, o bystrych oczach, kryjących się za lustrzanymi okularami. Montoya był od niego młodszy i silniejszy. I nie miał oporów, by mu o tym przypominać.

Idąc, niemal kołysał biodrami. Brylant w jego uchu rozbłysł w słońcu. Dobrze, że nie miał na sobie, jak zwykle, czarnej skórzanej kurtki, tylko białą koszulkę i dżinsy. W tym też wyglądał świetnie.

Bentza strasznie to zdenerwowało.

– Olivia w pracy? Skinął głową.

– Wraca za kilka godzin.

Jego żona kilka godzin w tygodniu pracowała w newage'owym sklepie z upominkami niedaleko placu Jacksona, który przetrzymał niszczycielski huragan Katrina. Jakiś czas temu skończyła psychologię i zastanawiała się nad otwarciem własnego gabinetu, ale jeszcze nie do końca była zdecydowała. Bentz podejrzewał, że po prostu brakuje jej tętniącej życiem Dzielnicy Francuskiej.

Montoya znalazł jego komórkę koło wielkiej donicy, z której spływały białoróżowe petunie.

– Tego szukałeś? – Otrzepał telefon z kurzu i podał Bentzowi.

– Dzięki – syknął Bentz i wcisnął cholerny aparat do kieszeni.

– Złe wieści? – Montoya nagle spowaźniał.

– Jaskiel uważa, że nie nadaję się do czynnej służby.

– Bo się nie nadajesz.

Bentz przełknął złośliwą odpowiedź. Powietrze przecięła ważka. W jego obecnym stanie nie bardzo mógł dyskutować.

– Miałeś jakiś konkretny powód, żeby przyjechać aż tu, czy chcesz mnie tylko wkurzyć?

– I jedno, i drugie – przyznał Montoya. Tym razem błysnął w uśmiechu białymi zębami, które podkreślały czerń małej bródki. – Doszło do zmian personalnych. Przydzielili mi Zaroster jako... – palcami zrobił w powietrzu znak cudzysłowu – nową partnerkę.

Lynn Zaroster miała niecałe dwadzieścia sześć lat i już dwa lata przepracowała w wydziale. Słodka, bystra i wysportowana, a do tego pełna entuzjazmu. W porównaniu ze zgorzkniałym Bentzem – idealistka.

– To czeka cię zmiana.

– Owszem. – Montoya spoważniał. – Czasami czuję się jak niańka.

– I obawiasz się, że tak już zostanie. – Bo jego, Bentza, wywała ją z wydziału.

– Nie, jeśli będę miał cokolwiek do powiedzenia, ale uznałem, że sam cię o tym poinformuję. Nie chciałem, żebyś się dowiedział od kogoś innego.

Bentz skinął głową i rękawem koszuli otarł pot z czoła. Z głębi domu, przez otwarte okna, dobiegało skrzeczenie papugi, którą, podobnie jak psa i dom, Olivia odziedziczyła po babce.

– Jaskiel sugerowała, że bym przeszedł na emeryturę. – Skrzywił się na samą myśl. – I rozkoszował się resztką życia.

Montoya się zachnął.

– Nie masz jeszcze nawet pięćdziesiątki. Spora ta reszka. Trzydzieści, czterdzieści lat wypadów na ryby, meczów w telewizji i leniuchowania.

– Nieważne.

Montoya podniósł z ziemi jego kulę.

– Może rzeczywiście powinieneś przejść na emeryturę, brać kasę i zdobyć licencję prywatnego detektywa.

– Taaak... Może. Miłego niańczenia. – Bentz udał, że nie widzi kuli i ruszył do domu.

Psiak pobiegł za nim. – Chodź, zapraszam na piwo.

– Zacząłeś pić?

Montoya siedł tuż obok i podsuwał mu tę cholerną kulę.

– Jeszcze nie. – Bentz otworzył drzwi. – Ale dzień się jeszcze nie skończył.

Rozdział 2

Dentz odsuwał się od niej.

Olivia to wyczuwała.

I strasznie ją to wkurzało. Owszem, była też smutna, przyznawała to, pokonując gruntową drogę starym fordem rangerem z trzystoma tysiącami kilometrów na liczniku, z którym niedługo będzie musiała się rozstać.

Kochała męża i gdy ślubowała, że będzie z nim na dobre i na złe, mówiła szczerze.

Naprawdę w to wierzyła, ale od wypadku...

Zahamowała przed skretem w wiejską drogę, wijącą się wśród bagien, na której końcu stał jej domek, mały bungalow wzniesiony nad rozlewiskiem. Mieszkała w nim z babcią Gin, zanim staruszka wybrała się na tamten świat. Potem przez jakiś czas była sama, następnie wyszła za Bentza i on wprowadził się do domku ukrytego wśród drzew.

Przez pewien czas mieszkała z nimi jego córka, choć to akurat wypadło nie tak, jak chcieli. Kristi była już wtedy dorosła i potrzebowała wolności. Ale i tak byli szczęśliwi.

Aż do tego cholernego wypadku.

Był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Piorun uderzył w stary dąb, gruby konar spadł na Ricka i powalił go na ziemię. Mało brakowało, a strzaskałby mu kręgosłup. Wzdrygnęła się gwałtownie na samo wspomnienie ponurych dni, gdy nie wiedziała, czy mąż w ogóle przeżyje.

Wybrał życie. Po długiej walce. W tym czasie po raz pierwszy zbliżyły się z jego córką.

Trzymały się za ręce, stojąc przy szpitalnym łóżku i słuchając pesymistycznych rokowań lekarzy.

Obawiała się, że go straci, była pewna, że tak się stanie. I w tych strasznych chwilach żałowała, że nie mają dziecka, że nie zostanie jej żadna jego część. Może to egoizm, ale nic jej to nie obchodziło.

Zobaczyła swoje odbicie w bocznym lusterku. Spoglądały na nią pełne smutku bursztynowe oczy. Nie podobało jej się to.

– Więc coś z tym zrób, do cholery! – powiedziała na głos.

Nigdy się nie powstrzymywała. Nieraz zarzucano jej wybuchowy temperament, a dokładnie rzecz biorąc, robił to Bentz. Kiedy się poznali, nie dawała mu spokoju, zgłosiła morderstwo, które widziała w wizji. To go zaskoczyło. Początkowo jej nie wierzył, ale go przekonała.

Teraz także musi to zrobić.

Skręciła między drzewa i usiłowała nie myśleć o tym, że odkąd Rick się ocknął ze śpiączki, z ich domu zdaje się wyciekać rodzinne ciepło. Stał się innym człowiekiem. Nie do końca oczywiście, ale coś się zmieniło. Początkowo brak czułości z jego strony odbierała jako oznakę przygnębienia. Najważniejsze, żeby wydobrzał. Ale nic się nie układało po jej myśli.

W miarę upływu tygodni i powrotu sił wyczuła w nim rozczarowanie. Powtarzała sobie, że to się zmieni, gdy tylko wróci do pracy, którą tak kochał, i ponownie zajmie się rozwiązywaniem spraw o zabójstwo.

Jednak z czasem zaczęła się martwić. Choć nieraz rozmawiali o dziecku, Ricka interesowało to coraz mniej. Bentz zawsze był namiętny; nie tak gorący jak jego partner, Montoya, ale wytrwały, odważny i stały w uczuciach.

W łóżku był oddanym kochankiem, rozkosz czerpał również z zaspokajania partnerki.

Ale to się zmieniło.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że nadal ją kocha. Ale zamiast z upływem czasu nabierać głębi, ich związek tracił świeżość. Nie wiedziała, jak to inaczej nazwać. I bardzo jej się to nie podobało.

Opuściła ochraniacz przeciwsłoneczny. Słońce kładło się jasnymi plamami na zacienionej szosie. Dziki królik przemknął przez jezdnię i ukrył się w zaroślach.

Olivia nawet go nie zauważyła. , Ich związek potrzebuje świeżej krwi. A raczej jej mąż potrzebuje starannie wymierzonego kopa w seksowny zadek.

Skręciła na podjazd, rozpryskując wodę z kałuży pozostałej po porannym deszczu.

Zostawiła samochód w garażu i weszła do domu, gdzie Bryan Adams na całe gardło śpiewał

hit z lat osiemdziesiątych. Jej mąż, w koszulce i szortach, ćwiczył na przenośnym atlasie.

Spojrzał na nią, gdy stanęła w progu.

– Cześć, Rambo – zażartowała.

Roześmiał się.

A to ostatnimi czasy rzadkość.

– We własnej osobie.

Właśnie skończył serię ćwiczeń na nogi, był skupiony i spięty. Patrzyła na napięte mięśnie jego ud. Od trzech tygodni, czyli kiedy usłyszał od szefowej, że może pomyślałby o emeryturze, ćwiczył ze zdwojonym wysiłkiem, rozpaczliwie walczył o odzyskanie dawnej formy. Najczęściej chodził tylko o lasce, bez kuli, choć momentami odrzucał i ją, tak jak wtedy, gdy zaczynał rehabilitację i miał chodzić o kuli. Ignorował ostrzeżenia lekarzy i zmuszał się do coraz większego wysiłku. Robił wielkie postępy, jednak w jego pojęciu wciąż niewystarczające.

Olivia nie mogła przestać się o niego martwić, świadoma, że ćwiczenia mają zmniejszyć stres. Sypiał niespokojnie. Jego człowiek w wydziale, Montoya, był pochłonięty pracą i rodziną. Nawet Kristi miała w głowie tylko własny ślub.

– Co powiedziałbyś, gdybym cię zaprosiła na kolację? – zapytała.

– Jest poniedziałek.

– I właśnie to trzeba uczcić.

Zachnął się, ale i uśmiechnął, wstając z atlasu. Otarł spoconą twarz ręcznikiem.

– Chyba się nudzisz, skoro uważasz, że poniedziałek to okazja do świętowania.

– Pomyślałam, że wyjście z domu dobrze ci zrobi.

Uniósł pytająco jedną brew. Owszem, jest już po czterdziestce i odkąd go poznała, nieraz zaglądał śmierci w oczy, ale wciąż jeszcze kawa! przystojniaka z niego. Nadal traciła głowę, ilekroć się kochali, choć od wypadku dochodziło do tego, niestety, bardzo rzadko.

Zastanawiała się przez chwilę, czy go nie uwieść tu i teraz, ale wiedziała, że będzie ją podejrzewał o ukryte motywy – chęć zajścia w ciążę. I mało by się pomylił.

– Może do U Michelle? – zaproponował.

– Ooo, to wyższa półka. Myślałam raczej o ulicznym straganie, gdzie sprzedają pikantne frytki i ostre krewetki. Na kubelki.

Ciemne oczy rozblęły na wspomnienie ich pierwszej randki. Roześmiał się.

– Wiesz, Liwie, właśnie to mi się w tobie podoba; prawdziwa z ciebie romantyczka.

Wygrałaś. – Dla zabawy zamachnął się na nią ręcznikiem i poszedł do łazienki.

Dwie godziny później siedzieli na niewielkim patio. W tle zachodziło słońce, akompaniament stanowiło gruchanie gołębi z apetytem zjadających okruchy. Wśród donic z ziołami, napelniającymi powietrze swym aromatem, ścieliły się cienie.

Restauracja była ciemna i wąska, ściany zdobiły rybackie sieci, stoliki były zastawione kubelkami pełnymi lodu i butelek piwa. Na szczęście i ten lokal oszczędził szalejący huragan.

Olivia sączyła mrożoną herbatę i z apetytem zjadała krewetki po cajuńsku i frytki.

Dokoła nich rozbrzmiewał gwar rozmów. Był to jej ulubiony lokal i często tu przychodzili.

Bentz doszedł tu dziś bez laski. Poruszał się pewniej, swobodniej. Ale coś go dręczyło, coś, co przed nią ukrywał.

Miała już dosyć czekania, aż się otworzy. Chyba nigdy do tego nie dojdzie.

– No więc – zaczęła, odsunawszy talerz i wytarłszy palce w plasterek cytryny i serwetkę.

– Co się z tobą dzieje?

– Jak to?

– Nie rób tego, Rick. – Patrzyła mu prosto w oczy. – Oboje wiemy, że jest źle. Pewnie częściowo to efekt wypadku. Bóg jeden się, że sporo przeszedłeś, ale chodzi o coś więcej.

– Wykorzystujesz wobec mnie swój dar? – zapytał i podniósł do ust piwo bezalkoholowe.

– Chciałabym. – Starła się nie okazywać irytacji, ale знаła go na tyle, by wiedzieć, że stosuje celowe uniki. – Odpychasz mnie.

Uniósł brew.

– Tak myślisz?

– Wiem to.

– A jednak to twój dar.

– Oboje wiemy, że mój dar znikł wiele lat temu. – Nie chciała o tym myśleć, wspominać, jak poznała Bentza i jak oczami mordercy widziała serię przerażających zbrodni. Początkowo zbywał jej rewelacje śmiechem, ale z czasem się do nich przekonał. I nigdy nie dał jej o tym zapomnieć. – Nie próbuj zmieniać tematu, to ci się nie uda. – Oparła łokcie na stoliku. –

Chodzi o coś więcej niż uraz po wypadku. Coś cię gryzie. Coś dużego.

– Masz rację. Nie wytrzymuję bezczynności.

– Czyżby? – Nie uwierzyła. Przywiązanie do pracy nie tłumaczy dystansu między nimi.

Zresztą odpowiedź padła za szybko. – Coś jeszcze?

Przecząco pokręcił głową. Krył się za murem.

– Powiedziałbyś mi, gdyby było?

– Oczywiście. – Posłał jej ten leniwy uśmiech, który tak bardzo kochała, pochylił się nad stolikiem, wziął ją za rękę. – Bądź cierpliwa, dobrze?

– A nie jestem? Odwrócił wzrok.

– Chodzi o to, że chcę mieć dziecko?

Zawsze waliła prosto z mostu, uważała, że nie ma sensu unikać konfrontacji. Przez pierwsze tygodnie po wypadku był impotentem. Do cholery, z trudem dawał radę chodzić, a co dopiero uprawiać seks. Ale ten problem już sam się rozwiązał.

– Wydawało mi się, że już ci to tłumaczyłem. Zbliżam się do pięćdziesiątki, lada moment stracę pracę, ciągle chodzę o lasce i mam dorosłą córkę, która wybiera się za męża. Nie chcę...

nie chodzi o to, że nie chcę mieć dziecka z tobą, ale nie wiem, czy to dobry moment i czy chce mi się zaczynać od początku.

– Ja chcę. A ja dobijam do czterdziestki. Mój zegar biologiczny tyka jak szalony, jego uderzenia są jak grzmot. Nie mogę czekać i analizować. Jeśli chcę mieć dziecko, a chcę, musimy spróbować.

Zacisnął zęby, po chwili upił łyk piwa i odwrócił wzrok, jakby dach restauracji okazał się nagle bardzo interesujący. Czuła, jak przepaść pomiędzy nimi się powiększa, a gdy zobaczyła młode małżeństwo z trzyletnim dzieckiem, jej serce ścisnęło się boleśnie.

– Co się z nami dzieje, do cholery?

W jego szczęce zadrgał mięsień. Olivia wstrzymała oddech. Walczy z czymś, zastanawia się, czy może powiedzieć jej prawdę. Żołądek podszedł jej do gardła.

– O co chodzi? – zapytała szeptem. Przeszył ją nowy lęk, zapadł głęboko w serce.

Uważała, że ją kocha, tak, ale...

I wtedy znowu zamknął się w sobie.

– Mam po prostu mnóstwo różnych spraw.

W wolnym tłumaczeniu: nie zwracaj mi głowy i, na rany boskie, nie naciskaj w sprawie dziecka.

– Jestem psychologiem. Czuję, że mnie odpychasz.

– A ja jestem policjantem. Detektywem. Czy raczej byłem. Muszę po prostu zrozumieć kilka rzeczy. – Spojrzał na nią nieprzeniknionym wzrokiem, ale tym razem mocno uściśnął jej dłoń. – Zaufaj mi.

– Ufam. Ale wydaje mi się, że masz depresję, co zresztą rozumiałe. Może przyda się nam zmiana otoczenia, nowy początek.

– I dziecko? Nie sądzę, żeby to rozwiązało problemy. – Patrzył jej prosto w oczy. – Przed problemami nie uciekniesz, Liwie, i dobrze o tym wiesz. Prędzej czy później i tak cię dogonią. Błędy nie dają ci spokoju, nawet błędy przeszłości.

– O to ci chodzi? – W myślach gorączkowo odtwarzała nieliczne aluzje, które ostatnio robił. – O to, że odezwie się twoja kalifornijska przeszłość?

– Wysunęła dłoń z jego uścisku.

– Nie wiem, o co mi chodzi, ale pracuję nad tym. W tej chwili nie stać mnie na nic więcej. – Skinął na kelnera, poprosił o rachunek i tym samym położył kres rozmowie.

Zapłacili i wyszli. Bentz szedł sztywno, ale bez kuli czy laski, w stronę dżipa. Uparł się, że to on będzie prowadził, i w drodze do miasta szło mu całkiem nieźle, ale teraz, gdy przyciskał pedał gazu, Olivia zmówiła kilka zdrowasiek i zarzuciła mu, że jeździ jak Montoya.

Błysnął zębami w uśmiechu i jeszcze przyspieszył.

Jechali do domu w milczeniu, pogrążeni w myślach, ciszę przerywał jedynie monotony szum silnika i muzyka z radia. W domu Bentz przytrzymał drzwiczki, podał jej ramię...

pozornie zachowywał się jak troskliwy mąż. Kochający.

Popadli w codzienną rutynę. Ona nakarmiła zwierzaki i poszła do łóżka poczytać, on obejrzał wiadomości, zanim udał się do sypialni. Niewiele mówili; nadal wyczuwali w powietrzu niepewność i napięcie.

Kątem oka obserwowała, jak Bentz się rozbiera, i zauważyła, że kładąc się do łóżka, skrzywił się lekko. Zaznaczyła, w którym miejscu przerwała lekturę, zamknęła książkę, odłożyła na nocnym stoliczku.

– Nie chcę się kłócić – powiedziała, wyciągając rękę do lampy. Przez chwilę leżała nieruchomo, czekała, aż jej wzrok przywyknie do ciemności.

– Nie chcę zasypiać w gniewie.

– A gniewasz się?

Powiew znad rozlewiska poruszył zasłonką w oknie.

– Tak, trochę. Jestem sfrustrowana i... martwię się, chyba tak. Mam wrażenie, że... że jesteś tuż obok, a ja nie potrafię cię odnaleźć.

Materac zaskrzypiał, gdy odwracał się w jej stronę.

– To szukaj dalej – szepnął jej we włosy. Jego ciepły oddech łaskotał ją w szyję. Wielka dłoń odnalazła jej talię. – Nie skreślaj mnie.

– Nie skreślaj nas – szepnęła. Łzy dławili ją w gardle.

– Nigdy. – Zamknął ją w ramionach i przyciągnął do siebie. Odnalazł jej usta w ciemności i pocałował, mocno, namiętnie, aż poczuła, że i w niej rodzi się ogień.

Nie powinna tego robić, nie powinna wpadać w pułapkę zmysłów, gdy dręczy ją strach o ich wspólną przyszłość, ale jego dotyk uwodził jak zawsze, jego bliskość dawała ukojenie.

Jego język naciskał, pokonał opór jej zębów, zapraszał do zabawy.

Nie, Liwie, nie daj się zaspokoić seksem, gdy pragniesz rozmowy.

Podciągnął jej koszulę nocną, muskał palcami jej skórę. Ciągłe ją całował, błdził rękami po jej udach, biodrach, talii.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł – szepnęła.

– Nie tylko dobry. Świetny. – Ściągnął z niej koszulę nocną, cisnął na podłogę i przykrył

sobą. – Nawet przez sekundę nie waż się myśleć, że nas skreśliłem – powiedział, gdy mocowała się z jego bokserkami, pieszcząc przy okazji napięte pośladki i silne uda.

Chciała mu uwierzyć. Bardzo chciała.

– Rozkoszuj się – szepnął. Oddała mu się duszą i ciałem.

Później nie spała. Wentylator młócił powietrze, zmuszał je do ruchu.

Boże, ależ ona go kocha. Od tej miłości aż bolało ją serce. Ale nie pozwoli, by to ją zniszczyło.

Pogłaskała go po szorstkich włosach, wsłuchana w jego ciche chrapanie. Gałki oczne poruszały się szybko, napiął się nagle, zamiast rozluźnić.

– Nie – powiedział na głos. – Nie, o Boże! Stój!

– Cicho – szepnęła. – Wszystko w porządku.

– Stój! Błagam! Nie! – Panikował, dyszał ciężko. – Jennifer! – Wykrzyczał jej imię przez sen i się uspokoił.

Olivia nie zmrużyła oka.

Cały czas miała w uszach jego głos, gdy wołał Jennifer. Wstała, zeszła na parter, owinęła się ciepłym kocem i ułożyła na kanapie. Pies przywarł do niej radośnie. Leżała wpatrzona w księżyc za oknem.

Nie wiedziała, co się dzieje z mężem, ale wyczuwała, że pierwsza żona w jakiś sposób pogłębia

przepaść między nimi.

To idiotyczne. Poznała Ricka wiele lat po śmierci Jennifer i choć podejrzewała, że przedwczesna śmierć pierwszej żony go gryzie, że cierpi, iż on żyje, a ona nie, miała wrażenie, że się z tym uporał.

Aż do dwóch tygodni w śpiączce.

Coś się stało, gdy był nieprzytomny. Rick Bentz się zmienił. I właściwie nic w tym dziwnego, jeśli weźmie się pod uwagę okoliczności. Uniknął śmierci o włos.

Nie sposób wyjść z takich oparów bez zmian na psychice. Wycofanie się i introspekcja to normalne zjawiska. Na miłość boską, Bentzowi śmierć zajrzała w oczy, więc Olivia dawała mu czas na zaleczenie ran, nie tylko fizycznych, ale i psychicznych.

Ale, do cholery, co ma z tym wspólnego Jennifer Nichols Bentz?

Musiała zasnąć, bo otworzywszy oczy, ze zdumieniem ujrzała słońce wschodzące nad horyzontem. Na niebie ścieliły się pasy różu i fioletu i nagle poczuła, że nie wytrzyma na kanapie ani chwili dłużej. Bolała ją głowa – postanowiła, że zaparzy kawę. Bez kofeiny, napomniała się, idąc od łazienki. Otworzyła kosz na śmieci pod umywalką.

A tam, na stercie zużytych chusteczek, leżał ostatni test ciążowy w charakterystycznym opakowaniu. Różowa kreseczka nadal oznajmiała to samo, głosiła wszem wobec, że Olivia Bentz jest w ciąży.

Rozdział 3

Pomóż mi. – Głos Jennifer był równie wyraźny jak wtedy, gdy po raz ostatni widział ją żywą. – Rick... pomóż mi. – Leżała w samochodzie, zakrwawiona, połamana, nieruchoma. A jednak ją słyszał, i to dwukrotnie.

– Nic ci nie będzie – powiedział. Starał się do niej podejść, ale nogi miał jak z ołowiu, poruszał się, jakby brodził w ruchomych piaskach. Im bardziej się starał, tym większy dystans ich dzielił. Jej twarz na jego oczach rozpadała się na kawałki.

Nagle uniosła powieki.

– To twoja wina – powiedziała, gdy z jej twarzy odpadały piaty skóry, zostawiając czaszkę i oskarżycielskie oczy. – Twoja wina.

– Nie!

Bentz gwałtownie otworzył oczy i znalazł się w łóżku. Sam. Serce waliło mu jak oszalałe, czuł jego uderzenia w głowie, ale wszystko zagłuszał warkot silnika ciężarówki na podjeździe i stukot opróżnianych kontenerów na śmieci.

Która jest godzina, do cholery?

Sypialnię zalewało słońce. Spojrzał na zegarek. Po dziewiątej. W końcu spał.

Niespokojnie, ale długo. Potarł zarośnięty podbródek i usiłował odepchnąć wspomnienie Jennifer.

Olivia już wyszła.

Bo nadal ma własne życie.

Wściekły na cały świat zacisnął pięść, po chwili rozprostował palce.

Do cholery, Bentz, przestań się nad sobą użalać. To robi się nudne.

Skarcił się w myślach, poszedł do łazienki i pokuszył do kuchni, gdzie w szklanym dzbanku czekała ciepła kawa. Olivia nie napisała ani słowa, ale wiedział, że umówiła się z przyjaciółką, z którą pracowała w sklepie. Zawsze tego dnia spotykały się z Mandą na ulicy Decatur, szły na café au lait, ciasteczka i ploteczki do Cafe du Monde. Przeglądały gazetę i obserwowały przechodniów, sącząc kawę przy stoliku na dworze.

Bentz nalał sobie kawy, wypuścił psa na dwór. Hairy S z zapalem obwąchiwał werandę.

Rick zapatrzył się w las, w którym zaledwie kilka dni temu widział, był gotów przysiąc, Jennifer.

Albo kogoś, kto do złudzenia ją przypominał.

Oczywiście nie mogła tam być – sprawdził miejsce, gdzie ją widział, między dwoma wyblakłymi cyprysami. Na ziemi nie było śladów stóp, żadnych dowodów na to, że ktoś tam stał, nie ktoś, a gotów był przysiąc na życie córki, jego cholerna pierwsza żona. Była żona.

Kiedy zginęła, nie byli już małżeństwem.

Jeśli naprawdę zginęła w tamtym wypadku.

Zawsze uważał, że jej wypadek był ucieczką. Samobójstwem, choć wybrała bardzo nieciekawą sposób.

Wydawało mu się, że zżerały ją wyrzuty sumienia – nie dlatego, że go zdradziła, i to nie raz, ale dlatego, że przyłapał ją w łóżku z innym. Ze swoim przyrodnim bratem. Nawet teraz, po latach, ciągle odczuwał wściekłość, jaka go wtedy ogarnęła; bolały go jej niewierność i fakt, że był na tyle głupi, że po raz kolejny jej zaufał.

Więc zeszła mu z drogi, zostawiła samego, z córką. Napisała nawet do niej liścik, tłumacząc, co zrobiła, powołując się na poczucie winy.

Wtedy był pewien, że kobieta za kierownicą roztrzaskanego wozu to Jennifer i jako taką ją pochował. Nie było testów DNA, nie pobierano krwi. Wystarczyło jego oświadczenie, że za kierownicą siedziała jego żona.

Teraz, gdy patrzył na skraj rozlewiska, gdzie widział ją po raz ostatni, przeszył go dreszcz, miał wrażenie, że ktoś obserwuje go w milczeniu. Odwrócił się szybko, lekko szcękając zębami. Spojrzał w okna domu.

Nic.

Nikt go nie obserwuje zza firanek.

Nikt nie czai się za magnolią.

Powoli wypuścił powietrze z płuc.

Nie zwracał uwagi na ogarniającą go panikę.

Na miłość boską, Bentz, weź się w garść!

Czyżby zupełnie mu odbiło?

Był świadom, że widział Jennifer nie tylko kilka tygodni temu, właśnie tu, i wcześniej, w szpitalu, ale wiele razy. Kiedyś siedział na siedzeniu pasażera w pikapie Olivii, czekał, aż zanieśie ubranie do pralni, i wtedy mu mignęła. Szła szybkim krokiem, zniknęła w zaułku.

Miała koński ogon, przyciskała torebkę do piersi. Wysiadł z samochodu i pokuszył w stronę zaułka, ale zobaczył jedynie białego kota znikającego za ogrodzeniem i przepełnione kontenery na odpadki za starym garażem.

Innym razem dałby sobie rękę uciąć, że widział, jak idzie przez park, okrąża fontannę, a ciemno-rude włosy złocą się w słońcu. Odwróciła się i posłała mu przez ramię uśmiech.

W oczach rozbłysło żartobliwe wyzwanie – złap mnie, jeśli potrafisz. Zatrzymał wtedy dziopa w niedozwolonym miejscu i pośpieszył za nią, wspierając się na lasce. Minał fontannę, a Jennifer znowu zniknęła.

A potem widział ją w lesie koło domu.

Wydawała się prawdziwa.

Wysiadał. O to chodzi. Albo miał halucynacje – efekt uboczny prochów, jakie zażywał.

Rzecz w tym, że odstawił je miesiąc temu.

Na długo przed tym, nim zobaczył Jennifer kilka kroków od werandy.

Jennifer albo jej ducha.

Nie, nie ma mowy.

Nie wierzył w duchy, nie wierzył w zjawiska paranormalne czy nadprzyrodzone. Ba, nie do końca kupił nawet wizję własnej żony z czasów, gdy Wybraniec terroryzował Nowy Orlean.

A jednak był pewien, że ją widział.

Czyżby? W takim razie niewiele się zmieniła przez te dwanaście lat, prawda? I co ty na to? Dalej, Bentz, przyznaj, że ci odbija.

– Akurat – mruknął pod nosem, wypił łyk kawy, resztki wylał na rabatkę, na której kwiaty pyszniły się głębokim fioletem.

Miał dosyć myślenia o Jennifer, dosyć rozważania, czemu jego podświadomość z takim zapalem mu ją przypomina. Usiłował nie zwracać na to uwagi. Tłumaczył sobie, że widział

tylko kobietę do niej podobną, a ponieważ w ciągu dnia wydawało mu się, że ją zobaczył, nocami dręczyły go koszmary z Jennifer w roli głównej.

Ale to nie tłumaczy, dlaczego widział ją tutaj, tak blisko domu. Nie na ulicy, nie w parku, ale tu, we własnym domu. Być może tamte spotkania, w miejscach publicznych, to tylko przypadkowe zderzenia z osobą do niej podobną, ale dwa razy w szpitalu i tu, na podwórzu –

to co innego. Niełatwo uznać to za grę świateł.

Czy kobieta, którą widział na skraju lasu, to produkt jego wyobraźni? Tłumionych marzeń? Efekt uszkodzonych synaps w niesprawnym mózgu? Kto to wie?

– Weź się w garść.

Zagwizdał na psa, wszedł do domu, wziął prysznic, ogolił się, zerknął na atlas i obiecał

sobie, że poćwiczy po południu. Dzisiaj chciał pojechać do miasta i błagać Jaskiel o powrót do pracy, za wszelką cenę musiał się wyrwać z tego przytulnego domku.

Wziął ze sobą laskę.

Melinda Jaskiel poprosiła o sześć tygodni – połowa tego czasu już minęła. Nie mógł

dłużej czekać. Musi przekonać szefową, że jest gotów do pracy, przynajmniej w niewielkim wymiarze godzin. Akurat wsiadał do dżipa, nie zwracając uwagi na ból w plecach, gdy rozdzwoniła się jego komórka.

Wyświetlacz poinformował go, że to prywatny numer Montoi.

– Cześć – rzucił do słuchawki.

– Siema. Masz chwilę?

Bentz odczekał sekundę. Oczywiście były partner nie przepuści okazji do żartów.

– Jedną odparł sucho.

– Możemy się spotkać za... powiedzmy... godzinę? – Koniec żartów. Montoya mówił śmiertelnie poważnie.

– Na posterunku.

– Nie. Może w Cat's Meow?

– Będę za pół.

– Dobrze.

Montoya rozłączył się, a Bentz został z niepokojem w sercu. Coś jest nie tak. Czyżby po wydziale krążyły plotki, że wyrzucają go na emeryturę?

– Cholera – zaklął i wsiadł do dzipa.

Na myśl o oddaniu odznaki zrobiło mu się niedobrze. Nie był gotów odejść, do cholery, a nie widział siebie w roli detektywa. Wrzucił wsteczny, skręcił ostro, dojechał do szosy i pognął do Nowego Orleanu, by usłyszeć złe wieści od Montoi.

Café Meow to knajpa niedaleko Bourbon Street. Po huraganie przywrócono ją do dawnego stanu, dalekiego od świetności. Ceglane ściany, nawet świeżo wyszorowane, wyglądały, jakby miały lada chwila runąć. Drewniane podłogi, wprawdzie odświeżone, nosiły ślady wieloletniego zużycia. Surrealistyczne portrety muzyków jazzowych specjalnie postarzano, by wyglądały jak pokryte patyną i warstwą tytoniowych oparów. Ella Fitzgerald wisiała krzywo, jak dawniej, jakby właściciel szczycił się tym, że w jego barze nic nie wygląda jak należy.

Klimatyzator wył głośno, wentylatory na suficie poruszały się powoli, dym unosił się znad stolików, przy których siedziały grupki gości.

Montoya czekał nad filiżanką wystygłej kawy. Zmierzył Bentza wzrokiem, gdy ten usiłował nie skrzywić się, siadając naprzeciwko młodszego kolegi.

– Co jest? – Bentz nie owijał w bawełnę. Zamówił herbatę.

– Mam dla ciebie korespondencję.

– Co? – Bentz się zdziwił.

– Przyszło na posterunek.

Montoya poczekał, aż kelnerka postawi na stoliku szklankę z herbatą Bentza, i dopiero wtedy z

wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął kopertę: dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, nazwisko Bentza wypisane drukowanymi literami, adres – nowoorleański wydział zabójstw. I wielka pieczęta: „Osobiste”.

Koperta była zamknięta.

– Dzisiaj przyszło?

– Mhm. – Montoya wypił łyk kawy.

– Prześwietlone? – Czyli sprawdzone pod kątem materiałów wybuchowych i groźnych substancji, na przykład węgla.

– Owszem. Bentz zmrużył oczy.

– Przez ciebie?

– Tak. Zobaczyłem to w poczcie, uznałem, że to tylko twoja sprawa, więc... – Wzruszył ramionami.

– Zwinąłeś to.

Montoya zrobił nieokreślony ruch ręką. Może tak, może nie.

– Jest zaadresowane do ciebie. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli to dostaniesz, zanim zobaczy to Brinkman. – Zerknął na kopertę. – Pewnie nic takiego.

– Gdybyś tak uważał, nie zawracałbyś sobie głowy. Kolejne wzruszenie ramion.

– Otworzysz czy nie?

– Teraz?

– Tak. – Znowu łyk kawy.

– Więc chodzi o to, że jesteś ciekawy.

– Tylko cię kryję.

– Jasne. – Bentz spojrzał na stempel pocztowy. Był zatarty, w mdłym barowym świetle niewiele widział, ale w kieszeni, przy breloczku, miał latarkę; poświecił nią na kopertę i żołądek podszedł mu do gardła.

Nazwa miasta była nieczytelna, ale rozpoznał kod – mieszkali tam z Jennifer, zanim zginęła.

Kluczem rozciął kopertę i ostrożnie wyjął zawartość. Pojedynczy arkusik i trzy zdjęcia.

Wstrzymał, oddech.

Serce mu zamarło.

Na zdjęciach była jego pierwsza żona. Jennifer. I daty.

Boże drogi, co to ma znaczyć?

Czuł pulsowanie aż w mózgu. Najpierw wizje, a teraz to?

– Czy to... ?

– Tak.

Zdjęcia były wyraźne. Kolorowe. Jennifer przechodzi przez ruchliwą ulicę. Jennifer wsiada do jasnego samochodu, model i marka nie do określenia. Jennifer przy stoliku w kafejce. Ostatnie zdjęcie zrobiono z ułchy, była za szybą. Przed lokalem fotograf uwiecznił

tłum przechodniów i dwa stoiska z gazetami. Odczytał dwa tytuły: „USA Today” i „Los Angeles Times”.

Zmrużył oczy, wypatrując w szybie odbicia fotografa, ale niczego nie dostrzegł.

Szaleństwo.

– Stare zdjęcia? – zapytał Montoya.

– Nie, jeśli wierzyć datom z aparatu.

– Można je zmieniać.

– Wiem.

– A Photoshop pozwala robić cuda. Na przykład umieszczać cudzą twarz na zdjęciu.

Bentz podniósł głowę znad niepokojących fotografii.

– Ale po co?

– Ktoś się tobą bawi.

– Może.

Ponownie pochylił się nad zdjęciami. Zacisnął usta w wąską kreskę. Arkusik papieru okazał się aktem zgonu Jennifer. Oprócz suchych informacji widniał na nim wielki czerwony znak zapytania.

– Co to ma być, do cholery? – Montoya pochylił głowę. Bentz przyglądał się pismu.

– Chory sposób, by mnie poinformować, że, być może, moja pierwsza żona żyje.

Montoya odczekał chwilę, obserwując minę partnera.

– To żart, tak?

– A wygląda ci to na żart? – Bentz wskazał zdjęcia i akt zgonu.

– Myślisz, że to Jennifer? E tam. – Spojrzał na partnera. – Nabijasz się ze mnie, tak?

Bentz wszystko mu powiedział. Do tej chwili tylko córka, która była przy nim w szpitalu, gdy odzyskał przytomność, wiedziała, że widział pierwszą żonę. Kristi uznała to za efekt śpiączki i nadmiaru leków. Po pierwszej wizji trzymał buzię na kłódkę i córka, pochłonięta przygotowaniami do ślubu, nie poruszyła więcej tego tematu.

– Chwileczkę. – Montoya zastygł w bezruchu. Bentz sięgnął po szklanekę. – Chcesz powiedzieć, że nie wykluczasz, że ona żyje?

– Sam już nie wiem, co myśleć.

– Bo w przeciwnym razie uganasz się za duchem. Bentz się skrzywił. Czuł na sobie spojrzenie Montoi.

– Nie uganiam się za duchem.

– Więc?

– I nie zwariowałem.

– Czyli zostaje... co? Uważasz, że ktoś się przebiera za twoją eks i straszy cię? Tak myślisz? Że to jakiś chory pomysł rodem z filmu Hitchcocka?

– Jak powiedziałem, sam nie wiem, co myśleć.

– Powiedziałaś Olivii?

– Nie. – Odwrócił wzrok. – Jeszcze nie.

– Obawiasz się, że wsadzi cię do czubków? – Montoya uniósł brwi.

– Nie, ale chyba nie zrozumie.

– Cóż, ja też nie rozumiem.

– No właśnie.

Montoya odsunął pustą filiżankę.

- Więc co mam zrobić?
- Zachować to dla siebie. Na razie. Ale niewykluczone, że będę potrzebował przysługi.
- Na przykład?
- Kilku rzeczy. Ponieważ jestem na zwolnieniu, nie mam tak łatwego dostępu do informacji jak ty. Niewykluczone, że będziesz musiał poszperać.
- Odnaleźć tę kobietę?
- Może. Na początek trzeba sprawdzić odciski palców i DNA – może zostało coś na znaczku. Załatwisz mi kopię wyników.
- Jasne. – Montoya spojrział na dokument.
- I niech sprawdzą czy przy zdjęciach majstrowano. Chyba mogą to stwierdzić, prawda?
- Raczej tak. – Spojrział na zdjęcia. – Niech w każdym razie spróbują. Jeden koleś z laboratorium, Ralph Lee, specjalizuje się w fotografii.
- Świetnie. Najpierw zrobię kopie, potem dam ci oryginały. Niech je powiększy, wyostrzy, znajdzie szczegóły, które pozwolą określić miejsce i czas, gdy je zrobiono. Niech sprawdzi, czy da się odczytać adresy i numery rejestracyjne samochodów, zegary na budynkach, pozycję słońca, cokolwiek, co pozwoli określić czas i miejsce. Montoya zmarszczył brwi.
- A co zrobisz z kopiami?
- Jeszcze nie wiem. Ciągle się nad tym zastanawiam.

Bentz wsunął zdjęcia i arkusik do koperty. Nie wiedział, czego potrzebuje, jeszcze nie, ale miał dosyć walki z cieniami, uczucia, że jego umysł rozpada się na kawałki. Nie mógł

siedzieć z założonymi rękami i pozwalać, by każdy kolejny ruch należał do przeciwnika, kimkolwiek on jest.

– Na razie, buzia na kłódkę. Jeśli Jaskiel albo inni w wydziale uznają, że widzę duchy, bardzo trudno będzie ich przekonać, że mogę wracać.

Montoya podrapał się w podbródek, odsunął krzesło i wstał. Światło załamało się w brylantowym kolczyku.

Bentz dostrzegł cień zwątpienia w jego ciemnych oczach.

– Nie wierzysz mi.

– Ja? Nie wierzę? Skądże. To nie w moim stylu. – Uśmiechnął się ostro, po swojemu. –

Ale sam powiedziałeś, że to dziwna sprawa. Jestem taki jak ty. Sam nie wiem, co o tym myśleć.

Rozdział 4

Stempel pocztowy z południowej Kalifornii nie dawał Bentzowi spokoju, jadąc Bourbon Street, miał go wciąż przed oczami. Znalazł punkt ksero, zrobił kopie zdjęć i aktu zgonu, powiększając je i wyostrzając, by widzieć jak najwięcej, a potem przekazał oryginały Montoi.

Był przekonany, że odnalazł go ktoś z przeszłości jego albo Jennifer. Ale kto? I dlaczego?

I czemu igra z jego umysłem?

Stał na czerwonym świetle i wpadł w zadumę. Nad jego głową kłębiły się ciemne chmury, w nozdrza uderzał zapach rzeki Missisipi.

Przypomniawszy sobie Jennifer na skraju lasu. Tak blisko domu – jego i Olivii. A teraz te zdjęcia. Zerknął na fotel pasażera i zobaczył Jennifer na zdjęciu, jak przechodzi przez jezdnię.

Albo to jego była żona, albo jej sobowtór.

Duchów na zdjęciach nie widać.

Halucynacje nie są rzeczywiste, toteż nie można ich utrwalić na taśmie filmowej.

A więc istnieje naprawdę?

Zrobiło mu się niedobrze.

Kto w takim razie stał za jego domem, domem, który w ich związek wniosła Olivia? To ostatnie spotkanie nie dawało mu spokoju. Ze względu na Olivię.

Nie podobała mu się myśl, że w tę sprawę, o cokolwiek tu chodzi, wciąga się jego żonę.

Mieszka tu i przerażała go sama myśl o tym, że coś mogłoby jej grozić. Zawsze czuła się tu bezpieczna. Choć Hairy S nie sprawdzał się jako pies obronny, mieli system alarmowy, na który Bentz nalegał przed laty. Rzadko go używali, ale teraz to się zmieni.

Światła się zmieniły. Bentz czekał, aż staruszka o kulach pokona jezdnię. Ledwie weszła na chodnik, przyspieszył, by po chwili ostro zahamować. Nastolatek w opadających dzinsach przechodził przez jezdnię w niedozwolonym miejscu, wsłuchany w muzykę z iPoda. Nawet nie zauważył, jak mało brakowało, by Bentz go przejechał.

Podjechał pod posterunek. Jego uwagi nie uszło, że Brinkman zaparkował na jego zwykłym miejscu. Brinkman to dobry glina, ale strasznie upierdliwy człowiek. Zresztą nie ma o co się gniewać i tak na razie z tego miejsca nie korzysta.

– Niech ci będzie – mruknął i pojechał do kafejki internetowej.

Popijał mrożoną kawę, czekając na połączenie z siecią a potem wyszukał wszystko, co mógł znaleźć o byłej żonie. Ba, nawet siebie sprawdził w Google'u. Większość artykułów opisywała jego bohaterkie zatrzymania nowoorleańskich seryjnych morderców.

Ale znalazły się i ostre słowa. Z Los Angeles. Gorzkie opowieści o policjancie o zszarganej opinii, który odszedł z wydziału, nie rozwiązawszy trudnej sprawy.

Dalej – afera związana ze strzelaniną, gdy mylnie wziął dwunastolatka z pistoletem zabawką za mordercę, który celuje w partnera. Bentz ostrzegł dzieciaka i wystrzelił.

Chłopiec, Mario Valdez, zmarł w drodze do szpitala.

Bentz szukał zapomnienia w butelce i ze spaprana reputacją odszedł z wydziału. Na szczęście Melinda Jaskiel z Nowego Orleanu postanowiła dać mu jeszcze jedną szansę.

Więc się przeniósł.

Reszta, jak mówią, to już historia.

A teraz ktoś celowo ściąga go do Los Angeles. Ani przez chwilę nie wątpił, że ten, kto przysłał zdjęcia i akt zgonu, chce go zwabić do południowej Kalifornii.

Ale dlaczego? I dlaczego akurat teraz?

Dopił kawę, zadzwonił do Montoi i nagrał wiadomość z prośbą o kontakt. Rozejrzał się po małej knajpce; goście tłoczyli się przy niedużych stolikach, zajmowali miejsca w miękkich fotelach przy oknach. Trójka nastolatków, chłopak i dwie dziewczyny, leniwie sączyła czekoladowe napoje zwieńczone ogromną czapą bitej śmietany. Nie przerywając ani na chwilę rozmowy, cała trójka błyskawicznie wystukiwała SMS-y.

Na szczęście nigdzie nie widział pierwszej żony – ani jej ducha.

Nie żeby akurat ten widok miałby go jakoś specjalnie zdziwić.

Jednak zagadka Jennifer zaczyna się w Kalifornii. Ponownie wyjął fotografie. Tak, to na pewno Los Angeles. W rogu fotografii, na której przebiega przez ulicę, dostrzegął palmę i kalifornijskie numery rejestracyjne. Na zdjęciu w kawiarni dało się dostrzec fragment tabliczki z nazwą ulicy. Odczytał: ado Aven. Aven – czyli pewnie Avenue, aleja. Wiele jest ulic o takiej nazwie w obszarze Los Angeles. Myślał intensywnie, stare wspomnienia zjawiały się nie wiadomo skąd. Mercado, Loreda albo... Na myśl o Colorado Avenue w Santa Monica serce stanęło mu w piersi.

Jeśli to ta ulica, ktoś naprawdę sobie z nim pogrywa.

Spędzili z Jennifer niejedno sobotnie popołudnie na promenadzie przy Trzeciej ulicy, niedaleko Santa Monica Boulevard. Zaledwie jedna przecznica i jedno centrum handlowe dzieliły ich od Colorado Avenue. O ile dobrze pamiętał, do centrum można było wejść także od strony Colorado. Poczul ów charakterystyczny dreszczyk, jak przyływ energii po kofeinie, na myśl, że układa kawałki

układanki.

Zbyt łatwo.

Nie jest aż taki bystry.

Ale faktem jest, że Santa Monica, pełne sklepów pod gołym niebem, z długą plażą i modnymi knajpkami, należało do ulubionych miejsc Jennifer. Było ważne dla nich obojga, dla ich związku.

– Cholera. – Przejechał dłonią po karku. Wiedział już: czy mu się to podoba, czy nie, musi wrócić do Kalifornii.

Ktoś go wabi.

Ktoś chce, żeby wrócił.

– Skurczybyk – mruknął pod nosem.

W południowej Kalifornii przeszedł ciężkie chwile. I to niemało. Zostawił za sobą wiele nierozwiązanych spraw. Mało kto w wydziale zabójstw w Los Angeles uronił łezkę, gdy odchodził.

A teraz widzi duchy i dostaje dziwne przesyłki, nadane niedaleko jego dawnego domu, miejsca, w którym, jak przysiągł, jego noga więcej nie postanie.

W Złotym Stanie coś śmierdzi jak zgniłe jaja, to pewne.

A on musi się dowiedzieć co, nawet jeśli to oznacza, że robi dokładnie to, czego chciał psychopata. Irytowała go ta świadomość, ale nie widział innego wyjścia.

Wyłączył komputer. Za piętnaście minut Olivia skończy pracę w sklepie. Idealnie.

Niewinne, czy mu się to podoba, czy nie – czas powiedzieć jej, co się dzieje, do cholery.

Pogoda się pogorszyła; chmury nad miastem pociemniały groźnie. Powietrze – gęste i parne – niosło zapowiedź burzy. Wsiadł do samochodu, zamknął okna, pojechał do Dzielnicy Francuskiej. Udało mu się zaparkować dwie przecznice od placu Jacksona.

Wspierając się na przekłętą lasce, szedł do sklepiku Olivii. Jego zdaniem była to zwykła pułapka na turystów. Olivia lubiła poznawać nowych ludzi i dobrze jej się pracowało z twardą, szczupłą, elegancką ciemnoskórą sprzedawczynią, która tkwiła w Trzecim Oku od lat, i z Mandą, która niedawno dołączyła do personelu. I tak Liwie postanowiła zostać, póki nie ukończy studiów i nie otworzy własnego gabinetu.

Bentza przeszywał dreszcz, ilekroć przekraczał próg sklepu.

Większość przestrzeni sklepowej zajmowały półki pełne różnych gadżetów związanych z New Age –

kryształy, przedmioty religijne, książki o wudu, różańce, miniaturowe łebki aligatorów łypiące błyszczącymi ślepkami. I jeszcze lalki – najróżniejsze lalki. Przywodziły mu na myśl martwe dzieci, ilekroć patrzył na malowane buzie, sztuczne uśmiechy, oczy osłonięte plastikowymi rzęsami. Lalki stanowiły najnowszy dodatek do oferty sklepu i, jeśli wierzyć Olivii, okazały się wielkim sukcesem; te najrzadsze, najdroższe, znacznie podwyższały obroty.

Bentz tego nie pojmował.

Kiedyś popełnił błąd i zapylał:

– Co za durnie kupują te bzdury związane z wudu?

Olivia stała wtedy przy oknie w kuchni, dosypywała karmę papudze. Nie obraziła się, spojrzała tylko przez ramię z tajemniczym uśmiechem i odparła:

– Nie chciałbyś wiedzieć. Uważaj, Bentz, każdy, kogo zdenerwowałeś albo wysłałeś za kratki, może rzucić na ciebie zaklęcie.

– Nie wierzę w takie bzdury.

– Na razie. Poczekaj, zmienisz zdanie, kiedy dostaniesz wysypki albo oczy ci nabiegną krwią, albo... Sama nie wiem... Staniesz się impotentem, i to do tego stopnia, że ulubiona część ciała po prostu ci odpadnie – przekomarzała się z nim, unosząc brew.

To wystarczyło.

– Sama się o to prosisz – ostrzegł, podchodząc bliżej.

– Owszem, ale czy mi to dasz?

Objął ją wtedy gwałtownie, porwał na ręce, aż ziarenka papuziej karmy rozsypały się po podłodze. Chia skrzeczała, Hairy S szczekał na całe gardło, gdy Bentz niósł żonę do sypialni.

Olivia śmiała się głośno i piszczała. Jej sandałki upadły na schody.

Gdy doszedł do sypialni, zamknął drzwi jednym kopnięciem i rzucił się na łóżko z Olivią w ramionach. A potem udowodnił jej, że wszystkie części jego ciała są jak najbardziej na miejscu i działają jak należy.

Boże, jak bardzo ją kocha, pomyślał, gdy z ołowianego nieba spadły pierwsze krople deszczu. Szedł zatłoczonym chodnikiem w stronę placu Jacksona. Jednak obecnie ich związek przechodził kryzys; brakowało w nim dawnej żywiołości, beztroski i flirtu.

Namiętność trwała, ale znikła spontaniczność i beztroska, które sprawiały obojgu taką przyjemność.

A niby czyja to wina, detektywie Bentz?

Rozbolała go noga, gdy mijał otwarte drzwi restauracji. Nawet nie słyszał dźwięków jazzu, nie czuł pikantnych zapachów cajuńskich dań, które unosiły się nad ulicą.

Zastanawiał się, czy nie powiedzieć Olivii o tej całej sprawie z Jennifer, ale nigdy nie lubił gadać; nie był typem, który dzieli się swoimi nadziejami i obawami. A teraz wszystko się zmieniło.

Minął grupę artystów prezentujących swoje dzieła na zewnątrz otaczającego plac ogrodu z kutego żelaza. Saksofonista pastwił się nad znanym motywem; otwarty futerał

czekał na drobne od przechodniów. Nieco dalej tarocista czytał z karty, a dwudziestoparoletnia turystka chciwie chłonęła każde jego słowo.

Kolejny dzień w Dzielnicy Francuskiej.

Lało coraz mocniej. Bentz przeszedł przez jezdnię obok smętnej dorożki i wszedł do sklepiku. Olivia właśnie nabijała należność na kasę: kilka koszulek, pudełeczko piasku, kamieni, miniaturowe grabki – zestaw do relaksu – miniaturowa główka aligatora i dwie staroświeckie lalki.

Patrząc na makabryczny towar, Bentz doszedł do wniosku, że najwyższy czas, by żona zajęła się swoim gabinetem psychoterapeutycznym. Pora zostawić ten sklep z paskudztwami i pogadać z ludźmi, którzy mają prawdziwe problemy.

– Cześć. – Zauważyła go, gdy ustępował drogi obciążonej pakunkami klientce, która szybkim krokiem szła do drzwi.

– Cześć.

Olivia uśmiechnęła się i, jak zawsze na jej widok, serce stanęło mu w piersi.

– Co tu robisz?

– Szukam dziewczyny na kolację.

– *Moi?* – zapytała zalotnie, wskazując palcem siebie. Zmarszczył brwi i zmierzył ją badawczym wzrokiem od stóp do głów.

– Tuk, mydlę, że się nadajesz.

Nieźle, Henlz. – Roześmiała się. – Ty też się nadajesz. A żebyś wiedziała.

– Samce tego gatunku słyną ze skromności – mruknęła do Mandy, zamykając kasę.

Wyszła zza lady, podeszła do męża, cmoknęła go w policzek. – O co chodzi, tak naprawdę?

– Pytałaś, co się dzieje. Uznałem, że czas, żebyś się dowiedziała. Spoważniała.

– Powinnam się martwić?

Zawahał się. Najchętniej powiedziałby, że nie, ale teraz postanowił grać w otwarte karty.

– Właściwie nie. W każdym razie jeszcze nie teraz i nie nami. Ale dzieje się coś bardzo dziwnego.

Dostrzegł jej parasolkę przy drzwiach, otworzył ją, szarmanckim gestem podał żonie ramię i wyprowadził na dwór. Deszcz bębnił w chodniki, szumiał w rynsztoku. Malarze, tarociści, muzycy i klauni pospiesznie okrywali swoje dzieła płachtami plastiku i zwijali bagaż.

Bentz trzymał parasolkę nad głową Olivii. Szli coraz szybciej. Deszcz zalewał mu plecy.

Starał się omijać i kałuże, i przechodniów. Przeniknął obok nich rowerzysta nieskrępowany ulicznym korkiem – Gdzieś zatrąbił klakson. Nerwowo zarżał koń.

W ułamku sekundy deszcz przerodził się w oberwanie chmury.

Biegając w stronę restauracji, Bentz cały czas czuł znajomy ból w biodrze, nieustanne przypomnienie, że wciąż jeszcze nie jest całkiem zdrowy.

Mimo starań przemoczył sobie kurtkę i nogawki spodni.

Olivia się śmiała, jej oczy błyszczały radością i rozbawieniem, że złapała ich ulewa.

– Przemokłeś do suchej nitki – stwierdziła, gdy znaleźli się pod dachem.

– Tylko dlatego, że jako dżentelmen ochraniałem cię.

– Doceniam to. – Puściła oko. – Któregoś dnia się odwzajemnię.

– Akurat.

Pod pasiastą markizą Bentz strząsnął krople wody z parasolki i otworzył żonie drzwi. We wnętrzu z belek sufitu zwisały się sznury miniaturowych lampek – jak gwiazdy na niebie.

Ściany wyłożono drewnem, między deskami tu i ówdzie widoczne były czerwone cegły.

Hostessa wskazała im stolik w rogu sali, przy oknie. Na zewnątrz wciąż lało, ołowiane chmury kłębiły się nad miastem. Wentylator ospale wirował nad ich głowami. Kelner przyniósł karty dań, zapalił świeczkę na stole i obiecał, że za chwilę podejdzie, by przyjąć zamówienie.

– À propos tego, co chcesz powiedzieć – zaczęła Olivia, gdy zostali sami – czy przecucie mnie nie myli, że wcale mi się to nie spodoba?

– Bardzo mądra z ciebie kobieta.

– Hm.

– I do tego więdźma.

– Którą kochasz – przypomniała mu.

– Owszem.

– Uwielbiasz.

– Przesadzasz.

– Schodzisz z tematu.

– Czekam na odpowiednią chwilę – sprostował, pochłonięty lekturą menu. Poruszył temat Jennifer dopiero wtedy, kiedy złożyli zamówienie. Gdy kelner się oddalił, Bentz wyłożył

wszystkie karty na stół. Zaczął od chwili, gdy odzyskał przytomność, poczuł, jak powietrze się ochładza i w progu szpitalnego pokoju zobaczył nieżyjącą żonę. Opowiedział także o innych wizjach. Przyznał się, że zaledwie kilka dni wcześniej widział ją w lesie, kilkanaście metrów do domu, i wreszcie powiedział o dziwacznej przesyłce zawierającej pomazany akt zgonu i zdjęcia.

Olivia poważniała coraz bardziej, słuchając kolejnych elementów opowieści.

– Nie rozumiem – szepnęła ze wzrokiem utkwionym w jego oczach.

– Jak to? Dlaczego?

Podał jej fotokopie i patrzył, jak jej twarz przybiera barwę popiołu.

– Sam chciałbym wiedzieć.

– Jennifer nie żyje. – Podniosła wzrok, szukając potwierdzenia.

– Wiem o tym.

– Więc... ?

– Sobowtór. Prawdopodobnie.

– Albo... twoja wyobraźnia.

– Raczej nie. – Dotknął fotografii. – One są rzeczywiste.

– Albo ktoś przy nich majstrował.

– To możliwe.

– Rick, ona nie żyje! – Odchrząknęła i oparła się o krzesło. – Czy... powiedziałaś Kristi?

– Była przy mnie w szpitalu, kiedy odzyskałem przytomność, i uznała, że to halucynacje po środkach przeciwbólowych albo skutki śpiączki. Twierdziła, że po prostu miałem odjazd.

Nie chciałem jej denerwować, więc potem do tego nie wracałem. Ona też nie.

Tylko że córkę pochłaniało pisanie książki i planowany ślub. Nie chciała myśleć, że ojciec wariuje. Choć był święcie przekonany, że ktoś się nim bawi, w głębi duszy podejrzewał

także, że niektóre wizje Jennifer to produkty jego umysłu.

Może prowokacja sprawiła, że w jego mózgu otworzyła się jakaś klapka? Nie chciał się przyznać sam przed sobą, że już nie wie, co jest rzeczywistością, a co wyobrażeniem.

– Nie widziała tego? – Olivia wskazała fotografie.

– Nie.

Olivia odetchnęła powoli i jeszcze raz dokładnie przyjrzała się zdjęciom i aktowi zgonu.

Zmarszczyła brwi, na jej czole pojawiły się drobne zmarszczki, wykrzywiła usta w grymasie obrzydzenia:

– To makabryczne.

– Trudno się z tobą nie zgodzić.

– Domyślasz się, kto ci je przysłał? – Zebrała zdjęcia i arkusz papieru, pokręciła głową i zwróciła je Bentzowi.

– Nie. Montoya dał oryginały do sprawdzenia. Odciski palców, DNA, obróbka komputerowa zdjęć – wszystko, co się da, łącznie z ustaleniem, jakiego rodzaju tuszem narysowano ten znak zapytania. – Wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

W tym momencie kelner przyniósł pierwsze danie.

– Myślisz, że Jennifer żyje? – zapytała Olivia.

– Nie. – Zamieszał potrawkę z owoców morza i pokręcił głową. – Ale nie myślę też, że jest duchem.

– Jasne. Czyli... sobowtór. Ktoś się z tobą drażni. – Pokiwała głową, jakby mówiła coś do siebie, i podniosła łyżkę. – Kto?

– I to jest pytanie za milion dolarów. Zirytowana nabiła na widelec sałatę i krewetkę.

– Czyli uważasz, że ktoś tutaj, w Luizjanie, podszywa się pod Jennifer i ukazuje się, ale tylko tobie. Wierzysz, że kilka miesięcy temu zjawiała się w szpitalu, dokładnie w tej chwili, gdy odzyskiwałeś przytomność. Tymczasem zdjęcia i akt zgonu przysłano z Los Angeles. –

Zmrużyła oczy, jedząc sałatkę. – Dobrze mówię?

- Mniej więcej.
- Więc po co robić sobie tyle zachodu? Dlaczego nie wysłano zdjęć stąd, z Nowego Orleanu?
- Jennifer zginęła w południowej Kalifornii.
- O ile w tej furgonetce to była ona.
- Ona.
- Twierdzisz, że się nie postarzała, tak? Ale czy widziałeś ją z bliska? Dobre pytanie, pomyślał.
- Nie.
- Hm. Na zdjęciach rzeczywiście wygląda młodo, ale z drugiej strony fotografie można wyretuszować. Albo nałożyć jej twarz na ciało innej kobiety.
- Odpowiedź kryje się w Los Angeles.
- Nawet jeśli widziałeś ją w Luizjanie?
- Te zdjęcia zrobiono w okolicy Los Angeles.
- Być może.

Znowu ten cały Photoshop.

- Pochowano ją w Kalifornii – powiedział i czekał na reakcję Olivii.
- Chyba nie myślisz o ekshumacji? – skrzywiła się z obrzydzeniem. – Tylko dlatego, że ci się wydaje, że ją widziałeś? Bo dostałeś kilka zdjęć i akt zgonu ze znakiem zapytania?

Nadane z miasteczka, w którym mieszkaliście? Czy nie posuwasz się odrobinę za daleko? A wiesz, czy w ogóle zezwolą na ekshumację?

- Nie wiem, ale chyba tak.
- A więc chcesz jechać do Kalifornii – domyśliła się i pokręciła głową.
- Tak. Póki nie wróciłem do czynnej służby.
- A więc zaraz. Skinął głową.
- Montoya będzie mnie ubezpieczał i zajmie się tobą.
- Myślisz, że potrzebuję opieki?
- Nie, ale...

– Ale na wypadek gdybym poczuła się samotna, będzie na zawołanie, tak? – zakpiła. – Na wypadek gdybym doszła do wniosku, że uganiaś się za cieniami albo duchami, albo... sama nie wiem, zmagasz się ze starymi uczuciami, z którymi nie uporałeś się do tej pory, zawsze mogę liczyć na twojego partnera, nie na ciebie. Tak?

Poczuł, jak napinają mu się mięśnie pleców.

– Nie potrzebuję opieki, jasne? Mieszkam w tym domu niemal od urodzenia. Sporą z tego część – sama. Nie potrzebuję opieki. Czasami się zastanawiam, czy ty po prostu nie zwariowałeś!

– A zatem jest nas już dwoje.

– Może powinieneś przekazać sprawę policji.

– Też jestem policjantem.

– Nie tym razem. – Pokręciła głową, aż blask świec załśnił na jej włosach. – Tym razem jesteś ofiarą.

– Posłuchaj, Liwie, ja...

– Co? Co wymyślisz? Wymówkę, żeby ścigać martwą kobietę? Naciągane uzasadnienie?

To sprawa policji – powtórzyła, wskazując akt zgonu i zdjęcia Jennifer. – A jeśli chodzi o twoje wizje, może powinieneś powiedzieć o nich lekarzowi i, nie daj Boże, psychiatrze. Te zdjęcia... na pewno są fałszywe!

– Olivio...

– Wiem, co chcesz mi powiedzieć, Bentz. Co do słowa. Ale dręczy mnie to, czego mi nie mówisz, huczy mi w głowie i rozdziera serce na strzępy.

– Chwileczkę.

– Nie, nie ma chwileczki ani nawet pół. Posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Moim zdaniem za wszelką cenę chcesz się rozliczyć z przeszłością. Zmierzyć się z nią. Spójrzmy prawdzie w oczy. Jeśli w naszym małżeństwie jest jakiś problem, to jest nim właśnie matka Kristi. Jennifer. Kobieta, z którą się rozwiodłeś, bo cię zdradzała, i którą przyjąłeś ponownie, chociaż nie potrafiła dochować wierności. Zmagasz się z emocjami, które od ponad dziesięciu lat nie dają ci spokoju: poczuciem winy. Czujesz się winny, że ty żyjesz, a ona nie.

– Czy to opinia zawodowa?

– Nie ma w tym nic zawodowego. To zdrowy rozsądek. – Rozejrzała się dokoła, odsunęła talerz z sałatką.

– Posłuchaj, jeśli musisz, to jedź. Dojdz do tego. Bo sam wiesz, że starałam się być nastawiona

pozytywnie i pomocna, ale to ciebie zżera od środka. Więc jedź. Dowiedz się, o co chodzi. To oczywiście ważne. Ale dla mnie ważniejsze, żebyś się w końcu uporał z przeszłością i o niej zapomniał.

Poczuł pulsowanie w skroni.

– Jeśli nie chcesz, żebym jechał...

– O nie, nawet się nie waż. To twoja sprawa, nie moja. Jeśli uważasz, że powinieneś to zrobić, zrób to.

– Wydawało mi się, że chciałaś, żebym się otworzył i powiedział ci, co mnie gnębi.

– Owszem – przyznała i umilkła, gdy kelner serwował przystawki. – Naprawdę chciałam wiedzieć, ale liczyłam, że stanie się to trochę wcześniej. To znaczy, zanim w głębi duszy spakowałeś manatki i poleciałeś do Kalifornii.

– Powiedziałem już, że jeśli nie chcesz, żebym jechał, to mi powiedz. Zawahała się i pochyliła nad stołem.

– Nie, Rick. Jedź. Byliśmy szczęśliwi, prawda? Ale we mnie zawsze był cień wątpliwości. A w tobie – poczucie winy. Gdyby Jennifer nadal żyła, być może wcale nie bylibyśmy razem. Więc teraz po prostu przekonamy się, jak silne są podstawy naszego związku.

– Moim zdaniem cholernie silne.

– Naprawdę?

– Tak.

– Ale nie chcesz dziecka.

– Mam dziecko. – Chciał coś dodać, ale ujrzał smutek w jej oczach i wiedział, że ją zranił. Wyciągnął rękę, nakrył jej dłoń swoją. – To nieodpowiedni moment.

Wysunęła rękę z jego dłoni.

– Dla mnie owszem – odparła, zaciskając usta. – Tak naprawdę albo teraz, albo nigdy.

Zastanawiał się, czy nie ulec. W końcu będzie wspaniałą matką, tego był pewien. Co z tego, że on będzie starcem, gdy jego dzieciak zda maturę? Teraz tak już jest. Zacisnął usta.

– Pomyślę o tym.

Chwyciła torebkę i wstała gwałtownie.

– Oby szybko.

Rozdział 5

Powinna była mu powiedzieć.

Jak mogła tak stchórzyć?

Olivia wyszła spod prysznic, owinęła się ręcznikiem. Para zasnęła mgłą lustro w łazience. Przetarła je dłonią. Bentz tego ranka wyjechał, teraz pewnie zbliża się już do Los Angeles.

Niedobrze, że pozwoliła mu wyjechać, nie mówiąc o dziecku. Ale na myśl, że będzie taka, że stanie się bezbronną kobietką, która wykorzysta wszystko, nawet nienarodzone dziecko, żeby powstrzymać mężczyznę przed tym, co we własnym mniemaniu musi zrobić, nie dawała Olivii spokoju. Nie chciała ograniczać ukochanej osoby. Nie chciała, by został

przy niej kierowany wyrzutami sumienia, a przecież jasno dał jej do zrozumienia, co sądzi o ponownym ojcostwie.

To nie tak, że świadomie zignorowała jego opory i zaszła w ciążę. Nie zaplanowała tego, nie oszukiwała; po prostu nie zabezpieczała się w żaden sposób. Bentz wiedział, że nie zażywa pigułek antykoncepcyjnych. Zazwyczaj to on dbał, by do niczego nie doszło, ale kilkakrotnie nie użył prezerwatywy, kilka razy namiętność wzięła górę na rozsądku. A Olivia była zachwycona, że rośnie w niej nowe życie, obawiała się przecież, że, zważywszy na to, iż oboje nie są już pierwszej młodości, im się nie uda. Patrzyła na swoje odbicie w zamglonym lustrze i szorowała zęby.

Ale i tak nie posłużyła się dzieckiem, by go powstrzymać przed wyprawą do cholernego Los Angeles.

Wypluła pianę, przepłukała usta wodą z kranu, wyprostowała się. Kobieta w zasnutym mgłą zwierciadle zarzucała jej tchórzostwo. Miała wyrzuty sumienia, choć milczała kierowana szlachetnymi pobudkami. Chciała uniknąć kłótni i nie zniosłaby rozczarowania, a może nawet pretensji w jego wzroku. Nie wierzyła, że mógłby zaproponować jej aborcję, nie chciała nawet myśleć o przerwaniu ciąży.

– A ja myślałam, że grasz w otwarte karty – poinformowała swoje odbicie. – Czy mi się zdaje, czy nigdy się nie wycofujesz? Co się z tobą stało, do cholery?

Jej dłonie powędrowały do płaskiego brzucha.

Dziecko... W tej chwili rośnie w niej życie.

A mąż nawet nie wie, że jest w ciąży. Nie chce wiedzieć.

– Drań – mruknęła pod nosem. – Szczęśliwej drogi.

Rozczesała mokre włosy, owinęła się ręcznikiem, otworzyła drzwi i mało brakowało, a przewróciłaby się przez psa. Hairy S czatował pod drzwiami łazienki.

– Kiepski pomysł – powiedziała i pogłaskała go po szorstkiej sierści. – Ale nic się nie przejmuj, w tym domu ostatnio roi się od kiepskich pomysłów. Nie jesteś sam.

Hairy S walił ogonem o podłogę i poszedł za nią do sypialni. Ubierała się i starała się nie myśleć o tym, że jej mąż znajduje się na drugim krańcu kontynentu i walczy z demonami nękającymi go od dwunastu lat.

Lot przebiegł spokojnie.

W pewnej chwili Bentz się zdrzemnął i wydawało mu się, że poczuł zapach gardenii.

Rozejrzał się uważnie po kabynie jumbo jęta 727, przyglądał się wszystkim pasażerom, podświadomie licząc, że w fotelu pod oknem zobaczy Jennifer pogrążoną w lekturze. Poczucie na sobie jego wzrok, podniesie głowę, uśmiechnie się, lekko, zmysłowo, tym uśmiechem, który zawsze na niego działał. Nie potrzebowała słów, by mu dać do zrozumienia, że wiedziała, że za nią podąży.

Ale nic takiego się nie wydarzyło.

Nikt na pokładzie nie przypominał jego pierwszej żony... byłej żony, poprawił się. Byłej.

W chwili jej śmierci co prawda mieszkali razem, ale byli po rozwodzie. I to się miało skończyć. Dlatego że Jennifer nie mogła porzucić kochanka.

Samolot miękko wylądował; tylne koła uderzyły w asfalt lotniska LAX z cichym stuknięciem, przednie osiadły bardzo delikatnie. Kołowali jeszcze, zbliżali się dopiero do gmachu terminalu, a większość pasażerów już włączała telefony komórkowe, odpinała pasy bezpieczeństwa, wyjmowała bagaże ze schowków. Sąsiadka Bentza przez cały lot nie odrywała wzroku od książki; teraz lądowanie wprawilo ją w hiperaktywność i z przejęciem grzebała w przepastnej torbie. Bentz cudem uniknął ciosu w głowę, gdy wyciągał spod swojego fotela torbę z laptopem, a sąsiadka zamasyście wyjmowała telefon komórkowy z przepastnej torby.

Słyszał część jej rozmowy – ciskała gromy na nową dziewczynę swojego eks.

Na szczęście udało mu się szybko wyjść z samolotu. W drodze po odbiór bagażu zadzwonił do Olivii i zostawił jej wiadomość na sekretarce, że szczęśliwie wylądował.

Odebrał torbę podrózną i wynajął samochód, małego SUV-a z GPS-em. Zrobił to wszystko bez laski. Co prawda biodro bardzo go bolało, ale cisnął nieszczęsną laskę na tylne siedzenie.

Zanim wyjechał z wypożyczalni, włożył okulary przeciwsłoneczne. Krajobraz był

znajomy; ucisk w klatce piersiowej – nie. Przed laty wyjeżdżał z Los Angeles z kwaśnym smakiem w ustach; stare uczucia wracały silną falą. Wyrzuty sumienia z powodu samobójstwa Jennifer, poczucie winy, że zabił dwunastolatka z zabawką w dłoni, wściekłość na siebie, bo gdyby był w dobrej formie, rozwiązałby zagadkę śmierci bliźniaczek Caldwell, i żal, że jego umysł spowijają opary whisky.

Był w rozsypce. Jego najlepszym przyjacielem był wówczas Jack Daniels i ta przyjaźń zniszczyła wszelkie inne związki. Wpłynęła także negatywnie na jego pracę i zdolność myślenia.

Choć oficjalnie sam odszedł z wydziału, naciski, by zrezygnował, były wręcz namacalne, napięcie na posterunku gęstsze niż smog nad miastem. Nawet nieliczni przyjaciele, którzy przy nim zostali, współpracownicy, którzy trzymali jego stronę, odetchnęli z ulgą, gdy odchodził. Jego odejście było najlepszym wyjściem dla wszystkich. Zwłaszcza dla niego samego.

Tylko że zostawił za sobą sporo niedokończonych spraw.

Od jego ostatniego pobytu na południu Kalifornii minęły lata; choć okolica się zmieniła, majestatyczne palmy i kosmiczne łuki restauracji Encounters na lotnisku LAX przypominały mu chwile, o których wolałby zapomnieć.

Wjechał na autostradę. Nie widział okolicznych wzgórz – uniemożliwiał to gęsty smog.

Majstrował przy pokrętle klimatyzacji, by uporać się z coraz wyższą temperaturą. Budynki wynurzały się nieoczekiwanie z rozgrzanego powietrza. Instynktownie jechał do swojej starej dzielnicy, niedaleko Culver City.

Niewiele się tu zmieniło. Wyższe drzewa, gęstsze zarośla, cała okolica podupała, o czym świadczyły popękane chodniki i żelazne pręty w oknach.

Jego stary dom wyglądał właściwie tak samo. W ciągu minionych dwunastu lat pomalowano go na gołębio-szary kolor; dziś dobrze zrobiłaby mu warstwa świeżej farby.

Wypaczone drzwi garażu nie domykały się, podwórze zarosło suchą teraz trawą. Chwasty żółkły na wypłowiałej od słońca werandzie. Wypłowiała również wbita w zakurzony trawnik tabliczka „Do wynajęcia”. Ostre kalifornijskie słońce niczego nie oszczędza.

Bentz zostawił laskę w samochodzie, obszedł dom, zajrzał w brudne okna, zobaczył

zakurzone podłogi i zapyziałe ściany, niektóre tego samego koloru co dwanaście lat temu.

Cofnął się, osłonił oczy i zerknął w okno na piętrze. Zaraz powróciły wspomnienia chaotycznego spokoju dawnej sypialni, scena, którą zobaczył ponad dziesięć lat temu, gdy stanął w progu. Pognieciona pościel na łóżku, kawałki szkła tam, gdzie wisiało lustro.

Oczyrna wyobraźnia pokonał drogę do pokoju gościnnego na tym samym piętrze, pokoju, w którym Jennifer urządziła sobie gabinet. Pamiętał, że trochę trwało, zanim znalazł liścik, nie w widocznym miejscu, na przykład na stoliku czy szafce, ale głęboko w szufladzie biurka, zaadresowany do Kristi, skreślony ręką jego żony.

Zawsze go to zastanawiało.

List pożegnalny do córki wciśnięty między kartki poradnika psychologicznego, który Jennifer akurat czytała. *Moja siła*, czy coś równie egoistycznego.

Ale wszystkie poradniki świata nie zdołały pomóc jego popapranej byłej żonie.

Nie zostawiła listu w widocznym miejscu.

Jakby się wahała.

Albo czekała.

Nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji.

Wtedy, gdy znalazł list, odepchnął od siebie wątpliwości i wytłumaczył sobie, że Jennifer sknociła nawet własną śmierć, tak samo jak sknociła wiele rzeczy w życiu. Teraz powróciły stare pytania. A jeśli jej śmierć nie była samobójstwem? A jeśli to nie ona siedziała za kierownicą? A jeśli to była inna kobieta, którą zidentyfikował i pochował jako własną żonę?

Kto, do cholery, rozkłada się w tym grobie?

Zrobiło mu się niedobrze na tę myśl i szybko zawrócił z tej niebezpiecznej, krętej ścieżki.

Wsiadł do samochodu i pojechał kilka kilometrów dalej, na cmentarz, gdzie, jak sądził, spoczywa Jennifer. Zaparkował w cieniu wielkiego dębu, wyjął portfel i odnalazł

wyświechtaną wizytówkę detektywa Jonasa Hayesa z wydziału policji Los Angeles. Nosił ją od dwunastu lat i do dzisiaj pamiętał, jak Hayes mu ją wcisnął.

– Słuchaj, gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebował – powiedział po pogrzebie, gdy niebo zasnuło się chmurami i zaczęło padać.

Tak dawno temu... A teraz Bentz miał wątpliwości, czy w trumnie pod granitowym nagrobkiem naprawdę spoczywa Jennifer.

Szedł po wyschniętym trawniku, znalazł jej grób, przeczytał prosty napis i poczuł dziwne ukłucie w sercu. Czy popełnił błąd? Czy w tym grobie leżą zwłoki innej kobiety? Wpatrywał

się w trawę, jakby chciał przeniknąć wzrokiem suchą ziemię i zajrzeć do trumny, w której od dwunastu lat rozkłada się ciało.

Lekki podmuch wiatru musnął go po karku, powietrze przesycił nagle duszący zapach gardenii. Czyżby ktoś wyszeptał jego imię? Odwrócił się przekonany, że zobaczy Jennifer, przywołującą go palcem, z tym zmysłowym uśmiechem, który stał się jej znakiem firmowym. Ale nie, nie opierała się o nagrobek, słońce nie zapalało refleksów w miedzianych lokach. Nie stała za ogrodzeniem z kutego żelaza.

Był zupełnie sam na miejscu ostatniego spoczynku byłej żony. Cmentarz był pusty, poza nim nie było tu żywej duszy. Na niektórych grobach były świeże kwiaty, inne przystrojono sztucznymi bukietami, gdzieś wbito w ziemię małe amerykańskie flagi teraz wyblakłe od słońca. Ale na ogrodzonym terenie nie było nikogo innego, człowieka ani ducha.

No pewnie, że nie.

Ona nie żyje, Bentz. Nie żyje. Wiesz o tym. Zidentyfikowałeś ją osobiście, na rany boskie! I nie wierzysz w duchy. Nie zapominaj o tym z łaski swojej, dobrze?

Stał tam jeszcze chwilę, usiłując zrozumieć, co się z nim dzieje. Nie wierzył, że traci rozum, i nie wierzył w duchy. Nieboszczki nie zjawiają się ot, tak sobie. Więc co robisz tutaj, na cmentarzu?

Nie znalazł odpowiedzi. Wrócił do samochodu rozpalonego od słońca. Zostawił otwarte drzwiczki, siadł za kierownicą, przekręcił kluczyk w stacyjce, żeby uruchomić klimatyzację.

W miarę jak wóz się ochładzał, studiował wizytówkę Hayesa. Po jednej stronie widniał oficjalny napis i numer posterunku; na drugiej przed laty pośpiesznie nabazgrano numer telefonu.

Wystukał prywatny numer i usłyszał bezbarwny metaliczny głos, który go poinformował, że numer jest nieaktualny.

– Świetnie.

Odwrócił wizytówkę i spróbował jeszcze raz. Tym razem zadzwonił na posterunek i poprosił o połączenie z detektywem Jonaszem Hayesem.

Połączono go stosunkowo szybko – trafił na jego pocztę głosową. Zostawił wiadomość, że jest w Los Angeles i chciałby się spotkać. Następnie rozłączył się i zadzwonił do Olivii.

Jej także się nagrał. Kiedy się rozłączał, miał dziwne wrażenie, że jest obserwowany, że niewidoczne oczy śledzą każdy jego ruch. Omiótł cmentarz badawczym spojrzeniem, co chwila zerkał w lusterko, ale nikt go nie śledził, nikt mu nie towarzyszył.

– Jesteś idiotą – powiedział sam do siebie i wyruszył na poszukiwanie czystego, taniego motelu.

Jonas Hayes zaklął pod nosem. Był zmęczony. Padał z nóg. Poprzedniego dnia za dużo czasu poświęcił na ustalanie szczegółów w sprawie opieki nad córką Maren i właściwie nie zmrużył oka przed swoją zmianą. A teraz jeszcze zadzwonił Rick Bentz.

– Cholera – mruknął.

Z wielu powodów nie chciał do niego oddzwaniać. Począł do końca zmiany i dopiero kiedy od posterunku dzieliło go wiele kilometrów, wystukał numer, który podał mu Bentz.

Odebrał po trzecim dzwonku.

– Rick Bentz.

– Ten sam Rick Bentz, który nie boi się śmierci? I wychodzi cało nawet z uderzenia piorunem? – zażartował, choć w głębi duszy wcale nie było mu do śmiechu.

– Nie do końca, ale blisko. Złe wieści szybko się rozchodzą.

– Plotka nie zna granic. A w erze Internetu, telefonów komórkowych, kamer na skrzyżowaniach i telewizji przemysłowej dosłownie wszędzie prywatność nie istnieje. Nawet się nie wysikasz w Nowym Orleanie, żeby ktoś tego nie nagrał i nie podesłał nam linka na YouTube.

– Czyżby? – Bentz się zdziwił. – W takim razie dlaczego, do cholery, nie mamy podejrzanych na filmach?

– Mamy. I to często. W każdym razie tych głupich. O ile mamy szczęście.

– Jakies plany na kolację? Jestem w mieście. Stawiam.

Hayes wiedział, że tak będzie. Od początku. I wcale mu się to nie podobało.

– Coś mi mówi, że potrzebujesz przysługi.

– Może.

– Nie ma może. Dlatego powstałeś z martwych. Przyznaj się, Bentz.

– o zmartwychwstałych pogadamy przy steku. W Roy's, jeśli ta knajpa nadal istnieje?

Kiedyś był to modny lokal, hołd czasom westernu.

– Istnieje, jeszcze bardziej obskurny niż dawniej, ale żarcie nadal dobre, a drinki w promocji sapo piątku.

– To ma być tanio?

– W Hollywood? Owszem. Ale dzisiaj nie dam rady, jestem zajęty. Jutro może być?

– Jasne. Spotkamy się tam... Powiedzmy, o siódmej?

– Da się zrobić. Jutro o siódmej. W Roy's.

Hayes się rozłączył, otworzył schowek między fotelami i wyjął fiolkę leków na zgagę, którą zawsze tam trzymał. Żołądek dawał mu się we znaki, a rozmowa z Bentzem nie poprawiała sytuacji. Zażył kilka naraz, popił resztką pełnej fusów porannej kawy. Była gorzka, ale znośna. Włożył okulary przeciwsłoneczne, zerknął w lusterko, rozejrzał się i włączył do ruchu.

Skoro Rick Bentz przyjechał do Los Angeles, coś wisi w powietrzu. Coś złego.

Mogę sobie pogratulować.

Dobra robota!

Pieprzony Rick-Supergwiazdor-Bentz wrócił do Los Angeles!

Nie ma w tym nic zadziwiającego.

Jak głodny lew atakujący słabą gazelę, połknął przynętę. W idealnej chwili.

Zerkam do kalendarza i gratuluję sobie. Czuję dreszcz podniecenia. Niedługo to trwało, nadal dochodzi do siebie, nie jest jeszcze w pełni sprawny, ciągle chodzi o lasce – doskonale.

Nic na to nie poradzę, że ogarnia mnie duma. Z siebie. Nie tylko dlatego, że plan zadziałał; dumą napawa mnie także moja cierpliwość. Trzeba było długo czekać na odpowiedni moment, ale teraz mogę się napić w nagrodę.

Niech pomyślę... może martini? To odpowiedni drink. Podchodzę do barku, wydaję wódkę i wściekam się, że nie mam oliwek. A zresztą... co tam. Wlewam kroplę wermutu, wsypuję lód, mieszam, nalewam... Mm.. Zamiast oliwek wciskam odrobinę soku z cytryny...

Boskie.

Podchodzę do lustra i wznoszę toast, pozdrawiam postać w zwierciadle. Jest piękna.

Wysoka. Szczupła. Jeszcze nie widać oznak upływu czasu. Ciemne włosy opadają na ramiona miękką falą. Jej uśmiech jest zaraźliwy, a oczy to oczy kobiety, która wie, czego chce. I zawsze to dostaje.

– Za nowy początek – mówię, dotykając kieliszkiem szklanej tafli i słucham cichego brzęku szkła o szkło. – Ty i ja... Długo na to czekałyśmy.

– Owszem. Ale już nie – odpowiada i znacząco unosi brwi. Przeszywa mnie dreszcz na myśl, że my... że ja wkrótce zobaczę owoce mojej pracy.

Okno jest otwarte. Czuję nadciągający wieczór, na niebie wschodzi blady strzep księżyca.

– Na zdrowie – mówi mi odbicie. Oczy kobiety w lustrze błyszczą psotnie, gdy unosi kieliszek. – Za nasz sukces.

– Za sukces – odpowiadam z uśmiechem, który odwzajemnia. – Uda się nam. – I pijemy, jednocześnie, czujemy, jak chłodny płyn spływa do gardła. I myślimy o Ricku Bentzu.

Przystojny na swój niechlujny sposób. Silny, umięśniony. O kwadratowej szczęce i oczach, które przejrzą wszelkie kłamstwa. Jest bystry i chłodny, zazwyczaj starannie skrywa uczucia.

Ale i on ma piętę achillesową.

Która okaże się jego upadkiem.

– Brawo – mówię od lustra. Bo wiem, że już wkrótce ten skurczybyk dostanie to, na co zasłużył.

Rozdział 6

Dentz miał mnóstwo rzeczy do załatwienia, a nie chciał marnować czasu.

Trzeba zacząć od spraw podstawowych – musi gdzieś mieszkać. Postanowił, że zostanie w okolicy, w której kiedyś mieszkali z Jennifer, w okolicy, w której posługiwano się kodem, widniejącym na kopercie ze zdjęciami.

Choć ceny pokoi hotelowych w południowej Kalifornii sięgały zenitu, udało mu się znaleźć motel w starej części Culver City, który, jak głosiła reklama, oferował niedrogie, czyste pokoje. SoCal Inn okazał się niskim, podłużnym budynkiem. Zbudowano go, jak szacował, w latach pięćdziesiątych. Oprócz przystępnych cen za tygodniowy pobyt oferował

też basen, klimatyzację, kablówkę i dostęp do Internetu. Był także, jak zapewniało ogłoszenie, miejscem przyjaznym dla dzieci i zwierząt.

Wszystko, czego mu trzeba. I trochę więcej.

Zaparkował i wszedł do małej recepcji. Na ekspresie dogorywały resztki kawy w szklanym dzbanku. Dzieciak, na oko najwyżej czternastoletni, siedział za ladą i bawił się pilotem do telewizora zawieszzonego nad stojakiem z ulotkami.

– Mamo! – zawołał w stronę otwartych drzwi, po czym ponownie skupił się na telewizji.

Naciskał przyciski pilota w tempie charakterystycznym dla pokolenia, dorastającego z gramami wideo i SMS-ami. Jednak w telewizorze nie zmieniło się nic – ani kanał, ani głośność.

O frustracji chłopaka świadczył rumieniec i zaciśnięte zęby.

Bentz dochodził do lady, gdy w drzwiach stanęła kobieta. Miała rude włosy upięte na czubku głowy i rzęsy tak obficie pomalowane tuszem, że zdawały się jej ciążyć. Wyglądała na trzydzieści parę lat. Otaczał ją zapach dymu papierosowego. Była szczupła i zwinna, nosiła szorty i bluzkę wiązaną pod pachą. Identyfikator na piersi głosił, że jest to Rebecca Allison –

menedżer.

– Czym mogę służyć? – zapytała, a jej błyszczące usta wygięły się w zachęcającym uśmiechu.

– Szukam pokoju. Jednoosobowego. Bez luksusów.

– Mamy apartamenty ze wspaniałym widokiem na basen. – Błyskawicznie weszła w rolę sprzedawcy. – W każdym są drzwi na taras wychodzący na basen i ogródek.

– Najtańsze?

Nie przestała się uśmiechać.

– No cóż, nie. Jeśli interesuje pana wersja ekonomiczna, mamy pokoje wychodzące na parking. – Podała mu ceny za dobę i za tydzień.

– To mi wystarczy – zdecydował. – Na tydzień.

– Świetnie.

Przejechała jego kartą kredytową przez terminal i dobili transakcji. Dzieciak cały czas mamrotał coś o tandetnych pilotach za grosze.

Rebecca zmierzyła go ostrym wzrokiem i ponownie zajęła się Bentzem.

– Proszę, oto mapka okolicy. Od szóstej do dziesiątej rano podajemy śniadanie kontynentalne, kawa jest dostępna przez cały dzień.

Z trudem się powstrzymał, by nie spojrzeć na smętne resztki w dzbanku.

– Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dzwonić na recepcję.

– To badziewie... – odezwał się chłopak.

– Tony! – warknęła Rebecca. – Dosyć!

Chłopiec, naburmuszony, odwrócił się do niej plecami i ze złością potrząsnął pilotem, jakby w ten sposób chciał go zmusić do działania.

Bentz wyszedł na zewnątrz. Spojrzał w biały skwar. Co najmniej na tydzień stał się mieszkańcem południowej Kalifornii.

Hayes szedł po zadbanym trawniku przed domem byłej żony. Słońce skłaniało się ku zachodowi. Wyjął kluczyki do SUV-a i mało brakowało, a wpadłby na kobietę z dwoma beaglami na smyczy.

– Uwważaj! – Posłała mu mordercze spojrzenie.

Nie zwróciwszy na nie uwagi, energicznie otworzył drzwiczki.

Z wnętrza wozu buchnęło gorące powietrze, kierownica była tak rozgrzana, że z trudem dawało się ją dotknąć. A i tak temperatura panująca we wnętrzu wozu była niczym w porównaniu z tym, co wrzało w jego duszy. Ależ był wściekły. Za kogo, do cholery, Delilah się uważa? Rozwodzi się, bo nie może już wytrzymać życia u boku policjanta? Kiedy dwanaście lat temu za niego wychodziła, wiedziała, że robi karierę w departamencie.

Poza tym była już w ciąży.

I oboje chcieli tego dziecka.

To im się udało, stwierdził, myśląc o córce. Z resztą było gorzej, mieli wzloty i upadki, na co wpływała zarówno jego kariera, jak i zmienne humory Delilah.

A teraz się rozwiedli. Cholera. Przegrał po raz drugi. Już wcześniej był żonaty. Ożenił się z Alondą,

która była jego studencką miłością. Związek skończył się, gdy przyłapał ją w łóżku z najlepszą przyjaciółką i wyznała mu, że jest lesbijką. Zawsze była. To nie tak, że go nie kochała, ale...

Bosko.

Wybiegł z mieszkania i następnego dnia wniósł pozew o rozwód. Dobrze przynajmniej, że nie mieli dzieci.

Dwa lata później poznał Delilah i wpadł po uszy, ale zachował ostrożność. Nie chciał

ponownie popełnić tego samego błędu. Jeszcze raz rzucił okiem na budynek – czteropiętrowy apartamentowiec obłożony różowym tynkiem. Łuki w oknach i klasyczna dachówka przywodziły na myśl starą Kalifornię. Mieszkała na najwyższym piętrze – dwie sypialnie i sto metrów drogich wykładzin. Tam, jak twierdziła, może zacząć od nowa i przekonać się, czego naprawdę chce od życia, cokolwiek to miało znaczyć.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik ożył. Wyjechał z parkingu – co było rzadkością tutaj, w Santa Monica, dwadzieścia sześć przecznic od plaży. Według niego czynsz był

bardzo wysoki, ale Delilah miała pieniądze. Była właścicielką połowy udziałów w szkole modelek, do której ambitne matki posyłały córki, by nauczyły się zawodu. Delilah, eksmodelka i urodzony handlowiec, przyczyniła się do sukcesu firmy.

Po co jej mąż policjant pracoholik? Ich rozwód zakończył się pół roku temu. Teraz chodziło już tylko o zasady opieki nad córką.

Szczerze mówiąc, Hayes zaczął już randkować. Tym razem związał się z Corrine O'Donnell, koleżanką z wydziału, kobietą, która wiedziała, co oznacza życie u boku policjanta. Kiedyś sama była detektywem, ale po wypadku trafiła za biurko do wydziału osób zaginionych. Twierdziła, że nie ma nic przeciwko temu. Jednak wcale nie był tego taki pewien.

Włączył się do ruchu. Czuł wściekłość na myśl o ostatnich żądaniach Delilah. Skręcił w stronę autostrady Santa Monica. Chciał jeszcze poszukać czegoś o Bentzu, zanim się z nim jutro spotka.

Rick Bentz nie przyjechał z kurtuazyjną wizytą.

Telefony, które już wykonał, utwierdziły Hayesa w tym, co wiedział: Bentz był na zwolnieniu lekarskim w Nowym Orleanie; krążyły plotki, że nie wróci do czynnej służby.

Odniosł poważne obrażenia, był w śpiączce, przechodził intensywną fizjoterapię. Jeśli w ogóle wróci do pracy, trafi za biurko, a Rick Bentz, którego znał w dawnych czasach, wolałby umrzeć, niż zagrzebać się w papierkowej robocie.

Zakładał, że to się nie zmieniło.

Ale i tak trochę poszperał. Z tego, co pamiętał, Bentz załamał się po śmierci byłej żony i śmierci syna Valdezów. Oczyszczono go z wszelkich zarzutów; choć jego broń okazała się tylko straszakiem,

chłopiec celował do jego partnera, Russa Trinidadą. Mimo że oczyszczono go z podejrzeń, Bentz gryzły wyrzuty sumienia, a samobójstwo żony jeszcze pogorszyło sprawę. Nie interesowało go nic poza córką. Odszedł z wydziału z zszarganą reputacją –

sprawa syna Valdezów i nierozwiązane podwójne morderstwo wydarzyły się zbyt szybko po sobie.

Bentz zrezygnował z pracy w Los Angeles i choć tak naprawdę nikt nie mógł mu niczego zarzucić, ludzie gadali. Nawet jego przyjaciele twierdzili, że stracił dawną bystrość, gdy ponownie zamieszkał z byłą żoną. Później składali śmierć nastolatka na karb jego kiepskiej oceny sytuacji, braku koncentracji, choć w rzeczywistości był to tylko nieszczęśliwy wypadek.

Hayes nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Dostrzegł lukę w sznurze aut i skorzystał

z okazji: wyprzedził wiekowego volkswagena krztuszącego się kłębamii błękitnego dymu i znalazł się na autostradzie.

Zadzwonił telefon. Odebrał połączenie.

– Hayes.

– Jak poszło? – zapytała Corrine.

Jako jedna z nielicznych wiedziała, że ciągle walczył o szczegóły związane z opieką nad córką.

– Poszło – mruknął i uśmiechnął się pod nosem.

Corrine, policjantka, która wiedziała, jak sprawy się mają, stała się jego opoką.

– Wszystko w porządku?

Nigdy, jeśli chodzi o Delilah. Nie podobało mu się, że psychoterapeuta twierdził, iż ciągle mu na niej zależy.

– W miarę.

– Wpadniesz później? Mam *Pierwszą krew* na DVD. Pomyślałam, że dobrze ci zrobi.

Roześmiał się szczerze.

– Przyniosę surowe mięso.

– Musisz wymyślić coś innego... Jak to było? Co ten Rambo jadał?

– Coś, od czego wyrzyga się nawet koza.

– No właśnie. – Roześmiała się. – Możemy to wrzucić na grill... Może poszukaj martwych zwierząt przy autostradzie?

– Niezły pomysł. – Poczuł się odrobinę lepiej. Zerknął na zegar na tablicy rozdzielczej. –

Posłuchaj, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Będę u ciebie za jakąś godzinę.

– Ciekawe, dlaczego mam wrażenie, że to się wiąże z powrotem Bentza do miasta?

Pewnie niepotrzebnie jej powiedział, że Rick zjawił się w Los Angeles, zwłaszcza że łączyła ich wspólna przeszłość, ale prawda prędzej czy później wyszłaby na jaw, a nim poznał

i poślubił Jennifer, Bentz romansował z wieloma dziewczynami z wydziału. Hayes zdecydował, że najlepiej, jeśli Corrine dowie się tego od niego. Jedną lekcję wyciągnął z obu nieudanych małżeństw – najlepiej trzymać się prawdy. I o wiele lepiej osobiście przekazywać złe wieści, niż czekać, aż ktoś inny uświadomi jego kobietę.

– Skojarzyłaś – zażartował. – Co dowodzi, że świetna z ciebie policjantka.

– Jasne. Beze mnie nie daliby sobie rady w wydziale osób zaginionych.

– Podchwyciła jego żartobliwy ton. – Nie łudź się, że słodkie słówka sprawią, że ci daruję spóźnienie.

– Nawet nie śmiałybym.

– Włączam DVD. Na Rambo przynajmniej mogę liczyć.

– Oj! Będę niedługo.

– Jasne, ale wiesz, że nie należę do kobiet, które pokornie czekają w nieskończoność.

– A co z tobą nie tak? – zapytał. Zachichotała.

– Drań!

– Owszem. Słodki drań. I mnie kochasz.

– W tym rzecz. Do zobaczenia.

Rozłączyli się. Poczuł się lepiej. Corrine O'Donnell nie jest i pewnie nigdy nie będzie miłością jego życia. Zresztą na dobre zraził się do małżeństwa. Dwa nieudane związki wystarczą, a kawalerskie życie w gruncie rzeczy nie jest takie złe. Corrine chyba podchodziła do sprawy tak samo, przynajmniej na razie nie wspominała o ślubie czy wspólnym mieszkaniu. No, ale ona też zaliczyła swoją porcję rozwodów.

Mknąc zatłoczoną autostradą, Hayes wrócił myślą do Bentza i doszedł do wniosku, że powinien mu odpuścić. Spotka się z nim, zobaczy, czego chce. Nawet jeśli już teraz wiedział, że nie przypadnie mu to do gustu.

Powiedzieć, że pokojowi Bentza daleko do apartamentu w pięciogwiazdkowym hotelu, to mało. Pokój numer 16, z oknami wychodzącymi na popękany parking i wypłowiałe markizy, z trudem załapałby się na najwyżej dwie gwiazdki, ale Bentzowi to nie przeszkadzało. Na dwóch podwójnych łóżkach widniały takie same, dość spłowiałe narzuty, wezgłowia oklejone sklejką przytwierdzono do ściany. Na mizernym biurczku przycupnął telewizor rodem z lat osiemdziesiątych. Łazienka była tak mała, że z trudem mógł się w niej obrócić. Ręczniki były cienkie jak papier, ale czyste. Za mało dla Olivii, dla niego – wystarczająco.

Rozpakował torbę podróżną, gdy zadzwoniła jego komórka. Na wyświetlaczu pojawił się numer Olivii.

– Cześć – zaczął. – Już się martwiłem.

– Naprawdę?

Mówiła bez troski i za to był jej wdzięczny. W ciągu minionych dni okazywała mu wsparcie, starała się nawet żartować. Wiedział, że się martwi jego podróżą. Dwukrotnie proponował, że sobie odpuści, i dwukrotnie namawiała go, by jechał. Zrobisz, co musisz, a po wszystkim wrócisz do domu. Olivia nie należy do kobiet, które potulnie siedzą i czekają na mężczyznę. Tym razem jednak właśnie tak zrobiła, wbrew swoim zasadom. Doceniał jej poświęcenie i obiecał, że załatwi wszystko i wróci najszybciej, jak to będzie możliwe.

– Masz zaszuwać jak mały samochodzik – powiedziała surowo.

– Dopiero co przyjechałem.

– A mnie się wydaje, że minęła wieczność – szepnęła.

W pierwszej chwili prawie uwierzył, ale zepsuła wszystko, śmiejąc się głośno:

– Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać.

Stłumił uśmiech. Dobrze chociaż, że żartuje, że się z nim przekomarza.

– Niech ci będzie. Nabrałaś mnie.

– Czego się dowiedziałeś?

– Na razie niczego.

Rozmawiali jeszcze chwilę. Powiedziała mu, że była na kolacji z Lydią Kane, przyjaciółką ze studiów. Podał jej telefon do motelu i obiecał, że zadzwoni następnego dnia.

– Uważaj na siebie – poprosiła. – Szczerze mówiąc, sama nie wiem, czego ci życzyć.

Żebyś się przekonał, że Jennifer nie żyje i ktoś robi ci chore kawały... czy żeby naprawdę żyła.

– I jedno, i drugie będzie trudne.

– Wiem. Mówię poważnie, Rick. Nie ryzykuj za bardzo. Potrzebujemy cię.

– My?

Wahała się przez ułamek sekundy.

– No, my wszyscy. Kristi, ja, Hairy S i Chia.

– Niedługo wrócę do domu – obiecał, ale oboje wiedzieli, że to tylko słowa. Nie miał pojęcia, kiedy ponownie zawita do Nowego Orleanu.

– Daj nam znać, kiedy upolujesz ducha.

– Dowcipnisia.

– Czasami.

– Aż za często. Zadzwoń.

Rozłączył się i przez chwilę rozważał, czy nie wsiąść w najbliższy samolot lecący na wschód. Czemu nie? Olivia ma rację. Ugania się za duchem. Albo ktoś go wrabia, albo traci rozum.

Stawiał na to pierwsze.

I wiedział, że pozna prawdę.

Musiał.

Rozdział 7

Kolacja Bentza składała się z krakersów z serem z automatu i coli z maszyny stojącej w przejściu prowadzącym na basen.

Idąc do siebie, rozerwał celofanowe opakowanie. Natychmiast zabrał się do pracy. Już wcześniej sporządził listę osób, z którymi Jennifer była najbliższej. Jedząc wilgotne krakersy i plasterki sera, starał się ustalić miejsce ich pobytu.

Liczył, że przynajmniej część bliskich znajomych Jennifer nadal mieszka w pobliżu –

mógłby się umówić na spotkania. Oczywiście, o ile ktoś w ogóle zechce z nim rozmawiać; zapewne większość uważa go za osobę niepożądaną. Zakładał, że część znajomych się wyprowadziła – będzie musiał ich odnaleźć, skontaktować się telefonicznie.

I co im powiesz? Że wydaje ci się, że widziałeś Jennifer, chociaż pochowałeś ją dwanaście lat temu?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Połączył się z Internetem, uchylił odrapane żaluzje, aby widzieć parking, i rozsiadł się na niewygodnym krześle.

Położył na krakersie cienki plasterek sera, spojrzął w okno i zobaczył, jak błękitny pontiac z lat sześćdziesiątych zatrzymuje się przy krawężniku. Facet za kierownicą, w cyklistówce w kratę, z małą bródką, zabrał pakunki z tylnego siedzenia i wysiadł. W ślad za nim z samochodu wyskoczył łaciaty psiak, kundel z domieszką Jacka Russella, i zatańczył

radośnie na chodniku. Facet z zadziwiającą zręcznością zamknął drzwiczki, zagwizdał, zawołał: „Spike!” i wtaszczył dwie siatki i aktówkę do pokoju sąsiadującego z lokum Bentza.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, Rick ponownie skupił się na ustalaniu miejsca pobytu znajomych Jennifer. Będzie musiał rozegrać to delikatnie. Nie chciał nikomu mówić, że wydawało mu się, że ją widział, chyba że sami zwierzą się z czegoś podobnego.

Ale niełatwo będzie skłonić ich do mówienia.

Jeśli ktoś coś wiedział o śmierci Jennifer, milczał od dwunastu lat, zatajał prawdę nie tylko przed nim, lecz także przed jego córką i policją. Bentz, były mąż i były gliniarz, będzie się musiał sporo natrudzić, by coś wydobyć na światło dzienne.

Sporządził krótką listę przyjaciółek Jennifer. Były jej bardzo bliskie. Zapewne ją rozumiały; prawdopodobnie zwierzała się im.

Shana Wynn, ostatnio po mężu McIntyre, była jedną z jej najlepszych przyjaciółek i, o ile Bentz sobie przypominał, suką z piekła rodem. Piękna. Bystra. Łowczyni. Dzieliły z Jennifer pokój w akademiku i wiele je łączyło. Jeśli ktokolwiek wiedział, że Jennifer zamierza upozorować własną śmierć, to Shana.

Na liście osób znalazła się także Tally White. Jej córka Melody przyjaźniła się z Kristi w podstawówce, dzięki temu poznały się i polubiły Tally i Jennifer. Bardzo. Obie po rozwodach.

Z Fortuną Esperanzo Jennifer zaprzyjaźniła się, gdy przez krótki czas pracowała w galerii sztuki w Venice Beach.

I jeszcze Lorraine Newell, jej siostra przyrodnia. Od początku nie darzyła Bentza sympatią. Lorraine, ciemnowłosa piękność o manierach księżniczki, nigdy nie była zbyt blisko z Jennifer, a po jej śmierci nie utrzymywała kontaktów z Kristi.

Na liście były jeszcze inne nazwiska, ale te cztery wydawały mu się najważniejsze. Musi je teraz odnaleźć, ale łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Poszukiwania w sieci przyniosły tylko jeden efekt – aktualny adres Shany McIntyre. Otworzył zakładkę, zapisał adres na kopercie ze zdjęciami. Oby Shana była w mieście. I oby zgodziła się z nim porozmawiać, gdy ją odwiedzi.

Wyjął fotografie z koperty i ułożył je w wachlarzyk na biurku. Wybrał to, na którym Jennifer pije kawę w kawiarni i poszukał w Internecie kafejek przy Colorado Avenue. Bingo!

Do wyboru, do koloru. Pierwsze, co rano zrobi, to wyskoczy na kawę.

Pracował do późna w noc, zanim w końcu dał sobie spokój. Rzucił się na niewygodny, cienki materac z dziurą na środku. Poprawił poduszki i włączył telewizję. Oglądając mecz, zasnął, gdy na ekranie migotały wyniki ligowe.

Trzymał jeszcze pilota w dłoni, gdy zadzwonił telefon. Odebrał, świadom, że nie może to być nic dobrego, skoro dzwonią do niego o tej porze, w dodatku do hotelu, a nie na komórkę.

– Bentz – rzucił zaspany, niewidzącym wzrokiem wpatrzony w walkę na ekranie.

Początkowo odpowiedziała mu cisza. – Halo? – Wyłączył dźwięk w telewizorze.

Cichy, ledwie słyszalny płacz.

– Halo? – powtórzył. – Kto mówi? Co się dzieje? Odpowiedział mu stłumiony szloch.

Usiadł na łóżku.

– Do kogo pani dzwoni?

– Przepraszam – szepnęła ochryple, przejmująco. W pierwszej chwili pomyślał, że przeprasza za to, że zadzwoniła do niewłaściwego człowieka, ale zaraz dodała: – RJ, proszę, wybacz mi. Nie chciałam cię skrzywdzić.

Co? Serce stanęło mu w piersi.

– Kto mówi? – warknął. Krew szumiała mu w uszach. Klik!

Rozłączyła się.

– Halo? – zawołał, raz po raz naciskając widełki. – Halo? Halo? Nic.

Halo? Cholerny świat!

Rozłączyła się. Spoconymi dłońmi odłożył słuchawkę. Miał wrażenie, że lodowaty nóż przebija mu serce. Ten głos wydał mu się znajomy. A może nie?

Jennifer.

Przez całe życie tylko ona jedna nazywała go RJ. Jezu. Z trudem przełknął ślinę.

Powtarzał sobie, że nie może panikować.

Ktoś się pod nią podszywa.

Co tu się dzieje, do cholery? Wstał z łóżka, włożył koszulkę i spodnie, które wisiały na poręczy krzesła. Zapinając guziki, na bosaka wyszedł z pokoju i ruszył do recepcji, nad którą migotał neon z

nazwą motelu. Autostradą przejeżdżały nieliczne samochody, chłód nocy przyjemnie pieścił skórę.

W kantorku paliły się przyciemnione światła. W ekspresie czerniła się resztką kawy, najwyżej filiżanka. Za ladą nie było nikogo. Zgodnie z poleceniem na metalowej tabliczce na ladzie, nacisnął guzik dzwonka. Odczekał pół minuty i zadzwonił znowu w chwili, gdy Rebecca wynurzyła się zza drzwi z napisem „Tylko dla personelu”.

Bez makijażu, z rozpuszczonymi włosami wydawała się o wiele młodsza. I bardziej agresywna.

– W czym mogę pomóc? – warknęła, znacząco spoglądając na zegarek. – Coś nie tak? –

Już wyciągała rękę po zapasowy klucz do jego pokoju, przekonana, że zatrzaska drzwi.

– Chciałem się dowiedzieć, czy rejestrujecie połączenia przychodzące do pokoju.

– Co? – Stłumiła ziewnięcie. Starła się nie okazywać irytacji – bez skutku. Najwyraźniej w SoCal Inn brakowało personelu.

– Dzwonił do mnie ktoś, kto się nie przedstawił. Muszę wiedzieć, skąd dzwonił.

– Teraz? – Spojrzała na niego, jakby postradał zmysły, otworzyła szufladę, wyjęła papierosy i zapalniczkę. – Jest środek nocy.

– Wiem. To ważne. – Wsunął rękę do kieszeni, wyjął portfel, pokazał jej odznakę.

– Co? – Nagle zupełnie oprzytomniała. – Jesteś gliną? – Zmartwiła się, odkładając paczkę papierosów na kontuar.

– Z Nowego Orleanu.

– O Jezu, posłuchaj, nie chcę mieć tu żadnych kłopotów.

– I nie będziesz. – Nie był pewien, czy machanie odznaką jest dobrym pomysłem, ale przynajmniej teraz Rebecca słuchała go uważnie.

– Proszę posłuchać. – Nerwowo oblizwała usta, jakby chciała coś ukryć. – To... to nie jest duża firma. My... to nie Hilton, rozumiesz.

– Ale macie centralkę, przez którą przechodzą rozmowy, prawda?

– No, tak... – Myślała intensywnie.

– Zakładam, że ma jakiś rodzaj identyfikacji dzwoniącego. – Skinęła głową twierdząco. –

W takim razie muszę wiedzieć, skąd do mnie dzisiaj dzwonił.

Przycisnęła dwa palce do skroni.

– To nie może poczekać do rana?

– Gdyby mogło, nie byłoby mnie tutaj.

– No dobrze. – Westchnęła ze znużeniem i skinęła głową. – Daj mi chwileczkę, dobrze? –

Znowu zniknęła za drzwiami. Bentz przechadzał się po kantorku, przyglądając się ulotkom reklamującym wyprawy wędkarskie, wycieczki do studiów filmowych i muzeów. Liczył, że jego odznaka wywołała odpowiednie wrażenie. Nerwowo bawiąc się monetami w kieszeni, podszedł do wielkiego okna i wyjrzał na zewnątrz. Na parkingu stało tylko kilka samochodów.

– No dobra, proszę. – Rebecca podała mu wizytówkę. – Tylko jeden numer – dodała.

– Bo tylko raz do mnie dzwoniło. Dzięki. – Spojrzał na rząd cyfr. Numer miejscowy.

– Nie ma sprawy – zapewniła bez przekonania. – Coś jeszcze?

– To wszystko.

– Super. – Zabrała papierosy i zapalniczkę z kontuaru i w ślad za Bentzem wyszła na zewnątrz.

Idąc do pokoju, usłyszał trzask zapalniczki.

Wszedł do środka i wystukał na komórce numer, który mu podała. Odczekał dziesięć sygnałów, rozłączył się, spróbował ponownie. Dwanaście sygnałów, nie włącza się sekretarka, nie ma przekierowania do poczty głosowej. Rozłączył się i spróbował po raz ostatni. Liczył sygnały. Po ósmym odezwał się męski głos:

– No?

– Kto mówi? – zapytał Bentz.

– Doug. A ty kto? – Oburzenie.

– Oddzwaniem.

– Co ty, pieprzysz?

– Ktoś do mnie dzwonił z tego numeru.

– Nic dziwnego. – Facet lekko bełkotał. – Mądrala. To telefon publiczny. Budka? W

całym kraju zostało ich już pewnie tyle, co kot napłakał, a do ciebie ktoś dzwoni z jednej z nich.

– Gdzie?

– Co? – Nieznajomy się zdziwił.

– Ta budka. Gdzie jest?

– Ja... nie wiem... W Los Angeles, a co ty myślałeś? Tu, na Wilshire... No... Na rogu jest bank. Coś tam California coś tam.

– Jak się nazywa przecznica?

– A kto to wie? To gdzieś w okolicy Szóstej czy Siódmej ulicy, chyba... Stary, muszę zadzwonić, dobra?

Bentz nie odpuszczał, jeszcze nie.

– Sekunda. Widziałeś może kobietę dzwoniącą z tej budki jakiegoś, bo ja wiem, dwadzieścia minut temu?

– O co chodzi? – Facet był naprawdę wściekły.

– Pomyślałem, że może czekałeś, aż odejdzie, i zapamiętałeś ją. Tę kobietę.

– Kurde, koleś, powiedziałem, że nie! Do cholery! – Rozłączył się. Bentz włączył

komórkę, włożył buty i wziął kluczyki. Co prawda, nie wiedział, co mu przyjdzie z nocnej przejażdżki po Los Angeles, ale wiedział też, że na pewno już nie zaśnie. Rebecca akurat gasiła niedopałek w wielkiej popielniczce stojącej przy drzwiach. Zapach papierosa unosił się w nocnym powietrzu. Patrzyła za nim, jak wsiadał do forda.

Znał dobrze okolicę; pojechał na Wilshire i krążył niemal pustym bulwarem. Minał go wóz patrolowy, błyskając światłami. Wpatrywał się w wystawy sklepowe, nie zwracał uwagi na wyższe piętra. W okolicach Szóstej i Siódmej wyteżał wzrok w poszukiwaniu budki telefonicznej. Sam nie wiedział, czego się spodziewa, choć miał świadomość, że nie zobaczy tej, która do niego dzwoniła, chyba że jest idiotką. Instynkt podpowiadał, że od dawna jej tu nie ma. A jednak odczuwał silną potrzebę zobaczenia budki telefonicznej na własne oczy.

Za pierwszym razem jej nie zauważył, potem jednak dostrzegł Bank California Palisades, wjechał na pusty parking... i była tam. Zawrócił z piskiem opon, podjechał prosto do nowoczesnej budki telefonicznej. Trzy szyby z pleksiglasu, brudne, zabazgrane, słup i telefon.

Naprzeciwko wieżowiec, na parterze – koreański sklepik.

Na ulicy było prawie pusto, ale zaparkował i podszedł do budki w chwili, gdy autobus zatrzymał się przy przystanku.

Kim jest? Dlaczego do niego dzwoniła? Po co? Chciała, żeby ją tu odnalazł? Z

powątpiewaniem rozglądał się po okolicy. Niby dlaczego miałyby go wabić tutaj, między wieżowce, które jak senne olbrzymy przycupnęły w nocnym świetle? Ulicą przemykały nieliczne samochody. Skrzyżowania błyskały zielenią i czerwienią, wysokie latarnie spowijały wszystko fluorescencyjnym

światłem samotności.

Nie dostrzegął niczego wyjątkowego.

Wiedział tylko, że ktoś igra sobie z nim coraz śmieiej.

Kto mu to robi?

I, co ważniejsze, dlaczego?

Rozdział 8

Nie pojmuję, dlaczego mi nie powiedziałeś. – Kristi ziała złością na drugim końcu bezprzewodowego połączenia.

– Masz pojecie, która jest godzina?

– Owszem. Ósma rano.

– No właśnie. Tutaj dopiero szósta – burknął Bentz. Zerknął na elektroniczny zegarek i przewrócił się na bok na nierównym materacu. Dopiero co zasnął po nocnej wyprawie na bulwar Wilshire. – Różnica dwóch godzin, pamiętasz? – Bolały go plecy, poszedł spać po drugiej, a teraz córka wydzwania do niego o świcie.

– No dobra, przepraszam. – Nie słyszał żalu w jej głosie. – Ale daj spokój, tato, co to ma znaczyć? Zapytałam Olivie, ale nie puszcza pary z ust. Wiesz, jaka jest. To sprawa między tobą a twoim ojcem, co oczywiście jest bzdurą.

Kristi była chyba na dworze, może stała przed budynkiem, w którym wynajmowała mieszkanie w Baton Rouge, gdzie studiowała w college'u Wszystkich Świętych. Bentz słyszał stłumione odgłosy ruchu ulicznego i nawoływanie drozda.

– Muszę po prostu wyjaśnić pewne sprawy.

– Więc co to ma być? Separacja?

– Skądże! – Potarł dłonią zarośnięty podbródek, podszedł do okna, rozchylił żaluzje i światło słoneczne wdarło się przez zakurzone szyby. – Po prostu muszę coś załatwić.

– Ale co? – Kristi nie dawała z wygraną.

– Dawne sprawy. Dzisiaj spotykam się ze starym kumplem z policji.

– Po co? O ile pamiętam, nienawidziłeś Los Angeles i nie mogłeś się doczekać, kiedy stamtąd wyjedziemy.

– Odbijało mi.

– I nagle po tylu latach wsiadasz do samochodu i lecisz na zachód? Litości, tato. –

Westchnęła dramatycznie. – Powiedz tylko, że tu nie chodzi o mamę, dobrze?

– Nie chodzi o mamę.

– Kiepski z ciebie kłamca. Naprawdę.

Milczał, ciekaw, co wzbudziło jej zainteresowanie. Oczywiście... sam powiedział Kristi, że widział Jennifer w szpitalu, gdy się ocknął ze śpiączki. Od tego czasu rozmawiali zaledwie kilka razy, ale Kristi ma dość oleju w głowie, by poskładać kawałki układanki. No i sama znajduje się na krawędzi paranoi, odkąd się okazało, że i ona ma pewne zdolności nadprzyrodzone.

Odkąd cudem wywinęła się śmierci, twierdziła, że wie, kiedy ktoś ma umrzeć, że widzi, jak z ofiary wycieka kolor, aż staje się czarnobiała. To na pewno przerażające. Bentz nie chciał dokładać jej własnych kłopotów.

– Nie powinnaś przypadkiem zająć się swoim ślubem? – zapytał.

– Nie zmieniaj tematu, tato. Nie ze mną te sztuczki.

– Więc dlaczego dzwonisz? Chyba nie po to, żeby mi życzyć przyjemnego pobytu.

– Bardzo zabawne.

– Też tak myślę – mruknął. Wszedł do łazienki, gdzie na szafce przycupnął miniaturowy ekspres do kawy. Słuchał pytań Kristi: Dlaczego pojechał do Los Angeles? Kiedy wraca? Czy mają z Olivią problemy? Czy ona, Kristi, powinna się martwić? Wsypał kawę do filtra, nalał

wody i włączył ekspres.

– Nic mi nie jest. Z Olivią wszystko w porządku. Nie masz powodów do niepokoju –

powtarzał, wsłuchując się w bulgotanie kawy.

Musi się wysikać, ale nie chcąc wprawiać córki w zakłopotanie, postanowił poczekać do końca rozmowy.

Upłynęło pięć minut, zanim wymusiła na nim obietnicę, że będą w kontakcie, i rozłączyła się, żeby odebrać inny telefon. Załatwił się, wziął prysznic, włożył ubranie. Postanowił, że śniadanie zje na mieście. Kafelki na Colorado Avenue to dobry punkt startowy.

Potem zajmie się szukaniem kobiet z listy. Najpierw – Shany McIntyre. Wczorajsze surfowanie po sieci zdradziło, że zmieniała nazwisko kilkakrotnie. Z domu Wynn, po raz pierwszy wyszła za mąż za George'a Philpota. Po rozwodzie był kolejny ślub i nowy mąż –

Hamilton Flavel, a teraz była panią Lelandową McIntyre. Bentz znał ten typ seryjnej żony.

Wczoraj zdobył numer i zadzwonił, ale powitał go jej wyniosły głos na sekretarce automatycznej:

– Tu Leland i Shana. Niestety, nie ma nas w domu. Zostaw wiadomość. Oddzwonimy...

Kiedyś.

Nieźle, pomyślał i odłożył słuchawkę, nie podając nazwiska czy numeru telefonu. Shana zobaczy jedynie, że ktoś dzwonił z zastrzeżonego numeru, a chciał ją zaskoczyć. Lepiej, żeby nie miała czasu na budowanie własnej wersji czy unikanie go.

Wyszedł, gdy słońce zalewało ulicę żarem. W samochodzie było gorąco, karoseria gromadziła ciepło szybciej niż bateria słoneczna na Saharze. Wyjechał z parkingu, skierował

się w stronę Santa Monica i Colorado Avenue, którą to ulicę rozpoznał na zdjęciu z Jennifer.

Sprawdził to już w sieci; mapka pokazała trzy lokale na odcinku dwunastu przecznic.

Zobaczył ten lokal po dwudziestu minutach – kafejka na rogu, zupełnie jak na zdjęciu.

Local Buzz, jak głosił szyld. Przed drzwiami stały dwa kontenery z gazetami, przy oknie czekały wysokie stoliki.

Poszło za łatwo, pomyślał. Autor zdjęcia ściągnął go tu, nie bawiąc się w wyrafinowane gierki.

Zaparkował w bocznej uliczce i wszedł do wnętrza, które wypełniał zapach świeżo palonej kawy. Muzyka jazzowa przeplatała się z sykiem ekspresu i szmerem rozmów. W

lokalu panował tłok, wielu gości siedziało z laptopami na kolanach – najwyraźniej korzystali z bezprzewodowego Internetu. Bentz zamówił czarną kawę i czekał. Dokoła niego inni prosili o latte, mokkę, macchiato, karmelowe cappuccino. Kiedy tłum się przerzedził, ponownie podszedł do lady. Tym razem pokazał baristom zdjęcia Jennifer.

Żadna jej nie pamiętała, były tego pewne. Młodsza, wysoka dziewczyna w zamszowych botkach i szortach, ledwie zerknęła na fotografie, wycierając spienione mleko z ekspresu, i energicznie potrząsnęła głową. Ale jej towarzysząca, niższa, okrągłsza pięćdziesięciolatka, przyglądała się fotografii uważnie. Ściągnęła brwi w namyśle nad szklami okularów bez oprawek.

– Może wpadła tu, gdy byłyśmy zajęte albo gdy był ktoś inny, ale na pewno nie jest naszą stałą klientką, w każdym razie nie bywa tu rano. Zapamiętałabym ją. – Wytłumaczyła, że w kafejce pracuje sześć, siedem osób, więc może obsługiwał ją ktoś inny.

Zerknął na stolik, przy którym na zdjęciu siedziała Jennifer, podszedł do okna, wyjrzał na ulicę. Po lewej stronie, jakieś dwanaście przecznic dalej, falował Pacyfik. Spędzili tam z Jennifer niejedno leniwe popołudnie, spacerowali po molo w Santa Monica, wędrowali promenadą wzdłuż plaży. Od dawna uważał Santa Monica za ich zakątek; to tam, pod molo, po raz pierwszy kochali się na piasku.

Sączył kawę i usiłował sobie wyobrazić, co Jennifer – nie, nie ona, kobieta, która się pod nią

podszycwała – tam robiła i dlaczego chciała go zwabić właśnie tutaj. O co jej chodzi, do cholery? Jeszcze przez chwilę patrzył w okno, a potem wyszedł z za gorącym espresso i przecuciem, że ktoś go wrabia.

Shana, przepłynawszy pod wodą całą długość basenu, głęboko zaczerpnęła powietrza i odgarnęła mokre włosy z oczu. Czterdzieści długości. Pochwaliła się za wytrwałość, gdy usłyszała dzwonek do drzwi.

Nie ona jedna. Ledwie rozbrzmiały pierwsze tony, Dirk, cholerny kundel jej męża, mieszaniec rottweilera i owczarka niemieckiego, rozszczękał się na całe gardło. Do tej pory leżał na brzegu basenu, ale teraz zerwał się błyskawicznie i nastroszył sierść na karku.

Super.

Jeszcze tego jej brakowało – nieoczekiwanej wizyty. Wyszła z basenu. Była całkiem naga. Korzystając z okazji, że gospoia ma wolne, a ogrodnik już wyszedł, pracowała nad idealną opalenizną, nieskażoną białymi paskami. Przed pływaniem wylegiwała się na ulubionym leżaku. Gdyby nie tajemniczy gość, popracowałyby nad opalenizną pleców.

– Później – obiecała sobie. Włożyła biały szlafrok kąpielowy i zacisnęła pasek na szczupłej talii.

Dzwonek rozległ się po raz wtóry i Dirk znów oszalał.

– Spokój! – burknęła na psa i głośniej zawołała: – Chwileczkę! Szybko wycisnęła wodę z włosów, wsunęła stopy w klapki na obcasie i weszła przez taras do ogrodu zimowego, minęła hol i foyer. Dirk biegł tuż za nią. Psisko kochało ją z niewiadomych powodów – chociaż ona za nim nie przepadała, za nim ani za żadnym innym psem. Denerwowała ją sierść, brud i kupy w ogrodzie. Kiedy kundel pił, zachlapywał całą podłogę. Jeśli o nią chodzi, nie potrzebowali zwierzaka, ale Leland nawet nie chciał słyszeć o pozbyciu się siedemdziesięciopięciokilogramowego warczącego pupila.

– Siad – poleciła i pies znieruchomiał. Wyjrzała przez szybkę przy drzwiach. – A niech mnie.

Ostatnią osobą, którą spodziewała się zobaczyć, był Rick Bentz. A jednak stał tam we własnej osobie, z rękami splecionymi na piersi, w lekkim rozkroku, między wielkimi donicami, z których spływały kwitnące białe i czerwone petunie. Miał okulary przeciwsłoneczne na nosie, który zapewne złamano nie raz. Odkąd go ostatnio widziała ponad dwanaście lat temu na pogrzebie Jennifer, schudł, i to sporo, jakieś osiem, a może dziesięć kilo.

Był wtedy w fatalnym stanie.

Szukał zapomnienia w butelce.

Użalał się nad sobą i jednocześnie sobą pogardzał, tak przynajmniej sądziła po zajęciach z psychologii, na które uczęszczała, gdy George, pierwszy mąż, porzucił ją dla istotki imieniem, co za ironia losu, Bambi. Na miłość boską, nie za dużo banału?

Cóż, przynajmniej czegoś jato nauczyło.

A teraz otworzyła dwuskrzydłowe drzwi.

– Rick Bentz. – Poczula, że kąciki jej ust opadają ironicznie, choć jednocześnie jakaś cząstka, malutki, idiotyczny kawałek jej duszy nadal był nim zainteresowany.

Wmawiała sobie, że nigdy go nie lubiła. Patrzył na nią bez słów, drapieźnie, i zmuszał do mówienia. Przy nim paplała bezmyślnie. Wszystko dlatego, że był gliną, przy policjantach zawsze czuła się nieswojo. Ale musiała przyznać, że jest seksowny. W szorstki, surowy sposób, tak jak to kocha Hollywood.

– Shana. – Skinął głową i zmusił się do uśmiechu. – Sporo czasu minęło.

– Delikatnie mówiąc. Co tu robisz?

– Wpadłem do Los Angeles na kilka dni. Pomyślałem, że cię odwiedzę.

– I co? Powspominamy dawne czasy? – zapytała, unosząc brwi. Od razu wiedziała, że wciska jej ciemnotę. – O co chodzi, Bentz? Sprawa służbowa?

– Stała w drzwiach, nie wpuszczała go do środka, a zarazem ochraniała przed Dirkiem warczącym w holu za jej plecami.

– Nie. – Uśmiechnął się rozbrajająco. – Chciałem tylko pogadać o Jennifer.

Zamurowało ją.

– Doprawdy? Teraz? Kiedy od jej śmierci minęło... Ile to lat? Dziesięć? Dwanaście?

Trochę za późno, nie uważasz? – Splotła dłonie pod piersiami, czuła, jak się unoszą. I dobrze.

Wiedziała, że stanowią jeden z jej atutów.

– Wiesz co? Wydaje mi się, że nie poświęcałeś jej wystarczająco dużo uwagi za życia, więc dlaczego chcesz to zrobić teraz?

Przyglądała mu się krytycznie. Facet wyraźnie oszczędzał jedną nogę. O co mu chodzi, do cholery?

– I właśnie o tym chciałbym pogadać.

Kierowana raczej niezdrową ciekawością niż autentyczną chęcią pomocy, Shana odsunęła się od drzwi, złapała Dirka za obrożę i ruszyła na patio; uznała, że równie dobrze może w czasie tej rozmowy popracować nad opalenizną. Pies warknął ostrzegawczo, gdy prowadziła Bentza w stronę drzwi na patio. Dirk nie ułatwia jej życia, o nie. Bentz, jak zauważyła, utykał

lekko, choć za wszelką cenę starał się to ukryć. Na zewnątrz puściła psa.

– Zostaw nas samych, Dirk. No, już! – Pstryknęła palcami i wskazała cienisty zakątek pod palmą.

Pies wahał się przez chwilę, a potem posłusznie poszedł na wskazane miejsce, okręcił się kilka razy wokół własnej osi i ułożył z pyskiem na przednich łapach, nie spuszczając z Bentza czujnego wzroku.

– Wielkie psisko – zauważył Bentz, wpatrzony w potężny łeb.

– Mojego męża. Trzyma go dla bezpieczeństwa. – Trochę naginała prawdę, ale co w tym złego? – W rzeczywistości ciągle obszczekuje yorki sąsiadów. Powinnam zaproponować ci coś do picia. Coś... bez alkoholu?

– Uśmiechnęła się złośliwie.

– Dziękuję.

No tak. Nadal nie wie, po co tu przyszedł.

– Więc o co chodzi? – Usiadła w wiklinowym fotelu przy stoliku o szklanym blacie i wskazała mu miejsce naprzeciwko. – Czego chcesz się dowiedzieć o Jennifer?

Bentz schronił się w cień parasola.

– Co wiesz o jej samobójstwie? – zapytał. Shana zmarszczyła brwi, zagryzła usta.

– Byłaś jej najbliższą przyjaciółką. Pomyślałem, że opowiesz mi, w jakim stanie była przed śmiercią. Naprawdę chciała ze sobą skończyć?

– A niech mnie. Tylko tyle? Chcesz wiedzieć, co, moim zdaniem, chodziło jej po głowie?

– Tak.

Dobra, zapytał. Shana w myślach cofała czas, wspominała przyjaciółkę – dowcipną, filuterną, cholernie seksowną.

– Moim zdaniem to było bez sensu. Była pełna życia, zbyt skupiona na sobie, by się zabić.

– Zostawiła liścik.

– No to co! – Machnęła ręką, jakby opędzała się od niewidocznego komara. – Nie wiem, o co w tym chodziło. Jasne, zwierzała mi się, że miewa napady depresji, ale... nie wiedziałam, że to coś tak poważnego. Może się mylę, ale wtedy dałabym sobie rękę uciąć, że napisała ten liścik tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. Uwielbiała to. Kto się zabija, wjeżdżając na drzewo?

Słuchał uważnie, nie zawracał sobie głowy notowaniem.

– Oczywiście możliwe, że był to zwykły wypadek. Wiadomo, że nie wylewała za kołnierz, do tego tabletki, ale... – Spojrzała mu prosto w oczy.

– Jeśli chcesz wiedzieć, czy, moim zdaniem, Jennifer była zdolna do samobójstwa, moja odpowiedź

brzmi: nie. I to samo mówiłam, gdy zginęła.

Bentz skinął głową, jakby cokolwiek pamiętał.

– Mieszkałam z nią w Berkeley, apotem... wiedziałeś, że chodziła z Alanem Grayem? Nie tylko chodziła. Przez pewien czas byli, zdaje się, zaręczeni...

Widziała, jak mruży oczy, bez słów daje do zrozumienia, że wiedział.

– Ale nie zamieszkała z Alanem, prawdopodobnie dlatego, że poznała ciebie. Uważałam wtedy, że oszalała. Przecież Alan był nieprawdopodobnie bogaty! Już wtedy miał

kilkadziesiąt milionów. A ona zakochała się w tobie. W gliniarzu. Odrzuciła milionera. Coś takiego.

– Shana westchnęła dramatycznie. – Ale z drugiej strony, czy ktoś kiedyś rozumiał

jej sposób myślenia? Jennifer zawsze była nieobliczalna. – Shana przypomniawszy sobie, jaka z niej była flirtiarą. Ekstrawertyczką. Wariatką. Ale za nic nie mogła sobie przypomnieć Jennifer refleksyjnej. – Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłaby się targnąć na własne życie, nie celowo. Moim zdaniem nie była do tego zdolna. Była zdolna do wielu rzeczy, by zwrócić na siebie uwagę, naprawdę wielu, ale nigdy nie dążyła do samozagłady. – Ugryzła się w język, westchnęła. – Chyba że za samozagładę uznasz romans. – Spojrzała mu w oczy, ale nie widziała, czy choćby mrugnął okiem za szklami okularów. – James z pewnością był jej piętą achillesową. – Uciekła wzrokiem do wody basenu, czystej, turkusowej.

– Posłuchaj, minęło sporo czasu i naprawdę nie wiem, co wtedy chodziło jej po głowie.

Po prostu wątpię, żeby to było samobójstwo.

Bentz zadał jeszcze kilka pytań na temat ich przyjaźni, a potem, gdy Shana zerknęła na zegarek, uderzył z grubej rury:

– Myślisz, że mogła sfingować własną śmierć?

– Co? – Zaszokował ją. – Chyba żartujesz. – Ale widziała, że tak nie jest, miał śmiertelnie poważną minę. – Nie ma mowy. Niby jak miałyby to zrobić?

– Myśli kłębiły jej się w głowie. Przeszył ją dreszcz. Czy to podstęp? Mina Bentza mówiła, że nie. – Dobra, nie wiem, o co ci chodzi, ale odpowiedz brzmi: nie, nie sądzę, że mogłaby... Jak to było: „Sfingować własną śmierć”? Podłożyć kogoś? Zabić jakąś kobietę?

Nie... To szaleństwo, Rick. – Shanie zrobiło się niedobrze. To bardzo dziwne. – Przecież chyba ty zidentyfikowałeś zwłoki?

Skinął głową i ledwo zauważalnie zacisnął usta.

– Więc co? Pomyliłeś się?

– Nie wiem – przyznał, a Shana głośno wypuściła powietrze z ust. – Nie mówiła o tym?

Nie pojawiła się później?

– Nie! Na miłość boską! – Czy on oszalał? Jezu Chryste! – Co ty łykasz, Bentz? Jennifer nie żyje i oboje o tym wiemy.

– Skoro tak mówisz...

Shana opadła na oparcie fotela i przyglądała się mężowi Jennifer. Nie słyszała, by miewał

omamy, w każdym razie dopóki nie zaczęły się jego problemy. Kiedyś był najjaśniejszą gwiazdą na firmamencie miejscowej policji, ale potem jego gwiazda zgasła.

Dzisiaj jednak odwiedził ją stary Bentz, przystojny i twardy. Pewnie trochę zużyty, lata nie mijają bez śladu, ale nadal bystry i zdeterminowany. Pełen pasji. Taki, w jakim zakochała się Jennifer.

– Skąd pomysł, że ona żyje? – zapytała. Co za dziwaczna rozmowa. Wyjął z koperty zdjęcia. Rozłożył na stoliku. Serce Shany na chwilę przestało bić. Kobieta na fotografiach to Jennifer albo jej siostra bliźniaczka.

– Skąd je masz? Chcesz powiedzieć, że... zrobiono je niedawno? – wydukała zaskoczona.

– Przecież Jennifer nie żyje.

– Przysłano mi je. Myślałem, że może wiesz, kto to zrobił.

– Nie mam pojęcia, ale to... to niemożliwe... ona... ona nie żyje. Ty sam ją... – Podniosła fotografię, na której Jennifer przechodzi przez jezdnię. Dreszcz przeszedł jej po plecach.

– Jeszcze raz badam okoliczności jej śmierci – powiedział.

Shana wpatrywała się w zdjęcia, szukała błędu, czegoś, co zdradzi, że to tylko koszmarny kawał.

– Gdzie je nadano? – zapytała.

– W Culver City.

– Tam, gdzie mieszkaliście. – Z trudem przełknęła ślinę. Słyszała, jak wiatr szumi w liściach palm. Zrobiło jej się zimno. – To na pewno pomyłka.

– Wiem o tym, ale mam akurat trochę czasu, więc pomyślałem, że się tym zajmę.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział, tylko zapytał:

– Czy przypominasz sobie coś z ostatniego tygodnia jej życia? Coś nietypowego?

– Oczywiście poza tym, że zginęła? – zachnęła się i znów spojrzała na zdjęcia.

W rzeczywistości brakowało jej Jennifer. Nie bardzo jej się uśmiechała rozmowa z jej byłym mężem, draniem, który zawsze trzymał żonę na dystans i przedkładał pracę nad rodzinę.

Poczuła więź z Jennifer, nawet teraz, gdy od tak dawna nie było jej wśród żywych.

Rozmowa o niej z Rickiem zakrawała na zdradę. Uciekła wzrokiem od onieśmielających oczu Bentza w stronę ogrodu, gdzie kwitnące pnącza bugenwilli oplatały pień drzewa.

Ale po co teraz trzymać język za zębami? Przyjaźń dawno się skończyła. Jennifer już nie ma.

– Pamiętam tylko, że dużo mówiła o odejściu. Chciała dać sobie szansę, a tobie zwrócić wolność. – Trzeba mu przyznać, że się skrzywił, choć zaledwie odrobinę. – Uważała, że ty bardziej się nadajesz na ojca niż ona na matkę, i to mimo że za dużo pracowałeś, za bardzo angażowałeś się w dochodzenia i piłeś więcej, niż powinienes. – Uniosła włosy, żeby bryza musnęła jej kark. – Była dość bystra, by dojrzeć, że będziesz dobrym ojcem. Cokolwiek to znaczy.

Założyła nogę na nogę. Czy to możliwe, że te zdjęcia są prawdziwe, zastanawiała się.

Nie. Nie ma mowy. Kobieta na nich jest zbyt młoda. Albo ma boskiego chirurga plastycznego. Shana podniosła głowę i ponownie zajęła się dręczeniem Bentza.

– Wiesz, oczywiście, że miała kochanka. – Sądząc po jego zaciśniętych ustach, wiedział.

– Z nim także chciała zerwać. Jej życie za bardzo się komplikowało, a ponieważ James był twoim przyrodnim bratem...

– I biologicznym ojcem mojej córki.

Jezu, wyprzedza ją. Shana wzruszyła ramionami, zła na siebie, że nie przyrzadziła dzbanka margarity. Nagle poczuła zdenerwowanie, zaczęło jej dokuczać pragnienie.

– Zdawała sobie sprawę, że ich związek przyniesie same kłopoty, zwłaszcza że James był księdzem. I w ogóle...

– A on wiedział, że chce skończyć? – zapytał Bentz ponuro.

kpiąco, gdy sączyła martini i dzieliła się soczystymi szczegółami ze swego życia. A zajazd w San Juan Capistrano? Przypomniawszy jej się na chwilę, by zaraz znowu zniknąć.

– Hotelik nazywał się chyba Misja San Michelle. Nie, brzmi nie tak. Jak to było, do cholery? Nie, nie... Mam! – Pstryknęła palcami. – Misja San Miguel, tak! Był dla nich wyjątkowo ważny. Byli tam pierwszy raz, gdy zaczynali, no wiesz, gdy zaszła w ciążę, a potem znowu, gdy romans się odnowił.

Widziała obrzydzenie, które Bentz za wszelką cenę starał się ukryć, i poczuła złośliwą satysfakcję.

Drań zasługiwał na dawkę rzeczywistości, na kubek zimnej wody. To przez niego Jennifer była taka popaprana; to jego chłód pchnął ją w ramiona innego. Pochyliła się nad stolikiem i szepnęła scenicznym, gardłowym szeptem:

– To ironia losu, zważywszy, że ksiądz James był człowiekiem Kościoła i w ogóle.

Pewnie sypiał z Jennifer, łamał wszystkie śluby, a potem i tak uzyskiwał odpuszczenie grzechów. – Zmarszczyła nos. – Nie jestem katoliczką ale chyba tak to działa?

– Nie wiem. – Usiłował coś zapamiętać. – Jeszcze jakieś miejsca?

– Tak, mały hotelik przy Figueroa, niedaleko uniwersytetu, ale nie pamiętam szczegółów.

– Może powiedziała za dużo. Może powinna była trzymać język za zębami.] tak nic nie przywróci Jennifer życia.

Zaciskał usta w wąską kreskę. W jego oczach i głosie był chłód. Wieczny glina. Zimny.

Daleki. Doświadczony.

– Przypominasz sobie coś jeszcze?

– Tylko to, że żałowała – powiedziała w przyływie szczerości. – Że cię skrzywdziła.

Spojrzał na nią, jakby znowu się z nim drażniła. I trudno mu się dziwić.

– Mówię poważnie, Rick. Była na siebie wściekła za, jak to nazywała, swoje przekleństwo – odruch, by odpychać od siebie wszystko, co dobre. Owszem, była egocentryczna i próżna, ale w głębi duszy była też bardzo dobra. I na swój dziwaczny sposób kochała cię. I to bardzo.

Rozdział 9

I ego dnia Bentz po raz pierwszy zobaczył Jennifer w Los Angeles.

Rozstał się z Shaną w jej rezydencji w Beverly Hills i pojechał na południowy zachód; chciał odnaleźć ulicę Figueroa i zaspokoić chorą ciekawość.

Przetrawiał w myślach to, czego się dowiedział od Shany, usiłując oddzielić prawdę od fikcji, a może raczej wydobyć rzeczywistość z bardzo subiektywnej opowieści. Powoli brnął

przez poranny ruch uliczny. Jedno było jasne: Shanę bardzo poruszyły zdjęcia Jennifer. Nie udawała. A to już coś.

I dała mu do zrozumienia, na swój koci sposób, żeby się zainteresował Alanem Grayem, mężczyzną, którego Jennifer jakoby kochała.

Przez pewien czas.

Deweloper, który dorobił się majątku na boomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, na długo przed obecną recesją pojawiał się w życiu Jennifer i znikał. Bentz zapamiętał sobie, żeby go sprawdzić i przekonać się, co też dobry stary Alan porabia dzisiaj. Pewnie zbliża się do sześćdziesiątki albo nawet jest starszy. Może już na emeryturze?

Sprawdzi to.

Mrużąc oczy od słońca, opuścił daszek i wypatrzył szereg niewielkich moteli, w których być może spotykali się Jennifer i James. Niestety, księgi meldunkowe nie ujawnią, w którym z nich go zdradzali.

No i co z tego?

Minęło ponad dwanaście lat.

W tak długim czasie motele zmieniły właścicieli, stare budynki zburzono, powstały nowe.

Już miał zawrócić do Culver City, gdy jego wzrok przyciągnęła szczupła ciemnowłosa kobieta w żółtej sukience i okularach przeciwsłonecznych. Stała na przystanku.

I co z tego, pomyślał w pierwszej chwili. Ale kiedy ją mijał, zobaczył jej profil i serce stanęło mu w piersi. Ten nos, ten podbródek... To, jak trzymała torebkę, stojąc przy ławce ze wzrokiem utkwionym w autobus nadjeżdżający w kłębach błękitnego dymu. Podniosła dłoń do czoła, żeby zasłonić oczy.

Zupełnie jak Jennifer.

Przypomniały mu się słowa Shany: kochała cię. Zaskoczyła go wtedy i nie skomentował tego.

To szaleństwo, podpowiadał zdrowy rozsądek. To nie ona. Wiesz, że to nie ona. Siła sugestii, ot co!

Jednym okiem szukał miejsca do zaparkowania, drugim co chwila zerkał w lusterko, na przystanek.

– O cholera.

Skręcił gwałtownie na parking przed centrum handlowym i zaparkował na pierwszym wolnym miejscu, przeznaczonym, jak głosiła tabliczka, wyłącznie dla gości sklepu. Autobus otworzył drzwi. Dwóch roześmianych nastolatków ze słuchawkami w uszach wskoczyło do środka z deskorolkami pod pachą.

Bentz wyskoczył z wozu i rzucił się przez jezdnię.

Znikła.

Kobiety w żółtej sukience nigdzie nie było widać. Drzwi autobusu się zamknęły, kierowca włączył kierunkowskaz na znak, że włączy się do ruchu.

– Nie! – Bentz wybiegł na ulice, kusztykał na obolałej nodze w ślad za pojazdem.

Dopadł do przystanku w tej samej chwili, gdy autobus odjeżdżał w tumanie kurzu.

Była w nim?

Cofnął się od krawężnika i patrzył w zakurzone szyby. Wpatrywał się w twarze widocznych pasażerów, ale nikogo nie poznał. Nikt nie przypominał jej nawet odrobinę.

Zapisał numer autobusu i godzinę i rozejrzał się po okolicy. Nie widział ciemnowłosej kobiety w cytrynowej sukience, nie spacerowała chodnikiem, nie wsiadała do samochodu.

Poczuł przykre *deja vu*.

Jakby już tu był.

Jakby już uganiał się za Jennifer tymi ulicami. Odprowadził autobus wzrokiem. Może za nim pojechać i wyprzedzić na najbliższym skrzyżowaniu?

Weź się w garść, upomniał się. To nie ona. To tylko sugestia, to wszystko wina tej suki Shany. Jennifer nie ma w tym autobusie, nieważne, żyje czy nie. Weź się w garść. Czy kiedykolwiek Jennifer jeździła miejskimi środkami komunikacji?

– Nie podoba mi się to i tyle – przyznała Kristi. Siedziała w samochodzie, jedną ręką trzymała kierownicę, drugą – komórkę, przez którą rozmawiała z Reubenem Montoyą, partnerem ojca.

– Musiał wyjechać.

– Ale dlaczego? – nie dawała z wygraną.

Zwinnie manewrowała w wąskich uliczkach Baton Rouge, jadąc do college'u Wszystkich Świętych.

– Powiedział, że musi to załatwić. Dostawał szału odsunięty od pracy.

– Ale dlaczego akurat Los Angeles?

– Sama go zapytaj.

– Zrobiłam to, a on mnie spławił.

Kristi zaczęła wpadać w panikę. Coś jest nie tak, i to bardzo, bardzo nie tak. Od wypadku ojciec nie był sobą. Myślała, nie, miała nadzieję, że po terapii będzie jak dawniej, ale niestety nie.

– Sam da sobie radę – mruknął Montoya. – Nie martw się o niego.

– Uwierz mi, nie mam na to najmniejszej ochoty. – Rozłączyła się i wjechała na parking przed swoim apartamentowcem, niedaleko kampusu. Kiedyś była to elegancka rezydencja, dzisiaj podzielono ją na małe mieszkania dla studentów. Mieszkała tu z kotem i czasami z Jayem, jeśli akurat wykładał kryminologię. Wtedy zatrzymywał się u niej. Większość czasu mieszkał w Nowym Orleanie, gdzie pracował w laboratorium kryminalistyki.

W grudniu wezmą ślub, a gdy Kristi skończy studia, zamieszkają na stałe w Nowym Orleanie. Oby do tego czasu skończyła pisać swoją pierwszą książkę, powieść kryminalną opartą na faktach.

Ale najpierw ojciec. Co on wyprawia? Myślała o tym, wyjmując z bagażnika torbę z zakupami. Wbiegła na trzecie piętro. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Olivii, macochy, ale między nimi nie zawsze się układało. Lepiej będzie porozmawiać w cztery oczy, tylko kiedy?

Skończyła właśnie układać w zamrażalniku tanie niskokaloryczne gotowe dania obiadowe, gdy zobaczyła kota za oknem. Czarny cień wślizgnął się do środka i pozwolił

pogłaskać. W tym momencie rozdzwonił się telefon.

– Halo? – rzuciła do słuchawki. Houdini zeskoczył z jej kolan.

– Cześć, Kristi. Tu Olivia. Bomba.

– Cześć.

– Jak w szkole?

O co chodzi? Olivia nigdy do niej nie dzwoniła.

– Dobrze – odparła z wahaniem.

– A jak tam ślub?

– Wszystko przygotowane. – Kristi odsunęła nogą krzesło i usiadła. – A u ciebie?

– W porządku. Dobra, dość bzdur.

– Więc dlaczego ojciec jest w Los Angeles?

– Właśnie o to chodzi. Nie mogę powiedzieć – przyznała Olivia. – Ale wygląda na to, że musiał pojechać. – Na chwilę umilkła, jakby odwracała głowę od słuchawki. Serce Kristi biło coraz szybciej i wiedziała już, co zaraz usłyszy: ojciec i Olivia się rozwodzą. – Nie powiedział ci?

– Nic a nic, tylko jakieś bzdury o dawnych sprawach i że wkrótce wróci. Nie trzymało się kupy, jestem ciekawa, co się dzieje. Czy to coś między wami?

Cisza. Zero odpowiedzi. Kristi zrobiło się zimno.

– Twój ojciec... Od wypadku bardzo się męczy. Nie może usiedzieć w domu, więc chyba chciał... spojrzeć na wszystko perspektywy, z dystansu... przemyśleć pewne sprawy.

– Jakie sprawy? – zapytała Kristi ostrożnie. Wyczuwała w tej rozmowie jeszcze inne, głębsze znaczenie, ale go nie rozumiała.

– Nie wiem do końca. Wątpię nawet, czy on wie, ale kiedy już zrozumie, na pewno nam powie.

– Nie byłabym taka pewna.

– W każdym razie zadzwoniłam, bo pomyślałam, że mogłybyśmy się kiedyś umówić na kolację? Albo na kawę? Następnym razem, kiedy będziesz w Nowym Orleanie?

– Jasne. – Nie pierwszy raz Olivia usiłowała zmniejszyć dzielący je dystans, ale zazwyczaj uczestniczył w tym także ojciec. To coś nowego. – Będę w mieście mniej więcej za tydzień.

– Więc się umówmy. Jeśli Bentz wróci, dołączy do nas. Może. – Umilkła na chwilę. – A może nie.

– Jasne.

Kristi się rozłączyła. Jeśli Bentz wróci, powiedziała Olivia. Więc ona też nic nie wie.

Kristi bardzo się to nie podobało. Nie wiadomo, w co się wpakował ojciec, ale z pewnością nie jest to nic dobrego.

Po długim dniu na uczelni Laney Springer z ulgą cisnęła plecak na mały stoliczek, stanowiący wkład jednej ze współlokatorek do wspólnego mieszkania. Boże, co za dzień!

Zaczęło się od śmiertelnie nudnego wykładu profesora Williamsa o wojnie w Korei. Nie pamiętała już, dlaczego uznała, że „Historia współczesna: amerykańska polityka zagraniczna w XX wieku” stanowi wartościowe uzupełnienie jej planu zajęć. Na szczęście semestr już się kończy, więc profesor Williams stanie się przeszłością, i to dosłownie.

Zajrzała do lodówki. Żałosne resztki pizzy w pudełku, po kielbaskach pepperoni nie został nawet ślad. Łodygi selera naciowego wędły smętnie obok niedopitej butelki dietetycznej pepsi.

Ohyda.

Zamknęła lodówkę. Doszła do wniosku, że może lepiej niczego nie jeść – dzięki temu będzie się dobrze prezentowała w nowiutkiej obcisłej srebrnej sukience. Bo chciała wyglądać zabójczo.

Co tam stara pizza.

To jej wielki dzień. Cóż, technicznie rzecz biorąc, nie tylko jej, także Lucy, jej siostry bliźniaczki.

O północy obie skończą dwadzieścia jeden lat. W końcu będą pełnoletnie!

Oczywiście musi jeszcze poczekać sześć godzin, zanim zegar wybije dwunastą. Godzinę czarownic. Taki Kopciuszek w negatywie. Owszem, miała fałszywy dowód tożsamości, ale dzisiaj spali lewe prawo jazdy z Oregonu.

Najlepsze, że nie będzie musiała czekać dodatkowych czternastu minut, żeby wypić pierwszego legalnego drinka. Lucy zawsze jej wypomniała, że ona przyszła na świat czterdzieści siedem minut po północy, a Laney dopiero minutę po pierwszej. Ale to już nieważne. Liczy się data, nie godzina.

Szykuje się wielka impreza; przyjdą wszyscy jej przyjaciele, nawet Cody Wyatt, zabójczo przystojny kolega z zajęć z literatury angielskiej. I to bardzo dobrze. Wystarczy, że będzie musiała znosić obecność chłopaka Lucy, Kurta Jonesa. Co za frajer! Ma trzydzieści lat, nie skończył nawet szkoły średniej, rzucił dziewczynę, z którą ma dziecko, i, jeśli wierzyć siostrze, w ogóle się nim nie interesował. A teraz chodzi z Lucy, która zawsze go broni.

Pewnie dostarcza jej towar. Lucy coraz częściej przypalała i Bóg jeden wie, co jeszcze zażywała.

Laney bardzo się tym martwiła.

Odrobina marihuany to jedno, ale inne substancje to już poważniejsza sprawa. Nie szkodzi, jeśli Kurt dzisiaj się pojawi, Laney go oleje. Co ją obchodzi, co robi?

Trawka, amfetamina, kokaina, prochy – ma wszystko.

Oby Lucy go rzuciła.

I to jak najszybciej.

Zdenerwowana, postanowiła poćwiczyć, rozciągnąć mięśnie, od tyłu godzin kurczone w ławkach. Na parkiecie dostanie niezły wycisk, a teraz popracuje nad muskulaturą. Najpierw ciężarki, potem DVD z jogą i rozciąganie. A później długi gorący prysznic, mycie włosów i staranny makijaż. Jakby nie było, to prawie jej urodziny. Stop. To ich najważniejsze urodziny.

Jej i Lucy.

Wyjęła iPoda z plecaka i podłączyła do wieży stereo, własności Trishy. Muzyka huknęła głośno, ale w całym budynku mieszkali tylko studenci, więc nikt nie narzekał na hałasy czy imprezy, których formalnie zakazano.

Idąc do pokoju, który dzieliły z Trishą, zabrała z półki wspólne ciężarki. Znalazła skrawek przestrzeni na dywaniku między swoim niepościelonym łóżkiem i toaletką koleżanki i zaczęła ćwiczyć mięśnie ramion w takt piosenki Fergie. Nie będzie miała firanek na ramionach. O nie. Choćby musiała robić po tysiąc pompek w wieku osiemdziesięciu lat.

Osiemdziesiątka. Jezu. Za sześćdziesiąt lat. Za pięćdziesiąt dziewięć od dzisiaj!

Powtórzenia przychodziły łatwo. Zamknęła oczy. Zmieniła się piosenka i nastrój.

Zagubiła się w rytmicznym przeboju Justina Timberlake'a, potem Maroon 5...

Jeszcze jedna seria. Teraz dopiero poczuła mięśnie ramion.

Dawaj, dawaj, poganiała się. Muzyka dudniła jej w głowie. Dasz radę.

Dyszała ciężko, spociła się.

Kiedy ramiona pękały z bólu, ułożyła się na podłodze i zaczęła ćwiczyć mięśnie ud.

Wydawało jej się, że słyszy, jak ktoś wchodzi, więc przekrzykując długi gitarowy riff i pulsowanie basów, zawołała:

– Jestem tutaj!

Ćwiczyła, ociekając potem, a sforsowane mięśnie drżały z wysiłku.

Wykonała zaplanowaną liczbę serii i wstała. Brawo! Wzięła ręcznik i wróciła do saloniku, gdzie nadal ryczała muzyka. Czas się porozciągać. Zresztą niech Trisha albo Kim złożą jej życzenia!

Ale na kanapie, którą Kim wypatrzyła na wyprzedazy, nie siedziała żadna z nich. Nie prażyły kukurydzy w kuchni, nie gotowały zupki z proszku.

Dziwne.

Przecież słyszała, jak wracali...

Otarła pot z czoła i zajrzała do pokoju Kim. Pusty.

Trzask!

Dziwny odgłos. Stłumiony.

IPod się zaciął?

Wyszła z pokoju Kim, zamknęła za sobą drzwi, wróciła do saloniku. Po drodze wyczuła w powietrzu zapach dymu papierosowego. Nic wielkiego. Wszyscy palą.

Trzask!

Za jej plecami?

W korytarzu?

Przeszył ją strach.

– Kim?

Odwróciwszy się w ułamku sekundy, zobaczyła, że drzwi, które przed chwilą sama zamknęła, drzwi do pokoju Kim, stają otworem, a w ciemnym holu czai się postać. Ktoś, kogo jeszcze przed chwilą tam nie było.

– Hej! Co ty sobie... – Słowa zamarły jej na ustach, gdy zobaczyła pas w jego dłoniach. –

Boże!

Zaczęła wrzeszczeć, ale napastnik błyskawicznie znalazł się przy niej. Zarzucił jej pętlę na szyję i zaciągnął mocno, odcinając dopływ powietrza, tłumiąc krzyk.

O Boże! Chce ją skrzywdzić! Zgwałcić! Zabić! Zrobiło jej się niedobrze ze strachu.

Szarpała się i kopała, trafiła go, usłyszała, jak syknął z bólu.

I dobrze!

Spróbowała jeszcze raz, ale szarpnął nią w bok i zacisnął pętlę. Jej płuca przeszył płomień bólu.

To niemożliwe, pomyślała oszołomiona. Kaszłała i dyszała.

Omdlenie będzie lepsze.

Nie. ‘

Nie poddawaj się!

Walcz!

O Boże, ból... nie mogę oddychać! Pomocy! Nich ktoś mi pomoże! Przestała walczyć, obiema dłońmi usiłowała poluzować pętlę.

Jej palce szarpały skórę na szyi.

Głęboko.

Za późno.

Płuca eksplodowały.

Ciało przeszył ból.

Serce waliło jak oszalałe.

Ogarniała ją ciemność.

I w tej jednej straszliwej chwili Laney zrozumiała. Wiedziała, że nie dożyje dwudziestych pierwszych urodzin.

Rozdział 10

Hayes miał rację.

Roy's zdecydowanie podupadł, jak stwierdził Bentz, przejeżdżając koło tego lokalu.

Nadal poruszony wizją Jennifer, znalazł niewielki parking kilka przecznic od restauracji.

Wcisnął forda escape w wolne miejsce, wrzucił monety do parkomatu i nie zwracając uwagi na ból w nodze, pomaszerował w stronę lokalu, wyminął kilku chłopaków na deskorolkach.

Knajpa nosiła imię nie Roya Rogersa, jak wielu sądziło, lecz pierwszego właściciela.

Jednak zachowała styl dzikiego Zachodu – łącznie z obrotowymi drzwiami, które wyglądały jak wyniesione ze starej stodoły. Kiedyś nad drzwiami wznosił się dumnie plastikowy biały ogier, póki jakiś dowcipniś nie wdrapał się pod osłonę nocy na markizę i nie pomalował mu niektórych części ciała jaskrawoczerwoną farbą.

I to był koniec białego ogiera.

Teraz nad drzwiami widniał jedynie napis: „Roy's”.

I wystarczy, stwierdził Bentz, przekroczył próg i cofnął się czasie.

Wnętrze było obskurne. Dwanaście lat temu kowbojskie pamiątki i plakaty z seriali o Dzikim Zachodzie miały klasę stylu retro. Dzisiaj wiekowe siodła, plakaty i kapelusze wydawały się zakurzone i zużyte.

Goście się zmienili, a przynajmniej postarzel, podobnie jak podłoga.

Długi bar rozsiadł się pod jedną ścianą; resztę miejsca zajmowały stoliki.

Bentz zajął wolne miejsce, zamówił piwo bezalkoholowe u kelnerki, na której strój kowbojski dosłownie pękał w szwach, i czekał.

Nie wróciła jeszcze, a już zobaczył Jonasa Hayesa w obrotowych drzwiach. On także się postarzał. Ciemnoskóry i wysoki – miał ponad dwa metry wzrostu – nadal onieśmiał, ale w pasie przybyło mu nieco tłuszczu i nie był już tak szczupły jak w czasach, gdy jako młodziutki policjant zaczynał pracę. W krótko ostrzyżonych włosach pojawiły się srebrne nitki, a gdy zdjął okulary przeciwsłoneczne, okazało się, że w kącikach oczu widnieją kurze łapki.

Jednak nadal ubierał się, jakby szedł na wybieg dla modeli. Drogi garnitur, wypolerowane buty, zawiązany po mistrzowsku jedwabny krawat.

Bentz pomachał do niego, wstał, wyciągnął rękę.

– Kupa czasu.

Hayes skinął głową i zamknął jego dłoń w silnym, pewnym uścisku.

– He to już czasu? Jedenaście lat? Dwanaście?

– Mniej więcej.

Usiedli naprzeciwko siebie.

– I zjawiasz się ni z tego, ni z owego. I prosisz o przysługę.

– Bingo.

Kelnerka wróciła. Jej humoru nie poprawiło zamówienie Hayesa – szkocka z lodem.

– Urocza – zauważył Hayes, gdy odeszła.

– Pewnie nie podoba jej się strój służbowy.

– I nic dziwnego. Wciąż trzeźwy? – Hayes spojrzał na butelkę Bentza.

– Owszem. Przestałem pić po śmierci Jennifer.

– Chyba dobrze.

– No cóż, przynajmniej przez większość czasu. – Bentz uniósł brew. – Trinidad nadal w policji?

– A niby gdzie? – Hayes skinął głową.

Kelnerka wróciła ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do ust i postawiła przed Jonasem drinka. Wręczyła obu karty dań zalaminowane w plastik, wyrecytowała z pamięci dania dnia i już miała odejść, ale Bentz zapytał:

– Nadal macie stek Tbone z frytkami? Zareagowała bez cienia entuzjazmu:

– Jest w karcie od wieków.

– Tak myślałem. Poproszę. Średnio wysmażony. I sos serowy do sałatki. Nawet tego nie zapisała, tylko spojrzała na Hayesa. Ten przestudiował kartę dań i odłożył ją, zamawiając grillowane kotlety wieprzowe.

Ledwie odeszła, ponownie skupił na Bentzu spojrzenie ciemnych oczu.

– Dobra, więc o jaką przysługę ci chodzi?

– Chciałbym jeszcze raz sprawdzić okoliczności śmierci Jennifer.

– Jennifer? Twojej żony?

– Byłej żony, ale tak, właśnie jej. – Bentz oparł się wygodnie i pociągnął długi łyk z butelki.

– Stary, to było dwanaście lat temu. Zginęła w wypadku samochodowym, walnęła w drzewo, nie było nawet innego pojazdu. Prawdopodobnie popełniła samobójstwo. – Hayes przyglądał się twarzy Bentza ciemnymi oczyma. Oczyma gliniarza.

– Tak wówczas sądziliśmy, ale to fatalny sposób na popełnienie samobójstwa. Bardzo nieestetyczny. I niepewny. Czasami ci się nie uda i kończysz jako warzywo albo zabierasz kogoś ze sobą, albo do śmierci siedzisz na wózku inwalidzkim. To nietypowa forma samobójstwa. Dlaczego nie spaliny w garażu? Albo tabletki? Albo podcięte żyły w wannie?

Albo pętla na żyrandolu?

– To była twoja żona. Ty powiedz. Bentz przecząco kręcił głową.

– Zresztą nie chciałyby doprowadzić się do takiego stanu. Była na to zbyt próżna.

– Ona i tak się zabijała, człowieku. Prochami. Alkoholem. Nie myślała logicznie. Miała w nosie to, jak będzie wyglądała. A może zrobiła to w samochodzie, bo nie chciała, żeby córka ją znalazła, pomyślałeś o tym? Kiepska sprawa, kiedy dzieciak znajduje zwłoki mamusi.

– Nie musiała robić tego w domu. Są jeszcze inne miejsca. Motele. – Pomyślał o zapyziałym SoCal Inn, idealnym miejscu na samobójstwo. Tani. Intymny. Z widokiem na basen, jeśli ktoś sobie życzył.

Hayes obracał szklanekę w dłoniach.

– Dobra, dajmy spokój bzdurom. O co chodzi?

Bentz wypił kolejny łyk piwa, sięgnął do kieszeni i wyjął kserokopię pomazanego aktu zgonu. Wyjaśnił, że nadano go w Culver City, a przesyłka trafiła na jego wydział.

– No i? – Hayes wzruszył ramionami. – Ktoś sobie robi głupie żarty. Bentz skinął głową.

– Ale to nie wszystko. – Położył na stole zdjęcia Jennifer. – Ktoś też mnie podkręca.

– O cholera. To Jennifer, tak? Zdjęcia są nowe, jak się domyślam?

– W każdym razie tak mam myśleć według tego, kto mi je wysyła. Hayes przyglądał się im uważnie.

– Podobna?

– Jak dwie krople wody.

– Ale... Dwie krople wody sprzed lat? Zero dodatkowych kilogramów, ani śladu zmarszczek...

– No właśnie.

– Skurczybyk. – Hayes długo przyglądał się zdjęciom. Po chwili wrócił wzrokiem do aktu zgonu. Zmrużył oczy. Teraz przynajmniej słuchał uważnie.

– Ktoś udaje Jennifer.

– Ale dlaczego? – Hayes zastanawiał się na głos.

– Nie wiem, ale kobieta nie robi tego sama. Przecież ktoś zrobił te zdjęcia.

– Czyli spisek? Żeby doprowadzić cię od obłędu? Bentz skinął głową.

– Strasznie to wszystko naciągane – mruknął Hayes, ale jego oczy, jakby na przekór słowom, wróciły do fotografii. – No dobra, kupuję to. Zaczynaj od początku.

Bentz opowiedział mu – od samego początku w szpitalu, gdy ocknąwszy się ze śpiączki, poczuł zapach Jennifer i zobaczył ją aż do spotkania w ogrodzie koło domu. Pomiął kobietę na przystanku, ponieważ widział ją z daleka, więc mógł się pomylić.

Gdy skończył, Hayes podsumował:

– Czyli ta kobieta była i w Nowym Orleanie, i w Los Angeles. Jakimś cudem wiedziała, kiedy odzyskasz przytomność... A potem wróciła tutaj na sesję zdjęciową?

– Nie. Jeśli wierzyć datom na fotkach, jeździła w kółko między Kalifornią a Luizjaną.

– W takim razie w dokumentach linii lotniczych powinien zostać jakiś ślad.

– Ktoś już to sprawdza; na razie nic.

– Może posługiwała się fałszywym nazwiskiem.

– Fałszywe nazwisko to Jennifer Bentz – stwierdził, chcąc przekonać samego siebie. –

Muszę się dowiedzieć, kim jest i czego chce.

– I potrzebujesz mojej pomocy. – Hayes zachował czujność.

– Owszem.

– Czyli?

Bentz opowiedział o telefonie z budki.

– Chciałbym obejrzeć zdjęcia z kamer ulicznych w tej okolicy, ewentualnie taśmy z systemów alarmowych okolicznych sklepów albo jeszcze lepiej satelitarne zdjęcia ulicy.

– Masz skromne wymagania, niech cię. O ile mi wiadomo, na razie nie popełniono żadnego przestępstwa.

– Chyba że w grobie Jennifer leżą inne zwłoki.

– To bzdura.

Bentz nie był w stanie bronić swojego punktu widzenia, chociaż próbował. Wróciła kelnerka, postawiła przed nimi wielkie półmiski, ostrzegła, że są bardzo gorące, i zapytała, czy życzą sobie czegoś jeszcze.

– Ja dziękuję – mruknął Bentz. Hayes tylko pokręcił głową.

– Jakby co, dajcie znać. – Odwróciła się szybko i podeszła do stolika, przy którym przed chwilą usiadły cztery kobiety.

Ledwie zniknęła, Hayes stwierdził:

– A więc chcesz, żebym za pomocą środków wydziału pomógł ci ustalić, kto się z tobą droczy.

– Mógłbyś współpracować z Montoyą z Nowego Orleanu. Jak mówiłem, już się tym zajmuje.

– Jasne. Połączymy siły, żeby rozwiązać... Och, zapomniałem, nie ma przestępstwa, nie ma zagadki do rozwiązania. – Hayes wbił wzrok w kotlet, sos jabłkowy i chleb kukurydziany.

– Podsumujmy: przyjechałeś do Kalifornii z powodu stempla pocztowego i zdjęć.

– Uważałem, że tutaj powinienem zacząć.

– Jak już powiedziałem, ktoś się z tobą drażni.

– To już wiem. Ale dlaczego?

– Ty mi to powiedz.

– Właśnie tego usiłuję się dowiedzieć. – Hayes nic się nie zmienił, nadal trzeba go było odpowiednio ustawić. – Po kolei: muszę się przede wszystkim dowiedzieć, czy w trumnie na pewno leży Jennifer.

– Co? – Mało brakowało, a Hayes upuściłby widelec.

– Pochowano ją w czasach, gdy testy DNA nie były tak powszechne jak dzisiaj. – Bentz mówił z pełnymi ustami. – Wtedy ta technologia była jeszcze w powijakach.

– I co, chcesz, żeby sprawdzono DNA? Bo co? – Jonas wymachiwał widelcem. – Bo myślisz, że to nie Jennifer tam leży? Że naprawdę nadal żyje?

– To dopiero początek.

– Cholera.

– Załatwisz mi te akta?

– A właściwie dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo w przeszłości nie raz i nie dwa ratowałem twój czarny tyłek z opałów. To prawda.

Kiedy Hayes rozwodził się z pierwszą żoną, Alondą, Bentz go krył. Fakt, że żona zostawiła go dla innej kobiety, strasznie namieszał w życiu Hayesa. Zdaniem Bentza zdrada to zdrada, nieważne z kim sypiasz, ale Hayes, kobieciarz, był załamany. Przez kilka miesięcy balował co noc, do świtu, dowodził swojej męskości, podrywając wszystkie dziewczyny, i, dosłownie, pieprząc sobie życie.

Na szczęście wziął się w garść, choć przez pewien czas było z nim źle.

– No dobra – mruknął niechętnie. – Zobaczę, co da się zrobić.

– Być może będę też potrzebował pomocy przy nakazie ekshumacji.

– Ekshumacji? Boże drogi, coraz lepiej – jęknął Hayes. ale nie protestował więcej, dopił szkocką i zaatakował wystygły kotlet wieprzowy.

Trzask!

Lucy Springer odwróciła się, spojrzała na skraj parku i przyspieszyła kroku. W mroku nie kryło się nic niebezpiecznego, nieco dalej starszy facet wyprowadzał psa na spacer. Psisko, siwy chart, obsikiwało drzewo. Ale noc była ciemna, nadciągała gęsta mgła, sprawiając, że w błękitnym świetle latarni wszystko wydawało się nieostre, niewyraźne.

Poczuła dreszcze na ramionach. Serce zabiło jej szybciej.

Ulica była za... cicha.

– Jezu. – Skarciła się w myślach, że jest mięczakiem, gapą, jak powiedziałby jej chłopak Kurt. Musi się wziąć w garść. Z komórką w dłoni zatrzymała się na rogu, na światłach.

Wcisnęła guzik i na wyświetlaczu pojawił się telefon siostry. Zaczęła pisać.

Trzask!

Gwałtownie podniosła głowę, odwróciła się za siebie. Co to za hałas? Brzmi inaczej, niż kiedy stanie się na gałązkę. Raczej ostry, twardy dźwięk. Powinna go znać.

Nikogo nie widziała. Tylko starszy facet i pies – szli w przeciwnym kierunku.

Ponieważ na ulicy nie było żadnych samochodów, zignorowała czerwone światło, weszła na jezdnię i dalej pisała do Laney.

„Wiesz co?

Mamy prawie 21 lat.

Pełnoletnie.

W Silvio o 23.00! O północy ja stawiam.

Balujemy!”

Dziwne, że siostra nie odpisuje, nie oddzwania. Od wieków planowały tę imprezę! No, może nie do wieków, ale od dwudziestu jeden lat. W końcu będą pełnoletnie! Więc dlaczego, do cholery, siostra jej nie odpisuje?

Dziwne.

Nie w stylu Laney.

Otworzyła furtkę i weszła na teren osiedla, gdy zaćwierkał jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz i machinalnie zarejestrowała trzask zamykanej furtki za plecami.

Wiadomość od Laney!

W końcu. To był MMS – na wyświetlaczu pojawiło się niewyraźne zdjęcie siostry. Laney miała oczy rozszerzone strachem i czerwony knebel w ustach. Wydawała się śmiertelnie przerażona!

Co?

– O Boże – szepnęła Lucy. Serce waliło jej jak oszalałe, strach paraliżował.

Więc to tak?

A potem zaskoczyła.

To koszmarne zdjęcie to kawał.

– Idiotka – mruknęła Lucy pod nosem.

Chociaż musiała przyznać, że przerażenie na twarzy siostry wyglądało bardzo autentycznie. No pewnie. W końcu Laney studiowała aktorstwo. Ba, dostała nawet stypendium! I już występowała w kilku reklamach! Laney umiała odgrywać różne emocje, a jej znajomi ze studiów znają się na odpowiedniej charakteryzacji. I na fotografii.

Mimo to Lucy była przerażona.

– Kiepski dowcip – powiedziała na głos i znieruchomiała.

Usłyszała cichusieńki odgłos... Oddech? Niemożliwe. Furtka się za nią zamknęła...

Dobiegła do drzwi, weszła do środka i jednocześnie pisała szybko.

„Przez chwilę mnie nabrałaś.

Do wieczora”.

Szukała kluczy w torebce i zobaczyła kota sąsiada – siedział na werandzie. Przyglądał się jej okrągłymi ślepiami, w których odbijało się światło pojedynczej żarówki.

– Cześć, kotku.

Srebrny kocur znieruchomiał na moment, a potem zeskoczył na betonową posadzkę, prześlizgnął się pod poręczą i pobiegł w stronę zarośli. Na skraju żywopłotu odwrócił się i warknął nisko, groźnie.

Szalony kocur!

– Ej, kotku, to ja, Lucy!

Kot wyprężył grzbiet, zasyczał groźnie, błyskając wielkimi, okrągłymi ślepiami, szczerząc ostre jak igielki kły, i zniknął w krzakach.

– Na rany boskie, co cię ugryzło? – zapytała i wtedy to poczuła, obcy zapach w powietrzu. Dym papierosowy? Albo...

Trzask!

Tym razem odgłos był tak blisko, że podskoczyła. Mało brakowało, a zaczęłaby krzyczeć.

Kątem oka dostrzegła ruch w ciemności. Rzuciła się na nią postać, ciemna, niewyraźna.

Co?

W jej dłoniach widniał skórzany rzemień. Boże, nie!

Chciała wołać ratunku, chciała biec, ale było już za późno. Złapał ją za ramię, przyciągnął do siebie.

– Au – jęknęła, tracąc dech, gdy skórzany rzemień zaciskał się na jej szyi.

Co jest?

Przeszył ją ból.

Nie mogła oddychać, nie mogła krzyczeć. Nie mogła kaszleć. O Boże, ten ból!

Szarpała rzemień, chcąc wbić paznokcie pod śliską skórę. Na darmo.

Słyszała szybki, gwałtowny oddech napastnika; rozkoszował się jej cierpieniem. Mocniej zacisnął pętlę.

Kto? Kto chce mnie zabić?

Dlaczego?

Płuca domagały się tlenu. Wierzgała nogami na oślep, desperacko, w nadziei, że kopnie napastnika. Dyszała ochryple, spragniona choćby odrobiny powietrza.

Pomocy! Błagam, ludzie, ratunku!

Drapała się po szyi. Złamała paznokieć. Popłynęła krew. Kręciło jej się w głowie. A płuca, o Boże, płuca... Zaraz pękną! Napastnik brutalnie podciągnął pętlę wyżej; skóra wbiła się w miękkie ciało pod brodą.

Oczy wyszły Lucy na wierzch.

Całe ciało przeszył koszmarny ból.

Umrze! Tu, pod własnymi drzwiami!

Szarpała się histerycznie w nadziei, że kopnie napastnika lub drzwi, że narobi hałasu!

Obudzi sąsiadów! Zrobi, co tylko się da!

Myśli wirowały jej w głowie, urwane wizje rodziców w domu; jeszcze nie wiedzą, że już nigdy jej nie zobaczą, i babcia w Santa Barbarą, i jeszcze Kurt, jej niby chłopak...

Oczy uciekły jej pod czaszkę, płuca daremnie domagały się tlenu, wola życia uciekała z bezwładnego ciała. Ręce i nogi były ciężkie jak z ołowiu. Marzyła tylko o jednym – hańsice powietrza. Nie mogła już walczyć, nie zdołała zachować przytomności.

Ręce jej opadły i jak przez mgłę czuła, że napastnik pozwala jej się osunąć na betonową posadzkę.

Zanim otoczyła ją litościwa ciemność, Lucy pomyślała jeszcze o Laney... Słodkiej, ufnej, głupiutkiej Laney.

Rozdział 11

Bentz wrócił? – Russ Trinidad zmarszczył brwi nad drinkiem. Przyglądał się szkockiej w swojej szklance, jakby liczył, że w alkoholu znajdzie rozwiązanie wszystkich zagadek wszechświata.

Hayes zaprosił go na drinka po pracy, co już samo w sobie było nietypowe. Nic dziwnego, że Trinidad, podejrzliwy z natury, był wyjątkowo spięty.

– Po diabła wracał?

– Chodzi o jego byłą.

– Jennifer? – zachnął się Trinidad, spoglądając na malutki wodospad: woda spływała z pędów bambusa, a w tle grała cicha japońska muzyka. – To dopiero była niezła sztuka, mówię ci. Chociaż właściwie nigdy dobrze jej nie znałem.

– No to miałeś szczęście – mruknął Hayes.

Trinidad mierzył niecałe dwa metry wzrostu, był więc niższy od Hayesa, ale zachował

wojskową postawę. W jego świecie czarne jest piękne, a gładko wygolona czaszka jest równie atrakcyjna jak szopa włosów. Siedzieli w niewielkim barze w Little Tokio, niedaleko Parker Center, wieżowca, w którym mieścił się wydział zabójstw LAPD, Los Angeles Police Department, ale na tyle daleko, że policjanci zaglądali tu z rzadka. Trinidad kończył drugą szkocką Hayes męczył się z pierwszą sake.

Hayes zdecydował się zwierzyć właśnie jemu, bo Trinidad, były partner Bentza, był

jednym z nielicznych sprzymierzeńców Ricka w wydziale. Ale Bentza nie było w mieście tak długo, że nawet ten policjant, którego niewiele już dzieliło do emerytury, odnosił się podejrzliwie do jego powrotu.

– Dobra, słucham. – Trinidad wypił łyk szkockiej, zobaczył coś dziwnego w szklance, wyjął to wyćwiczonym gestem i pociągnął kolejny łyk. Nie zwracał sobie głowy wołaniem kelnerki. – Opowiadaj o starym, dobrym Bentzu.

I Hayes opowiedział.

Opowiedział mu o spotkaniu z dawnym kolegą, o zdjęciach, na których widnieje nieżyjąca żona Bentza, tu, w Los Angeles.

– Więc uważa, że ona żyje? – Trinidad zmarszczył brwi i dopił whisky do końca. – Sam ją zidentyfikował.

– No tak, ale była mocno pokiereszowana.

– Łykasz to? – Trinidad uniósł brwi. – Moim zdaniem to stek bzdur.

– Niczego nie kupuję. Sprawdzam. Jediną osobą, która wystąpiła o wydanie aktu zgonu Jennifer, był sam Bentz. Nikt inny tego nie zrobił. – Hayes nerwowo bawił się kieliszkiem. –

No wiesz, nie wykluczam, że mu odbiło.

Mało brakowało, a zginąłby od uderzenia pioruna. Przez pewien czas był w śpiączce.

– A potem się ocknął i zobaczył martwą żonę – zachnął się Trinidad. – Super.

– Albo mu odwala. – Hayes wypił łyk sake. Przyglądał się parze Azjatów. Usiedli niedaleko od nich. – Dał mi kopie aktu zgonu i fotografii, które mu przysłano. Oryginały sprawdzają teraz w laboratorium: odciski, DNA...

– Więc nie będziesz dla niego nadstawiał karku, co? Nie możesz nic zrobić bez oryginałów, a nawet jeśli ci je da, moim zdaniem popełnisz błąd, angażując się w to.

– Nie ma o czym mówić. Nie dał mi oryginałów. Ale wydawało mi się, że jesteś jego przyjacielem.

Trinidad wzruszył ramionami.

– Przyjaciół nie podsycy paranoi. – Pochyliwszy się nad stolikiem, zniżył głos: – Rick Bentz to bomba zegarowa. Po tym, jak zastrzelił dzieciaka Valdezów, prawie wybuchł, choć to było zrozumiałe. A potem nigdy nie wziął się w garść. Myślałem, że w Nowym Orleanie jakoś się pozbierał. Wieść niesie, że rozwiązuje tam najtrudniejsze sprawy o morderstwo, że jest lokalnym bohaterem. Ale był czas, kiedy tyle brakowało – podniósł dłoń i złączył kciuk i palec wskazujący – by mu odbiło. I teraz w końcu do tego doszło. Wiesz, co ci radzę?

Powiem to, chociaż wcale nie prosiłeś o poradę. Trzymaj się z daleka od tego, co kombinuje.

– Jeszcze nic nie zrobiłem.

– No cóż, problemem jest właśnie Jeszcze”, prawda? – Trinidad zacisnął usta.

Azjatka przy barze roześmiała się głośno, zamówiła drinka. Jej towarzysz delikatnie, ale stanowczo masował jej kark. Nie przestawał ani na chwilę. Pewnie już mu staje, ocenił

Hayes. Młoda miłość. Znał to uczucie.

Trinidad pomacał się po kieszeniach, znalazł papierosy. Wyjął jednego, wsunął do ust, skinął na kelnerkę po rachunek – nie zwracał sobie głowy dyskusją z Hayesem, kto zapłaci.

Razem wyszli na ulicę zalaną światłem zachodzącego słońca, które odbijało się w przeszklonej fasadzie wieżowca. Nieco dalej widniała wieża katedry; hiszpańska architektura stanowiła kontrast dla geometrycznych, prostych brył wieżowców w centrum Los Angeles.

Trinidad zapalił i głęboko zaciągnął się dymem. Szli zatłoczonym chodnikiem.

– Z Bentza był naprawdę dobry gliniarz. Ta sprawa z dzieciakiem Valdezów go rozwaliała.

– Pokręcił głową. – W dodatku jego żona pieprzyła się z jego bratem. Kurde. Kto by to wytrzymał? – Skręcili w uliczkę, w której Trinidad zostawił swój wóz. – A ja się wybieram na emeryturę. – Wypuścił kłęb dymu z płuc. – Grzebanie się w starych aktach? Ekshumacja zwłok, choć wszyscy wiedzą, kto jest w trumnie? Niepotrzebne mi takie gównno.

– A jeśli Jennifer Bentz nie zginęła?

– Owszem, zginęła. Nie potrzebujemy DNA, żeby to wiedzieć. Jej samochód. Jej zwłoki zidentyfikowane przez jej męża. Żadna inna osoba z rejestru zaginionych nie pasuje do opisu.

– Tego nie wiemy.

– Mówię tylko, że Rick Bentz ma tendencję do naginania przepisów tak, że czasem je łamie, a ja już się w to nie bawię. Został mi niecały rok do emerytury. Nie chcę tego zepsuć.

Ale wyraz jego twarzy przeczył słowom. Cisnął niedopałek na ulicę, zgasił go bardziej energicznie niż trzeba.

– Cholera. – Spojrzał w niebo, potrząsnął głową. – Cholerny Bentz. Dlaczego wraca akurat teraz? Widzi duchy, wprowadza zamęt? Sukinsyn zostawił mnie z całym syfem.

Innych też. Zostawił niedokończone sprawy, niektóre tak pokręcone, że nigdy ich nie rozwiązaliśmy.

Hayes przypomniał sobie najgłośniejszą z nich, podwójne morderstwo. Śledztwo utknęło w martwym punkcie, gdy śmierć Jennifer Bentz wykoleiła życie jej męża. Bliźniaczki Caldwell... Morderca żył bezkarnie; nie zostawił właściwie żadnych dowodów, nie licząc okaleczonych ciał. Wtedy Bentz był już strzępem człowieka, wiecznie pijanym awanturnikiem.

– Bentz w życiu nie poprosiłby o coś niezgodnego z prawem – zauważył Hayes.

Trinidad otwierał drzwiczki wozu.

– Jasne. – Wsunął kluczyk do stacyjki i spojrzał na Hayesa. – Znasz to przysłowie:

„Wierzysz w to? W takim razie mam bagna na Florydzie, które chętnie ci sprzedam”.

– U Disneya zadziałało.

Trinidad błysnął zębami w uśmiechu.

– Myśl tak dalej. Ale uważaj.

– Więc mu nie pomożesz.

– W czym? W poszukiwaniu byłej martwej żony, która sfingowała własne samobójstwo i zabiła inną kobietę, którą znaleźliśmy we wraku?

– Tak.

Trinidad pokręcił głową.

– O nie, bracie. Odjechał z piskiem opon.

Hayes wsiadł do wozu, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszał z miejsca, gdy zadzwoniła jego

komórka. Włączył się w strumień samochodów i zerknął na wyświetlacz.

Riva Martinez. Jego partnerka.

– Hayes – rzucił do telefonu. – Co jest?

– Mamy podwójne morderstwo. Dwie kobiety znalezione w magazynie koło stodzieści.

– Podała mu dokładny adres i dodała: – Chyba bliźniaczki.

– Co? Chwileczkę. – Miał gonitwę myśli, powtarzał sobie, że musi się uspokoić.

Wyciągał za daleko idące wnioski. Spotkanie z Bentzem przypomniało mu sprawę sióstr Caldwell, nierozwiązane podwójne morderstwo sprzed dwunastu lat.

– Jakiś problem? – zapytała Martinez.

– Bliźniaczki? – Mówił powoli mimo adrenaliny buzującej w żyłach. – Identyczne?

– Chyba tak, wkrótce się dowiemy. Pospiesz się.

Rozłączyła się, a Hayesa ogarnęło bardzo złe przeczucie. Nacisnął pedał gazu.

Bentz nigdy nie uporał się z morderstwem sióstr Caldwell. Zabójca pozostał na wolności.

Jakimś cudem zniknął z powierzchni ziemi, a przynajmniej z południowej Kalifornii.

Oczywiście były różne hipotezy. Jedni sądzili, że siedzi, że trafił za kratki za inne przestępstwo, ale nigdy nie połączono go z morderstwem bliźniaczek Caldwell, inni byli zdania, że umarł. Albo że przestał zabijać, choć tego akurat nie twierdzili policjanci. Nikt w wydziale nie wierzył, że sadystyczny morderca dał sobie spokój z zabijaniem i przerzucił się na golfa albo wędkarstwo.

– Cholera.

Hayes nie zwracał uwagi na ograniczenia prędkości, włączył koguta i docisnął gaz do dechy. Zadzwoił do Trinidad, pochmurny i przygnębiony.

Jakim cudem w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od powrotu Bentza do Los Angeles powtarza się morderstwo, które zakończyło jego karierę w tym mieście?

Zbieg okoliczności?

Czy wyrachowana kalkulacja?

Ostatnie dwadzieścia cztery godziny okazały się, z perspektywy Bentza, bezowocne.

Coraz więcej ślepych zaułków. Pojechał znowu do Santa Monica, zaparkował, spacerował po bulwarze. Na moło wyobraził sobie Jennifer. Siebie. I Jamesa.

Odwiedził zakątki, w których za jej życia bywali razem. Bude z hamburgerami niedaleko uczelni, gdzie zajadali frytki. Bar na Sepulveda, gdzie za jej namową po raz pierwszy wypił

drinka cosmos. Romantyczną włoską knajpę, gdzie siedzieli naprzeciwko siebie, a jej dłoń błędziła po jego udzie. Ale lokal Ernesto zniknął. Budynek przebudowano, a jedyną restauracją był teraz tajski bar z daniami na wynos. Kierowany dziwnym poczuciem ironii, kupił curry z dużą ilością czosnku.

Minął budkę telefoniczną przy Wilshire, wiedząc, że nic mu to nie da, ba, pojechał nawet na tamten przystanek przy Figueroa, na którym ostatnio widział kobietę podobną do Jennifer.

Czekał dwie godziny – zjawiał się godzinę przed tym, jak ją widział poprzedniego dnia, odszedł godzinę później. Wszystko na darmo. Ani śladu kobiety w cytrynowożółtej sukience.

Ani śladu Jennifer. I choć ustalił trasę tego autobusu, niewiele to wniosło do jego śledztwa.

Zamówił pizzę na wynos, zabrał ją do motelu i zjadł kilka kawałków pochylony nad notatkami. Koncentrował się na informacjach uzyskanych od Shany McIntyre. Powiedziała mu więcej, niż się spodziewał, ale i tak nie sądził, żeby Jennifer się z nią kontaktowała.

Odnalazł kierowcę autobusu, w którym, jak sądził, widział Jennifer. Kierowca, kobieta koło pięćdziesiątki o siwych, nastroszonych włosach i znudzonym wyrazie twarzy, nie przypominała sobie nikogo podobnego do Jennifer. Oczywiście nie miała pewności, ale twierdziła, że kobieta ze zdjęcia nie należy do stałych pasażerów jej linii.

Kolejny ślepy zaułek.

Za dużo tego naraz.

Zadzwoił do następnych osób z listy, ale nikogo nie zastał, wszędzie zostawił

wiadomości. Myślał o pozostałych przyjaciółkach Jennifer. Czy okażą się bardziej pomocne niż Shana?

No i jeszcze Alan Gray. Ciekawe, co się stało z tym bogatym dupkiem. W Internecie znalazł niewiele, ale jeśli wierzyć skrawkom artykułów, Gray ma dom w Palm Desert i ciągle gra w golfa. I to nieźle, sądząc po jego pozycji w rankingu amatorów.

Zostawił wiadomość na poczcie głosowej Hayesa, ale Jonas nie oddzwaniał; pewnie jeszcze niczego się nie dowiedział. Nie on jeden, stwierdził ponuro. Wentylator poruszał

żaluzjami, zza których do pokoju wpadało ostre słoneczne światło przefiltrowane przez zakurzoną szybę.

Nic nie trzyma się kupy, stwierdził Bentz. Zerknął w okno. Kształtna kobieta około trzydziestki poprawiała osłonę przeciwsłoneczną w wiekowym cadillacu. Zadowolona, wzięła torebkę z fotela pasażera, zarzuciła ją sobie na ramię, zamknęła samochód. Obejrzała się przez ramię i weszła do

pokoju z widokiem na basen.

Pomyślał o mieszkańcach zapyziałego motelu. Wszyscy mają swoje tajemnice, ukryte prawdy, które tamszą w pokojach z wytartą wykładziną, zepsutą toaletą i miniaturową lodówką, w której z trudem zmieści się sześciopak piwa.

Odszedł od okna i usiłował się skupić.

Ten dzień okazał się posępnym spacerem aleją wspomnień, ale w żaden sposób nie pomógł mu stwierdzić, czy Jennifer żyje, czy nie.

Z trzecim kawałkiem pizzy z pepperoni i oliwkami w dłoni zastanawiał się, po co w ogóle przyjechał do Los Angeles. Może wszyscy mają rację. Może rzeczywiście ugania się za duchem. Może ten, kto wysłał zdjęcia i akt zgonu, tylko robi sobie z niego żarty, wiedząc, że Jennifer nie daje mu spokoju, odkąd odzyskał przytomność. Może świr wykorzystuje to, by doprowadzić go do obłądu.

Tylko kto wiedział, że po odzyskaniu przytomności widział jej postać? Tylko Kristi i jeszcze jedna czy dwie pielęgniarki. Nikt inny, chyba że coś wypaplały komuś, kto mu źle życzy.

– Cholera. – Zamknął pudełko z pizzą, wytarł ręce i zadzwonił do żony, do kobiety, którą kochał. Która czeka na niego w ich domu pod Nowym Orleanem. Która robi, co w jej mocy, by mu zaufać.

Olivia nie odebrała. Nie zostawił wiadomości. Niby co miał powiedzieć? Że ją kocha?

Wie o tym. Że za nią tęskni? Więc dlaczego nie siedzi w samolocie do Luizjany? Że nie wie, co właściwie robi w Los Angeles? Więc dlaczego nadal tu jest?

Pomyślał o rozmowie z Shaną. Jutro do miasta wraca Tally White – tak przynajmniej powiedziała mu sekretarka w firmie ubezpieczeniowej, w której pracowała. Nie udało mu się na razie skontaktować z Lorraine, przyrodnią siostrą Jennifer. Były oczywiście jeszcze inne koleżanki i przyjaciółki, ale Shana, Tally i Lorraine znajdowały się na początku listy osób, którym była żona mogła zaufać. No i jeszcze Fortuna Esperanzo, przyjaciółka z galerii.

Oczywiście z wielką chęcią porozmawiałby o niej z ojcem Jamesem – Jamesem, jego własnym cholernym bratem, ale to niemożliwe. James nie wstanie z martwych, nie odstawi Łazarza. Bentz był pewien, że kapłan nie żyje; niemal dałby sobie rękę uciąć, że smaży się w piekle.

Z Jennifer?

Na to pytanie nie znał odpowiedzi.

Zgaga dawała mu się we znaki. Wyjął rolkę tabletek z kieszeni, zażył, odszukał kluczyki.

Ze zmarszczonymi brwiami spojrzał na laskę opartą o ścianę, zabrał ją w końcu, wziął też kurtkę i wyszedł na kalifornijski skwar. Zamknął swój pokój i ruszył betonową alejką do samochodu. Po drodze minął faceta z psem. Spike obwąchiwał popękany asfalt – albo szukał

resztek jedzenia, albo miejsca, żeby się załatwić. Bentz skinął głową jego właścicielowi i wsiadł do samochodu.

Miał już dosyć motelu i obskurnych ścian.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i nacisnął pedał gazu. Czas wyskoczyć do San Juan Capistrano. Przy odrobinie szczęścia obróci tam i z powrotem i jeszcze zostanie mu trochę czasu, zanim zapadnie noc.

Hayes zahamował z piskiem opon pod kładką. Drogówka już urządziła blokadę, kontrolowała ruch dokoła magazynów. Światła syren pulsowały pod wiaduktem dźwigającym autostradę.

Gapie – wśród nich ciekawscy z komórkami, którymi pstrykali zdjęcia – tłoczyli się za taśmą koło rampy. Dwaj policjanci dyrygowali ruchem – zaintrygowani kierowcy zwalniali, istniało realne zagrożenie, że powstanie tu korek. Funkcjonariusze w mundurach pilnowali wejścia na teren magazynu. Pomarańczowe pachołki połączone żółtą taśmą skutecznie trzymały gapiów na dystans.

A mimo to ludzie gromadzili się dokoła. Nad ich głowami szumiały silniki samochodów.

Wóz transmisyjny stacji KMOL stał trochę dalej na chodniku, żeby nie blokować przejazdu.

Joanna Quince, szczupła blond dziennikarka, i potężny kamerzysta szli w stronę miejsca zbrodni. Nad ich głowami huczał helikopter innej lokalnej stacji telewizyjnej. Monotonny szum autostrady zagłuszał warczenie silnika.

Hayes zaparkował w niedozwolonym miejscu, po czym zaczął się przebijać przez tłum gapiów i policji. Minął wóz ekipy z laboratorium. Specjaliści kryminalistyki już pracowali.

Szukali odcisków palców, stóp, włosów, czegokolwiek, co pomoże zidentyfikować mordercę.

Dokoła trzaskały aparaty fotograficzne, kamerzysta filmował wszystko, ktoś inny pochylał się nad taśmą mierniczą. Hayes podniósł wzrok w poszukiwaniu kamery przemysłowej, ale urządzenie było zepsute; obiektyw zwisał smętnie z zardzewiałego drąga.

Tyle, jeśli chodzi o zapis na taśmie filmowej.

Martinez, drobna kobieta o wściekle rudych włosach i ostrym języku, stała w drzwiach ósemki i energicznie machała do Hayesa.

– Spójrz tylko – powiedziała z ledwie słyszalnym hiszpańskim akcentem. – Ale ostrzegam, to nie jest przyjemny widok.

Hayes przygotował się i w pierwszej chwili nie patrzył na ofiary. Wbił wzrok w zakurzoną cementową posadzkę, a na niej – rzędy słoików z gwoździami, połamany leżak...

Nawet teraz, po tylu latach, nie przywykł do widoku zwłok. Drażniły go widok i zapach, wdzierały się pod skórę, do mózgu, nie dawały spokoju całymi dniami. Zazwyczaj udawało mu się to ukryć.

Ale nie dziś.

Spojrzał na zwłoki bliźniaczek, które wyglądały, jakby dopiero co ukończyły szkołę średnią i nie zdołał ukryć bólu, który przeszył go na wskroś.

Ułożono je starannie – skrupowane, zakneblowane, nagie, w pozycji embrionalnej. Na ich szyjach widniały sińce i zadrapania. Leżały twarzami do siebie, w otwartych oczach odbijał

się blask żarówki. Pustym wzrokiem wpatrywały się w siebie. Błada skóra była tak jasna, że niemal niebieska. Ich długie włosy przewiązano czerwoną wstążką. Ta sama wstążka wiązała je, łączyła. Wyglądały jak makabryczne odbicie w lustrze.

Leżą, jakby nadal były w łonie matki. Zupełnie jak bliźniaczki Caldwell.

Hayes zacisnął usta.

– Nazwiska? Dane?

– Tak... mamy ich ubrania, torebki, nawet biżuterię i telefony komórkowe. I akty urodzin.

Data i godzina urodzin zaznaczone na różowo.

Martinez wskazała róg pomieszczenia. Tam, na podłodze, leżały dwa schludne stosiki – ubrania i przedmioty osobiste dziewcząt.

Schludne, starannie zaaranżowane miejsce zbrodni, pomyślał Hayes, schylając się nad ubraniami. Widział to już. Na każdym stosiku leżał akt urodzenia – godzinę i datę urodzin zaznaczono różowym markerem. Pewnie ten sam tusz znajdują na ich ciałach. Oczywiście, jeśli to ten sam morderca, który zaatakował w Los Angeles dwanaście lat temu.

– Lucille i Elaine Springer – powiedziała Martinez. – Dzwoniłam do wydziału osób zaginionych. Sprawdzają.

Jonas pomyślał o swojej córce. Ma dopiero dwanaście lat, ciągle taka niewinna. Umarłby, gdyby stracił Maren, a gdyby ktoś celowo odebrał jej życie... Poczul smak żółci w ustach i ponownie skupił się na tym, co miał przed sobą.

Zrobiono już zdjęcia, zmierzono temperaturę zwłok; można było zabrać ciała. Poruszyć je. A Jonas wiedział, miał lodowatą pewność, co znajdują, gdy przewrócą je na plecy.

O Matko Boska.

– Coś ci to przypomina? – zapytał niski głos. Odwrócił się i zobaczył detektywa Andrew Bledsoe. Wyprostował się, skinął głową.

– Bliźniaczki Caldwell.

– Czy to nie zbieg okoliczności, że nasz przyjaciel Bentz akurat wrócił do Los Angeles? –

Nie wiadomo, jakim cudem Bledsoe zdobył się na krzywy uśmiezek, jakby bliźniaczki zawsze były tylko zwłokami, kolejną zagadką do rozwiązania.

Martinez zmarszczyła brwi, zacisnęła usta. Spojrzała na Bledsoe z gniewem w ciemnych oczach.

– Po co tu przyjechałeś?

Choć miał już po pięćdziesiątkę, należał do tych mężczyzn, którzy zawsze wyglądają młodziej. Wysoki i w miarę szczupły, dbał o równomierną opaleniznę i starannie zaczesywał

ciemne włosy do tyłu. Zazwyczaj nosił garnitury szyte na miarę, a jego spojrzeniu niewiele mogło umknąć. Był dobrym policjantem. I dupkiem.

– Wracalem z miejsca zbrodni w Watts i usłyszałem w radiu.

– Jesteśmy zajęci. – Martinez nie ukrywała pogardy do Bledsoe. Zawsze ją drażnił. Hayes o tym wiedział, podobnie jak wszyscy w wydziale. Riva Martinez nie ukrywała swoich uczuć.

Odwróciła się plecami do Bledsoe i uklękła przy zwłokach. Hayes pochylił się nad drugą bliźniaczką.

– Zdrapania na szyi – mówiła Martinez cicho, jakby do siebie. – I cyfry, i litery na obu korpusach, poniżej piersi.

Przekaz, wypisany jaskraworóżowym flamastrem, nie pozostawiał wątpliwości. Na ciałach obu dziewczyn wypisano godzinę ich urodzin – dwadzieścia jeden lat temu – i godzinę śmierci – dokładnie dwadzieścia jeden lat później. Co do minuty. Jakby przestępca rozkoszował się tym, że pozbawia je życia w chwili, gdy stawały się dorosłe.

– Cholera jasna. – Hayesowi zrobiło się zimno mimo upału panującemu w ciasnym, dusznym pomieszczeniu.

Urodziły się z różnicą czternastu minut, więc tak samo umarły. Nie miał wątpliwości, że Elaine – młodsza, urodzona minutę po pierwszej – była świadkiem cierpień Lucille, uduszonej czterdzieści siedem minut po dwunastej. Zapewne tą samą wstążką, która teraz oplatała jej włosy, przeguby, kostki i usta. Hayes domyślał się, że na wstążce znajdą ślady skóry tam, gdzie wbiła się w miękkie ciało na szyi. I że znajdą jeszcze inne ślady na ich ciałach; dziewczyny oszołomiono, podduszono paskiem, a potem zamordowano wstążką, w którą wpleciono drut.

Każda z nich przeżyła dokładnie dwadzieścia jeden lat.

Zupełnie jak bliźniaczki Caldwell, ostatnia sprawa, nad którą RickBentz pracował w Los Angeles. Sprawa, która trafiła na półkę archiwum, gdy odszedł.

Choć mu się to nie podobało, musiał przyznać, że tym razem Bledsoe trafił w dziesiątkę.

Dlaczego zginęły akurat teraz, zaledwie kilka dni po rym, jak Rick Bentz wrócił do Kalifornii?

Rozdział 12

Idiota! – Olivia gniewnie spojrzała na komórkę.

Ścisłała ją w dłoni, ale nie wybrała numeru Bentza, denerwowała ją sama myśl o rozmowie. Co za idiotyzm! Nigdy nie była zastraszoną, zahukaną kobietką, której brak pewności siebie. Teraz jednak siedzi w saloniku z podkurczonymi nogami, nad filiżanką stygnącej herbaty na stoliku, i nie wie, co robić. Hairy S przycupnął na skraju sofy. Ciszę przerywał Bruce Springsteen – nastawiła jedną z płyt Bentza, ale domowy klimat nie przynosił pociechy.

Była jak sparaliżowana.

Nie wiedziała: zadzwonić do Ricka czy nie.

Chociaż widziała, że dzwonił, tylko się nie nagrał.

– Niech to szlag trafi – mruknęła i wybrała jego numer. Odebrał przed drugim dzwonkiem.

– Cześć – zaczął.

Wydawał się zadowolony, że ją słyszy. A może to ulga?

– Cześć.

– Co słychać?

– Tak tylko dzwonię – odparła.

Powiedz mu. Teraz. Nie musisz czekać, aż wróci. Niech wie, że jesteś w ciąży. Podkreśl, że bez względu na jego reakcję bardzo się z tego cieszysz, że już oglądasz ubranka i zastanawiasz się, gdzie postawicie kołyskę.

– Co robisz?

– Jadę do San Juan Capistrano.

– Do misji? Po co? Szukasz duchów? – zażartowała i przypomniała mu, że jaskółki co roku wracają do San Juan Capistrano. – Nie wiedziałam, że kręci cię podglądanie ptaków.

– Na jaskółki już za późno, tak mi się przynajmniej wydaje. Przylatują na wiosnę.

– Więc o co chodzi? – zapytała.

– Musiałem się wyrwać z zapluskwionego motelu.

– I poszukać Jennifer? Chwila ciszy.

– Może.

– Widziałeś ją ostatnio? – Nie zdołała ukryć sarkazmu. Niby kogo chciał nabrać?

– Nie wiem.

Chciała mu powiedzieć, że się wygłupia, ale ugryzła się w język i poszukała bezpieczniejszego tematu.

– Jak się czujesz? Jak noga?

– Nadal ją mam.

– Ćwiczysz?

– Codziennie.

– Kłamczuch. – Roześmiała się i usłyszała, że odpowiada tym samym.

– A co nowego u ciebie?

Zebrała resztki odwagi, postanowiła, że powie mu to prosto z mostu i niech się dzieje, co chce, ale akurat w tym momencie Hairy S usłyszał coś na zewnątrz i zaczął szczekać jak szalony.

– Cicho bądź! – zawołała. Bentz znowu się roześmiał.

– Bomba. Dzwonisz po to, żeby kazać mi się zamknąć.

– Chyba już ci mówiłam, że wspaniała ze mnie żona.

– Wiem, Liwie... co najmniej milion razy... – Jego słowa ginęły w szumie, nie wszystko do niej docierało.

– Nie słyszę cię, głos ucieka. – Za późno. Przerwano połączenie i Olivia powiedziała do martwej słuchawki: – A tak przy okazji, kolego, po raz drugi zostaniesz ojcem.

Ale on, oczywiście, tego nie słyszał, i uznała, po raz kolejny, że przekazywanie takiej nowiny przez telefon to kiepski pomysł.

W ogóle wygląda na to, że ostatnio tylko takie przychodzą jej do głowy. Zniosła filiżankę do kuchni, zostawiła w zlewie i spojrzała w okno. Sierp księżyca wschodził na rozlewiskiem, oświetlał cyprysy i sosny rosnące na podwórzu. Na niebie migotały gwiazdy, a gdy otworzyła okno, powitał ją żabi rechot tak głośny, że Jon Bon Jovi mógłby się schować.

Nasypała karmę Chii, pogadała z nią, a potem, niespokojna, weszła na bieżnię. Poczeka, aż Rick wróci do Luizjany, a jeśli jego pobyt w Kalifornii się przedłuży, sama tam poleci i powie mu o ciąży,

stając z nim oko w oko.

– Pięć dni, Bentz – powiedziała z palcem na ustach. – Masz pięć dni. A potem – witaj, Kalifornio.

– Kto znalazł ciała? – zapytał Hayes.

Zadowolony, że wyszedł z ciasnego pomieszczenia, oddychał pełną piersią i smogiem, który spowijał autostradę w godzinach szczytu. Co z tego, że pod wiaduktem kłębią się spaliny? Przynajmniej nie dławi go smród śmierci.

– Studentka, Felicia Katz. – Riva Martinez wskazała wóz patrolowy, w którym siedziała dziewczyna na tylnym siedzeniu. Tępym wzrokiem gapiła się w okno. – Studiuje na USC, ale trzyma tu część rzeczy. Przyjechała dzisiaj po coś – zdaje się po stary leżak. Zajmuje siódmkę. – Martinez wskazała magazyn obok pomieszczenia, w którym leżały bliźniaczki. –

Zauważyła, że drzwi do ósemki nie są zamknięte, a zamek jest popsuty. Myślała, że ktoś się włamał i wszystko wyniósł, więc zajrzała.

– No, to miała nie lada niespodziankę – wtrącił się Bledsoe.

Hayes poczuł skurcz żołądka na samą myśl o dziewczętach badanych teraz pobieżnie przez koronera. Zaraz ich zwłoki zostaną włożone do plastikowych worków i trafią do kostnicy. Zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu były młode i niewinne. Zapewne szykowały się na urodziny. Martinez mówiła dalej:

– A więc Katz zobaczyła ofiary, napisała SMS do chłopaka i zadzwoniła po policję.

Hayes zerknął na dziewczynę w wozie patrolowym.

– Dlaczego najpierw chłopak?

– Twierdzi, że spanikowała.

– Jasne. – Znowu Bledsoe.

– Co o nim wiemy?

– Robert Finley, znany jako Robbie. Barista w kawiarni za dnia, nocą – perkusista w zespole grunge'owym. Pojawił się tuż po pierwszym funkcjonariuszu, to bodajże był Rohrs.

Siedzi w innym wozie, trzymamy go z dala od Katz, póki obojga nie przesłuchamy.

– Myślisz, że mają z tym coś wspólnego?

– Nie. A ty?

– Pewnie nie. – Hayes pokręcił głową.

– To znowu Morderca Dwadzieścia Jeden – stwierdził Bledsoe. Kręcił się tu, oglądając miejsce zbrodni.

– Kto? – zdziwiła się Riva.

Była stosunkowo nowa w wydziale i nie znała jeszcze wszystkich starych historii.

– Tak go nazwaliśmy. Zamordował już inne bliźniaczki, Deltę i Dianę Caldwell, też w ich dwudzieste pierwsze urodziny. Dwa dni wcześniej zgłoszono ich zaginięcie, więc przypuszczaliśmy, że je porwał, przetrzymywał, a potem zamordował, co do minuty, w momencie gdy kończyły dwadzieścia jeden lat.

– Znał je? – Riva zmrużyła oczy.

– Albo o nich słyszał. Nigdy go nie złapano. – Bledsoe spoważniał. – Ich rodzice wydzwaniali do nas co tydzień przez prawie sześć lat. Słyszałem, że się rozwiedli.

– I do tej pory nie było żadnej podobnej sprawy? – Riva spojrzała na schowek. – Czyżby naśladowca?

Bledsoe pokręcił głową.

– Niektórych szczegółów nigdy nie zdradziliśmy prasie ani opinii publicznej: czerwona wstążka, różowy marker. To, że ich ubrania zostały schludnie złożone, jakby zrobiła to matka czy pokojówka. – Wyjrzał zza ramienia Hayesa. – A skoro mowa o prasie...

Hayes odwrócił się i zobaczył Joannę Quince, agresywną reporterkę, którą widział już wcześniej. Rozmawiała z umundurowanym strażnikiem przy blokadzie. Skrzywił się i odwrócił, ale Quince zobaczyła ich i rozpoznała Bledsoe.

– Detektywie! – zawołała. – Odpowie pan na kilka pytań? Czy to prawda, że doszło do podwójnego morderstwa? Że w schowku znaleziono zwłoki dwóch dziewcząt?

– Zajmę się tym – mruknął Bledsoe.

Lubił dziennikarzy, to fakt, ale nie powie zbyt dużo. Odeśle Joannę Quince do rzecznika prasowego policji, który wyda oficjalne oświadczenie i odpowie na pytania, kiedy o tragedii dowiedzą się najbliżsi.

To zadanie – poinformowanie rodziny – spoczywało na barkach Hayesa. Rozmowa ze zrozpaczonymi bliskimi była dla niego równie przykra jak oglądanie zwłok.

Bentz przekraczał dozwoloną prędkość, mknąc piątką, autostradą, która ciągnęła się od Kanady po Meksyk. Słońce wisało nisko nad horyzontem, sznur samochodów, choć gęsty, posuwał się szybciej, niż kiedykolwiek tego doświadczył w Luizjanie. Myślał, że po powrocie do Los Angeles poczuje się tu jak w domu, jeśli nie w departamencie, to przynajmniej w mieście i okolicy. Przecież przeżył tu szmat życia.

Ale nie. Teraz tu nie pasował.

Rozmowa z Olivią zdenerwowała go i nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy nie popełnił wielkiego błędu, przyjeżdżając do Los Angeles. Po pierwsze, rozdrażnił żonę. Po drugie, jeśli Jaskiel w Nowym Orleanie dowie się, że na Zachodnim Wybrzeżu ugania się za nieboszczką, bez dwóch zdań wsadzi go do psychiatryka. Albo od razu wyśle na emeryturę, uzna, że kompletnie mu odbiło. Jego kariera w policji dobiegnie końca.

I co z tego? Przecież to nie tak, że wydział bez ciebie się zawali. Nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle wrócisz do czynnej służby.

Zacisnął dłonie na kierownicy i zmienił pas. Wóz meblowy śmignął koło niego. Zerknął na szybkościomierz. Sto dziesięć kilometrów.

Zadzwoniła komórka. Wyłączył radio i spojrzął na wyświetlacz. Montoya.

Dobrze. Cały czas myślał o rozmowie z Olivią. Teraz przynajmniej pomyśli o czymś innym.

Odebrał telefon.

– Najwyższy czas. Masz coś dla mnie?

– Niewiele. Żadnych odcisków, tylko twoje i moje. Bentz zaklął pod nosem.

– Chyba nie spodziewałeś się, że coś będzie.

– No nie, ale myślałem, że może los się do nas uśmiechnie. Że może facet coś spartaczył.

– Wątpię. Nie ma jeszcze wyników DNA, ale idę o zakład, że nie polizał koperty. Każdy wie, że tego się nie robi, wystarczy obejrzyć *CSI*, czy co tam chcesz.

– Miałem nadzieję – przyznał Bentz. Zobaczył znak zjazdu.

– Mamy wyniki badań rodzaju tuszu z aktu, ale pewnie niewiele ci to pomoże.

– Warto spróbować. – Bentz zwolnił, włączył kierunkowskaz i zmienił pas.

– Wiesz co? Powinieneś sobie odpuścić.

– Czyżby?

– Wiem, że ci odbija z lenistwa, ale, do cholery, nie możesz sobie znaleźć innego zajęcia?

– Czegoś mniej szalonego?

– Tak. Na przykład golf. Albo wędkarstwo. Przecież nad zatoką świetnie się łowi.

– Pomyślę o tym. Kupię sobie fajną wędkę, skoczę po nią w przerwie między jogą a kaligrafią.

– Niezły pomysł.

– Ale z tobą. Zapisz nas obu. I dorzuć jeszcze taniec towarzyski. Będziesz wyglądał zabójczo w sukni ze strusimi piórami.

Montoya nawet się nie uśmiechnął.

– Myślisz, że to zabawne?

– Ja to wiem.

Tym razem Montoya też się nie roześmiał.

– Widziałeś swoją eks?

Bentz zawahał się i zjechał z autostrady.

– Być może – przyznał, zwalniając na czerwonym świetle. – Nie jestem pewien.

– Naprawdę?

– Naprawdę. I dzwoniła do mnie. Nazywała mnie naszym zdrobnieniem.

– Jasne.

– Tylko ci mówię.

– I co z tym zrobisz?

Powiedzieć mu? Choć jest tak sceptycznie nastawiony? Właściwie dlaczego nie?

– Rozmawiałem z przyjaciółką Jennifer. Powiedziała, że James i Jennifer spotykali się w San Juan Capistrano, więc pomyślałem, że tam zajrzę.

– Żartujesz? A co to ma wspólnego z całą sprawą? Myślisz, że twój martwy brat też macza w tym palce? – Montoya zaklął po hiszpańsku i dodał:

– Brzmi coraz bardziej niesamowicie. Byłem w San Juan Capistrano. Kilka razy. W

mieście podobno roi się od duchów.

– Jak w Nowym Orleanie.

– Mówię poważnie. Tak zwana przyjaciółka Jennifer pogrywa sobie z tobą. San Juan Capistrano? Litości. Mówisz jej, że widzisz duchy, a ona cię tam wysyła? No nie.

– Ona nie jest duchem – powiedział, choć w głębi duszy miał wrażenie, że jest nawiedzony. Czuł się tak, jak tego chciał ten, kto tym wszystkim sterował. – Muszę kończyć.

– Nie wytrzyma dłużej drwin.

– Super. Pospaceruj po święconej ziemi, pogadaj z białą damą, mnichem bez twarzy czy trupem w fotelu bujanym. Albo z Jennifer, bo pewnie sądzisz, że z nimi trzyma. Jeśli ci się to uda, pozdrów ją ode mnie serdecznie.

– Pieprzę cię, Montoya – powiedział. Światło się zmieniło na zielone i ruszył w stronę misji.

– Chciałoby się, co? – Partner się rozłączył, a Bentz poczuł, że się uśmiecha.

Brakowało mu bezczelnego sukinsyna, tak samo jak brakowało mu pracy. Ale najbardziej brakowało mu Olivii.

– Sprawdź billingi komórkowe, SMS-y także; sprawdź wszystko. – Hayes wydawał

Martinez polecenia, gdy, opuściwszy miejsce zbrodni, szli do samochodu. – Dzięki nim powinniśmy ustalić, kiedy je porwano. Jeśli będzie jak w przypadku sióstr Caldwell, zamordowano je gdzie indziej, a tutaj tylko ułożono i zostawiono. Musimy się dowiedzieć, do kogo należy posesja i kto wynajmuje schowki, nie tylko ósemkę, wszystkie. Sprawdź, czy jest jakiś związek z bliźniaczkami Springer. Czy ktoś widział cokolwiek podejrzanego.

– Sprawdzę też kamery drogowe i zapisy wideo z kamer przemysłowych w okolicy.

Przeczesał teren, rozesłał umundurowanych funkcjonariuszy w poszukiwaniu ewentualnych świadków. Ze sklepu spożywczego i stacji benzynowej doskonale widać ciąg schowków. Może ktoś, klient albo pracownik, coś widział. Cokolwiek. Jeśli wierzyć napisom na ciałach, dziewczyny nie żyły już od ponad dwunastu godzin, a każda mijająca chwila bardziej komplikuje śledztwo.

– Powinniśmy sprawdzić wszelkie organizacje zajmujące się bliźniakami, tu, w okolicy.

Morderca wiedział, że są bliźniaczkami. Musiał wiedzieć, kiedy się urodziły, żeby je porwać tuż przed urodzinami. To oznacza staranne planowanie.

– Musimy też sprawdzić organizacje internetowe – podsunęła Martinez i zakres poszukiwań powiększył się dramatycznie.

– No tak.

– Nasz sprawca jest zorganizowany – zauważyła Martinez, przyglądając się miejscu zbrodni. – Metodyczny. Pewnie pedant.

– I zabija tylko raz na dwanaście lat – mruknął Hayes.

– Tak sądzimy. Skontaktuję się z policją w innych stanach i z FBI. Może działa w całym kraju.

Sprawdzę, czy w sąsiednich stanach nie było zabójstw bliźniaczek. Ba, sprawdzę w całym kraju.

– Poszukaj wśród niedawno zwolnionych z więzień. Może ostatnie dwanaście lat spędził w pudle.

– Sprawdzę. Interesuje nas każdy, kogo w ciągu ostatniego roku zwolniono pudła, a siedział za przestępstwo z uszkodzeniem ciała. – Może się okazać, że lista będzie długa.

– Nie daj, Boże. – Wolał nie myśleć, ile czasu im to zajmie. Doszli do samochodu Martinez. Otworzyła drzwiczki.

– Powiedz mi, o co chodziło Bledsoe? Co z tym wszystkim ma wspólnego Rick Bentz?

– Nic. To pewnie tylko zbieg okoliczności. – Hayes wyjął okulary z kieszeni i włożył je na nos. – Związek? Bledsoe pracował z Bentzem i Trinidadem nad sprawą bliźniaczek Caldwell.

Kiwała głową. Łączyła fakty.

– Bledsoe zawsze szuka kozła ofiarnego.

– Tylko o to chodzi? Nie o to, że żona Bentza spławiła Bledsoe? – zapytała. – Rankin coś o tym mówiła, kiedy dzisiaj rano wymieniono nazwisko Bentza.

– Rankin ma swoje stare zale – mruknął Hayes. Nie chciał się wtrącać w wydziałowe plotki, zwłaszcza dotyczące spraw sprzed lat.

– Tak, mówiła, że się spotykała z Bentzem.

– Jak wiele innych.

– Corrine O'Donnell też – zauważyła.

– Tak. – Skinął głową, oparł się biodrem o samochód i czuł, jak ciepło przenika przez materiał spodni. – I wiele innych. Na przykład Bonita Unsel. Pracowała w obyczajówce, zanim przeszła do zabójstw. Innych nie pamiętam. To już historia.

– Historia, która się wydarzyła, zanim Bentz wyjechał. – Zmarszczyła brwi. Obok nich przemknęła osiemnastokółowa ciężarówka. – Może nasz morderca nie tyle morduje bliźniaczki, ile drwi sobie z Bentza. Może wie, że wrócił.

– Możliwe – przyznał.

– Jak się skończyła sprawa sióstr Caldwell? – zainteresowała się. – Bentz się poddał i zamknął dochodzenie?

Hayes przecząco pokręcił głową.

– Nie. Facet był w rozsypce, ale to nie jego wina, w każdym razie nie tylko jego, że sprawę zamknięto. – Choć nigdy nie powiedział tego na głos, uważał, że Bentz powinien był

zrezygnować z tej sprawy na samym początku, zostawić ją w rękach Bledsoe albo Trinidadą.

Był już wtedy zaledwie cieniem samego siebie, pijakiem, który miał w nosie pracę. LAPD

chciało, żeby kierował dochodzeniem, które przykuwało uwagę opinii publicznej, stąd klęska okazała się jeszcze bardziej gorzka. – Zrobili z niego kozła ofiarnego.

– Bledsoe chyba nadal ma do niego pretensję. Hayes wzruszył ramionami.

– Bledsoe i Bentz zawsze skakali sobie do oczu. Pracowali razem nad tą sprawą, ale jak mówiłem, Bentz był szefem. Po jego odejściu Bledsoe przejął sprawę, ale zawsze go obwinał.

– Au.

– No właśnie. Nigdy za sobą nie przepadali. Rozdzwoniła się komórka Martinez.

– Zadzwoń, gdy tylko się czegoś dowiem. – Podniosła aparat do ucha. – Martinez.

Hayes zerknął na miejsce zbrodni, przeszedł wąską jezdnię i podszedł do swojego samochodu. Myślał, co trzeba zrobić, ile danych przejrzeć na początku każdego śledztwa.

Mając tyle roboty, będzie szczęściarzem, jeśli zobaczy córkę przed trzydziestymi urodzinami.

Rozdział 13

W mglistą noc po Nowym Orleanie rozpełzał się zapach rzeki Missisipi. Jadąc uliczkami Dzielnicy Francuskiej, Montoya czuł, jak ogarnia go mrok. Cały czas miał w uszach rozmowę z Bentzem.

Bentz zachowywał się jak idiota, uganiając się za duchem zmarłej żony, kiedy tu, w domu, czekała na niego prawdziwa, żywa kobieta. To bez sensu. Bentz, zazwyczaj pragmatyczny, nie grał całą talią. Najwyraźniej randka ze śmiercią wpłynęła na jego umysł. I to jak.

Na ulicach było niewiele aut, ale światła miasta, które wróciło do życia po huraganie, oślepiały.

Wsunął do kieszeni kluczyki od samochodu i wszedł do domu, niewielkiego bungalowu, który remontował, gdy Katrina zaatakowała z niszczycielską siłą. Co tu się działo... dobrze, że coś mu zostało. Ale zniszczenia były tak dotkliwe, że wolał nie myśleć o kolejnym huraganie.

Odbudował dom, jak wielu innych. Plany remontu zakładały jak największą wierność początkowym klitkom, ale uwzględniały też zmiany, mające ułatwić życie w jego nowej rodzinie. Nie dość, że miał teraz żonę imieniem Abby; wraz z nią jego inwentarz powiększył

się o płochliwego kota imieniem Ansel, który wiecznie krył się pod meblami, i czekoladowego, nieustannie zadowolonego labradora imieniem Hershey. Pies łąsił się właśnie do jego nóg, przy czym

tak radośnie i zamasyście wywijał ogonem, że wszystkie bibeloty na stoliku znalazły się w niebezpieczeństwie..

– Cześć, bracie. – Podrapał go za uszami. – Idziemy na spacer? Hershey zaszczeakał

basem i pognął długim korytarzem wiodącym do tylnych drzwi.

Montoya ruszył za nim i po drodze zadzwonił do Abby. Była fotografikiem, tego wieczoru miała sesję w atelier, poza miastem. Pies biegał tam i z powrotem, jak kłębek energii.

– Rozumiem, bracie. – Montoya cisnął mu żółtą piłeczkę tenisową i czekał, aż włączy się poczta głosowa Abby.

Hershey pognął w mrok, odnalazł piłkę i wrócił, zanim Montoya zdążył się nagrać. Psisko cisnęło mu piłkę pod nogi. Machało ogonem, póki Montoya nie rzucił piłki ponownie. Bawili się tak jeszcze przez pół godziny – pies w siódmym niebie, Montoya pogrążony w myślach o Bentzu przebywającym na samobójczej misji w Los Angeles.

Co on wyprawia? Jennifer, jego pierwsza żona, nie była święta. A teraz nie żyje. I dobrze.

Z tego, co Montoya wiedział, za życia była niezłą suką. W końcu Bentz się z nią rozwiódł, prawda? Montoya nigdy jej nie poznał, ale sam Bentz mu powiedział, że go wciąż zdradzała.

Na dodatek z bratem przyrodnim Bentza. Księdzem.

– Suka – powiedział na głos.

Cisnął piłkę i patrzył, jak pies rzuca się w mrok.

Jak na ironię losu, ten sam mężczyzna pociągał także Oliwię. Ojciec James McLaren. Ale oprzytomniała i wybrała Bentza. I byli razem bardzo szczęśliwi.

A teraz to.

Odkąd Bentz odzyska! przytomność – zresztą wbrew przepowiedniom jego córki, która twierdziła, że umrze – zmienił się. Był daleki. Smutny.

Montoya przypisywał to bezczynności, brakowi pracy, myślał, że to niesprawność tak go deprymuje. Teraz nie był już taki pewien. Może bliski kontakt ze śmiercią owocuje nowym, mrocznym spojrzeniem na świat. Bentz nie wrócił z zaświatów pełen radości życia, przekonany, że trzeba się cieszyć każdym dniem. O nie. Żadne tam bzdury o świetle. Żadne religijne bajki.

Obudził się kierowany pragnieniem, by odnaleźć byłą żonę, sukę nad sukami.

To porządny facet, ale mu odbiło.

Co za burdel.

Zdaniem Montoi lepiej, żeby Jennifer Bentz pozostała trupem.

Przed wyjazdem do San Juan Capistrano Bentz odrobił pracę domową. Sprawdził w Internecie w rejestrach okręgu Orange i miasta San Juan Capistrano. Szukał czegokolwiek, co odnosiłoby się do hotelu lub zajazdu o nazwie zbliżonej do San Miguel albo Saint Miguel.

Nie wykluczał, że Shana McIntyre kłamała, że chciała go rozdrażnić. Ale nie. Znalazł opis i zdjęcia małej kaplicy, która nie była częścią misji.

Dowiedział się także, że kościół pod wezwaniem San Miguel i należąca do niego ziemia zostały w latach sześćdziesiątych sprzedane, a w dawnej świątyni otworzono zajazd. W ciągu minionych czterdziestu lat wielokrotnie zmieniali właściciele. Jeśli wierzyć opisom, ostatnia transakcja odbyła się osiemnaście miesięcy temu – zajazd trafił w ręce japońskiej sieci turystycznej i na razie był zamknięty.

Dzięki GPS poruszał się bezbłędnie wąskimi uliczkami miasteczka słynnego z malowniczości. Wszędzie wzrok kusily kwiaty i czerwone dachówki. Gdy zapadał zmierzch, przejeżdżał przez centrum. Ludzie oglądali wystawy, siedzieli pod parasolami w narożnych knajpkach.

Bentz minął tory kolejowe i przejechał jeszcze prawie trzydzieści kilometrów, coraz dalej od centrum, do podupadłej dzielnicy. Minął ciąg magazynów na starym San Miguel Boulevard, przejechał wyschłe koryto rzeki, znalazł się w ślepych zaułku.

W miasteczku, pełnym życia i uroku, ta ulica wydawała się zaniedbana i brzydka. W

oknach płwiały tabliczki „Do wynajęcia”. Gdy nazwa zajazdu pojawiła się po jego prawej stronie, zwolnił. Na trawniku bujnie pieniały się chwasty, fasady domów pokrywały garrliti.

Najwyraźniej na tę część miasteczka przyszły ciężkie czasy.

Bentz zawrócił i zaparkował na zarośniętym parkingu, przy którym przycupnęła nieduża księgarnia, sklep z używaną odzieżą i zapyziały sklepik spożywczy. Kolejny lokal, do niedawna pizzeria, jeśli wierzyć szyldom, świecił pustkami, a w oknie ktoś przykleił kartkę z napisem: „Do wynajęcia” i miejscowym numerem telefonu.

Wyglądało na to, że interesy idą dobrze tylko w sąsiedniej tawernie, która oferowała we wtorki dwa drinki w cenie jednego. Kilka sfatygowanych pikapów, brudna furgonetka ze słowem „Brudas”, wypisanym na zderzaku, poobijany czerwony saturn i srebrzysty chevrolet z naklejką na szybie stały na zakurzonym parkingu. Wyczuwał tu starość, smutek i rozpacz, jakby ta część miasteczka rozpaczliwie czepiała się wspomnień o lepszej przeszłości.

Zza kierownicy obserwował nielicznych przechodniów. Dzieciaki śmigały na deskorolkach po popękany chodniku. Staruszek w szortach i kapeluszu o szerokim rondzie palił papierosa i ciągnął na smyczy brązowego psa, jednookiego kundla z domieszką pitbulla.

Pies dreptał, obwąchując suchą trawę i machając kikutem ogona, ilekroć jego pan się odezwał.

Bentz wysiadł, zostawił laskę w wozie, wziął latarkę i zestaw narzędzi niezbędnych, by pokonać zamek. Zabezpieczył samochód i zawrócił do starego zajazdu ogrodzonego wiekowym płotem. Prawie nieczytelna tabliczka: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony” kołysała się na słabym wietrze. Nieco dalej poniewierał się plastikowy worek. Wiatr uniósł w powietrze kilka suchych liści.

Bentz nacisnął klamkę.

Zamknięte, ma się rozumieć.

Chcąc dostać się od środka, obszedł teren, świecąc latarką na ogrodzenie. Poruszał się powoli, aż dostrzegł miejsce, w którym ktoś przeciął metalową siatkę. Prześlizgnął się przez dziurę i przy okazji podarł sobie koszulę i podrapał ramiona. Nawet tego nie zauważył.

Kolano i biodro dawały mu się we znaki, ale nie zwracał na nie uwagi, skupiony na czekającym go zadaniu.

Przyglądał się z ponurą miną zaniedbanej budowli. Większość okien zabito deskami, chwasty porastały zadbane niegdyś trawnik. Kilka dachówek obluzowało się i spadło, roztrzaskane leżały na zarośniętych ścieżkach ogrodu. Pośrodku okrągłego podjazdu królowała fontanna, oczywiście sucha; anioł nalewał wodę z dzbana do większego zbiornika.

Teraz nie miał głowy i jednego skrzydła.

Tutaj się spotykali?

Tutaj romansowali?

Obserwując ruinę spod zmrużonych powiek, Bentz cierpiał, w wyobraźni cofając czas.

Wyobrażał sobie starą misję taką, jaka była dawniej – zadbane ogrody, trawniki, witraże w oknach, szumiąca fontanna.

Minął stertę odpadków i brnął coraz dalej w stronę bogato rzeźbionych drzwi frontowych.

Zardzewiały łańcuch zazgrzytał, gdy go pociągnął.

Zabezpieczenie przed ciekawskimi, złodziejami, bezdomnymi.

I przed policjantem, który ma za dużo czasu i któremu odbija na punkcie nieżyjącej żony.

Nie zwracając uwagi na podszepty rozsądku, minął łukowate sklepienie prowadzące na wewnętrzne podwórze – kwadrat otoczony z dwóch stron rzędem drzwi do pokojów. Na pierwszym piętrze widniał ciąg balkonów. Całe podwórze spowijały cienie, kładły się na poobijanej, połamanej rzeźbie świętego Michała. Słońce nikło za wieżą.

Na razie, idzie jak po maśle, pomyślał.

Miejsce było puste.

Przepełnione samotnością.

Idąc wzdłuż ściany, zerkając przez nieliczne brudne szyby, które jeszcze zostały w oknach, mało brakowało, a nastąpiłby na szczura, który znieczeka pojawił się w szczelinie.

Nie tak Bentz wyobrażał sobie romantyczną kryjówkę.

W każdym razie nie tak, jak zajazd wyglądał teraz. Dzisiaj można by tu nakręcić horror.

Podchodząc kolejno do drzwi, poczuł dreszcz na plecach.

Wszystkie były zamknięte.

Siódemka, pokój narożny, nie różnił się pod tym względem od innych. Numer zwisał

żałośnie z ramy; wyglądał, jakby lada chwila miał spaść na kupkę śmieci leżących na progu.

Bentz spociał się i zmęczył, ale w końcu pokonał zamek i drzwi otworzyły się z przeraźliwym skrzypem.

Teraz albo nigdy, powiedział sobie, ale przekraczając próg dusznego, ciemnego pokoju, miał wrażenie, że stąpa po grobie Jennifer. Od razu wrócił myślami do czasu, który wolałby zapomnieć.

Połamany stół. Przewrócony stojak pod telewizor, brudna, porysowana podłoga.

Pajęczyny w rogach, martwe owady na parapecie.

To miejsce jest przeklęte, pomyślał. Poczł gęsią skórę na karku. Po skrzypiących schodach wszedł na górę, do sypialni. Dwoje innych drzwi. Za jednymi kryła się obskurna łazienka. Ze ściany wyrwano umywalkę, po muszli klozetowej został tylko ślad. Drugie drzwi były zamknięte, ale kiedy pchnął wiekowe deski, uchylily się i zobaczył wewnętrzny korytarz. Na jednym jego krańcu kryły się schody przeciwpożarowe. Spojrzał w drugą stronę

– korytarz biegł wzdłuż ściany budynku, by w końcu przejść w klatkę schodową prowadzącą do recepcji.

Sprytne, pomyślał. Tajemne wejście dla księdza, który pewnie wolał, by go nie widziano, jak znika za drzwiami pokoju numer 7, pokoju kochanki.

Bentz, posępny i smutny, wrócił do pokoju. Ich pokoju. Dręczyły go wspomnienia, rozpacz i wyrzuty sumienia.

Niewykluczone, że właśnie tu poczęli Kristi, jeśli wierzyć Shanie McIntyre. Oczywiście możliwe, że kłamała; może wiedziała o tym miejscu z własnych tajemniczych wypraw?

Shana nigdy nie ukrywała, że go nie lubi. Pewnie chętnie zrobiłaby mu taki numer, choćby po to, by patrzeć, jak cierpi.

Niemal wyczuwał w powietrzu zapach zakazanego, zapomnianego seksu, gdy przyglądał

się zakurzonej biblioteczce przy jednej ze ścian. Na półkach zostało jeszcze kilka zapomnianych pożółkłych książek. Inne poniewierały się na podłodze; sądząc po nadgryzionych okładkach, gryzienie ich nie oszczędziły.

Wziął pierwszą z brzegu – thriller prawniczy z lat dziewięćdziesiątych. Jennifer to czytała. Pamiętał, jak o tym rozmawiali.

Jej egzemplarz?

Zaschło mu w gardle, gdy odwracał stronicę. Cisnął książkę na ziemię. Ciemny pokój wkładał się do jego duszy.

To zbieg okoliczności, nic więcej.

A jednak...

Czuł, że tu była. Prawie.

– Idiota – mruknął pod nosem i zatrzymał wzrok na biurku.

Ustawiono je koło szafy, wyjęto szuflady, na porysowanym blacie stał jeszcze stary telefon. Słuchawka poniewierała się obok.

Czy Jennifer naprawdę tu bywała? Spędzała tu całe dni? Noce? Z Jamesem? Podszedł do drzwi balkonowych. Zabito je deskami od zewnątrz, ale i tak szyby popękały. Gdyby je otworzył, zobaczyłby wewnętrzne podwórze. Nie wiedział, czy otwierały się do środka, czy na zewnątrz, więc spróbował w obie strony.

Ani drgnęły.

Było coraz ciemniej, w tym dusznym pokoju brakowało mu tchu. Przejechał światłem latarki po sfatygowanej sofie. Z rozprutego obicia – niegdyś błękitnego aksamitu, teraz szarej szmaty – wyłaziło miękkie włosie.

Z zaciśniętymi ustami patrzył na łóżko – został z niego poplamiony materac na gnijącej podstawie. Wepchnięto je zapomniane w kąt, koło wybitego okna.

Wyobrażał sobie, jak ten niechlujny pokój wyglądał dawniej, niemal trzydzieści lat temu, gdy Jennifer i James zaczęli romansować.

Nawet o tym nie myśl, upomniał się, ale nie mógł się powstrzymać i wyobrażał sobie, jak wówczas wyglądał zajazd. Pewnie na deskach podłogi leżał dywan. Jasnobłękitny szezlong był nowy i

wygodny, biureczko wyglądało na antyk. Łóżko kusiło świeżą, czystą pościelą i dobraną narzutą.

Pomyślał, że koło biureczka musiało być krzesło, może obite takim samym błękitnym aksamitem jak sofa. Wyobraził sobie czarną sutannę i koloratkę niedbale rzucone na poręcz.

Zacisnął pięści.

Jego przyrodni brat, ksiądz James McLaren, był przystojnym mężczyzną – niewinny uśmiech ministranta, mocno zarysowana szczeka, błękitne oczy, których czar działał na wiele kobiet, nie tylko na Jennifer. Niektóre, jak jego eks, podejmowały wyzwanie i robiły, co w ich mocy, by rzucić księdza na kolana. Inne – łagodne, miękkie, w chwili słabości zwracały się do kapłana i ulegały jego czarowi.

Bezczelny grzesznik.

Bentz niemal słyszał jego gardłowy śmiech, wyobrażał sobie szelest jego kroków na deskach podłogi. Tu, w tym pokoju, rozbierał się zapewne do naga, a potem zbliżał się do rozbawionej, rozchichotanej Jennifer, całował ją, rozbierał.

A może było odwrotnie?

Może to ona w seksownej bieliźnie czekała na niego w łóżku, nasłuchiwała jego kroków, wpatrywała się w zamknięte drzwi?

Nieważne. Tak czy siak, łądownali w łóżku i kochali się raz za razem.

Tyle, jeśli chodzi o śluby czystości.

Dziwne, pomyślał Bentz, analizując scenę w myślach. Większa część jego gniewu rozviała się z czasem. Palące poczucie zdrady przygasło.

Minęło tyle czasu.

I zjawiała się Olivia.

Jego żona.

Kobieta, którą kocha.

Dobry Boże, co on tu robi, skoro ona czeka w Nowym Orleanie?

Nic go nie trzyma w Kalifornii.

Jennifer nie żyje.

I wtedy, przez ułamek sekundy, poczuł zapach gardenii, zapach jej perfum.

Akurat.

Wtedy usłyszał jej głos. Ledwie słyszalny szept:

. – Dlaczego? Dlaczego? – pytała, choć wiedział, że dzieje się to w jego głowie.

Dobry Boże, naprawdę mu odwała.

Spojrzał na drzwi balkonowe i oczyma wyobraźni zobaczył słońce przenikające przez franki. Szampan chłodzi się w kubelku na stoliku obok łóżka, a James i Jennifer tarzają się w pościeli przy akompaniamencie dzwonów kościelnych...

Bim! Barn!

– Jezus, Maria! – Drgnął wyrwany z zadumy aż nazbyt rzeczywistym dźwiękiem dobiegającym z pobliskiego kościoła.

Powtarzając sobie, że kawał z niego idioty, przejechał światłem latarki po zaśmieconym pokoju i zadał sobie pytanie, co właściwie chciał tu odnaleźć. Nie znalazł nic. Żadnego powodu, by uwierzyć, że Jennifer żyje.

Wściekły na siebie podszedł do drzwi balkonowych i wyrztał przez szparę na podwórze.

Serce zamarło mu w piersi.

W żyłach popłynął lód.

Jennifer!

Albo jej sobowtór.

Albo cholerny duch. W każdym razie stała tam, na dziedzińcu, w długim posępnym cieniu wieży kościelnej.

Bentz nie wierzył własnym oczom. Co sił w nogach pobiegł schodami w dół. Pchnął

drzwi, wypadł na zewnątrz. W chorej nodze pulsował ból. Z bijącym sercem biegł po nierównych kamiennych płytach. Zaczepił stopą o brzeg płyty. Nie upadł, ale z bólu musiał

zwolnić.

Spojrzał na dziedziniec. Pusty.

Ani śladu Jennifer.

Cholera!

Na ciemnym, pustym placu nie było żadnej kobiety, żywej czy umarłej. Zawrócił i rozglądał się

uważnie, przeklinając się, że ją sobie wyobraził – pewnie widział tylko rzeźbę.

Czyżby umysł przetworzył rzeczywistość w coś, co chciał zobaczyć? Czego się spodziewał?

Czyżby to tylko siła sugestii?

Nieosiągalne!

Rozszalałe serce, przyspieszony puls i gęsia skórka na karku dowodziły, że wizja była bardzo rzeczywista. Oddychał głęboko nocnym powietrzem, starał się myśleć logicznie.

Odzyskać zimną krew.

Dobry Boże, zawsze był taki racjonalny, a teraz... Teraz... Cholera, co teraz? Przeczesał

włosy palcami i powiedział sobie, że musi wziąć się w garść. Jednocześnie jednak podniósł

wzrok na drugie piętro starego zajazdu. Jeden z balkonów różnił się od pozostałych – nie zabito go deskami.

Dlaczego?

Wewnątrz coś się poruszyło.

Zmrużył oczy.

Czy to gra świateł? Czy w ciemności naprawdę kryje się postać? Spogląda zza strzępów firanek?

– O, cholera – mruknął.

Ruszył biegiem, znowu zmuszał się od zabójczego wysiłku. Chora noga paliła żywym ogniem, powietrze z trudem przeciskało się przez ściśnięte płuca, gdy gnał do pokoju 21.

Drzwi były uchylone.

Serce stanęło mu w piersi.

Sięgnął po broń, ale nie nosił jej przecież. Kabura i pistolet leżały w schowku samochodu.

Nie miał czasu, by wracać po broń. Spokojnie. Powoli. Myśl. Może to pułapka! Ostrożnie pchnął drzwi.

Pocił się. Omiótł światłem latarki zaśmieczone pomieszczenie. Nie różniło się niczym od siódemki, ten sam bałagan i smutek.

I zapach gardenii.

Co jest, do cholery?

Bum!

Głuchy odgłos z góry niósł się echem po pomieszczeniu.

Rzucił się do schodów. Pomyślał, że niewykluczone, że pcha się prosto w pułapkę i że powinien wrócić po broń, ale już szedł schodami na górę. Nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem, czy zbutwiałe deski utrzymają jego ciężar, po prostu szedł.

Tutaj zapach perfum był bardziej wyraźny. Coś ścisnęło go za gardło. Zatrzymał się na półpiętrze, obnażony, idealny cel. Przywarł plecami do ściany i omiótł światłem latarki pustą sypialnię i podszedł do zamkniętych drzwi do szafy. Przygotował się wewnątrz i otworzył

je gwałtownie.

Pusto.

A czego się spodziewał?

Spocony opanował strach i kopnął je mocno.

Z wieszaka na ręczniki z piskiem i trzepotem skrzydeł zerwała się sowa i wyfrunęła przez zbite okno.

Pod Bentzem ugięły się kolana. Na miękkich nogach wyszedł z łazienki pełnej piór, ptasich odchodów i resztek sowych biesiad.

A potem pomyślał o drugim wyjściu i schodach.

Cholera!

Z nerwami napiętymi jak postronki wycofał się do holu i usłyszał odgłos kroków i oddech na poziomie parteru.

Niemal skoczył przez poręcz, runął w dół i poświecił w mrok korytarza.

Pusto.

Nikogo. Ani ludzi, ani duchów.

Na obolałej nodze pokuszył się do najbliższych drzwi i znalazł się w recepcji zjazdu, przy głównych drzwiach do misji.

Powietrze było tu duszne, zastałe.

Ale i tak wyczuwał smugę zapachu jej perfum.

Co to ma znaczyć, na miłość boską?

Jeszcze zanim położył dłoń na klamce, wiedział, że drzwi frontowe będą zamknięte.

Wiedział także, że może łązić po starym budynku, zajrzeć do kaplicy i winiarni, do wszystkich pokoi, a i tak jej nie znajdzie.

Odeszła.

A on wiedział tyle samo, co tego ranka przed wyjazdem z Los Angeles.

Świetnie, myślę i się uśmiecham. Spoglądam przez lornetkę z kryjówki na najwyższym piętrze opuszczonego magazynu, który cuchnie pleśnią i benzyną, ale odór mi nie przeszkadza. Nie dzisiaj. Koncentruję się na Bentzu, który kuszyka przez podwórze, świeci latarką w najbardziej mroczne zakamarki.

Dalej, Bentz.

Niczego nie znajdziesz.

Ściemnia się, cienie są coraz dłuższe, ale ciągle widzę, jak przyglądasz się zrujnowanej budowli. Z mojej kryjówki spokojnie sobie wyobrażam, jak dumasz o tajemnicy pierwszej żony.

I dobrze!

– Szukaj dalej – mówię cicho. Czuję, jak moje ciało buzuje od adrenaliny. – Ale uważaj, mój drogi... Kto wie, co znajdziesz?

Czuję, że moje usta wykrzywia uśmiech zadowolenia, bo bez trudu czytam w nim jak w książce. Teraz już wiem, że mogę nim sterować jak marionetką. To cudowne uczucie.

Najwyższy czas!

– Dobry chłopiec, RJ – mówię łagodnie, jak do psa, który nauczył się trudnej sztuczki. –

Dobry chłopiec.

O Boże, jak cudownie patrzeć, jak cierpi!

Odchodzi już z zajazdu, więc odsuwam się od okna na wypadek, gdyby mdłe światło jednej z latarni odbiło się w soczewkach lornetki. Nie stać mnie na nieostrożność.

O Ricku Bentzu można powiedzieć wiele, ale na pewno nie jest głupcem.

Wiem to.

To uparty, zawzięty drań najgorszego rodzaju. Zasłużył na to i już nie mogę się doczekać, gdy zobaczę, jak się wije. O, tak. To cudowne. On także zazna strachu, przerażenia, rozpacz.

On także będzie myślał, że traci rozum.

Mam sposoby, by w nim wywołać te uczucia. O, tak.

Czas dołożyć starań na froncie domowym.

Olivia... stanowi klucz, tak sobie myślę, ostateczny element układanki. Nic go bardziej nie zaboli niż jej cierpienie.

Widzę, jak przemyka się przez dziurę w ogrodzeniu i idzie na parking. Nadal ma szerokie ramiona, ale w pewnym dawniej kroku pojawiło się wahanie.

Czuję chłód w sercu.

Czujesz mnie w pobliżu, bydlaku?

Masz pojęcie, co mi zrobiłeś? Jak skrzywdziłeś?

Nie?

Ale się dowiesz, Bentz. O, tak.

Wiesz co? Obiecuję ci, że kiedy już tego zaznasz, będziesz cierpieł tak bardzo, że będziesz błagał niebiosą o śmierć.

Rozdział 14

Dentz odnalazł samochód i odruchowo stwierdził, że na parkingu zaszło kilka zmian.

Pikap odjechał, a na jego miejscu stał stary datsun z nieaktualną tablicą rejestracyjną. Za jego kierownicą siedziała nastolatka, paplała coś do komórki. „Brudas” stał w tym samym miejscu, ale srebrny chevrolet z naklejkami zniknął.

Ciekawe, czy jeden z tych wozów należał do Jennifer, kimkolwiek jest naprawdę. Skoro tak, nie jest duchem. O ile mu wiadomo, stan Kalifornia wydaje prawa jazdy tylko żywym, zresztą, jeśli wierzyć baśniom, duchy nie potrzebują czterech kółek.

Pod wpływem impulsu wszedł do tawerny, ogarnął spojrzeniem personel i gości siedzących za barem albo gapiących się w wielki telewizor. Uspokojony, że ten, kto go prześladowa, nie schronił się tutaj, zamówił piwo bezalkoholowe, pogadał z kelnerką i zapytał, czy wie, czyj jest chevrolet. Spojrzała na niego tępo, podobnie jak barman, gdy usłyszał to pytanie. Jeśli coś wiedzieli, nie puszcza pary z ust, ale instynkt podpowiadał, że nie mają o niczym pojęcia. I nic to ich nie obchodzi.

Zostawił piwo i napiwek na stole, wyszedł i ruszył do księgarni, którą wiekowa sprzedawczyni właśnie zamykała. Dziewczyna z datsuna, która wcześniej gadała przez telefon, teraz wędrowała między półkami, ciągle z komórką przy uchu. Zatrzymała się w dziale „Wampiry i duchy”. Nie przerywając rozmowy, wyjęła z półek kilka pozycji, przejrzała je od niechcienia i odstawiła na miejsce.

W księgarni było pusto, jeśli nie liczyć ślęczącego nad komputerem, łysiejącego faceta około trzydziestki i kobiety z małą dziewczynką z warkoczykami w dziale literatury dziecięcej.

Żadne z nich nie mogło podszywać się pod Jennifer.

Także w sklepie spożywczym nie było klientów. Bentz kupił butelkę pepsi i rozejrzał się po pomieszczeniu. Dwóch nastolatków z długimi włosami, w spodniach z krokiem na wysokości kolan, buszowało w dziale ze słodczami i zerkało co chwila na ładną kasjerkę.

Zabiegana młoda matka z dzieckiem na rękę, marszcząc czoło, oglądała pieluszki jednorazowe i krzywiła się na widok ceny.

Tylko zwyczajni klienci.

Ani śladu Jennifer.

Oczywiście.

Na zewnątrz miniaturowego centrum handlowego dwaj młodzi mężczyźni palili koło kontenera na śmieci.

Nic ciekawego. Bentz sączył colę i zastanawiał się, po co w ogóle tu przyjechał. Czego się dowiedział, jeśli w ogóle czegokolwiek?

Że jest naiwnym dupkiem, który rusza w pogoń za cieniem.

Wsiadł do samochodu, zły na siebie, że nie miał dość przytomności umysłu, by sfotografować kobietę, którą ścigał; nawet niewyraźne zdjęcie aparatem telefonicznym okazałoby się pomocne.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i spojrzał na pusty parking, na miejsce po srebrnym chevrolecie. Coś w tym samochodzie mu nie pasowało. Instynkt policjanta działał na pełnych obrotach, jak zawsze, gdy wyczuwał anomalie; coś było nie tak, jak powinno.

Usiłował przypomnieć sobie o nim jak najwięcej szczegółów. Impala, model mniej więcej z 2000 roku. Starał się zobaczyć oczyma wyobraźni tablicę rejestracyjną, ale widział jedynie skrót Kalifornii. Na tablicy rejestracyjnej było coś dziwnego... dwie albo trzy szóstki, nie był

pewien. Na przedniej szybie naklejka, nieaktualna przepustka szpitalna, choć część napisu wyblakła do tego stopnia, że stał się nieczytelny, ale wyczuwał, że w tej przepustce było coś niezwykłego... Tylko co, do cholery?

Usiłował przywołać ją z pamięci. Na darmo. Dał sobie spokój. Nieważne, co zwróciło jego uwagę – już zniknęło. Przypomni sobie później, pewnie w środku nocy.

I znowu pożałował, że nie zrobił zdjęcia. Z tą myślą włączył silnik i wysiadł z wozu, chcąc nadrobić poprzednie zaniedbanie i pstryknąć kilka fotek. Sfotografował samochody i ich tablice rejestracyjne na parkingu i w uliczce przed starym zajazdem. W sumie było ich tylko osiem, z czego jeden stał na

cegłach i straszyl nieważną rejestracją. Z pewnością ten się nie liczył.

No i jeszcze ta przepustka.

Postanowił rozejrzeć się po okolicznych szpitalach. Jest szansa, że właściciel chevroleta ma jakiś związek ze szpitalem, przychodnią czy inną placówką medyczną. Chyba że naklejka należała do poprzedniego właściciela.

Zawracał właśnie, jadąc przez ciche miasteczko, gdy rozdzwoniła się jego komórka.

Odebrał, rzucił okiem na monitor: „Numer zastrzeżony”.

– Bentz.

– Cześć, Rick. – Usłyszał kobiecy głos, mgliście znajomy i przejmująco zimny. –

Dzwoniłeś do mnie. Tu Lorraine.

Lorraine Newell, przyrodnia siostra Jennifer.

– Tak. Jestem w Los Angeles i pomyślałem sobie, że moglibyśmy się spotkać.

– Nie pojmuję dlaczego.

– Mam kilka pytań na temat śmierci Jennifer.

– Na miłość boską, masz czelność. – Odetchnęła głośno. – Wiedziałam, że popełniałam błąd, oddzwaniając. Czego chcesz?

– Powiem ci, gdy się spotkamy.

– Nie próbuj mnie kokietować, dobrze? To nie w twoim stylu. Nie marnujmy czasu.

Zawsze cię uważałam za bezpośredniego gościa. Sukinsyna, ale bezpośredniego sukinsyna.

– Możemy się spotkać jutro?

– Jestem zajęta przez cały dzień. Praca.

– Wieczorem? Zawahała się.

– Ciekawe, skąd wiem, że tego pożąłuję? – Milczała przez chwilę, jakby rozważała różne możliwości, po czym stwierdziła: – No dobrze! Jak chcesz! Spotkajmy się u mnie o, powiedzmy, wpół do piątej? Mam umówioną kolację, ale znajdę dla ciebie kilka minut. Ze względu na Jennifer.

Co za gest.

– Mieszkam teraz w Torrance.

– Mam adres – mruknął.

– No pewnie – zachnęła się z goryczą.

– Do zobaczenia powiedział, ale Lorraine już się rozłączyła.

Skręcił na autostradę pogrążony w myślach. Niewiele się dzisiaj dowiedział. Chevrolet impala z przepustką szpitalną, który może jest, a może nie, związany z sobowtórem Jennifer. I kilka innych samochodów.

Do tego Shana. W Los Angeles tylko ona wiedziała o San Miguel. Albo sama go tu wysłała, żeby Jennifer mogła się pokazać. O co jej naprawdę chodziło?

Fakt, ma niewiele, ale zawsze więcej niż dwie godziny temu. Być może nic z tego nie będzie, ale przynajmniej jest jakiś początek.

– Chcesz powiedzieć, że nowe podwójne morderstwo to powtórka z bliźniaczek Caldwell? – zapytała Corrine.

Hayes wieszał marynarkę na haczyku przy drzwiach w mieszkaniu Corrine. Zajmowała dwa małe pokoiki z zabójczym widokiem na góry, czyste i skromne jak właścicielka.

– Co do joty. Łącznie ze starannie złożonymi ciuchami, wstążką we włosach, pozycją ciała. – Był zmęczony, głodny i zły.

Pokręciła głową.

– Nazwiska ofiar? – Gdy zadawała to pytanie, jej oczy pociemniały.

– Zostawił ich dane. Elaine i Lucille Springer.

– Cholera! – Głośno wypuściła powietrze z płuc. – Pamiętam zgłoszenie zaginięcia z Glendale.

– Tak.

– Bydlę. – Odgarnęła włosy z oczu i spojrzała w okno. – Obie nie żyją. Jak wtedy.

– Dokładnie tak samo.

– Powiadomiłeś rodzinę?

– Tak. Rozmawiałem z rodzicami. – Przypomniał sobie ich niedowierzenie, gdy potwierdziły się ich najgorsze obawy, a potem rozpacz i przerażenie. – Mili ludzie. On jest agentem ubezpieczeniowym, ona nauczycielką.

Corrine lekko skinęła głową. Zacisnęła usta, jej oczy zasnuł cień, jakby odczuwała ból ludzi, których nigdy nie widziała.

– Pamiętam – szepnęła cicho.

– Przyszli do kostnicy, zidentyfikowali ciała... i widać było, że to ich zabija. – Pokręcił głową, otarł pot z czoła. – Zabiło ich, dosłownie.

Przypomniawszy sobie Springerów: Grega w spodniach khaki i koszulce z krótkim rękawem, nagle śmiertelnie bladego pod opalenizną. Cathy, matka bliźniaczek, weszła bezszelestnie, jak zombi, z niedowierzaniem na twarzy.

O Boże, to było straszne.

Hayes usiadł w fotelu naprzeciwko telewizora, niedaleko kontuaru, który oddzielał salonik od części kuchennej. Corrine stanęła za nim, masowała mu barki.

– Zawsze jest ciężko powiedziała.

– Obie córki nie żyją.

Byli szczęśliwymi rodzicami, czuli się bezpieczni i w jednej chwili wszystko stracili.

Hayes na próżno usiłował zapomnieć twarz Cathy Springer, gdy niedowierzanie w niebieskich oczach ustąpiło miejsca przerażeniu; ugięły się pod nią kolana i osunęła się w drżące ramiona męża.

– Nie! – Powtarzała raz za razem, jej głos niósł się echem po korytarzu. Zaciskała pięści, histerycznie uderzała w klatkę piersiową męża, gdy usiłował ją uspokoić.

A on, ojciec... Załamany, cierpiący, oskarżycielskim wzrokiem wpatrywał się w detektywa. Hayes wiedział, co mu chodzi po głowie. Dlaczego akurat moje córki? Dlaczego?

Dlaczego nie twoje dzieci? Czyjekolwiek inne? Dlaczego akurat moje dziewczynki?

Właśnie tak myślałby Hayes, gdyby coś się stało Maren.

– Złapicie potwora, który to zrobił – zapewniła Corrine.

– Mam nadzieję.

– Musisz uwierzyć, jeśli nie w boską opatrzność, to w swoje zdolności.

I w laboratorium. Kryminalistyka bardzo się rozwinęła. Dwanaście lat temu nie mieliśmy nawet połowy tych testów co teraz. Morderca już jest załatwiony. A jeśli się okaże, że to ten sam człowiek, zapłaci i za siostry Caldwell. A my będziemy triumfować.

Bardzo chciał jej uwierzyć.

Corrine masowała mu barki, usiłowała rozluźnić spięte mięśnie.

– Co powiesz na drinka? – zaproponowała. – Przygotowałam makaron, te kokardki...

– Farfalle.

– Może, Z pesto i włoskimi kiełbaskami.

– Prawdziwa z ciebie Irlandka, co? Roześmiała się.

– Akurat dziś zabrakło mi wołowiny i kapusty.

Palce Corrine niosły ukojenie, ale jego umysł ciągle pracował. Dlaczego morderca zaatakował akurat teraz? Dlaczego akurat siostry Springer? Kim jest, do cholery? Kiedy zaatakuje ponownie? Wkrótce czy za następne dwanaście lat?

– Mów do mnie – szepnęła, nie odrywając dłoni od jego barków. To był ich rytuał – praktykowali go, gdy jedno z nich musiało się zmierzyć ze szczególnie trudną sprawą. –

Uważasz, że te morderstwa są powiązane.

– Muszą być.

– Nie. Nie zamykaj innych dróg.

– Niby skąd naśladowca wziąłby szczegóły sprawy sprzed dwunastu lat? Szczegóły, których nigdy nie ujawniliśmy?

– Gliniarze gadają.

Hayes podniósł na nią wzrok.

– Z mordercami?

– Niechęć. Albo wypiją o jedno piwo za dużo i mówią za głośno.

– Mało prawdopodobne.

– No dobra. Więc pogaduszki w więzieniu. Morderca sióstr Caldwell trafia za kratki za co innego, ale przechwala się na prawo i lewo. A teraz jego kumpel z celi wyszedł i robi dalej to, co zaczął tamten.

– Nie.

– Podsuwam ci tylko różne możliwości, żebyś zachował otwarty umysł. Może to naśladowca. – Nadal masowała mu barki. Pochyliła się i pocałowała go w czoło. –

Niewykluczone, że masz rację. Może on wrócił, nie wiadomo skąd, i znowu chce się zabawić.

Powinniście sprawdzić zwolnienia warunkowe.

– Już to robią.

– Oczywiście.

Spojrzał na nią. Uśmiechała się szeroko.

– Bentz wrócił – powiedział. Corrine skinęła głową.

– Już słyszałam. Cały wydział aż huczy od plotek. – Hayes uniósł brew. Wzruszyła ramionami. – Chyba Trinidad coś powiedział.

– Niektórym to się nie podoba. – Spojrzał na nią znacząco.

Uśmiechnęła się.

– Masz na myśli Bledsoe? – podsunęła.

– Chodziło mi o ciebie.

– Cóż, co prawda nie nadają się na przewodniczącą fanklubu Ricka Bentza, ale uważam, że przeszłość to rozdział zamknięty. – Puściła do niego oko. – Zresztą mam teraz nowego faceta. O wiele fajniejszego.

– Nie widziałaś Bentza.

– No dobra, masz rację. Nadal nie wiem, co o tym sądzić.

– Ciągle dochodzi do siebie po wypadku. Chodzi o lasce.

– Więc teraz mam mu współczuć? Bo oboje jesteśmy kalekami?

– Nie to miałem na myśli. A ty nie jesteś kaleką. Już nie!

– No dobrze. – Corrine westchnęła głośno i pokręciła głową. – To dziwne. Kto by pomyślał, że to ma jakiegokolwiek znaczenie? Nie było go ile, dziesięć lat?

– Dwanaście.

– Naprawdę? No tak, wyjechał mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zginęły siostry Caldwell... To tylko zbieg okoliczności. – Skrzywiła się. – Musi być. – Spojrzał na nią i niemal widział, jak obracają się trybiki jej umysłu. – Prawda?

– Tak.

– Ale przyznaję, że jego powrót wywołał niemałe poruszenie. Ty oglądałaś miejsce zbrodni, a po wydziale plotki rozprzestrzeniały się z zawrotną szybkością. Dziwne, co?

– A kogo to obchodzi? – zdziwił się.

– Po pierwsze, Bledsoe. Jest wściekły, choć nie mam pojęcia dlaczego. Zlituj się, przecież Bentz nie chce mu odebrać roboty.

– Bledsoe zawsze jest wściekły.

– No tak... Trinidad też się denerwuje... ale nie pojmuję dlaczego. Pewnie dlatego, że był przyjacielem i partnerem Bentza. Nie chce, żeby stare sprawy spały mu reputację.

– A Rankin? – Hayes myślał na głos.

– Kto to wie? Minęło dużo czasu.

– Bardzo jej na nim zależało.

– Nam wszystkim – zażartowała i dodała: – Zostań na kolacji. Wiesz, że robię boskie pesto.

– Wiem, ale nie jestem głodny, przepraszam. Skinęła głową i westchnęła.

– Dobra, już wiem, rozumiem.

I naprawdę rozumiała. Corrine O'Donnell dawniej pracowała w wydziale narkotyków, prowadziła wiele głośnych spraw, póki nie złamała nogi podczas pościgu. Potrącił ją samochód i rzepka kolanowa była do niczego. Miała szczęście, że przeżyła, i teraz ograniczała się do przekładania papierków, siedząc za biurkiem. Nie miała szans na powrót do czynnej służby. Mimo tego ćwiczyła na siłowni, była silna i zdrowa, problem sprawiało jej jedynie kolano. Czasami lekko utykała. Hayes wiedział, że drażni ją także fakt, iż już nie może nosić dziesięciocentymetrowych obcasów.

– Przyniosę ci drinka.

– Powinienem wrócić na posterunek.

– Zdązysz. Jutro. – Szukała lodu w zamrażarce. – I tak nie przywrócisz życia tym dziewczynom.

Wiedział o tym, ale oboje wiedzieli także, że pierwsze godziny po morderstwie mają kluczowe znaczenie. Wraz z upływem czasu maleją szanse na schwytanie zabójcy.

– Dziwne, że morderca sióstr Caldwell atakuje ponownie po dwunastu latach. – Podała mu szklanekę z whisky i lodem oraz puszkę piwa korzennego. – Sam sobie mieszaj.

Puściła do niego oko i uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd zobaczył ciała. Dobrze mu z nią było; spokojnie, lekko, rozumiała go o wiele lepiej niż obie poprzednie żony. No i była ładna. Smukła, zwinna, o sylwetce długodystansowej biegaczki, którą kiedyś była. Corrine O'Donnell to osoba, z którą trzeba się liczyć. Miała duże, głęboko osadzone szare oczy, które w chwilach namiętności ciemniały. Gdyby nie był przesadnie ostrożny, zakochałby się w niej, chociaż wcale nie oczekiwała

deklaracji.

Na razie.

– Posłuchaj, Hayes, nie jesteś na służbie. Napij się, chociaż może czegoś słabszego, bo oboje wiemy, że i tak wrócisz do pracy. – Zabrała mu szklanę, zaniósła do kuchni i wróciła z piwem. – Odpręż się, zjedz coś, a potem wrócisz tam i zabierzesz się od pracy ze zdwojoną energią.

– Nie gniewasz się?

Był nastawiony sceptycznie – Delilah dostałaby szału, ale też Delilah nigdy nie była policjantką.

– O co? No cóż, nie jestem zachwycona, ale nie, nie gniewam się. Za to kiedy tylko złapiesz drania, wsadzisz go za kratki i wrócisz do mnie.

– To może potrwać dłużej niż kilka godzin – ostrzegł i upił łyk piwa z butelki.

– Dla takiego supergliny jak ty? – zażartowała. Obeszła go, przełożyła chorą nogę nad jego udami, usiadła mu na kolanach. – E tam. – Pocałowała go miękkimi, giętkimi ustami.

Był spięty, więc zareagował błyskawicznie. Odwzajemnił pieszczotę, czuł jej język na swoim, czuł, jak jego członek budzi się do życia. Corrine już mocowała się z jego krawatem, on tymczasem szukał suwaka jej dżinsów.

Przez najbliższe dwadzieścia minut Jonas Hayes zupełnie nie pamiętał o podwójnym morderstwie.

Bentz zatrzymał się przy knajpie z daniami na wynos, znajdującej się kilka przecznic od jego motelu. Zamówił kanapkę z wołowiną na żytnim chlebie, sałatkę z kapusty i colę.

Zamówienie przyjmował dzieciak na oko szesnastoletni. Robbie, jak głosiła tabliczka przypięta do koszulki, z szalejącym trądzikiem i miną, która sugerowała, że wolałby być wszędzie, tylko nie tutaj. Lokal świecił pustkami – oby spowodowała to późna godzina, a nie jakoś posiłków. Inny nastolatek mył podłogę. Robbie zajął się zamówieniem Bentza.

Kwadrans później Rick wrócił do motelu. Siedział przy biurku i między kolejnymi kęsami spisywał numery rejestracyjne samochodów, które sfotografował w San Juan Capistrano, na parkingu i przed zajazdem. Był na siebie wściekły, że wcześniej nie zainteresował się chevroletem, ale i tak dobrze, że zdołał odcyfrować numery pozostałych wozów.

Nie miał drukarki, więc wysłał wszystko do swojej skrzynki pocztą elektroniczną –

wydrukuje gdzie indziej. A potem poprosi Hayesa, żeby sprawdził, do kogo należą poszczególne samochody.

Dokończył kanapkę, wytarł palce w serwetkę i zajął się wyszukiwaniem placówek medycznych – na wypadek, gdyby srebrny chevrolet miał coś wspólnego z Jennifer.

Poszukiwania przyniosły w rezultacie setki nazw.

Musi jakoś ograniczyć zakres zainteresowania.

Grzechocząc kostkami lodu, dopił colę i wrócił myślami do samochodu na parkingu. To już obsesja, pomyślał, ale może coś z tego będzie.

Wątpliwe, by kierowca chevroleta mieszkał w San Juan Capistrano, więc skoncentrował się w poszukiwaniach na Los Angeles. Culver City to logiczny wybór – ale za prosty. I znowu czekała go długa lista.

Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w monitor. Co takiego było w naklejce na chevroletcie, co nie dawało mu spokoju? Coś nietypowego. Naklejka była wypłowiała od słońca, niemal nieczytelna, jakby właściciel samochodu już od dawna z niej nie korzystał, nie odnawiał przepustki. Pracownik szpitala? Na emeryturze? A może zmienił pracę? Sprzedał

wóz?

Zamknął oczy i usiłował przywołać obraz w pamięci. Cytry, data, nazwa szpitala i coś jeszcze... Logo, rysunek... ale jaki? Znajomy symbol, który mu się wymykał, krył w mętnych zakamarkach umysłu. Cholera! Nic z tego. Symbol mu umykał, więc dał sobie spokój.

Prędzej czy później przypomni sobie.

Taką miał nadzieję.

Zebrał śmieci z biurka, cisnął do kosza, podkręcił klimatyzację, poćwiczył na ręczniku rozłożonym na wytartej wykładzinie. Noga go bolała, ale nie dawał za wygraną. Poszedł pod prysznic dopiero wtedy, gdy cały spływał potem.

Miniaturową motelową kostką mydła i napastką najtańszego szamponu zmywał trud i brud minionego dnia. Strumyk wody, wątki, ale ciepły, masował obolałe biodro i kolano. Ból przypominał mu, że się starzeje, że jeszcze nie odzyskał dawnej formy. Nie może już uganiać się za duchami po schodach, po pustych podwórzach, ciemnych korytarzach. Nie bezkarnie.

Wytarł się cienkim ręcznikiem, położył i włączył telewizor.

Znalazł stację nadającą wiadomości.

Miejsce zbrodni. Kamera przesunęła się po autostradzie, by pokazać funkcjonariuszy za żółtą taśmą. Magazyn za plecami dziennikarki w niebieskim zakiecie. Patrząc w kamerę smutnym wzrokiem, mówiła do mikrofonu:

– Tutaj, niedaleko autostrady, doszło dzisiaj do makabrycznego odkrycia. Znalezione zwłoki dwóch dziewcząt, ofiar podwójnego morderstwa. Jak wiemy ze sprawdzonych źródeł, były to siostry. Bliźniaczki.

– Co? – Bentz znieruchomiał z ręką zaciśniętą na pilocie. Nie odrywał wzroku od ekranu.

– Nie ujawniamy nazwisk ofiar, póki policja nie powiadomi najbliższych. Ze źródeł

godnych zaufania wiemy, że ich zaginięcie zgłoszono dzisiaj, w dniu ich dwudziestych pierwszych urodzin. – Dziennikarka zrobiła dramatyczną pauzę i mówiła dalej: – Niestety, nie zdążyły ich świętować, nie dotarły na imprezę, którą planowały z rodziną i przyjaciółmi.

– Jezus Maria! – Bentz usiadł gwałtownie. Ogarnęło go przemożne uczucie *deja vu*.

Bliźniaczki? W dwudzieste pierwsze urodziny? Zmieniło się ujęcie i teraz patrzył, jak detektyw Andrew Bledsoe, kilka kilogramów cięższy niż pamiętał, z nitkami siwizny w ciemnych włosach, rozmawia z dziennikarką. Bledsoe, poważny i zmartwiony, nie powiedział

nic ważnego, ale Bentz znał prawdę.

Opadł na poduszki. Zrobiło mu się niedobrze. Policjanci niewiele mówią, ale on umie czytać między wierszami. Policja z Los Angeles obawia się, że wrócił morderca sióstr Caldwell, któremu przed dwunastu laty udało się ujść bezkarnie. Wraca i morduje.

Rozdział 15

Przykro mi! – Głos Bentza niósł się echem, jakby przemawiał z tunelu. – Muszę to zrobić.

– Nie! Rick, nie jedź! Nie zostawiaj mnie! Nie zostawiaj nas! – Olivia biegła za nim przez mrok, przebierała nogami, ale poruszała się powoli, żwir czepiał się jej stóp. Rwała do przodu, serce waliło jej jak młot. Nie był daleko, ale się odsuwał, patrzył na nią i znikał w oddali.

– Rick! Stój! – zawołała.

– Nie mogę.

– Ale dziecko! Rick, będziemy mieli dziecko!

Kolejny odgłos, głośny, przenikliwy. Warkot silnika, stukot kół.

Bentz się odwrócił, jakby jej nie słyszał, i szedł dalej w przepastnym tunelu, zostawił ją za sobą. Biegła, dyszała ciężko, chciała wyprzedzić złowieszczy silnik i wrogie światło.

Nie!

Rozległ się ogłuszający, przenikliwy gwizd, bała się, że popękają jej bębenki w uszach.

Nie! Boże, nie!

– Rick, ratunku! – wołała.

Koniec tunelu stawał się coraz mniejszy, bardziej odległy. Czuli każde uderzenie serca.

Jej nogi stały się ciężkie.

– Bentz! – chciała zawołać, ale słowa utkwily w gardle, zamiast krzyku rozległ się tylko szept.

Odwrócił się na moment i widziała jego odznakę mieniającą się w słońcu.

– Nie mogę – powiedział, gdy z dnia zrobiła się noc.

Nagle nie był już sam. Towarzyszyła mu kobieta, ciemnowłosa piękność o szkarłatnych ustach. Wzięła go za rękę i ze złośliwym, zimnym uśmiechem odciągała go coraz dalej.

– Nie, poczekaj! Rick...

Pociąg był coraz bliżej, tory drżały. Potknęła się i z trudem wyprostowała. Przeróżliwy gwizd, pisk hamulców, odgłos metalu trącego o metal ogłuszał, zapach palonej ropy drażnił

nozdrza. Dokoła wirowały kłęby pary.

– Ratunku! Ratujcie moje dziecko!

Ale nikt nie słyszał jej modlitw. Tunel wypełnił się hałasem i dymem.

– Nie! – krzyknęła i się obudziła.

Serce jej waliło, była spocona, leżała w pogniecionej pościeli. Boże drogi, to sen, to tylko sen. Głęboko zaczerpnęła tchu i spojrzała na zegarek. Trzecia piętnaście. Dopiero za kilka godzin będzie musiała wstać, ubrać się i pojechać do sklepu.

Usiadła, odgarnęła włosy z oczu i zdała sobie sprawę, że drżą jej dłonie – efekt uboczny nocnego koszmaru.

Hairy S uniósł łeb z posłania na podłódze. Nastawił uszy, z nadzieją zamerdał ogonkiem.

– No pewnie – mruknęła. – Chodź do mnie!

Nie czekał na dalsze zaproszenie, poderwał się z posłania, rozpędził i wskoczył na łóżko.

Polizał ją serdecznie, a potem ukrył się pod kołdrą. Olivia opadła na posłanie. Głaskała go po łebku. Przytulił się do niej ciepłym ciałkiem.

To nie to samo co bliskość męża, ale na razie musi jej wystarczyć. Jej mąż. Co on właściwie wyprawia w Los Angeles? Ugania się za duchem? Czy za marzeniem? Woląta się nie zastanawiać, czy nadal żywi jakieś uczucia wobec nieżyjącej byłej żony, ale i tak wiedziała. Wyrzuty sumienia zżerają go żywcem, a ktoś to sprytnie wykorzystuje.

Tylko kto?

To pytanie nie dawało jej spokoju, odkąd pokazał jej zniszczony akt zgonu. Nie chodzi o to, że nie wierzyła w duchy; po prostu nie była pewna. Miała już w życiu do czynienia z niewyjaśnionymi zjawiskami. Ostatecznie sama widziała zbrodnię oczami sadystycznego mordercy.

Dużo by dała, żeby teraz wrócił jej ten dar.

Spojrzała na zegarek. W Los Angeles dochodzi wpół do drugiej nad ranem. Czy Bentz już śpi? A może o niej myśli? Czy ugania się za marzeniem? Położyła dłoń na ciągle jeszcze płaskim brzuchu; ciekawe, czy ona, Bentz i dziecko będą kiedykolwiek prowadzili normalne życie.

A co to za pomysł? Wiedziałaś, w co się pakujesz, wychodząc za pracoholika.

Z westchnieniem zamknęła oczy zdecydowana, że odpręży się ponownie zaśnie. I rzeczywiście, zapadała w drzemkę, gdy zadzwonił telefon. Uśmiechnęła się do psiaka:

– On pewnie też nie może spać. Podniosła słuchawkę.

– Cześć. – W jej głosie słychać było uśmiech widoczny na twarzy.

– Wiesz, co twój mąż wyprawia w Kalifornii? – zapytał ochrypły kobiecy głos.

– Co? – Olivia nagle oprzytomniała. Włosy stanęły jej dęba. – Kto mówi?

– Szuka jej. A wiesz dlaczego? Bo ona jest jego prawdziwą miłością nie ty. Jennifer.

Nigdy o niej nie zapomniał.

– Kto mówi? – powtórzyła.

Rozmówczyni się rozłączyła.

– Suka! – syknęła Olivia do słuchawki.

Oczywiście, że Bentz jest w Los Angeles. Wiedziała o tym. Wiedziała także, że szuka Jennifer albo kobiety, która się pod nią podszywa. Spojrzała na wyświetlacz. Numer zastrzeżony.

– Świetnie.

Ani nazwiska, ani numeru telefonu, ani numeru kierunkowego. Nie dowie się, kto do niej dzwonił. To tylko głupi kawał, zadzwonił ktoś, kto wiedział, że Bentz pojechał do Kalifornii, żeby się dowiedzieć, co się stało z Jennifer.

Tylko że mało kto o tym wiedział. W każdym razie nie tutaj, w Nowym Orleanie. Ona, Montoya... A więc dzwoniło z innego miejsca; postawiłaby wszystkie oszczędności na to, że z południowej Kalifornii.

Bentz narobił zamieszania. Właśnie o to mu chodziło.

Odkładając słuchawkę, rozważała, czy nie zadzwonić do męża i nie powiedzieć mu, co się stało, ale postanowiła tego nie robić.

Na razie.

Zamiast tego odrzuciła kołdrę i poszła do kuchni. Wypiła szklanekę wody. Wyjrzała przez okno nad zlewem, wychodzące na podwórze, patrzyła, jak księżyc otula światłem cyprysy.

Odstawiła szklanekę i sprawdziła, czy wszystkie drzwi i okna są dokładnie pozamykane.

Dopiero wtedy wróciła do łóżka.

Spojrzała na zegarek i obiecała sobie, że za pięć godzin zadzwoni do męża i dowie się, co się, do cholery, dzieje.

Bentz nie spał, szukał wiadomości, buszował w Internecie. Dlaczego morderca sióstr Caldwell, albo jego naśladowca, zaatakował akurat teraz, po dwunastu latach? Za późno, żeby dzwonić do Olivii, więc podczas bezsennych godzin przypominał sobie wszystko o sprawie Delti i Diany Caldwell. To był koszmar, dla niego i dla rodziny, rodziców i starszego brata, też o imieniu na D... Donny? Danny? Nie... Donovan! Tak, tak miał na imię. Starszy o osiem lat od bliźniaczek, po tragedii zaopiekował się rodzicami. Najwyraźniej nie do końca mu się to udało, bo do Bentza dotarły plotki, że się rozwiedli.

Wystarczyło, by zamknął oczy, a widział je znowu: nagie, zwrócone twarzami do siebie, skrępowane czerwoną wstążką, która przywodziła na myśl krew. W pierwszej chwili, kiedy je zobaczył, z trudem udało mu się powstrzymać odruch wymiotny.

Ilekcio wracał myślami do dochodzenia w sprawie sióstr Caldwell, martwił się, że nie dał

z siebie wszystkiego. Robił, co w jego mocy, zważywszy na to, w jakim wówczas był w stanie, ale okazało się, że to za mało. Bledsoe miał rację. Bentz zostawił wszystko na głowie Trimdada. A teraz wszystko wskazuje na to, że dwie dziewczyny straciły życie przez tego samego świra. Może gdyby wtedy bardziej się zaangażował, nie doszłoby do tego morderstwa i obie dziewczyny żyłyby nadal.

Po bezsennej nocy Bentz postanowił, że zaoferuje swoje usługi w sprawie nowego morderstwa. Wiedział, oczywiście, że nie zostanie na nowo pracownikiem LAPD, ale uważał, że może pomóc, służyć radą jako że był głównym śledczym w sprawie sióstr Caldwell.

Powiedział to wszystko, gdy zadzwonił do byłego partnera, chcąc uzyskać więcej informacji.

– Cholerny świat, Bentz, nie mogę o tym rozmawiać i dobrze to wiesz – zachnął się Trinidad. – A jeśli chodzi o to, dlaczego wróciłeś do Los Angeles, słyszałem od Hayesa – nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Muszę myśleć o emeryturze. Nie chcę tego spieprzyć. I nie powiem ci nic o podwójnym morderstwie. Ani tobie, ani mojej żonie, ani dzieciom. Ani prasie. Ani nikomu.

– Prowadziłem pierwsze dochodzenie.

– Zakładając, że sprawy są powiązane. – Są.

– Wiesz to na podstawie trzydziestosekundowej migawki w wiadomościach? Litości.

Będę szczery. Nikt w departamencie nie chce twojej pomocy.

Bentz nie rezygnował. Wspomnienie morderstwa siostr Caldwell sprawiło, że wykonał kolejny telefon. Do Hayesa.

– Wiedziałem, że zadzwonisz – odezwał się policjant. – To sprawa wydziału, Bentz. Nie ma nic wspólnego z tobą. I bez tego nadstawiam dla ciebie karku. Więc nawet nie pytaj.

Wszystkim nam wyjdzie to na dobre.

Bentz się rozłączył, ale nie rezygnował. Kolejnym jego rozmówcą był Andrew Bledsoe.

Nie ucieszył się.

– Jezu, Bentz, masz czelność dzwonić po tym, jak zostawiłeś nas wszystkich z rękaw nocniku? I chcesz informacji? Oszalałeś? Wiesz, że nie mogę ci niczego powiedzieć. Do cholery, narobiłeś wystarczająco dużo szkód, kiedy tu pracowałeś. Pamiętasz? Kiedy jeszcze mogłem z tobą rozmawiać? Nie miałem na to ochoty wtedy i nie mam teraz. O co chodzi?

Dlaczego dzwonisz? Bo co? Bo nikt inny nie chce z tobą gadać? – Bledsoe się rozkręcał.

– Tonący brzytwy się chwyta? Nie zapominaj, dupku, że nikt cię tu nie chciał, więc czytaj gazety, jak wszyscy!

Bledsoe się rozłączył, mając przekleństwa pod nosem. Bentz nie oczekiwał, że powitają go z otwartymi ramionami, ale szlag go trafiał, że nie ma dostępu do informacji o podwójnym morderstwie, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa łączyło się z jego ostatnią sprawą w Kalifornii, sprawą, której nie zdołał rozwiązać.

Był wściekły, gdy zadzwoniła Olivia. Spóźniona do pracy, zatelefonowała koło dziewiątej czasu kalifornijskiego. Początkowo unikała podania przyczyny rannej rozmowy, ale Bentz wyczuwał, że coś się stało, zapytał wprost.

– Nie mogę po prostu zadzwonić tylko dlatego, że za tobą tęsknię? – zapytała.

– W każdej chwili. – Ale tonie w jej stylu.

– Mam nadzieję, że szybko to skończysz. Jak ci idzie?

– Nie tak dobrze, jak liczyłem – przyznał.

Nie powiedział, że widział Jennifer w starym zajeździe; nie chciał o tym rozmawiać, póki nie będzie wiedział, z czym ma do czynienia, póki nie zbierze konkretnych dowodów, że tam naprawdę była. Opowiedział jednak o zamordowanych bliźniaczkach, o tym, że wszystko wskazuje na to, że to powtórka ostatniej zbrodni, którą przed laty usiłował rozwiązać w Kalifornii.

– Myślisz, że świr zaatakował, bo ty wróciłeś? – zapytała sceptycznie.

– Sam nie wiem, co myśleć – przyznał.

– LAPD prosiło cię o pomoc? Roześmiał się.

– A jak myślisz?

– Aż tak źle?

– Gorzej. Chcą się mnie stąd pozbyć.

– A co ty na to?

– No cóż, rozważam to. Skoro tak za mną tęsknisz...

– Ej, nie zwalaj na mnie. Masz misję do wypełnienia, więc siedź tam, póki nie robisz tego, co musisz. Ja sobie poradzę. Nie chcę, żebyś wiecznie mi zarzucał, że wróciłeś przeze mnie i dlatego nie dokończyłeś pewnych spraw. O nie.

– Skończę jak najszybciej – obiecał.

Rozłączyli się i miał wrażenie, że Olivia czegoś mu nie mówi. Wyczuwał, że coś się dzieje, i martwił się, zważywszy na wydarzenia w Kalifornii. Nowy Orlean leży na drugim krańcu kontynentu, ale przecież widział Jennifer także w Luizjanie, i to nie raz, a akt zgonu przesłano na posterunek w Nowym Orleanie, więc ten, kto za tym wszystkim stoi, zapewne wie, że jest żonaty.

Bentz zdawał sobie sprawę, że to on jest celem tajemniczego prześladowcy, ale najłatwiej jest kogoś zranić, krzywdząc jego najbliższych, i ta świadomość jeszcze potęgowała frustrację.

Choć bardzo mu się to nie podobało, obawiał się, że Kristi i Olivia mogą być w niebezpieczeństwie.

Do południa zdążył wypić kilka filiżanek motelowej kawy i przejrzeć wszystkie gazety.

Godzinami ślęczał nad artykułami o podwójnym morderstwie, poznał nazwiska ofiar i nieco więcej szczegółów. Oczywiście nie wszystkie, policja nigdy nie ujawnia wszystkiego, żeby w odpowiedniej chwili zaskoczyć mordercę. To koszmarnie i chore, ale często się zdarza, że spragnieni chwały psychopaci przypisują sobie cudze zbrodnie. Pragnęli rozgłosu, zainteresowania mediów, a czasami naprawdę wierzyli, że sami dokonali nawet najbardziej makabrycznej zbrodni. Podwójne morderstwo budzi zainteresowanie prasy, a zatem i wielu świrów.

Co za bałagan.

Montoya od rana uzupełniał robotę papierkową w sprawie o morderstwo. Poprzedniej nocy doszło do zabójstwa nad rzeką, niedaleko centrum konferencyjnego. Dzięki świadkom udało się zatrzymać sprawcę. Montoya właśnie kończył raport, gdy zadzwonił Ralph Lee z laboratorium. Choć był zawalony robotą, poświęcił sporo czasu na przebadanie zdjęć i aktu zgonu, które przesłano Bentzowi.

– Niewiele mogłem zrobić – zaczął, gdy Montoya rozparł się wygodnie na krześle i rozciągał spięte mięśnie barków. – Zdjęcia wydają się autentyczne. Nie znalazłem żadnych śladów manipulacji.

Montoya nie wiedział, czy to dobra wiadomość, czy zła.

– Udało mi się natomiast ustalić, że samochód, do którego wsiada obiekt, to produkt General Motors, najpewniej chevrolet impala. Mówiłeś, że zdjęcia prawdopodobnie zrobiono w Kalifornii, co potwierdza analiza roślinności, tablic rejestracyjnych i znaków drogowych.

Ustaliłem jedną ulicę – Colorado Boulevard. Powiększyłem zdjęcia i odczytałem nagłówki na gazetach. „USA Today” i „Los Angeles Times” z czwartku dwa tygodnie temu – nagłówki pokrywają się z datą. Siłowałem wyodrębnić odbicie fotografa, ale mi się nie udało. Mam kilka fragmentów tablic rejestracyjnych, spisałem je i modele wozów, na wypadek gdyby jednak nie chodziło o chevroleta. Jeśli chodzi o akt zgonu, nie znalazłem DNA na kopercie.

Sprawdziliśmy odciski palców w bazie krajowej – nic. Czerwony tusz pochodzi z flamastra, który można kupić w całym kraju i w Kanadzie, choć największą popularnością cieszy się na Zachodnim Wybrzeżu. Dokument jest autentyczny, pochodzi sprzed dziesięciu lat – wykazała to analiza papieru. I tyle. – Lee zdawał się przepraszać. – Nie wiem, czy to ci pomoże, czy nie.

– Wielkie dzięki – mruknął Montoya. – Na pewno pomoże.

– Dobra. Mam raport. Wyślę ci pocztą elektroniczną albo sam sobie weźmiesz, kiedy przyjdiesz po oryginały, w końcu to nie jest oficjalne odchodzenie.

– Wpadnę po południu – obiecał Montoya i się rozłączył. Zrobił co w jego mocy dla Bentza i jego ducha. Przekaze mu te informacje. Może Bentz wtedy odzyska rozum i wróci do żony z krwi i kości. Czas przestać szukać kobiety, której od dawna nie ma.

Rozdział 16

Lorraine Newell mieszkała w starzejącym się trzypiętrowym domu w zaułku w Torrance, na południe od centrum Los Angeles. Morelowa farba obłaziła i pękała w upalnym słońcu, trawnik straszyl łysymi plackami, do których nie docierała woda ze spryskiwacza. Nie był to pałac, o jakim marzyła księżniczka Lorraine.

Bentz zjawił się piętnaście minut przed czasem, ale i tak otworzyła drzwi, ledwie dotknął

dzwonka, jakby czatowała w holu, gotowa zareagować, gdy tylko rozbrzmi melodyjny sygnał.

– Rick Bentz – mruknęła, kręcąc głową.

Ciemne włosy sięgały podbródka. Przyrodnia siostra Jennifer nie postarzała się ani odrobinę od ich ostatniego spotkania. Mimo niewysokiego wzrostu, nosiła się dumnie jak członkini rodziny królewskiej. Nie lubiła Ricka i nigdy tego nie ukrywała. Także dzisiaj nie zwracała sobie głowy fałszywym uśmiechem czy uściskiem i Bentz nie miał nic przeciwko temu. Nie ma sensu udawać.

– Jesteś ostatnim człowiekiem, którego spodziewałam się zobaczyć – zaczęła.

– Czasy się zmieniają.

– Czyżby?

Odsunęła się i zaprowadziła go do saloniku, w którym czas się zatrzymał pod koniec lat osiemdziesiątych, gdy jeszcze żył Earl, sprzedawca samochodów, jej mąż. Bentz pamiętał

krzesła i jadowicie zieloną kanapę, marmurowy kominek i ścianę wyłożoną lustrami, które sprawiały, że czuł się tu jak w wesołym miasteczku. Na sztucznych kwiatach gromadził się kurz, na stoliku leżały te same książki o kalifornijskich winach, które zapamiętał sprzed lat.

– Siadaj – powiedziała, wskazując mu krzesło.

Sama przysiadła na oparciu kanapy. Miała na sobie obcisłe dzinsy, czarną koszulkę i balerinki. Nie tak wyobrażał sobie strój na służbową kolację, ale też nigdy nie pojmował

niuansów kalifornijskiej mody.

Lorraine od razu przeszła do rzeczy.

– O co chodzi ze śmiercią Jennifer? – Zrobiła palcami znak cudzysłowu w powietrzu, żeby podkreślić swój stosunek do sprawy, i mówiła dalej: – Wiesz, że nigdy nie uwierzyłam w jej wypadek. I nie kupiłam wersji o samobójstwie. Uwielbiała dramatyzować, ale wypadek samochodowy? – Pokręciła głową.

– To nie w jej stylu. Ewentualnie tabletki... Chociaż i to uważam za mało prawdopodobne. Owszem, była destruktywna, przyznaję, ale nie na tyle, żeby targnąć się na własne życie. – Podniosła wzrok na Bentza. – Jennifer była typem kobiety, która podejmie próbę samobójczą żeby zwrócić na siebie uwagę, ale żeby wjechać na drzewo? Pozwolić, by jej ciało przeleciało przez przednią szybę? Ryzykować takie obrażenia? O nie. Nie miała na to dość odwagi. Mogła przeżyć, skończyć w wózku inwalidzkim, brzydka, oszpecona. –

Lorraine energicznie potrząsała głową. Skrzyżowała ręce na piersi. – O nie.

Pokazał jej zdjęcia, ale akt zgonu na razie zachował dla siebie.

– O Boże. – Z niedowierzaniem wpatrywała się w zdjęcia przyrodniej siostry. – To...

Naprawdę wygląda jak Jen, owszem, ale to na pewno sobowtór, ktoś, kto jest do niej podobny jak dwie krople wody i twój wróg, nie wiem, przestępca, którego posłałeś za kratki, postanowił zrobić

ci kawał.

– Podniosła głowę. – I chyba mu się udało.

Żebyś wiedziała. Pomyślał o kobiecie widzianej za domem w Luizjanie, o snach, w których Jennifer go prześladowa.

– Właśnie tego chcę się dowiedzieć.

– Kilka zdjęć sobowtóra to jeszcze nic wielkiego. To za mało, żeby cię tu ściągnąć. –

Zmarszczyła brwi. – Jest coś jeszcze, prawda? Coś, co kazało ci wrócić do Kalifornii.

– Miałem trochę wolnego.

– Co, kolejny wydział policji chce się ciebie pozbyć?

– Nie chodzi tylko o zdjęcia, Lorraine. Wydaje mi się, że ją widziałem.

– O Jezu. – Przycisnęła dłoń do czoła. – To już naprawdę za wiele. I co z tego? Jesteś ciekaw, czy ja także się z nią kontaktowałam? Czy wyskoczyłam z nią na drinka? Zaprosiłam na kolację?

Nie odpowiedział. Przekonał się już, że często najlepszym rozwiązaniem jest pozwolić ludziom gadać. Milczenie czasami dawało lepsze efekty niż bezpośrednie pytania.

– Tym razem przesadziłeś. To wariactwo.

Podeszła do przeszklonej ściany. Na zewnątrz koliber buszował wśród purpurowych kwiatów pnących się po altance.

– Wiesz, Rick – zaczęła po chwili. – Odbiło ci. Naprawdę. Wiedziałabym, gdyby Jennifer naprawdę żyła. Odezwałaby się do mnie. Niby gdzie się ukrywała przez tyle lat? Zresztą skoro nie ona siedziała za kierownicą – Na miłość boską, Bentz, ona nie żyje. Jest martwa.

Nie słyszałam, żeby komuś udało się wrócić z zaświatów, nie licząc Jezusa, a od jego sukcesu minęło ile? Dwa tysiące lat. – Zamknęła mu drzwi przed nosem, ale w ostatniej chwili dodała:

– Pozdrów ode mnie Crystal.

Nie poprawił jej. Kristi zaledwie mgliście pamiętała przyrodnią siostrę matki. Od śmierci Jennifer Lorraine ani razu nie zadzwoniła, nie napisała, w żaden sposób nie usiłowała się z nią skontaktować. Bentz nie widział powodu, by teraz miało się to zmienić.

Wyjechał z Torrance bez nowych wiadomości. Lorraine była nieznośna w przeszłości i wcale nie zmiękła z wiekiem, pytanie jednak, czy była z nim szczerą?

Nie był pewien. Podobnie jak Shana chciała mu dopiec, i to jej się udało. Z pewnością też nie

widziała Jennifer. Wracając na północ, do Culver City, nie odrywał wzroku od jezdni.

Okolicę spowijał żółtawy smog, jednak sznur samochodów posuwał się w miarę sprawnie. Na zachodzie obłok smogu jaśniała kula słońca. Uchylił okno i analizował radę Lorraine, która sprowadzała się w sumie do: zabieraj swoje zabawki i wracaj do domu. No tak, ale nigdy nie umieli się odgadać. I jeszcze te aluzje do Alana Graya! Bentz nie myślał o nim od wielu lat. A Lorraine nie zapomniała.

Wypatrując swojego zjazdu, zdał sobie sprawę, że jedzie bardzo szybko. Jeszcze tylko kilka kilometrów. Skręcał właśnie, gdy zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Montoya.

Przyjaciel powiedział mu w kilku słowach, czego się dowiedział, choć nie było tego dużo, nie Uczęc srebrnego chevroleta. Model impala, ten sam, który widział w San Juan Capistrano.

Powiedział to zwięźle:

– Czyli szukam sześcio, siedmioletniego wozu na rejestracji kalifornijskiej z wiekową przepustką szpitalną.

– Nie wiesz, z jakiego szpitala?

– Nie, ale pamiętam symbol, to był... – Co to było, do cholery? Nie pamiętał. Po prostu nie pamiętał.

– Słyszałem w wiadomościach, że mają tam podwójne morderstwo – zagadnął Montoya.

– Bliźniaczki. Ten sam sprawca?

– Na to wygląda. – Bentz zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, aż pobieleły mu kłykcie.

Wyprzedzało go czarne bmw. Montoya słyszał historię dochodzenia w sprawie zabójstwa sióstr Caldwell dwanaście lat temu. Bentz opowiedział mu o tym już dawno.

– Naśladowca?

– Nie wierzę.

Bentz zjechał na skrajny pas, znajdował się teraz za starym pikapem pełnym narzędzi ogrodniczych. Przepuścił dupka w czarnym bmw. Samochód mignął obok niego.

Za nim jedzie teraz inny wóz. Dogania go.

Błysk srebra.

Bentz zobaczył zderzak i rozpoznał starszy model chevroleta impala. Za kierownicą, siedziała ciemnowłosa kobieta... Naklejka na przedniej szybie...

Jezu Chryste!

Jennifer!

Upuścił telefon.

– Cholerny bydlak. – Widząc, że czerwony garbus włącza kierunkowskaz i chce skręcić, Bentz docisnął gaz do dechy. Skręcił gwałtownie i przyspieszył.

– No szybciej – mruzczał do samochodu. Srebrny wóz oddalał się, znikał w sznurze aut.

Czy to możliwe?

Nie.

Zacisnął usta i jechał najszybciej, jak śmiał, mijał samochody osobowe, furgonetki i ciężarówki, cały czas nie spuszczał srebrnego auta z oczu. Kobieta za kierownicą jakby wyczuła, że ją śledzi, starała się go zgubić, nikła między innymi samochodami, zjeżdżała z lewego pasa na prawy i z powrotem. Wydawało się, że zależy jej jedynie na tym, by dzieliło ich odpowiednio dużo wozów.

Ale Bentz był coraz bliżej.

Nagle gwałtownie skręciła w prawo i w ostatniej chwili uciekła w zjazd na Bulwar Zachodzącego Słońca. Zatrąbiły klaksony.

Chevrolet zniknął za zakrętem. Bentz usiłował powtórzyć jej manewr, przebić się na prawy pas, ale drogę blokowała mu furgonetka. Kobieta ze słuchawkami w uszach, nieświadoma, co się dokoła niej dzieje, trzymała się kurczowo zderzaka wiekowej ciężarówki. Bentz nie miał

szans wyminąć obu.

Z wściekłością uderzył pięścią w kierownicę.

Boże, oddałby wszystko za koguta i syrenę!

Chcąc zjechać z autostrady, musiał zwolnić i ustawić się za furgonetką. Gdy w końcu znalazł się na skrzyżowaniu, zatrzymało go czerwone światło – a chevrolet przemknął na żółtym. Bentz mełł w ustach przekleństwa, a pańcia z furgonetki paplała coś radośnie do słuchawek.

Bentz wyteżył wzrok i zobaczył srebrnego chevroleta daleko przed sobą, na kolejnych światłach. W życiu jej nie dogoni.

Tak blisko, a tak daleko...

Kalifornijska tablica rejestracyjna... Wyteżył wzrok. Wydawało mu się, że dwie cyfry to 66. Więcej nie widział.

Zanim zmieniły się światła i mógł wreszcie wyprzedzić furgonetkę, po srebrnym chevroletcie nie było śladu.

Napompowany adrenaliną, z nerwami napiętymi jak postronki, krążył po okolicy. Stał na czerwonym świetle, gdy zadzwonił jego telefon.

– Co się stało, do cholery? – warknął Montoya. Bentz mu wytłumaczył.

– Myślisz, że to ta sama kobieta? Litości. Przecież szanse są minimalne.

– Wiedziała, że byłem u Lorraine Newell.

– Skąd?

– Nie wiem. Pewnie mnie śledziła. Domyśliła się, co zrobię.

– Los Angeles to duże miasto. Mieszka w nim sporo brunetek. To nie była ani Jennifer, ani jej sobowtór.

– Mówię ci, że...

– Że co? Co mi mówisz? Że w mieście, które ma kilkanaście milionów mieszkańców, spotkałeś tę, której szukasz, na autostradzie? Mówimy o igle w stogu siana.

– Ten sam samochód, do cholery. I ciemnowłosa kobieta za kierownicą. Nie, nie widziałem jej twarzy. Widziałem natomiast skrawek naklejki. Był na niej krzyż, jakby ten szpital był związany z jakimś kościołem chrześcijańskim.

– Skoro tak twierdzisz.

– Rejestracja kończy się na 66, reszty nie widziałem.

– Na pewno nie 666?

– Nie jestem w nastroju do żartów.

– I w tym problem, Bentz. Cała sprawa to głupawy żart, który ci robi ta kobieta. Kiedy zmądrzejesz i wrócisz do Luizjany? Słuchaj, mam tu robotę. Prawdziwą. Zadzwoń, kiedy pójdziesz po rozum do głowy. – Montoya się rozłączył, a rozjuszony Bentz jeszcze przez niemal godzinę krążył po ulicach.

Wjeżdżał na parkingi, patrolował zaułki, wszędzie szukał srebrnego chevroleta. Widział

mnóstwo srebrzystych wozów, we wszystkich odbijało się zamglone słońce, ale żaden z nich nie był chevroletem impala.

Zrezygnowany wrócił do Culver City przez Westwood i Beverly Hills. Zbliżał się już do motelu, gdy znowu zadzwonił jego telefon. Tym razem na wyświetlaczu nie widniał żaden numer.

– Bentz – rzucił.

– Złap mnie, jeśli potrafisz, RJ – szepnął kobiecy głos. Serce stanęło mu w gardle.

– Co?

– Słyszałeś.

– Kto mówi?

– Och, chyba wiesz. – Roześmiała się, gardłowo, zmysłowo, aż przeszył go zimny dreszcz. – Nie możesz uwierzyć w to, co widzisz. Wróciłam, RJ, i bardzo się cieszę, że nadal mnie pragniesz.

Zerkam w tylne lusterko i widzę swój uśmiech.

– Świetnie – mówię sobie. – Rick Bentz kręci się w kółko, wyszukuje stare przyjaciółki żony, grzebie w przeszłości. I o to właśnie mi chodziło.

Przyjemne jest uczucie, że wreszcie udało mi się zaleźć mu za skórę.

– Ty draniu – szepczę na myśl o jego rzeźbionej twarzy – Zasłużyłeś sobie na to. – W

trakcie jazdy zdejmuję buty na wysokich obcasach i prowadzę boso, oplatam palce dokoła pedału gazu. Podczas rozmowy dało się wyczuć jego frustrację – co za rozkosz. Obserwować go z oddali, patrzeć, jak ugania się za duchem.

Nadal na adrenalinie, planuję kolejny krok.

Zbliżając się do autostrady, rzucam komórkę na fotel pasażera i uchylam okno. Tak, dzisiaj jest smog, ale to przecież Los Angeles. Mgiełka stanowi część miasta, co nie zmienia faktu, że czuję wiatr we włosach, gdy skręcam w stronę zjazdu.

Komórka na kartę jest nie do wykrycia.

Idealnie.

Biedny Bentz. Nie znajdzie mnie; dopiero wtedy, gdy ja tego zapagnę.

Wpadł prosto w moją pułapkę. Może jednak traci wycucie.

I dobrze.

Nie miał pojęcia, że czuwam nad każdym jego krokiem, że go śledzę. Wtedy, gdy był u Shany McIntyre, dzisiaj, u tej suki Lorraine Newell; ależ z niej żalosna kreatura.

A Bentz?

Dobry Boże, ależ jest przewidywalny.

Zawsze taki był.

Naciskam sprzęgło, zmieniam bieg, zwalniam. Niedobra pora na mandat.

Ale serce bije mi jak szalone.

Czas podkręcić sytuację.

Na tę myśl ogarnia mnie przyjemne ciepło. Odbicie mruga do mnie.

– Mądra dziewczynka – mówię i rozmyślam co dalej. Bentz nawet się nie zorientuje, skąd padnie cios.

Rozdział 17

Hayes z głośnym trzaskiem zamknął akta i rozparł się wygodnie na krześle, aż zapiszczało niepewnie. Ten dźwięk wtopił się w kakofonię panującą dokoła – stukot klawiszy klawiatury, dzwonki telefonów, szmer rozmów. A nad tym wszystkim ciągle buczenie wiekowej klimatyzacji.

Ktoś się roześmiał, kilka biurka dalej drukarka wypłuła plik kartek. Trinidad spisywał

zeznania długonogiej Murzynki, zapewne świadka w jednej z otwartych spraw. Mieli aż nadto roboty, morderstwo sióstr Springer wywołało poruszenie na posterunku. Takie zbrodnie zawsze przyciągają uwagę mediów i przerażonej opinii publicznej. Dziennikarze nie dawali im spokoju, rzecznik policji był równie zajęty jak detektywi zaangażowani w dochodzenie.

A czas mijał, a oni nadal nie mieli żadnego liczącego się tropu.

Hayes sięgnął po kubek z resztkami mrożonej herbaty – lód topniał w kubku od lunchu, zapomniany. Wypił spory łyk, poczuł, że papierowy kubek przemięka.

Od rana analizował akta sprawy sióstr Caldwell, szukał czegoś, co pominęli dwanaście lat wcześniej.

Niczego nie znalazł.

Po odejściu Bentza Trinidad dostał nowego partnera – czy raczej partnerkę, Bonitę Unsel, która zdążyła już odejść z wydziału zabójstw. Ona, Trinidad i Bledsoe prowadzili sprawę wzorcowo, ale mordercy uszło na sucho. I wtedy, i teraz.

Hayes, cały czas pogrążony w myślach, dopił kawę i przeglądał zdjęcia z miejsca zbrodni na ekranie komputera. Sprowadzono pudło z dowodami – zauważył, że czerwona wstążka, którą skrupowano siostry Springer, wydaje się identyczna z tą, którą zabójca posłużył się przy zabójstwie bliźniaczek Caldwell.

Sukinsyn zachował sprzęt sprzed lat, łącznie z ciężką wstążką, taką, jaką pakuje się ekskluzywne prezenty gwiazdkowe. Przed laty znaleźli producenta takich wstążek, sprawdzili dystrybutorów – ale nic im to nie dało.

Nie mieli też żadnych odcisków palców, niczego, co stanowiłoby jakikolwiek ślad.

Godzinami przesłuchiwali krewnych i znajomych ofiar. Narzeczonych, przyjaciółki, członków rodziny. Mnóstwo przesłuchań i nic.

Głównym podejrzanym był Chad Emerson, chłopak, który spotykał się z obydwoma siostrami i wydawał się głęboko poruszony ich śmiercią. Podobnie jak ich starszy brat, Donovan, zdaniem Bledsoe zamieszany w zbrodnię. Nie mieli na niego żadnych dowodów.

Owszem, był zazdrosny o uwagę, jaką poświęcano bliźniaczkom; ale zazdrość to nie przestępstwo. I zdarza się ;: często. Niemniej jednak Hayes postanowił sprawdzić obu, przekonać się, czy cokolwiek łączy je z siostrami Springer.

– Hej!

Podniósł głowę i zobaczył Dawn Rankin, koleżankę z wydziału. Szła w jego stronę.

Cisnęła mu raport na biurko.

– Wysłałam ci to pocztą elektroniczną, ale pomyślałam, że zechcesz też na papierze.

Strzelanina w West Hollywood. Zeznania świadków.

– To nie był wypadek? Przecząco pokręciła głową.

– Mamy sprawę. Dziwne, co? Najlepsi kumple, a strzelają do siebie z powodu kobiety.

– Głupota nie zna granic.

– Chyba nie. – Posłała mu złośliwy uśmiech. – Słyszałam, że wrócił Bentz. Bada okoliczności śmierci żony.

– Byłej żony. Owszem.

– O co tu chodzi? – Dawn ściągnęła brwi.

Była ładna. Drobną, sprytną, o delikatnej cerze, mogła się obejść prawie bez makijażu.

Uśmiechała się, ale jej oczy pozostały poważne.

– Nie wiem. Uważa, że ktoś go wkręca, chce mu wmówić, że Jennifer nadal żyje.

– Sam ją zidentyfikował.

– I wie o tym. – Hayes poczuł, że nadciąga ból głowy. – Nie wyglądał mi nigdy na gościa, który daje się wciągnąć w coś takiego. Gdyby ktoś go nabierał, waliłby w mordę.

– Chyba że chce uwierzyć, że ona żyje. – Rozłożyła ręce. – Nie, żeby kiedykolwiek go rozumiała.

Hayes przypomniał sobie dopiero teraz; przed laty Bentz romansował z Dawn. Chyba dawno jej już przeszło, choć, jeśli wierzyć plotkom, bardzo przeżyła rozstanie.

– W każdym razie rozmawiałam dzisiaj ze znajomymi sióstr Springer. Znalazłam nawet ich chłopaków. Obaj oczywiście mają alibi, ale chłopak Lucy, Kurt Jones, jest notowany. Nic poważnego, tylko narkotyki. Na ulicy mówi się, że handluje. – Pokręciła głową. – Drobnny diler. Nie sądzę, by to był on.

– I mało prawdopodobne, żeby miał coś wspólnego z siostrami Caldwell.

– Teoretycznie jest w odpowiednim wieku, ale nie wydaje mi się, żeby pasował do profilu.

Bledsoe usłyszał końcówkę rozmowy – akurat wchodził do pokoju.

– Nie, nie mówcie, rozmawiacie o moim ulubieńcu, naszym ekskoledze Ricku. –

Skrzywił się. – Można się było spodziewać, że wyskoczy jak diabeł z pudełka, kiedy morderca bliźniaczek znowu zaatakuje. Może morderca uderzył, bo wie, że Bentz tu jest.

Może chce go wkurzyć i z niego zadrwić.

– Jasne, bo tak działają seryjni. – Dawn zirytowała się wyraźnie. Bledsoe tak działał na ludzi. – Zaraz powiesz, że to Bentz załatwił siostry Springer.

– Nieee. To sukinsyn, ale nie zabójca. Chociaż dzieciak Valdezów... Bentz go załatwił.

– To był wypadek – zachnęła się Dawn. – To cios poniżej pasa, nawet jak na ciebie.

– Po prostu nie lubię zbiegów okoliczności. – Bledsoe podniósł ręce na znak, że się poddaje. – Mówię tylko... – Zadzwoił jego telefon i odszedł z komórką przy uchu.

– Dupek. – Dawn odprowadzała go wzrokiem, szukając w torebce paczki marlboro lights.

– Nie wiedziałem, że jesteś fanką Bentza. Spojrzała na Hayesa.

– Fanką? Nie. To rzeczywiście świnia. Ale Bledsoe? – Wyjęła nową paczkę. – W piekle mają dla takich specjalne kotły.

Na godzinę przed zachodem słońca Bentz pojechał do Santa Monica, miejscowości, która pojawiała się w każdej rozmowie i która stanowiła część jego życia z Jennifer. Bardzo ważną część, zważywszy, że tutaj kochali się po raz pierwszy przed ślubem. Czy to dlatego Jennifer tak sobie upodobała nadmorskie miasteczko? A może się oszukiwał? Znalazł wolne miejsce, zaparkował i już miał wysiąść, gdy jego uwagę zwróciła laska na tylnym siedzeniu. Ponieważ pościg za Jennifer w San Juan Capistrano sprawił, że ból w nodze się spotęgował, wziął ją i ruszył nad morze.

Minął łuk wznoszący się nad wejściem na długie moło. Nie było jeszcze ciemno, ale nad wodą już płonęły neony wesołego miasteczka. Górską kolejka wzbijała się w niebo, górowała nad karuzelami.

Okrzyki pasażerów zagłuszały hałas maszynierii. Nieco dalej kręciło się powoli wielkie koło, diabelski młyn, a pasażerowie podziwiali widok z lotu ptaka: plażę i promenadę.

Rick patrzył na feerię świateł nad oceanem. Ile razy przyjeżdżali tu we trójkę, on, Jennifer i Kristi? Ile razy byli z małą w oceanarium? Zajadali hot dogi? Spacerowali bosy po plaży?

Poczuł ucisk w żołądku.

Przypomniał sobie, że czasami przyjeżdżali tu z żoną wieczorem bez córki. Spacerowali po molo, wdychali słony zapach oceanu, wstępowali na drinka do jednego z barów przy plaży.

A ona mimo to spotykała się tu z Jamesem.

Wrócił do terażniejszości, rozluźnił napięte barki i postanowił przejść się wzdłuż plaży.

Myślami błądził w przeszłości. Ból w nodze nie przeszkodzi mu w wędrówce po piasku i wspomnieniach. Wstąpił na kolację do jaskrawo udekorowanej kubańskiej knajpki, takiej samej od lat. Kwadratowe stoliki ustawiono ciasno w niedużej sali, wśród palm, ciszę wypełniała głośna karaibska muzyka. Miał szczęście, mimo tłoku udało mu się zdobyć stolik przy oknie i mógł podziwiać zachód słońca przez szklaną taflę.

Akurat tego dnia słońce się nie popisało, nadciągająca mgła zasłaniała horyzont, sprawiała, że morze zlewało się z niebem. Spacerowicze na molo i plaży przyspieszali kroku.

Byli tu kilka razy z Jennifer, raz nawet świętowali tu jej urodziny, ale wspomnienie było blade i nie starał się go ożywić. Zastanawiał się, czy przychodziła tu z Jamesem, chociaż to nieważne. Już nie. Przed laty bardzo go zranili tym romanssem. Za drugim razem bolało już mniej. Podświadomie się tego spodziewał i ukrył się w emocjonalnym pancerzu czy jak to tam nazywają.

Więc co z kobietą w srebrnym chevrolecie? Jakim cudem go odnalazła? A może nie?

Może to on widzi więcej, niż dzieje się w rzeczywistości?

Może to tylko figle jego wyobraźni, efekt obecnego stresu. Może kobieta była do niej tylko podobna, a on dośpiewał sobie resztę.

Odwala ci, szeptał zdrowy rozsądek, co denerwowało go jeszcze bardziej, bo dałby sobie rękę uciąć, że właśnie o to chodziło autorowi całej tej wymyślnej intrygi.

Zamówił zupę z czarnej fasoli i wieprzowinę z rusztu. I jedno, i drugie było równie dobre albo nawet lepsze, niż pamiętał. Zupa była ostra, wieprzowina soczysta, wspomnienia gorzko-słodkie.

Zapadł zmrok, zapłonęły latarnie. Szedł po molo wsparty na lasce. Zerknął na karuzelę, bez zainteresowania, bo też nikła we mgle. Cały czas myślał o kobiecie w srebrnym wozie, morderstwie bliźniaczek, dziwacznych telefonach i duchu, którego widział w ruinach zajazdu w San Juan Capistrano.

To sprawa osobista.

Ktokolwiek się za tym krył, chciał go zranić i poświęcił dużo czasu, by wszystko przygotować. Nie sądził, aby to był jeden z przestępców, których wysłał za kratki. Gdyby kryminalista chciał mu dopiec, zrobiłby to bezpośrednio. Strzelił do niego, zaczął się z nożem, wysadził mu samochód. Załatwiłby sprawę raz a dobrze.

A to co innego. Ktoś się bawił z nim w psychologiczne gierki. Ktoś, kogo skrzywdził osobiście.

Jennifer.

Tylko jej nigdy nie wybaczył i dał to jasno do zrozumienia. Nawet gdy próbowali do siebie wrócić, miał się na baczności. Nie ufał jej. Czekał na drugi cios. I się doczekał.

I to jak.

Minął sklep z okularami przeciwsłonecznymi i innymi akcesoriami plażowymi, doszedł

od części moło położonej nad wodą jak ramię wyciągnięte w mgłę nad Pacyfikiem. Mimo latarni mgła kładła się białymi smugami, ścieliła się dziwnym welonem, którego nie sposób przeniknąć.

W tej części moło było niewielu spacerowiczów. Para dzieciaków – chłopak w obszernych spodniach i czapce z daszkiem całował blondynkę z kucykiem na czubku głowy.

Siedzieli na ławeczce i poza sobą nie widzieli świata.

Młoda miłość, pomyślał Bentz i przypomniał sobie Olivię, uczucia, które w nim budziła, gdy byli sami. Jakby był jedynym mężczyzną na świecie. Stara miłość. Wyciągnął telefon, żeby do niej zadzwonić, i zauważył starszego mężczyznę z cygarem w ustach. Opierał się o poręcz. Z kocią bródką i gładko wygoloną głową, w zdecydowanie za dużej marynarce. Nieco dalej szczupły biegacz odpoczywał pochylony, z dłońmi na kolanach. Dalej, bliżej krańca, stała samotna kobieta w oparach mgły.

Bentz zatrzymał się w pół kroku.

W czerwonej sukience, z ciemnymi włosami opadającymi na plecy, stała do niego tyłem, wpatrzona w morze.

Jennifer! Też ma taką sukienkę.

Jego serce zatrzymało się na moment.

Miała, poprawił się. Miała podobną sukienkę, długą do kolan, połyskującą, wciętą w tali, bez rękawów... Jezus Maria, identyczną. Pamiętał, jak pokazywała mu ją któregoś dnia po zakupach.

– Co o niej sądzisz? – zapytała.

Okręciła się przed nim, sprawiła, że blask świec połyskiwał w miękkim czerwonym jedwabiu.

– Ładna.

– Proszę cię, RJ – szepnęła. – Tylko ładna?

– Skoro tak uważasz... Roześmiała się, odrzuciła głowę do tyłu.

– Owszem, tak uważam. Moim zdaniem jest seksowna. I boska. – Znacząco uniosła brew i poszła tyłem do sypialni, a on, jak ryba za przynętą, poszedł za nią.

Teraz zaciskał palce na lasce.

Nie idź tam, ostrzegał siebie. Zauważył, że kobieta jest boso. Jennifer zawsze chodziła boso po plaży. Świetnie, teraz już każda ciemnowłosa kobieta na bosaka jest Jennifer. Nie!

Poprawił się. Nie myśl, że to sobowtór.

A jednak zafascynowany szedł w tamtą stronę, ku morzu. Przyglądał się jej, szukał

czegoś, co ją zdradzi, ale była zbyt daleko, a mgła za gęsta. Przyspieszył kroku. Jakby to wyczuła, odsunęła się od poręczy i szybkim krokiem ruszyła na koniec molo, gdzie spowiły ją kłęby mgły.

Bentz z trudem przełknął ślinę, gorączkowo się zastanawiał, co jej powie. Serce waliło mu w piersi, puls dudnił w uszach. Szedł za nią. Tym razem mu nie ucieknie, do cholery. Nie ma dokąd.

A jednak najwyraźniej taki miała zamiar.

Wyczuwał to.

Szedł coraz szybciej, laska wystukiwała na deskach molo rytm staccato, noga pulsowała bólem.

Nie ma czasu na ból.

Szybciej, szybciej, szybciej, poganiał umysł, łap ją.

Co zrobi, kiedy złapie ją za ramię i okaże się, że to nie Jennifer?

Na miłość boską, nie przejmuj się tym teraz. Myśl raczej, co zrobisz, gdy się okaże, że to ona. Co wtedy, Bentz? Co, jeśli to naprawdę jej sobowtór, albo, co gorsza, Jennifer we własnej przeklętej osobie? Nie duch, tylko na!

Ona także przyspieszyła kroku, biegła boso ku krańcowi molo, jasne nogi migwały wśród fałd czerwonej sukienki.

Chora noga dawała mu się we znaki, mięśnie w udzie płonęły żywym ogniem, biodro bolało, ale

brnął dalej w mgłę, tam, gdzie ją widział.

Prosto w ciemność, tak jak ona; gnała w mrok na końcu moło.

Bentzowi brakowało powietrza, noga bolała niemiłosiernie, gdy w końcu zatrzymał się przy barierce. W końcu! Wreszcie stanie z nią twarzą w twarz!

Ona jednak oparła się mocno o barierkę.

Co to ma znaczyć?

Bez chwili wahania wspięła się na poręcz, przeszła na drugą stronę barierki.

Boże drogi, nie, nie skoczy. A może? To przecież Jennifer. Kochana, szalona Jennifer.

– Nie! – krzyknął.

Przez chwilę balansowała na wąskim obramowaniu. Odwróciła się i Bentz chłonał

wzrokiem jej piękną twarz. Patrzyła mu prosto w oczy. A potem mierzyła wzrokiem czarną wodę, szacowała odległość i głębokość. Boże, ona naprawdę skoczy!

– Nie! Jennifer! – krzyknął.

Przed chwilą jeszcze tam stała, spowita mgłą. A potem zniknęła. Jakby naprawdę skoczyła.

– Nie, Jen! – Puścił się biegiem, strach dodawał mu sił. – Boże! Co tu się dzieje, do cholery? Wpatrywał się w ciemność.

Czy mu się zdawało, czy słyszał plusk na dole?

Tak?

Czy nie?

Boże, gdzie ona jest?

Przekonany, że zobaczy, jak wisi poniżej krawędzi, zacisnął zęby i podbiegł do poręczy w miejscu, gdzie zniknęła. Woda była czarna i spokojna, nie widział ani pływaczki, ani ciała.

Ani Jennifer.

Krzyczał. Wołał ją po imieniu.

Miał ze sobą tylko małą latarkę, ale musiał się przekonać. Niepewnie przeszedł przez poręcz i stanął wysoko na krawędzi. Lewą ręką trzymał się kurczowo, prawą świecił w mrok poniżej, ale promień był zbyt słaby, by pokonać ciemność i smugi mgły.

– Jennifer! Jezu! Jennifer! – krzyczał.

– Ej, ty! – zawołał ktoś nagle.

Bentz nie odwrócił się, cały czas przeczesywał wzrokiem mroczną kipieli w dole. Gdzie jest Jennifer? Ukryła się? Nie jest w stanie wypłynąć?

A może to tylko jego wizja? Czy na molo w ogóle była jakaś kobieta?

Nie wiedział, ale nie dopuści, by utonęła, kimkolwiek jest.

Mocno uderzył w lustro wody, zadrżał. Otoczyło go zimno, zapadał się w głębię, w mrok.

Coraz niżej, niżej, w ocean czarny jak noc. Słona woda zamykała się wokół niego, zrzucił z nóg buty, ściągnął marynarkę, otwartymi oczami wpatrywał się w odmęty bezgranicznego Pacyfiku.

Nic!

Wstrzymywał oddech, szukał, wiedząc, że musi tu gdzieś być. Gdzieś blisko. Gdzie jesteś? Na miłość boską, Jennifer!

Czuł, że dłużej nie wytrzyma, kopał z całej siły, płynął w górę, ku powierzchni.

Zaczerpnął powietrza i zaklął głośno.

Gdzie ona się podziała?

Gdzie, do cholery?

Odgarnął włosy z oczu, zaklinając Jennifer, by się pokazała.

Chodź, chodź!

Daruj sobie, Bentz, drwił jego umysł. Nie ma Jennifer. Nie istnieje. Wiesz o tym.

Uganiaj się za tworem własnej wyobraźni.

Poczuł strach zimny jak ocean. Odbija mu, tak jest. O Boże...

Nie poddawaj się! Widziałeś ją!

Płynąc, patrzył dokoła – pod molo, na plażę, w mrok.

Nigdzie ani śladu kobiety w czerwonej sukience. W ogóle nikogo. Odwróciwszy się, popatrzył na wszystkie strony. Na darmo. Gdzie ona się podziała?

Nad głową Bentza krzyczeli ludzie. Pozwolił, by przyptyw zepchnął go pod molo. Płynął, szukając

jakikolwiek śladu. Rozglądał się. Plaża pusta. Nikt nie wisi pod molo, a w wodzie był tylko on.

– Jennifer! – zawołał, przykładając zwinięte dłonie do ust.

Jego głos niósł się dziwnym echem po wodzie, między słupami podtrzymującymi molo.

Przywarł do pnia oblepionego skorupiakami, czekał, aż się pojawi, dyszał ciężko, zaklinał ją w myślach: Chodź, chodź, chodź!

– Jennifer!

Wypluł morską wodę z ust. Otaczał go zapach oceanu, mokre ubranie poruszało się w rytm fal. Niczego nie widział, odpowiadały mu jedynie głosy na górze, słyszał tupot stóp na molo. Szukał dalej, wpatrywał się w mrok i mgłę, wypatrywał ruchu w ciemnej wodzie.

Tylko ciemność... Gra cieni pod molo... Z daleka docierała tylko łuna świateł wesołego miasteczka, która sprawiała, że mgła nabierała przedziwnych kolorów.

Jak nie z tego świata.

Jennifer zniknęła. Sprawdził wszystkie filary, wpatrywał się w ciemność, cały czas mając wrażenie, że śmierć czai się w pobliżu. Trzymając się wspornika, wołał ją raz za razem, ale w odpowiedzi słyszał jedynie echo własnego głosu.

Gdy oderwał się od słupa i ruszył do brzegu, poczuł upiorny dotyk ryby.

Serce mu biło na myśl, że znajdzie Jennifer martwą, bo skoczyła, martwą, bo przed nim uciekała.

A najpierw sama cię tu zwabiła... to jej plan. Nie miej wyrzutów sumienia... jeszcze nie.

Zresztą jej tu nie ma. Jesteś sam.

Głosy nad głową przybierały na sile, było ich coraz więcej, choć ze względu na mgłę wydawały się niesamowite, bezcielesne.

Nie ma jej tu. i nigdy nie było. Wszystko sobie wyobraziłeś. Czerwona sukienka to symbol. Jennifer, która skacze w bezdenną czerń z upiornego molo...

Dobry Boże, co z nią?

Teraz wyraźnie słyszał krzyki na molo.

– Widziałem go, mówię wam. Facet skoczył!

– Widziałeś? W takiej mgle?

– Tak! Jakiś wariat skoczył z poręczy.

– Z poręczy, powiadasz. Barney, znowu piłeś.

– Na rany boskie, mówię wam, jakiś facet skoczył z molo!

– Nic tam nie ma.

– A skąd wiesz? We mgle nie widać. – Barney obstawał przy swoim. – Już dzwoniłem, policja zaraz tu będzie.

Dobrze, pomyślał Bentz. Przyda mu się pomoc. Wypłynął spod molo, pozwolił, by fale doniosły go do brzegu. Z ulgą powitał światła i wycie syren tuż koło plaży. Wychodził z wody, gdy padło na niego światło latarki.

– Jest!

– A nie mówiłem? – zawołał Barney Na molo wybuchły krzyki. Wszystkie inne odgłosy zagłuszało coraz bliższe wycie policyjnych syren. Bentz człapał po plaży, dygocząc z zimna.

Odwrócił się i spojrzał na morze.

W oddali płonęła miejska luna świateł, diabelski młyn odbijał się w lśniącej wodzie.

Znowu pomyślał o Jennifer w zimnej, ciemnej zatoce. Czy kryje się w mroku, śmieje z niego, zadowolona, że sprowokowała go do skoku? A może tonie, bo zaplątała się w wodorosty, i niewidzącym martwym wzorkiem wpatruje się w niebo, unosząc się w wodzie w obłoku czerwonej sukienki?

Na miłość boską, weź się w garść! Otarł twarz dłonią. Ku niemu biegło kilka osób.

Pierwsza była para, którą wcześniej widział na molo.

– Człowieku, nic ci nie jest? – Chłopak miał ze dwadzieścia lat, spod czapeczki wysuwały się niesforne loki. Wydawał się naprawdę przejęty. – Ma ktoś koc albo coś do przykrycia? –

zawołał przez ramię.

– Nic mi nie jest. – Jasne, nie licząc zimna i obaw, że mi odbija. Bentz zakaszlał. Dygotał.

– Na molo była kobieta... Skoczyła i rzuciłem się za nią.

Blondynka pokręciła głową.

– Nie widziałam jej.

– Stała na końcu molo.

– Dlatego biegłeś? – Domyśliła się blondynka. – Widziałam, jak odrzuciłeś laskę.

Bentz skinął głową.

– I co się z nią stało?

– Nie wiem, trzeba szukać.

Bentz szcząkał zębami z zimna. Wóz patrolowy zatrzymał się przy krawężniku, wysiadło z niego dwóch policjantów.

– Jest w szoku – stwierdził starszy facet z cygarem.

Bentz pokręcił głową i uniósł rękę, by uciąć wszelkie dalsze spekulacje.

– Nie, naprawdę, tylko mi zimno. Do cholery, naprawdę widziałem, jak kobieta skoczyła z molo!

– Chodźmy! – Kilku mężczyzn pobiegło w stronę wody, choć wątpił, by coś znaleźli.

Jennifer zniknęła.

Znowu.

Starzy facet zdjął za dużą, śmierdzącą tytoniem marynarkę.

– Proszę. Przyda ci się.

Bentz z wdzięcznością otulił się ciepłą marynarką. Cały czas wpatrywał się w wodę.

Zaczęły się poszukiwania.

– Proszę pana? – odezwał się niski głos.

Bentz się odwrócił. Policjanci z patrolu szli ku niemu przez piach.

– Jest pogotowie – zaczął jeden z nich.

– Nie trzeba. Jestem policjantem. – Bentz sięgnął do kieszeni i wyjął odznakę w wodoodpornym etui. Podał ją funkcjonariuszom. – Nie trzeba mi lekarza. Nic mi nie jest, naprawdę, ale powinniście ściągnąć ekipę ratunkową. Widziałem, jak z molo skacze kobieta.

Policjant pokiwał głową. Mierzył Bentza wzrokiem.

– Ale pana też trzeba zbadać.

– Trzeba dać mi papierosa i zadzwonić do detektywa Jonasa Hayesa z wydziału zabójstw w LAPD.

– Ktoś zginął? Bentz pokręcił głową.

– Hayes to mój znajomy. – Uśmiechnął się z trudem, gdy chłopak podał mu camela i zapalniczkę.

Bentz zapalił papierosa – pierwszego od bardzo, bardzo dawna. Zaciągnął się głęboko, by poczuć dym w płucach. – Kiedyś pracowałem w LAPD.

Rozdział 18

Do cholery, Bentz, mam lepsze rzeczy do roboty, niż bawić się w twoją niańkę. – Hayes był wściekły i wcale tego nie ukrywał. To on zaproponował, by się spotkali w barze oddalonym o pół przecznicy od SoCal Inn.

Bentz wpatrywał się w długie lustro za barem, w którym odbijał się niemal cały lokal.

Nad kontuarem zawieszono ozdóbki z lat sześćdziesiątych.

– Jak tam sprawa Springer? – zapytał.

– Wiesz, że nie mogę z tobą o tym rozmawiać. – Hayes sączył manhattana, Bentz ignorował swoje piwo bezalkoholowe. – Ale... Nic. Żadnych tropów. – Zbyt temat machnięciem reki. – Więc myślisz, że Jennifer nadal żyje? Nęka cię? I skoczyła z mołu w Santa Monica.

– Nie wiem, czy to była Jennifer, nie sądzę, ale nie mam pewności. Nie będę jej miał do ekshumacji. Zajmę się tym.

– Jak chcesz. – Hayes był ciągle spięty, miał marsa na czole, wykrzywił usta. – Broń ci się zmoczyła?

– Nie miałem przy sobie. Została w samochodzie. Ale komórka mi zdechła.

Bentz dziękował losowi, że pistolet i fotografie zostały w wozie, bezpieczne i suche.

Nawet laska się uratowała, choć nie można tego powiedzieć o marynarce i butach –

spoczywały teraz na dnie zatoki Santa Monica. Musiał włożyć stare adidas.

Dziękował losowi także za to, że Jonas załagodził sprawę z policją. Ani gliniarze, ani ekipa ratunkowa nie znalazła kobiety lub jej śladów, jednak przekonał ich, że wszystko jest w porządku, nawet jeśli sam tak nie uważał.

Po krótkich poszukiwaniach straż pożarna i karetka odjechały, a policjanci spisali zeznania Bentza. Hayes kazał mu się potem przebrać i umówił się z nim w tej knajpie.

Ale teraz okazywał zdenerwowanie.

– Twoja obsesja na jej punkcie to nie mój problem, jasne?

– Tak.

– Nie możesz w kółko do mnie dzwonić i wciągać policji w prywatne fantazje. – Bentz chciał

zaprotestować, ale Hayes uciszył go ruchem dłoni. – Wiem, dlaczego tu jesteś, Bentz.

Ktoś z tobą pogrywa. Ale póki w mojej jurysdykcji nie dojdzie do złamania prawa, stop, do morderstwa – nie chcę się w to mieszać. – Jego oczy pociemniały. Martwił się. – Normalni ludzie nie skaczą z moło w środku nocy. Nie włamują się do starych zajazdów, nie szukają duchów. Nie gonią autobusów i samochodów na autostradzie, nieważne, ile razy ktoś do nich zadzwoni z głupim tekstem. A spotkania ze znajomymi nieżyjącej eks? Albo wydzwanianie do starych kumpli, którzy uważają, że zostawiłeś ich w najgorszej chwili? To nie dochodzenie, Bentz. To masochizm.

Nie mógł się z tym nie zgodzić. Trinidad i Bledsoe jasno dali mu do zrozumienia, co o nim sądzą, gdy zaoferował im swoją pomoc.

Hayes uspokoił się trochę, dopił drinka, odstawił kieliszek na stolik i potrząsnął głową.

– Posłuchaj mojej rady, Bentz. Wracaj do Nowego Orleanu, do żony. Pamiętasz ją jeszcze? Tę żywą? Wracaj do niej, daj sobie spokój.

Gdybym tylko mógł, pomyślał Bentz.

– Dzięki za drinka. – Hayes odszedł, a Bentz sięgnął po piwo bezalkoholowe.

Wyjazd z Kalifornii nie wchodzi w grę. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Prysznic robi dobrze. Gorąca woda obmywa moje ciało, a ja wspominam to, co się wydarzyło na moło. Zgodnie z moimi przypuszczeniami Bentz połknął przynętę. Cudownie było patrzeć, jak stara się dogonić Jennifer.

– Dureń – szepczę.

Myję włosy, nakładam szampon, splukuję. I jeszcze raz. Uśmiecham się na wspomnienie wyrazu udręki na jego twarzy.

Idealnie!

Zakręcam kran, owijam się ręcznikiem i rozważam następny krok. Boże, cudownie byłoby przyspieszyć bieg wydarzeń. Ale zachowam cierpliwość, myślę, wycierając włosy bawełnianym ręcznikiem. Ciągłe bez ubrania pochylałam się i suszę włosy suszarką, której monotonny szum zagłusza muzykę wypełniającą pomieszczenie od wielu godzin. Mieszanka artystów z lat osiemdziesiątych – Journey, Bruce Springsteen, Bon Jovi, Pointer Sisters, Madonna, Michael Jackson – śpiewa i śpiewa, przez uchylone okno muzyka wylewa się na zewnątrz. Na pewno słyszą ją sąsiedzi i przechodnie. Wszyscy potwierdzą że to z mojego mieszkania – czyli mam alibi. Mój samochód, stojący na zewnątrz, utwierdzi ich w tym przekonaniu. Zostawienie go było mądrym posunięciem. Wystarczyło pójść na przystanek, złapać autobus, odjechać trochę dalej i stamtąd wsiąść w taksówkę do Santa Monica.

I wrócić tak samo.

Mój plan czekał, póki Bentz nie zdecydował tam wrócić, zgodnie z moimi przypuszczeniami. Wystarczyło poczekać na odpowiedni moment, który nastąpił dzisiaj w nocy. Uśmiecham się na myśl, jak gładko wszystko poszło.

Wystarczyło poczekać – i w końcu zjawił się na molo. Uprzednia kontrola upewniła mnie, że wszystko jest na swoim miejscu. Na moich oczach wszedł do restauracji, co dało mi dość czasu, by wprowadzić plan w życie.

I rzeczywiście, po posiłku ruszył na molo. Szedł o lasce i zapewne wspominał Jennifer.

Zaczynam – wystarczy pokazać mu przynętę, a zaraz się na nią rzuca. Pognał za Jennifer jak wilk za jagnięciem. Ale tym razem poszło nie tak, jak sobie zaplanował.

Przeciągam się, ścieram parę z lustra, patrzę na swoje odbicie. Poruszam głową w takt piosenki zespołu Fleetwood Mac. Jennifer bardzo lubiła ich muzykę.

Bentz dostrzegłby w tym pewną ironię, myślę sobie.

Co za idiota.

Chce sprawić, by marzenie powstało z martwych.

Napędza się wyrzutami sumienia.

I dobrze mu tak.

– Poczekaj no, Rick – mówię do lustra. – Nie wiesz, co cię jeszcze czeka.

Bentz przysunął się bliżej do Olivii, przyciągnął ją do siebie, poczuł przy sobie jej nagie ciało.

– Kocham cię – szepnął, ale nie odpowiedziała, nie uniosła powiek, nie sprawiła mu przyjemności swoją reakcją.

Znowu to widział – sekret, który przed nim ukrywa, tajemnicę, która każe jej milczeć.

Ale i tak, z zamkniętymi oczami, odruchowo uniosła podbródek i Bentz się nie oparł. Jej bliskość doprowadzała jego krew do wrzenia, sprawiała, że tętno przyspieszało. Nabrzmiał.

Rozpalony, spragniony, pocałował ją namiętnie.

Zareagowała. Jęknęła prosto w jego otwarte usta, jej palce walczyły z jego ubraniem, jej dłonie tańczyły na jego ramionach.

– Kocham cię – powtórzył i po raz drugi odpowiedziała mu cisza. Drżała, była rozpalona, zwilżyła usta, ale milczała.

Wyczuwał coś więcej pod jej namiętnością, coś ważnego, istotnego, coś bardzo odległego. Oddalała

się od niego.

Tracił ją.

Jakimś cudem, chociaż się kochali, odchodzi od niego.

Jej zapach wypełniał jego nozdrza. Wędrował językiem po jej szyi coraz niżej, miał na ustach smak jej potu, czuł zapach jej perfum.

Całował ją całą, czuł, jak reaguje, widział jej drzenie. Płonął, tak bardzo płonął.

Powtarzał sobie, że zrobi to powoli, żeby sprawić jej przyjemność, ale była równie rozpalona jak on, nagłaco zaciskała dłonie na jego barkach.

Musnął kciukiem jej żebra, pocałował czubki piersi i napawał się jej widokiem. W końcu uniosła powieki; czarne źrenice zasłaniały niemal całe złote tęczęwki.

Pieścił oddechem jej brzuch, przesunął wzrok niżej, by zobaczyć skrawek czerwonej koronki – majteczki, które tak niewiele skrywały.

Spięła się nagle.

– Bywasz straszą świnią powiedziała.

Coś było nie tak z jej głosem, mimo że w końcu się odezwała. Poczł ledwie wyczuwalny zapach gardenii.

– To dla ciebie – powiedział, pochylony nad czerwonymi majteczkami, kuszącymi, prowokującymi.

Wierciła się pod nim, gdy ściągał je zębami.

– Czyżby? – Dlaczego nagle jest taka zimna? – Naprawdę? Tylko dla mnie?

– A niby dla kogo? – zapytał, przesuając się w górę wzdłuż jej ciała. Zacisnęła palce w jego włosach, rozkosz mieszała się z bólem. Boże, jak bardzo jej pragnął. Ona także drżała, rozpalona, wierciła się pod nim.

– Liwie – szepnął i rozsunał jej uda kolanem.

W jednej chwili wszedł w nią i zatracił się całkowicie, duchem i ciałem, w magii żony.

Krew dudniła mu w uszach, oddychał szybko, płytko. Poruszał się coraz szybciej, szybciej, ale ona przestała reagować. Trzymał w objęciach lodowate ciało.

Spojrzał na nią. Zmieniła się, nagle stała się Jennifer. Jasna cera, ciemne włosy, a koronkowe majteczki okazały się strzępem czerwonej sukienki.

– Kocham cię – powiedziała, nie poruszając ustami.

Cuchnęła stojącą wodą i śmiercią. Utkwiła w nim swój szklisty wzrok. Przeszył go dreszcz, zrobiło mu się zimno. Chciał się od niej odsunąć, ale obejmowała go z całej siły.

Więziła.

– To twoja wina, RJ – powiedziała, nie otwierając ust. – Twoja! Bentz szarpał się, wrywał. Otworzył oczy.

Był w motelu. W łóżku.

Sam.

Bez Olivii. I bez Jennifer.

Towarzyszyły mu tylko wyrzuty sumienia. Przeklęte wyrzuty sumienia.

Odetchnął głośno. Jego ciało pokrywał zimny pot. Sen był bardzo realistyczny, przerażający. Chciał zadzwonić do Olivii, ale zerknął na zegarek – dwadzieścia siedem minut po dwunastej. W Luizjanie dochodzi trzecia nad ranem. Poczekaj.

Wstał, podszedł do okna, uchylił żaluzje i spojrział na spowity mrokiem parking.

Świecił pustkami, stały na nim te same samochody co zawsze.

Spokój.

Nadal poruszony, poszedł do łazienki i obmył twarz. Powtarzał sobie, że przeszedł w życiu gorsze chwile niż nocne koszmary, połknął kilka tabletek ibuprofenu i wrócił do łóżka.

Włączył telewizor i szukał programu, który go zajmie, choć nie wierzył, że jakiegokolwiek talk-show sprawi, że zapomni o koszmarze.

Pewnie nic na niego nie podziała.

Będzie musiał z tym żyć.

Następnego ranka, po kilku godzinach niespokojnego snu, Bentz znalazł sklepik, w którym mógł kupić nowy telefon komórkowy. Był pierwszym klientem tego dnia i wyglądał

koszmarnie, ale wyszedł z nowym aparatem i kartą SIM.

Nieco dalej odkrył sklep z odzieżą, gdzie kupił nowe spodnie i tanią marynarkę.

Na buty poczeka.

Wrócił do motelu, wziął prysznic, ogolił się, zadzwonił do Olivii, zostawił jej wiadomość i przez

najbliższe godziny myślał intensywnie i wbijał numery do nowej komórki. Analizował

wydarzenia ostatnich dni. Intrygowało go, jakim cudem ta kobieta – Jennifer? – wiedziała, gdzie będzie. Zdołał się zorientować, że w pokoju nie było podsłuchu. Nie znalazł nigdzie pluskiew. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. O ile sobie przypominał, telefonując z pokoju, nikomu nie zwierzał się ze swoich planów. Ponownie sprawdził wynajęty samochód i ponownie wrócił z pustymi rękami. W podwoziu ani kołach niczego nie znalazł.

A jednak jakimś sposobem Jennifer wiedziała, dokąd się wybiera i gdzie jest.

Skąd?

I dlaczego?

Siedział w pokoju z włączonym telewizorem i rozsuniętymi żaluzjami, żeby nie tracić kontaktu z rzeczywistością, sączył letnią kawę i analizował poprzedni wieczór. Co, do cholery, wydarzyło się na tym molo? Była tam. Widział ją, ale Hayes mówił, że policjanci przesłuchali innych, którzy wówczas stali na molo, starszego faceta z cygarem i zakochaną parę. Biegacza nikt nie widział i nie udało się go znaleźć.

Bentz zapamiętał to sobie, choć biegacz, którego nie sposób odnaleźć, to nieduży problem.

Bomba.

Zalogował się do Internetu i wyszukał w Google zdjęcia z molo w Santa Monica, odnalazł kamerę internetową, która fotografuje wejście na molo co cztery sekundy. Może uda mu się przejrzeć zapis z kamery z poprzedniej nocy. I jeszcze z kamer ruchu drogowego.

Mimo że nie jest policjantem w Los Angeles, nadal ma odznakę i znajomości. Na pewno uda mu się uzyskać te informacje.

O jedenastej sprawa była załatwiona – rozmawiał z człowiekiem z firmy, która uruchomiła kamerę na molo i uzyskał obietnicę, że przejrzą wieczorne zdjęcia. Następnie zajął się poszukiwaniem szpitala lub kliniki, które wystawiły przepustkę nalepioną na chevrolecie. Później zadzwonił z nowego telefonu do Fortuny Esperanzo i Tally White, dwóch przyjaciółek Jennifer, które nie raczyły odpowiedzieć, gdy poprzednio się z nimi kontaktował.

Tally była nauczycielką, Fortuna pracowała w galerii sztuki. Nie przepadały za nim.

Na zewnątrz warczał motocykl. Przez cienkie ściany Bentz słyszał, jak Spike szczeka nerwowo, ale właściciel zaraz go uciszył. Bentz przeciągnął się, aż poczuł ból w kręgosłupie, wstał i poruszył nogą.

Sięgając po kluczyki, pomyślał przelotnie, na ile czasu zatrzymał się facet obok. Wziął

portfel ze stołu, wsunął pistolet do kabury pod pachą. Następnie, ponieważ noga dawała mu się we znaki, wziął laskę stojącą w kącie przy drzwiach.

Na zewnątrz upał od razu dał o sobie znać, chociaż dopiero dochodziło południe.

Rozejrzał się po zakurczonym parkingu – nie licząc jego wozu, stały tam cztery samochody stałych klientów. Jego wynajęty samochód, pontiac starszego faceta w cyklistówce, brązowy buick na drugim końcu parkingu, biały mini cooper, którego nie ma całymi dniami, ale wraca wieczorem, i jeszcze granatowy jeep cherokee, który zawsze stał w tym samym miejscu.

Pozostałe samochody się zmieniały, ale te cztery zawsze wracały. Jak cholerne jaskółki do San Juan Capistrano, pomyślał. Przypomniawszy sobie legendę i swoją wyprawę do tego miasteczka. Spisał wszystkie numery rejestracyjne i przekazał je Montoi. Skoro sobowtór Jennifer zawsze wie, gdzie jest, możliwe, że go codziennie śledzi. Upewni się, że z tymi samochodami wszystko jest w porządku.

Uważnie rozglądał się po okolicy.

Wydawało mu się, że nikt go nie obserwuje. Nikt nie czai się za rogiem. Po drugiej stronie szerokiej ulicy był sklep spożywczy i stacja benzynowa, nieco dalej przycupnął

budynek – sądząc po wyglądzie, sklepy na dole, biura na górze. I dalej bar, w którym wczoraj spotkał się z Hayesem.

Nigdzie nie widział srebrzystego chevroleta.

Niespokojny i pełen energii po kilku godzinach nad komputerem, podszedł do samochodu.

Według Hayesesa powinien spakować manatki i wracać do Nowego Orleanu.

Nie ma mowy. Ktoś się z nim drażni, udając jego nieżyjącą żonę. Śledząc go.

A on się dowie, kto to robi.

Przy pomocy Montoi i operatora telefonii komórkowej usiłował sprawdzić, z jakiego numeru dzwoniła do niego kobieta podszywająca się pod Jennifer, ale okazało się to niemożliwe – posłużyła się telefonem na kartę, nie do wykrycia. Dlatego tak bardzo upodobali je sobie przestępcy.

Nie miał co robić, a umierał z głodu. Kupił gazety i podjechał do knajpki, w której przez cały dzień serwowano dania śniadaniowe. Głos Patsy Cline zagłuszał szczęk sztućców i gwar rozmów.

Śpiewała *Crazy*.

Bomba, pomyślał Bentz i usiadł przy stoliku, który wyglądał jak żywcem przeniesiony z lat pięćdziesiątych: zielona okleina na blacie wykończona chromowaną listwą, podobny serwetnik, keczup i musztarda na wyciągnięcie ręki. Przejrzał spłowiała kartę dań, złożył

zamówienie u wysokiej kelnerki z rudym kokiem, który dodawał jej dobre dziesięć centymetrów wzrostu, i rozłożył gazetę na stole.

Czytał najnowsze doniesienia w sprawie morderstwa sióstr Springer i zajadał

amerykańskie śniadanie – dwa jaja, pięć kielbasek, smażone ziemniaki i sterta tostów.

Kelnerka pilnowała, by ciągle miał pod dostatkiem kawy, o wodę z lodem musiał się upomnieć.

Jedzenie było sycące, choć nie zaspokoiłoby smakosza.

Kiedy już uporał się z ostatnim ziemniakiem, złożył gazetę i wtedy zobaczył reklamę, która sprawiła, że serce stanęło mu w piersi. Była to reklama katolickiego sklepiku dobroczynnego; krzyż i litera „A”, splecione w charakterystyczny sposób, były aż zbyt znajome.

To samo logo widniało na naklejce na przedniej szybie chevroleta, widział to w San Juan Capistrano. Symbol świętego Augustyna.

Chwilę wpatrywał się w gazetę i zaraz zapytał kelnerkę, czy mają w lokalu bezprzewodowy dostęp do sieci. Patrzyła na niego jak na wariata, więc zapłacił i pojechał do kawiarni, w której wiedział, że jest wifi.

Zamówił kawę, której wcale nie potrzebował, usiadł na wytartej kanapie i włączył komputer.

Przy akompaniamencie jazzu, syku ekspresu ciśnieniowego i warkotu młynków do kawy wszedł do sieci. Szukał szpitala świętego Augustyna w Los Angeles i okolicach. Po raz pierwszy od przyjazdu do Kalifornii nabrał nadziei, że uda mu się złapać prześladowcę.

Znalazł parafię w zachodniej części miasta, niedaleko ulicy Figueroa, szkołę w Culver City i wiele innych instytucji, ale ani szpitala, ani kliniki.

Fakt, że szkoła jest w Culver City, a parafia na Figueroa nie dawał mu spokoju. W Culver City mieszkał z Jennifer, a na Figueroa, jeśli wierzyć Shanie McIntyre, spotykała się z Jamesem, w moteliku niedaleko kampusu.

I właśnie na tej ulicy widział ją na przystanku.

Czy to możliwe? Czy naprawdę ją widział? W zadumie pstrykał długopisem.

Zbyt dużo zbiegów okoliczności, za dużo punktów zbieżnych. Zbyt wiele możliwości.

Szukał wytrwale i wreszcie znalazł. Szpital świętego Augustyna, zamknięty pięć lat temu.

Jest! Przez chwilę wpatrywał się w monitor, zapisał adres i ruszył do drzwi.

Miał kilka spraw do załatwienia. Po pierwsze, musi pojechać do starego szpitala i tam się rozejrzeć. Potem postara się złapać Fortunę Esperanzo w pracy w Venice Beach, następnie wybierze się do szkoły, w której uczy Tally White. O ile pamiętał, Tally i Jennifer zaprzyjaźniły się, gdy ich córki, Melody i Kristi, trafiły do tej samej klasy.

Zapisał adres, wjechał na autostradę i... utknął w miejscu. Dziesiątka była zakorkowana w środku dnia – wypadek. Ale Bentz nie dał za wygraną i w końcu udało mu się ruszyć.

Jechał na wschód, co chwila zerkając w boczne lusterko – wypatrywał ogona, zwłaszcza w postaci srebrnego chevroleta.

Świadom, że ryzykuje mandat, bo nie używa zestawu głośnomówiącego, zadzwonił do Monloi i zostawił mu wiadomość. Poprosił, żeby poszukał czegoś o szpitalu świętego Augustyna – może uda mu się wydobyć z archidiecezji, czy kto tam zajmuje się takimi sprawami, listę zatrudnionych? Muszą przecież mieć coś takiego. Owszem, personelu było zapewne dużo, ale interesuje go tylko kilka lat. Wytłumaczył, że impala ma mniej więcej siedem, osiem, a szpital zamknięto przed pięciu, więc nawet jeśli wóz był wtedy nowy, czasu jest niedużo.

I dobrze.

Podał mu także numery rejestracyjne – może coś z tego będzie. Montoya ma dostęp do różnych baz danych – być może uda mu się znaleźć coś, co rzuci promyk światła na tajemnicę Jennifer.

Bentz zdawał sobie sprawę, że ma niewiele punktów zaczepienia, ale uważał, że to i tak dobrze na początek. Męcząca praca, ale zawsze coś. Zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Montoya. Bentz się uśmiechnął.

– Masz już coś dla mnie?

– Bujaj się, Bentz. Akurat nic nie robię, tylko czekam, co wymyślisz.

– Postaraj się.

– Bosko. Coś jeszcze? – zapytał drwiąco.

– Nie. – Nie ma sensu opowiadać o skoku z molo w Santa Monica. Jeszcze nie.

– Tylko daj mi znać, bo wiesz, że o niczym innym nie marzę, chcę ci wiernie służyć.

– Cudowne uczucie, nie?

– Jak cholera.

– Zawsze możesz na mnie liczyć, Montoya. – Rozłączył się tuż przed zjazdem z autostrady i podjechał pod stary szpital.

Nie był duży. Ogrodzenie broniło dostępu do odrapanej budowli, w której niegdyś mieścił

się szpital pod wezwaniem świętego Augustyna. Tabliczka ostrzegała, że nieupoważnieni mogą się liczyć z najwyższą karą przewidzianą prawem.

Proszę bardzo.

Bentz zignorował ostrzeżenia, przeszedł przez bramę, zeskoczył na zwirowany podjazd.

Poczuł przejmujący ból w nodze – przypomnienie, że nadal nie jest w stu procentach sprawny. Ale szedł dalej, zbliżał się do zamkniętego szpitala.

Z budynku została tylko skorupa z poobijanym tynkiem. Minał stertę gruzu, zajrzał w ziejącą dziurę po drzwiach.

Wewnątrz z budynku pozostał sam szkielet. Pod jego stopami stękały zużyte deski, pod sufitem dostrzegł dowody bytności nietoperzy. Między deskami dostrzegł zardzewiałe rury i kable. Remont przerwano nieoczekiwanie. Z powodu recesji?

Na zewnątrz zatrzymał się przy tablicy informującej, że powstanie tu centrum handlowe, ale minęła już wyznaczona data otwarcia i stało się jasne, że inwestor się wycofał, i tak ze szpitala pod wezwaniem świętego Augustyna została smutna ruina.

Aparatem w telefonie zrobił kilka zdjęć – tabliczki, budynku, okolicy – zapisał je i wysłał

Montoi, Żałował, że nie ma przy nim Hayesa. O wiele łatwiej byłoby korzystać z pomocy kolegów z Kalifornii, niż zawracać głowę Montoi w Nowym Orleanie. Ale na LAPD nie miał

co liczyć.

Na razie.

Wsunął telefon do kieszeni, wrócił do samochodu z obolałą nogą i odjechał z opuszczonego placu budowy.

Rozdział 19

Olivia wcale nie czuła, że jest w ciąży. Jej ciało wcale się nie zmieniło, w każdym razie nie zewnętrznie. Nie miała mdłości, nie była zmęczona, gdyby nie test ciążowy, nie miałyby pojęcia, że spodziewa się dziecka. Test czy raczej testy. Zrobiła je trzykrotnie, przy czym każdy pochodził od innego producenta. I każdy potwierdzał, że owszem, jest w ciąży, choć wiedziała to już, gdy pierwszy pasek przybrał intensywnie niebieski kolor. Uważała jednak, że lepiej się upewnić. I to porządnie.

Odczuwała tylko jedną różnicę – zmieniła się waga sekretu. Dręczyło ją, że nie powiedziała Bentzowi. Nie lubiła ani sekretów, ani niespodzianek, więc jadąc do sklepu, tego dnia podjęła ostateczną decyzję; ustawi wszystko tak, żeby móc na tydzień lub dwa polecieć do Kalifornii.

Ricka nie było zaledwie od paru dni, ale Olivia wiedziała, że nieprędko wróci. Tak jakby uciekał. Od niej. Od ich wspólnego życia.

Och, oczywiście, ma wytłumaczenie. Nagła obsesja na temat pierwszej żony i wyprawa do Kalifornii w pogoni za duchem. Do tego jeszcze brutalne morderstwo w Los Angeles, niemal identyczne z zabójstwem bliźniaczek Caldwell. Zawsze go gryzło, że wyjechał z Los Angeles, nie doprowadziwszy tej sprawy do końca, zwłaszcza że nieźle mu się za nią oberwało. Znała męża na

tylę, by wiedzieć, że uważa szanse na rozwiązanie nowej zagadki za możliwość zmycia starych grzechów, okazję, by wsadzić mordercę za kratki raz na zawsze.

Oczywiście kalifornijska policja raczej nie doceni jego wysiłków.

Nadal jednak uciekał i najwyższy czas przekonać się dlaczego. Odkąd odzyskał

przytomność, zachowywał się dziwnie, tylko że, niestety, Olivia nigdy nie miała okazji, by z nim o tym porozmawiać. Początkowo cieszyła się po prostu, że żyje. Kiedy dochodził do siebie, tłumaczyła sobie, że musi być cierpliwa, świadoma, że zмага się nie tylko z bólem fizycznym, ale także z utratą celu w życiu. Była ciepła, tolerancyjna, służyła wsparciem.

Ale teraz miała już dosyć.

Czas, żeby się ugiął.

Gdzieś za maską roztargnienia i chłodu kryje się mężczyzna, w którym się zakochała, i zrobi wszystko, by go odnaleźć.

Potrzebował, jej zdaniem, czegoś, co jej babka określała mianem kopa w tyłek. O ile Olivii wiadomo, babka nigdy nikogo nie kopała w siedzenie. Po prostu w ten sposób określała sporą dawkę rzeczywistości.

I właśnie tym zamierzała Olivia uraczyć Bentza; prawdą.

Zaparkowała wiekowego pikapa i ruszyła w stronę Trzeciego Oka. Po drodze mijala butik z dziecięcymi ubrankami i przystanęła przed wystawą. Urocze śpioszki, słodkie kombinezony i śliniaki w zwierzaczki. Jeden zdobił nowoorleański motyw – główka młodego aligatora z kokardką na szyi. Zadziwiająco urocze.

Dostrzegła w szybie swoje odbicie, rozmyte, blade. Będzie matką! Jej mąż musi się o tym dowiedzieć, Na co ona czeka, do cholery?

I czego się boi?

Położyła dłoń na płaskim brzuchu, weszła do sklepu i pod wpływem impulsu kupiła śliniaczek z aligatorem.

Była to pierwsza rzecz, którą kupiła dla malucha – oczywiście nie licząc testów ciążowych. Wizytę u lekarza ma dopiero za kilka tygodni. To nieistotne. Weźmie się w garść i powie Bentzowi, że ponownie zostanie ojcem.

I lepiej, żeby mu to przypadło do gustu.

W przeciwieństwie do włoskiej imienniczki Venice – kalifornijska Wenecja – mogła poszczycić się tylko kilkoma kanałami. Większość, powstała w 1905 roku, zalano betonem, gdy rozwijające się Los Angeles uznało, że potrzeba mu więcej ulic dla samochodów. Jednak nawet kilka kanałów i

piaszczysta plaża wystarczyły, by nadać jej charakter nadmorskiej miejscowości. W letni ciepły dzień Venice Beach pękało w szwach. Z pięknej pogody korzystali rowerzyści i skaterzy, a także rozmaici artyści uliczni, którzy przypominali Bentzowi Nowy Orlean pełen muzyków i malarzy. Także i tutaj wyczuwało się atmosferę karnawału, wrażenie, że wszystko jest dozwolone.

Galeria sztuki, w której pracowała Fortuna Esperanzo, mieściła się kilka przecznic od plaży, przycupnęła między sklepikiem dla turystów, w którym sprzedawano wszystko, od koszulek po aparaty fotograficzne, a „autentyczną” meksykańską knajpą ze stolikami na zewnątrz. Widok niewiele się zmienił przez minione dwanaście lat.

Bentz zaparkował, spojrzął krytycznie na laskę i zostawił ją na tylnym siedzeniu.

Przeszedł przez ulicę w niedozwolonym miejscu. Poczul słony zapach oceanu i zaraz przypomniała mu się nocna kąpiel w Santa Monica z poprzedniego wieczoru, kiedy stracił z oczu Jennifer. Po raz kolejny.

Wejście do galerii sprzedającej sztukę współczesną ocieniała wielka markiza. Lokal, jak się wydawało, był pusty. Pokonał schody prowadzące na antresolę, gdzie wystawiano dzieła lokalnych artystów – obrazy, mozaiki, gobeliny.

Fortuna Esperanzo stała na drabinie w rogu i poprawiała reflektor skierowany na wielkie, nieoprawione płótno. Czarne śmiałe smugi na pomarańczowoczerwonym tle. Obraz nazywał

się po prostu *Wściekłość*.

– Niezły – stwierdził Bentz ironicznie.

Zaskoczona Fortuna upuściła żarówkę, która rozprysła się na kawałki.

– Cholera! – Gniewnie spoglądała na niego z drabiny, mierzyła go spojrzeniem ciemnych oczu spod perfekcyjnie wydepilowanych, cienkich brwi. Różowe usta skrzywiły się z niesmakiem. – Wiesz, Bentz, myślałam, że pojąłeś aluzję, kiedy do ciebie nie oddzwoniłam. –

Powoli zeszła z drabiny, stanęła na podłodze, uważnie omijając odłamki żarówki. – Czego chcesz, do cholery?

– Porozmawiać.

– Ach, tak. – Przewiercała go spojrzeniem pełnym niedowierzania. Była szczupła, żeby nie powiedzieć chuda, beżowa spódniczka i sweter niemal zwisały z kościstej sylwetki. –

Naprawdę myślisz, że uwierzę, iż po dwunastu latach wpadasz na taką sobie zwykłą pogawędkę? Litości. Gdzie szcotka, do cholery? – Weszła do składziku, wróciła ze zmiotką i szufelką. – Chcesz pogadać? – Mruknęła pochylona nad szczątkami żarówki. – Niby o czym?

– O Jennifer.

– Boże drogi, dlaczego? – Wstała gwałtownie, spojrzała na Bentza, jakby przyleciał z Jowisza. – Co ci to teraz da? Biedaczka.

Do galerii weszła potencjalna klientka. Bentz widział ją przez szczeble poręczy. Siwa pani w okularach w czerwonych oprawkach, które komicznie zsunęły się na czubek nosa, z grymasem na twarzy, w białych spodniach rybaczkach i białej koszulce. Pospacerowała między eksponatami i zatrzymała się przy szklanym kocie, najbrzydszej rzeźbie, jaką Bentz widział w życiu.

Chyba nie myśli o tym poważnie? Takie paskudztwo, a kosztuje pewnie więcej, niż on zarabia przez tydzień!

Fortuna wychyliła się przez poręcz i zawołała radośnie:

– Witam, pani Fielding! Zaraz przyjdę. – Odstawiła zmiotkę i szufelkę spojrzała na Bentza. – Wiesz, właściwie nie mam ci nic do powiedzenia.

– Poczekam.

Przewróciła oczami, jakby mówiąc: „Jak sobie chcesz”, i żwawym krokiem zbiegła ze schodów. Podeszła do klientki i zaczęła jej pokazywać inne, jak twierdziła, afrykańskie zwierzęta ze szkła. Paskudne lwy, gazy i słonie. Tak przynajmniej je nazywała. Kto wie, co artysta miał na myśli?

Bentz poczuł się w obowiązku dokończyć sprzątanie, zaniósł zmiotkę i szufelkę do składziku, znalazł nawet nową żarówkę. Wkręcił ją, tak że gdy Fortuna wróciła na górę, znowu oświetlała dramatycznie czarno-pomarańczowy bohomaz.

– Och, nie myśl sobie, że będę lepiej usposobiona, bo się bawisz w pokojówkę – burknęła.

– Nie ma za co.

– Sama bym to zrobiła. – Wypatrzyła kawałek szkła, który uszedł jego uwagi, podniosła go i zaplotła rękę na piersi. – Co chcesz wiedzieć?

– O czym Jennifer myślała przed śmiercią.

– Żartujesz chyba. Nie mam pojęcia.

– Byłaś jedną z jej najbliższych przyjaciółek.

– A jakie to ma teraz znaczenie?

– Ktoś do mnie wydzwania. I przedstawia się jako Jennifer.

– I co z tego? Ktoś robi sobie jaja twoim kosztem. Podał jej zdjęcia. Przyjrzała się im.

– Przesłano mi je.

– No i? Owszem, ta kobieta wygląda jak Jennifer, i co? Boże, nie. Chyba nie uwierzyłeś?

Nie, nie, tego już za wiele. – Roześmiała się, lecz w jej głosie nie było radości. – Ty naprawdę sądzisz, że Jennifer żyje.

– Tego nie powiedziałem.

– Więc kto, do cholery, leży w jej grobie? – Pokręciła głową. – Tego już za wiele. Ktoś nieźle gra ci na nerwach. Wiesz, kto byłby tym zachwycony? Jennifer. W końcu dostajesz za swoje.

Bardziej niż ci się wydaje, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

– Miałem nadzieję, że sobie przypomnisz, czy mówiła coś, czy zachowywała się jakoś inaczej w ciągu kilku dni przed wypadkiem.

– Nic takiego nie przychodzi mi do głowy. – Fortuna westchnęła. Przeczesła gęste włosy dłonią o paznokciach pomalowanych na czerwono. – Robiła to co zwykle, no wiesz. Była u fryzjera. I chyba tego samego dnia wybrała się na zakupy i do astrologa.

Poczuł, jak napinają mu się mięśnie karku.

– Astrologa?

– No tak, pewnie pamiętasz... Phyllis jakaś tam. – Przyglądała mu się uważnie. – Nie wiedziałeś?

– Że moja eks chadzała do wrózek? Nie.

– Do astrologa. To różnica.

Wiedział to aż za dobrze. Babka Olivii stawiała tarota przez całe życie.

– No dobra, do Phyllis, astrologa. Takiej od znaków zodiaku, ascendentów, faz Księżyca i tak dalej.

– Wydaje mi się, że chodzi o coś więcej, choć osobiście nigdy się tym nie interesowałam.

– Ale Jennifer tak?

– Owszem. O ile wiem, zazwyczaj jeździła do niej sama, co najmniej raz, dwa razy w miesiącu.

– Długo?

– Od wielu lat, chyba od studiów. – Fortuna kiwała głową pogrążona w myślach. – Tak, pamiętam, że powiedziała coś takiego.

Bentz był w szoku. Znał Jennifer tyle lat, mieli tyle wspólnych tajemnic, tyle rozmawiali... A jednak ani razu mu nie powiedziała, że odwiedza astrologa. Oczywiście to nic takiego, ale zaraz pomyślał,

czego jeszcze o niej nie wie.

– I co jej powiedziała ta cała doktor Phyllis?

– Boże... Nie pamiętam. – Fortuna na chwilę umilkła i zaraz pstryknęła palcami. – Nie, wiem! Przypominam sobie, jak Jennifer wspomniała, że jej przepowiedziała, że będzie mieć tylko jedno dziecko i że... – Urwała.

– Co?

– Cóż, nie wiem, czy ta astrolog miała z tym coś wspólnego, ale z jakiegoś powodu Jennifer zawsze uważała, że umrze młodo.

– Co? – Serce stanęło mu w piersi. Jemu nigdy o tym nie mówiła.

– Wspominała o tym od niechcienia, na przykład: Wiem, że nigdy nie zobaczę Kristi na rozdaniu świadectw maturalnych. Albo: Nigdy nie pojedę do Europy, nie mam na to czasu. A kiedyś... Boże, dreszcz mnie przechodzi na samo wspomnienie. Powiedziała mi: Wiesz, cieszę się, że nigdy się nie zestarzeję. – Fortuna ściszyła głos, odwróciła głowę. – Od dawna o tym nie myślałam. – Odchrząknęła. – Naprawdę, nie powiem ci nic więcej. – Zbiegła ze schodów, by powitać w progu galerii dwóch mężczyzn koło trzydziestki.

Z uprzejmym uśmiechem na ustach wcieliła się w rolę sprzedawczyni. Zasługiwała na Oscara.

Przekonany, że powiedziała mu już wszystko, co zdołała sobie przypomnieć, Bentz także zszedł z antresoli, zostawił przy kasie wizytówkę ze swoim numerem telefonu i wyszedł z galerii.

Paliło ostre słońce. Piesi snuli się promenadą, zaglądali do sklepów. W sąsiedniej knajpce klienci chronili się po parasolami i zajadali ostre meksykańskie dania. Dwójka roześmianych dzieciaków na rolkach wyminęła chudą kobietę, która prowadziła na smyczy potężne włochate psisko, zapewne cięższe od niej. Dzieciaki odjechały, bez słowa „przepraszam”, pies chciał za nimi pobiec.

Bentz rzucił się na pomoc, ale kobieta okiełznała psa.

Życie toczy się dalej.

Oczywiście nie dla Jennifer.

Coś tu jest nie tak.

Rick wracał do samochodu. To, czego się dowiedział, nie dawało mu spokoju; tyle rzeczy ważnych dla Jennifer. Wygląda na to, że przyjaciółki znały ją lepiej niż on, może lepiej, niż ona znała samą siebie.

Czy to ważne?

Co z tego, że ukrywała przed nim wizyty u astrologa? Nic.

Nieważne, czego jeszcze się dowie, nic go już nie zaskoczy. Jednak intrygowało go, jakie jeszcze sekrety wyjdą na jaw. Pograżony w myślach wsiadł do rozpalonego wnętrza. Koszmar ostatniej nocy nadal go dręczył. Przekręcił kluczyk w stacyjce, wyjechał z parkingu, zawrócił.

To, że mu powiedziała prawdę o biologicznym ojcu Kristi, nie znaczy, że nie kłamała w innych sprawach. Szokująca prawda jest taka, że w ogóle nie znał pierwszej żony.

Rozdział 20

W żadnym wypadku nie dopuszczę do ekshumacji jego żony. – Bledsoe roześmiał się gorzko na myśl, że Bentzowi naprawdę odbiło. – Zupełnie oszalał.

– Może wnieść o to jako członek rodziny – zauważył Jonas Hayes i dolał sobie kawy.

Znajdowali się na posterunku w pokoju rekreacyjnym. Nie pojmował, dlaczego właściwie broni człowieka, który w środku nocy ściągnął go aż do Santa Monica, żeby załatwił sprawy z miejscowymi funkcjonariuszami.

– Były członek rodziny – poprawił Bledsoe, co rozdrażniło Hayesa jeszcze bardziej.

Hayes zawsze uważał, że Bentzowi niesłusznie się oberwało, gdy obwiniano go o nierozwiązanie morderstwa sióstr Caldwell i postrzelenie dzieciaka.

Fakt, stawiał się, ale te pomyłki nie oznaczały, że miał się stać kozłem ofiarnym i oberwać za wszystko, co dwanaście lat było nie tak w wydziale zabójstw. Hayes wbił wzrok w gęstą kawę w kubku.

– Jeśli się okaże, że w grobie jest nie jego eks.. – Ale to jest ona, na miłość boską!

Dlaczego, do cholery, bawisz się w adwokata diabła? – Bledsoe poniósł głowę znad stolika, na którym leżała gazeta „LA Times”, i spojrzął na dzbanek w ręku Hayesa.

– Zostało jeszcze coś?

– Nie.

– Cholera.

– Zaparz świeżą – zaproponowała Martinez. Weszła do kuchni i umyła po sobie kubek.

– Jasne. – Bledsoe zachnął się na samą myśl.

– Nigdy nie parzyłeś kawy? – zapytała z ciekawością.

– Owszem... Gdzieś w dziewięćdziesiątym siódmym – odciął się.

Do pomieszczenia weszła Paula Sweet, policjantka, która czasem pracowała z wydziałem K9.

– Pamiętam. – Była po trzydziestce, miała za sobą dwa rozwody, sprawiała wrażenie, że odpowiada jej życie singla, i słynęła z miękkiego serca wobec bezdomnych psów i kotów. –

Uwierz mi, nie chciałabyś, żeby Bledsoe zbliżał się do ekspresu.

– Ej! Nie było aż tak źle! Sweet zmiażdżyła go wzrokiem.

– Nie, było jeszcze gorzej. Masz krzyżówkę? – Przeglądała gazetę od niechcienia.

– Gdzieś jest. – Bledsoe wzruszył ramionami i znów spojrzał na Hayes.

– Może ekshumacja wcale nie jest takim złym pomysłem. Otworzymy trumnę, weźmiemy próbkę DNA i stwierdzimy, że w środku rzeczywiście jest jego stara. A wtedy Bentz zniknie tam, skąd przylazł.

– Jeśli to naprawdę ona – zaznaczył Hayes.

– Tylko nie mów, że mu wierzysz – zachnął się Bledsoe z obrzydzeniem. – Że to ona. Jak powiedziałem, sam ją zidentyfikował. Osobiście. – Odsunął krzesło z taką siłą, że nogi zazgrzytały na podłodze. – Zły glina to zły glina, mówię wam.

– Oj. – Sweet znalazła upragnioną stronę i sprzątnęła gazetę Bledsoe sprzed nosa. – Nie chciałam go zirytować – rzuciła w przestrzeń.

Bledsoe skrzywił się, wyraźnie rozczarowany, że nikt nie bawi się w jego ulubioną zabawę – wszystkie nieszczęścia tego świata to wina Ricka Bentza.

– Nie przejmuj się. – Martinez wzięła pusty dzbanek i naląła do niego wody. – Zawsze ma zły humor.

– A ty zawsze jesteś wredna.

Martinez zdusiła uśmiech, zadowolona, że go zdenerwowała.

– Nie chciałabym sprawić zawodu – zawołała.

– Zabieram się stąd, mam mnóstwo roboty. – Starszy detektyw wstał i wyszedł.

– Szczęśliwej drogi – szepnęła Sweet, posłała znaczące spojrzenie Martinez, która odpowiedziała jeszcze szerszym uśmiechem.

Hayes masował sobie kark.

Było już późno. Wszyscy w wydziale zabójstw pracowali po godzinach. Nerwy detektywów były napięte jak postronki, byli na skraju wybuchu. Bo prawda jest taka, że sprawa sióstr Springer utknęła w martwym punkcie.

Owszem, nie minęło dużo czasu od popełnienia zbrodni, ale nie mieli nawet jednego porządnego

tropu. Nikt nie widział ani nie słyszał niczego podejrzanego, nikt nie wyczuł nic złego. Przesłuchania krewnych, przyjaciół i sąsiadów przyniosły zero podejrzanych. Nie mieli nic, zupełnie nic. Prasa naciskała na rzecznika policji, nie wspominając już o tym, że dziennikarze wywlekli również historię sióstr Caldwell.

Zamieszanie wokół morderstwa bliźniaczek Springer nie zmieniało faktu, że to tylko wierzchołek góry lodowej – w wydziale piętrzyły się setki nierozwiązanych spraw, starszych i nowszych. Nie dalej jak wczoraj doszło do tragicznie zakończonej awantury domowej –

Hayes był wtedy w Santa Monica i ratował tyłek Bentza. I namawiał go, żeby wrócił do domu.

W tej akurat sprawie głównym podejrzanym był mąż, a ofiarą jego żona. Dalej, w kostnicy mieli też dziewiętnastolatka, który nad ranem dostał pięć kulek w klatkę piersiową.

A wszystko to dopiero początek.

Pracy przybywało z każdą minutą.

Hayes wrócił do swego biurka, spojrzął na zegarek i jęknął w duszy. Nie wyjdzie dzisiaj wcześniej, prawdopodobnie będzie musiał odwołać randkę z Corrine.

Zrozumie, oczywiście, co nie znaczy, że nie będzie trochę wkurzona.

Usiadł za biurkiem i przeglądał na monitorze zdjęcia sióstr Springer, szukając w nich czegoś nowego. Zerkał na zeznania najbliższych im osób, w tym ostatnich, którzy widzieli je żywe. W przypadku Elaine była to jej współlokatorka, Trisha Laramont – widziała, jak Elaine, Laney, jak ją nazywała, biegnie przez trawnik po ostatnich wspólnych zajęciach.

Trisha domyślała się, że poszła prosto do domu i nie mieli powodów, by w to nie wierzyć.

Przejrzał zeznania Cody'ego Wyatta, który, jeśli wierzyć zeznaniom Trishi, był najnowszym kandydatem na chłopaka Laney. Ale Wyatt nie widział jej od rana dzień przed jej porwaniem

– poszli wtedy na kawę w studenckiej kafejce.

Felicia Katz, która znalazła ciała, była czysta, znalazła się w tym miejscu w niewłaściwym czasie – miała pecha, że jej schowek znajdował się obok feralnej ósemki.

Phillip Ames wyszedł z psem na spacer niedaleko mieszkania Lucille. Twierdzi, że widział wysokiego mężczyznę rasy nieznanej, jak przechodzi przez jezdnię i zmierza w stronę jej bloku. Ale był daleko, było ciemno, a Phillipowi lada dzień stuknie osiemdziesiątka. Do tego nosi okulary ze szklami jak denka od butelek. Kiepski z niego świadek. Sąsiedzi Lucille niczego nie widzieli ani nie słyszeli, ale ślady na ganku jej mieszkanki mogą sugerować porwanie.

Jedno wiedzieli na pewno – tej nocy dziewczyny wysyłały sobie SMSy. Mniej więcej wtedy, gdy Phillip Ames twierdził, że widział mężczyznę idącego za Lucille, napisała wiadomość do siostry. Oba telefony były na miejscu zbrodni łącznie z wiadomościami, których treść pokrywała się z tym, co

uzyskali od operatora sieci.

Bydlak, który porwał Elaine, wysłał jej zdjęcie, zakneblowanej, przerażonej, do Lucille, na krótko przed tym, jak i ją zaatakował.

Dwanaście lat temu, podczas dochodzenia w sprawie sióstr Caldwell, nie znaleźli komórek. Ofiary ich nie miały. To jedno z nielicznych odstępstw od tego, co się dzieje teraz, choć tę akurat różnicę można złożyć na karb zmian w technologii, dostępności i modzie. Była to jednak tak naprawdę jedyna poważna różnica między obydwoma zbrodniami – chociaż warto też zauważyć, że siostry Caldwell znaleziono w starym magazynie, a siostry Springer –

w schowku.

Hayes przeglądał sprawozdania, bawił się ołówkiem i nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje dokoła. Wyczuł raczej, niż zobaczył, że przy jego biurku staje Dawn Rankin. Miała torebkę na ramieniu, sweter w garści, jakby zmierzała do wyjścia.

– Zgadnij, kto do mnie dzwonił? – zapytała bardzo poważnie.

– Poddaję się.

– Donovan Caldwell. Pamiętasz? Brat bliźniaczek?

– No.

Teraz słuchał jej uważnie – wiedziała o tym. Uśmiechnęła się szeroko, aż zobaczył szparę między przednimi zębami.

– Dzwoni i powtarza to samo, co w kółko gadała jego rodzinka – że nie zrobiliśmy wszystkiego, co w naszej mocy. A teraz zginęły dwie kolejne niewinne istoty, by jesteśmy niekompetentni i nieporadni, bla, bla, bla.

– Po dwunastu latach.

– No właśnie. – Skinęła głową.

– Zupełnie jak Bentz.

– Co?

– Wrócił i morderca znowu atakuje. O co w tym chodzi?

– Dwie różne sprawy.

– Może.

Zagryzła usta, jakby intensywnie o czymś myślała.

– Nie jestem taka pewna. Jak zauważył Bledsoe, nie wierzymy w zbiegi okoliczności. A ja nabieram przekonania, że coś te sprawy łączy. – Odeszła z ponurą miną.

Hayes odprowadził ją wzrokiem i przypomniał sobie, że i ona ma do Bentza osobistą urazę – podobnie jak Bledsoe i wielu innych. Może w takim razie on, Hayes, popełnia błąd, ufając mu bezgranicznie? Nawet Ross Trinidad, jego partner sprzed lat, nie chciał mieć z Bentzem nic wspólnego.

– Przykro mi to mówić – przyznał mu się nie dalej jak tego ranka. – Ale ten facet oznacza kłopoty. Mówiłem ci już – za mało mi zostało do emerytury, żeby się w to pakować. Chce wykopać swoją eks? Proszę bardzo. Ale beze mnie.

Może Bledsoe ma trochę racji, pomyślał Hayes i odłożył ołówek na biurko. Niech Bentz ekshumuje Jennifer, sprawdzi DNA i załatwi sprawę raz a dobrze.

Jeśli to Jennifer Bentz spoczywa w grobie, będzie w porządku. Ale jeśli nie?

Otworzą się bramy piekieł, pomyślał.

Szkoła okazała się niskim, podłużnym budynkiem z cegły – gdyby nie rząd palm ocieniających pojazd, mogłaby równie dobrze być siedzibą rady miejskiej gdzieś na środkowym zachodzie. Nie zgadzały się także flagi – amerykańska i stanu Kalifornia –

niedźwiedź grizzly na białym tle.

Bentz minął główne wejście do szkoły, trzymał się z dala od pasa dla autobusu, przejechał

obok długiej werandy, przy której uczniowie wsiadali do samochodów i z nich wysiadali.

Daleko, na krańcu terenu, zobaczył nieduży placik oznaczony tabliczką: „Tylko dla personelu”.

Zignorował napis, znalazł wolne miejsce, zaparkował, zgasił silnik i czekał. Z tego punktu obserwacyjnego widział jedno skrzydło budynku, za którym rozciągało się boisko i bieżnia.

Miał ochotę na papierosa, może przez niedopałek, który wypalił na plaży. A może spowodowała to bliskość szkoły – właśnie w szkole, jako dwunastolatek, z trudem zmęczył

swojego pierwszego papierosa.

Lekcje się skończyły, okolica świeciła pustkami, jeśli nie liczyć grupki dzieciaków z deskorolkami i na wrotkach, uganiających się po sąsiednich posesjach.

Bentz zakładał, że większość nauczycieli i pracowników administracyjnych nadal jest w budynku – wypełniają dokumenty, przygotowują lekcje na następny dzień, poprawiają, czy co tam jeszcze robią nauczyciele.

Zaczęli wychodzić parami, grupkami, pojedynczo. Żartowali, śmiali się, bawili kluczykami, zakładali

okulary przeciwsłoneczne. Niektórzy przyglądali mu się ciekawie, pewnie zaintrygowali ich jego samochód i obce tablice rejestracyjne... Samotny blady facet koło szkoły.

Spokojna kobieta w czerwonej spódnicy, białej bluzce i niebieskim żakiecie sprawiała wrażenie, jakby chciała go zaczepić. Nawet jej sandały były patriotyczne – paski z białej, czerwonej i niebieskiej skóry. Zamiast jednak coś powiedzieć, zmroziła go lodowatym spojrzeniem zarezerwowanym dla pedofili, wsiadła do zielonej hondy i odjechała. Poprawiła słuchawkę w uchu, chcąc zadzwonić. Bentz pomyślał, że na policję – zaraz przyjadą i zaczną go przepytować.

Proszę bardzo, pomyślał, patrząc, jak wyjmuje telefon.

Zanim jednak zjawili się stróże porządku, wypatrzył Tally White. Wyszła zza przeszklonych drzwi. Szła w towarzystwie innej nauczycielki. Były pogrążone w rozmowie.

Tally była wysoka, miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i w ciągu minionych lat przybyło jej parę kilogramów. Zawsze była trochę za chuda, miała figurę długodystansowca, ale teraz pod brzoskwiowym kostiumikiem rysowały się kobiece kształty. W ciemnych, ostrzyżonych na pazia włosach pojawiły się paski siwizny.

Towarzyszka była od niej sporo niższa. Połowę twarzy potężnej Murzynki zasłaniały wielkie okulary przeciwsłoneczne. Niesforne loki wymykały się spod opaski, która miała utrzymać je w ryzach. Nauczycielki śmiały się głośno. Obie niosły torby pełne książek.

Zmierzały do samochodów stojących niedaleko jego wozu.

– Kurtyna w górę – powiedział do siebie, wysiadł z wozu i zagadnął: – Cześć, Tally.

Odwróciła się od koleżanki, spojrzała na niego i mało brakowało, a runęłaby jak długi.

– O Boże. Rick? – Nie była pewna, zmrużyła oczy, jakby nie widziała dokładnie. – Rick Bentz?

– Miło cię widzieć.

– Ale co ty... To znaczy, wiem, że dzwoniłeś i że powinnam była oddzwonić, ale nie wiedziałam, że jesteś tutaj, w Kalifornii. – Rozejrzała się nerwowo po parking, jakby się obawiała, że ktoś zobaczy, że z nim rozmawia. Wyprostowała się, jakby szykowała się do potyczki z całym światem. A przynajmniej z Bentzem. – Jezu. A... nigdy nie myślałam, że jeszcze kiedyś cię zobaczę.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – zaczął. – O Jennifer.

Wydawało się, że poblądła pod opalenizną i znowu nerwowo rozejrzała się po parking.

Bramę minęła właśnie furgonetka, z przodu siedziało dwóch mężczyzn.

– Tutaj?

– Zapraszam cię na kawę. Albo lampkę wina?

– Och, nie... – Nagle przypomniała sobie o koleżance. – Sherilou. – Wskazała Bentza ręką, w której trzymała siatkę z książkami. – To Rick Bentz, stary... mąż mojej przyjaciółki.

Rick – Sherilou. Obie uczymy angielskiego.

Sherilou poprawiła torebkę na ramieniu i podała Bentzowi rękę.

– Miło mi – powiedziała, choć było to oczywiste kłamstwo. W jej wzroku malowała się podejrzliwość, uścisk jej ręki był słaby, niepewny.

– Muszę lecieć. – Uśmiechnęła się sztucznie do Bentza.

– Miło było cię poznać – odpowiedział. Słońce odbijało się od dachów samochodów.

– Ciebie także. – Spojrzała na Tally. – Słuchaj, muszę już lecieć.

– Do jutra – mruknęła Tally.

Sherilou odeszła kilka kroków, włożyła książki do bagażnika niebieskiego priusa i usiadła za kierownicą. Tally odprowadziła ją wzrokiem, potem spojrzała na Bentza. Zmrużyła oczy.

– Co słyhać u Kristi? – zapytała. – Straciły kontakt z Melody.

– Wszystko w porządku. Pod koniec roku wychodzi za mąż.

– Przekażę to Melody. Ona też wyszła za mąż. Ma trzyletnią córeczkę i znowu jest w ciąży. – Przewróciła komicznie oczami, wyjęła portfel i pokazała Bentonowi zdjęcia uroczej dziewczynki, roześmianego bobasa z białym pluszowym królikiem na niebieskim tle.

– Słodka – powiedział, mówił to szczerze.

– Owszem. Kto by pomyślał, że kiedyś będę babcią? – Wsunęła portfel z powrotem do torebki, a w jej oczach pojawiły się wesołe ryski. – Dziwne, ale to mi się podoba.

– Nic dziwnego.

Wychwyciła poważną nutę w jego głosie i westchnęła głęboko.

– Dobra, więc mów. Co chcesz wiedzieć i dlaczego?

Pakowała książki do wiekowego volkswagena, a Bentz opowiadał. Słońce zachodziło za budynkiem, z którego wyszła grupa dzieciaków, a on mówił wszystko, pominął tylko jeden szczegół – że wydaje mu się, że widział nieżyjącą żonę.

Tally milczała zaszokowana, gdy pokazał jej zdjęcia i pomazany akt zgonu.

– Na miłość boską. – Z, niedowierzaniem kręciła głową i przyglądała się fotografii, na której

Jennifer wsiada do samochodu. – To... To nie może być ona – stwierdziła niepewnie i spojrzała na Bentza. Szukała potwierdzenia.

– Oboje to wiemy. Byliśmy tam... Na pogrzebie. Leżała w trumnie. – Dłoń ze zdjęciem zadrżała. Tally ciężko oparła się o samochód. – To po prostu niemożliwe. – Ale mówiła to niemal szeptem. Odchrząknęła, wyprostowała się, wzięła w garść. – Ta kobieta na zdjęciach to... to sobowtór.

– Na to wygląda.

– Ale to nie Jen. – Tally nie była do końca przekonana. – Ktoś... Ktoś się z tobą drażni, to pewne, ale szczerze mówiąc, nie wiem, czego ode mnie oczekujesz, co mam ci powiedzieć. –

Spojrzała na zdjęcie. Wzdrygnęła się.

– Czy cokolwiek w ciągu ostatnich tygodni jej życia wydawało ci się inne? Nietypowe?

Mówiła o czymś?

– O Boże... to takie dziwne. Surrealistyczne.

– O tak, wiem coś o tym. Ale może jest coś, co ty pamiętasz, a ja nie, coś, co wydarzyło się w ostatnim tygodniu jej życia?

– O Boże, minęło tyle czasu... – Umilkła i już myślał, że nie odpowie, ale w końcu odezwała się: – Jennifer z natury była nieobliczalna i dobrze o tym wiesz. Jednego dnia była taka, drugiego zupełnie inna, trzeciego... jeszcze inna. Nie wiem, czy była szczęśliwa –

dodała z grymasem na twarzy.

– Sam do tego doszedłem.

– Czasy, gdy dzieci są w szkole, są trudne, delikatnie mówiąc.

– Nie mówiła nic dziwnego? Nie postępowała... inaczej?

– O Boże. – Wbiła wzrok w czubki sandałów i się zamyśliła. – Jak już powiedziałam, minęło dużo czasu. Dręczyła się, bo, no cóż... bo miała kochanka. – Spojrzała na niego czerwona jak burak, ale Bentz tylko skinął głową, dodawał jej otuchy, bo wyglądała, jakby się rozmyśliła.

– Jamesa.

– Ja... nie jestem pewna. Nigdy mi nie powiedziała, jak miał na imię, ale chyba tak.

– Mój brat, ksiądz.

Tally nerwowo oblizwała usta i uciekła wzrokiem w drugą stronę. Nie chciała mówić dalej, więc Bentz jej pomógł:

– Wiem, że James jest biologicznym ojcem Kristi. – Nawet teraz, po tylu latach, te słowa bolały. Zdrada była podwójna, skrzywdzili go brat i żona. Przeżył wtedy piekło na ziemi. –

Wiem, że spotykali się w San Juan Capistrano, w starym zajeździe.

– Tak, w misji San Miguel, i jeszcze gdzieś w Santa Monica.

Shana także mówiła o Santa Monica i robiło mu się niedobrze na wspomnienie, ile razy Jennifer proponowała, by spędzili cały dzień na plaży. Jak zabierali Kristi do słynnego wesołego miasteczka na molo, jak chodzili do restauracji i obserwowali, jak słońce znika za horyzontem.

– Lubiła plażę – podsunął.

– O, tak. – Brwi Tally powędrowały w górę. – Jennifer nie nadawała się na żonę policjanta, a kiedy zrezygnowała z marzeń o karierze artystycznej, by zająć się Kristi, dopadła ją frustracja. Nie mówię, że była złą matką...

Ależ skądże. Święta Jennifer. Tally mówiła dalej:

– Bardzo kochała Kristi, wiem to na pewno, ale doprowadzała ją do szału myśl, że to nie twoje dziecko. W kółko to powtarzała. Wyrzuty sumienia zżerały ją żywcem.

– Ale nie na tyle, by się zmieniła.

– Nie. – Tally westchnęła. Obok przeszły dwie nastolatki.

– Do widzenia, pani White.

– Marcy, Brinn. – Uśmiechnęła się do nich i ponownie spojrzała na Bentza. – To fakt, miała wyrzuty sumienia, ale się nie zmieniła. Może nie mogła. Kochała cię, ale miała obsesję na punkcie Jamesa, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Nie rozumiał, ale zachował to dla siebie.

– Przykro mi, ale nic więcej ci nie powiem. Znałeś ją lepiej niż inni.

– Mam wrażenie, że wcale jej nie znałem. – Niedopowiedzenie roku.

– Jak my wszyscy. – Położyła mu dłoń na ramieniu, ale zaraz się rozmyśliła i cofnęła ją szybko. Z westchnieniem dodała: – Tu nie chodzi o ciebie, wiem, ale Jennifer powiedziała kiedyś, że wyszła za ciebie tylko po to, żeby uciec przed innym.

– Przed Jamesem? – zapytał. Pokręciła przecząco głową.

– Przed kimś, kogo znała przed tobą.

– Alan Gray? – Ciekawe, dlaczego to on pojawia się przy każdej rozmowie.

– Nie pamiętam... – Zawahała się, oparła o samochód. – Chociaż może masz rację, może o niego chodziło. Kiedyś, gdy wypiliśmy o kilka martini za dużo, Jennifer powiedziała, że wyszła za ciebie, bo Alan ma w sobie żyłkę okrucieństwa. Że jest zaborczy, że kilka razy przykuł ją kajdankami do łóżka i nie pozwalał wyjść. Kiedy wytrzeźwiał, przeproszał, ale ona nigdy mu nie wybaczyła. Ani nie zapomniała.

Bentz nawet się nie poruszył. Ogarnęła go wściekłość. Na Graya. Na byłą żonę.

Nigdy mu o tym nie opowiadała.

Czy to prawda? A może tylko naprędce sfabrykowane kłamstwo, by wzbudzić współczucie i wyjaśnić, dlaczego odrzuciła multimilionera i wyszła za policjanta?

Nie wiedział. Zrozumieć Jennifer to jak iść po ruchomych piaskach; nigdy nie wiesz, na czym stoisz.

– Powiedziała, że go podejrzewała, tego Alana, że inwestował nie tylko w nieruchomości.

Uważała, że maczał też palce w nielegalnych sprawkach. Nie wiem, co miała na myśli, ale tak to odebrałam. Oczywiście z Jennifer nigdy nie było wiadomo. Zrobiła z tego wielką aferę, kazała mi przyrzec, że nikomu nie powiem... Już się obawiałam, że każe mi przysięgać na Biblię.

Bentz był zły, że nigdy wcześniej o tym nie słyszał.

– I nic nie powiedziałaś po jej śmierci?

Tally gwałtownie podniosła głowę, nagle zaniepokojona.

– Nie. A niby dlaczego? – I wtedy do niej dotarło. – To przecież było samobójstwo, prawda? Tak wszyscy sądzili. I zostawiła list pożegnalny. – Nagle się zdenerwowała, jakby zdała sobie sprawę, że powiedziała za dużo. – Posłuchaj, naprawdę nie wiem, jakie to ma znaczenie po tylu latach. I naprawdę muszę już iść. Nie wiem nic więcej. I nie sądzę, by to ci jakoś pomogło.

On także nie. Ale już coś miał.

– Dzięki – powiedział i wyjął wizytówkę z portfela. Nabazgrał na odwrocie numer swojej komórki. – Na wypadek, gdyby przypomniało ci się coś jeszcze. – Wręczył jej arkusik; niemal zgmiotła go w dłoni.

– Oczywiście – szepnęła, choć oboje wiedzieli, że to kłamstwo.

Tally White nie chciała mieć nic wspólnego ani z nim, ani ze wspomnieniem jego martwej żony.

Odsunął się od jej samochodu. Wsiadła, przekręciła kluczyk w stacyjce i wyjechała z parkingu, chcąc zostawić Bentza możliwie jak najdalej za sobą.

Coś nowego?

Zawsze tak działał na ludzi.

Rozdział 21

Jadę samotnie windą.

Kabina wspina się powoli, z głośnym trzaskiem. Na drugim piętrze nikt na mnie nie czeka.

I dobrze.

Długi korytarz także jest pusty.

Świetnie.

Szybko, bezszelestnie idę do mojej kryjówki, do pomieszczenia bez okien, w którym czeka na mnie idealna samotność. Nikt nie wie o tym miejscu, nikt go ze mną nie połączy.

Ściany obite sklejką, pojedyncza goła żarówka spowija pokój ostrym, brutalnym światłem.

Zamykam za sobą drzwi.

Na klucz.

Sprawdzam, czy są zamknięte.

A potem oddycham głęboko i rozglądam się po pomieszczeniu, które wielu nazwałoby celą. Ale tutaj, w samotności, czuję wolność. Zazwyczaj nie lubię samotności, ale nie tutaj, nie w moim sanktuarium. Tutaj ogarnia mnie spokój. Wreszcie.

Od mojej poprzedniej wizyty na ścianie wisi wielkie lustro, tak po prostu, dla towarzystwa. Obok zwierciadła piętrzą się pudła ubrań i kosmetyków. Na pręcie przymocowanym do ściany wieszam plastikowe pokrowce z co ładniejszymi strojami, z sukniami, marynarkami i spodniami, które trzymam na wyjątkowe okazje. Mam tu nawet komputer, laptop, z którego korzystam, siedząc na pufie pokrytej sztuczną cętkowaną skórą lamparta. W kącie krzesło, koło niego mała lampka na baterię. Jak w domu.

I jeszcze nieduża biblioteczka – moje dzieło, zmontowana samodzielnie, bez niczyjej pomocy. Na półkach leżą albumy ze zdjęciami i wycinkami, kolekcja, której skompletowanie zajęło mi wiele lat.

Jeszcze raz sprawdzam drzwi, wkładam słuchawki w uszy, włączam iPod. Dzisiaj słucham R. E. M. i czuję, jak muzyka przebiega całe moje ciało. Nucę pod nosem, zdejmuję ciężkie albumy z półek, siadam na krześle i przekładam stronicę. Niektóre wycinki położyły z czasem, ale leżą w porządku chronologicznym – bardzo mi na tym zależało. Zdjęcia Bentza.

Artykuły o nim. Całe jego życie w policji zachowane na papierze.

Oto zdjęcie z miejsca zbrodni. Detektyw Bentz stoi tuż za żółtą taśmą i rozmawia z dwójką

funkcjonariuszy. W oddali widać dom, w którym naleziono zwłoki. Ale mnie nie interesuje uroczy bungalow z werandą oplecioną powojem. Nie patrzę na ślady krwi widoczne na stopniach.

O, nie.

Koncentruję się na Bentzu.

Na tym przystojnym sukinsynie.

Na tym zdjęciu widać go z profilu. Ma ostre, szorstkie rysy, zaciska zęby, usta wykrzywia w gniewie. Wieczny twardziel.

Akurat.

– Bydlak – mówię cicho.

Patrzę na kolejne zdjęcie – jest w wesołym miasteczku, Kristi siedzi na karuzeli. Na zdjęciu ma siedem lat, a Bentz uśmiecha się szeroko – to rarytas, na niewielu zdjęciach dobrze się bawi.

To zdjęcie, niezbyt wyraźne, ma mniej więcej dwadzieścia lat. Muskam palcami gładki papier. Jak setki razy przedtem.

Dwadzieścia lat!

Dwadzieścia cholernych lat.

Z dziewczynki wyrosła kobieta.

To prawda, myślę ze smutkiem, czas leci.

Ale już nie. Teraz czas stanie w miejscu.

Na stronach chronionych przezroczystą, folią widnieje jego życie. Stare zdjęcia z pierwszego ślubu wypłowiały, zblakły, a stroje młodej pary świadczą o tym, że minęła cała epoka.

Muzyka szumi mi w uszach. Przekładam kolejne strony, moje palce przyspieszają bieg czasu, coraz szybciej, szybciej, aż dochodzimy do terażniejszości. Oto najnowsze zdjęcia jego żony, Olivii, wyraźne, ostre.

Nowa żona.

Nowe życie.

No, to jeszcze zobaczymy.

Moją uwagę zwraca jedno zdjęcie tej suki, na którym patrzy prosto w obiektyw.

Olivia jest na tej fotografii spokojna, uśmiecha się lekko, jakby znała jakiś sekret, jakby naprawdę

umiała czytać w moich myślach.

Wariatka!

I pomyśleć, że Bentzowi się wydaje, że jest szczęśliwy u boku kobiety, która nie ma wszystkich klepek!

Medium?

Skoro tak, pewnie się martwi.

I to bardzo.

Z tym że, oczywiście, jest tylko oszustką.

Czy oni naprawdę wierzą w te jej wizje?

I co ty na to, Olivio? Wyczuwasz, co cię czeka? Co powiesz na półtora metra pod ziemią?

Rick Bentz cię nie uratuje.

I wtedy zrozumie, czym jest cierpienie.

Łypię gniewnie na uśmiechniętą kobietę. Taka pewna siebie. Taka zadowolona. Jakby naprawdę mogła zobaczyć przyszłość.

Jasne.

– O, nie – szepczę do niej. – O, nie.

Ale jej uśmiech mnie prześladowuje i przypominam sobie, że w przeszłości widziała zbrodnie oczyma mordercy.

Ciekawe, jak będzie z jej śmiercią.

Ta myśl mnie upaja, dodaje sił; nie obchodzi mnie jej cierpienie, tylko Bentza.

To on będzie się musiał uporać z rozpaczą, z czystą, przerażającą wiedzą, że kobieta, którą kochał, cierpiała tylko i wyłącznie z jego powodu.

Ale nie uprzedzajmy faktów.

Wszystkie kawałki łamigłówki trafiają na miejsce, ale moja misja jeszcze się nie skończyła. Jeszcze dużo pracy przede mną.

Przed wszystkim trzeba zniszczyć tych, którzy już spełnili swoje zadanie, przekazali mu informacje o Jennifer, trzeba wyeliminować tych, którzy ją znali, a teraz są już niepotrzebni.

Oddycham głęboko.

Przypominam sobie, do czego dążę, co jest moim celem, i wyjmuję z kieszeni pomeroy 2550, uroczy przyrząd, który ukrywa ostrza pod niewinną plastikową obudową. Wygląda jak różowy zestaw do manikiuru, w rzeczywistości może się okazać śmiertelnie groźnym narzędziem; w obudowie jest korkociąg, śrubokręt, obcinaczka do paznokci, małe nożyczki i malutki nożyk, ostry jak skalpel chirurgiczny.

Mój ulubiony.

Ostrze nadaje się doskonale.

Uśmiecham się na myśl o nowym rytuale, który utwierdza mnie w postanowieniu, nucę pod nosem piosenkę *Losing my religion* i przeciągam ostrzem po wewnętrznej stronie nadgarstka.

Ostry ból.

Z sykiem wciągam powietrze, nie słyszę słów piosenki, ale ból jest słodko-gorzki i ponownie wychwytyuję melodię i wtóruję zespołowi.

Chciwie patrzę, jak krew wykwita na skórze. Moja krew na mojej skórze.

Z czcią, z przejęciem pochylam rękę nad zdjęciem Olivii.

Uśmiecha się do mnie zza czerwonych kropli.

Niewidząca.

Bez strachu.

Rozmazuję krew na plastiku, a ona uśmiecha się nadal.

Głupia, durna suka.

– Tylko mi nie mów, że chcesz poprosić o kolejną przysługę – zaczął Montoya, gdy Bentz zadzwonił z kalifornijskiej autostrady.

Zamknął uchylone okno i podkręcił klimatyzację.

– I tak masz wolne.

– Owszem, i wybieram się od domu, żeby spędzić trochę czasu z żoną i odpocząć. To twój problem, Bentz, nie mój. – Mimo ostrych słów Montoya nie wydawał się zdenerwowany.

– No dobra, ale przydałaby mi się pomoc.

– O co chodzi?

– Buszowanie po sieci i policyjnych bazach danych.

– Bomba.

– Potrzebne mi nazwisko astrolożki. Nie wiem, czy nadal działa. Znam tylko jej imię – Phyllis.

– Czyli bez nazwiska. Coś jeszcze?

– Praktykowała w Los Angeles i okolicy. Dowiedz się też, czy Alan Gray nadal działa. To deweloper z południowej Kalifornii. A przynajmniej tym się zajmował dwadzieścia pięć lat temu.

– Alan Gray? – powtórzył Montoya. – Słyszałem o nim?

– Pewnie tak. Może nawet ja coś o nim mówiłem. To gruba ryba. Multimilioner, dom w Malibu, jak mi się wydaje, apartament w Nowym Jorku, willa we Włoszech. I jacht w Marina del Rey, jeśli mnie pamięć nie myli. Był z Jennifer, zanim mnie poznała, i jestem ciekaw, czy nadal działa.

– Nie prosisz o wiele.

– O to, co mi potrzebne – burknął i się rozłączył.

Było późne popołudnie, słońce chyliło się ku zachodowi, upał zelżał. Bentz postanowił wpaść na kolację do Oscar's, restauracji, w której często jadali z Jennifer. Potrzebował

spokojnego zakątka, w którym uda mu się poskładać w całość wszystko, co wiedział i czego się dowiedział o byłej żonie. A to zmieniało się z dnia na dzień, jakby była kameleonem.

Liczył, że uda mu się stworzyć spójny obraz ze starych i nowych elementów i zobaczy kobietę, która z każdym dniem wydawała mu się bardziej obca.

Nawet po śmierci Jennifer Nichols Bentz pozostawała wielką zagadką.

Shana McIntyre była wściekła jak diabli. Podeszła do szafy z cedrowego drzewa i energicznie ściągnęła opaskę z włosów.

Niepotrzebnie rozmawiała z Bentzem, niepotrzebnie mu zaufała, w ogóle niepotrzebnie otwierała usta. Jennifer nie żyje, do jasnej cholery. Wjechała na drzewo i teraz spoczywa w pokoju.

W ogromnej garderobie, połączonej z łazienką, Shana ściągnęła spódniczkę od stroju tenisowego, zdjęła przez głowę koszulkę bez rękawów i stanęła przed lustrem naga. Nieźle jak na kobietę pod pięćdziesiątkę, pomyślała, choć trzeba chyba pomyśleć o operacji biustu i liftingu twarzy w ciągu najbliższych pięciu lat. Kolejne operacje po liposukcji i operacji pośladków. Uniosła piersi tak, że znowu sterczały, i pomyślała, że przyda się też zmiana rozmiaru z B na C. Tak, to dobry pomysł. Naciągnęła skórę wokół ust i na szyi. Zmarszczki nie są jeszcze bardzo widoczne, ale skóra już

obwisała, a będzie jeszcze gorzej. Jennifer Bentz nie musi się przynajmniej martwić zmarszczkami, starczymi plamami czy cellulitem.

Wczesna śmierć, choć przerażająca, ma też pewne zalety.

Shana naprawdę uważała, że Jennifer nie żyje, i to od dwunastu lat. Ten, kto wysłał

Bentzowi te zdjęcia, chciał go tylko wkurzyć.

Więc dlaczego wdała się z nim w głupie gierki? Owszem, miała pewne wątpliwości co do śmierci Jennifer, ale niemożliwe, by żyła.

To dlatego, że ci się podobał, szepnął cichy głosik, choć nigdy życiu by się do tego nie przyznała. Policjant? Litości. Ale trudno nie zauważyć, że Bentz zawsze był i nadal jest cholernie seksowny, a w życiu Shany w tym akurat względzie ostatnio niewiele się działo.

Leland był kiedyś jak bestia, nigdy nie miał dosyć, ale z wiekiem i wobec pogarszającego się stanu zdrowia jego zainteresowanie seksem znacznie zmalało.

I za żadne skarby nie dawał się przekonać, by poprosić lekarza o viagrę. Zachowywał się, jakby sama sugestia stanowiła obrazę jego męskości.

Czego, przepraszam? Pomyślała okrutnie, bo szczerze mówiąc traciła zainteresowanie mężczyzną za którego kiedyś chciała wyjść za wszelką cenę. Przecież odbiła go pierwszej żonie, tej idiotce Isabelli!

A Rick Bentz, nawet lekko utykając, emanował seksem. Sprawiał, że jej myśli błądziły po mrocznych ścieżkach, na które wołała się nie zapuszczać. Jennifer dawała do zrozumienia, że był świetny w łóżku. Zaznaczała, że zdradziła nie dla seksu jako takiego, ale dla seksu zakazanego, z księdzem. Z przyrodnim bratem męża.

Jennifer była niezrównowazona. Shana uważała tak już w czasach, gdy się przyjaźniły.

Boże, wydaje się, że to było w innym życiu.

Bo też rzeczywiście wydarzyło się dawno temu, jeszcze zanim dostrzegła we włosach pierwsze siwe pasma, zanim jej ciało zwiotczało tam, gdzie niegdyś było jędrne i twarde.

Jezu, starzeję się... Dojrzewam, poprawiła się w myśli. Nie miała jeszcze pięćdziesięciu lat, a przecież zna wiele kobiet, które nawet po sześćdziesiątce wyglądają zabójczo, choć kosztowało je to mnóstwo pracy.

Fuj. Krytycznie przyjrzała się swojej figurze i musiała się uśmiechnąć. W kółko słyszała komplementy: że jest piękna, świetnie wygląda i na razie nikt nie dodawał „Jak na swój wiek”, co znacznie obniża wartość komplementu.

Narzuciła szlafroczek, choć właściwie nie musiała. Pokojówka już dawno wyszła, ogrodnik

przyjdzie dopiero za kilka dni, Leland wyjechał – znowu kokietował ważnego klienta w Palm Springs.

Zbiegła z marmurowych schodów, przemknęła przez salonik i patio. Dirk czekał jak szalony, a psy sąsiadów odpowiadały mu piskliwym skowytem.

– Dostyc tego! – mruknęła. Zaprowadziła psa do domu, wepchnęła go do schowka i zamknęła drzwi.

Chciała pobyc sama, bez psa, którego jazgot przyprawiał ją o ból głowy. Ostatnio spędza więcej czasu z psem męża niż z nim samym.

Zerknęła na lodówkę i pomyślała o musie czekoladowym, który czekał na półce. To był

jej stary rytuał. Co tydzień kupowała inny wymyślny smakołyk i wstawiała do lodówki, na trzecią półkę. Pozwalała sobie na jeden kęs czystej rozkoszy, resztę zostawiała, aż zwiędnie, opadnie. Bezy cytrynowe, krem koksowy, creme brulee, toffi, ekierki. Wszystkie królowały na szklanej półce na wysokości wzroku, by w sobotę wylądować w śmietniku.

Rytuał samokontroli i dyscypliny.

Dzisiaj nawet nie zajrzała do lodówki. Wróciła na patio, nad basen. Zapadał zmierzch, w drugim krańcu basenu zapaliła się lampa, woda w kolorze akwamaryny kusiała.

Zrzuciła szlafroczek, nad brzegiem basenu zdjęła klapki. Weszła po schodkach wyłożonych mozaiką, zanurzyła się w ciepłej wodzie, odprężyła się, w miarę jak woda pieściła jej łydki, biodra, talię.

Podświadomie zarejestrowała, że psy sąsiadów przestały szczekać, i skupiła się na kolejnym codziennym rytuale – wieczornej rundzie ćwiczeń. Kraulem do końca, nawrót, powrót żabką, dwie długości basenu na plecach. To jeden set. Zrobi ich pięć i wtedy, i tylko wtedy, pozwoli sobie na drinka. Bo w lodówce, obok deseru, stoi dzbanek martini i staje się przyjemnie chłodny.

Kolejny test silnej woli – dopiero po ćwiczeniach pozwoli sobie na smakowitego drinka z dokładnie trzema oliwkami. Wyssie z nich nadzienie z papryki. Jennifer uwielbiała martini.

Zamach, oddech, zamach, oddech, nawrót.

Wracała, zmieniała oddech wraz ze zmianą stylu. Zapadała noc, księżyc stał wysoko na niebie. Nieduże lampy rzucały kręgi światła na chodniki, wydobywały z mroku palmowe pnie, łukowato sklepione okna domu jaśniały światłem lamp.

Wspaniała posiadłość.

Zamach, zamach, zamach.

Nawet jeśli żyje tu niemal samotnie.

Zatraciła się w ćwiczeniach, w myślach liczyła kolejne nawroty, instynktownie wiedząc po napięciu

mięśni, kiedy zbliża się koniec zestawu.

Kiedy kończyła ostatni nawrót, niemal czuła w ustach smak martini. Weszła na schodki.

Wyciągała już rękę po szlafroczek, gdy coś usłyszała.

Kroki?

Po drugiej stronie płotu wybuchł psi jazgot. W domu zawtórował mu Dirk, nisko, przeciągle.

– Bosko – mruknęła.

Zaraz tam pójdzie i powie psu, co o nim myśli. Co mu odbija? Nigdy nie reagował na zaczepki, kiedy był w domu. Może powinna go spuścić i poszczuć nim szczurowate psinki sąsiadów. Nie znosi ich.

Kątem oka dostrzegła ruch.

Co?

Coś ciemnego.

Cień na skraju patio.

Czyżby?

Poczuła dreszcz strachu.

Rozglądała się, patrzyła na dom, tłumaczyła sobie, że nic się nie dzieje, że nie ma się czym martwić. A jednak...

Tuż za kręgiem światła znowu dostrzegła ruch, jakby coś skradało się w zaroślach.

Z bijącym sercem wpatrywała się w mrok, powtarzała sobie, że jest tchórzem, że staje się podobna do wiecznie przerażonych idiotek, którymi tak gardzi, i wtedy znowu to zobaczyła.

Coś lub ktoś zakrada się coraz bliżej.

Coś się dzieje, i to coś złego.

– Co, do cholery...

Ciemna postać nagle puściła się biegiem, na płytach zadudniły kroki.

Shana chciała krzyknąć, ale postać rzuciła się na nią z błyskiem w ciemnych oczach.

Napastnik uderzył ją w brzuch z taką siłą, że się zatoczyła i wpadła tyłem do basenu.

Łup.

Uderzyła głową w obramowanie.

W jej głowie eksplodował ból, niemal straciła przytomność, ale usiłowała zachować świadomość. Walczyć.

Napastnik był na niej, w wodzie. Ręce w rękawiczkach otoczyły jej szyję, ściągały w dół.

Przez taflę wody widziała twarz wykrzywioną gniewem, zniekształcone rysy. O Boże. Zna tę twarz. Ale nie mogła myśleć, nie mogła oddychać.

Boże, pomocy. Błagam, ratunku, bo mnie zabije!

Walczyła, szarpała się, usiłowała się odwrócić, przekręcić tak, żeby napastnik znalazł się pod wodą. Shana była silna, od lat pływała, ale ogarniało ją znużenie i nie mogła sprostać determinacji mordercy.

Nie, Jezu, nie!

Dławiła się wodą. Usiłowała zachować jasność myślenia. Przeżyć.

Ale przegrywała tę walkę. Krztusiła się wodą. Traciła siły, choć nie dawała za wygraną, starała się oderwać brutalne palce od swojej szyi, machała nogami, chcąc kopnąć zabójcę.

Dalej, Shana. Walcz. Gryź. Zrób coś!

Ale woda jest taka ciężka.

A napastnik taki zwinny, nawet w wodzie.

Nos i płuca płonęły żywym ogniem, podobnie jak gardło. Chciała odkrztusić wodę, ale nie miała siły. Płuca domagały się tlenu.

Boże, Boże... Nie!

Ogarniała ją ciemność, gwiazdy i księżyc wirowały jej przed oczami, nieboskłon przecięła smuga odrzutowca. Umrę, zrozumiała nagle. Poruszała się coraz wolniej, już nie wierzgała.

Dlaczego? Dlaczego ja? Zastanawiała się.

Gdzieś z oddali docierał głos:

– Rico! Daisy! Malutki! Cicho! – To sąsiad uciszał psy.

Ale nie słuchały, ujadały bez przerwy. Shanę ogarniał mrok. Usiłowała jeszcze raz zaczerpnąć tchu, a potem noc uśmierzyła jej ból.

Rozdział 22

Dzień był ciepły. Od Pacyfiku ciągnęła lekka bryza. Bentz wrócił do Santa Monica i przechadzał się po moło. Zwolnił tam, gdzie zgodnie z tym, co zapamiętał, Jennifer wskoczyła do morza. Przeszył go dreszcz, gdy spojrział w dół, wyobraził sobie jej postać w atramentowej wodzie, jej bladą, poznaczoną niebieskimi żyłkami skórę i czerwoną sukienkę otaczającą ją szkarłatną chmurą.

Zamrugał. Oczywiście, że jej tu nie ma; woda mieniła się w blasku słońca.

Zadzwoiła jego komórka.

Wyświetlacz poinformował, że dzwoni Jonas Hayes. Z prywatnego telefonu.

– Bentz – rzucił do słuchawki, ciągle wpatrzony w morze.

Bolała go noga, bardziej po tej nocnej kąpieli. Wiek dawał mu się we znaki, choć za żadne skarby nie przyznałby się do tego. A Olivia uważa, że jest na tyle młody, by poradzić sobie z trudami ojcostwa. Gdyby go teraz zobaczyła, gdyby widziała, jak kuszyka po moło i widzi duchy w wodzie...

– Musimy pogadać. – Hayes mówił krótko, oficjalnie. Najwyraźniej jeszcze mu nie przeszło.

– Kiedy? – Bentz zmrużył oczy i patrzył pod moło.

Wędkarz akurat zarzucał wędkę tam, gdzie według jego obliczeń Jennifer uderzyła w taflę wody. O ile wiedział, Straż Przybrzeżna nie wyłowiła zwłok kobiety w czerwonej sukience, zakładał więc, że ta, która podszywa się pod jego zmarłą żonę, nadal żyje. I znowu go nawiedzi.

Zarówno na jawie, jak i we śnie.

Poszperał trochę w Internecie, poszukał czegoś o Alanie Grayu, zadzwonił do Olivii, potem oglądał durne programy w telewizji. Zasnął, zapadł w niespokojny sen, w którym nękała go była żona... Wyciągała do niego ' ręce z wody w przemoczonej czerwonej sukience. Siedziała za kierownicą srebrzystego samochodu z niewidoczną rejestracją.

Nie pojmował, jak mogła skoczyć z takiej wysokości i zniknąć bez śladu, a chciał to zrozumieć, dlatego dzisiaj wrócił do Santa Monica. Niebo było bezchmurne, słońce tak ostre, że włożył okulary przeciwsłoneczne. Delikatny wietrzyk poruszał koronami palm rosnących przy plaży. Spojrział na zegarek – nowy, bo stary wyzionął ducha po nocnej kąpieli.

– O której mamy się spotkać?

– Może teraz? – podsunął Hayes. – Daj mi trzydzieści, czterdzieści minut. Spotkamy się gdzieś w centrum? Jestem w biurze.

– Jasne.

Bentz wiedział, że dla Hayesa centrum to okolica budynku, w którym mieściła się siedziba wydziału zabójstw. Nie pojmował czegoś innego – zmiany, jaką wyczuwał w Hayesie. Podczas ostatniej rozmowy Hayes najchętniej własnoręcznie wepchnąłby go na pokład pierwszego samolotu lecącego

na wschód. Z drugiej strony, jego służbisty ton sugerował, że nie będzie to przyjacielski lunch. Hayes nie zamierzał pogłębiać łączącej ich przyjaźni.

– Thai Blossom na Broadway? Niedaleko, dobre żarcie, tanio.

– Znajdę. O co chodzi?

– Powiem ci na miejscu. – Hayes się rozłączył, a Bentz został ze złym przeczuciem.

Tajemniczość i sekrety, to nie w stylu Hayesa. Coś się dzieje i nie jest to nic dobrego.

Bentz zawrócił i wspierając się na lasce, szedł do samochodu. Nadal był obolały po nocnych ekscesach. Noga dawała mu się we znaki, mimo że rano łyknął podwójną dawkę ibuprofenu i popił dużą kawą.

Oczywiście sytuacji nie poprawiają długie spacery, ale chciał zajrzeć pod moło w świetle dziennym – liczył, że znajdzie ślad po drodze ucieczki, którą kobieta sobie przygotowała.

Drabinę, sznur, trap. Niestety, zobaczył tylko ogromne słupy pokryte smarem i smołą. I nic więcej.

W świetle dziennym zatoka Santa Monica wyglądała zupełnie inaczej. Poprzedniej nocy okolice rozjaśniały światła z wesołego miasteczka, a mgła spowijała wszystko niesamowitym całunem, jednak była na tyle rzadka, że światła odbijały się w czarnej wodzie. Tego ranka moło wyglądało zupełnie inaczej. Owszem, wyczuwało się atmosferę lunaparku, ale nie było w niej poprzedniej grozy. Wesołe miasteczko rozbrzmiewało okrzykami podekscytowanych śmiałków. Na moło kłębili się spacerowicze, rowerzyści, biegacze, zakupowicze. Wędkarz na moło, turyści na plaży, dzieci nad wodą. Nic groźnego, złowieszczego.

Prawie tak, jakby wyśnił cały koszmar. Dwukrotnie kontaktował się z ludźmi od kamery

– był jakiś problem ze zlokalizowaniem filmu.

– Daj nam jeszcze jeden dzień – poprosił technik.

Bentz nie wiedział, czy chodzi o kwestię jurysdykcji czy uprawnień, ale wątpił, by kiedykolwiek zyskał do nich dostęp. Po raz ostatni spojrzął na ocean. Jakim cudem kobieta skacze i znika? Może Hayes mu na to odpowie.

– Akurat – mruknął pod nosem. Wsiadł do rozgrzanego samochodu. Skręcił, docisnął

pedał gazu, przejechał kilka świateł, zanim zatrzymało go żółte. Ruch był wyjątkowo mały; nikt go nie śledził, nigdzie nie widział Jennifer.

W drodze zastanawiał się, czy Hayes chce pogadać o sprawie bliźniaczek Caldwell –

może liczy, że Bentz zapamiętał coś, czego nie ma w aktach, i dzięki tej informacji ujmą mordercę, a przy okazji rozwiążą sprawę sióstr Springer.

Pomyślał o zrozpaczonych rodzicach, o tym, przez co muszą przechodzić. Kilkakrotnie mało brakowało, a straciłby córkę. Nie zapomniał tamtych koszmarnych chwil, choć się z nimi uporał. A teraz Olivia chce mieć dziecko. Nic dziwnego, nie obwinał jej, jest od niego młodsza i jeszcze nie zaznała rodzicielstwa.

Może...

Jeśli przeżyje to, co się tutaj dzieje.

Zjawił się w restauracji pięć minut przed ustalonym czasem, ale i Hayes już tam był, siedział przy stoliku przykrytym plastikowym obrusem. Poszczególne stoliki oddzielały parawany z podróbki bambusa. Powietrze pachniało jaśminem, herbatą, imbirem i curry, z kuchni dobiegał odgłos przestawianych naczyń i okrzyki wydawane w obcym języku.

Hayes podniósł głowę znad czarnej parującej herbaty. Nawet się nie uśmiechnął, skinął

tylko głową, gdy Bentz siadał naprzeciwko niego i odłożył laskę na bok. Oprócz nich w restauracji była garstka klientów.

Hayes spojrzał na laskę.

– Dobrze się czujesz?

Bentz wzruszył ramionami i z nieprzeniknioną miną obserwował kelnerkę, drobniutką Azjatkę z uśmiechem na twarzy i czarnymi włosami splecionymi w gruby warkocz.

Przyniosła mu herbatę, wręczyła im karty dań. Hayes zamówił, nawet na niego nie patrząc.

Wyczuwając jego napięcie, Bentz poprosił o to samo.

Gdy kelnerka odeszła, Bentz spojrzał w oczy Hayesa i zrobiło mu się niedobrze.

– Coś się stało.

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

– Co?

Hayes nie odpowiedział, czekał. Zimne oczy patrzyły badawczo, dokoła ust pojawiły się zmarszczki. Wielkie dłonie obracały kruchą czarkę.

– Byłem tu, w Los Angeles, w Culver City. W motelu. – O co chodzi, do cholery?

– Ktoś może to potwierdzić?

– Co? – Bentzowi coraz mniej podobała się ta rozmowa. Począł, aż młodziutki kelner postawił na ich stoliku miseczkę z sosem sojowym, i odpowiedział: – Nie wiem, wróciłem koło... Siódmej?

Osmej? Nie byłem na recepcji. – Urwał, spojrzął na, jak sądził, przyjaciela. –

Co się stało?

– Znasz Shane McIntyre, prawda?

– To przyjaciółka Jennifer. Tak. Wiesz, że tak.

– Widziałeś się z nią?

– Kilka dni temu. A co? Złożyła skargę, że ją nękam? Hayes przecząco pokręcił głową.

– Sprawa jest poważniejsza, Bentz. Wczoraj w nocy Shana McIntyre została zamordowana.

Bentz nie wiedział, co powiedzieć. Usiłował jakoś to sobie poukładać w głowie.

Tymczasem wróciła kelnerka z półmiskami z ryżem, warzywami i mięsem. Postawiła wszystko na stole, uśmiechnęła się znacząco.

– Coś jeszcze panom podać? – zapytała, jakby z oddali. Shana nie żyje? Ale przecież dopiero co ją widział...

– Dziękujemy – uciął Hayes.

Bentz opadł na oparcie. Stracił apetyt. Ogarnęło go poczucie klęski. Nie wierzył w to, co usłyszał. Kelnerka się oddaliła, stukając obcasami. Bentz odepchnął talerz i zniżył głos.

– Chwileczkę. – Nadal usiłował ogarnąć umysłem to, co usłyszał. – Zamordowana?

– Tak. – Hayes świdrował go wzrokiem, w jego ciemnych oczach malowało się niewypowiedziane oskarżenie.

Jennifer. To ma coś wspólnego z Jennifer. Ta myśl pojawiła się w jego umyśle i wtedy zrozumiał, co bez słów zarzuca mu Hayes. Co?

– Jezu Chryste, myślisz, że to ja? – zapytał. Nowy szok. Pokręcił głową. Po raz pierwszy w życiu czuł się jak podejrzan. – Chwileczkę.

– Posłuchaj – zaczął Hayes poważnie. – To tylko uprzejmość. Jak glina glinie.

Znaleźliśmy twoje nazwisko w jej komputerze. Ma tam kalendarz.

– Powiedziałem przecież, że się z nią widziałem.

– Tylko raz?

– Tak.

Bentzowi zrobiło się niedobrze. To szaleństwo. Nawet przez moment nie wierzył, że ktoś, kto go zna, kto z nim pracował, uzna, że mógłby kogoś zabić.

A Mario Valdez? Zabiłeś go, prawda? Przypadkowo, tak, ale dzieciak nie żyje. Z twojej winy. Potrafisz to, Bentz. Tu, w Los Angeles, wszyscy o tym wiedzą.

– Powiedz, o czym z nią rozmawiałeś.

– Oczywiście o Jennifer.

Powtarzał sobie, że nie może wpadać w paranoję. Hayes wcale nie chce go zrobić, wykonuje tylko swoją pracę. Hostessa prowadziła dwóch mężczyzn w garniturach do sąsiedniego stolika. Bentz odprowadził ich wzrokiem i ponownie wrócił spojrzeniem do Hayesa.

Jonas uniósł ciemną brew.

– To wszystko?

– Tak.

Bentz przypomniał sobie ich rozmowę i opowiedział wszystko – od pierwszej chwili przy drzwiach do pożegnania. Przyznał nawet, że wkrótce po wyjściu od Shany widział Jennifer na Figueroa.

Twarz Hayesa nawet nie drgnęła.

– Shana uwierzyła, że Jennifer nadal żyje?

– Nie. Uważała, że Jennifer zmarła, chociaż zawsze wątpiła w samobójstwo.

– Uważa, że ją zamordowano? – Podtekst był jasny: została zamordowana, a ty miałeś z tym coś wspólnego.

– Wiem, do czego zmierzasz, ale nie byłoby mnie tutaj, gdybym miał coś wspólnego z jej śmiercią. I nie miałem żadnego motywu, by zamordować Shanę McIntyre.

Hayes wciąż siedział nieruchomo.

– Ale musisz przyznać, że to dziwny zbieg okoliczności. Nowe zabójstwo bliźniaczek, teraz śmierć Shany McIntyre... Wszystko to w ciągu tygodnia, odkąd wróciłeś do Los Angeles. Każdy gliniarz z odrobiną oleju w głowie zacząłby myśleć.

Bentz zacisnął usta. Targała nim burza emocji i robił, co w jego mocy, by nie wybuchnąć.

– Gdy żegnałem się z Shaną, żyła. Było to kilka dni temu... Sprawdź w jej kalendarzu.

Nie wróciłem do niej, nie widziałem jej na ulicy, nawet z nią nie rozmawiałem. Możecie sprawdzić mój telefon.

– Zrobimy to.

– Dobrze. Przekonacie się wtedy, że wczoraj wieczorem rozmawiałem z żoną, która jest w Nowym Orleanie. Nadajnik w okolicy pewnie wychwycił sygnał. Jezu, co ja robię. Nie muszę się tłumaczyć.

Hayes machnął ręką.

– Pomyślałem tylko, że wolałbyś usłyszeć to ode mnie.

Bentz w pierwszej chwili nie odpowiedział, starał się opanować gniew. Rzeczywiście nie ma sensu zabijać posłańca przynoszącego złe wieści.

– Powiem to raz: nie byłem wczoraj u Shany, o czym się dowiesz, gdy sprawdzisz jej alarm. Żyje jak jakaś gwiazda. Czy ktoś już go sprawdził? Przejrzał zapis z kamer?

– Robią to teraz.

– Dobrze, bo mnie tam nie było. A skoro już się widzimy, może sprawdzisz też informacje, które ci przesłałem, srebrny wóz, tablice rejestracyjne. Ktoś mnie wrabia, wykorzystuje przy tym wasz wydział. Nie zamordowałem Shany, ale ten ktoś chce mnie zrobić. Ktoś to wszystko zorganizował. I pewnie nawet w tej chwili nas obserwuje.

Wróciła kelnerka z herbatą i nieodłącznym uśmiechem, ale Hayes przecząco pokręcił głową, więc poszła dalej, do stolika, przy którym usiadły trzy kobiety w średnim wieku.

– To paranoja – stwierdził Hayes cicho.

Kobiety mościły się na krzesłach, szurały po posadzce. Słowa Bentza odzwierciedlały jego niewypowiedziane obawy.

– Owszem. I mam dowody.

– Jestem tu jako twój przyjaciel.

– Znasz ten tekst: mając takich przyjaciół jak ty, po co komu wrogowie?

– Pilnuję twojego tyłka. – Hayes zacisnął usta w wąską kreskę. – Wiesz, Bentz, niejeden w wydziale chciałby zobaczyć, jak idziesz na dno.

– Coś nowego?

– Jak już powiedziałem, uważaj tia siebie.

– Udowodnij to. Sprawdź dane, o które prosiłem. Idę. – Wstał, wziął laskę, pchnął swój talerz w stronę Hayesa. – Niech ci zapakuje na wynos.

Bentz ma trochę racji, przyznał Hayes niechętnie, gdy wskazówki zegara zbliżały się do piątej, a na jego biurku nadal piętrzyła się sterta papierów. Klimatyzacja pracowała na pełny regulator, coraz więcej ludzi wychodziło z zimnego biura, powoli schodzili się koledzy z nocnej zmiany. Po raz trzeci przejrzał zeznania sąsiadów i znajomych Shany McIntyre i usiłował doszukać się jakiejś logiki w jej śmierci. Niemożliwe, stwierdził, nerwowo bawiąc się długopisem. Miał za mało dowodów, by sklecić je w jedną sprawę, choć wszystko wskazywało, że ktoś zwabił Bentza do Kalifornii, a gdy ten się tu zjawił, zaczęło się mordercze szaleństwo.

Czy siostry Springer stanowią część tej układanki?

Nie wiedział. Zmarszczył brwi i pstrykał długopisem coraz szybciej.

Przekonany, że czegoś nie zauważył, po raz kolejny przejrzał zeznania. Sąsiad od północy ma psy, które koło wpół do jedenastej wieczorem wpadły w szal – mniej więcej w tym czasie zginęła. Ale sąsiad oczywiście niczego nie widział. I nic dziwnego, bo żywopłot i ogrodzenie nie pozwalają zajrzeć na teren sąsiedniej posesji.

Inny sąsiad, trzy domy dalej, widział ciemnego pikapa, ale okazało się, że wóz należy do firmy ogrodniczej pracującej w tej dzielnicy. Samochód się zepsuł i czekał na pomoc drogową – wszystko sprawdzone i potwierdzone.

Hayes przeciągnął się i poruszył ramionami, chcąc pozbyć się napięcia w górnej partii pleców. Nawał pracy i nowe żądania byłej żony dawały mu się we znaki. Dawniej miał czas, żeby zagrać w piłkę czy skoczyć na siłownię, teraz już nie.

Przeglądał informacje o zabójstwie McIntyre. Zgłoszenie koło ósmej rano, zadzwoniła sprzątaczką, która znalazła trupa w basenie.

Hayes i Bledsoe przyjęli zgłoszenie od umundurowanego funkcjonariusza, który pierwszy był na miejscu zbrodni i wezwał detektywów. Zjawili się tam jednocześnie z ekipą z laboratorium. Oczywiście tuż za nimi jechał telewizyjny wóz transmisyjny.

Shana McIntyre nie uderzyła głową o brzeg basenu, choć na obramowaniu była krew.

Sińce na szyi i inne ślady sugerowały, że ją zaatakowano.

Później, podczas oględzin miejsca zbrodni, znaleźli laptop w salonie. Różowy mac zawierał jej terminarz z nazwiskiem Bentza wpisanym wielkimi literami.

– Ciekawe – mruknął Bledsoe. – Facet jest tu zaledwie tydzień, a już mamy trzy trupy.

Bliźniaczki i kobieta, która wpisuje go do terminarza. Bentz to niezłe ziółko.

Hayes nie wyciągał pochopnych wniosków.

– Nie myślisz chyba, że miał coś wspólnego z morderstwem bliźniaczek.

Bledsoe gniewnym wzrokiem przyglądał się monitorowi Shany McIntyre.

– Nie, nie myślałem. Ale teraz... – Podrapał się w brodę, łypnął znad okularów do czytania. – Sam już nie wiem. Słuchaj, nigdy nie uważałem Bentza za mordercę. Ale coś tu śmierdzi, Hayes. Obaj to wiemy i obaj wiemy, że ma to jakiś związek ze starym dobrym Rickiem, który wrócił do Los Angeles.

Z tym Hayes już nie dyskutował.

Mąż Shany, Leland McIntyre, który specjalnie wrócił wcześniej z Palm Springs, wydawał się szczerze poruszony. Miał alibi, ale nie wykluczali morderstwa na zlecenie. Leland McIntyre, specjalista od ubezpieczeń, ubezpieczył żonę na zawrotną sumę dwóch milionów dolarów. Dalej cała Usta jej byłych mężów, poprzednia pani McIntyre, Isabella, która, jeśli wierzyć sąsiadom, miała Shanie za złe, że odbiła jej męża. Trudno powiedzieć. W grę wchodziło tylu byłych małżonków płci obojga, że jeszcze trochę, a zaczniesz ich oznaczać kolorowymi mazakami.

Ale nawet taka liczba podejrzanych nie zmienia faktu, że Rick Bentz był u Shany na kilka dni przed jej śmiercią. Jest tu od zaledwie tygodnia, a ona nie żyje.

Ostatnim, który widział ją żywą, był ogrodnik – wyszedł po południu. Ostatni telefon wykonała do męża do Palm Springs. Policjanci sprawdzali billingi numerów domowych i komórek jej i męża.

W domu nie było śladów włamania, ale morderca prawdopodobnie wspiął się na bramę i obszedł dom dokoła. Na terenie były cztery kamery, ale od lat nie działały.

Nic nowego.

Zabójstwo Shany McIntyre to trudny orzech do zgryzienia, pomyślał Hayes, i to nawet bez Bentza wśród podejrzanych.

Niech go szlag trafi. Strasznie upierdliwy. A jednak Hayes spełni jego prośbę i sprawdzi, o co prosił. Niewykluczone przecież, że to pomoże i w jego dochodzeniu.

Ale najpierw przebije się przez zeznania świadków i materiał dowodowy z ostatniej sprawy.

Spojrzał na zegarek i pomyślał, że czeka go jeszcze dużo pracy. Przy odrobinie szczęścia wróci do domu koło północy. Super. Nagle jego uwagę zwróciła notatka w terminarzu.

Recital. O, cholera. Maren śpiewa dzisiaj w jakimś kościele niedaleko Griffith Park, w Hollywood. Obiecał córce, że przyjdzie, i nie wyobrażał sobie, że mógłby ją rozczarować. Już widział rozgoryczenie na twarzy Delilah. Musi tam być. Wygospodaruje godzinę dla córki.

W końcu, o czym Delilah nigdy nie omieszkała mu przypomnieć, to jego obowiązek.

Montoya pocił się, po trzydziestu minutach na bieżni bolały go mięśnie, do tego jeszcze ciężarki... Ćwiczył, odkąd żona obdarzyła go na urodziny karnetem na siłownię. Jasne, to świetny sposób na

stres, i teraz ma lepszą figurę, ale ten nowy, zdrowy styl życia go zabije.

No bo co złego w papierosku i piwie?

Pomachał znajomym, poszedł do szatni, wziął prysznic, rozkoszując się gorącym strumieniem, po czym sięgnął po ręcznik. Założył spodnie khaki, koszulkę polo, narzucił

skórzaną kurtkę i wyszedł.

Prosto w ciepłą ulewę Luizjany.

Gdy biegł do mustanga, krople deszczu rozbijały się o płytę parkingu. Otworzył

drzwiczki zdalnie sterowanym kluczykiem. Przemókł i rozważał, czy nie pojechać do domu, do Abby, ale postanowił najpierw wpaść do biura i sprawdzić, czy wiadomo już coś w sprawie poszukiwań, które zlecił mu Bentz. Widział informacje o ostatnim morderstwie w Los Angeles i uznał, że nie warto czekać.

– Cholera – mruknął, włączając wycieraczki.

Bentz ma kłopoty, Montoya to wyczuwał. Ginęli ludzie w jakiś sposób związani z jego partnerem.

Kałuże pobłyskiwały błękitem w świetle latarni. Włączył się do ruchu. Łamał wszelkie przepisy, myśląc o Bentzu w Kalifornii.

Facet ściąga na siebie kłopoty.

Chociaż to akurat nic nowego.

Montoya już wcześniej wyczuł, że Bentzowi odbija, ale pod wpływem ostatnich wydarzeń zmienił zdanie. Bentz działa po omacku, ale w mroku kryje się coś groźnego i złego. Montoya z trudem opanował odruch, by samemu polecieć do Kalifornii. Ma w końcu zaległy urlop. Abby zrozumie, jak zawsze. Ale Bentz go nie zaprosił. Bałagan na zachodzie to jego prywatna sprawa. Zmaga się z przeszłością, przegania dawne demony. Gdyby potrzebował pomocy partnera, poprosiłby o to.

A co, jeśli jej potrzebuje, tylko jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy?

A jeśli mylnie ocenia sytuację? W końcu, jeśli chodzi o kobiety, jest durniem.

Pokonując zakręt z piskiem opon, Montoya zwolnił i zadzwonił do Abby.

– Jak tam mój ulubiony policjant? – zapytała.

– Świetnie, jak zawsze skłamał.

– I nadal masz malutkie ego.

– Trzeba je trochę popieścić.

– Twoje ego? O tym mówimy, tak?

– Niegrzeczna.

– I za to mnie kochasz.

Miała rację i oboje o tym wiedzieli.

– Słuchaj, spóźnię się trochę – powiedział, zatrzymując się na czerwonym świetle niedaleko Superdome.

Ludzie pod parasolkami przebiegali przez jezdnię, wchodząc w kałuże.

– Niech zgadnę. Skończyłeś swoją zmianę, więc teraz zajmiesz się prośbą Bentza.

– Mniej więcej.

– Mam czekać? – zapytała z nutą ironii.

– To chyba niezły pomysł.

– Czyżby?

– Czyżby. – Zapaliło się zielone światło, więc rozłączył się z uśmiechem.

Była pierwszą znaną mu kobietą, która odpowiadała pięknym za nadobne i bardzo mu się to w niej podobało. Jechał przez zalane deszczem miasto na komisariat przy wtórce trzasków policyjnego radia. Zaparkował, zgasił silnik, postawił kołnierz kurtki i wbiegł do budynku.

Na posterunku panował spokój, było tu tylko kilka osób – większość już wyszła. Montoya usiadł za biurkiem, odpalił komputer i sprawdził w poczcie elektronicznej, czy przysłyżły zamówione dokumenty.

Owszem. Miał nadzieję, że pomoże Bentzowi. Spojrzał na zegarek: dwudziesta czterdzieści siedem, na Zachodnim Wybrzeżu nie ma jeszcze osiemnastej. Zadzwoił. Bentz odebrał po trzecim sygnale.

– Bentz.

– Wiem. – Obaj sprawdzili wyświetlacz komórki. – Co słychać?

– Kiepsko. Zamordowano Shanę McIntyre.

– Słyszałem.

– No cóż, LAPD nie bardzo się z tego cieszy. – W głosie Bentza wyczuwało się napięcie.

– Nikt się nie cieszy. Słuchaj, mam coś dla ciebie. Wyślę ci emailem, ale pomyślałem, że będziesz chciał usłyszeć to do razu.

– Wal.

– Mówiąc krótko: Elliot, nasz geniusz komputerowy, sprawdził tę przepustkę, opis wozu i fragment tablicy rejestracyjnej.

– I co?

– I bingo. Bóg techniki przysłał mi dane. Mówił, że grzebał w bazach federalnych, stanowych i prywatnych.

– Mów.

Montoya patrzył w monitor.

– Srebrny chevrolet, który nie dawał ci spokoju, należał do pracownicy szpitala świętego Augustyna. Nazwała się Ramona Salazar.

– Należał?

– Tak, w tym rzecz. Umarła rok temu. , Chwila ciszy, a potem Bentz zapytał:

– A co się stało z samochodem?

– Nadal zarejestrowany na jej nazwisko.

– Masz adres?

– Tak, ten sam, gdzie mieszkała za życia. Samochód pewnie sprzedano, ale nowy właściciel go nie przerejestrował.

– Ciekawe dlaczego.

– No właśnie. Może ktoś zrobił to celowo, a może jeździ nim po prostu ktoś z jej rodziny.

– Sprawdzę.

– Dobrze. Mam też coś o kilku astrologach imieniem Phyllis, ale nic konkretnego. Phyllis Manabi czyta tarota na Long Beach. – Montoya zmrużył oczy. – Mniej więcej piętnaście lat temu w Hollywood działała też Phyllis Terrapin. Wyjechała do Tucson, wyszła za mąż i już nie praktykuje.

Jasne.

– Nie powinieneś też mieć kłopotów z odszukaniem Alana Graya. Nadal jest grubą rybą w okolicy Los Angeles. Ma nową firmę, ACG Investments. Jest prezesem.

– Dzięki. Już go znalazłem w ACG, nie wiedziałem tylko, czym się zajmuje.

– No to się dowiesz.

– Super. Dobrze się spisałeś.

– Wiem – odparł Montoya i przesłał Bentzowi wszystkie dane. Już miał się rozłączyć, ale jeszcze dodał: – Ej, Bentz?

– Tak?

– Uważaj na siebie.

Rozdział 23

Nie żyje!

Potrząsam dzbankiem z martini i muszę się pochwalić za to, jak gładko poszło. Bez żadnej pomyłki. I to mimo rozszczekanych kundli.

Ta suka nawet się nie zorientowała, co się dzieje. Bezcenny widok: jej twarz, gdy zaskoczenie przerodziło się w maskę przerażenia. Nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, a potem znalazła się w wodzie.

Wspaniale!

Mruczę pod nosem, dodaję odrobinę wermutu, dosłownie kilka kropli, i nalewam sobie drinka.

Bentzowi robi się gorąco, wiem to. Zastanawia się, czy nie wpadł w pułapkę, szuka drogi ucieczki. To żart. Najpierw jego wybryk na molo, a potem śmierć Shany. Jakże mi przykro.

– Buuuu – szepczę.

Uśmiecham się pod nosem i zaglądam do lodówki, wydaję słoik oliwek, wrzucam dwie do kieliszka. Zielone, nadziewane papryką tańczą w przejrzystym płynie. Są jak wpatrzone we mnie miniaturowe oczy.

– Zazdrosne? – pytam i wypijam łyk. – Mm. Pycha!

Wyjmuję oliwkę z kieliszka, wysysam nadzienie, rozkoszuję się smakiem i zapachem alkoholu, idę do saloniku i siadam w ulubionym fotelu.

Mam nagrane telewizyjne informacje o śmierci Shany McIntyre i odtwarzam je w kółko, wsłuchuję się w głos idiotki, dziennikarki Joanny Quince, która zacina się i opowiada.

– Idiotka – mówię do telewizora i zjadam drugą oliwkę, słuchając, jak Joanna męczy się z nazwiskiem McIntyre. – MekEnTajer – mówię głośno, z irytacją. Za każdym razem, a oglądam to już

po raz trzeci, bardzo mnie tym denerwuje. – Shana byłaby wściekła, gdyby to słyszała – mówię do Joanny. I się nie mylę. Shana była bardzo dumna, że odbiła Lelanda pierwszej żonie. Jakby zaciągnięcie go przed ołtarz było zemstą za coś, co ją spotkało.

– Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie – mówię, gaszę telewizor oraz idiotkę na ekranie i myślę o kolejnej, którą czeka los podobny do Shany.

Im szybciej, tym lepiej, rozważam.

Tak, lepiej wcześniej niż później.

Tym sposobem wszyscy rozumieją że te morderstwa nie są przypadkowe, że wszystkie wiążą się z osobą Ricka Bentza.

Wiem już, kogo teraz złożę w ofierze – to będzie betka. I może się to zdarzyć nawet dzisiaj.

To kusząca myśl. Możliwa do zrealizowania. Jakkolwiek by było, plan jest gotów od dawna. Kolejny łyk zimnego martini. Tylko jeden kieliszek. Później pozwolę sobie dalej świętować.

Drzę z niecierpliwości, oczekiwanie przeszywa mnie dreszczem. To było długie czekanie, ale było warto, o tak. Rację miał ten, kto powiedział, że zemsta najlepiej smakuje na zimno.

O, tak.

Dopijam martini, rozkoszuję się ostatnią kropelką. Do dna! Odstawiam kieliszek i biorę się do pracy. Muszę zadzwonić, zanim wyjdę, a potem... Och, potem...

Zabawa dopiero się zaczyna.

Ramona Salazar.

To nazwisko nic Bentzowi nie mówiło, nic a nic.

Wspierając się na lasce, z bólem w kolanie, pokonał niewielką odległość między budą z kanapkami a motelem. Miał na nogach nowe buty kupione w Marina del Rey. Jak wszystko inne w tym zakątku świata, mokasyny były nieprzyzwoicie drogie. Jeśli będzie tu dłużej, pójdzie z torbami, usiłując się przekonać, czyjego eks żyje, czy nie.

Dobrze chociaż, że na początek ma nazwisko, jakiś trop, nieważne, że bardzo nikły. Przez całe popołudnie siedział w pokoju, uwięziony między laptopem a telewizorem, i chłonał

wszystko o morderstwie Shany McIntyre. Na ekranie mignęła mu twarz jej bogatego męża.

Zapamiętał go sobie – mężowie zawsze zajmują pierwsze miejsce na liście podejrzanych.

Ale praca detektywa to coś więcej niż gapienie się w telewizor czy wyszukiwanie Lelanda McIntyre'a w Google. Powoli ogarniała go frustracja. Nie znosił uczucia, że ma związane ręce, jak

teraz. Telefon Montoi dał mu kolejny punkt zaczepienia.

Ramona Salazar.

Zmierzchało już, słońce znikało za horyzontem, szum autostrady odbijał się echem wśród wzgórz. Gdy wyszedł na parking przed motelem, usłyszał plusk wody i domyślił się, że w basenie brykają dzieciaki. I to spora grupa, sądząc po krzykach, śmiechach i piskach.

Podświadomie zapamiętał, że nie ma samochodu właściciela Spike'a. Pokuszył się do siebie, otworzył drzwi, wszedł do środka. Nic się nie zmieniło, pokój był równie nieprzyjemny jak zawsze.

– Witamy w domu – mruknął złośliwie. Postawił laskę przy drzwiach, rzucił torbę zjedzeniem na biurko. Montoya mówił, że Ramona Salazar zmarła mniej więcej rok temu.

Bentz włączył laptop i rozpakował kanapkę, wrapa, którego zamawiał, gdy zadzwonił jego partner. „Kanapka kalifornijska”, jak się szumnie nazywała, składała się z zielonej tortilli mażniętej sosem cytrynowo-musztardowym i zawierała wędzonego organicznego indyka, cokolwiek to znaczy, plaster ostrego sera, awokado, pomidora i kiełki. Wszystko było mdłe i bez smaku, ale nie zwracał na to uwagi, bo otworzył skrzynkę odbiorczą i patrzył na informację od Montoi.

I rzeczywiście Ramona Salazar była właścicielką samochodu – oby się okazało, że właśnie tego samochodu, o który mu chodziło. Bo w innym wypadku wracał do punktu wyjścia.

Nie miał drukarki, ale uznał, że skorzysta z biura, czyli zwykłego peceta do dyspozycji gości w recepcji. Za ladą siedzi Rebecca, a mówiła przecież, że może spokojnie korzystać ze sprzętu. Pod warunkiem że ona siedzi za ladą, a Tony, jej synalek, nie gra w gry komputerowe za jej plecami.

Po kolei, pomyślał. Wszedł do sieci i wystukał nazwisko Ramony Salazar. Poszuka wszystkiego, co się da, na jej temat, łącznie z nekrologiem.

Zapędza się w ślepy zaułek? Możliwe.

Ale przynajmniej ma jakiś trop.

Maren śpiewała jak słowik, jej mezzosopran unosił się wysoko ponad sklepieniem małego kościółka w Hollywood. Hayes wpatrywał się w rozjaśnioną twarz córki, stojącej wśród innych uczniów panny Bette, i słuchał, jak śpiewają pieśń za pieśnią – od starych spirituals po piosenki popowe i rockowe. Rozpoznał Michaela Jacksona i Eltona Johna.

Po występie grupowym każdy po kolei prezentował solówkę, stając na małym podeście, który wyglądał, jakby żywcem zabrano go z planu serialu *Mały domek na prerii*.

Hayes wślizgnął się spóźniony, poczuł na sobie karcący wzrok Delilah i wyciszył

komórkę. Od tej chwili słuchał tylko córki, która, przynajmniej jego zdaniem, przyćmiła innych wykonawców.

Koncertem dyrygowała postawna Murzynka, ona także akompaniowała śpiewakom na gitarze albo na fortepianie. Hayes z trudem wytrzymał występy solowe. Owszem, dzieciaki nie fałszowały, ale żadne z nich nie miało szans dotrzeć dalej niż do pierwszej rundy *Idola*, niezależnie od tego, co sobie myśleli ich rozpromienieni dumą rodzice, zajmujący wszystkie ławki. Oczywiście poza Maren. Będzie gwiazdą. Hayes zdawał sobie sprawę, że czuje to samo, co inni rodzice, tylko że jego córka naprawdę ma talent.

Na podeście stanęło trzech chłopców i cztery dziewczynki, zanim Maren zaintonowała piosenkę Toni Braxton. Hayes patrzył, jak jego córeczka, zaledwie dwunastolatka, śpiewa jak profesjonalistka. Nadal była dzieckiem, nosiła jeszcze aparat na zębach, ale była równie piękna jak matka. I o wiele bardziej utalentowana.

Poruszała się w rytm muzyki, jej skóra koloru kawy z mlekiem lśniła w świetle reflektorów. Wyprostowane włosy spływały na plecy równą falą, wielkie piwne oczy wydawały się za duże w tej słodkiej twarzyczce. Była wysoka i szczupła jak rodzice, pierwsze krągłości dodawały jej wdzięku, choć dołeczki w policzkach ciągle jeszcze były bardziej słodkie niż seksowne. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Zaczęła od przejmującej wersji *Unbreak My Heart*, która zatrzęsała filarami małego kościółka, a na zakończenie zaśpiewała pogodną piosenką Whitney Houston *How Will I Know*. Hayes zerwał się na równe nogi i bił brawo jak szalony. Po ukłonach i krótkim podziękowaniu nauczycielki Hayes podbiegł do sceny z bukietem, który kupił w supermarkecie pod drodze, i wręczył go córce. Jej zachwyty i chłodne zaskoczenie Delilah powiedziały mu wszystko.

– Wspaniale, kochanie! Byłaś cudowna! Niech się schowa Mariah Carey.

– Akurat – mruknęła jedna z matek.

– Och, tato. – Maren komicznie przewróciła oczami, ale nie zdołała opanować szczęśliwego uśmiechu. – Myślałam, że jesteś w pracy.

– Byłem.

– Mama mówiła, że nie przyjdiesz.

Hayes posłał swojej byłej żonie mordercze spojrzenie.

– Mama się pomyliła. – Uściskał córkę.

– Po prostu nie chciałam, żeby znowu się rozczarowała – wyjaśniła Delilah.

Hayes nie da się to wciągnąć, nie tutaj, nie teraz.

– No i się nie rozczarowała. Co powiecie, jeśli zaproszę was na pizzę?

Spodziewał się, że Delilah zaoponuje: bo jest późno, bo Maren musi odrabiać lekcje, ale nie, zgodziła się. Oczywiście bywała nieznośna, ale Hayes uważał, że w głębi duszy chodzi jej tylko o

dobro Maren. Może i okazała się niewdzięczną, marudną, wiecznie niezadowoloną żoną, ale matką była wspaniałą.

I za to powinien być wdzięczny.

Wyszli na zewnątrz, włączył telefon i przekonał się, że ma kilka wiadomości. Już miał je odsłuchać, gdy poczuł na sobie wzrok Delilah.

– Tylko je odsłucham – powiedział, podszedł od samochodu i oparł się o maskę. –

Spotkamy się w Dino.

– Jasne – wycedziła przez zęby z wyraźnym niedowierzaniem i zaprowadziła Maren do białego lexusa.

Dzwoniła Riva Martinez. Donovan Caldwell wydzwaniał na posterunek, domagał się informacji w sprawie morderstwa sióstr Springer, twierdził, że powinien mieć dostęp do wszystkich informacji, jako że wydział tak pokazowo spieprzył dochodzenie w sprawie morderstwa jego sióstr przed dwunastu laty.

Hayes oddzwonił do Martinez w drodze do restauracji.

– Odeślij go do naszego rzecznika prasowego – poradził.

– Już to zrobiłam, kazał mi spadać. Wykalkulował sobie, że Bentz wrócił do miasta.

Usłyszał coś o jego wybryku na molo w Santa Monica. W każdym razie ten cały Caldwell pała żądzą krwi. Chce pogadać z Bentzem, Trinidadem, Bledsoe, z każdym, kto miał związek ze sprawą jego sióstr. Moim zdaniem to świr.

– Przez to, że schrzaniliśmy tamtą sprawę, rozpadła się jego rodzina.

– Hayes, do cholery, posłuchaj sam siebie. Nie sknociliśmy tej sprawy, tylko jej nie rozwiązaliśmy. Jeszcze.

Miała rację. Hayes spojrział na zegarek. – Pogadam z nim, ale nie teraz.

– Nie przejmuj się. Poradzę sobie z nim, uznałam tylko, że powinieneś wiedzieć.

– I słusznie. Dzięki.

Rozłączył się i starał się nie myśleć o nawale pracy. Teraz ma ważniejsze sprawy na głowie. Pepperoni czy hawajska? I jak pokonać werbalne pole minowe, jakim będzie najbliższa godzina czy dwie w towarzystwie Delilah.

Bentz znalazł się w ślepym zaułku.

Ramona Salazar, kimkolwiek była, nie dla niego nie znaczyła, nie widział żadnego związku między nią a Jennifer. Przeciągnął się na tandetnym legowisku, zmienił kanał na stację informacyjną i patrzył. Znowu powtarzali materia! o zabójstwie Shany: ambulans przed domem, basen z lotu ptaka, państwo McIntyre w dawnych dobrych czasach. Osunął się na posłanie, dręczony wyrzutami sumienia. Gdyby nie przyjechał do Los Angeles, może żyłaby dalej. A może to tylko przypadkowa zbrodnia?

Nie, nie wierzył w to ani przez chwilę.

Zadzwonił do córki, zostawił wiadomość. Odzwoniła po pięciu minutach.

– Co słyhać, tato? – zapytała.

Uśmiechnął się odruchowo, gdy przed oczyma stanęła mu jej twarz, równie piękna jak twarz jej matki. Wstał z łóżka, podszedł do okna.

– Nic ciekawego. – Wyjrzał przez żaluzje na parking, gdzie już zapadła ciemność, którą rozjaśniał neon reklamujący SoCal Inn.

– Ciągłe w Los Angeles, tak? Pracujesz nad starą sprawą, która nie ma nic wspólnego z mamą, prawda? – Słyszał sarkazm w jej głosie. – Wiesz, tato, dziwi mnie, że nie chcesz mi zaufać. Nie podoba mi się to.

Nie ma wyjścia. Jest na to za bystra, a nie chciał jej oszukiwać.

– No dobrze, masz rację. Badam okoliczności jej śmierci. – Sięgnął po pilota, wyciszył głos w telewizorze. Koszykarze skakali nadal, ale bezgłośnie.

– Dlaczego? – zapytała Kristi. – Dlaczego to robisz?

– Bo nie wiem, czy twoja matka naprawdę popełniła samobójstwo. Wydaje mi się, że być może padła ofiarą morderstwa.

Chwila ciszy. Kristi, zazwyczaj tak szybka w reakcjach – zdarzało się nawet, że kończyła za niego zaczęte zdania, milczała długo.

– Dlaczego tak uważasz?

– To długa historia.

– Długa? Na pięć minut? Pięć godzin? – zapytała. W jego pokoju telewizor migotał bezgłośnie. – Dawaj, tato.

– No dobra, chyba powinnaś wiedzieć.

– Brawo.

– Prawda jest taka, że nie wiem nawet, czy to naprawdę twoja matka leży w tym grobie.

– Jak to? Poważnie? – W jej głosie wyczuł nutę paniki. – Teraz naprawdę mnie przeraziłeś.

Nic dziwnego. Właśnie dlatego od początku nie chciał jej niczego mówić.

– Dobry Boże, nie ona? Co to ma znaczyć?

Powiedział jej. Zaczął od aktu zgonu i fotografii, poprzez wizje Jennifer lub jej sobowtóra, po skok z molo i śmierć Shany McIntyre.

– I dlatego jestem w Kalifornii.

– Nie do wiary – mruknęła wyraźnie poruszona. – To znaczy... Mama nie żyje. Wiesz o tym, prawda? Przeszliśmy już przez to. Myślałam, że masz po prostu niezły odlot po środkach przeciwbólowych. Błagam cię! Gdyby żyła, odezwałaby się do nas, a przynajmniej do mnie.

A jeśli uważasz, że widzisz jej ducha... Chyba to rozumiem – przyznała niechętnie. – Ja miałam inne doświadczenia, ale są rzeczy, których nie da się wytłumaczyć. Nadal widzę ludzi w czerni i bieli, a potem umierają. To niesamowite. A Olivia... Olivia widziała zbrodnie oczami mordercy, więc to, że widzisz mamę lub że wydaje ci się, że ją widzisz, nie znaczy, że ona żyje. – Odetchnęła głęboko i wyobraził sobie, że odgarnia włosy z oczu. – Nie wierzę.

– Ja po prostu staram się to wyjaśnić. Najwyraźniej ktoś chciał, żebym tu przyjechał.

Zwabił mnie.

– Dlaczego?

– Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć.

– Nie podoba mi się to.

– To jest nas dwoje – zachnął się.

– Ale nie jesteś samotnym strzelcem, co? Ktoś ci chyba pomaga?

W życiu nie czuł się równie samotny, ale przecież jej tego nie powie. I bez tego przytłoczył ją nadmiarem trudnych informacji. Nie ma sensu martwić jej bardziej.

– Owszem. Montoya w Nowym Orleanie, a tu mam jeszcze kilku kumpli w policji.

Przysiadł na skraju łóżka. Nie zwracał uwagi na niemy telewizor, nie myślał, jak nienawidzi tego pokoju. Ściany obscurnego motelu zaczynały go dusić. Zatęsknił za córką. Za żoną.

– Kto? Kto ci pomaga?

Nie dawała się łatwo spławić, bo kiedy wyjeżdżali, była już dość duża i sporo pamiętała, na przykład to, że gdy ojciec wyjeżdżał, wcale nie żegnał go tłum przyjaciół.

– Jonas Hayes, po pierwsze. Pamiętasz go?

– Nie.

– Kryje mi tyłek.

– Nie wiem, czy mogę ci uwierzyć. Zakładam, że Olivia wie o wszystkim. Masował sobie kark.

– No.

– Czyli córka dowiaduje się ostatnia.

– Nie uważam.

– A ja owszem – zdenerwowała się. Nadal była wkurzona, a on nie mógł teraz nic na to poradzić. – Po to dzwoniłeś? – zapytała. – Chodzi o sprawę?

Wyczuł jej gniew bijący z telefonu.

– Pomyślałem sobie, że może pamiętasz, czy mama kiedykolwiek wspominała kobietę nazwiskiem Ramona Salazar?

– Ramona jak? Salazar? – powtórzyła. – Nie, żadnej Ramony.

– A Phyllis?

– Tylko ta astrolog.

– Wiedziałaś? – Bentz zeszywniał.

– Pewnie. Raz nawet sama zadzwoniłam, żeby się umówić, ale mama wpadła w szal, uważała, że tobie to się nie spodoba, więc odwołałam wizytę, a mama kazała mi trzymać język za zębami. Powiedziała, że to taki nasz mały sekret czy coś równie melodramatycznego.

Wiesz, jaka była.

Najwyraźniej nie.

– Rany, zupełnie o niej zapomniałam.

Bentz był na siebie wściekły. To oczywiste, że Kristi wie o Jennifer rzeczy, o których on nie miał pojęcia. Montoya wspomniał nazwisko – Phyllis Terrapin, – Jak bardzo wierzyła w astrologię?

– Niespecjalnie. Po prostu co jakiś czas chodziła do tej Phyllis, tak jak chodziła do fryzjera i na manikiur. Widziałam ją tylko kilka razy, kiedy mama miała mnie gdzieś podrzucić po drodze. – Kristi

się roześmiała. – Za plecami nazywałam ją Żółwicą, bo tak wyglądała: krótka szyja, wielkie okulary. Mamie to się nie podobało, co mnie z kolei dziwiło.

Zazwyczaj miała poczucie humoru, ale nie wtedy, kiedy kpiłam z jej pani astrolog.

– Jasne – mruknął. Ile jeszcze sekretów miały matka i córka? O czym jeszcze nie miał pojęcia?

Rozmawiali jeszcze chwilę, ale Kristi nie była w stanie powiedzieć mu niczego więcej ani o Phyllis Żółwicy, ani na jakikolwiek inny temat związany z jego dochodzeniem.

– Zadzwoń za kilka dni – obiecał, zanim się pożegnali. – Phyllis Żółwicą – mruknął pod nosem. Pewnie to nic ważnego, ale i tak musi sprawdzić.

Wstał, przeciągnął się i zobaczył na stoliku resztki kanapki kalifornijskiej. Wyjął zwiędłą sałatę i miękkiego pomidora, zawinął resztki w torebkę, wyrzucił do kosza. Usiadł na krześle za biurkiem, położył sobie laptop na kolanach, oparł nogi o łóżko. Tym sposobem mógł

jednocześnie surfować po Internecie i oglądać wiadomości w telewizji.

Wpisywał właśnie imię Phyllis, gdy znowu zadzwonił telefon.

Spojrzał na wyświetlacz – L. Newell. Lorraine? Siostra przyrodnia Jennifer?

Odebrał po pierwszym sygnale.

– Bentz.

– Och. Cześć. Tu Lorraine. – Mówiła dziwnie, spięta, zdyszana. O co chodzi? – Ja...

uznałam, że powinieneś wiedzieć... O Boże.

– Co? – zapytał czujny. Ogarnęło go dziwne przeczucie.

– Widziałam ją. Widziałam Jennifer.

Bentz opuścił stopy na podłogę. Odstawił laptop na biurko.

– Co?

– Powiedziałam, że widziałam...

– Słyszałem. Ale gdzie? Kiedy? – Nie do wiary. Serce waliło mu w piersi, adrenalina buzowała w żyłach. Ścisnął w dłoni telefon jak ostatnią deskę ratunku.

– Kilka minut temu. Tutaj, na mojej ulicy, w Torrance – dodała łamiącym się głosem.

Wydawała się śmiertelnie przerażona. – W... w szarym samochodzie.

Czyżby? Rick już sięgał po kluczyki i portfel.

– Chyba się nie spodziewała, że wyjrzę przez okno.

– Widziała cię?

– Chyba nie.

– Chwileczkę. Widziałaś kobietę podobną do Jennifer w szarym samochodzie? – I znów wyjrzał przez żaluzje na motelowy parking. Coś mu się bardzo nie podobało w tej całej sytuacji.

– Tak.

– Jakim cudem ją widziałaś?

– W świetle latarni. Samochód zatrzymał się pod latarnią i spojrzała na dom. Prosto na mnie.

– Jest tam jeszcze?

– Nie wiem. Zniknęła za zakrętem, jakieś trzycztery minuty temu. Boję się. Ona nie żyje, Rick. Ona nie może żyć. – Lorraine mówiła ochryple, histerycznie. – Nie wiedziałam, co robić. Pomyślałam, że zadzwonię do ciebie.

– Będę za pół godziny. Trzymaj się.

Rozłączył się, zapiął kaburę, włożył nową marynarkę i buty. W komórce lada moment rozładuje się bateria, ale wsunął ją do kieszeni razem z odznaką. Nie zwracając uwagi na ból w nodze, wybiegł z pokoju i skierował się na parking. Ruszył z piskiem opon.

Ktoś jeszcze widział Jennifer czy raczej jej sobowtóra. Wreszcie.

Gdy znalazł się na bocznej uliczce wiodącej do zjazdu na autostradę, zadzwonił do Jonasa Hayesa.

Od razu połączył się z pocztą głosową. Powiedział, co robi.

Wjechał na autostradę i pędził na południe, wyprzedzał, kiedy tylko się dało, przekraczał

dozwoloną prędkość. Noc była bezchmurna, wysoko nad łuną światła miasta lśniły gwiazdy.

Widział księżyc i samoloty mrugające nad Kalifornią, ale myślami był przy Lorraine.

Czy to możliwe?

Czyżby Jennifer się ujawniła? Niedaleko domu Lorraine?

A może Lorraine odbija?

Może coś jej się przywidziało?

Jak tobie, zażartował wewnętrzny głos. Zerknął na szybkościomierz. Sto trzydzieści kilometrów.

Wymijał właśnie lśniące czerwone bmw, gdy przyszła mu do głowy nowa teoria. Cholera.

Shana już nie żyje. Czyżby Jennifer polowała na kolejną ofiarę? Na tę myśl zrobiło mu się słabo. Czy kobieta, której szuka, jest morderczynią? Poczł mdłości, docisnął gaz do dechy i wyprzedził ciężarówkę w oparach diesla. Motocyklista przemknął koło niego, jakby stał bez ruchu. Pędził co najmniej sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Idiota!

Mijały minuty i Bentz czekał, aż zadzwoni jego telefon. Musi pogadać z Hayesem, z kimkolwiek z wydziału. W tej chwili zobaczył zjazd. Dziewczyna na hondzie minęła go bez trudu. Nawet jej nie zauważył.

Nie chciał narażać Lorraine. Nie wiadomo, o co chodzi Jennifer, ale instynkt mu podpowiadał, że nie jest to nic dobrego. Zanim zjechał, po raz kolejny połączył się z pocztą głosową Hayesa i poprosił, by skontaktował się z nim jak najszybciej.

Bentz potrzebował dowodu, że nie oszalał. Że nie widzi duchów, że nie fantazjuje. Fakt, że Lorraine ją widziała, dodał mu otuchy. Teraz przynajmniej, jeśli nie zdarzy się nic więcej, LAPD uwierzy, widząc Lorraine przerażoną spotkaniem z kobietą podobną do Jennifer Bentz.

– Skurczybyk – mruknął pod nosem, utkwivszy w korku po zjeździe z autostrady.

Malutki człowieczek w płaszczu, spodniach moro i kapeluszu z piórem majestatycznie kroczył przez jezdnię, pchając przed sobą wielki wózek na zakupy. Czas uciekał. Cenny czas.

W końcu przeszedł, światła się zmieniły i samochody ruszyły z miejsca. Bentz gnał na złamanie karku z sercem w gardle. Myśl o spotkaniu z Jennifer dodawała mu energii.

Lorraine Newell wiedziała, że już po niej.

Z drzeniem obserwowała jak napastniczka – kobieta, która przyłożyła jej słuchawkę do ucha i lufę do skroni – odłożyła słuchawkę na widełki w salonie. Opuściła wszystkie rolety.

Były same. Okłamała Ricka Bentza, błagała go, żeby przyjechał. Powinna była go ostrzec, powiedzieć prawdę, ale bała się, tak bardzo się bała. Zresztą ta wiedźma i tak ją zabije.

Z drzeniem patrzyła na kobietę, która celowała do niej z pistoletu. Śmiercionośna lufa znajdowała się zaledwie kilka cali od jej czoła.

– Przyjedzie – szepnęła nieznajoma i wyglądała, jakby miała się zsikać z radości. Jak Lorraine mogła być na tyle głupia, że otworzyła drzwi? Dlaczego pozwoliła jej skorzystać z telefonu? Chciała być dobrą samarytanką. Chciała pomóc. Kiedy uchyliła drzwi, kobieta, która twierdziła, że w jej komórce wyczerpała się bateria, a musi wezwać pomoc drogową, zamieniła się w demona z piekła rodem. Pchnęła drzwi z całej siły tak, że uderzyły Lorraine w twarz. Wyjęła z kieszeni pistolet i

wcisnęła lufę pod żebro Lorraine.

Ledwie weszły do domu, skrępowwała jej ręce za plecami, przysunęła telefon do ucha i kazała czytać z kartki, improwizując tylko wtedy, jeśli zajdzie taka konieczność.

I zrobiła to.

Niech jej Bóg wybaczy, ale zrobiłaby wszystko, byle uratować życie. Tylko że i tak jej się to nie udało, teraz już wiedziała.

– Ja... pozwól mi odejść – zaczęła desperacko. Pot spływał jej po plecach, cała drżała. –

Nikommu nic nie powiem, przysięgam. Kiedy Bentz przyjedzie, ja... Powiem mu, powiem mu, że to taki kawał.

– I słusznie – odparła kobieta tajemniczo.

– Proszę cię.

– Zamknij się!

Gdyby zdołała pobiec, wytrącić jej pistolet... ale na to za późno. Nie wątpiła, że nieznajoma strzeli jej prosto w głowę.

Nieznajoma zabrała kartkę, na której napisała to, co Lorraine miała powiedzieć Bentzowi.

Lorraine nadaremnie szukała w jej twarzy choćby cienia litości, najmniejszej rysy na lodowej skorupie. Ale kobieta z niewzruszoną miną dźgnęła ją lufą i kazała iść do przodu wąskim korytarzem do kuchni. Ciemnej.

O Boże.

Musi być jakiś sposób, by się uratować! Musi!

– Szybciej! – warknęła nieznajoma. Lufa wbijała się w plecy Lorraine.

Płakała. Jej serce waliło szybko, niespokojnie, jakby zaraz miało pęknąć. Modliła się bez słów, błagała Boga o litość.

– Proszę, nie – szepnęła, dygocząc ze strachu. Nie chciała umierać. Nie teraz. Nie w ten sposób. Jest jeszcze młoda, tyle ją jeszcze w życiu czeka. – Proszę – szepnęła. Głos łamał się jej dramatycznie. – Nikomu nie powiem, przysięgam. Możesz mi zaufać.

– Cicho. Wszystko będzie dobrze. – Napastniczka powoli przesunęła zimną lufą wzdłuż kręgosłupa Lorraine, w górę, po karku, do nasady czaszki.

I tam się zatrzymała. O Boże drogi!

W tej jednej koszarnej sekundzie Lorraine zrozumiała, że to już koniec.

Nic, ani słowa, ani czyny nie przekonają wariatki, by zmieniła zdanie. Zamknęła oczy w chwili, gdy padł strzał.

Rozdział 24

Coś jest nie tak.

I to bardzo nie tak.

Bentz wyczuwał to w powietrzu, w ciszy nocy. Kiedy podjeżdżał pod dom Lorraine, okolica była pusta – nigdzie nie widział srebrzystego chevroleta. W domu paliły się światła w kilku oknach, ale wszędzie zaciągnięto zasłony. Przecież Lorraine mówiła, że widziała Jennifer właśnie przez okno? Co gorsza, zauważył, że drzwi były uchylone.

Czyżby zostawiła je otwarte specjalnie dla niego?

O nie. Podczas rozmowy była śmiertelnie przerażona. Czuł, jak napinają się wszystkie jego mięśnie.

– Lorraine – zawołał. Cicho, powoli wyjął pistolet z kabury pod pachą. – Lorraine? To ja, Rick Bentz.

Cisza.

Ostrożnie, wyczuwając niebezpieczeństwo, pchnął drzwi lufą pistoletu, i nie słysząc żadnych odgłosów ze środka, wszedł do domu. W salonie paliły się światła. Zesztywniał, kątem oka widząc ruch za sobą, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to jego odbicie w lustrzanej ścianie. W pokoju nie było nikogo, na zielonej kanapie leżała otwarta książka.

– Lorraine? – zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział.

Szedł powoli, zmierzał na tył domu. Minął pustą jadalnię. Na stole piętrzyła się korespondencja. Kiedy przechodził około ciemnej kuchni, poczuł to.

Charakterystyczny metaliczny zapach krwi.

Żołądek podszedł mu do gardła.

Przygotował się psychicznie, wszedł do kuchni i zobaczył dwie stopy, bez jednego kapcia, wystające zza szafki. Podszedł bliżej. Leżała twarzą do ziemi, włosy na potylicy były mokre od krwi.

Lorraine.

Poczuł w ustach smak żółci. Zapalił światło i szybko rozejrzał się po pomieszczeniu, zanim przy niej ukląkł. Wiedział jednak, że już nie żyje. Mimo to szukał pulsu.

Nic.

– Boże drogi. – To jego wina, wiedział o tym. – Sukinsyn. – Wyjął telefon z kieszeni, zadzwonił na policję, przedstawił się i zgłosił zabójstwo.

Kto jej to zrobił?

Bez wątpienia ta sama osoba, która zabiła Shanę McIntyre. Związek także był oczywisty

– Rick Bentz.

Bentz miał świadomość, że wywołał reakcję łańcuchową. Jennifer ukazała się Lorraine, wiedząc, że ta do niego zadzwoni. A gdy już to zrobiła, Jennifer zamordowała ją bez litości.

Niewykluczone, że teraz go obserwuje i rozkoszuje się tym, co spowodowała.

Chora suka.

Instynkt mu podpowiadał, że w domu nie ma nikogo, morderca już dawno uciekł, nie miał jednak pewności. Rozłączył się i przeszukał budynek. Ostrożnie, starając się niczego nie dotykać, żeby nie zatrzeć potencjalnych śladów, zajrzał do szaf, zlustrował wzrokiem tylną werandę, ale mordercy już nie było. Oczywiście. Bentz po raz trzeci w ciągu godziny zadzwonił do Hayesa, zostawił mu wiadomość i wrócił do saloniku. Pomieszczenie wypełnił

dziwny, niesamowity dźwięk.

Bentz skulił się pod ścianą podniósłszy głowę, zobaczył szarego kota, który wyskoczył

spod kanapy, schował się za krzesłem i syczał na niego, łypiąc błyszczącymi złotymi ślepiami.

Rozszalały puls Bentza zwolnił odrobinę. Zapomniał, że Lorraine zawsze miała koty, umknęło mu to, bo podczas wizyty nie zauważył nigdzie śladów obecności zwierzaka.

Rozdygotany marzył o papierosie. Wyszedł na zewnątrz i czekał koło drzewa grejpfrutowego.

Bolała go noga. Usiłował zachować spokój, koncentrując się na odgłosach nocy. Wycie syreny docierało z oddali, przebijało się przez cykanie owadów i szczekanie psa. Dobrze.

Odgarnął włosy z twarzy, zobaczył, że zaniepokojony sąsiad przygląda mu się zza firanki.

Czas na show, pomyślał. Niedaleko zaułka przemknął samotny biegacz. Odprowadził go wzrokiem. Wysoki, szczupły – a może szczupła – w czapeczce baseballowej i ciemnym stroju. Żadnych elementów odblaskowych. Spojrzał w jego stronę, ale sylwetka była zbyt daleko, by mógł dostrzec rysy twarzy.

A jednak w tej postaci było coś znajomego.

Co? Ta myśl przyprawiła go o dreszcz. Znajomego? Oszalałeś? Nie masz nawet pewności, jakiej płci był biegacz. Weź się w garść, Bentz, i rozwiąż tę zagadkę, zanim kolejna osoba, z którą rozmawiałeś, okaże się zimnym trupem. Myśl, na miłość boską. Musisz odpowiedzieć na wiele pytań.

Patrzył, jak ta osoba skręciła w boczną uliczkę. Może widziała srebrzysty samochód w okolicy?

– Halo! – zawołał, ale była zbyt daleko. Nie dogoni jej na piechotę, a nie może za nią pojechać, bo policja, sądząc po wyciu syreny, zjawi się tu najdalej za pół minuty.

Na razie o niej zapomnij.

Nie zwracał uwagi na głos wewnętrzny. Ciągle marząc o papierosie i drinku, pokuszył się do krawężnika.

Dlaczego Lorraine do niego zadzwoniła?

Czy naprawdę widziała Jennifer?

A może to tylko podpucha?

Wpatrywał się w ciemną uliczkę, w której zniknęła biegnąca postać, gdy czerń przecięły policyjne światła i zza rogu wyłonił się wóz patrolowy.

Kto zabił Lorraine?

Jennifer?

W głębi serca wiedział, że śmierć Lorraine wiąże się z morderstwem Shany McIntyre.

Obie zginęły z powodu znajomości z jego byłą żoną. Obie zginęły przez niego. Bo z nim rozmawiały. Dławiło go poczucie winy. Czy żyłyby dzisiaj, gdyby do nich nie zadzwonił, gdyby nie zjawił się pod ich drzwiami?

Podniósł się, gdy wóz patrolowy podjeżdżał do krawężnika. Dwaj policjanci z Torrance wyskoczyli ze środka i podbiegli do niego.

– Bentz? – zapytał kierowca, młody Murzyn z odbezpieczonym pistoletem. Zaciskał usta, patrzył groźnie spod zmrużonych powiek, wydawał się zdenerwowany.

– Tak. Jestem policjantem. Z Nowego Orleanu. Mam broń w kaburze pod pachą i odznakę w portfelu.

– Co tu się działo? – zapytała druga policjantka, równie spięta jak jej partner. Celowała w pierś Bentza.

– Strzał. Wygląda na zabójstwo. – Mówił szybko i zwięźle, fachowo. Wydają się im taki chłodny i opanowany, pomyślał. A przecież znałem ją. Znałem ofiarę. – Zadzwoniła do mnie... Coś ją

przeraziło. Przyjechałem i zastałem ją martwą.

– Jest w środku?

– W kuchni. Na tyłach domu. Pusto, nie licząc kota.

– Sprawdzam – powiedziała policjantka.

Ciszę przecięło zawroźnienie kolejnej syreny. Pobiegnęła do domu. Po drugiej stronie uliczki sąsiad, grubas w obcisłym dresie, przyglądał się wszystkiemu z werandy. Policjant ciągle trzymał broń w gotowości.

– Nie ruszaj się – burknął do Bentza. Dłoń z pistoletem nawet nie drgnęła. – Póki tego nie wyjaśnimy, nie wolno ci nawet drgnąć, jasne?

Olivia wyłączyła telewizor, przeciągnęła się na sofie w saloniku i zagwizdała na psa.

Zazwyczaj o tej porze już spała, ale dzisiaj chciała obejrzeć do końca zapamiętany sprzed lat kiczowaty film.

Poszła na piętro, włożyła koszulę nocną i zauważyła przy tym, że jej ciało powoli zaczyna wyglądać jak ciało ciężarnej. Rozścielała łóżko, pogrążona w myślach o Bentzu, gdy zadzwonił telefon.

– O wilku mowa – powiedziała do psa, który już się szykował, by wskoczyć pod kołdrę. –

Tylko z Zachodniego Wybrzeża dzwonią od nas po północy, prawda?

Jednak na wyświetlaczu nie było ani numeru, ani nazwiska dzwoniącego i Olivia spięła się lekko.

– Halo?

W pierwszej chwili nikt się odpowiadał i Olivia poczuła ukłucie strachu, takie samo, jak zawsze, gdy Bentz rozwiązywał trudną sprawę.

– Halo?

– Pakuje się w kłopoty – zachrypiał kobiecy głos prosto do jej ucha. Olivie przesyłał

dreszcz. W pierwszej chwili nie wiedziała, co powiedzieć.

– Ludzie umierają poinformował ją głos.

– Słucham? Co? – Serce waliło jej jak szalone, miała ręce mokre od potu. Wiedziała, że to ta sama osoba, która już dzwoniła kilka dni temu. Ta sama kobieta, która chce ją wyprowadzić z równowagi.

– Doszło do kolejnego morderstwa. – To nie głos, to syk.

– Nie! – Zrobiło jej się niedobrze. Rick? Czy coś mu się stało? Czy właśnie to chce jej powiedzieć ta

kobieta? Nie, tylko nie to... Nie, na pewno ma na myśli Shanę McIntyre... – Kto mówi? – zapytała. Jej strach częściowo przerodził się w gniew.

– Zgaduj – odparł głos. – Albo zapytaj RJ. On będzie wiedział.

– Kogo mam zapytać?

Odpowiedział jej głuchy, zmysłowy śmiech. Jennifer. Pierwsza miłość Bentza.

– Dlaczego to robisz? Klik. Koniec połączenia.

Trzymała w dłoni martwą słuchawkę. Czowała, że cała drży, nie ze strachu, z wściekłości, tak potężnej, że niemal ją zaślepiła. Pomyśleć, że ktoś śmie igrać z jej mężem, drażnić ją w jej domu.

– Wariatka! – syknęła, zła, że nie może stanąć z tą suką oko w oko, i odłożyła słuchawkę na widełki.

Rozjuszona już miała zadzwonić do Ricka, ale się rozmyśliła. Dzwoniąca chciała, żeby ze szlochom zwróciła się do RJ, jak Jennifer zwracała się do męża. Dzwoniąca chciała, żeby Olivia zachowała się jak przerażona, bezradna kobietka.

O, nie.

Nie sprawi jej tej satysfakcji.

Teraz będzie siedziała cicho. Ale rano zadzwoni do firmy telefonicznej i poprosi, żeby sprawdzili, co się da, w sprawie tego telefonu. A jeśli do tego czasu suka jeszcze zadzwoni, już ona jej pokaże.

– Weź się w garść – mruknęła, nie wiedziała już do siebie czy do prześladowczym.

Chcąc ochłonać, zeszła na parter, sprawdziła, czy wszystkie okna i drzwi są porządnie zamknięte. Obsesja? Ale przynajmniej poczuje się bezpieczniej. Uspokojona, że wszystko jest porządku, wróciła do sypialni, którą dzieliła z Rickiem.

Niechętnie, po raz pierwszy od bardzo dawna, zamknęła w niej okno. Czowała, że tym samym się poddaje i bardzo ją to denerwowało, ale na wszelki wypadek zamknęła okno na zasuwkę. Brakowało jej chłodnej bryzy znad rozlewiska, szumu liści, zapachu magnolii, rechotu żab, koncertu cykad.

Zirytowana, że z powodu jakiejś wariatki musiała zmienić swoje obyczaje, wróciła do łóżka. Poklepała materac. Hairy S nie czekał na kolejne zaproszenie. Wskoczył i ukrył się pod kołdrą, przywarł do niej.

– Dobry piesek – szepnęła machinalnie i podrapała go po łebku.

Zamruczał z rozkoszy, ale Olivia się nie uśmiechnęła, była zbyt zdenerwowana, zbyt rozgniewana. Po raz kolejny zastanowiła się, czy nie polecieć do Kalifornii i nie powiedzieć Bentzowi o ciąży.

Miała dosyć. Dość tajemnic.

Może poleci jutro. Albo za kilka dni...

Poprawiła poduszkę i zdecydowała, że pierwsze, co zrobi rano, to kupi sobie bilet. Poleci do Los Angeles, do męża, czy on tego chce, czy nie. W końcu o to chodzi w małżeństwie, prawda? O bliskość. Kontakt. Zaufanie. O Boże... Traciła go, czuła to w pustej sypialni.

Ale nie podda się bez walki, do cholery. Nie odda go walkowerem.

Zamknęła oczy, chciała zasnąć i już odpływała, gdy znowu rozdzwonił się telefon.

– Ty draniu...

Jeszcze zanim rozbrzmiał drugi dzwonek, nastawiła się na kolejny makabryczny żart.

– I co teraz? – warknęła.

– Ja też cię kocham – powiedział Bentz.

Od razu złagodniała, słysząc jego głos, poczuła, że wzruszenie ściska jej gardło. Boże, ależ za nim tęskni.

– Cześć – szepnęła ze łzami w oczach. Boże, zachowuje się jak wariatka. Łzy? To na pewno hormony, prawda? Ale to takie cudowne uczucie, usłyszeć jego głos. Odchrząknęła, usiadła i zapytała: – Co słyszać?

– Nic dobrego.

Serce zamarło jej w piersi.

– Jestem na posterunku policji w Torrance.

– Torrance?

– Tak. Uznałem, że powinnaś wiedzieć. Dowiedzieć się o tym ode mnie. O Jezu, Liwie, co za bałagan. – Westchnął i wyczuła jego znużenie. – Zadzwoiła do mnie Lorraine, siostra przyrodnia Jennifer, z informacją, że widziała ją przed swoim domem. Przyjechałem tu i znalazłem zwłoki Lorraine. Morderstwo.

– Boże drogi – szepnęła Olivia. Jedną ręką przyciskała słuchawkę do ucha, drugą tuliła kołdrę do piersi. To niemożliwe. Nie! – Jennifer? – zapytała, choć w głębi serca znała już odpowiedź. Za tym wszystkim stoi Jennifer Bentz, nieważne, prawdziwa czy wyimaginowana, jawa czy sen.

– Kto wie?

Opowiedział jej wydarzenia tego wieczoru, a Olivia, przerażona, słuchała uważnie, choć miała wrażenie, że na jej piersi zaciska się żelazna obręcz. Nie miała już wizji, nie widziała już zbrodni oczyma mordercy, nadal jednak przesywała ją groza na myśl o tym, co wycierpiał zamordowane

kobiety.

Bentz opowiadał, że jego przyjaciel Jonas Hayes przyjechał z Los Angeles. Wyraził

współczucie, gdy Bentz narzekał, że odebrano mu broń i poddano przesłuchaniu na posterunku. Po raz pierwszy w życiu Bentz znalazł się po drugiej stronie weneckiego lustra.

Policjanci z Torrance uwierzyli mu, choć w powietrzu nadal wisiało wiele pytań – w końcu Bentz w ciągu minionego tygodnia był u obu kobiet, u Shany i u Lorraine, a teraz obie nie żyją. Tym sposobem Bentz znalazł się w kręgu podejrzanych.

Olivia się wzdygnęła.

– To się ciągnęło godzinami – mówił, z trudem hamując wściekłość. – W kółko im tłumaczyłem całą sprawę z Jennifer, że ktoś chciał mnie tu ściągnąć, prawdopodobnie właśnie morderca, i kiedy przyjechałem, zaczął zabijać. Mówiąc krótko jestem katalizatorem, żeby nie powiedzieć, motywem jego działań.

– Chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że Jennifer albo jej sobowtór morduje ludzi i stara się obarczyć ciebie winą?

– Mniej więcej.

– Bentz, to naprawdę naciągane. To czyste szaleństwo.

– I wymaga perfekcyjnego planu i wyjątkowego szczęścia. – Umilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. – Posłuchaj, jak już powiedziałem, chciałem tylko, żebyś usłyszała o tym ode mnie, a nie od innych czy z telewizji. Kiedy media połączą morderstwa Shany i Lorraine ze mną, zaczną się kocioł.

Zawahał się i wyobraziła sobie Ricka, jak nerwowo przeczesuje palcami bujną czuprynę, zaciska usta, marszczy brwi.

– Cieszę się, że zadzwoniłeś. Martwiłam się.

– I dlatego tak mnie powitałaś?

– Co? Jak cię powitałam? – zdziwiła się.

– Jakbyś była wściekła. O co chodzi?

Nie chciała mu tego mówić, nie chciała go martwić, przysparzać mu stresów, ale i tak ją gryzło, że przemilcza przed nim fakt, iż jest w ciąży. Nie zniosą więcej tajemnic, ich związek i bez tego jest kruchy.

– Dzisiaj znowu zadzwonił ten kawalarz.

– Kto? – Jego głos zmienił się, stwardniał.

– Nie wiem.

– Ta sama kobieta, co poprzednio?

– Chyba tak. Numer zastrzeżony, nie przedstawiła się.

– Do cholery. Liwie, nie możesz tam zostać, nie sama.

– To mój dom. Zresztą, Hairy S...

– Jest bezużyteczny, już to przerabialiśmy. Wracam do domu, dzisiaj albo jutro. Wobec tego, co się tu dzieje, tylu morderstw, nie chcę, żebyś była sama.

– To wszystko dzieje się w Kalifornii, czyli ile – dwa i pół tysiąca kilometrów ode mnie?

Ten, kto morduje w Los Angeles, nic mi nie robi.

– To tylko jeden lot.

– Jesteś w Los Angeles. Ona nie wyjedzie.

– Hm. – Zawahał się, jakby w myśli analizował jej słowa.

Olivia wyciągnęła rękę i zapaliła lampkę na nocnym stoliku. Psiak wypełził spod kołdry, wystawił czarny nos.

– Co powiedziała? – Bentz nie dawał za wygraną.

– Że pakuje się w kłopoty. On, czyli ty, jak się domyślam, bo mówiła o tobie per RJ. I powiedziała, że doszło do kolejnego morderstwa. Myślałam, że chodzi o Shanę.

– Raczej nie. Pewnie chciała się pochwalić zabiciem Lorraine. Cholera, nie rozumiem, o co jej chodzi.

– Ani nikt inny, ale zrozumiesz. Kiedy chwytasz trop, nie odpuszczasz.

– O której zadzwoniła?

– Po północy, mniej więcej za kwadrans pierwsza. Siedziałam do późna, oglądałam film.

– Wystukała kilka klawiszy na telefonie, sprawdziła coś na wyświetlaczu i ponownie podniosła słuchawkę do ucha. – Tak, dwunasta pięćdziesiąt dwie. Rano zadzwonię do operatora telefonicznego, może uda mi się ustalić, skąd dzwoniła, choć to numer zastrzeżony.

– Dobry pomysł, ale i tak uważam, że powinnaś się stamtąd wynieść.

- Jest środek nocy. Sprawdziłam drzwi i okna. A morderca grasuje w Kalifornii. Masz inne problemy na głowie.
- W sypialni jest pistolet. W szafie.
- Wiem.
- Wyjmij go i połóż przy łóżku.
- Ależ Rick – sprzeciwiła się. Przesadzał. – Nie umiem strzelać.
- To proste. Celujesz. Pociągasz za spust.
- A najpierw ładuję i odbezpieczam.
- Okłamałaś mnie – umiesz strzelać.
- Ale...
- Zrób to dla mnie. Póki nie wrócę, dobrze?
- Czyli?
- Niedługo – zapewnił z przekonaniem w głosie.
- Dobrze. W porządku. Mamy dużo spraw do omówienia.
- Wiem. – Zawahał się. – Uważaj na siebie, Liwie. Kocham cię. Ogarnęła ją fala uczuć.

Głupie łyzy, znowu pieką pod powiekami.

- Ja ciebie też. To ty uważaj.

Odłożyła słuchawkę, wbiła wzrok w sufit. Może powinna była błagać go, by dał sobie spokój z poszukiwaniami i wracał do domu. Oczywiście teraz jest na to za późno, skoro zginęło tyle osób. Rick musi zostać w Los Angeles. Chciała, żeby dokończył to, co go tam popchnęło. A potem wróci do domu na dobre, a ona powie mu o dziecku. Nie wcześniej.

Wiedziała, że jeśli to zrobi, Rick wsiądzie do najbliższego samolotu lecącego na wschód. I nigdy sobie nie daruje, że nie dowiedział się, co się w końcu stało z Jennifer.

Zgasiła światło.

Chciała, żeby to wszystko się skończyło. Na zawsze. Nie chciała, żeby Bentz żałował, że porzucił kogoś w potrzebie, żeby jakaś jego część czy marzenia zostały tam, w słonecznej Kalifornii.

Chciała albo jego całego, albo nic. Nie zadowoli się resztkami po byłej żonie.

Po Jennifer.

– Niech cię szlag – szepnęła do pustego pokoju. Jakim cudem jego eks wkradła się do ich życia?

Przewróciła się na bok i patrzyła w okno, w atramentową noc Luizjany. Bentz musi to dokończyć. Pokonać ducha Jennifer. Zanim ktoś jeszcze zginie. Zanim Olivia utraci go na zawsze.

Rozdział 25

Powiedziałem już wszystko policji w Torrance – mruknął Bentz.

Odwoził Hayesa do Parker Center, gdzie ten zostawił swój wóz.

Dochodziła trzecia nad ranem. Bentz, zmęczony jak diabli, jechał Sepulveda, skręcił w stodziesiątkę na północ. Mimo późnej pory na autostradzie wrzało życie, wszędzie migają światła samochodów. ‘

Hayes przyjechał z Rivą Martinez, która żartowała, że wybrał sobie najgorszy moment, żeby wyłączyć komórkę.

– Lepiej późno niż wcale – burknął Bentz, zadowolony, że koledzy z LAPD w ogóle się do niego odezwali. Gdyby nie oni, pewnie nadal siedziałby na posterunku w Torrance i wiercił się niespokojnie na drewnianym krześle w pokoju przesłuchań.

Dobrze chociaż, że go nie skuli. Bentz oddał broń dwójce, która jako pierwsza zjawiała się na miejscu zbrodni, i wtedy go zatrzymali. Patrzył, jak policjanci rozciągają żółtą taśmę i rozmawiają z sąsiadami, którzy wylegli przed domy.

Kiedy się pojawili, ponury zaułek nabrał surrealistycznych cech, nagle zapanowało tu ożywienie, jak na moło w Santa Monica. Sąsiedzi, w szlafrokach, kłapkach, dresach i piżamach, stali w świetle latarni, gawędzili, palili, kręcili głowami, przyglądali się wozom policyjnym i oferowali, że złożą zeznania.

Bentz słyszał, co mówili o Lorraine.

– Urocza kobieta – zachwycła się staruszka.

– Dobra sąsiadka. – Mężczyzna z domu obok pokiwał głową. Puchacz, pomyślał Bentz: okulary, posępna mina i cienka bródka. – Nie mieści mi się w głowie, że ktoś się do niej włamał. To spokojna okolica. Bezpieczna. – Puchacz umilkł, gdy mijał go wózek ze zwłokami. – Przynajmniej do tej pory tak było.

Kolejna kobieta uznała za stosowne dorzucić swoje dwa grosze.

– Niewiele o niej wiem. Chyba kiedyś miała męża. – W obłoku siwych włosów i białego szlafroka przedstawiła się jako Gilda Mills, mieszkanka uliczki od dwudziestu siedmiu lat.

Nerwowo zerknęła na dom Lorraine, jakby były to wrota piekieł. – Ale sama już nie wiem. –

Chudy palec nerwowo błędził wokół ust. – Nie miała dzieci, w każdym razie nigdy o nich nie mówiła. Miała za to siostrę przyrodną. Czy może przyszywaną? Która zginęła. Popelniła samobójstwo czy coś takiego... Nie pamiętam. – Cofnęła się o dwa kroki, jakby z obawy, że zło czające się w domu przepelźnie przez trawnik i wedrze się do jej różowych papuci.

Bentz stłumił jęk, gdy pojawiły się wozy transmisyjne. Na szczęście Hayes i Martinez wjechali w wąski zaułek kilka sekund później. Chudy dziennikarz ze stacji telewizyjnej zauważył ich i wyczuł, że coś się święci, bo rozpoznał policjantów z Los Angeles poza okręgiem ich jurysdykcji. Patrząc, jak młody reporter na próżno usiłuje wydobyć coś z Hayesa, Bentz nawet się nie uśmiechnął. Był zbyt zmęczony.

Potem przewieziono go na posterunek w Torrance, gdzie przez trzy godziny czekał i odpowiadał na pytania. Porucznik wyjaśnił, że muszą go sprawdzić, upewnić się, że na pewno pracuje w policji w Nowym Orleanie, że ma pozwolenie na broń. Choć odnoszono się do niego z szacunkiem i profesjonalnie, Bentz był zły, że znalazł się w pozycji podejrzanego.

Kilka godzin później porucznik oznajmił, że jest wolny. Najwyższy czas, pomyślał Bentz, odebrał broń, podpisał dokumenty. Kiedy usiadł za kierownicą, a Hayes zajął fotel pasażera, minęła druga nad ranem.

– Bardzo proszę, zrób mi przyjemność i opowiedz wszystko jeszcze raz – poprosił Hayes, ściągając Bentza na ziemię. Mknęli autostradą w ciemności. Bentz uchylił okno, do wozu wpadło orzeźwiające nocne powietrze. Dzięki niemu nie zaśnie. – Opowiedz mi wszystko, zacznij od konkretów.

– Najpierw zadzwoniła Lorraine Newell, przyrodnia siostra Jennifer. – Bentzowi rzygać się chciało od powtarzania w kółko tego samego, ale skoro Hayes chce go posłuchać, wytrzyma jeszcze jeden raz. Może tym zapewni sobie jego pomoc.

Wpatrując się w poplamioną owadziemi zwłokami szybę, opowiadał wszystko po kolei, od chwili, gdy odebrał telefon Lorraine, po moment, gdy znalazł jej ciało na podłodze w kuchni.

Dodał nawet, że odkąd wyjechał, Olivię ktoś nęka telefonami.

– Dzwoni kobieta i robi aluzje do mnie – zakończył. – Mówi o mnie RJ, jak Jennifer.

Chce nastraszyć Olivię.

– Udaje się?

– Nie za bardzo, raczej ją irytuje.

– Ta twoja Olivia wydaje się twarda.

– Bo taka jest – przyznał. – Ale martwi mnie to. Zadzwonię do Montoi i poproszę, żeby miał na nią oko, póki nie wrócę.

– Chyba nie będzie zachwycona.

– Nieważne.

To wszystko, co w tej sytuacji może zrobić, choć to chyba za mało. Nie daruję sobie, jeśli Olivia zostanie w to wciągnięta. Nie zaryzykuje życia żony. Szukając zjazdu, zjechał na prawy pas.

– Widziałeś biegacza. – Hayes wpatrywał się w lunę nad Los Angeles; wieżowce dźgały czarne niebo. – Ten sam, który był na moło?

– Raz to był facet, raz kobieta.

– Jesteś pewien? Mówiłeś, że obie osoby były szczupłe i wysportowane. I miały czapki baseballowe, spod których nie widać włosów.

To fakt. I za każdym razem zastanawiał się nad płcią biegacza.

– Może i tak.

– Mam nagrania z kamery na moło w Santa Monica. Bentz zwolnił i spojrzął na Hayesa z ukosa.

– Masz je? Tobie dali, a mnie nie? Przecież to ja o nie prosiłem?

– Firma, która nimi dysponuje, chciała ustalić to z miejscową policją i z Santa Monica zadzwonili do mnie.

Bentz był urażony.

– Widziałeś coś ciekawego?

– Ani śladu kobiety w czerwonej sukience w ciągu dwóch godzin przed i po. Ani śladu kobiety odpowiadającej rysopisowi Jennifer, ale wszyscy inni sana miejscu. Starszy facet z cygarem, całujące się dzieciaki, biegacz; zatrzymał się i wpatrywał się w kraniec moło mniej więcej w tym samym czasie, gdy biegłeś. Co, oczywiście, samo w sobie o niczym nie świadczy. Nie myślałem o tym, póki dzisiaj nie wspomniałeś o kolejnym biegaczu.

– Może to zbieg okoliczności.

– Może, ale i tak coś się dzieje.

– Delikatnie mówiąc.

– Dobra. Dzieje się coś dużego. I nie wierzę w zbieg okoliczności.

– Ja też nie.

– Więc wszystko się sprowadza do twojej pierwszej żony. – Hayes pocierał szczękę i wydymał usta. – Dlaczego akurat teraz? Dlaczego ktoś czekał dwanaście lat, żeby się zemścić?

– Sam nie wiem. – Bentz zwolnił na światłach.

– Muszę mieć wszystko, co masz. Wszystko.

– Nie ma sprawy.

– A ty musisz zwolnić.

– Nie wiem, czy mogę.

– Słuchaj, spójrzmy prawdzie w oczy. Policja nadal będzie cię miała na oku i szczerze mówiąc, wcale się im nie dziwię. Nie możesz przeszkadzać w dochodzeniu, sam wiesz. A policjant nigdy nie prowadzi własnej sprawy. Bledsoe i bez tego jest na ciebie cięty.

– Zawsze był. Dam sobie radę – mruknął Rick filozoficznie, choć w jego głosie pojawiła się nuta gniewu.

– Nieważne. W departamencie mówi się, że twój powrót spowodował te morderstwa.

Musimy się wszystkim zająć.

– Najwyższy czas – stwierdził Bentz.

Nareszcie przy wsparciu wydziału uzyska odpowiedzi. Przy odrobinie szczęścia, zanim zginie następna osoba.

– No dobra, od przyjazdu do Los Angeles rozmawiałeś z Shaną Mdntyre i Lorraine Newell. Z kim jeszcze?

Bentz skinął głową. Już o tym pomyślał.

– Z Tally White, starą przyjaciółką Jennifer. To nauczycielka. Poznały się poprzez dzieci.

Córka Tally, Melody, jest rówieśnicą Kristi. Kontaktowałem się także z Fortuną Esperanzo, starą przyjaciółką Jennifer. Pracowały razem w galerii w Venice Beach. Fortuna nadal tam pracuje.

– To koniec?

– Tak. – Bentz starał się nie ulec złemu przeczuciu. – Wszystko na ich temat mam w motelu. Możemy tam podjechać, to ci dam.

– Dobrze.

Bentz zmienił pas, żeby skręcić na drogę do Culver City. Choć zmęczony, czuł we krwi adrenalinę i wiedział, że nie zaśnie. Będzie dalej prowadził własne śledztwo, dyskretnie, nie wchodząc w drogę LAPD, ale patrząc im na ręce. Czeka go niełatwe zadanie. Dobrze, że ma Montoyę i innych przyjaciół w Nowym Orleanie, którzy zrobią dla niego różne rzeczy, na przykład sprawdzą, co się tu dzieje. Ba,

Montoya żyje takimi sprawami.

Proszę bardzo, mech Hayes mu radzi, żeby się wycofał, ale teraz nic go nie powstrzyma.

Nie teraz, gdy rośnie stawka i giną ludzie, wszystko z jego powodu.

Nie żyją dwie kobiety, jego żonie ktoś nie daje spokoju. Grozi jej. Zacisnął dłonie na kierownicy. Prawda jest taka, że jest śmiertelnie przerażony, a jedyny sposób, jaki zna, by się z tym uporać, to odciąć źródło strachu.

Znaleźć mordercę.

Teraz jednak, przynajmniej pozornie, miał przestrzegać zasad. Skręcił w uliczkę prowadzącą do SoCal Inn. Neon rozjaśniał noc, spowijał blaskiem wozy na parkingu. Bentz spojrzął na nie pobieżnie – te same, co zwykle.

– Wygląda na to, że masz nową sprawę – stwierdził, szukając klucza. – Od czego zaczniesz?

– Od przeprosin. – Hayes łypnął na niego spod oka. – Niechętnie to mówię, ale wygląda na to, że miałeś rację. Pierwsze, co zrobimy, to ekshumacja Jennifer. Przekonajmy się, kto leży w tej trumnie.

Fortuna Esperanzo cierpiała na bezsenność. Zawsze miała trudności z zasypianiem. Nigdy nie potrafiła się wyciszyć, zwolnić. Nawet robiony na zamówienie luksusowy materac, kojący szum wodospadu i grube zasłony, całkowicie blokujące drogę kalifornijskiemu słońcu do jej okien, nie pozwalały jej głęboko zasnąć. Dzisiaj po kilku godzinach walki dała sobie spokój i zażyła tabletki, jakie przepisał jej lekarz. W końcu odpływała, odprężyła się tak bardzo, że nie słyszała nawet własnego chrapania. Natomiast w pewnej chwili poczuła, że poruszyła się koło niej kotka, Księżniczka.

Zaspana, nie zwracała sobie głowy sprawdzaniem godziny, przewróciła się na bok, nie zwracając uwagi na wybryki białej kotki. Księżniczka była płochliwa, odkąd Fortuna znalazła ją na ulicach Venice, brudną i wychudzoną. Od tego czasu minęło już dwadzieścia jeden lat, a kotka nadal była nerwowa i tchórzliwa.

Nagle zasyczała.

Co? Fortuna walczyła ze snem.

Gardłowy pomruk i znowu syk.

– Cicho – mruknęła i z trudem uniosła powiekę. Kotka zeskoczyła z łóżka. Co z nią? –

Teraz nie wyjdiesz na dwór.

Poczuła jakiś słodkawy, duszący zapach i przeszył ją dreszcz.

– Księżniczko? – zapytała drżącym głosem. W jej serce wkraść się strach. Co to za zapach? Co to

jest? Gaz? Boże, czyżby miała nieszczęlną instalację?

Czy w pokoju oprócz niej jest ktoś jeszcze? O Boże, nie! Wyteżwała wzrok, ale zdjęła szkła kontaktowe i otaczała ją nieprzenikniona czerń. Widziała jedynie ciemność.

Coś się poruszyło koło garderoby?

Zjeżyły jej się włosy. Wyciągnęła rękę po komórkę, która zawsze leżała na stoliku przy łóżku.

W tej sekundzie raczej wyczuła, niż zobaczyła nich. Ktoś, kto czaił się w mroku, jednym susem pokonał niewielką odległość od łóżka.

Fortuna chciała krzyknąć. Poruszyła się.

Ale postać w czerni unieruchomiła ją na posłaniu, silną dłonią przyciskała do ust i nosa dziwnie cuchnącą szmatę. Fortuna wciągnęła z oddechem jeszcze więcej oparów w płuca.

Eter!

W panice młóciła rękami i nogami, chciała się uwolnić, zrzucić z siebie ciężar. Serce waliło jej jak oszalałe, tysiąc uderzeń na minutę, strach paraliżował. Musi się uwolnić! Ale dłoń na twarzy nie ustępowała, Fortuna traciła dech, zdradziecki gaz wdzierał się w jej płuca z każdym oddechem. Przerażona do szaleństwa, zaciągnęła się głęboko i... Zakręciło jej się w głowie, członki stały się ciężkie.

Nie może zemdleć! Nie zemdleje!

W panice walczyła dalej, usiłowała uwolnić się z uścisku. Na darmo; napastnik, silny i zwinny, nie ustępował. Zwiększył nacisk.

Opary były koszmarnie, paliły ją w krtani i w płucach.

Chciała krzyczeć; „Dlaczego mi to robisz?” Ale w głębi duszy wiedziała, że napad wiąże się z Rickiem Bentzem i jego pytaniami o Jennifer. Nigdy nic dobrego nie wiązało się z tą kobietą, nawet teraz, gdy od lat nie żyje.

Jakoby.

Fortuna wiedziała, że nie powinna ufać Bentzowi. Niektóre tajemnice powinny pozostać w ukryciu. Idiotka! Poruszała się coraz wolniej. Nogi miała jak z ołowiu, ogarniała ją czerń.

Walcz! Ruszaj się! Nie poddawaj się! Krzyczał mózg, ale mięśnie już nie słuchały, ramiona ledwie drgnęły. To wszystko, na co mogła się zdobyć, mimo koszmaru, który ją ogarniał.

– Dobranoc, suko – szepnął napastnik.

Poczuła ukłucie igły na nagim ramieniu. O Boże, nie, błagam...

Za późno.

Czuła, jak jej ciało zapada się w materac, gdy napastnik westchnął z zadowoleniem.

Wyobraziła sobie, jak się uśmiecha, chociaż niczego nie widziała, powieki tak strasznie jej ciążyły...

W otumanionym umyśle tańczyły strzępy myśli, urywki strachu. Wpatrywała się w mrok, usiłowała dostrzec osobę, która przygważdża ją do posłania.

Ale było za ciemno. Zbyt wiele wysiłku kosztowało zachowanie przytomności. Musi się przespać. Uległa przemożnej pokusie i zamknęła oczy. Napastnik wstał.

Fortuna usiłowała się poruszyć.

Nie mogła.

Nie drgnęła, kiedy ściągał jej przez głowę skąpą koszulkę nocną. O Boże, zgwałci mnie, pomyślała, ale zdała sobie sprawę, że wcale się tym nie przejmuje. Jej serce biło coraz wolniej... Narkotyk krążył we krwi. Powróciły modlitwy dzieciństwa, słowa, których nie wypowiadała od lat.

Ojczenasz, któryś jest w niebie...

Poczuła, że ją ubiera. Jakby Bóg od razu zareagował.

Czerwony ból pod powiekami zdradzał, że napastnik zapalił światło i zakłada jej coś przez głowę, wsuwa dłonie w rękawy.

Poco?

To szaleństwo.

A może to halucynacje? Efekt proszka nasennego?

Poczuła cień nadziei. Może jednak nie umrę, myślała, walcząc z sennością. Może napastnik wcale nie chce jej zabić. Pewnie ten, kto bierze ją na ręce i niesie przez dom, to anioł miłosierdzia.

Tak, to na pewno to.

Przecież nie stroiłby jej tak, gdyby chciał ją zabić. Gdyby pragnął jej śmierci, byłaby już martwa.

Są rzeczy gorsze niż szybka śmierć, ostrzegł umysł, ale była to tylko przelotna myśl.

W ułamku sekundy ogarnął ją kojący mrok.

Rozdział 26

Bentz obudził się z gorzkim posmakiem w ustach i mocnym postanowieniem powrotu do domu. Co on robi w Los Angeles, skoro Olivii grozi niebezpieczeństwo w Nowym Orleanie?

Zdrzemnął się zaledwie kilka godzin, ale w świetle dnia tandetny pokój wyglądał jeszcze gorzej, jeszcze mniej przytulnie niż zwykle. Dlaczego ciągle tu tkwi, czemu ugania się za sobowtórem, skoro żona potrzebuje go w domu? Skoro grozi jej niebezpieczeństwo?

Nie wstając z łóżka, sięgnął po komórkę i zadzwonił do Jonasa Hayesa. Połączył się z pocztą głosową i nagrał wiadomość – zmywa się, wraca do domu. Wstał z przekonaniem, że podjął jedyną właściwą decyzję.

Poszedł pod prysznic, stał w strumieniu ciepłej wody, nie zawracał sobie głowy goleniem.

A potem, pełen życia, owinął biodra ręcznikiem i zaczął się pakować. Zdawał sobie sprawę, że wyjazd z Los Angeles to kiepski pomysł. Fakt, że po tylu zapewnieniach o swojej niewinności czmychnął na Wschód, wyda się co najmniej podejrzany, zwłaszcza że wyjedzie dzień po tym, jak znaleziono zwłoki Lorraine.

Trudno.

Niemal całą noc i pół ranka spędził z Hayesem na posterunku, tłumaczył mu, czego się dowiedział. Teraz LAPD oficjalnie zajęło się sprawą Jennifer. Jonas skserował wszystko, także zdjęcia, listę znajomych Jennifer, numery rejestracyjne, adresy, numery telefonów.

Bentz opowiedział ze szczegółami wszystko, co się wydarzyło, odkąd przed niespełna tygodniem wylądował w Los Angeles.

– Narobiłeś niezłego zamieszania – skomentował Bledsoe z krzywym uśmiechem, gdy zjawił się na posterunku. – Wszystkie, które z tobą rozmawiały, kończą martwe.

– Wiesz, gdzie sobie możesz wsadzić takie uwagi, Bledsoe – warknął zirytowany Bentz. –

Naprawdę myślisz, że jestem na tyle durny, że najpierw zamordowałem Lorraine, a potem sam wezwałem policję?

– Mówię tylko, że przynosisz ludziom pecha, nic więcej – wycofał się Bledsoe.

Dawn Rankin przyszła w tej samej chwili, gdy Bentz zbierał się do wyjścia. Uśmiechnęła się chłodno, lecz jej oczy pozostały bez wyrazu. Tego się spodziewał. Mieli kiedyś romans, a ich zerwanie nie należało do najłatwiejszych.

Bynajmniej.

Ich romans był burzliwy, namiętny i skończył się gwałtownie, bo Bentz poznał Jennifer.

Dawn nigdy mu tego nie wybaczyła i wcale tego nie ukrywała. Fakt, że się w ogóle uśmiechnęła, to już sukces.

Jeszcze na posterunku podał kolegom nazwisko dentysty Jennifer, na wypadek, gdyby Hayes uzyskał

zgodę na ekshumację. Wreszcie jakiś postęp. Wycierając włosy ręcznikiem, zastanawiał się, czy dane uzyskane od stomatologa będą odpowiadały zdjęciom kobiety, która leży w grobie Jennifer. Nieważne, czego się dowiedzą, jedno przynajmniej będzie jasne...

Nad ranem, zanim zasnął, zadzwonił do Montoi i poprosił, żeby ten zaglądał do Olivii do jego powrotu. Następnie skontaktował się z Melindą Jaskiel, szefową, i poprosił o nadzór domu. Choć formalnie mieszkali poza granicami Nowego Orleanu, miał w wydziale tyłu przyjaciół, że na pewno do niej zajrzą.

Olivia oczywiście się wścieknie. Uważała, że sama potrafi o siebie zadbać, ale sytuacja się komplikuje i nie podobało mu się, że jest tam sama. Co z tego, że od serii zabójstw dzieli ją niemal trzy tysiące kilometrów. Zanim zasnął, pomyślał, że to załatwi sprawę i zapewni jej bezpieczeństwo.

Ale po kilku godzinach snu uznał, że musi tam wrócić, upewnić się, że nic jej nie grozi.

To nie tak, że ucieka z Kalifornii, ale musiał mieć pewność, że Olivii nic nie jest. Kto wie, co takiemu psychopacie chodzi po głowie? Przecież do niej wydzwania...

Nie będzie ryzykował.

Poleci do domu, zobaczy się z żoną. Będzie się z nią kochał. Poczuje jej bliskość.

Pomyślał nawet przelotnie o jej marzeniu, o tym, żeby mieli dziecko, i po raz kolejny dokonał szybkich obliczeń. Będzie po sześćdziesiątce, gdy jego dziecko skończy studia.

I co z tego? Za dziesięć, piętnaście lat możesz przejść na emeryturę i rozkoszować się dorastaniem dzieciaka. Czy to takie złe?

Nie. Ale prawda jest taka, że nie dopuszczał nawet myśli o emeryturze. I tak samo nie mieściło mu się w głowie, że zaczyna nowe życie z małym dzieckiem.

Spakował się, schował kaburę i pistolet, wyłączył komputer i wsunął go do torby. Nie powinien zapomnieć o cholernej lasce. Najchętniej cisnąłby ją do śmieci, ale zabrał ją ze sobą. Po raz ostatni rozejrzał się po obskurnym pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Wymeldował się, pojechał na lotnisko LAX, tkwił w korku. Wydawało mu się, że czas się zatrzymał.

Skoro już podjął decyzję o powrocie do domu, niecierpliwił się, chciał tam być jak najszybciej. Zapewne jego niepokój wynikał także z braku snu i z obaw, że dwie kobiety w Los Angeles zginęły przez niego... Ale naprawdę musiał się przekonać, że Olivii nic nie grozi.

Czas płynął powoli, w końcu zobaczył wieże lotniska i restaurację Encounters, charakterystyczny element LAX.

– Najwyższy czas – mruknął pod nosem.

Zwrócił samochód i zataszczył bagaż do terminalu, by kupić bilet. Wszędzie kłębiły się tłumy ludzi, kolejki ciągnęły się aż do drzwi.

Dobrze ci tak, trzeba było kupić bilet w sieci, pomyślał.

Powtarzał sobie, że musi zachować cierpliwość. Wsiądzie w następny samolot, choć jedyny bezpośredni lot już wystartował. Wybrał linię, która go tu przywiozła, sądząc, że staje w stosunkowo krótkiej kolejce. Ale, oczywiście, trafił na korek. Powoli posuwał się do przodu za kobietą w obcisłych dzinsach i krótkiej kurteczce, z komórką przyklejoną do ucha i torbą z logo znanego projektanta u stóp. Co jakiś czas popychała ją czubkiem modnego buta.

Ilekrót to robiła, z torby rozlegał się gniewny pisk.

– Chwileczkę – rzuciła do telefonu. Pochyliła się nad torbą. – Już w porządku, Sherman.

Najwyraźniej Sherman się z nianie zgadzał i zaszczekał głośniejsze. Przez siatkę w górnej części torby Bentz patrzył, jak psiak wierci się niespokojnie, a kobieta podejmuje przerwana rozmowę. Nie zdziwi się, jeśli kobieta i jej pies wybierają się do Nowego Orleanu i dostaną miejsce koło niego. Takie już jego szczęście. Choć to w sumie nieważne, jeśli dotrze do domu.

Kobieta w obcisłych dzinsach doszła do stanowiska obsługi. Wyłączyła telefon.

– Mamy duży problem – zaczęła zaczepnym tonem. – Coś jest nie tak z tym biletem. Jeśli polecę przez Cincinnati, nie zdążę na kolację przedślubną kuzynki w Savannah. Muszę lecieć bezpośrednim lotem.

– Nie wydaje mi się, byśmy mieli bezpośrednie loty do Savannah, ale zaraz to sprawdzę.

– Reprezentantka linii lotniczych już uderzała palcami w klawiaturę.

Bentz, przestępując z nogi na nogę, rozglądał się po zatłoczonym terminalu. Omiała

wzrokiem tłumy ludzi z walizkami, torbami, plecakami. Nastolatek dźwigał futerał z gitarą starsi panowie taszczyli torby golfowe. Przy drzwiach pracownik lotniska pchał wózek inwalidzki, mijał samotnie stojącą kobietę, która z uwagą studiowała tablicę przylotów i odlotów. Piękna, znajoma twarz.

Bentz znieruchomiał.

Jennifer. Jak dwie krople wody.

Nawet o tym nie myśl.

Stała tam, wpatrywała się w monitor przez okulary przeciwsłoneczne.

O nie. Nie teraz.

– Nie, to bez sensu.

Kobieta stojąca przed nim jęczała gdzieś w oddali. Bentz wyęczał wzrok i starał się opanować rozszalały puls.

Tłumaczył sobie, że sobie to wmawia, że widzi ją, bo stąd wyjeżdża. Kiedy jednak patrzył na opaloną kobietę o ciemno-miedzianych włosach zebranych w koński ogon, na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

Miał wrażenie, że w jego wyobraźni zagościł duch.

Kobieta odwróciła się i odeszła energicznym krokiem w przeciwną stronę. Białe szorty, różowa obcisła koszulka bez rękawów, błyszczące klapki. To mógł być każdy. Turystka, która przyjechała do Disneylandu. Kobieta, która wyszła po krewnych. Albo czeka na opóźniony lot.

Albo sobowtór Jennifer. Jego dawno zmarłej byłej żony.

– Cholera – zaklął pod nosem i wyszedł z kolejki.

Ruszył za nią. Nie pozwoli jej się wymknąć, nie teraz, nie tej, która igra z nim od tak dawna. Zwłaszcza że coś ją łączy z zabójstwami Shany McIntyre i Lorraine Newell. A może także ze śmiercią bliźniaczek Springer.

Gdy odwróciła się przez ramię, serce stanęło mu w piersi. Jeśli to nie jego eks, to jej siostra bliźniaczka.

Cisnął laskę w kąt i szedł coraz szybciej, dotrzymywał jej kroku, gdy usiłowała wtopić się w tłum podróżnych. Szybciej, szybciej, ciągnął za sobą torbę na kółkach, na której stała aktówka z laptopem, biegł do drzwi wyjściowych. Najchętniej porzuciłby bagaż, ale nie mógł

tego zrobić – spakował do torby broń i nie mógł jej tak po prostu tutaj zostawić.

Wśliznęła się w grupę Azjatów zmierzających do drugiego terminalu.

– O nie – szepnął.

Nie spuszczał jej z oczu. Adrenalina buzowała mu w żyłach, tętniła we krwi. Wbił się w grupę turystów, odepchnął kilku nastolatków i matronę z torbą w lamparcie cętki.

Co, do cholery, robi tu Jennifer?

Prowokuje cię, idioto. To nie przypadek, że jest akurat na lotnisku, na terminalu. To wszystko zostało zaplanowane.

Ale skąd wiedziała, że się tu zjawi? O co chodzi w tej idiotycznej zabawie w kotka i myszkę? Przynęta. Igra sobie z nim. Nie dopuszcza go za blisko, zawsze czai się tuż poza jego zasięgiem.

Morderstwo, Bentz. Tkwi aż po śliczne uszy w sprawie o morderstwo.

Zmierzała do tylnych drzwi, ale doganiał ją, dysząc ciężko. Niemal biegł, serce waliło mu jak oszalałe, nie odrywał od niej wzroku. Bez słowa minął policjanta. Nie chciał zwracać na siebie uwagi, nie chciał ryzykować, że go zatrzyma dla złożenia wyjaśnień, a Jennifer tymczasem zniknie.

O nie.

Tym razem ją dogoni.

Niech się dzieje, co chce.

Noga pulsowała bólem, ale zacisnął zęby i szedł dalej. Na progu się zatrzymał, minął drzwi i pociągnął torbę po cementowym chodniku.

Gdzie poszła, do cholery? Wpatrywał się w palaczy i znużonych podróżnych na ławkach, na turystów z komórkami przy uchu. Pracownicy lotniska machali rękami na nadjeżdżające samochody, pilnowali ruchu, kierowali nim.

I wtedy ją zobaczył, szła przez parking. Wyszła z cienia, znalazła się w pełnym słońcu.

Bentz biegł za nią. Mało brakowało, a na krawężniku przewróciłaby się jego torba.

– Hej! – zawołał. Ale szła dalej, przemierzała parking w palącym słońcu. Nawet się nie obejrzała. – Ej! Jennifer!

Przyspieszyła kroku, nerwowo szukała czegoś w torebce. Po chwili w jej dłoni błysnęły kluczyki.

Bentz rozejrzał się po parkingu i zobaczył samochód – srebrzysty chevrolet impala z wyblakłą naklejką.

Nie zważając na ból w nodze, biegł, ciągnąc za sobą bagaż.

– Stój!

Nerwowo otwierała drzwi.

Cisnął torbę koło wozu, jednym susem dopadł kobiety i wyrwał jej kluczyki z dłoni.

– Nie ma mowy. – Dysząc ciężko, patrzył na nią, czując, jak pot zalewa mu oczy.

Kim ona jest? To młodsza wersja jego żony. Kobieta z krwi i kości, nie duch.

Chciała go wyminąć, ale zablokował jej wąską przestrzeń między chevroletem a stojącą obok furgonetką.

– Kim jesteś, do cholery? – Powietrze przesyciła woń jej perfum, zapach gardenii mącił

mu w głowie, ale nie pozwolił, by uwiodła go przeszłość. Koniec z tym, liczy się tu i teraz.

Gdy zwróciła ku niemu swą piękną twarz, ugięły się pod nim kolana. Była tak podobna do Jennifer, że mogłaby być jej siostrą. Bliźniaczką. Tyle że młodszą.

– Proszę mi oddać kluczyki – powiedziała stanowczo, bez cienia strachu.

– Jeszcze nie teraz, moja droga. – Złapał ją za ramię i ścisnął, gotów siłą wydobyć z niej prawdę.

– O co panu chodzi? – syknęła.

– O ciebie.

– O mnie? – Zmrużyła oczy i wyrwała się z jego uścisku.

Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie popełnił poważnego błędu, czy to naprawdę ona jest sobowtórem Jennifer? Ale jeździ samochodem, który widział w San Juan Capistrano i na autostradzie. Tak, to ona.

– Proszę mi oddać kluczyki – powtórzyła stanowczo.

Niedaleko nich przechodził mężczyzna z marynarką na ramieniu. Patrzył na nich podejrzliwie.

Świadom, że może sprawiać wrażenie napastnika, Bentz puścił ją, ale nie ustąpił.

– Nigdzie nie jedziesz. – Wsadził kluczyk do tylnej kieszeni.

– Mam wezwać policję? – zapytała. Mężczyzna w pobliżu zwolnił.

– Świetny pomysł. – Bentz wyjął z kieszeni odznakę. – Policja to ja. Mężczyzna chyba się uspokoił, poprawił marynarkę na ramieniu i poszedł dalej.

– Ale ty o tym wiesz, prawda? – naciskał Bentz. Lśniące usta wydeły się zalotnie.

– Jeśli to ci nie wystarczy, pogadam z kimś z policji w Los Angeles. Nie ma sprawy.

Wszyscy cię szukamy.

– Wiedzą, kim jestem? – zapytała. Jedna brew uniosła się nad oprawki okularów.

– Wiem, że sobie ze mną igrasz.

– Czyżby?

– Prześladujesz mnie, usiłujesz mi wmówić, że jesteś moją nieżyjącą byłą żoną.

– Opowiada pan bzdury. Poproszę kluczyki.

– Nie ma mowy.

Zdjął jej okulary przeciwsłoneczne i napotkał spojrzenie zielonych oczu, równie pełne życia i namiętności, jak u Jennifer. A jednak było coś, co się nie zgadzało.

Czuł w głowie pulsowanie, miliony pytań przebiegały mu przez głowę. Kim ona jest?

Dlaczego to robi? Skąd się wzięła?

– Przez ciebie zginęły dwie kobiety. Coś błysnęło w jej oczach. Cofnęła się.

– Co? Zginęły? Nie.

– Shana McIntyre zamordowana we własnym basenie. Słyszałaś o tym, prawda?

Wydawała się naprawdę wstrząśnięta.

– Myśli pan, że ja... ? Boże, nie. Nie miałam z tym nic wspólnego.

– ALorraine Newell? Pamiętasz ją?

Patrzyła na niego pustym wzrokiem, jakby nigdy o niej nie słyszała.

– Ona także nie żyje. Oberwała wczoraj kulkę w głowę. Zaraz po tym, jak do mnie zadzwoniła. Widziała cię wczoraj, pewnie na krótko przed tym, jak ją zastrzeliłaś.

Traciła pewność siebie.

– Nic o tym nie wiem.

Jej dolna warga drżała bardzo przekonująco, ale wiedział już, że dobra z niej aktorka.

– Pojedziemy teraz do miasta.

– Co?

– Sporo osób chce z tobą pogadać. Policjanci. Na chwilę zamknęła oczy.

– Posłuchaj, RJ, ja...

– Dlaczego tak mnie nazywasz?

Uśmiech zniknął i na chwilę znowu stała się Jennifer.

– Bo zawsze cię tak nazywałam, nie pamiętasz?

Prawie się nabrał na ten numer. Prawie. Ale nie tym razem.

– Naprawdę nadal chcesz mi wmówić, że jesteś nią? – zapytał z niedowierzaniem, że nadal usiłowała mydlić mu oczy. – Dlaczego to robisz? Dlaczego mnie nękaś? Czego chcesz? Dlaczego byłaś u mnie w domu? – Zazwyczaj milczący, pozwala! podejrzanym gadać bez ładu i składu, ale teraz nie mógł powstrzymać pytań cisnących się na usta. W końcu dręczyły go od dawna.

– U ciebie w domu?

– Nie pamiętasz? Domek pod Nowym Orleanem?

– Co?

– I szpital.. Stałaś tam, w progu. Kiedy się ocknałem ze śpiączki. I na molo w Santa Monica. I jeszcze w starym zajezdzie w San Juan Capistrano.

Milczała. Stado gołębi usiadło na chodniku za jej samochodem. Bentz patrzył, jak zbierają okruchy i wzbijają się w powietrze, gdy nadjechał kolejny samochód.

Nie odpowiadała. Zacisnął pięści.

– Dzwoniłaś do mnie, do mojej żony, i jesteś wplątana w dwa morderstwa. Dość tego.

Jedziemy na posterunek. – Sięgnął do kieszeni po kluczyki do jej wozu. – Wsiadaj. Ja prowadzę.

– Chwileczkę.

– Coś ci się nie podoba, Jennifer?

– Ja... – Odwróciła wzrok, wpatrywała się w dal, w przednie szyby samochodów lśniące w ostrym słońcu.

Czy może jej zaufać? Nigdy! Ale ma tyle pytań...

– Dobrze. Musimy porozmawiać.

– Coś takiego. – Podniósł dłoń z kluczykami. Serce waliło mu jak młot, w głowie kłębiły się setki myśli, nerwy dygotały. Jezus, ależ podobna do Jennifer. Nawet pachnie jak ona, chodzi jak ona, kpi sobie z niego, jak ona. – Więc gadaj.

Nad ich głowami zahuczał samolot, hałas silnika przecinał błękit nieba.

– Nie tutaj.

– Mnie tam tutaj odpowiada. A jeszcze lepiej będzie na posterunku.

– Myślałam o czymś bardziej... intymnym.

– Chyba żartujesz.

– Może Point Fermin? – zaproponowała i uśmiechnęła się lekko. Poczul ukłucie w sercu.

Jak zawsze.

– Dlaczego akurat tam? – zapytał, choć znał odpowiedź.

Jeździli tam z Jennifer, aż za starą latarnię morską. Wiele godzin spędzili, spacerując po zacienionych trawnikach. Wyszukiwali ustronne zakątki w barwnych ogrodach.

– Bo to dla nas wyjątkowe miejsce, prawda, RJ? – zapytała z coraz szerszym uśmiechem.

– Chyba nie zapomniałeś, jak tam jeździliśmy i szliśmy w stronę morza. Pikniki. Słońce.

Seks.

To wszystko prawda... Ale skąd wie? Skąd zna najintymniejsze szczegóły jego życia?

Zaciskał dłonie tak mocno, że kluczyki wbijały się w skórę. Stał z nią twarzą w twarz, ale zamiast odpowiedzi, miał coraz więcej pytań.

Lecz to się zmieni. I to zaraz.

– Więc Bentz bierze nogi za pas – zagadnął Bledsoe. Dogonił Hayesa na klatce schodowej. – Nie podoba mi się to... ani trochę.

– Nie podobało ci się też, kiedy był w mieście. Spójrzmy prawdzie w oczy, Bledsoe, w związku z nim nic ci się nie podoba.

– To kawał drania i w ogóle niepotrzebnie tu przyjeżdżał. Ale to było, zanim wydarzyły się te wszystkie morderstwa. Teraz uważam, że powinien zostać.

Byli już na parterze. Hayes pchnął drzwi. Popołudniowe ciepło stanowiło miłą odmianę po klimatyzowanym wnętrzu Parker Center. Na dworze Bledsoe poprawił pasek w spodniach, wyjął paczkę papierosów i poczęstował Hayesa. Ten podziękował.

– Rzuciłem, zapomniałeś? Po ślubie z Delilah.

– Ale Delilah to już przeszłość. A Corrine nie będzie się złościć.

Puścił to mimo uszu. Z niepojętych przyczyn Bledsoe wydawał się zazdrosny o jego związek z Corrine. Hayes nie miał pojęcia dlaczego, ale uznał, że lepiej nie analizować motywów Bledsoe.

Bledsoe zapalił, gdy zbliżali się do parkingu.

– Nie pojmuję Bentza. Wpada tu, opowiada bzdury o duchach, maści, miesza i zaraz trup ścieli się gęsto. A on, choć był na miejscu zbrodni, zmyka do domu. Twoim zdaniem to się trzyma kupy? – Zaciągnął się mocno dymem. – Czy może jednak jest to odrobinę podejrzanę?

– Przecież nie wyjeżdża z kraju.

– No, nie. Tylko z Los Angeles. I nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Bo nie wiem, co odpowiedzieć.

Hayes spojrział na Bledsoe, który stał przy swoim kabriolecie. Starszy model bmw. Rano opuścił dach i czarne skórzane siedzenia smażyły się słońcu.

– Przejrzałeś jego notatki?

– Owszem. – Bledsoe niechętnie skinął głową. – Wszystko, co miał o McIntyre i Newell.

Wygląda na to, że obie były o nim złego zdania. Nasz przyjaciel nie może narzekać, że ma za dużo wielbicieli, ale chyba brakuje mu piątej klepki, chyba wiesz, co mam na myśli.

– Coś jeszcze?

– To, co sam mówił. Zdjęcia, sfałszowany akt zgonu, zapiski o srebrnym chevroletcie z przeterminowaną przepustką ze szpitala świętego Augustyna i pytania o Ramonę Salazar, kolejną nieboszczkę. – Zaciągnął się, wypuścił ustami kłęb dymu. – Czyli nic, jeśli mnie pytasz. Niestety nic, co wskazywałoby na związek między jego przyjazdem a zabójstwem sióstr Springer. W każdym razie niczego takiego nie znalazłem. – Bledsoe zdusił obcasem niedopałek marlboro, wyjął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne, włożył je. – Pytanie tylko, skoro to nie Bentz morduje, to kto? Ta kobieta, która go prześladowuje?

– Może.

– Jedyne wymierny efekt poszukiwań Bentza to te numery rejestracyjne i chevrolet zarejestrowany na Ramonę Salazar.

– Chciałbym odnaleźć ten wóz – mruknął Hayes.

– A ja wolałbym kierowcę – poprawił Bledsoe. – Bo właścicielka nie żyje. Ciekawe, kim się okaże tajemnicza fanka Bentza. Mówił, że Lorraine Newell wczoraj do niego dzwoniła, twierdziła, że widziała sobowtóra Jennifer. Sprawdzamy połączenia, ale jest za sprytny, żeby kłamać w takiej sprawie. Więc w jaki sposób morderca to zorganizował?

– Może już tam był. Może to pułapka, żeby zwabić Bentza.

– Kazać Newell zadzwonić, a potem ją sprzątnąć?

– Twierdzi, że ktoś sobie z nim pogrywa.

– Pogrywa? Delikatnie powiedziane. Ktoś sobie z niego robi niezłe jaja. Hayes nie mógł się nie zgodzić. Rozluźnił krawat i spojrział na sznur samochodów.

– Wiesz, że go śledzimy.

– Akurat coś nam z tego przyjdzie. Pojechał na lotnisko, i co z tego? Oddał samochód. –

Bledsoe pokręcił głową. – Marnotrawstwo funduszy. Odwołaj ludzi. – Wsiadł do samochodu.

– Wiesz, Hayes, ta sprawa śmierdzi. Nic się nie trzyma kupy. Rozmawiałem z Alanem Grayem, kolejnym z listy Bentza. Jest teraz w Vegas i z trudem sobie przypomniał Jennifer Nichols Bentz. – Spojrzał na Hayesa. – Ale taki facet jak on, co ma forsy jak lodu, ma też pewnie mnóstwo kobiet.

– Może.

– Nie można oczekiwać, że spamięta wszystkie.

– No nie wiem. Bledsoe odpalił silnik bmw.

– Chciałbym być na jego miejscu.

– Czasami dużo kobiet oznacza dużo kłopotów.

Ale Bledsoe już nie słyszał tej filozoficznej uwagi. Znikał za rogiem.

Hayes w zadumie otworzył drzwiczki i wsiadł do samochodu. Złożył ochronę przeciwsłoneczną, cisnął ją na tylne siedzenie, włączył silnik, ustawił klimatyzację i wyjechał

z parkingu. Dzwonił już do Fortuny Esperanzo – nie odebrała. Starał się. Potem skontaktował

się z Tally White. Umówili się na dzisiaj.

Potem, jeśli wszystko pójdzie dobrze, pojedzie na cmentarz do Culver City.

Złatwił całą papierkową robotę, uporał się z biurokracją. Dawny dentysta Jennifer Bentz przesłał jej akta. Wygląda na to, że życzenie Bentza się spełni i nastąpi ekshumacja jego byłej żony. Bóg jeden wie, co zstaną w jej grobie.

Rozdział 27

Olivia obserwowała przez okno, jak wóz patrolowy mija powoli jej dom i znika za zakrętem.

Wóz patrolowy. Tutaj. Na końcu świata. Droga wiła się z dala od domu, była niemal niewidoczna wśród drzew, ale poznała oznakowanie. Wóz należał do policji nowoorleańskiej.

Świetnie. Bentz nasyła na nią kolegów, a sam szuka byłej żony w cholernej Kalifornii.

A przecież mu powiedziała, że sobie poradzi. Złapała za telefon, zadzwoniła, ale nie odbierał. Tak jak się spodziewała. Oczywiście. Ilekroć pracował nad nową sprawą, był

nieuchwytny. Rozumiała to, nie pojmowała tylko jego fascynacji sobowtórem Jennifer.

A jednak poprosił kolegów z wydziału o pomoc – stąd wóz patrolowy w okolicy domu.

Jeśli chodzi o bezpieczeństwo, nie zna umiaru. Choć to zrozumiałe w jego branży. Widział

najgorsze cechy ludzkiej natury, na co dzień stykał się z okrucieństwem. Że już nie wspomni o tych okazjach, gdy zagrożenie zakradało się w pobliże jego świata, gdy ona i Kristi wpadły w ręce psychopatów.

Westchnęła i odrobinę jej ulżyło.

Może częstsze patrole to nie taki zły pomysł.

Ostatecznie nęcano ją telefonicznie.

Nalała sobie herbaty, przeszła do saloniku, włączyła komputer, zalogowała się do Internetu. Sprawdziła już najtańsze połączenia z Zachodnim Wybrzeżem, znalazła odpowiedni lot. Startuje dzisiaj po południu, około dziewiętnastej będzie w Los Angeles.

Idealny moment, by zabrać gdzieś Bentza na kolację i poinformować go, że zostanie ojcem.

Znalazła swoją rezerwację. Jeszcze kilka kliknięć i stała się posiadaczką biletu, który po chwili wydrukowała. Ma cztery godziny, żeby się spakować i dotrzeć na lotnisko. A potem –

witaj, Los Angeles.

Prosiła Tawildę, która wiedziała, gdzie trzyma zapasowy klucz, żeby zamieszkała tu na kilka dni i zaopiekowała się zwierzakami. Pozostało jej tylko jedno – zawiadomić męża, że przyjeżdża, co okazało się trudniejsze, niż myślała. Próbowwała od rana, na darmo. Nie odbierał komórki, a gdy zadzwoniła do motelu, zdenerwowała się, słysząc informację, że się wymeldował.

Dlaczego?

Zmienił motel?

Czy wraca do domu?

A może poniosło go gdzie indziej?

Nie uśmiechała jej się podróż do Los Angeles tylko po to, by się dowiedzieć, że poniosło go do Seattle, Bostonu czy Timbaktu. Niepokoiło ją, że wymeldował się z motelu.

Zadzwoniła ponownie na komórkę. Trafiła na pocztę głosową. Czas pogadać. Zanim wpakuje się w większe tarapaty.

– Och, Rick. – Westchnęła i wyszła ze stygnącą herbatą na werandę. Pies nie odstępował

jej ani na krok, zapach rozlewiska snuł się między gałęziami cyprysów. Gdzieś w oddali krzyczał drozd, lekki wietrzyk muskał jej włosy.

Kochała to miejsce. On też, do cholery.

Więc najwyższy czas, by przestał uganiać się za duchami przeszłości i wrócił tu, gdzie jego miejsce.

Zanim zginie kolejna Bogu ducha winna kobieta.

Montoya nie wierzył własnym oczom. Wpatrywał się w ekran komputera i wyszeptał cicho:

– Mamy cię.

– Kogo? – zainteresował się Brinkman.

Szedł do kuchni z pustym kubkiem po kawie. Zaintrygowany zatrzymał się przy biurku Montoi.

– Nikogo. – Montoya nie piśnie ani słowa jednemu policjantowi, którego nie znosił. Nie Brinkmanowi w grubych okularach, z podkową włosów dokoła piegowatej twarzy. Był

dobrym gliniarzem, ale strasznie się wymądrzał. Tacy faceci zawsze mają odpowiedź na wszystko. Montoya go nie znosił.

– To sprawa osobista.

– Jasne. I na pewno nie ma nic wspólnego z kłopotami, w które Bentz wpakował się w Los Angeles.

– Brwi Brinkmana uniosły się ponad oprawki okularów. – Co, myślałeś, że o niczym nie wiem? Wydział aż huczy od plotek.

– Zachnął się, jak to on, z denerwującą wyższością, i poszedł do kuchni.

Nie ma wątpliwości, najbardziej upierdliwy człowiek na ziemi.

Montoya odprowadził go wzrokiem, ochłonął i wrócił do monitora. Oto, proszę państwa, rozwiązanie zagadki, a przynajmniej jego fragment. Oby się okazało, że jeśli umiejętnie pociągnie za tę nitkę, spruje cały misterny plan mordercy.

Po wielu dniach bezowocnych poszukiwań, sprawdzaniu danych od Bentza i szukaniu tropu, wreszcie na coś trafił. Z danych sądowych wynikało, że najbliższym krewnym Ramony Salazar był jej brat, Carlos.

Carlos Salazar... teraz trzeba go jeszcze odnaleźć. Szukał w bazie danych, a gdy to nie przyniosło rezultatu, w bazach adresowych i telefonicznych. Najpierw miał pięć pomysłów. A potem trafił w dziesiątkę.

– Tu Carlos – odezwał się męski głos z silnym hiszpańskim akcentem.

– Czy zna pan Ramonę Marię Salazar?

– Tak, to moja siostra, Panie, świeć nad jej duszą – odparł bez wahania.

– A o co chodzi?

Montoya niemal poderwał się na równe nogi. Przedstawił się, rzucił kilka zdań po hiszpańsku, zapewnił, że pracuje dla policji w Nowym Orleanie. Wyjaśnił, że współpracuje z policją w Los Angeles w sprawie, w której kluczową rolę odgrywa chowolet impala, rocznik 1999, srebrny. Trochę mijał się z prawdą, ale facet to łyknął, zwłaszcza gdy Montoya podał

numer rejestracyjny pojazdu.

– Interesuje mnie, czy to pan odziedziczył samochód po siostrze?

– Tak, ja.

– I korzysta pan z niego?

– O, nie, sprzedałem go synowi kuzynki, Sebastianowi. Dla żony – dodał starszy pan.

– Nadal go ma?

– Chyba tak. – Ale nie był pewny, jakby powątpiewał w intencje rozmówcy i nie chciał zdradzać tylu informacji przez telefon.

– Samochód jest nadal zarejestrowany na pańską siostrę?

– Ja... nie chciało mi się zawracać sobie głowy papierkami, myślałem, że zrobi to Sebastian, ale on jest bardzo zajęty... – Carlos urwał, wydawał się poważnie zaniepokojony, jakby zdał sobie sprawę, że popełnia błąd, i postanowił nie odpowiadać na dalsze pytania.

– Nie ma sprawy, interesuje mnie tylko samochód. Naszym zdaniem posłużono się nim podczas popełniania zbrodni.

– Boże. – Carlos odwrócił głowę od słuchawki i powiedział coś szybko po hiszpańsku.

Montoya wychwycił tylko kilka słów – staruszek się martwił. Odpowiedziała mu kobieta, ale nie rozumiał, co mówiła.

Po szybkiej wymianie zdań Carlos podniósł słuchawkę do ucha.

– Chyba nadal ma go Yolanda.

– Tak się nazywa? Yolanda? – Montoya szybko notował.

– Tak. Żona Sebastiana.

– Mieszkają gdzieś w pobliżu?

– Nie, mają dom w Encino. Proszę posłuchać, jeśli coś się stało, musi pan porozmawiać z nimi. Mam dowód sprzedaży. Nie zrobiłem nic złego.

– Nie ma sprawy – uspokoił go Montoya. – Proszę mi podać ich adres i telefon.

Carlos znowu się stawiał.

– Chyba w ogóle nie powinienem z panem rozmawiać.

– A co, syn kuzynki ma kłopoty z policją?

– Nie. To porządni ludzie. Dajcie im spokój. Umowa była legalna. Dopilnuję zmiany rejestracji.

Rozłączył się, zanim Montoya wyciągnął z niego coś więcej.

Ale i tak już coś miał. Usiłował zadzwonić do Bentza i podzielić się z nim informacjami, ale partner znowu był nieuchwytny. Montoya zostawił mu wiadomość na poczcie głosowej i obiecał, że będzie szukał dalej. Czuł przyływ adrenaliny, jak zawsze, gdy sprawa ruszała z miejsca. Gotów się założyć, że złapał właściwy trop.

Teraz odnajdzie Yolandę Salazar.

Czyżby to ona nękała Bentza, udając Jennifer?

Jeśli tak, sprawa zaraz wyjdzie na jaw.

Dzwoń, powtarzał sobie Bentz, patrząc na sobowtóra byłej żony. Powinien był wezwać policję już dziesięć minut temu, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Niech ją zamkną i wszystko się skończy.

Ale nie chciał stracić jej z oczu, póki nie zyska tego, po co tu przyjechał...

Odpowiedzi.

Odpowiedzi, które mu obiecała, jeśli zgodzi się na krótką przejażdżkę.

– Chcesz poznać prawdę? Opowiem ci w drodze do Point Fermin. – Skrzyżowała ramiona. – A potem, po rozmowie w cztery oczy, pojedę z tobą na policję. Ale jeśli teraz zawieszysz mnie na posterunek, zasłonię się prawnikiem i niczego się nie dowiesz.

Nie podobało mu się to, nie ufał jej.

– O nie. – Wyjął komórkę z kieszeni. – Dzwonię na policję. Mój kumpel z wydziału zabójstw bardzo chce z tobą pogadać.

– Niech gada, ile chce, i tak nic mu nie powiem. Nie dzwoń, RJ, bo nigdy się nie dowiesz.

– Uśmiechnęła się jak Jennifer i spojrzała na komórkę. – Nigdy nie poznasz prawdy. I to cię zabije.

Boże drogi, wiedziała, jak nim manipulować.

Jak zawsze.

Zgodził się niechętnie; jakkolwiek by było, ma broń. Nie ucieknie mu. Co jednak nie znaczy, że się nie denerwował, że nie słyszał ponagląjącego wewnętrznego głosu, który wyzywał mu od idiotów.

– Ja prowadzę – zdecydował, otwierając samochód. – Ty obok. – Wyjął z torby kaburę z bronią, założył, cisnął bagaż na tylne siedzenie. Siadając za kierownicą jej wozu, starał się nie myśleć o wszystkim, co może pójść nie tak. Nie tak wozi się podejrzanych, ale też nie jest teraz policjantem na służbie, tylko facetem przeżywającym koszmar na jawie.

Zerknęła na pistolet i wyduła pełne wargi.

– Ładny. – Jej głos ociekał ironią, ale nie wydawała się przejęta. Ba, siedziała koło niego z miną kobiety, która dostaje to, czego chce.

Tym bardziej miał się na bacności. Czyżby prowadziła go w pułapkę?

Musi być czujny. Gotowy.

Dziwne to było. Miała profil Jennifer – prosty nos, głęboko osadzone oczy, wysokie kości policzkowe, ostry podbródek. Była też odpowiedniej budowy, ale wyglądała raczej na trzydzieści pięć lat niż na czterdzieści pięć i nie sądził, by zawdzięczała to skalpelowi chirurga.

Po raz tysięczny zastanawiał się, czy to wszystko ukartowano, by zwabić go do Point Fermin. Nie bał się. Owszem, był zaintrygowany. Zaniepokojony, tak. Ale nie bał się o życie, co mogło świadczyć o jego głupocie.

Znał drogę na pamięć, wielokrotnie jeździli tam z Jennifer. Nie zawracał sobie głowy autostradą jechał na południe, na półwysep Palos Verdes, wyrastający z morza.

Jego pasażerka uchyliła okno i rozpuściła włosy, które zaraz rozwiały wiatr.

– Pamiętasz latarnię morską? – zapytała i posłała mu znaczące spojrzenie. Zaszło mu w gardle, gdy sobie przypomniał, jak Jennifer zdjęła białą bluzeczkę niedaleko wiktoriańskiej charakterystycznej budowli o czerwonym dachu. Zapadał zimowy zmierzch, w parku prawie nikogo nie było. Śmiała się z jego reakcji, a potem odwróciła się i bosko pobiegła pomiędzy drzewa. Dogonił ją, zdyszany, zmęczony, podniecony. A potem kochali się w cieniu rozłożystego drzewa, gdy słońce zachodziło nad Pacyfikiem.

– Tak, wiedziałam, że to pamiętasz. – Uśmiechnęła się znacząco.

Skąd wiedziała takie rzeczy? Jechał stromą drogą wzdłuż klifów nad oceanem. Na zachód rozciągał się ogrom Pacyfiku. Na wschodzie wrok wabiły wille z basenami.

Nie zamykała okna. Ciepła bryza od oceanu wypełniała samochód, bawiła się jej włosami.

Ocean rozciągał się błękitnym bezkresem. Słońce odbijało się od powierzchni, daleko pod nimi fale rozбивały się o brzeg. Na horyzoncie widział kilka statków.

Powtarzał sobie, że musi oprzytomnieć, nie będzie grał według jej zasad. Interesują go odpowiedzi.

– Kim naprawdę jesteś? – zagaił. Dociskał łokieć do zebra, odruchowo sprawdzał, czy czuje ciężar broni.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Nie jesteś Jennifer.

Uniosła ciemną brew w niemym proteście.

– Tak uważasz?

– Ona nie żyje. Niedługo ją ekshumują. Wzruszyła ramionami.

– Wtedy się przekonasz – powiedziała gardłowo, jak jego była żona.

Że co? Że jesteś oszustką? Te słowa cisnęły mu się na usta, ale zapach oceanu i jej perfum sprawiły, że milczał, pogrążony we wspomnieniach, których chciał się pozbyć.

– Mów. – Usiłował skupić się na tym, co go czeka. – Kto zabił Shane McIntyre i Lorraine Newell?

– Nie wiem.

– Jasne.

– Naprawdę.

– Twierdzisz, że ich śmierć nie ma nic wspólnego z twoim... powrotem?

– Nie wiem.

– A co wiesz?

– Że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż myślałam. Bardziej niebezpieczna.

– Myślisz, że tego nie wiem?

Patrzył, jak głośno przełknęła ślinę i zacisnęła dłonie na pasie bezpieczeństwa. Denerwuje się. W końcu. Dobrze. Bentz nie odrywał dłoni do kierownicy. Wreszcie ją dorwie.

Rozdział 28

Chwileczkę! – Hayes przyciskał telefon do ucha. Jechał akurat na spotkanie z Tally White. – Na Point Fermin? Na półwyspie? – Ale Bentz już się rozłączył. Hayes oddzwaniał, ale sukinsyn nie odbierał. – Drań! – Czasami się zastanawiał, dlaczego jeszcze w ogóle trzyma z Bentzem. Bledsoe miał rację – ten facet to chodząca bomba zegarowa.

Hayes szybko zawrócił. Kobieta w złotym mercedesie zatrąbiła gniewnie, dzieciak w wiekowym pikapie pokazał mu środkowy palec.

Przedzierał się przez gęsty ruch uliczny na stodziesiątkę, jechał na południowy skraj miasta, w okolice Point Fermin, niedaleko San Pedro.

Co ten Bentz znowu wymyślił? Dlaczego udziela mu tylko strzępów informacji? Uważa, że jest z Jennifer? To idiotyzm.

Czego dowiodą najbliższe godziny, gdy w końcu dojdzie do ekshumacji?

A może Bentz nie mógł powiedzieć tego, co chciał, dumał Hayes za kierownicą szukając zjazdu z autostrady. Wezwał posiłki, choć nie bardzo wiedział, czy będą potrzebne.

Zgłosiła się Martinez.

– Słuchaj, być może będę potrzebował wsparcia, jeszcze nie wiem. – Streścił jej sytuację.

Gwizdnęła cicho.

– Jezu Chryste, zaczynam przyznawać rację Bledsoe. Bentz oszalał.

– Pomyślałem sobie to samo. Przygotuj się na kolejną pogoń za duchami.

– Nie znam lepszej rozrywki.

Olivia znalazła swoje miejsce w samolocie – siedziała między grubasem, który zajmował

pół jej fotela, a matką z niespokojnym dzieckiem na ręku. Dziewczynka, urocze stworzonko o wielkich oczach i ciemnych włoskach, ciekawie przyglądała się Olivii, gdy jej mama szukała czegoś w torbie podręcznej pod fotelem. Grubas gapił się w okno.

Olivia po raz ostatni usiłowała dodzwonić się do Bentza, zostawiła mu wiadomość, że jest w drodze do Los Angeles, i wyłączyła telefon. Nie odbiera? Co z tego? Nie będzie się teraz o to martwić.

Zostawiła dla niego wiadomości – w motelu i u Jonasa Hayesa, jego przyjaciela z LAPD.

Ba, skontaktowała się nawet z Montoyą i powiedziała, co planuje, na wszelki wypadek, gdyby Bentz odezwał się do niego, zanim ona wyląduje na Zachodnim Wybrzeżu.

Kilka minut później samolot ruszył. Mała dziewczynka się rozplakała. Grubas sięgnął po iPoda, ledwie usłyszał, że może to zrobić.

Olivia zamknęła oczy. Czuła, jak mała wierci się koło niej. Uśmiechnęła się na myśl, że za niecałe dwa lata to ona będzie zabieganą matką ona będzie szukała smoczków i pieluch, będzie usiłowała zabawić aktywne dziecko.

Dziewczynkę?

Chłopczyka?

@(nie wiem na 100% czy tekst nie jest pomieszany stronami??-przy czytaniu się wyjaśni)

– Skąd znasz Ramonę Salazar? – zapytał.

– Kogo?

– Ostatnia prawną właścicielką tego samochodu. Skąd ją znasz? Skąd masz ten wóz?

– Dostałam.

– Od kogo?

– Od przyjaciela. Oprzytomniał.

– Nie rób tego. Koniec gier. Zgodziłem się tu przyjechać, pod warunkiem że mi wszystko opowiesz, wyjaśnisz, co się dzieje, a ty odpowiadasz półsłówkami i niedopowiedzeniami. Dość tego. – Wyjął komórkę i zadzwonił do Hayesa.

– Nie! – krzyknęła.

– Za późno. Skrzywiła się.

– Do kogo dzwonisz?

– A jak myślisz?

– Na policję.

– Bingo.

– Nie rób tego.

– Akurat. – Podniósł telefon do ucha i czekał. Hayes odebrał po trzecim dzwonku.

– Tak.

– Tu Bentz. Mam ją.

– Co? Kogo?

– Jennifer. Jedziemy nad morze. Point Fermin.

– Dlaczego, do cholery?

– Dołącz do nas.

– Chwileczkę, o co tu chodzi? Cholera!

Bentz się rozłączył i posłał kobiecie chłodny uśmiech.

– Mów, Jennifer. Masz mi sporo do powiedzenia.

Nieważne.

Za kilka godzin zobaczy się z Bentzem i przekaże mu tę nowinę.

Uśmiechnęła się. Już nie mogła się doczekać.

Owszem, na początku będzie zaskoczony, zaszokowany, ale przywyknie do tej myśli.

Koniec końców będzie zachwycony. A ona... W pierwszej chwili, słuchając jego opowieści o minionym tygodniu, zapewne poczuje ukłucie zazdrości na myśl, że cofnął się do przeszłości i ponownie przeżywa swój związek z Jennifer, którą bardzo kochał, ale poradzi sobie z tym.

I w końcu znowu będą razem.

Samolot się zatrzymał.

Grubas pocił się, dziewczynka marudziła, a kapitan oznajmił, że na razie nie wystartują.

Problemy techniczne. Usuwanie awarii potrwa koło dwudziestu minut, może pół godziny.

Olivia wyjęła książkę z torby. Denerwowała się, chciała być na miejscu. Skoro już podjęła decyzję, czekanie było dla niej torturą.

Nie ma sprawy, tłumaczyła sobie. To nie żaden omen czy coś takiego. Uspokój się. Kilka minut to żadna różnica. Już wkrótce będziesz z Bentzem.

I choćby z tego powodu warto wytrzymać kilka godzin w samolocie.

– Jak się miewa Kristi? – zapytała kobieta podobna do Jennifer. Zostaw moją córkę w spokoju. Bentz z trudem się opanował, by tego nie wykrzyczeć. Zacisnął dłonie na kierownicy. Chewolet zawył, wspinając się po stromej szosie na oceanem.

– Wolałbym, żebyś nie wymawiała jej imienia.

– Bardzo za nią...

– Bzdura! – ryknął, niskim, groźnym głosem. Ostrzegawczo. – Nawet nie próbuj, rozumiemy się? Nawet nie próbuj. Nie zachowuj się, jakbyś była jej matką. – Niesmak wręcz bił z jego słów. – Nie wciągaj w to mojej córki, kimkolwiek jesteś. A teraz wyjaśnij mi, dlaczego mnie nękaś? Po co? Kim jesteś i czego chcesz?

Wcale się nie przejęła, nie spociła, nie zaciskała kurczowo dłoni. Kącik jej ust uniósł się leciutko, tak bardzo w stylu Jennifer. Szepnęła:

– Uspokój się, RJ.

Był wściekły, na granicy wybuchu. Obiecała mu odpowiedzi, a znowu się wymyka.

– Dosyć tego – powiedział tak stanowczo, że chyba zrozumiała. – Słyszysz? Dosyć tego. I to już.

– No dobrze, dobrze... rozumiem. Żądasz odpowiedzi. Ale najpierw... zatrzymaj się, o tutaj. Tędy schodziliśmy na plażę, przy Devil's Caldron, pamiętasz?

Jeżu, skąd ona to wie? Przypomniał sobie. Byli wtedy w drodze do Point Fermin. Jennifer drażniła się z nim, pieściła w samochodzie. Rozpalony, spocony, zatrzymał się.

A teraz ta kobieta spogląda na niego znacząco, jakby wiedziała, o czym myśli. Dobry Boże, jest tak bardzo podobna do Jennifer, że robiło mu się zimno na samą myśl.

– O, proszę... – Wskazała drogowskaz blisko urwiska.

Z mocno bijącym sercem podjechał we wskazane miejsce.

Na parkingu na punkcie widokowym był jeszcze tylko jeden wóz, biały datsun z deską surfingową na dachu. Zatrzymał chevroleta, zgasił silnik.

Dokoła wirował kurz. Bentz w jednej chwili sięgnął na tylne siedzenie, porwał torebkę.

– Hej! – zawołała.

– Chciałem tylko zobaczyć twoje prawo jazdy, Jennifer. – Przeglądał zawartość jej torebki. Zacisnął dłoń na cienkim portfelu. Otworzył go chciwie – i nic. Żadnego dowodu tożsamości, nie miała nawet karty kredytowej. – Co jest?

Roześmiała się. Uniosła jedną brew.

– Proszę cię, RJ. Akurat ty powinieneś wiedzieć, że trupy nie mają dowodów tożsamości.

– Cholera – zaklął, oddał jej torebkę.

Zacisnął zęby. Otworzył schowek koło kierownicy. Gdzieś musi być dowód rejestracyjny

samochodu. Może wraz z nim będzie jej prawo jazdy. Ale oświetlony malutką żaróweczką schowek był pusty.

– Daruj sobie – poradziła. – I tak nie znajdziesz tego, czego szukasz.

– Roześmiała się, gardłowo, zmysłowo, zalotnie. – Nie znajdziesz, bo uciekasz przed prawdą. Nie chcesz uwierzyć, że jestem Jennifer.

– Nie wierzę w duchy. – Zamknął schowek. – Nie, nie daję się nabrać oszustkom.

– Dwanaście lat temu dałeś.

W oddali szumiał ocean, potęgował jego niepokój.

– Zaaranżowałam własną śmierć, RJ. Zostawiłam liścik, wszystko zorganizowałam. Moje życie się waliło, chciałam... Chciałam uciec.

Bentz nie uwierzył, nie mógł.

– Więc kto siedział za kierownicą? – zapytał. – Co za kobieta miała na palcach twoją biżuterię? Kogo znajdę w twojej trumnie? Co? Znalazłaś sobowtóra, kazałaś jej jechać twoim samochodem i spowodowałaś wypadek?

– Pokręcił głową. – Kiepska historyjka. – Nie wierzył w ani jedno słowo z tej bajeczki.

– Ale Jennifer to ja – powiedziała głosem tak bardzo podobnym do głosu jego byłej żony.

– I mogę to udowodnić.

– No to czekam. – Bentz pokręcił głową. – Niby jak?

– Po raz pierwszy kochaliśmy się na plaży w Santa Monica. Nie poruszył się, chłonał jej słowa.

– Dlatego tam skoczyłam z moło... myślałam, że zrozumiesz. Pewnie myślałeś, że chodziło o Jamesa... a mnie chodziło o nas.

Wydawało się, że temperatura w samochodzie wzrosła o dobre dziesięć stopni. Nikt nie wiedział o ich pierwszym razie, na długo przed ślubem.

– RJ, spójrz prawdzie w oczy – szepnęła. – Wróciłam.

– Co?

Usłyszał kliknięcie – odpięła pas bezpieczeństwa, pochyliła się nad nim i po ledwie wyczuwalnym wahaniu pocałowała go z pasją i pożądaniem młodości.

Przed oczami stanęły mu obrazy z przeszłości, dzikie, zmysłowe. Przypomniawszy sobie jej uśmiech, jej

delikatną skórę, zarys jej karku. Ze wspomnieniami powrócił ból, to, jak go zraniła, jak go poniżała, jak brała kochanków...

Boże, jak on ją kochał.

I nienawidził.

Ale to nie jest Jennifer.

Wraz z tym stwierdzeniem ostygły zmysłowe wizje.

Co on sobie myślał? Kto to jest?

Pomyślał o Olivii, kobiecie, która wznieca ogień w jego żyłach i przenika do jego snów.

To jej twarz widział oczami wyobraźni; jasne włosy, różowe usta, oczy koloru whisky, które zagładają w głąb jego duszy. Wystarczyło, by musnęła mu kark palcem, a był gotów.

Z niesmakiem odepchnął nieznajomą.

– Coś nie tak? – spytała.

– Wszystko. Uśmiechnęła się.

– Masz rację.

Jednym ruchem otworzyła drzwiczki po swojej stronie i znalazła się na zewnątrz.

– Cholera. – Bentz rozpiął pas, szarpnął za klamkę, wysiadł.

– Poczekaj! – zawołał za nią.

Ona jednak biegła w stronę krzaków, do ścieżki.

– Cholera!

Ruszył za nią. Noga nie dawała o sobie zapomnieć, gdy biegł po piaszczystym podłożu.

Niech to szlag! Zniknęła za zakrętem, w obłoku kurzu.

– Cholera! – Był tuż za nią, ale poślizgnął się na zakręcie, nowe buty nie trzymały się zwirowej ścieżki.

Utrzymał równowagę, ale usłyszał trzask w chorym kolanie i jego nogę przeszył

straszliwy ból.

Świetnie.

Biegł nadal, zaciskając zęby.

Gonił ją, skrzywiony z bólu, kulał przy każdym kroku, ale pokonywał kolejne zakręty ścieżki.

Cały czas miał przed oczyma jej głowę, ciemno-rude włosy lśniły w słońcu.

– Stój! – zawołał przez wiatr.

Ale nie zwracała na niego uwagi, zbiegała ze wzgórza niebezpieczną ścieżką.

Przeklinając własną głupotę, szedł za nią. Wiedział, że ona się oddala, ale na plaży to nadrobi. Pas piasku u stóp klifu był wąski, z jednej strony kipiały morskie fale, z drugiej wznosiła się skalna ściana. Dotrzeć na plażę można było jedynie wąską ścieżką.

Tam, na dole, już mu nie ucieknie. Nie będzie miała wyjścia. Aresztuje ją i zaciągnie na policję.

Nie zwracając uwagi na ból w nodze, schodził coraz niżej. Niemal stracił ją z oczu.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał na głos. Zacisnął usta.

Zobaczył, jak schodzi ze szlaku. Kierowała się w stronę barierki – urwisko było tu tak strome, że zabezpieczono je barierką. Turyści podziwiali stąd morską kipiela, znaną jako DeviPs Caldron, Diabelski Kocioł.

Doganiał ją.

Doszła do platformy widokowej.

Dysząc ciężko, zmusił się do jeszcze większego wysiłku.

Zawahała się, stanęła przy platformie. Przez moment myślał, że czeka na niego. A potem zobaczył z przerażeniem, jak przekłada nogi przez barierkę.

Boże, co ona wyprawia?

Wiedział. Boże drogi, wiedział, co robi.

Nie!

Z sercem na ramieniu patrzył, jak stanęła na skraju urwiska, wysoko nad kipiela.

Boże, nie, błagam. Zatrzymał się, patrzył przerażony.

– Nierób tego!

Odwróciła się przez ramię i posłała mu całusa. A potem spojrzała na ocean, uniosła ręce nad głowę, wyprostowana jak baletnica. Po chwili skoczyła, drobna postać mknąca w dół.

Bentz patrzył, jak znika we wzburzonym morzu.

Rozdział 29

Miał wrażenie, że znowu przeżywa śmierć Jennifer. Patrzył w morską kipieli. Zrobiło mu się niedobrze. Zacisnął dłonie na poręczy. Serce waliło mu jak oszalałe, w umyśle wirowały myśli. Dlaczego skoczyła? Dlaczego?

Przeczesywał wzorkiem powierzchnię wody, szukał jej, wypatrywał skrawka bieli albo rózu na gniewnym morzu.

Nie. Na miłość boską...

– Hej! – Usłyszał z daleka, jakby z długiego tunelu. – Hej! Zamrugał szybko i zobaczył, że ktoś biegnie w jego stronę. Dwie osoby.

Dwudziestolatek z długimi włosami i szczupła dziewczyna.

– Widziałem, jak skoczyła. Skoczyła! – mówił chłopak, opalony na czerwono, ze strachem w oczach. – Nic jej nie jest?

– Niemożliwe – wtrąciła się jego towarzysza. – Przecież to jakieś dwadzieścia metrów.

– Więcej, ze trzydzieści. – Dzieciak dramatyzował, podbiegł do poręczy, wyjrzał. Nie umiał oceniać wysokości. Dopiero wtedy zobaczył broń w ręku Bentza. – O! – Zatrzymał się w pół kroku, uniósł ręce. – Spokojnie, człowieku.

– Jestem z policji. – Bentz wyjął odznakę, pokazał. Robił to już setki, może tysiące razy, ale dzisiaj ten gest wydawał się sztuczny, niezdarny. – Rick Bentz z policji w Nowym Orleanie. – Mówił nieswoim głosem. Co chwila zerkał w odmęty. Na pewno wypłynie. Musi.

Ale widział jedynie fale i skrawek plaży.

Inic więcej.

– Ach, więc... więc pan ją gonił. – Chłopak myślał na głos. – Popelniła przestępstwo? –

Najwyraźniej nie bardzo to wierzył.

– Z Nowego Orleanu? – Dziewczyna wyjrzała ciekawie zza jego pleców.

Żebyś wiedziała, pomyślał Bentz i znużonym gestem sięgnął po komórkę, ciągle wpatrzony w wodę. Gdzie jesteś? Pokaż się, zaklinał w myślach kobietę, którą już raz pochował.

– Tu nie ma zasięgu – poinformował chłopak. – Trzeba wejść wyżej. Bentz skinął głową, ale nie mógł oderwać oczu od morza, od spienionych fal i groźnych skał. Boże drogi. Nikogo nie widać. Jennifer znowu zniknęła, jak wtedy w Santa Monica.

– Niech to szlag – wycedził przez zęby i spojrzął na parę dzieciaków. Usiłował się skupić.

– Jak ci na imię? – zapytał.

– Travis.

– Dobra. Travis, weź telefon, wejdź na górę i wezwij policję. – Podał mu aparat. –

Powiedz, co się stało, że kobieta skoczyła do Devil's Caldron. Jeśli każą ci zostać na linii, zostań. Jeśli nie, wybierz dziewiątkę z menu szybkiego wybierania. Połączysz się z detektywem Jonasem Hayesem z LAPD. Powiedz mu, co tu się stało, i że nie dojadę do Point Fermin. I że potrzebna nam tu ekipa ratunkowa. Jasne?

Travis skinął głową, zadowolony, że ma coś do roboty, cokolwiek, byle się przydać.

– A pan dokąd? – zapytała Bentza dziewczyna.

Wskazał głową spienione morze. Zdawał sobie sprawę, że to bez sensu, ale musiał spróbować ją odnaleźć. Nie mogła tak po prostu zniknąć. O nie!

Pracowitość Montoi wreszcie przynosiła rezultaty.

Tak długo siedział wpatrzony w monitor z danymi z Kalifornii, że rozboleły go plecy, ale było warto.

Zerknął w okno – zapadł zmrok, większość kolegów z dziennej zmiany poszła już do domu.

Ale się opłaciło ślęczeć godzinami, rozważał, masując obolały kark.

Udało mu się znaleźć Yolandę Salazar. I to niejedną.

Odrzucał je po kolei, aż skupił się na tej właściwej. Zgodnie z tym, co mówił Carlos, była żoną syna jego kuzynki, Sebastiana. Sprawdził ją wszędzie, gdzie tylko mógł – była czysta, studiowała zaocznie i pracowała jako fryzjerka.

Ale uwagę Montoi przykuło coś innego. Jej nazwisko panińskie. Przed ślubem nazywała się Yolanda Filipa Valdez.

Valdez? Gdy skojarzył, serce stanęło mu w piersi, oparł się wygodnie w krzesło i pstrykał długopisem, patrząc, jak na ekranie pojawia się skan jej prawa jazdy.

Ładniutka. Trzydzieści dwa lata, jeśli wierzyć dokumentom. Wzorowa obywatelka.

Żadnych powodów do podejrzeń.

Nie licząc tego, że nie zarejestrowała samochodu, chociaż to drobiazg. Ale w tej sytuacji to kolejny intrygujący fragment układanki.

Jak się okazało, Yolanda była starszą siostrą Maria Valdeza, chłopca, który zginął od strzału Bentza, gdy ten jeszcze pracował w policji Los Angeles.

Montoya pstryknął długopisem, kolejny raz zadzwonił do Bentza i Hayesa, jedyne policjanta z Los Angeles, który, zdaniem Bentza, chciał mu pomóc.

Montoya rozważał, czy samemu tam nie polecieć z pomocą, ale odrzucił ten pomysł.

Bentz jest dorosły, umie o siebie zadbać, nawet jeśli ludzie wokół niego padają jak muchy.

Poradzi sobie.

Gdyby potrzebował pomocy, dałby znać, prawda?

Wpatrywał się w zdjęcie Yolandy Valdez Salazar.

– O co ci chodzi? – zapytał ją.

Czy jest na tyle podobna do pierwszej żony Bentza, że mogłaby ją udawać? Czy ma coś wspólnego ze śmiercią Shany McIntyre? I Lorraine Newell? Pstrykał długopisem, nie odrywając wzroku od ekranu. A zamordowane bliźniaczki? Czy to ona kryje się za zabójstwem, które na pierwszy rzut oka jest identyczne ze zbrodnią sprzed dwunastu lat?

Kiedy zginął Mario, miała mniej więcej dwadzieścia lat. Była młodsza od ofiar, pierwszej pary bliźniaczek.

– Nie – powiedział na głos i rozparł się na krześle. – To się kupy nie trzyma.

Kobieta na monitorze patrzyła na niego tępym wzorkiem. Morderczyni? Autorka planu nękania Bentza?

Skoro tak, musiała kilka razy wybrać się do Nowego Orleanu. Postanowił, że pomoże kolegom z Kalifornii i sam sprawdzi wyciągi z jej kart kredytowych, sprawdzi, czy w ciągu ostatniego roku wybierała się do Nowego Orleanu. A potem wszystko, co znajdzie, przekaże Jonasowi Hayesowi z LAPD.

Uśmiechał się na myśl, że psuje jej szyki, skomplikuje rozgrywkę.

– Już po wszystkim – powiedział do fotografii. – Zadarłaś z niewłaściwym facetem.

– Co tu się wydarzyło, do cholery? – Hayes starał się przekrzyczeć szum morza i rytmiczny stukot, z jakim śmigło helikoptera Straży Przybrzeżnej cięło powietrze.

– Sam nie wiem. – Bentz był odrętwiały.

Stali na plaży, w ciepłym popołudniowym słońcu. Ratownicy przeczesywali wody Devil's Caldron.

– Twierdzisz, że skoczyła stamtąd? – Hayes wskazał platformę jakieś piętnaście metrów nad nimi.

– Tak. – Bentz patrzył na nią z dołu, widział belki i wsporniki utrzymujące ją na miejscu.

– To samobójstwo.

Bentz zacisnął szczęki. Chciał zaprotestować, powiedzieć, że kobieta żyje, że skok w morską kipieli niekoniecznie musiał zakończyć się śmiercią.

Opowiedział już rozmowę z nią, ale oczywiście czeka go jeszcze oficjalne zeznanie.

Hayes wypytywał, czym się kierował, jadąc do Point Fermin.

Nie pojmował, jak Bentz mógł być na tyle głupi, by wsiąść z nią do samochodu.

Dobre pytanie.

Bentz analizował wszystkie wydarzenia ostatnich godzin, rozkładał je na czynniki pierwsze. Nie pojmował, dlaczego w końcu pozwoliła mu się do siebie zbliżyć tylko po to, aby tu mu uciec. Od dwóch godzin przeczesywał wzrokiem skały i morze, licząc wbrew rozsądkowi, że jednak przeżyła upadek. Od tego momentu nikt jej nie widział.

– Więc gdzie jest ciało? – Hayes patrzył w morze. – Trzeba będzie ściągnąć nurków, jeśli Straż Przybrzeżna niczego nie znajdzie. O ile dadzą radę zejść pod wodę. Cholera.

Bentz nabrał garść pasku. Niemożliwe, żeby zniknęła bez śladu, nie zostawiając po sobie nawet skrawka ubrania, nawet kosmyka włosów. Jak może zaprzeczać wszelkim prawom fizyki i kryminologii?

– Nic tu po nas. – Hayes pokręcił głową. – Spadamy.

Wracali na górę. Hayes nie mógł się powstrzymać, by nie palnąć Bentzowi wykładu:

– Wsiadłeś z nią do samochodu. Wybieraliście się na przejażdżkę? Do cholery, Bentz.

Szczyście, że nie pociągnęła cię za sobą. Nie pojmuję tego. Śledzi cię i znika. I dlaczego tak bardzo lubi skakać do wody?

– Nie wiem – mruknął Bentz. Utykał, idąc stromą ścieżką prowadzącą na parking, kolano ostro dawało mu się we znaki. Na pewno odnowiły się stare obrażenia.

– Na górze musisz mi oddać broń – ciągnął Hayes. – Musimy sprawdzić, czy nie strzelałeś.

– Nie strzelałem.

– Itak...

– Wiem, wiem.

Powrót na parking zajął im prawie piętnaście minut. Bentz był mokry od potu i obolały.

Spojrzał na srebrny samochód, którym jeździła Jennifer. Prezent, jak powiedziała. Ani razu nie powiedziała prawdy, jej słowa to lustra i zasłony dymne, nic nie było takie, jak się wydawało. Policjanci już odgradzili wóz, czekali na holownik, który zabierze chevroleta na policyjny parking, gdzie zajmą się nim technicy.

Spojrzał na komórkę – miał mnóstwo wiadomości. Głównie od Olivii. W ostatniej powiedziała, że siedzi w samolocie do Los Angeles.

– Cholera.

– Złe wieści?

– Olivia leci do Kalifornii. Wylądjuje za kilka godzin. Muszę ją odebrać z lotniska.

– Nie zdążymy za kilka godzin – mruknął Hayes. – Mamy mnóstwo roboty. Zresztą wiem, że leci. Do mnie też dzwoniła, kiedy ty nie odbierałeś. Wyślemy po nią policjanta.

Spotkacie się na posterunku. A później zabiorę cię do wypożyczalni samochodów.

– Albo niech ona to załatwi.

Hayes zbył ten pomysł machnięciem ręki.

– Nie, już kogoś po nią wysłałem. I zawiadomiłem ją. Jak chcesz, zadzwoń i wytłumacz.

Bentz już miał to zrobić, gdy jego uwagę przykuły krzyki dobiegające z plaży. Odwrócił

się i zobaczył, że helikopter wisi nisko nad wodą, nad nurkiem. Żołądek podszedł mu do gardła.

Hayes wpatrywał się w kosz, który powoli spuszczano do wody. Zaciśnął usta i powiedział rzecz oczywistą:

– Wygląda na to, że w końcu znaleźli Jennifer.

Sherry Petrocelli odebrała telefon i potwierdziła: tak, odbierze żonę Ricka Bentza z lotniska. Skończyła już służbę, ale wisiąca Jonasowi Hayesowi przysługę. Co prawda Rick Bentz nic jej nie obchodził. Nie знаła go osobiście, ale dotarły do niej plotki, a teraz wrócił do Los Angeles i w mieście rozpętało się piekło.

Tak naprawdę bardzo chciała się dostać do wydziału zabójstw, a Jonas był jej wtyczką.

Przyjaciółka i koleżanka po fachu, Paula Sweet, zapewniała, że Jonas to klucz do rajy; jest w wydziale powszechnie szanowany i lubiany, toteż jeśli się za nią wstawi, jej szanse wzrosną.

Znała też jego dziewczynę, Corrine O'Donnell, która także twierdziła, że Jonas może pomóc.

Tak więc, jeśli niańczenie żony Bentza pomoże jej się dostać do wydziału zabójstw, proszę bardzo.

Najpierw jednak zje kolację. Samolot Olivii Bentz miał opóźnienie, więc uznała, że spokojnie może się spotkać z przyjaciółką U Brunona, włoskiej knajpce w Marina del Rey, niedaleko lotniska.

Zjadły smażone kalmary na przystawkę, potem Sherry zamówiła spaghetti z krabami. Co jakiś czas wstawiała od stołu, żeby zadzwonić do opiekunki, która została z jej synkiem, i na lotnisko w sprawie lotu Olivii Bentz. Nie piła nawet wina, tylko wodę. Nie chciała tego zepsuć. Skoro to jej szansa na awans, nie zaryzykuje.

Więc naprawdę się wściekła, kiedy zaczęły się mdłości.

Chyba nie od kalmarów czy krabów? W życiu nie miała alergii na owoce morza.

Ale jej żołądek się buntował. I miała zawroty głowy.

– O Jezu – szepnęła. – Fatalnie się czuję. – Wypiła spory łyk wody. Może pomoże.

– Wyjdźmy stąd – zaproponowała przyjaciółka i dopiła martini do dna. – No, chodźmy.

Ja stawiam. – Rzuciła banknoty na stół i błysnęła zębami w uśmiechu. – Następnym razem twoja kolej.

– Dobra. – Ledwie wstała, Sherry poczuła, że nogi się pod nią uginają i kręci jej się w głowie, jakby była pijana. A to niemożliwe. Do tego ból żołądka. Wyszła z restauracji o własnych siłach, ale gdy dotarła do samochodu, wiedziała, że nie będzie w stanie usiąść za kierownicą.

– Nie mogę – powiedziała, wściekła na cały świat.

– Zawiozę cię do domu.

– Za niecałą godzinę mam być na lotnisku.

– Mam to za ciebie załatwić?

– Boże, nie. – Stały na dworze, ale nawet ożywczy wiatr znad oceanu nie pomagał. Słony, rybny zapach... Było jej coraz bardziej niedobrze.

– A może cię zawiozę? – zaproponowała przyjaciółka. W pierwszej chwili Sherry wydało się to dziwne.

– Zrobiłabyś to?

– Czemu nie?

– Nie wiem nawet, czy będę w stanie po nią pójść.

– Nie martw się, załatwię to.

Sherry, zlana potem, nie dyskutowała, osunęła się na fotel pasażera. Jezu, ale jej słabo.

– Może po prostu odwieź mnie do domu. – Przez chwilę pomyślała nawet o szpitalu, lecz to wydało się jej lekką przesadą.

– Dobrze, ale najpierw odbierzemy żonę Bentza.

Po raz pierwszy Sherry usłyszała niesmak w głosie przyjaciółki. Wyjeżdżały właśnie z parkingu. Nagle pojawiły się wątpliwości co do motywacji przyjaciółki.

Nie jechały na lotnisko, tylko na północ, coraz dalej od miasta.

– Co robisz? – zapytała i poczuła na sobie lodowate spojrzenie. O Boże, to pułapka.

Sherry szukała komórki w torebce – za późno. Nie była w stanie reagować wystarczająco szybko, miała spowolnione reakcje.

– Ty... – wyszeptała z trudem. – Wrzuciłaś mi środek nasenny... – O cholera.

Samochód zawirował.

– I to niejeden, Sherry. – Przyjaciółka uśmiechała się błogo. Zaciskała dłonie na kierownicy tak mocno, aż pobieleły jej kłykcie.

Samochód mknął przez ciemną noc.

W tej chwili Sherry Petrocelli poczuła w duszy lodowaty powiew Arktyki. Jej broń spoczywała w sejfie w domu, ale nawet gdyby miała ją przy sobie, nie dałaby rady wystrzelić, narkotyk za bardzo spowolnił jej reakcje.

Gdyby był jakiś sposób, by to powstrzymać, zrobiłaby to. Ale już za późno.

Przerażona myślała o siedmioletnim synku, Hanku, i Jerry, którego kochała od piętnastu lat. Jeny i Sherry; bawiły ich rymowane imiona, śmieszyła ta kiczowatość. Kto się nimi opiekuje, gdy jej już nie będzie? Kto wychowa jej synka? Pokocha Jerry'ego?

– Proszę – szepnęła z rozpaczą, ale było już za późno. Traciła kontakt z rzeczywistością.

– O co? – zapytała przyjaciółka i roześmiała jej się w twarz. – Dobranoc, Sherry – dodała z zadowoleniem.

Sherry poczuła, jak łza spływa jej po policzku. Och, Jeny, tak mi przykro.

W następnej chwili jej serce przestało bić.

Rozdział 30

Samolot w końcu wylądował na lotnisku LAX i Olivia nie mogła się doczekać, kiedy zejdzie z pokładu. Mieli dwugodzinne opóźnienie, wszyscy się denerwowali, czekając, aż obsługa naziemna naprawi uszkodzoną część. Wystartowali w końcu – lot był niespokojny i pełen turbulencji. Czas uciekał, a Oliwię ogarniały coraz gorsze przeczucia.

A jeśli Bentz już wyjechał z Los Angeles?

A jeśli coś go łączy z sobowtórem Jennifer?

A jeśli zginęła kolejna przyjaciółka jego eks?

Ściągnęła torbę podręczną ze schowka nad głową i powoli szła do wyjścia za kobietą z małym dzieckiem. Wszyscy poruszali się ospale, ale kiedy w końcu znalazła się w terminalu, wyjęła komórkę, włączyła ją i odsłuchiwała wiadomości. W tym także od Bentza. Dzwonił jako ostatni, by przekazać propozycję Hayesa, że ktoś zabierze ją na posterunek. Miała się rozglądać za policjantem z tabliczką z jej nazwiskiem przy odbiorze bagażu.

Dziwne, pomyślała, starając się opanować narastającą panikę. Nikt jej nie wyjaśnił, dlaczego właściwie odbierze ją policjant. Równie dobrze mogłaby wynająć samochód i pojechać sama. Albo mógł wyjść po nią Bentz. Wiedział przecież, kiedy przylatuje. Dlaczego mają się spotkać na posterunku?

Bo sytuacja jest zła. I to bardzo zła.

Zadzwoiła na komórkę Bentza – nie odbierał. Miała ochotę wrzeszczeć z wściekłości.

Spróbowała do Hayesa – to samo – od razu przekierowano ją na pocztę głosową.

Tyle, jeśli chodzi o wygodę i przydatność telefonów komórkowych, o to, że zawsze można się skontaktować. Gniewnie cisnęła aparat do torebki i ruszyła się w stronę odbioru bagażu. Coś jej się w tym wszystkim nie podobało. I gdyby nie to, że słyszała prośbę męża na własne uszy, wynająłaby samochód.

I pojechała... Dokąd? Bentz wymeldował się z SoCal Inn. Pewnie i tak pojechałabyś na posterunek. Ciesz się, że jeszcze jest w Los Angeles. Wkrótce go zobaczysz. Pewnie za niecałą godzinę.

I dobrze!

Rozdzwoniła się jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz – Bentz.

– Dzięki Bogu!

– Cześć.

– Boże, jak się cieszę, że cię słyszę! Martwiłem się już. Coś ścisnęło ją za serce.

– Wiem. – Miała łzy pod powiekami, dławilo ją wzruszenie. – Lot był opóźniony, musieli coś naprawiać, ale w końcu tu dotarłam.

– Dobrze.

Prawie go nie słyszała, hałas lotniska zagłuszał rozmowę: komunikaty, zgrzyt wózków bagażowych, szmer podekscytowanych głosów, gdy tłumy ludzi przelewały się przez terminal.

– Dlaczego spotkamy się na posterunku? Myślałam, że będziesz na lotnisku.

– Też tak myślałem, ale musiałem złożyć zeznania. Dokończyć niedokończone sprawy.

– O Boże, znowu ktoś zginął – jęknęła. Wiedziała, że to prawda. Zatrzymała się w pół kroku. Mało brakowało, a kobieta z wózkiem wpadłaby na nią.

– Przepraszam – mruknęła, odsunęła się, zniknęła za rogiem, za sklepem z koszulkami. –

Mam rację? – Olivia czuła każde uderzenie serca. – Zginął ktoś jeszcze?

– Tak mi się wydaje. Kobieta, która podszywała się pod Jennifer. – Wydawał się zmęczony i podłamany. – To długa historia, w każdym razie widziałem, jak skoczyła z punktu obserwacyjnego do oceanu, dobre piętnaście-dwadzieścia metrów.

– Skoczyła?

– Uciekała przede mną.

– O Boże – szepnęła. Nagle kakofonia lotniska stała się szumem morza, ludzie zniknęli, gdy oczyma wyobraźni widziała, jak nieznajoma wybiera śmierć w morskich odmętach.

– Kilka godzin później Straż Przybrzeżna wyłowiła zwłoki. Olivia oparła się o ścianę i na moment zamknęła oczy.

– Więc ona nie żyje? Ta, która cię prowokowała? – Nie wierzyła własnym uszom.

– Tak mi się wydaje. Mam zidentyfikować zwłoki w kostnicy. Zakrawa to na żart.

Przecież rozmawiałem z nią tylko raz. Nie wiem nawet, jak naprawdę się nazywa.

– Rozmawiałeś z nią? Poważnie?

– Tak.

– Twarzą w twarz? A nie w środku nocy, gdy dzwoniła z głupim żartem?

– Dzisiaj – przyznał. – Dogoniłem ją, miała mi wszystko powiedzieć, tak przynajmniej mówiła, ale... O cholera... Słuchaj, muszę kończyć.

– Chwileczkę! Spotkałeś się z tą Jennifer?

– Tak. Posłuchaj, Liwie, wkrótce wszystko ci opowiem. Kiedy zidentyfikuję zwłoki, będę pewnie musiał jeszcze odpowiedzieć na kilka pytań, ale to już będzie na posterunku, w Parker Center, więc tam się spotkamy. To niedaleko od kostnicy. Będę najszybciej, jak się da.

Ktoś do niej dzwonił, nie znała tego numeru. Nie zwracając uwagi na to połączenie, odprowadziła wzrokiem rodzinę – rodzice pilnowali, by walizki i dzieci ustrojone w uszy Myszki Miki trafiły do właściwej bramki.

– Odbierze cię policjantka, Sherry Petrocelli – ciągnął Bentz. – Znajoma Hayes.

Zabierze cię do Parker Center, tam mieści się wydział zabójstw.

– Wiem.

– Świetnie. I tam się spotkamy. Hayes dał Petrocelli twój telefon. Zadzwoń.

– Chyba właśnie teraz odparła.

– Dobrze. Do zobaczenia. Wkrótce.

– Już nie mogę się doczekać. Kocham cię.

– A ja to co?

I znowu przekłete łzy pod powiekami. Zduszone emocjami gardło utrudniało mówienie:

– Może wreszcie to się skończy. Chwila ciszy w słuchawce.

– Nie wiem, czy to się kiedykolwiek skończy. – Rozłączył się.

– Rick... – Za późno. Stała pośrodku lotniska z komórką w garści i czuła się jak idiotka. I znowu chciało jej się płakać.

Tak nie może być, niech szlag trafi emocje i hormony. W takim stanie nie może normalnie funkcjonować. Jest dorosłą kobietą, wkrótce zostanie matką. Zaciśnęła usta i ruszyła dalej.

Po raz pierwszy, odkąd stanęła w Kalifornii, poczuła przypływ determinacji – przetrwa to. Powtarzała sobie, że zmierzy się z każdym wyzwaniem, nieważne, co to będzie.

– Proszę bardzo – szepnęła. Schowała telefon do kieszeni, włożyła okulary przeciwsłoneczne. – Jestem gotowa.

No dalej, dalej, odbierz ten cholerny telefon.

Obserwuję pasażerów, jak wlewają się do terminalu, tłoczą, przepychają w poszukiwaniu bagaży. Hałaśliwi, nieświadomi mojej obecności, zaganiają dzieci i pilnują laptopów i jednocześnie nie spuszczają z oczu taśm, na których kręcą się torby.

Gdzie ona jest?

Na chwilę ogarnia mnie panika. Może nie zdążyła na samolot. Może coś mi się pomyliło.

Albo, co gorsza, podejrzewają mnie i to jest zasadzka. Bo Sherry Petrocelli nie zadzwoniła do biura. Robi mi się słabo na myśl, że mnie złapią, zanim dokończę, zanim ostatecznie i całkowicie zniszczę Ricka Bentza.

Ale wystarczy się dyskretnie rozejrzeć, by wiedzieć, że nigdzie nie czai się policjant, ani na ławce w poczekalni, ani tutaj, przy odbiorze bagażu. Biznesmeni i rodziny z dziećmi to nie policjanci.

Nie, okolica jest czysta.

Oddycham głęboko. Muszę się uspokoić. Wyglądać uczciwie. Ona musi uwierzyć, że Petrocelli lo ja. Z tą myślą przywołuję na twarz plastikowy, sztuczny uśmiech. Musi się udać.

Olivia Bentz musi mi zaufać, uwierzyć, że mam ją zawieźć do ukochanego mężulka.

Boże, na samą myśl robi mi się niedobrze.

Wpatruję się w drzwi wejściowe do tej części lotniska, przeczesuję wzrokiem twarze podróżnych, szukam tej, którą na zawsze będę mieć pod powiekami.

Gdzie ona jest, na miłość boską? Przechadzam się nerwowo i zaraz staję. Nie chcę zwracać na siebie uwagi; do tej pory udało mi się unikać kamer, zawsze staję do nich tyłem.

Peruka i wielkie okulary także pomagają, ale ostrożności nigdy nie za wiele.

Pocą mi się dłonie.

Gdzie ona jest, do cholery?

Nie może w końcu przyjść?

Dzwoniłam do niej, nagrałam się jej z telefonu Petrocelli...

Dzwoni komórka.

Nareszcie!

Odbieram szybko i zmuszam się, by to powiedzieć:

– Petrocelli.

– Cześć, tu Olivia Bentz. Chyba do mnie dzwoniłaś? Mąż mówił, że odbierzesz mnie z lotniska? Gdzieś z hali bagażowej? – Wydaje się zmęczona i spięta.

Idealnie.

Odprężam się odrobinę.

– Tak – odpowiadam.

– Jestem koło karuzeli linii United. – I wtedy ją widzę, podchodzi do taśmy. Ma na nosie okulary przeciwsłoneczne, włosy odgarnięte do tyłu, niesie torebkę, ciągnie za sobą małą walizeczkę na kółkach.

Lekki bagaż.

Mądra dziewczynka.

Obie się uśmiechamy i kończymy rozmowę.

– Olivia Bentz? – wołam i zatrzymuje ją. – Jak lot? Wzrusza ramionami.

– Opóźniony.

– Jestem Sherry, koleżanka Jonasa Hayesa. Prosił, żebym cię odebrała.

– Słyszałam już.

Mierzy wzrokiem mój mundur.

– Wiesz, że pracuję w policji, prawda?

Uprzejmie kiwa głową. Pokazuję jej odznakę Petrocelli. W peruce i okularach jestem do niej na tyle podobna, że jest usatysfakcjonowana.

– Dziękuję za pomoc – mówi. Taka uprzejma i dobrze wychowana.

– Mów mi Sherry. Samochód jest na zewnątrz – odpowiadam i razem idziemy na parking, gdzie już czeka wóz patrolowy. Otwieram tylne drzwiczki.

– Daj bagaż – proponuję. Robi to posłusznie, oddaje nawet torebkę, w której, jak się domyślam, jest jej komórka. Idzie do przodu, a ja widzę komórkę w kieszeni torebki.

Zdejmuję czapkę, odkładam ją na tylne siedzenie, a przy okazji wyłączam jej telefon i ponownie wsuwam go do torebki. Olivia tymczasem już wsiadła do samochodu.

– Doskonale.

Nie boi się, nie ma w niej wahania, a mnie ogarnia błogość. Tak długo czekałam na tę chwilę... Ale nie czas na dumę. Jeszcze nie. Mam niewiele czasu, więc szybkim krokiem idę do drzwiczek od strony kierowcy. Im szybciej oddalę się z lotniska, na którym aż się roi od kamer przemysłowych i niedoszłych policjantów, tym lepiej. Nie mogę teraz tego zepsuć, nie teraz, kiedy jestem już blisko, tak cholernie blisko.

– Daleko do Parker Center? – pyta, zapinając pas bezpieczeństwa. Siadam za kierownicą.

– Nie. – Uśmiecham się ciepło. – Godzina szczytu już za nami, więc nie powinno być problemów. Najwyżej pół godziny.

– Fajnie.

– Byłaś już kiedyś w Los Angeles? – pytam.

– Kiedyś, dawno temu, jako dwudziestolatka. Przez pewien czas mieszkałam w Arizonie, w Tucson. Stamtąd pojechałam kilka razy do San Diego i raz do Los Angeles. Jak wspomniałam, było to dawno temu.

Idealnie. Więc nie orientuje się w mieście. Bo wcale nie jedzie do Parker Center.

Tylko jeszcze o tym nie wie.

Ile czasu spędzili w sterylnie czystym pokoju przesłuchań? Bentz wiercił się na drewnianym krześle, myśląc, że od ostatniej rozmowy z Olivią minęły całe wieki.

Kawa w kubku na stole wystygła, ale Bentz nie zwracał na nią uwagi. Hayes, który prowadził przesłuchanie, wyszedł, żeby sprawdzić, czy Olivia już dotarła. Bentz wyobrażał ją sobie, jak siedzi spokojnie i czeka. Czuł się nie w porządku, że ją w to wszystko wciąga, ale cieszył się, że przyjechała. Nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy. Kiedy ją obejmie.

Wstał, przeciągnął się. Miał już po dziurki w nosie ciasnego, dusznego pokoju przesłuchań. Klasyka; takie pomieszczenie znajduje się na każdym posterunku. Kamera zainstalowana w rogu pod sufitem nagrywa wszystko, co tu się dzieje. Bentz mógłby poprosić o adwokata albo odmówić zeznań, ale nie miał nic do ukrycia.

Wiedział to.

Wyczuwał, że Hayes także o tym wie. Travis i jego dziewczyna potwierdzili jego wersję wydarzeń przy DeviPs Caldron. To bezsensowne marnowanie czasu, ale dzięki temu Hayes zyskiwał pewność, że nie popełnia błędu.

Bentz zerknął na swoje odbicie w lustrzanej ścianie. Bóg jeden wie, kto go obserwuje zza weneckiego lustra. Zapewne Andrew Bledsoe i Riva Martinez – liczą, że popełni błąd i powie o jedno słowo za dużo. Może jest tam także ktoś z prokuratury. Ba, niewykluczone, że obserwuje go nawet Dawn Rankin.

To idiotyczne, ale Bentz znał procedurę. Przeciągnął Bentza po rozżarzonych węglach.

Udowodnić, że nawet dobry glina może zejść na złą drogę; oszalał na tyle, że przyjechał do Los Angeles i morduje wszystkich, którzy mieli jakiś związek z jego byłą żoną.

Choć już wcześniej wszystko powiedział Hayesowi, teraz rozmawiali oficjalnie, więc po raz kolejny musiał odpowiadać na pytania o małżeństwo z Jennifer, jej zdrady, rozwód, próbę ratowania związku, kolejne zdrady z jej strony. I mniej więcej w tym samym czasie wypadek, w którym zginęła. Zdawał sobie sprawę, dlaczego wracają do tego ponurego okresu w jego życiu, co jednak nie sprawiało, że rozmowa na ten temat była łatwiejsza.

A potem Hayes zapytał o ducha i Bentz opowiadał, jak po raz pierwszy zobaczył Jennifer w szpitalu w Luizjanie. Jak doszedł do wniosku, że kobieta, która mu się ukazuje, to nie zjawa, ale istota z krwi i kości. Jak idiota pojechał z nią na półwysep. Zatrzymali się przy punkcie widokowym DeviPs Caldron, w parku nad oceanem, i tam kobieta rzuciła się do morza.

– Jutro będziemy wiedzieć coś więcej o tym duchu, a w każdym razie o twojej byłej żonie

– stwierdził Hayes.

Udało mu się pokonać biurokratyczne przeszkody i załatwił ekshumację Jennifer, miała się odbyć następnego dnia rano. Kolejny krok we właściwą stronę.

Bentz usłyszał pytania na temat Shany McIntyre i Lorraine Newell. Hayes poruszył też sprawę morderstwa sióstr Caldwell – zapytał, co Bentz wie o podwójnym morderstwie, podobnym do sprawy sióstr Springer.

– Już to przerabialiśmy – mruknął Bentz, wiedząc, że Olivia czeka gdzieś w pobliżu. Był

zmęczony i głodny, i nie miał do zaoferowania nic poza prawdą.

– Posłuchaj, mogę to powtarzać w kółko – stwierdził. – Co nie zmieni wydarzeń. Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Shany i Lorraine i nie mam pojęcia, kto zamordował

bliźniaczki. Wygląda mi to na naśladowcę albo powtórkę z rozrywki. To, że zginęły po tym, jak przyjechałem do Los Angeles... Przyznaję, wszystko wskazuje na jakiś związek. Czy to ja byłem katalizatorem? Mam nadzieję, że nie, ale tego nie wiem. Byłby to niezły zbieg okoliczności, a nie bardzo w to wierzę.

Hayes wyszedł na moment, by sprawdzić, co z Livią. Bentz podniósł głowę, gdy wrócił.

– Jest już? – zapytał Rick.

– Jeszcze nie. Bentz się zaniepokoił.

– Jak to: jeszcze nie? Powinny już być. Mógłbyś mi oddać komórkę?

– Takie są procedury, człowieku. – Hayes bezradnie rozłożył ręce. – Oddam ci, kiedy tylko skończymy. Martinez właśnie dzwoni do PetrocelH. – Hayes siedział po drugiej stronie stolika i wydawał się równie znużony jak Bentz. Rozluźnił krawat pod szyją. – Jeszcze tylko kilka pytań do protokołu.

Bentz przeczesał włosy palcami.

– Czyli?

– Dzisiaj, przy Devil's Caldron, czy ofiara wiedziała, że jesteś uzbrojony?

– Widziała broń, wcześniej skomentowała to w samochodzie.

– Czyli goniłeś ją z bronią.

– Tak, ale nawet nie wyjąłem pistoletu z kabury. Wiedziała, że do niej nie strzelę.

– A skąd?

Dobre pytanie.

– Bo mnie zna. Wie o mnie rzeczy, które wiedziała tylko Jennifer. – Robiło mu się niedobrze, gdy mówił: – Wygląda na to, że ilekroć dowiedziałem się o Jennifer czegoś nowego od jednej z jej przyjaciółek, ta przyjaciółka traciła życie. Prawie tak, jakby... Zdaję sobie sprawę z tego, jak szaleńczo to brzmi, ale wygląda to tak, jakby spełniła swoje zadanie i była już niepotrzebna. – Spojrzał na Hayesa i potrząsnął głową. – To dziwne. Zawsze wyprzedza mnie o krok. Wie, co zrobię, zanim sam do tego dojdę. Cholerny świat, Hayes, ona wiedziała, że będę na lotnisku. – Ledwie wypowiedział te słowa, pojawiło się nowe zmartwienie. – O Boże – szepnął. – Olivia.

– Co?

Myślami wybiegał już w przyszłość, adrenalina i strach dodawały mu sił. Skoro Jennifer wiedziała, gdzie był, może śledziła także Olivię?

– Moja żona. Mówiłem ci, że dzwoniono do niej z pogroźkami. A jeśli psychopata chce czegoś od niej?

– Ale Jennifer czy też jej naśladowczym nie żyje, prawda? Sam widziałeś, jak się rzuciła do morza.

– Wiem, wiem. – Jednak nie opuszczało go złe przeczucie.

– Już to przerabialiśmy – przypomniał mu Hayes. – Petrocelli odebrała ją z lotniska.

– Więc gdzie są, do cholery? – Nie potrafił opanować strachu, huczał mu w uszach, wrzał

w sercu. Zerknął na zegarek. – Powinny już dotrzeć.

– Może Olivia wolała poczekać w motelu? Odpocząć, zamiast siedzieć tu beczynnym.

– Niemożliwe. – Olivia chciała się z nim zobaczyć tak bardzo, jak on z nią. Słyszał to w jej głosie.

Hayes opadł na krzesło, przerzucił sobie krawat przez ramię.

– Słuchaj, sam widziałeś, jak Jennifer skacze do oceanu, prawda? Więc Olivii nic nie grozi.

Bentz nie był do końca przekonany. Nic już nie trzyma się kupy. Wszystko, w co wierzył, legło w gruzach albo stanęło na głowie. Potarł dłonią zarosnięty podbródek i usiłował się skupić. Myśleć logicznie. Znaleźć ziarnko prawdy w sieci kłamstw.

– Skończmy to już.

– Załatwione. – Hayes wstał i poprawił krawat. – Ale musisz zidentyfikować kobietę, którą znaleźliśmy pod Devil's Caldron. Kostnica jest niedaleko. – Otworzył drzwi, skinął

głową. – Martinez pomoże ci odebrać rzeczy z depozytu, a potem pojedziemy.

Hayes odszedł. Martinez prowadziła Bentza do odpowiedniego pomieszczenia.

– Moja żona jeszcze nie przyjechała? – zapytał. Starał się mówić spokojnie. – Olivia Bentz?

– Nie. Dzwoniłam do Petrocelli, ale nie odbiera. – Riva Martinez uśmiechnęła się do policjanta z depozytu i wypełniła konieczne formularze. Oddając mu broń, posłała Bentzowi spojrzenie, które przecięłoby granit.

Założył kaburę i zastanawiał się, czym tak bardzo rozjuszył Rivę Martinez. Może wścieka się po prostu, bo od jego przyjazdu do Los Angeles ma dwa razy więcej pracy.

– Powinny już tu być – mruknął, coraz bardziej zaniepokojony. – Przecież lotnisko nie jest tak daleko.

Wzruszyła ramionami, podając mu tackę, na której leżała jego komórka, portfel i klucze.

– Pewnie korek. W zeszłym tygodniu spóźniłam się do pracy czterdzieści minut, bo na autostradzie był wypadek. – Ruchem głowy wskazała formularz. – Podpisz, że wszystko otrzymałeś.

Zrobił to, otrzymał kopię potwierdzenia. Martinez odwróciła się na pięcie i odeszła.

Bentz odprowadzał ją wzrokiem. Złe przeczucie narastało. Coś jest nie tak.

Wracając do głównej sali, włączył komórkę. Żadnych wiadomości do Oli vii.

– Cholera. Zadzwoił do niej. I nic.

– No, dalej, dalej – mruczał pod nosem, mijając policjantów i detektywów.

Połączył się z pocztą głosową Olivii. Zostawił wiadomość z prośbą, by oddzwoniła jak najszybciej.

To nie w jej stylu.

Uspokój się. Jest z policjantką. Kto wie, co je zatrzymało? Może mają problem z bagażem, może wstąpiły gdzieś na kolację... Może padła jej bateria w telefonie. Nie mógł się jednak pozbyć wrażenia, że coś jest nie tak. Zadzwoił do Montoi. Przyjaciół odebrał po pierwszym dzwonku.

– Montoya.

– Odsłuchałem twoją wiadomość – zaczął Bentz.

– Tak, właśnie rozmawiałem z Hayesem. Wysłałem mu wszystko o właścicielce chevroleta, Yolandzie Salazar. Krewniak sprzedał jej wóz za gotówkę. Nie przerejestrowała go, co samo w sobie nie jest niczym szczególnym, ale teraz uważaj: jej pełne nazwisko brzmi Yolanda Valdez Salazar. Starsza siostra Maria.

– Żartujesz. Siostra Maria Yaldeza?

Bentz nie wierzył własnym uszom, ale po głosie Montoi wiedział, że to nie dowcip. W

ułamku sekundy znowu znalazł się w ciemnym zaułku i widział, jak ktoś celuje do Trinidadą... Srebrzysty blask księżycy na ciemnej lufie.

Panika w żyłach.

– Policja. Rzuć broń! – Ostrzegawczy krzyk. Ale broń nie upadła na ziemię.

Będzie strzelał! Będzie strzelał do Trinidadą!

Z tą świadomością Bentz nacisnął spust.

I człowiek z pistoletem osunął się na ziemię...

Dzisiaj, po dwunastu latach, Bentz nadal pamiętał tamtą chwilę. Ulga, że uratował

partnerowi życie, szybko przerodziła się w przerażenie, gdy się okazało, że pistolet zabawkę trzymał dzieciak, nastolatek. Tego koszmaru Bentz nigdy nie zapomni.

– Boże drogi – mruknął, do Montoi i do siebie.

– Mieszka w Encino – ciągnął Montoya. – Przekazałem wszystkie informacje Hayesowi, powinien już je dostać.

– Dobrze. Dzięki.

Yolanda Valdez. Rozłączył się. Hayes ciągle jeszcze rozmawiał przez telefon. Bentz przechadzał się korytarzem i usiłował sobie przypomnieć starszą siostrę Maria Yaldeza. Było troje rodzeństwa, o ile pamiętał. Mario najmłodszy, Yolanda o wiele starsza, kiedy doszło do tragedii, miała około

dwudziestu lat. I jeszcze jeden brat... Jak on się nazywał, do cholery?

Franco? Frederico? A może... Nie, chwileczkę, tak, Fernando. Ale nie przypominał sobie, by Yolanda była podobna do Jennifer... Nie, to się kupy nie trzyma.

Salazar? Nie. Już wtedy była zamężna i nosiła inne nazwisko. Usiłował je sobie przypomnieć, ale nie był w stanie. Więc teraz nazywa się Salazar? Bawił się tym nazwiskiem w myślach, szukał związku. Coś mu się nie zgadzało.

Oddzwonił do Montoi, aby się podzielić obawami:

– Wydaje mi się, że nosiła inne nazwisko, nie Salazar. Anglosaskie... Johns, coś w tym stylu. Możesz to sprawdzić?

– Jasne, ale we wszystkich dokumentach, na które do tej pory trafiłem, widziałem tylko dwa nazwiska – panięskie – Yaldez, i właśnie Salazar. Ale poszperam dalej.

– Dzięki.

Rozłączył się ciągle niespokojny.

Minął dwóch policjantów pograżonych w rozmowie w holu i zastał Hayesa za biurkiem, wśród tony papierów. Doszła wiadomość elektroniczna od Montoi.

– Popatrz tylko. – Hayes pokazał mu zdjęcie Yolandy Salazar z prawa jazdy. – Twoja Jennifer?

– Nie ma mowy. – Bentz potarł zarost na brodzie i pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób ta kobieta mogłaby mieć coś wspólnego z sobowtórem Jennifer.

– Musimy szukać dalej, ale na razie czekają na nas w kostnicy. – Wskazał papiery. –

Zabieramy się stąd. Musimy zidentyfikować twoją towarzyszkę.

W jasnoblękitnym świetle lamp na parkingu Bentz usiłował przejrzeć dokumenty, które przesłał Montoya.

– Petrocelli się odezwała? – zapytał, zanim doszli do samochodu Hayesa.

– Jeszcze nie.

– Nie podoba mi się to. – Bentz usiadł na fotelu pasażera. Hayes odpalił silnik jedną ręką, drugą wybierał numer.

– Cześć, Sherry, tu Hayes. Co was zatrzymało? Daj znać na komórkę.

– Rozłączył się. – Nie wiem. Nie odbiera.

Bentz łypnął na niego groźnie.

– Najlepsza w LAPD?

– Będą tu, kiedy wrócimy.

– Oby. Obie. – Bentz wpatrywał się przed siebie, gdy Jonas wyjeżdżał z parkingu i włączał się do ruchu. Olivia. Gdzie ona jest, do cholery?

Nic jej nie grozi, towarzyszy jej zaufana policjantka. Uspokój się.

Wybrał jej numer ponownie i znowu trafił na pocztę losową. Do cholery, Olivio, gdzie jesteś?

Jego niepokój narastał. Z najwyższym trudem panował nad sobą.

W kostnicy Hayes poprosił o pokazanie zwłok. Bentz czekał, spacerując nerwowo. Nigdy nie lubił widoku zwłok, zawsze na widok śmierci robiło mu się niedobrze, co starannie ukrywał przed kolegami. Gdyby to wyczuli, nie daliby mu spokoju. Wiedział, co go teraz czeka. Właśnie w tej chwili asystent wwiózł do pomieszczenia wózek przykryty prześcieradłem. Upewnił się, zerkając na karteczkę na kciuku ofiary, że to właściwa NN.

– Gotów? – zapytał Hayes. Bentz wziął się w garść.

– Tak. – Oczywiście to kłamstwo. Kiedy po raz ostatni widział Jennifer, była pełna życia, psotna i zwinna jak gazela. Żyła. Wystarczyło kilka godzin, by zostały z niej zimne zwłoki pod prześcieradłem.

– Wiesz, że nie znam jej nazwiska – przypomniał Hayesowi.

– Nieważne. Interesuje mnie, czy to ta sama kobieta.

Bentz skinął głową. Hayes dał znak i asystent uniósł prześcieradło.

Powoli ich oczom ukazała się twarz kobiety. Leżała nieruchomo, wpatrzona w sufit. Jej cera przybrała niebieskawy odcień.

Bentz poczuł falę żółci w gardle i przyglądał się zwłokom z niedowierzaniem.

Na stole nie leżała Jennifer.

Patrzył na martwą Fortunę Esperanzo.

Rozdział 31

To nie Jennifer – powiedział Bentz. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

Niczego już nie wiedział. Co to ma znaczyć? Fortuna? Nie żyje? O, cholera!

Hayes gwałtownie podniósł głowę, – Co?

– To nie jest kobieta, za którą biegłem. To Fortuna Esperanzo. Jennifer kiedyś pracowała z nią w galerii sztuki w Venice Beach.

– Ta tutaj? – Hayes wskazał zwłoki. – To jest Esperanzo?

– Tak. – Bentz oparł się o ścianę i na moment zamknął oczy, gdy po chwili otworzył je ponownie, wrócił koszmar.

Hayes potarł czoło, zmęczony i zbity z tropu.

– Nic dziwnego, że nie mogłem się do niej dodzwonić.

– To na pewno ją wyłowili z oceanu? – zapytał Bentz.

– Tak, nadal śmierdzi morzem – odparł asystent. – Jeszcze nie wiemy, jak zginęła, czekamy na sekcję.

Bentz nerwowo przeczesał włosy palcami.

– Co miała na sobie? – Spojrzał na asystenta. – Macie ubranie?

– Myślę... Chwileczkę. – Zerknęła do spisu. – Koszulka bez rękawów, rozmiar S, różowa.

Szorty, rozmiar dwa, białe, białe majtki, cielisty stanik, trzydzieści dwa B. Bez butów i bez biżuterii.

– A to drań – mruknął Bentz.

– Co?

– Strój. Dokładnie to samo miała na sobie kobieta, którą goniłem. To znaczy nic nie wiem o jej bieliźnie, ale na pewno miała różową koszulkę i białe szorty. Ktoś wiedział. Zabójca. On albo ona. Wiedział to na pewno.

– Myślisz, że to nie Jennifer?

– A jakim cudem?

– Więc kto?

– Cholera wie. – Bentz odwrócił się, czując nadciągającą falę mdłości. – Pogadajmy z Yolandą Salazar, przekonajmy się, co wie. Może ona zdradzi nam, co łączyło Fortunę Esperanzo z kobietą, która skoczyła z klifu.

Już szedł do drzwi. Przenikał go lodowaty strach. Olivia. Na rany boskie, gdzie ona jest?

Niech Bóg go ma w swojej opiece, jeśli zginęła. Spojrzał na Hayesa.

– Ale najpierw zatrzymamy się na posterunku. Muszę się zobaczyć z żoną.

Stoję na łodzi, pod której pokładem kryje się bezcenny ładunek, i czuję, jak wstrząsa mną dreszcz podniecenia. Nareszcie idzie jak po maśle. Cudownie.

Choć to nie zasługa Olivii.

Kiedy wyjechałyśmy z lotniska, Liwie wypatrywała drogowskazów, co mnie zaniepokoiło. A jeśli zna miasto lepiej, niż się przyznaje? Zmusiła mnie do tego. Nie mogłam ryzykować, że pójdzie po rozum do głowy i zechce zadzwonić. Musiałam wykorzystać element zaskoczenia.

Lotnisko zostało za nami. Zwolniłam na pomarańczowym świetle i kichnęłam.

– O rany, możesz mi podać chusteczki? – Poprosiłam, gdy światło się zmieniło i stanęłyśmy na czerwonym. – Są w schowku.

– Oczywiście – otworzyła schowek i zaczęła grzebać w pliku map, nieświadoma, że wyjęłam już mojego kochanego pomeroya 2550. Kupiłam go w Internecie, oczywiście pod przybranym nazwiskiem. – Mam – powiedziała, a ja zablokowałam otwieranie drzwi.

Zaatakowałam szybko, przyłożyłam elektrody do jej karku i nacisnęłam spust. Otworzyła usta, oczy wyszły jej z orbit, po chwili ciało zareagowało, zaczęła się rzucać, oddychała szybko, w oczach malowało się przerażenie.

To była najtrudniejsza część. Musiałam sobie z nią poradzić, jednocześnie prowadząc samochód. Sięgnęłam do torebki i wyjęłam uprzednio przygotowane kawałki taśmy klejącej, zakleiłam jej zaskoczoną buzię. Potem przyszedł czas na kajdanki Sherry – zatrzasnęłam je na nadgarstkach Olivii. Musiałam się spieszyć, nie było czasu na wykręcanie jej rąk do tyłu, więc skułam ją z przodu.

I wtedy dupek w porsche za mną zaczął trąbić i zdałam sobie sprawę, że światło zmieniło się na zielone.

– Wyluzuj, durniu! – mruknęłam, zbyt zajęta, by się przejmować. Miałam pełne ręce roboty: Olivia gapi się na mnie i mamrocze coś zaklejonymi ustami, a ten kretyn chce, żebym jechała.

Zatrąbił znowu i niespełniony rajdowiec wyprzedził mnie z piskiem opon. Najchętniej rozwalilibym mu ten piękny samochód i wlepiła przy okazji mandat, ale zwalczyłam tę pokusę. I bez tego miałam sporo zajęć.

Kiedy udało mi się unieruchomić Olivię – o, przepraszam, Liwie – nacisnęłam gaz do dechy i pognałam w stronę mariny. Opóźnienie samolotu kosztowało mnie mnóstwo czasu.

Zaczną dzwonić. Musiałam potraktować ją prądem jeszcze raz, żeby ją związać.

Zataszczyłam ją na łódź, co nie było takie łatwe. Okazała się o wiele cięższa, niż myślałam.

Dopiero teraz, na pokładzie, gdy Olivia siedzi na dole, mogę odetchnąć pełną piersią.

Przeszywa mnie dreszcz. Ciekawe, czy Rick Bentz wie, że jego kochana żoneczka nie spotka się z nim na posterunku. Ani nigdzie indziej.

– I jak ci się to podoba? – mruczę pod nosem i mam nadzieję, że skręca się z niepokoju.

Olivia nie odbierała telefonu.

Bentz powtarzał sobie, że nie ma powodu do niepokoju, ale nawet Hayes tracił

panowanie. Zadzwoił do Bledsoe i polecił, by ten wysłał funkcjonariuszy do Venice Beach.

Mieli zabezpieczyć dom Fortuny Esperanzo. Rano skontaktują się z galerią, w której pracowała. Zadzwoił także do Tally White, która żyła, ale umierała ze strachu. Do tego stopnia przeraziły ją ostatnie wydarzenia, że na rano zarezerwowała sobie bilet do Portland w Oregonie – chciała odwiedzić siostrę.

Weszli na posterunek. Bentz przyglądał się Rivie Martinez, pochylonej nad biurkiem.

– Bledsoe i Trinidad jadą do Venice Beach – powiedziała do Hayesa, upinając rude włosy na czubku głowy szylkretowym grzebieniem. – Mundurowi już zabezpieczyli miejsce zbrodni.

– O ile to jest miejsce zbrodni.

Bentz zacisnął usta w wąską Unię. Od jego przyjazdu do Los Angeles zginęły trzy kobiety, nie licząc siostr Springer. A teraz... Olivia? Strach palił go żywym ogniem. Ale nie ulegnie mu, nie może.

– Nadal nie ma mojej żony? – wtrącił się.

Martinez wzruszyła ramionami. Tym razem w ciemnych oczach pojawił się cień niepokoju.

– Dzwoniłam kilka razy do Petrocelli. Nie odbiera. – Martinez zmarszczyła brwi, wpatrzona w ekran komputera, na którym widniało zdjęcie ciała Shany McIntyre.

Bentz odwrócił wzrok. Wystarczyło, że widział prawdziwe zwłoki, wołał nie myśleć, że jego żona może znajdować się w rękach psychopaty, który zamordował Shanę, Lorraine, a także Fortunę.

– Rozmawiałem z Petrocelli przed kilkoma godzinami. – Hayes spojrział na zegarek. –

Jakieś cztery godziny temu. Wiedziała, że samolot jest opóźniony, ale mówiła, że będzie na lotnisku przed lądowaniem.

– To już za długo. – Martinez zdjęła marynarkę z oparcia krzesła. – Dałam już znać, że szukamy jej wozu. Lepiej zachować ostrożność i dmuchać na zimne.

– Fakt – mruknął Hayes.

Bentz był świadom upływu czasu, każdej bezcennej sekundy, która może oznaczać śmierć Olivii.

– Musimy ją znaleźć.

– I znajdziemy – zapewnił Hayes.

Bentzowi to nie wystarczało. Był niespokojny, musiał coś robić, a nie tylko czekać. Boże, jeśli Olivii coś grozi z jego powodu...

Zadzwoił do córki i ugięły się pod nim kolana, gdy odebrała.

– Cześć, tato, wróciłeś już od domu?

– Jeszcze nie. – Boże, Kristi, tak mi przykro. Oddałbym wszystko, żeby być w Luizjanie razem z Olivią. Co ja narobiłem?

– Nadal uganasz się za duchami?

– Tak. – Nie powiedział jej o Olivii, nie chciał jej niepokoić. Tak naprawdę zadzwonił

tylko po to, by się upewnić, że ukochanej córce nic nie grozi, że nie sprowadził nieszczęścia na całą rodzinę.

Tylko na Olivię.

Dobry Boże, na samą myśl, że nawet w tej chwili może się znajdować w rękach mordercy... Mimo ogarniającej go paniki był w stanie rozmawiać z córką. Rozłączył się i wykonał kolejny telefon, tym razem do linii lotniczych. Połączył się z przedstawicielem, odbębnił nieuniknioną kłótnię o ochronie prywatności i dowiedział się, że owszem, Olivia była na liście pasażerów, i tak, samolot wylądował kilka godzin temu, co zresztą już wiedział, bo z nią rozmawiał. Linie lotnicze nie miały dla niego żadnych innych informacji.

Olivia zaginęła między lotniskiem a posterunkiem.

– Na lotnisku mają kamery – powiedział do pozostałych. – Przy drzwiach wejściowych i w punkcie odbioru bagażu. Chciałbym przejrzeć nagrania.

– Zrobimy to. Pod warunkiem że nie uda nam się skontaktować z Petrocelli – zaznaczył

Hayes.

Bentz nie był pewien, czy wytrzyma dłużej. Nie podobało mu się, czuł, że coś jest nie tak.

Zbyt wiele razy w jego życiu najbliższemu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie po raz pierwszy umierał ze strachu o Olivię. Nie pozwoli, żeby coś jej się stało. Nie pozwoli.

I nie może dłużej siedzieć beczynn timer, słuchać poleceń innych.

– Chodźmy – burknął do Hayesa. – Musimy pogadać z Yolandą Salazar.

– Wyprzedzam cię. Już się staram o nakaz. Ale ty z nikim nie będziesz rozmawiał. To nasza sprawa, a ty jesteś zaangażowany osobiście.

– Żebyś wiedział. Moja żona zaginęła!

– Mówię o strzelaninie, Bentz. Departament zawarł ugodę z rodziną Valdezów, ale nie wydaje mi się, że byłoby rozsądne, żebyś się w to włączał. Ba, wolałbym, żeby nawet nie wiedzieli o twoim udziale, przynajmniej póki nie będziemy pewni, na czym stoimy. Jeśli pójdziesz tam ze mną, to tylko jako obserwator. I tak masz szczęście, że cię zabieram. Znasz zasady, musisz ich przestrzegać.

– Twoje zasady.

– Do cholery, człowieku, cieszę się, że jedziesz ze mną, ale to moja jurysdykcja. Moja sprawa. I masz rację. Moje zasady. – Posłał Bentzowi przeciągłe spojrzenie. – Więc jak będzie? Jedziesz czy nie?

– Nie przegapiłbym takiej szansy za żadne skarby świata – mruknął Bentz złośliwie.

Za wszelką cenę usiłował zachować spokój, nie myśleć o najgorszym, ale martwił się i nie zdołał tego ukryć, siadając na tylnym siedzeniu wozu Hayesa. Martinez zajęła fotel obok kierowcy.

Sprawdził komórkę. Żadnych nieodebranych połączeń, żadnych wiadomości tekstowych, nic. Usiłował nadać jakiś sens wydarzeniom tego popołudnia. Na darmo.

– Znaleźliście coś w chevrolecie? Odciski? Ślady? – zapytał.

– Jeszcze nie wiemy – odparł Hayes.

Jakim cudem Fortuna Esperanzo znalazła się w Pacyfiku tak blisko DeviPs Caldron? W

wyobraźni jeszcze raz odtworzył skok Jennifer. I jeszcze raz. I jeszcze. Skoczyła, szybowała w powietrzu, znikła mu z oczu. Jak to możliwe?

Szukał rozwiązania tej zagadki choćby po to, żeby uciec przed pytaniem, które nie dawało mu spokoju, które wracało z każdym uderzeniem serca.

Gdzie, do cholery, jest Olivia?

Wyczerpana Olivia nie mogła się ruszać.

Do tego umierała ze strachu. Leżała w śmierdzącym, ciasnym pomieszczeniu, w klatce pod pokładem jakiejś łodzi czy jachtu.

Petrocelli, czy jak tam naprawdę nazywa się ta wariatka, chce ją zabić. Dlatego że jest żoną Ricka. Właśnie dlatego zginęły tamte kobiety – ponieważ znały jej męża.

Nie. To nie tak. Wszystkie znały Jennifer, której Olivia nigdy nie widziała.

Zginęły. Zostały zamordowane. I taki sam los spotka ciebie, jeśli zaraz czegoś nie wymyślisz.

Ramiona były jak z ołowiu, miała zawroty głowy. Odzyskała przytomność, otworzyła oczy, ale ciało nadal nie słuchało jej poleceń. Czowała się, jakby mózg i ciało rozdzieliły się na dwa odrębne byty.

Boże, jak mogła być tak głupia, że zaufała tej kobiecie? Dlaczego nie obejrzała dokładniej jej legitymacji? Ta wariatka z pewnością nie jest policjantką.

A niby skąd wiesz? Policjantom też odbija. Może Petrocelli po prostu zwariowała.

Nieważne. Bez względu na to, kim jest, ma złe zamiary.

Wcześniej, gdy wyciągnęła ją z samochodu i zapakowała w śpiwór, Olivia dostrzegła skrawek ciemnej ulicy, zarys budynków i poczuła zapach morza. Porywaczka stęknęła z wysiłku, dźwigając Olivię i kładąc ją na, jak się jej wydawało, wózku. Albo na taczce. O co najmniej jednym skrzypiącym kole.

Olivia usiłowała krzyczeć, chciała poruszyć rękami i nogami w nadziei, że albo kopnie napastniczkę, albo zwróci uwagę przechodniów.

Ale umysł nie panował nad ciałem, mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Paralizator pozbawił ją kontroli nad mięśniami. Pomyślała o dziecku... O Boże, czy przetrwało atak prądem? Przepraszam, moje maleństwo, tak bardzo cię przepraszam.

Wózek podskakiwał na nierównej drodze, napastniczka sapała głośno. Olivia nasłuchiwała; gdzieś wysoko leciał samolot, a o wiele bliżej zawyła syrena okrętowa.

Olivia usiłowała wziąć się w garść, zebrać rozproszone myśli i zorientować się, gdzie jest, ale dokoła panował klaustrofobiczny mrok, zaś w śpiworze było tak cholernie gorąco, że z trudem oddychała.

Myśl, Olivio. Nie poddawaj się. Już nieraz byłaś w opałach. Kiedy minie szok, posłużysz się rękami; dobrze, że skuła je z przodu. Nie poddawaj się, nie pozwól, by strach cię sparaliżował. Myśl o dziecku. Nie poddawaj się. Walcz.

Weź się w garść. Musi być jakiś sposób!

Zmieniło się podłoże, wózek toczył się łatwiej, szybciej. A potem poczuła ruch w górę i, ciągle w śpiworze, uderzyła o twarde podłoże. Po chwili napastniczka zaczęła ją ciągnąć w dół. Olivia z najwyższym wysiłkiem lekko się skuliła, by osłonić rękoma brzuch. Chciała chronić dziecko...

– Mogłabyś zrzucić parę kilo – wysapała napastniczka.

Na dole schodów pociągnęła Olivię jeszcze kawałek i pchnęła na podłogę. Przez gruby śpiwór docierał do niej przykry zapach, kwaśny, ostry... mocz?

– Witaj w domu – wycodziła kobieta z satysfakcją w głosie. Dyszała ciężko z wysiłku.

Olivia usłyszała brzęk metalu. Klucze? Nasłuchiwała i jednocześnie wierciła się i kręciła, chcąc wyrzeć ze śpiwora. Nadal miała skute ręce i zaklejone usta. Wreszcie z trudem, dysząc ciężko, uniosła z wysiłkiem ręce i przesuwając palcami wzdłuż suwaka, znalazła wewnętrzny zamek. Pociągnęła.

Co chwila wypuszczała go z odrętwiałych palców, ciało ciągle stawiało opór, strach odbierał resztki sił.

Nie przestawaj. Dalej. Działanie paralizatora niedługo ustąpi.

W końcu szarpnęła mocno, pochyliła się, pociągnęła za suwak i zamek się otworzył.

Kobieta ze śmiechem obserwowała jej żalosne wysiłki.

Trudno!

Olivia nie podda się bez walki.

Szarpała i ciągnęła, aż jej nozdrza wypełniło powietrze cuchnące moczem. Suwak ustąpił, poły śpiwora się rozsunęły i zobaczyła kabinę pod pokładem. Jedna jedyna lampa wypełniała pomieszczenie dziwnym żółtym światłem. Olivia znajdowała się w części odgradzonej od reszty pomieszczenia żelaznymi prętami, od podłogi do sufitu. Klatka dla zwierząt, sądząc po resztkach siana między deskami pokładu. W rogu, obok dzbanka z wodą, stało wiadro. Dla mnie, pomyślała i zrobiło jej się niedobrze.

Jedynym wejściem do klatki była zakratowana fiata. Olivia patrzyła z przerażeniem, jak szalona porywaczka, wsunąwszy klucz do zamka, przekręca go.

Klik.

W jej uszach zabrzmiało to jak wyrok śmierci.

– Idiotka – mruknęła kobieta i zdjęła z głowy blond perukę. – Rozgość się. Trochę, tu zostaniesz.

Dobrze. Olivia pragnęła zostać sama, żeby pomyśleć o ucieczce. Porywaczka wydawała się czytać w jej myślach.

– Proszę bardzo, rób, co możesz, żeby się pozbyć taśmy z ust, i wrzeszcz, ile sił w płucach. I tak nikt cię nie usłyszy.

Uśmiechnęła się anielsko, a Olivię przeszył strach. Jak długo zamierza ją tu trzymać?

Dzień? Dwa? Tydzień? Wieczność? A potem? To nie jest porwanie dla okupu, o nie. Olivia знаła prawdę; porywaczka chce ją zabić. Ją i dziecko. To tylko kwestia czasu.

– Ciekawe, co porabia twój mąż, Olivio. Czy już się domyślił, że zaginęłaś? – Ta myśl wydawała się sprawiać porywaczce dziwną satysfakcję.

Olivia najchętniej rozerwałaby ją na strzępy, ale musiała znieść jej obecność.

– Ach, rozumiem – ciągnęła wariatka. – Uważasz, że jest bohaterem. Wyrobił sobie nazwisko w Nowym Orleanie, co? Że niby taki świetny z niego policjant? Nabral wszystkich, dosłownie wszystkich. – Nakrecała się, w oczach rozbłysła nienawiść. – Nie chcę psuć twojej wizji bohatera, ale prawda jest taka, że Rick Bentz to kawał drania. Wypalony glina, do tego kiepski. Zabił dziecko, mówił ci o tym? – Uniosła brwi. Wręcz biła od niej radość, że może opowiadać o Bentzu i ma słuchaczkę chciwie chłonącą jej słowa.

– Twój mąż to dno, Olivio. A ty? No cóż, miałaś pecha, że też za niego wyszłaś. Wiesz dlaczego? Twój mąż jest takim dupkiem, że ty za to zapłacisz. Ty i inne.

Spojrzała na zegarek, zaklęła, zdenerwowała się. Przez chwilę rozglądała się po pomieszczeniu, wzięła kanister z rogu, uśmiechnęła się. Mała niespodzianka. Strach Olivii przerodził się w panikę. Wariatka podpali łódź! Z nią pod pokładem.

– Nie – bełkotała zaklejonymi ustami. – Nie! – Gniewnie uniosła dłonie do twarzy, szukała brzegu taśmy. Zmusiła palce do wysiłku i szarpnęła, zrywając sobie przy okazji pas skóry z ust policzków. – Nie! – Powtórzyła, ale porywaczka nie zwracając na nią uwagi, pobięła na górę po metalowych schodkach.

Boże, Boże, Boże!

– Nie rób tego! – zawołała za nią.

Kobieta zawahała się na szczycie schodów. Czyżby słyszała jej błagania? Czyżby miała jej wysłuchać?

– Błagam! – jęknęła Olivia desperacko. Wariatka prychnęła:

– Mam to gdzieś!

O, nie. Przerazona do granic obłędu Olivia krzyczała i szarpała za pręty, ale jej dłonie osuwały się co chwila; wciąż jeszcze nie odzyskała pełnej sprawności.

– Nie! Proszę. Usłyszała trzask. Zgasło światło.

Całe pomieszczenie znalazło się w ciemności. Trzasnęły drzwi.

Olivia poczuła łzy na policzkach.

Czekała na odgłos rozlewanej benzyny, na upiorny syk zapalanej zapałki, na trzask płomieni.

Słyszała jedynie ciszę.

Rozdział 32

Hayes domyślał się, że zapowiada się długa noc. Jechali do Encino. Martinez i Bentz podziwiali nocny krajobraz, on tymczasem zadzwonił do Corrine i wykręcił się z planów na wieczór. Wiedziała, że będzie pracował do późna, i proponowała, żeby wpadł do niej i przenocował na kanapie. Zazwyczaj to działało, dzisiaj jednak nie miał pojęcia, o której skończy, a nie chciał, żeby czekała.

– Nadgodziny? Znowu? – Wyczuł jej irytację. Miał tylko nadzieję, że pozostali jej nie słyszą. – No trudno. Znowu.

Corrine nie była zachwycona, ale nic nie mógł na to poradzić, nie teraz, jadąc do Enemo z dwojgiem pasażerów w wozie.

Nie lubił prowadzić rozmów osobistych przy świadkach. Martinez i Bentz taktownie patrzyli w inną stronę, ale i tak było mu głupio. Zwłaszcza że Corrine romansowała z Bentzem. Ale miał do wyboru – albo zadzwoni teraz, albo w ogóle.

Tak to jest, kiedy się nie ma prywatnego życia, pomyślał, skręcając.

– Oby państwo Salazar byli w domu – mruknął.

Kilka przecznic od Ventura Boulevard domki były małe, jednopiętrowe. Powstały po drugiej wojnie światowej. Na szerokich trawnikach widniały ślady palącego słońca.

Salazarowie mieszkali na rogu. Jaskrawa farba, jaką pomalowano ich dom, w świetle latarni przybierała odcień popiołu. Na ogrodzeniu oddzielającym część posesji wisiała przyczepiona łańcuchem tabliczka: „Uwaga, zły pies”.

– Super. – Martinez się skurczyła. – Nienawidzę psów. Hayes zmarszczył brwi.

– Jak można nienawidzić psów?

– Kiedy byłam mała, pogryzła mnie Harriet, jamniczka sąsiadów. Mała paskuda. Miałam operację plastyczną i bolesną fizjoterapię.

– Nie możesz oceniać wszystkich psów na podstawie Harriet.

– Niby dlaczego? – prychnęła, gdy Hayes wyłączył silnik.

– Wyczuwają twój strach – włączył się do rozmowy Bentz. – Dopóki będziesz się ich bała, nie zdołasz się zbliżyć.

– Nie ma sprawy – mruknęła. – Chętnie zachowam dystans.

Jeszcze nie otworzyli drzwi, a rzeczony zły pies zaczął wyć i warczeć za ogrodzeniem.

Był to potężny zwierzak o czarno-brązowej sierści, paszczy wielkiej jak stan Arkansas i ostrych kłach. Skundlony rottweiler, ocenił Hayes.

– O tak, rozkoszna psinka. – Martinez znieruchomiała z ręką na klamce. – Nazwijmy go Puszek.

Kątem oka Hayes zobaczył, że Bentz także chce wyjść z wozu.

– Ani się waż – syknął.

Nie dopuści, żeby Bentz wszystko zepsuł. Udział Bentza w sprawie ogranicza się do roli obserwatora i doradcy, koniec kropka. Choć nie zgadzał się z Bledsoe i Rankin, którzy uważali, że Bentz jest w jakiś sposób powiązany z zabójstwami, nie pozwoli mu, by prowadził dochodzenie LAPD. Już tu nic pracuje, a jego zaangażowanie mogłoby skomplikować sprawę. Nie powinien go tu w ogóle przywozić, ale musiał mu przyznać, że na razie, tylko Bentz posuwał się w tej sprawie do przodu.

Hayes rozejrzał się dokoła. Pies narobił tyle hałasu, że obudziłby umarłego. Z domu rozległo się wołanie;

– Cicho, Rufus!

Rufus nie zwrócił na to uwagi. Szczekał coraz głośniejsze, biegał w kółko, ślinił się i awanturował. Sądząc po wydeptanej trawie na jego części podwórka, nie było to nowe zjawisko.

– Tyle, jeśli chodzi o element zaskoczenia – mruknął Hayes pod nosem. Martinez zerknęła na ogrodzenie.

– Oby wytrzymało.

Dochodzili do drzwi, gdy zapaliło się światło na ganku. Żółty blask zalał cementowe schodki. Drzwi się otworzyły i od kobiety stojącej wewnątrz dzielił ich tylko ekran z siatki przeciwko insektom. Długowłosa brunetka na progu miała na sobie białą koszulkę, pomarańczowe rybaczkę. I bardzo groźną minę.

Hayes rozpoznał Yolandę Salazar z dokumentacji, którą przesłał Montoya. Zdjęcie w prawie jazdy nie oddawało w pełni jej urody; w rzeczywistości okazała się o wiele ładniejsza, i to nawet wtedy, gdy była wściekła.

– Czym mogę służyć? – zapytała bez śladu uśmiechu.

– Detektyw Hayes, moja partnerka detektyw Martinez z LAPD. – Pokazali odznaki. –

Pani Yolanda Salazar?

Chwila wahania i twierdzący ruch głową.

– O co chodzi?

– Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

– Na jaki temat? – W tej chwili gniew zniknął, przerodził się w strach. – O Boże.

Fernando? Chodzi o mojego brata? Nie mówicie, że coś mu się stało. Albo że ma jakieś kłopoty. – Przeżegnała się odruchowo.

– Nie, nie, to nic takiego – uspokoił ją Hayes. – Chodzi nam o pani samochód, chowoleta z 1999 roku, srebrny impala, zarejestrowany na nazwisko Ramona Salazar.

– Coś nie tak? – Z głębi domu wynurzył się mężczyzna, dwukrotnie od niej większy, same mięśnie i siła. Obcisła koszulka podkreślała bicepsy. Dżinsowe szorty zwisały nisko na wąskich biodrach. – Co jest?

– Policja. – Spojrzała na niego ze strachem.

– Sebastian Salazar? – zapytała Martinez.

– Tak. – Mówił z silnym akcentem.

– Chcemy porozmawiać z pańską żoną na temat jej samochodu. Sebastian skrzywił się, spojrzał na żonę i powiedział coś po hiszpańsku tak szybko, że Hayes niczego nie zrozumiał, ale miał nadzieję, że Martinez miała więcej szczęścia.

– Możemy wejść do środka? – zapytała.

Małżonkowie wymienili spojrzenia, Sebastian mruknął coś pod nosem po hiszpańsku i otworzył drzwi.

– Proszę – powiedział, błyskając białymi zębami pod sumiastym wąsem. – Siadajcie. –

Wskazał im krzesła.

Yolanda została przy drzwiach. Wyjrzała ciekawie.

– A wasz kolega?

Hayes odwrócił się przez ramię i stłumił jęk. Bentz wysiadł, stał w kręgu światła przy ogrodzeniu i szeptał coś do Rufusa, który w końcu przestał szczeleć.

– Poczekaj na zewnątrz – powiedział Hayes, chcąc odwrócić od niego uwagę Yolandy Salazar. – Przepraszamy za najście, ale...

– Chwileczkę. – Jej oczy zapłonęły zimną wściekłością. Zmarszczyła brwi. Stała przy drzwiach, z jej ust popłynął strumień przekleństw. – *Bastardol* – syknęła.

Sebastian podbiegł do drzwi, aby zobaczyć, dlaczego żona bluzga takim stekiem przekleństw.

Hayes zacisnął zęby. Wiedział, o co chodzi. Bentz. Yolanda odwróciła się na pięcie.

– Wynocha z mojego domu! Przyprowadziliście tu dzieciobójcę? Człowieka, który zabił

mojego braciszka? Zastrzelił go z zimną krwią? – Wycelowwała oskarżycielsko palec w ulicę.

– To on zastrzelił Maria! Mój brat miał wtedy dwanaście lat! Był niewinny! – Wydęła usta z niesmakiem. – Idźcie stąd jęknęła.

A potem, ku przerażeniu Hayesa, wybiegła z domu.

Bentz przechadzał się wzdłuż ogrodzenia i rozmawiał przez telefon:

– Wydaje mi się, że nazywała się Judd, Yolanda Judd – mówił właśnie do Montoi, gdy Yolanda we własnej osobie wybiegła boso z domu i zbliżała się do niego.

– Dzieciobójca! – krzyczała. – Czego tu chcesz?

Hayes, Martinez i potężny mężczyzna, pewnie jej mąż, biegli tuż za nią.

– Oddzwonię – rzucił Montoi i się rozłączył.

– Dlaczego nie dasz nam spokoju? Nie wystarczy ci, że zabiłeś mojego brata i zniszczyłeś życie matce? – krzyczała.

Bentz odwrócił się w jej stronę.

Splunęła mu prosto w twarz.

Bentz zacisnął pięści. Szalona dziwka! Z trudem opanował wściekłość.

– Spokój! – wrzasnął Hayes. Dał Bentzowi znak, że ma wracać do samochodu. Miał

nadzieję, że uda mu się rozładować sytuację. – Pani Salazar, chcieliśmy zadać pani kilka pytań na temat pani samochodu – zwrócił się do Yolandy.

– Więc dlaczego on tu jest? – Wskazała palcem Bentza, który ścierał sobie plwocinę z twarzy.

Na pewno nie po to, żeby znosić twoje obelgi, pomyślał Bentz.

– Czy wie pani, gdzie jest teraz jej samochód? – Hayes stanął między Bentzem a Yolandą.

– Ma go Fernando... och, Fernando. Gdzie on jest? – Gniew przerodził się w autentyczny strach.

– Nie wiem, pani Salazar. Ale mamy pani samochód.

– Gdzie? – Wydawała się bardzo zaskoczona.

– Na parkingu policyjnym. Szukamy w nim dowodów.

– Czego?

– Niewykluczone, że ma związek z trzema morderstwami.

– Co? – Nadal patrzyła na Bentza, ale jej wrogość się ulotniła, przynajmniej częściowo. –

Zabójstwa?

– Tak. Kto zazwyczaj jeździ tym wozem?

– No... ja.

Hayes spojrział na podjazd – stał tam pikap z plandeką na pace i błyszczący lexus.

– A to czyje?

– Nissan jest mój – odpowiedział mąż i Yolanda posłała mu zabójcze spojrzenie. –

Yolanda jeździ lexusem. Chevrolet to dodatkowy wóz, kupiliśmy go od Carlosa, bo był tani.

Ostatnio często pożyczał go Fernando.

– Mieszka tutaj? – zapytała Martinez.

Yolanda gniewnie zacisnęła usta, ale Sebastian skinął głową i odpowiedział za nią:

– Najczęściej.

– Ma inny samochód? – Martinez wyjęła notesik i zapisała te informacje.

– Jest w warsztacie; czeka na nową skrzynię biegów. Nie wie jeszcze, czy mu się to opłaci.

– A gdzie teraz jest Fernando? – Martinez z niepokojem spojrzała na psa. Stał na tylnych łapach i łytał zza siatki.

– Nie wiem. – Yolanda ze strachem zerknęła na uliczkę, jakby się spodziewała, że brat pojawi się lada chwila.

– Pracuje? – spytała Martinez.

– I uczy się – odparł Sebastian i objął Yolandę potężnym ramieniem. – Chodzi na wieczorowe zajęcia w college’u. Moja żona też. Zazwyczaj chodzi na uczelnię po pracy.

Pracuje w restauracji, Blue Burro, ale dzisiaj tam nie poszedł, dzwonił i powiedział, że jedzie prosto na zajęcia.

– Macie jego numer telefonu?

– Nie!

Yolanda najwyraźniej się bała, ale Sebastian położył jej dłoń na plecach i pogłaskał uspokajająco. Podał Martinez numer telefonu.

– Do cholery, Sebastian! – Yolanda zrzuciła jego rękę. Mąż nie dał się splawić.

– Jeśli ma kłopoty, musimy się dowiedzieć. Hayes spróbował z innej strony.

– Czy Fernando ma dziewczynę? Kogoś, komu mógłby pożyczyć samochód?

– Nie na poważnie – odparła Yolanda. Sebastian zmarszczył brwi.

– Fernando zna wiele dziewcząt. Ale nie słyszałem, żeby którejś pożyczał samochód.

Chyba jest dość mądry, żeby tego nie robić. To samochód mojej żony Hayes podniósł głowę:

– Znasz kobietę nazwiskiem Jennifer Bentz? – Yolanda odpowiedziała wzruszeniem ramion. – Wróćmy do domu. Chciałbym pani pokazać kilka zdjęć.

Yolanda posłała Bentzowi jeszcze jedno mordercze spojrzenie i niechętnie wróciła do domu.

Bentz, nadal wściekły, wsiadł z powrotem do samochodu i zostawił otwarte drzwiczki, żeby do środka wpadała orzeźwiająca bryza.

Myślał o Yolandzie i samochodzie.

Nie ona siedziała dzisiaj za kierownicą.

Ani Fernando.

A tymczasem Fernando Valdez był kolejną osobą na liście Bentza.

Mimo ostrzeżeń Hayesa wystukał jego numer, jednak Valdez nie odbierał.

Bentz opadł na siedzenie i zastanawiał się, czy Yolanda mówi prawdę. Wątpił w to.

Obserwował, jak rowerzysta przeniknął uliczką, płosząc kota polującego w krzakach.

Rufus tymczasem uspokoił się na tyle, że tylko pojękiwał i dreptał w miejscu.

Bentz przez telefon zarezerwował sobie nowy samochód do wynajęcia. Zadzwoił także do SoCal Inn, licząc, wbrew wszystkiemu, że Olivia jakimś cudem dotarła tam i go szuka.

Ale to oczywiście byłoby za wiele szczęścia naraz.

Zarezerwował sobie pokój, tym razem z widokiem na basen, poprosił Rebeccę, by do niego

dzwoniła, jeśli tylko odezwie się jego żona. Oczywiście mało prawdopodobne, by do tego doszło, ale musiał sprawdzić wszystkie możliwości, nawet te najbardziej nieprawdopodobne.

Dwadzieścia minut później Hayes i Martinez wyszli z domu. W tej samej chwili rozdzwonił się telefon Bentza. Odebrał w nadziei, że na wyświetlaczu zobaczy numer OHvii.

Niestety. Montoya.

– Bentz.

– Miałaś rację. – Montoya od razu przeszedł do rzeczy. – Sprawdziłem akta Yolandy Valdez w policyjnej bazie danych w okręgu Los Angeles, poszperałem głębiej i rzeczywiście

– przez krótki czas była żoną Erika Judda. Erik był dekarzem, miał wypadek, spadł z wysokości czwartego piętra i zmarł, zanim rozwód się uprawomocnił.

– Rozwodzili się?

– Złożyli pozew.

– Skąd wiesz? – Bentz wyjrzał w noc. – Wszystkie urzędy są zamknięte.

– Trzeba wiedzieć, do kogo zadzwonić, gdzie szukać, jak sprawdzać w sieci. Wszystko się da.

– Skoro tak twierdzisz.

– Owszem. A wiesz, co jest najlepsze? Nawet miał polisę ubezpieczeniową na pięćset tysięcy dolarów. Pół miliona. A kto zgarnął całą pulę? Nie kto inny, jak jego prawie była żona.

– Coś nie tak?

– Firma ubezpieczeniowa nie stawiała oporów. Według danych bankowych Yolanda jest właścicielką domu w Encino i ma na koncie osiemdziesiąt tysięcy. – Montoya był z siebie bardzo zadowolony. – Ta dziewczyna nie musi brać pożyczki na studia.

– Dzięki – mruknął Bentz. – Zrób coś dla mnie. Dowiedz się czegoś o bracie. Fernando Valdez. Korzysta z samochodu, którym jeździła Jennifer. Pomieszkuje z siostrą i szwagrem, ale teraz przepadł jak kamień w wodę.

– Zobaczę, co się da zrobić.

– Dzięki.

– Wisisz mi piwo... Nie, chwileczkę, dług rośnie. Doszło już do połowy skrzynki.

– Wchodzę w to – mruknął Bentz. – Olivia się do ciebie nie odzywała?

– Nie. A co, nie przyleciała?

– Nie, wylądowała w Los Angeles, rozmawialiśmy krótko. Miała ją odebrać policjantka.

Od tego czasu nie dała znaku życia.

– Jesteś pewien, że przyleciała? Jeśli dzwoniła z komórki, mogła być wszędzie.

– Tak, sprawdzałem, dzwoniłem do linii lotniczych.

– Więc co się stało?

– Nie wiem. – Bentz nie chciał się przyznawać do klęski. – Ale znajdę ją.

– No pewnie – zgodził się Montoya, ale w jego głosie wyczuwało się nutę niepokoju, która odzwierciedlała obawy Bentza.

Muszę się pospieszyć i trochę się denerwuję. Czuję to i wcale mi się to nie podoba. Nie chodzi o to, że mam trudności z chodzeniem; rzecz w tym, że wolę, by wszystko było zapięte na ostatni guzik. Właśnie dlatego przygotowanie planu zajęło aż dwanaście lat. Dwanaście długich, bolesnych lat.

Teraz nie mogę tego zepsuć, myślę sobie. Rozbieram się w kajucie na łodzi i widzę swoje odbicie w wąskim lustrze. Jestem w dobrej formie, lepszej niż się spodziewają ci, którzy mnie znają. Latami pracowałam nad muskulaturą, nad takim wyglądem.

Jak wiele innych rzeczy w moim życiu, moja siła i wygląd to efekt cierpliwości, wytrwałości i determinacji. Nie na darmo rzuciłam palenie.

Czasami jednak trzeba ryzykować, działać pod wpływem impulsu. To wykańczające, myślę sobie, upychając włosy pod czapczką baseballową. Tak więc po chwilach ryzyka muszę odzyskać równowagę, skupić się, przypomnieć, co jest moim celem.

Naciągam dres, zapinam suwak kurtki, schodzę z pokładu. O tej porze nikogo tu nie ma, więc bez świadków przemykam do samochodu.

Na tylnym siedzeniu Sherry jest gotowa do drogi. Obok niej leżą jej ubrania, odznaka i torebka.

– Spokój zapewniam ją.

Co chwila zerkam w boczne lusterko i jadę z nią w ślepą uliczkę, oddaloną mniej więcej półtora kilometra od restauracji, w której wcześniej się z nią spotkałam. Znamy się od lat i wielka szkoda, że musiałam ją zabić, ale prawda jest taka, że zawsze mnie wkurzała. Co to za policjantka bez jaj?

Parkuję w zaułku i wycieram wszystkie powierzchnie na wszelki wypadek, na wypadek, gdybym w drodze z restauracji zostawiła odciski palców. Rzucam rękawiczki na tylne siedzenie, polewam wszystko benzyną i pocieram zapalką o trzaskę.

Syk.

Mały płomyk na chwilę rozjaśnia noc. Przez otwarte okno ciskam go na rękawiczki.

Ogień! Tylne siedzenie staje w ogniu, po chwili płonie cały samochód.

Cudownie, myślę sobie i ruszam biegiem, i wtedy go widzę. Facet na motorze jedzie za mną.

Cholera. Puls mi przyspiesza, pocą mi się dłonie i czoło. A jeśli mnie widział przy samochodzie? Jeśli zdoła mnie opisać? Jeśli...

Uspokój się! Nie widział cię. Owszem, pewnie znajdzie płonący samochód, ale o to ci chodzi, prawda? Biegnij dalej.

Nakręcona własnymi słowami, ruszam biegiem, przecinam boczne uliczki i zaułki, biegnę zwykłym tempem, szybko, zważywszy na dzisiejsze przeżycia.

Jestem już niemal przy restauracji, gdy rozlega się wycie syren. Straż pożarna. Policja.

Pewnie także karetka pogotowia.

– Szczęśliwej drogi – mruczę i widzę mój samochód stojący kilka przecznic dalej. Czeka tam na mnie od kilku godzin.

Od razu jadę do domu. Ściągam dres, wrzucam go do kosza z brudną bielizną, wchodzę pod prysznic i pozwalam sobie na chwilę rozmyślań o Bentzu i o tym, co teraz czuje. Pewnie umiera z niepokoju o kochaną żoneczkę. I nie wie, co myśleć o zmarłej.

– Fajnie, co, RJ? – Śmieję się na głos w zaparowanej łazience.

Myję włosy i całe ciało, koncentruję się na następnym ruchu, myślę o planie na jutro.

Bentza czekają ciężkie chwile, zanim skończę. Olivia umrze... och, tak, myślę, przesuwając gąbką po plecach, po ramionach, wdycham zapach mydła. Ale zanim z nią skończę, chcę, żeby Bentz cierpiał, żeby tracił rozum z rozpaczy.

Szoruję sobie stopy, rozkoszuję się dotykiem ciepłej wody na całym ciele. Zmywa ze mnie brud, kurz, pot. W końcu wychodzę spod prysznica i wycieram się ręcznikiem. Myślę o Olivii pod podkładem, śmiertelnie przerażonej, pewnie ochryplej od krzyku.

Przecież mówiłam, żeby sobie darowała. Zdejmuję szlafrok z wieszaka, wkładam go, owijam się nim.

Czas na wiadomości. Idę do saloniku, po drodze zahaczam o kuchnię, wydaję z lodówki dzbanek z margaritą. Wrzucam do kieliszka dwie oliwki, wlewam zimny trunek, siadam w saloniku, włączam telewizor. Pożar samochodu w Marina del Rey powinien już trafić do wiadomości. Zakładam nogę na nogę i patrzę na znajomą twarz na ekranie.

Donovan Caldwell, jęklivy dupek, wypowiada się na temat niedawnej zbrodni –

zabójstwa sióstr Springer. On i dziennikarka siedzą w studiu na tle ogromnego ekranu, na którym widać zdjęcia obu par bliźniaczek. Cztery dziewczęce buzie o wielkich, naiwnych oczach.

Prymitywne zagranie, by wzbudzić litość widzów.

Dziennikarka, młoda kobieta o ciemnych włosach, wielkich oczach i przejętej minie, pyta:

– Czy uważa pan, że za ostatnią zbrodnię ponosi winę ten sam człowiek, który zamordował jego siostry?

– Tak. – Mówi energicznie rozjuszony brat. Gniewnie wymachuje rękami. Idealnie przystrzyżona bródka porasta jego podbródek, ciemnoblonde włosy są przycięte w najmodniejszą fryzurę. Ale oczywiście nie chce na nikim zrobić wrażenia wyglądem. Nie, jest przejęty i wzburzony i nie ukrywa tego. – Uważam, że gdyby policja właściwie poprowadziła sprawę moich sióstr, nie doszłoby do kolejnej zbrodni.

Zbliżenie na ofiary, śliczne buzie, tak pełne życia.

– Bla, bla bla. – Wypijam kolejny chodny łyk i szukam innej stacji. Oczywiście śmierć f

bliźniaczek to dobry temat, ale już stary, zwłaszcza siostry Caldwell. Nie żyją od ponad dziesięciu lat... prehistoria. A ten dupek na ekranie mnie denerwuje. Co za bezczelność –

zajmuje mój czas. I jeszcze te brednie o pracy policji. Sam nie wie, o czym mówi.

Patrzę na ekran i wypijam kolejny spory łyk. Przejdźmy do ważnych spraw.

Gdzie, do cholery, ekipa, która opowie nam o spalonym samochodzie w Marina del Rey?

To jedyny temat wart mojej uwagi.

Rozdział 33

Musimy znaleźć Fernanda – stwierdził Bentz.

Wracali do Parker Center, gdzie Hayes chciał zostawić Martinez. Później zawiezie Bentza do firmy wynajmującej samochody.

– Mówiłem ci, że masz się trzymać z daleka. – Hayes był wściekły. – To moje dochodzenie.

– I moja żona. – Bentz także był wściekły. I umierał ze strachu.

– Wiem, wiem. – Hayes westchnął, poluzował krawat pod szyją. – Będziemy obserwować Yolandę i dom, poczekamy na Fernanda.

– Skontaktuję się z tą restauracją i uczelnią – włączyła się Martinez. – Postaramy się ustalić, co dzisiaj robił. – Nie skończyła jeszcze mówić, gdy rozdzwoniła się komórka Hayesa.

Bentz na tylnym siedzeniu odchodził od zmysłów, usiłując poskładać poszczególne kawałki układanki w jedną całość. Zaczęło się od tego, że ktoś ściągnął go do Los Angeles, by szukał zmarłej żony. Teraz w sprawę jest zamieszana Olivia, tego był pewien.

Najważniejsze to ją odnaleźć. Ale nie miał żadnych tropów, więc uznał, że jedyne, co może zrobić, to uczestniczyć w dochodzeniu i odszukać człowieka, który najwyraźniej chce się na nim zemścić.

Gdy kontrolował emocje i analizował wszystko, co się działo, chodnym, obiektywnym okiem policjanta, widział, że w centrum tej sprawy jest on, znajduje się w oku morderczego cyklonu. Mózg sterujący całym tym koszmarem chciał dopaść jego, Bentza.

Na razie LAPD nie ustaliło, dlaczego zginęły Lorraine Newell i Shana McIntyre – łączył

je tylko Bentz. Jeszcze za wcześnie, by dołączyć do nich Fortunę Esperanzo, ale Bentz już wiedział. Nieprzypadkowo miała na sobie ciuchy takie same jak te, które widział na Jennifer, zanim skoczyła do wody. O nie, została zamordowana, a morderca zadbał, by Bentz wiedział, że wybrał Fortunę, bo miała związek z Jennifer.

Jeśli jednak za zagadką kryje się kobieta łudzaco podobna do jego pierwszej żony, dlaczego wszystko nie skończyło się dzisiaj, kilka godzin temu, zanim rzuciła się od wody?

Dlaczego ryzykowała? I jakim cudem znalazła się na lotnisku mniej więcej wtedy, gdy zwłoki Fortuny trafiły do oceanu?

To wszystko wymaga planowania. Cierpliwości. Wytrwałości.

To działanie człowieka, który ma do niego żal i latami pracował nad planem. Odrzucił

wszystkich, których posłał za kratki. Większość z nich po wyjściu z pudła uciekałaby, gdzie pieprz rośnie. Gdyby chcieli zemsty, zabiliby i po sprawie. Nie, autor tego planu rozkoszował

się jego cierpieniem, cieszył się, gdy za każdym razem nabierał się na sobowtóra Jennifer.

Na tę myśl krew zastygła mu w żyłach. Yolanda Salazar?

Czy miała w sobie dość nienawiści, by na zimno rozkoszować się zemstą? Chyba nie. Jest narwana, impulsywna, czego dowiodła, plując mu w twarz. Była wściekła, tak, i bała się, ale nie takiej reakcji oczekiwał od zabójcy.

Jeśli nie Yolanda, to kto?

Może ktoś związany ze sprawą sióstr Caldwell?

Może to sprawa typu: oko za oko.

I znowu uderzyło go, ile morderca wiedział o jego pierwszej żonie, o ich związku.

Teraz zaginęła Olivia. Ktoś wydzwaniał do niej tak długo, aż tu przyjechała. To wymaga wiary w siebie. Wiedzy. I łutu szczęścia. Skąd morderca wiedział, że wsiądzie w samolot?

Bo ten, kto za tym stoi, wie wszystko o tobie, o twoim życiu, o twojej żonie. Cholerny świat, Bentz, to twoja wina. Tylko twoja.

Odruchowo masował nogę – bolała go od pościgu przy DeviPs Caldron. Czuł się jak idiota, biegnąc za Jennifer wzdłuż urwiska. Uganiał się za nieuchwytnym snem, a jego żona w tym czasie leciała do Kalifornii, żeby być z wiecznie nieobecny m mężem. Mówiła, że muszą porozmawiać. Przecież on także czuł, że się od siebie oddalają.

Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. Nagle wszystkie argumenty wydały mu się idiotyczne. Nieważne. Nawet jego opory w sprawie dziecka. Niech tam, jeśli Olivia chce mieć dziecko, niech ma. Nawet całą gromadkę.

Jeśli jeszcze zdąży.

Hayes się rozłączył.

– Jeszcze nie wracamy na posterunek.

– A dlaczego? – Martinez podniosła głowę.

Hayes zmarszczył brwi. Wypatrywał zjazdu z autostrady.

– Spalono samochód Sherry Petrocelli.

– O Boże. – Martinez ukryła twarz w dłoniach.

– To nie wszystko. Znaleźli zwłoki na tylnym siedzeniu.

– Co? O, nie. – Bentz poderwał się z miejsca tak gwałtownie, że pas bezpieczeństwa zacisnął się automatycznie. Zrobiło mu się niedobrze, gdy myślał o Olivii, ślicznej, radosnej, cudownie inteligentnej Olivii. Boże, nie, błagam, nie. Nie mógł oddychać. – Hayes, przysięgam na Boga, jeśli Olivii coś się stało, jeśli to ona... – Nie mógł dokończyć, nie mógł

myśleć.

Strach go paraliżował, gdy Hayes, łamiąc wszelkie przepisy ruchu drogowego, pędził do Marina del Rey, gdzie znaleziono samochód.

Bentz próbował się uspokoić. To nie Olivia. Żyje, jest cała i zdrowa. Gdzieś. To nie Olivia.

Nie mógł siedzieć spokojnie, skręcał go niepokój.

Samochód policyjny był odgradzony, dokoła kręcili się mundurowi. Dwa wozy strażackie stały w pobliżu, ze szlauchów sączyła się woda, spływała brudnymi strumykami do studzienek kanalizacyjnych. Wypalona skorupa samochodu tliła się jeszcze. Powietrze przesycił ohydny zapach palonej gumy, plastiku i, co najgorsze, ciała.

Bentz wyskoczył z samochodu, ledwie Hayes się zatrzymał. Zignorował blokadę, podbiegł do pierwszego policjanta.

– Ciało w samochodzie. Kto to? – wyrzucił z siebie. O Boże...

– Kim pan jest, do cholery?

Bentz wyjął legitymację. W tej samej chwili podeszli Martinez i Hayes. Przedstawili się.

Oficer skinął głową usatysfakcjonowany.

– Jeszcze nie wiemy, zwłoki zabrano już do kostnicy, ale powiem wam szczerze, że niełatwo będzie je zidentyfikować.

Bentzowi zrobiło się niedobrze.

– Kobieta? – zapytał.

– Tak sądzimy. Miała przy sobie dokumenty, nadpalone, ale udało mi się odczytać numer seryjny. Już sprawdziłem. Samochód zarejestrowany na tę samą osobę. Sherry Petrocelli, LAPD. Sądzę, że to ona była na tylnym siedzeniu.

Bentz poczuł taką ulgę, że o mało nie zemdlał. Zamknął oczy, zacisnął pięści i starał się wziąć w garść. Desperacko czepiał się nadziei, że Olivii nie spotkał tak straszliwy koniec.

Wraz z nadzieją pojawiły się jednak wyrzuty sumienia. Ktoś zginął. Jeśli nie Sherry Petrocelli, to inna kobieta, która także miała rodziców, może dzieci, męża, przyjaciół. A on w głębi serca wiedział, że zginęła z jego powodu. Przez jego ego, przez jego obsesję na punkcie pierwszej żony. Jego zaślepienie Jennifer spowodowało śmierć tylu osób i ściągnęło śmiertelne niebezpieczeństwo na jego żonę. Ktoś wepchnął go do piekła za życia.

– Muszę ją zobaczyć – powiedział do Hayesa ochryple, przez zęby.

– Co?

– Muszę zobaczyć ciało.

– Jesteś pewien? – Hayes najwyraźniej był temu przeciwny. Pokręcił głową.

– Muszę mieć pewność, Jonas. Chyba rozumiesz.

– Nie, nie rozumiem. Na miłość boską, Bentz, to nie będzie przyjemny widok. – Hayes ciągle kręcił

głową, ale chyba zrozumiał, że go nie przekona... – Dobrze, zawiozę cię, ale żeby było jasne – uważam, że to zły pomysł. Cholera, człowieku. No dobra. Zrobimy to, potem podrzucę cię do wypożyczalni, a potem pojedziesz do motelu i tam się prześpisz.

Fatalnie wyglądasz.

Asystentka koronera w kostnicy starała się ich uprzedzić. Wstępne badanie NN wykazało, że palce zostały tak zniszczone, że nie da się zidentyfikować kobiety na podstawie odcisków.

Spłonęło osiemdziesiąt procent powierzchni ciała, na resztkach skóry nie było blizn ani tatuaży.

– Pewnie zidentyfikujemy ją na podstawie danych dentystycznych – stwierdziła.

Ale Bentz i tak chciał zobaczyć.

Sanitariusz, inny niż ten, który towarzyszył im przy oględzinach Fortuny Esperanzo, czekał na sygnał Hayesa.

Bentz przygotował się na makabryczny widok. W głowie mu huczało, strach nabrzmiwał, wysuszał gardło na wiór. A jeśli się myli? A jeśli to sztywne, poczerniałe ciało pod cienkim prześcieradłem to jednak Olivia? Boże, nie! Mało brakowało, a wyszedłby, ale opanował się, zacisnął pięści.

Hayes skinął głową. Sanitariusz uniósł materiał.

– O, cholera. – Martinez uciekła wzrokiem w bok. Hayes się skrzywił.

Na widok spalonego ciała i niewidzących oczu żołądek podszedł Bentzowi do gardła.

Resztki włosów otaczały twarz, poparzona niemal nie do poznania. W poczerniałych wargach bieleły zęby.

– To nie Olivia – powiedział, przełykając falę żółci.

Był pewien. Poczł ulgę i wyrzuty sumienia. Dzięki Bogu, Olivia nie cierpiała tak, jak ta biedaczka.

– To Petrocelli – orzekł Hayes. – Sherry Petrocelli z naszego posterunku. O Jezu, tego się nie spodziewałem. – Był wstrząśnięty, z trudem skinął na sanitariusza, by zakrył ciało. –

Wiedziałem, że znaleźli jej dokumenty, ale nie chciałem w to uwierzyć. – Otarł pot z czoła wierzchem dłoni. – Trzeba zawiadomić jej męża. Chyba ja to zrobię.

– Pojadę z tobą – zaproponowała Martinez. Lękliwie spojrzała na ciało na wózku. – Co za koszmar. Mam tylko nadzieję, że już nie żyła, kiedy ten świr podpalał samochód.

– Oby. – Hayes skinął głową. Po raz ostatni spojrzał na wózek. – Chodźmy stąd. Zawiozę cię do wypożyczalni, jeśli jeszcze jest otwarta, a potem przekazemy Jerry'emu Petrocelli złe wieści. – Westchnął. – Boże, jak ja tego nienawidzę.

– Ja też – przyznała się Martinez.

Blade światło świtu zaglądało przez niewielki bulaj, który Olivia zobaczyła dopiero teraz, wraz z pierwszymi promykami słońca. Pod osłoną nocy stateczek przejęły gryzonie.

Szumom i skrzypnięciom starej łodzi towarzyszył odgłos małych łapek stukających w drewniane deski. W pewnym momencie, przed świtem, wydawało jej się, że ktoś wszedł na pokład. Ale nawet jeśli tak, nikt nie zajął na dół mimo jej krzyków i błagań.

Prawie nie zmrużyła oka. Nerwy miała napięte jak postronki, przez całą noc oczekiwała, że w pewnym momencie łódź stanie w płomieniach, a ona zginie, udusi się czadem albo, co gorsza, spłonie żywcem.

Nie dopuści do tego. A jednak, ilekroć zamykała oczy, paraliżowały ją strach i ból.

Widziała swoją skórę, jak marszczy się w ogniu, czuła, jak płomienie chciwie pożerają mięśnie i kości. Ogień osmalił jej włosy i rzęsy... Krzyczała ze strachu pod pokładem pustej łodzi.

I nikt jej nie słyszał.

Wizja była tak przerażająca, tak boleśnie rzeczywista, że Olivia starała się nie zamykać oczu. Ponura cuchnąca klatka była lepsza niż te wizje.

Jednak rzeczywistość oznaczała także walkę z przeznaczeniem. Wiedziała, że musi walczyć. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, musi zaatakować porywaczkę. Wolałaby zmierzyć się z nożem czy pistoletem, niż tkwić w klatce jak zwierzę, czekając na kolejny krok wariatki.

Teraz przynajmniej minęło dość czasu i nie tylko jej umysł, ale także ciało funkcjonowały sprawnie.

Na zewnątrz wschodziło słońce, a ona planowała ucieczkę. Nie ulęknie się, nawet jeśli porywaczka jej zagrozi. Proszę bardzo.

Kim jest ta wariatka?

I czego chce?

Dlaczego ją porwała?

Co gorsza, jakie ma plany?

Na pewno nic dobrego, tyle Olivia już wiedziała.

I to ją przerażało.

Nie panikuj. Myśl. Zastanów się, jak się stąd wydostać. Jesteś bystra, a tu masz różne narzędzia. Musisz tylko pomyśleć, jak się do nich dostać i jak ich użyć.

Rozglądała się dokoła, ale pod pokładem było niewiele, jeśli nie liczyć śmieci i szurzących odchodów, dowodów, że i one mieszkały na tej starej łajbie. Świetnie. Wołała o nich nie myśleć. Domyślała się, że jest w ładowni, w klatce do przewozu zwierząt. Wiadro miało jej służyć za ubikację, dzbanek z wodą zapewniał picie.

Dotychczas nie skorzystała ani z jednego, ani z drugiego, ale to zaraz się zmieni.

Na jednej ze ścian wisiał mop, na drugiej – harpun i wiosła. I jeszcze zamknięta szafka wbudowana w ścianę. Poza tym było tu pusto, tylko na środku wznosiły się schody prowadzące na pokład.

Obmacała metalowe pręty. Porządnie umocowane, nie zdoła ich ruszyć, nie prześlizgnie się między nimi. Podobnie furta. Bez klucza niemożliwe. Podniosła skute ręce i obmacała zawiasy w drzwiach. Siedzą mocno. Nie wyjmie ich.

Nie. Na razie jest uwięziona.

I traci rozum.

Skuta, mogła sobie badać więzienie, ale nie mogła stąd wyjść. Usiłowała zdjąć wiosło albo harpun ze ściany, ale to okazało się niemożliwe. Potencjalna broń zdawała się z niej szydzić.

Nie. Musi poszukać innego wyjścia. Kiedy porywaczka wróci – bo chyba kiedyś wróci? –

zwabi ją do klatki i spróbuje albo wykraść jej klucz, albo pokonać ją w walce.

Nie będzie łatwo. Porywaczka jest bystra i twarda. Silna. Silniejsza niż wygląda – Olivia zorientowała się po tym, jak sobie poradziła, niosąc ją na pokład.

Musisz ją przechytryć. To nie będzie łatwe, ale musisz udawać, że się załamałaś, postaraj się zdobyć jej zaufanie, a potem zaatakujesz z zaskoczenia. Niech ci się nie wymknie, że jesteś w ciąży. Użyj tego przeciwko tobie i Bentzowi, więc ani słowa.

Nieważne, kim jest porywaczka. Zaplanowała zemstę na Bentzu krok po kroku.

Niełatwo będzie ją oszukać.

Ale Olivia da sobie radę. Nie ma innego wyjścia.

Nie mogę zasnąć. Za dużo emocji, za dużo się dzieje.

Teraz jeszcze mniej niż kiedykolwiek mogę sobie pozwolić na błąd. Jeden niewłaściwy ruch i wszystko pójdzie na marne; tyle planowania, tyle czekania, tyle marzeń o tym, jak Bentz rozsypuje się na kawałki. Słowo dnia? Rozwaga. Muszę wyglądać jak gdyby nigdy nic, jakby w moim życiu nic się nie zmieniło.

Na wszelki wypadek, gdyby ktoś mnie obserwował.

Przez całą noc wpatruję się w tarczę zegarka. W końcu wstaję tylko pół godziny wcześniej niż zwykle, przyrządzam koktajl energetyczny dla siebie i kanapkę dla niej.

Najchętniej zabiłabym ją i miałabym to już z głowy, ale nie mogę, jeszcze nie teraz. Więc na razie, muszę utrzymać ją przy życiu.

Udaje mi się nawet wpaść do klubu na sesję na siłowni i przepłynąć kilkanaście długości basenu. Starzy bywalcy mnie rozpoznają, machają i zagadują. Przypomina mi to, jak ważne jest trzymanie się ustalonego rozkładu. Rutyna, rutyna i jeszcze raz rutyna.

Na razie żadne moje zachowania nie wydają się podejrzane.

Macham ręką i rozmawiam ze znajomymi rannymi ptaszkami, wchodzę na wagę i jęczę dramatycznie. Oczywiście tak naprawdę moja waga jest idealna, zawartość tłuszczu w moim ciele jest niższa niż u sportsmenek.

Następnie idę pod prysznic i do szatni, ubieram się spokojnie, chociaż już umieram z ciekawości, jak sobie radzi żalosna żoneczka Bentza. Z trudem się powstrzymuję, by nie pobiec do samochodu. Jadąc do magazynu, z którego muszę zabrać niezbędne rzeczy, przekraczam dozwoloną prędkość o siedem kilometrów. Spoglądam na zegarek, włączam się do ruchu i jadę na przystań.

Wszędzie kręcą się ludzie, głównie żeglarze i rybacy, ale nikt na mnie nie patrzy, nie zwraca uwagi. Niby dlaczego? Przecież tu jest moje miejsce; tysiące razy wchodziłam na pokład tej łodzi.

Ryzykuję, jeśli chodzi o czas, ale nie mogę się doczekać, by zobaczyć, jak sobie radzi nasza mała Liwie. Mam przy sobie paralizator na wypadek, gdyby stała się agresywna. Ale oczywiście nie ma na to szans.

Cudownie.

Zachwyca mnie władza, jaką mam nad żoną Bentza.

Z torbą treningową na ramieniu wchodzę na łódź. sprawdzam, czy nie mam jakiegoś towarzystwa, a potem schodzę pod pokład. Metalowe schodki potęgują odgłos moich kroków.

Oczywiście czeka na mnie, siedzi na podłodze. Sądząc po jej podkrążonych oczach, spała jeszcze gorzej niż ja. Ciemne smugi pod oczami, splątane włosy, zaczerwieniona, podrażniona skóra wokół ust – pamiątka po zerwanej taśmie. Jej ubranie jest pogniecione, brudne. Mówiąc krótko – wygląda okropnie.

Ciepło mi się robi na tę myśl. Szkoda, że szanowny małżonek nie może jej teraz zobaczyć. Ale nie wrzeszczy. Nie szlocha i nie błaga o wolność, więc jestem trochę rozczarowana. Chciałabym ją złamać, zobaczyć, jak się poniża i żebrze o życie. Marzyłam o tej chwili do dawna. Ale najwyraźniej ten dzień jeszcze nie nadszedł.

Czas ucieka. Już niedługo Olivia będzie błagała o życie. Na razie na to za wcześnie. Nie wie jeszcze, co ją czeka.

– Dzień dobry – mówię słodkim głosem.

– Kim jesteś? – Agresja i bojowość w jej głosie.

– Pomyślałam, że jesteś głodna.

– Dlaczego mnie tu trzymasz?

– Hm... mam kanapkę. Z masłem orzechowym. Wiem, nieodpowiednia na śniadanie, ale nie miałam czasu na coś innego. – Sięgam do torby i kątem oka widzę, jak Olivia się podnosi.

– Wypuść mnie. – Stoi twarzą do mnie, spogląda spoza krat, patrzy mi prosto w oczy. Jest spokojniejsza, niżbym tego chciała.

Podnoszę głowę.

– Nie sędzę. – Uważa mnie za idiotkę czy co?

– Nie wniosę oskarżenia.

Mówi poważnie. Jest zdesperowana. I dobrze. To mi się bardziej podoba.

– Och, oczywiście, już ci wierzę – kpię. Idiotka. – Tyle pracy kosztowało mnie ściągnięcie cię tutaj i myślisz, że teraz, ot tak, wypuszczę cię? Chyba jesteś na to za mądra.

– Dlaczego to robisz? Kim jesteś? Bo nie Sherry Petrocelli.

– Bingo! – Udaję, że naciskam przycisk, jak w teleturnieju. – Punkt dla blondynki w klatce.

– Czego ode mnie chcesz? – Nie daje za wygraną, myśli tylko o jednym. Zupełnie jak Bentz.

– Od ciebie? Niczego – mówię szczerze.

– Chodzi o mojego męża.

– I znowu trafiony! Masz na koncie dwie poprawne odpowiedzi. Jeszcze jedna i trafisz do rundy specjalnej.

– Uważasz, że to żart? Zabawa? – Patrzy na mnie jak na wariatkę, chociaż to ona siedzi za kratami.

– Żart? Nie. – Czuję, jak Jódz się chwieje, dociera do mnie zapach zwierząt, które zajmowały to pomieszczenie przed nią. – Zabawa? Być może. Tylko ja znam wynik. Ty, niestety, nie doczekasz końca.

– Powiedz mi teraz.

Ho, ho, ma jaja! Niby co ona sobie myśli, ciągnąc mnie z język? Zadając pytania, choć powinna być przerażona, załamana i błagać o życie? To ja kontroluję sytuację. Nie rozumie tego?

– Nie musisz niczego wiedzieć.

– Znasz mojego męża?

– PJ? Oczywiście.

– Więc to ty udawałaś Jennifer?

Nie mogę się powstrzymać, muszę się roześmiać. A potem buczę.

– Buuuu, zła odpowiedź. Przykro mi, przegrałaś. Musisz zostać tam, gdzie jesteś. Sama.

To twoja wygrana. – Nie uśmiechnęła się nawet. Suka. Nie ma poczucia humoru. – Słuchaj, nie mam dużo czasu. Pomyślałam, że coś ci pokażę, dam ci coś do jedzenia i uciekam.

Chwileczkę... – Teatralnie długo szperam w torbie, wsuwam przez pręty puszkę di*. Peppera i zapakowaną kanapkę. Jestem w rękawiczkach, tak na wszelki wypadek. Ostrożności nigdy nie za wiele. Zostawiam jej żalosne śniadanie w klatce. Nie zwraca na nie uwagi.

Proszę bardzo. Chce się zagłodzić na śmierć? Nie ma sprawy.

Ale jestem pewna, że zaczyna pękać, na twardej powierzchni pojawią się zaraz pierwsze rysy. Na pewno okaże większe zainteresowanie albumem rodzinnym.

Otwieram księgę powoli i przechodzę do mojej ulubionej części – Bożego Narodzenia.

Jennifer siedzi w wielkim fotelu, Rick stoi za nią, władczym, zaborczym gestem kładzie jej rękę na ramieniu. W kącie stoi jasno oświetlona choinka, Kristi, bobas z szerokim uśmiechem i krzywą kokardką we włosach, siedzi na kolanach matki.

– Wiem, do świąt jeszcze daleko, ale pomyślałam, że ci pokażę. Kładę album na podłodze, poza jej zasięgiem, po mojej stronie prętów.

Patrzy z pogardą ale widzę, że fasada pęka. Patrzy na zdjęcia, wyczuwam w niej strach i gniew.

– Co to jest? – pyta ledwie słyszalnym szeptem. Album zadziałał. W końcu. – Skąd to masz?

– Żebyś miała o czym myśleć – mówię.

– Po co?

– Żebyś na własne oczy zobaczyła, do jakiego stopnia twój mąż miał obsesję na punkcie pierwszej żony. Uważam, że przed śmiercią każdemu należy się objawienie. – Uśmiecham się. – Wiesz, to tylko kwestia czasu.

Jest w szoku, a ja sięgam do torby i wyjmuję aparat fotograficzny. Szybko naciskam spust i utrwalam jej minę. Boskie zdjęcie.

– Twojemu mężowi na pewno się spodoba – mówię, patrząc na fotografię. – Na pewno. –

A potem, ze smakiem zwycięstwa na ustach, pakuję swoje rzeczy i wracam na górę.

Niech duma o ponurej przyszłości.

Wariatka, stwierdziła Olivia. Zimna, wyrachowana wariatka.

I ma obsesję na punkcie Bentza.

Została sama pod pokładem lekko kołyszącej się łodzi, czuła, jak strach ogarnia ją całą, pełza po niej chmara malusieńkich robaków. Wpatrywała się w zdjęcia w albumie leżącym zaledwie kilka stóp od prętów klatki. Świąteczna fotografia sprzed dwudziestu paru lat, a album jest gruby, między foliowymi przekładkami spoczywa dokumentacja wielu lat, praca chorego umysłu.

Dlaczego?

Kim jest?

Dlaczego tak bardzo zawzięła się na Bentza?

Nie żeby to miało znaczenie; najważniejsze to uciec. I to szybko. Olivia nie wiedziała, jak tego dokona, ale wiedziała, że musi się stąd wydostać – inaczej zginie.

To tylko kwestia czasu.

Na stronie albumu zauważyła coś jeszcze. Czerwone smugi... Krew? Czerwone krople rozmazane na zdjęciach, na folii. O Boże. Czyja to krew? Wariatki? Czy kogoś innego?

Jennifer.

Ona ma na jej punkcie obsesję.

Nie! Jennifer od dawna nie żyje.

Nagle zrobiło jej się niedobrze. Wiedziała, że zaraz zwymiotuje. Ledwie zdążyła do kubła, a szarpnęła nią fala mdłości, choć w żołądku miała niewiele.

Znowu!

Było jej słabo.

Niemożliwe, by to były poranne mdłości. Nie w taki sposób.

Nie, to nie ma nic wspólnego z ciążą. To reakcja na koszmar, jakim stało się jej życie.

Rozdział 34

Dentz miał wrażenie, że przez całą noc nie zmrużył oka. Od wielu godzin zastanawiał się, co się stało z Olivią. Gdzie jest? Czy jeszcze żyje?

Znalazł w Internecie billing jej komórki i przekonał się, że ostatnie połączenie wychodzące z jej telefonu odbyło się tuż po ich rozmowie, niedługo po tym, jak wylądowała w Kalifornii. Zapewne owa krótka rozmowa to połączenie z numerem Sherry Petrocelli.

Zadzwoił na wszelki wypadek i nie mylił się – trafił na jej pocztę głosową.

Według billingu po rozmowie z Petrocelli Olivia nie korzystała już z telefonu, były tylko krótkie wiadomości z innych numerów – jego i Hayesa.

– Cholera – mruknął pod nosem sfrustrowany.

Zadzwoił do Hayesa, przekazał mu uzyskane informacje i przypomniał, że telefon jego żony jest wyposażony w nadajnik GPS.

W tej dziedzinie operator komórkowy nie chciał mu pomóc; Hayes będzie musiał się posłużyć swoimi wpływami, żeby się czegoś dowiedzieć.

Skończywszy z komórką, Bentz buszował w sieci w poszukiwaniu wszystkiego na temat Yolandy Salazar i Fernanda Valdeza. Przyglądał się fotografii mężczyzny z prawa jazdy –

przesyłka od Montoi – i zastanawiał się, co mu chodzi po głowie. Sprawdził i potwierdził

większość tego, czego dowiedzieli się od Yolandy i Sebastiana, w tym – nazwę restauracji, w której pracował Fernando. Sebastian powiedział Hayesowi, że szwagier pracuje w Blue Burro. Bentz zamierzał odwiedzić ten lokal jeszcze tego samego dnia. Miał dosyć gry zgodnie z zasadami; teraz chciał już tylko poznać odpowiedzi, ł to szybko.

Zanim będzie za późno. Jeśli już nie jest za późno, przypomniał mu wewnętrzny głos, który odzywał się tak przez całą noc. Rano usiłował zmyć z siebie zmęczenie i strach.

Wyszedł na zewnątrz, był pochmurny kalifornijski dzień. Dochodziło dopiero wpół do ósmej rano, a już niebo zakrywała gruba warstwa smogu. Nieprzyjemne wrażenie potęgowało niespodziewanie chłodne powietrze. Zatrzymał się przy recepcji, spojrzął w stronę pokoju, w którym mieszkał przez prawie tydzień. Na parkingu nie było niebieskiego pontiaka. Pewnie Spike i jego właściciel się wyprowadzili. Na miejscu pontiaka stał wiekowy czerwony pikap.

Czas płynie.

Wszystko się zmienia.

Olivia zaginęła.

Strach i gniew zlewały się w jedno. Oby nic jej się nie stało. Oby.

Wszedł do recepcji, napił się kawy i z kubkiem w dłoni wyszedł na zewnątrz, żeby zadzwonić. Sącząc kiepską kawę, która szkodziła mu na żołądek, zadzwonił do Montoi. On także nie spał przez większość nocy, wyszperał coś więcej o rodzinie Valdezów. Okazało się, że Fernando studiuje teatrologię, interesuje się dramatopisarstwem. Yolanda wybrała księgowość. Nic ciekawego.

Gdyby nie ten cholerny samochód. Ten sam, którym jeździła Jennifer. Rozłączył się z poczuciem, że wie niewiele więcej niż wczoraj.

Nic już nie trzymało się kupy. Nic. Pograżony w ponurych myślach szedł do białej hondy, którą wczoraj wynajął. Zatrzymał się w sklepiku, kupił dwie babeczki i zjadł w drodze na cmentarz. Nie pamiętał, co ostatnio jadł, ale na pewno było to lepsze niż dzisiejsze śniadanie.

Koparka już pracowała. Nieco dalej stali grabarze z łopatami – najpierw maszyna, potem oni dokończą pracę ręcznie. Stali w zwartej grupce, śmiali się, żartowali i palili, a Bentz czuł, że świat wali mu się na głowę.

Patrząc, jak ramię koparki zagłębia się w ziemię, wrócił myślami do dnia pogrzebu. Stał

wówczas u boku załamanej córki i patrzył, jak trumna z ciałem Jennifer znika w grobie.

Twarze żałobników zlewały się w jedną masę, ale pamiętał, że były Shana i Tally, Fortuna i Lorraine, a także wielu innych przyjaciół i krewnych. Ceremonię prowadził brat Bentza, szary na twarzy, zrozpaczony. Modlił się, mruczając coś niewyraźnie pod nosem, gdy słońce skryło się za ołowianą chmurą. James kochał Jennifer, powiedział to na głos, ale tylko nieliczni wiedzieli, że kochał ją miłością, jaka nie przystoi synowi Kościoła. Śluby czystości dławili go bardziej niż koloratka. Bentz ucisnął dłoń Kristi i napotkał spojrzenie Alana Graya, mężczyzny, za którego Jennifer prawie wyszła, póki nie poznała Bentza i nie została żoną gliniarza. Na pogrzebie stał z boku, milioner nie pasował do zwykłych śmiertelników. Miał

nieprzeniknioną twarz i obojętny głos, jakby grał w pokera w Vegas. Bentz odwrócił wzrok.

Gray odszedł przed końcem pogrzebu. Bentz uważał wtedy, że Gray dziwnie się zachował, ale potem o tym zapomniał.

Teraz chłonał wzrokiem surrealistyczną scenę – koparka wykopuje ziemię z grobu jego żony. Niesamowitą atmosferę potęgowała gęsta mgła. Bentz był święcie przekonany, że w trumnie spoczywa Jennifer.

Kto inny?

A jednak był spięty, spodziewał się najgorszego. Pocił się mimo chodu. Grabarze właśnie zabierali się do pracy, gdy zjawił się Hayes w jasnym garniturze, który wyglądał, jakby przed chwilą odebrał go z pralni, ciemna koszula i krawat pasowały do wypolerowanych butów.

Wieczny dandys.

– Żona się nie odezwała? – zapytał.

- Myślałem, że ty coś wiesz.
- Pracuję nad tym. – Hayes poprawił krawat. – Namierzyliśmy telefon dzięki GPS – dodał.
- Co?
- Nie ciesz się. Wyrzucono go. Znaleźliśmy go w piasku pod moło Santa Monica.
- Cholera!
- Sprawdzamy zapis z kamer. Na razie niczego nie mamy, ale to dopiero początek.

Santa Monica. Znowu. Zrobiło mu się niedobrze. Wiedział, dlaczego telefon podrzucono akurat tam. Z powodu Jennifer. Bo to miasteczko i to moło stanowiły tak ważne elementy jej życia, ich wspólnego życia. Porywacz mu to pokazywał, drażnił, drwił.

- Sukinsyn. – Bentz nie mógł opanować ogarniającej go wściekłości.
- Jennifer – syknął. – Bawi się mną.
- To nie Jennifer. – Hayes wskazał głową trumnę.

– Wiem... Wiesz, co mam na myśli. Kobieta w samochodzie. Była do niej bardzo podobna. Bardzo, ale to nie był ten głos, była za młoda, widziałem ją z bliska i już wiem, że to nie ona, ale do cholery, tyle o niej wiedziała... o nas. – Przeszył go dreszcz. Przypomni

sobie, jak ją całował, dotykał. Jego żołądek aż podskoczył na wspomnienie jej smaku i tego, jak go potraktowała. Wściekły na siebie usiłował się skupić, myśleć jak policjant, nie jak mąż.

- No dobra. Czyli telefon to ślepy trop. Coś jeszcze?
- Sprawdzamy wszystko, rozmawialiśmy ze świadkami, którzy widzieli Olivię na lotnisku z Petrocelli. Sprawdzamy zapisy kamer z lotniska i przebieg dnia Petrocelli.

Za mało, pomyślał Bentz.

- A FBI?
- Kapitan rozmawia z...
- To porwanie, Hayes.
- Jeszcze nie minęły dwadzieścia cztery godziny. Nie żeby wydział osób zaginionych kierował się...
- Mam nadzieję. Do cholery! Nie żyje policjantka. I kilka innych osób. A więc mamy nie tylko porwanie, ale i seryjniaka! Federalni powinni być zainteresowani.

– Sprawdzają już siostry Springer. Nie wiemy jeszcze, czy te wszystkie sprawy są ze sobą powiązane – przyznał Hayes. – Bledsoe się tym zajmuje.

– Świetnie. – Bentz nie mógł znieść myśli, że życie Olivii może zależeć od wyników pracy Andrew Bledsoe. – A Fernando Valdez? Rozmawiałeś z nim?

– Ciągłe go szukamy. Wczoraj wieczorem nie wrócił do Salazarów, obserwowaliśmy dom. – Spojrzał na Bentza. – Rozmawiałem z Jerrym Petrocellim. Był załamany.

– Nie dziwię się – mruknął i błagał niebiosa, by nie on był następnym mężem, który się dowie, że jego żona zginęła z ręki psychopaty. Oby nie.

Patrzył, jak sześciu silnych mężczyzn niesie trumnę na ciężarówkę... podobnie jak przed laty, w dzień pogrzebu. Skrzynia zniknęła mu z oczu.

– Teraz przynajmniej będziemy wiedzieli, czy to Jennifer – powiedział, gdy zatrzasnęły się drzwi.

– Nie potrwa to długo – zapewnił Hayes. – Już mamy dane od jej dentysty. Specjalista porówna je z tym, co znajdzie w czaszce.

A potem co? – zastanawiał się Bentz. Morze nie wyrzuciło kolejnego ciała, więc nadal nie wiedzieli, co się stało z kobietą, która udawała Jennifer, zwabiła go na wybrzeże i skoczyła.

Dlaczego to zrobiła? Kim jest naprawdę? Dlaczego go dręczy? I co zrobiła Olivii?

Hayes chyba czytał w jego myślach.

– Znajdziemy ją – powiedział. Zadzwoił jego telefon. – Później pogadamy, Bentz. –

Wyjął aparat z kieszeni i podniósł do ucha, idąc do swego wozu.

Ciężarówka z trumną już odjechała. Bentz został sam nad dziuraw ziemi, w której, jak sądził niegdyś, na wieki składa pierwszą żonę. Przeszył go dreszcz, jakby ktoś obserwował go z ukrycia, śledził każdy krok. Rozejrzał się, wpatrywał we mgłę. Wydawało mu się, że widzi ludzką postać, zaraz jednak rozplynęła się wśród drzew. Czyżby ktoś go obserwował z zarośli po drugiej stronie ogrodzenia?

Powtarzał sobie, że to tylko rozszalała wyobraźnia, że podziałała na niego ekshumacja, ale i tak ruszył tam, gdzie, jak mu się zdawało, poruszyły się gałęzie. Był bliżej i teraz miał

pewność, że widział zielone oczy. Zielone! Jak Jennifer! Przyglądały mu się przez mgłę.

Jego puls przyspieszył.

– Niemożliwe – wycedził przez zęby.

Ale i tak musiał to sprawdzić. Szedł coraz szybciej, biegł wpatrzony w miejsce, w którym po raz

pierwszy zobaczył ruch. Kolano i udo protestowały boleśnie, ale nie zwracał na nie uwagi. Dobięgi do ogrodzenia, przeskoczył je, wylądował na zdrowej nodze.

W zaroślach nikogo nie było, nie patrzyły na niego żadne zielone oczy. A przecież dałby sobie rękę uciąć, że ktoś tu był, obserwował... Czekał, jakby wiedział, że przyjedzie na ekshumację. Ktoś, kto wie, gdzie jest Olivia.

Cholera.

Doszedł do kępy drzew, nieruchomych w kłębach mgły. Widział ją tutaj, potem zniknęła w zaroślach.

Duch we mgle.

– Gdzie jesteś, suko?

Metodycznie przeszukiwał teren, pas drzew, krzewów i trawy między cmentarzem a autostradą.

W akcie rozpaczony zajrzał za płot. Nic.

Nikogo tu nie było, stwierdził. Tylko ty i twoja paranoja. I twory twojej wyobraźni.

Rozejrzał się po raz ostatni. Nic.

– Cholera. – Ponownie przelazł przez płot, nadal nie zwracając uwagi na ból w chorej nodze, i postanowił, że weźmie prawo w swoje ręce. Owszem, Hayes i LAPD robią, co w ich mocy, by odnaleźć Olivię, ale trzymają się zasad, robią wszystko zgodnie z przepisami, a on miał w nosie reguły i dochodzenie.

Olivia zaginęła.

Może już nie żyje.

Nie będzie dłużej zwlekał.

Zrobi wszystko, co w jego mocy, by odnaleźć żonę.

– Pieprzyć to. – Montoya odłożył słuchawkę. Nie będzie siedział na ławce rezerwowych, kiedy mecz toczy się gdzie indziej. Bentz ma kłopoty. Widzi duchy, do cholery. A teraz jeszcze zaginęła Olivia. Bentzowi odwali jeszcze bardziej, a on niewiele może tutaj, w Nowym Orleanie.

A zatem – witaj, Kalifornio.

I tak miał przed sobą dwa dni wolnego, zresztą należał mu się jeszcze zaległy urlop. Nie czekał nawet na koniec zmiany, powiedział Jaskiel, że będzie pracował w domu i wyszedł.

W drodze do domu zadzwonił do Abby i wszystko jej powiedział. Nie miała nic przeciwko, na szczęście.

– Rób, co musisz – powiedziała. – Ale uważaj na siebie, dobrze? Nie bardzo mi wychodzi rola słodkiej pielęgniarki.

– Obiecuję. – Rozłączył się z uśmiechem na ustach.

W domu spakował się szybko, wsiadł do mustanga i pojechał na lotnisko.

Hayes wrócił do biura i zastał tam szalejącego Bledsoe – usiłował obciążyć Bentza wszystkimi zbrodniami, do których doszło w Los Angeles i okolicach w ciągu ostatniego tygodnia.

– Mówię tylko – grzmiał, gdy Hayes spotkał go w toalecie – że gdyby tu nie przyjechał, co najmniej pięć osób żyłoby do dzisiaj. – Zapiął rozpiorek, podszedł do umywalki. – Zapytaj krewnych Mcintyre, Newell, Esperanzo i sióstr Springer.

– To nie są gliniarze, rozumują inaczej.

– Och, dodaj jeszcze Donovana Caldwell, Alana Graya i nawet Bonitę Unsel.

Rozmawiałem z nimi i wiesz co? Wszyscy uważają, że to Bentz.

Hayes pokręcił głową.

– To nie są policjanci.

– Unsel tak.

– I ma żal do Bentza. Byli kiedyś razem.

– Też mi problem. Bentz był swego czasu niezłym casanową. Złamał wiele serc w wydziale. – Ze złośliwym uśmiechem dodał: – Nawet twoja dziewczyna z nim romansowała.

Hayes się tego spodziewał – cały Bledsoe. Zmienił temat.

– Rozmawiałeś z Grayem? Bledsoe skinął głową.

– Wrócił do Los Angeles, to znaczy do Marina del Rey, tam cumuje jego jacht.

Nienawidzi Bentza.

– Więc może go wrabia – podsunął Hayes.

– Ma za dużo władzy i pieniędzy, by się przejmować takim zerem jak Bentz.

– Ale przecież Rick odbił mu Jennifer?

– Myślisz, że go to obchodzi? – skrzywił się Bledsoe. – Alan Gray ma tyle kobiet, że Hugh Hefner zzieleniałby z zazdrości.

– Więc mu nie mów – prychnął Hayes. – Gray ma duszę hazardzisty. Nie lubi przegrywać. Zresztą nikt nie lubi.

– Ale tyle czekać? Ile to już... dwanaście, trzynaście lat?

– Więcej. Jennifer była z Grayem, zanim wyszła za Bentza. Raczej jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści.

– Alan Gray ma ciekawsze rzeczy do roboty niż noszenie urazy przez trzydzieści lat.

Zejdź na ziemię, Hayes.

Hayes nie zdołał opanować irytacji i było to słychać w jego głosie.

– Obaj wiemy, że to nie Bentz, jesteś na niego wściekły i tyle. – Stał nad pisuarem. –

Odpuść sobie, Bledsoe. Jesteś na to za dobrym gliniarzem.

– A ty nie patrzysz obiektywnie. Masz klapki na oczach, człowieku. Szukamy nie tam, gdzie trzeba; powinniśmy obejrzeć Bentza pod lupą. – Bledsoe wyszedł na zewnątrz. W

kabinie rozległ się szum spuszczonej wody.

Trinidad wyszedł z gazetą pod pachą. Spojrzał na drzwi.

– Co za dupek – mruknął i podszedł do umywalki.

– Nic nowego.

– Ale to dobry glina. Zazwyczaj ma instynkt.

– Chce wrobić Bentza.

– Nie. – Trinidad urwał papierowy ręcznik. – Mówi tylko, że mamy mu się przyjrzeć. –

Wytrzeł ręce, zgniótł ręcznik i cisnął do kosza z gracją szkolnego mistrza koszykówki. –

Przecież to nie zaszkodzi. – Umilkł na chwilę. – Bentz myślał, że ratuje mi życie i zabił dzieciaka. Bywa. Nie uważam go za świętego. Popęłnił wiele błędów, jak my wszyscy.

Osobiście uważam, że jakiś świr go wrabia. I właśnie jego musimy szukać.

Hayes skończył sikać. Trinidad wyszedł. Może obaj, Bledsoe i Trinidad, mają rację.

Może rzeczywiście, broniąc Bentza, Hayes nie przyjrzał mu się dokładnie, nie zobaczył wszystkiego. Ktoś go wrabia, ktoś, kto miał jakiś związek z jego byłą żoną.

Ktoś, kto ostrzył ostrze zemsty latami.

Pytanie tylko, jak go znaleźć.

Bentz zaciskał dłonie na kierownicy i usiłował nakreślić granicę między wyobraźnią a rzeczywistością.

Czy naprawdę widział Jennifer?

Czyżby wariatka, która skoczyła do oceanu, nadal żyła i drażniła się z nim? A może to, co widział, to produkt jego umęczonej wyobraźni? Nie wiedział. Jechał do Encino. Wiedział

jedno – GPS w telefonie, ostatnia nadzieja na odnalezienie Olivii spaliła na panewce.

Koniec.

Tak bardzo liczył, że odnajdzie ją tym sposobem.

Ale się pomylił.

Znowu.

Więc wrócili do Encino, by stąd ruszyć kolejnym wątpliwym tropem. Był przemęczony i niewyspany, ale nie spocznie, póki nie znajdzie Olivii.

Uczelnia, na której studiowali Yolanda Salazar i jej brat Fernando Valdez, mieściła się zaledwie osiem kilometrów od domu Salazarów. A knajpa Blue Burro, w której pracował

Fernando, przysiadła dokładnie w połowie drogi między domkiem w Encino a college'em.

Nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że Fernando mógł się tu poruszać na piechotę, rowerem. Mógł także jeździć autobusem, który stawał cztery przecznice od domu, potem przy knajpie i tuż koło kampusu. Albo, zakładając, że pozostali kłamali w żywe oczy, mógł

posłużyć się innym wozem albo poprosić Yolandę czy Sebastiana, żeby go podwieźli.

Pozostawało tylko jedno pytanie, to samo od początku: kim była kobieta, którą widział za kierownicą jego samochodu? Dzisiaj się tego dowie, bez względu na wszystko. Nie ma czasu do stracenia. Tu, w Los Angeles, jest dla policji osobą niepożądaną. Jego praca w Nowym Orleanie wisi na włosku.

Szczerze mówiąc, w tej chwili nic go to nie obchodziło. Liczyło się jedynie bezpieczeństwo żony.

Zostawił samochód na parkingu dla gości, znalazł sekretariat, machnął odznaką, zrobił

surową minę i przekonał zastraszoną dziewczynę, żeby mu wydała rozkłady zajęć Fernanda i Yolandy.

Za pomocą darmowych mapek udało mu się ustalić, gdzie oboje powinni dzisiaj przebywać. Oczywiście pech chciał, że Fernando spóźnił się na wykład, ale wieczorem miał

wrócić do Sydney Hall na kolejny wykład.

Dobrze.

Bentz wróci tu przed wykładem.

Nie mógł się doczekać rozmowy z tym chłopakiem.

Mam mało czasu. Jest biały dzień, mgła się unosi, ale muszę zaryzykować.

Wychodzę z pracy, jadę prosto do domu, zrzucam zdjęcie Olivii z aparatu na komputer, drukuję. Cały czas mam na rękach cienkie rękawiczki – nie ma sensu teraz ryzykować. Efekt zapiera dech w piersiach. Udało mi się uchwycić wyraz przerażenia na jej twarzy. Kadruję zdjęcie, usuwam wszystko, co może zdradzać, gdzie jest. Widać jedynie pręty klatki i przerażoną kobietę patrzącą z rozpaczą w obiektyw.

– Faza pierwsza – mówię radośnie.

A potem, nie marnując więcej czasu, usuwam zdjęcie z twardego dysku i wsuwam fotografię do koperty. Zamiast czekać cały dzień, aż dostanie ją pocztą, wolę przyspieszyć rozwój wydarzeń. Zranić go bardziej. Niech sam zazna rozpaczę po utracie ukochanej osoby.

O, tak. Rick Bentz już wkrótce się przekona, czym jest samotność.

Wkładam dres i kurtkę, ukrywam włosy pod czapczką baseballową, zakładam adidas i okulary przeciwsłoneczne. Kiepskie przebranie, ale musi wystarczyć. W taką pogodę dres rzuca się w oczy, ale całkowicie zmienia figurę, podobnie jak stanik za mały o dwa rozmiary.

Usatysfakcjonowana piszę jego nazwisko na kopercie, jadę do motelu w Culver City, w którym się zatrzymał.

Rozglądam się – nie ma go. Nidzie nie widać jego białej hondy.

Parkuję kilka przecznic dalej i ruszam biegiem z kopertą pod pachą. Pochylam głowę, by nie widziały mnie kamery ruchu drogowego, i wymierzam tempo tak, że na skrzyżowaniach prawie nie muszę zwalniać. Koło motelu przebiegam przez parking i rzuca kopertę na ziemię koło wejścia do recepcji. Kątem oka widzę dzieciaka za kontuarem, ale nie interesuje go nic poza telewizorem umocowanym w rogu.

Czuję przyływ adrenaliny, gdy wracam do samochodu. Jadę na stację benzynową, znikam w toalecie, przebieram się. Przeglądam się w popękany lusterku, poprawiam fryzurę, pudruję policzki, by ukryć rumieniec.

Płacę za benzynę gotówką, wsiadam do samochodu i wracam do pracy. Po raz pierwszy od lat marzy

mi się papieros, tak dla uspokojenia nerwów, ale ignoruję to pragnienie.

Najchętniej zajrzałabym do motelu, by się upewnić, że durny dzieciak przekaże przesyłkę, ale biorę się w garść. Nie ma sensu ryzykować bez powodu.

Żałuję jednak, że nie zobaczę miny Bentza, gdy otworzy kopertę. Widok jego miny byłby bezcenny.

Rozdział 35

Bentz był na autostradzie, gdy zadzwonił telefon. Wyświetlacz pokazał nazwę i numer motelu SoCal Inn.

– Bentz.

– Cześć, tu Rebecca z SoCal. Mieliśmy dzwonić, gdyby wydarzyło się coś dziwnego.

Bentz zacisnął dłoń na kierownicy.

– Tak.

– Znaleźliśmy kopertę zaadresowaną do ciebie.

– Kopertę? – powtórzył.

– No, tak. Myślałam, że może ci wypadła, kiedy wychodziłeś.

– Nie. – Pomyślał o ostatniej kopercie, którą otrzymał – zawierała zdjęcia Jennifer i pomazany akt zgonu. Ani przez chwilę nie wątpił, że ta pochodzi od tego samego nadawcy. –

Dobrze, zaraz tam będę. Nie otwieraj jej. Będę za dziesięć minut, najdalej za kwadrans. –

Szukał zjazdu, zmieniał pasy, zwolnił dopiero na czerwonym świetle poza autostradą.

Kolejne zdjęcia? Dokumenty? O Boże... Niech dotyczą Jennifer, nie Olivii.

Burczało mu w brzuch. Nerwowo bębnił palcami o kierownicę.

Co teraz? Do cholery, co ma teraz robić?

Światło zmieniło się na zielone. Skręcił w lewo, przemknął pod wiaduktem, zawrócił na południe. Światła ruchu mu sprzyjały. Nacisnął gaz do dechy.

Wiedział doskonale, że nie upuścił żadnej koperty, wychodząc przez recepcję.

Zatem ktoś ją tam dla niego zostawił. Tym razem bez pośrednictwa poczty.

Skurczybyk.

Psychopata, który pociąga za wszystkie sznurki w tej rozgrywce, poczyną sobie coraz śmieiej.

Nie mógł pozbyć się wrażenia, że tym razem paczuszka zawiera coś, co ma związek z Olivią. Żądanie okupu? Czy coś gorszego? Było mu słabo, z trudem koncentrował się na drodze do Culver City. Czas jakby stanął w miejscu, strach wypalał mu dziurę w żołądku, ale dziesięć minut po rozmowie telefonicznej wjechał na znajomy, popękany parking, zgasił

silnik i pobiegł do recepcji.

Rebecca czekała.

Koperta leżała na kontuarze, zaadresowana tym samym pismem, co poprzednia ze zdjęciami Jennifer i aktem zgonu.

– Znalazłam ją na progu. Nie było mnie, sprawdzałam zacinający się zamek w jednym z pokoi, Tony został tutaj. Nie wie, kto to podrzucił.

Bentz uważnie oglądał cienką kopertę. Rebecca podała mu nóż do papieru. Ostrożnie rozciął bok. Rebecca patrzyła ciekawie, jak wyjmuje ze środka pojedynczy arkusik papieru.

– O Boże – szepnęła i zakryła usta dłonią gdy na kontuar wypadło zdjęcie Olivii.

Pod Bentzem ugięły się kolana. Zobaczył Olivię, piękną Olivię, która z przerażeniem w oczach patrzy prosto w obiektyw. Błada jak ściana, stała za kratami, jak w więzieniu na Dzikim Zachodzie. Miała splątane włosy, przekrwione oczy, podrażnioną skórę wokół ust –

zapewne pamiątka po kneblu. Zniknęła z niej cała wola życia, cały ogień. Była śmiertelnie przerażona.

– Cholera! – Zacisnął zęby. Kiedy dopadnie tego psychola, rozerwie go na strzępy.

Ale ona żyje, pomyślał. To już coś!

Z duszą na ramieniu potrząsnął kopertą, spodziewając się, że będzie w niej jeszcze liścik, ale nie. Tylko koszmarnie zdjęcie.

Ty to zrobiłeś, Bentz. Porwano ją jest uwięziona i być może torturowana tylko i wyłącznie przez ciebie, przez twoją obsesję, przez ściganie Jennifer.

Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju.

– Co... Co to jest? – wykrztusiła Rebecca.

– To moja żona – wydusił łamiącym się głosem.

– O Boże... Tak mi przykro. – Nerwowo zwilżyła usta językiem, nie odrywając wzroku od fotografii.

– Gdzie ona jest? Co się z nią dzieje? To żart, prawda? To taki głupi żart? –

Spojrzała mu w oczy i już wiedziała. – O Matko Boska. – Zamrugła powiekami. Miała łzy w oczach.

– Gdzie Tony? – zapytał Bentz.

– On.. Zaraz... Przepraszam. – Odwróciła się przez ramię i zawołała syna.

– Wiesz może, czy przyjrzał się osobie, która to przyniosła? – Wskazał głowa kopertę.

– Nie sędzę. – Odchrząknęła, podeszła do drzwi dzielących recepcję od pomieszczeń dla personelu.

– Tony! – zawołała ostrzej. – Jest chory, dlatego nie poszedł do szkoły.

Jasne.

Kilka sekund później pojawił się Tony we własnej osobie, podłączony do iPod'a, z którego docierała głośna muzyka. Z rękami w kieszeniach wszedł do pomieszczenia, gdy Bentz chował zdjęcie do koperty. Chłopak, trzeba przyznać, rzeczywiście pociągał nosem.

Przeziębienie? Czy efekt kokainy? W tej chwili Bentzowi było to obojętne.

Rebecca wyjęła synowi słuchawkę z ucha.

– Pan Bentz pyta, czy widziałeś, kto to zostawił?

– Nie. – Tony wbił wzrok w podłogę.

– Na pewno?

Dzieciak wzruszył ramionami.

– No. Chyba tak.

– Chyba powtórzył Bentz z naciskiem.

Może chłopak sobie coś przypomni, cokolwiek, co pozwoli mu uratować żonę.

– Coś słyszałem. – Tony odchrząknął. – Jakby uderzenie. Może kiedy to rzuciła? – Nie był pewien.

– Ona? – Podchwycił Bentz.

– Albo on. – Tony zmarszczył brwi, skupił się, zachowywał się tak, jakby bał się udzielić niewłaściwej odpowiedzi. – Nie wiem.

– Ale widziałeś kogoś?

– Niedokładnie, ale to był biegacz.

– Czy biegaczka? – Serce Bentza zaczęło bić szybciej. Najchętniej wytrząsnąłby odpowiedzi z

chłopaka. Tamtej nocy, gdy w Santa Monica skoczył z moła za Jennifer, kamery zarejestrowały biegacza. W noc śmierci Lorraine Newell także widział biegacza. A teraz?

– Ona? On? Miał na sobie dres i czapkę. Nie wiem. Mogę już iść?

– Nie. – Bentz myślał intensywnie. Dres i czapka w ciepły poranek... to przebranie. Na pewno. Zdawał sobie sprawę, że chwyta się brzytwy, ale chwyciłby się wszystkiego, co tylko doprowadzi go do żony. Z najwyższym trudem zachowywał pozorny spokój, choć wewnątrz się gotował. – Posłuchaj, Tony, chciałbym żebyś pojechał ze mną na posterunek i pogadał z rysownikiem.

– O, nie. – Tony kręcił głową, jakby posterunek policji oznaczał czeluście piekielne. –

Gliny? Nie ma mowy.

– Jeśli trzeba, pojedzie – zapewniła Rebecca.

– Nie, mam. Niczego nie widziałem, naprawdę. Nie wiem nawet, czy przeszła przez ulicę, chyba nawet nie doszła do drzwi.

– Nie wiesz.

Pokręcił głową. Zagryzł dolną wargę.

– Tony zazwyczaj ogląda telewizję albo gra w gry komputerowe, kiedy ma pracować. –

Jakby zdała sobie sprawę, że mówi o nieletnim, dodała zaraz: – Płacę mu tygodniówkę, jeśli mnie zastępuje.

Bentza nie obchodziło, czy Tony pracuje legalnie czy nie, nie w tej chwili. Choć nadal poruszony fotografią Olivii, poczuł cień nadziei. W jego żyłach popłynęła adrenalina.

Wreszcie coś konkretnego.

– Macie kamery? – zapytał. Rebecca skinęła głową. – Na parkingu i przy drzwiach wejściowych?

– Tak. I w holu też. Nie jest to sprzęt wielkiej klasy, ale możesz dostać kopię nagrania.

– A czy możesz to teraz odtworzyć? – zapytał niecierpliwie.

– Jasne. – Rebecca zrozumiała.

– Będzie mi potrzebna kopia dla policji.

– Nie ma sprawy.

Kazała Tony'emu zostać w recepcji, a sama poszła z Beutzem do małego pomieszczenia, w którym stał telewizor i magnetowid. Jak mówiła, system alarmowy nie był najlepszej klasy, ale Bentzowi

było wszystko jedno. Liczy! na coś, cokolwiek, co pomoże mu odnaleźć Olivię.

Rebecca usiadła za małym biureczkiem, wcisnęła kilka guzików i cofnęła czarnobiałe nagranie. Obraz przesuwał się szybko, ludzie w przyspieszeniu szli do tyłu, samochody jechały w odwrotnym kierunku.

– Jest! – Zauważyła biegacza. Ustawiała odpowiednio taśmę.

Było tak, jak mówił Tony. Biegacz przeciął parking, wyjął kopertę z kieszeni i podrzucił pod drzwiami.

Bentz nie przypuszczał, by była to ta sama kobieta, która udawała Jennifer. Nie był nawet pewien, czy to kobieta, choć takie miał wrażenie. Miała na sobie luźny dres, który skrywał

figurę, ale coś w podbródku i szyi – brak zarostu, brak wystającej grdyki – kazały mu myśleć, że to kobieta, choć trudno mieć pewność przy nagraniu tak niskiej jakości.

Ale i tak coś miał.

– Widziałaś już ją? – zwrócił się do Rebeki.

– Chyba nie, ale nie sposób powiedzieć, ma czapkę i okulary.

– Tony! – zawołał Bentz i chłopak, śmiertelnie znudzony, zajrzał do kantorka. – Miałeś rację. To ten biegacz?

– No. – Znowu wzruszył ramionami, jakby to był jego gest firmowy. – Chyba.

– Coś ci się rzuciło w oczy? Może samochód w pobliżu?

– Nie, ale to ta osoba. Widzicie? Teraz upuściła kopertę.

– Ona?

– No, chyba tak. Ale nie wiem na pewno.

– Tony. – Rebecca podniosła głos. – To nie jest zwyczajny pan Bentz. To detektyw z policji w Nowym Orleanie. Zaginęła jego żona. Porwano ją. Niewykluczone, że ta osoba –

wskazała ekran – ma z tym coś wspólnego, więc proszę, skoncentruj się. Pomyśl.

– Myślę! – Rozłożył bezradnie ręce. – Do cholery, mam, czy ty mnie w ogóle nie słuchasz? Powiedziałem już wszystko, co wiem. Jest tu, na taśmie.

Widziałem dokładnie to samo, co kamera. – Mierzył Bentza podejrzliwym wzrokiem, jakby oczekiwał, że ten lada chwila wsadzi go za kratki.

– Kolor ubrań?

– Nie wiem... – Pstryknął palcami. – Ale pomyślałem, że to kobieta, ze względu na buty.

Nie wyglądały na męskie.

Bentz wrócili wzrokiem do ekranu i zobaczył sportowe buty. Może niekoniecznie model damski, ale małe. Na kobiecą stopę albo na stopę drobnego mężczyzny.

– Dzięki, Tony.

– Nie ma sprawy. – Chłopak wzruszył ramionami i wyszedł tyłem, chcąc jak najszybciej oddalić się od policjanta.

Bentz spojrział na Rebecę.

– Przegrasz mi to?

– Nie ma sprawy – przedrzeźniała syna. Skopiowała nagranie i podała mu taśmę. –

Powodzenia – powiedziała. – Mam nadzieję, że ją znajdziesz. Szybko.

– No to jest nas dwoje.

Ruszył do samochodu. Nie powiedział na głos tego, co oboje pomyśleli: zanim będzie za późno.

– Sprawdziłem wszystkich, którzy niedawno wyszli warunkowo, a mieli na koncie poważne przestępstwa. Szukałem kogoś, kto pasowałby do profilu. – Bledsoe podszedł do biurka Hayesa.

Jonas odchylił się w krześle. Martinez przysiadła na rogu biurka. Czekali na telefon Douga O’Leary’ego, specjalisty, który miał porównać dane stomatologiczne Jennifer Bentz ze szczęką kobiety w trumnie.

Bledsoe mówił dalej:

– Przejrzałem gości, którzy trafili do pudła po morderstwie sióstr Caldwell, a wyszli przed śmiercią bliźniaczek Springer. Tylko trzech częściowo pasowało do profilu. Po pierwsze, Freddy Baxter. Wyszedł w styczniu, przyznał się, że przejechał swoją dziewczynę.

Ale ma alibi nie do podważenia. Był z bratem w Las Vegas w czasie porwania sióstr Springer.

– Bledsoe trzymał w górze trzy palce, kciuk i mały były opuszczone. Eliminując Baxtera z listy podejrzanych, opuścił także serdeczny palec. Dalej, Mickey Eldridge, pociął żonę podczas awantury, wyszedł w grudniu tuż przed świętami. Ale żona, która cudem uszła z życiem, zaklina się, że się zmienił, odnalazł Boga czy coś równie głupiego, i twierdzi, że w noc porwania był z nią. – Bledsoe zgiął palec wskazujący, teraz tylko środkowy dźgał

powietrze. – Ostatni, który mógłby zrobić coś podobnego, to George St. Araux. Mój ulubieniec. Pamiętacie go? Świr, który obcinał ofiarom palce u rąk i nóg. Jakim cudem wyszedł, zapytacie? Bo jakiś orzeł Temidy zaklina się, że ma świadka, który widział zabójcę, i zezna, że był czarny, nie biały, więc nasz George wyszedł na wolność, a podatnicy zabalają za nowy proces. A George, według pani adwokat, był z nią. Moim zdaniem coś tu śmierdzi, kumacie?

– Nie wszyscy mają takie brudne myśli jak ty – zachnęła się Martinez.

– Sam powiedziałaś, że to jego adwokat.

– I bzyka się z nim, mówię wam. – Ściszył głos: – Niektóre kobiety kręcą te świry, wiecie, co mam na myśli.

– Bzyka? Dorośnij wreszcie. Szkoła średnia to już przeszłość. – Martinez nie owijała w bawełnę. – A chciałaś powiedzieć, że...

– Och, oczywiście. – Bledsoe posłał jej mordercze spojrzenie, ale Martinez się nie przejęła. Choćby nie wiadomo jak się starał, nie udało mu się zbić jej z tropu. – W każdym razie w stanie Kalifornia nie ma więźnia na warunkowym, któremu moglibyśmy to przypisać.

Nikogo.

Hayes czuł ciężar dochodzenia. Od śmierci bliźniaczek minęło zbyt dużo czasu. Trop wystygł, zresztą od początku nie był nawet letni. Morderstwo sióstr Springer zeszło z pierwszych stron gazet na dalsze, ale zabójca ciągle grasował na wolności. Sprawiedliwości nie siało się zadość.

Bledsoe jeszcze nie skończył.

– Rozmawiałem ze wszystkimi, którzy znali siostry Springer, prześledziłem ich kroki tamtego dnia. Funkcjonariusze rozmawiali z sąsiadami, przyjaciółmi, krewnymi. Szukaliśmy związku między nimi a bliźniaczkami Caldwell. Nic. – Potarł twarz dłonią. – Co oznacza, że wracamy do punktu wyjścia, do naszego przyjaciela. – Zrobił znak cudzysłowu w powietrzu.

– Pozwolicie, że nie użyję słowa detektyw. To nie jest zbieg okoliczności.

– Co jeszcze nie znaczy, że to on – wpadła mu w słowo Martinez. – Jeśli chcesz go w to wrobić, znajdź dowody. Rób, za co ci płacą.

W tym momencie Hayes zauważył Bentza, który zmierzał prosto do jego biurka.

– Zdaje się, że sam go o to zapytasz. – Uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia. –

Jedziesz.

– Owszem. – Bledsoe odsunął się, żeby Bentz miał dostęp do biurka.

– Cześć, Bentz – powitał go.

Bentz nie zwracał na niego uwagi, zmierzył go pogardliwym spojrzeniem. Wymachiwał

brązową kopertą.

– Dostałem to dzisiaj rano – powiedział i rzucił ją na biurko Hayes. Zdjęcie. Fotografia przerażonej kobiety za kratą.

Hayes poczuł, jak napinają się wszystkie mięśnie w jego ciele. Bentz odwrócił się przez ramię.

– To moja żona – rzucił do Bledsoe.

Martinez milczała wpatrzona w fotografię przerażonej kobiety.

– A to taśma z motelu, do którego podrzucono zdjęcie. Kamera zarejestrowała biegacza.

Zostawił to pod drzwiami i zniknął. Sprawdźcie kamery uliczne, może gdzieś jest. Może ją zobaczymy, jak wsiada do samochodu.

– Ją? – Bledsoe ściągnął brwi.

– Tak mi się wydaje. Taśma jest niewyraźna, ale może da się ją wyostrzyć, przybliżyć, zrobić powiększenie twarzy.

– Znowu biegacz – mruknął Hayes.

– No właśnie. Można je porównać z tym, co mamy z molo w Santa Monica. – Pokręcił

głową. – Jeśli chodzi o biegaczkę spod domu Lorraine Newell, nie wiem, było za ciemno. Ale idę o zakład, że to ta sama osoba.

– Kobieta, która skoczyła z Devil’s Caldron?

– Nie. – Bentz wydawał się pewien. – Ale się znają.

– O, cholera – zaklął Bledsoe.

– Jonas, załatw dupka. – Bentz patrzył Hayesowi prosto w oczy. – Znajdź moją żonę.

Zadzwonił telefon. Hayes dał Bentzowi znak, by poczekał, podniósł słuchawkę.

– Detektyw Hayes.

– Tu doktor O’Leary – odezwał się lekarz po drugiej stronie. – Mam wyniki. Bez niespodzianek. Kobieta, którą badałem, to z całą pewnością Jennifer Bentz.

Rozdział 36

Dentz był w szoku. A przecież właśnie tego się spodziewał. Oczywiście, że w grobie leżała Jennifer.

A więc minione dwanaście lat to prawda. Jennifer nie żyje, a sobowtór to tylko część planu, by go ściągnąć do Los Angeles.

Poco?

Żeby go dręczyć?

Żeby porwać i torturować Olivię? Żeby mordować?

– Więc to wszystko to pogoń za duchem? – Bledsoe pokręcił głową.

– Nie. Zasłona dymna – poprawił Bentz.

– A ty wciągnąłeś w to żonę? Na miłość boską, Bentz, związek z tobą niesie ryzyko. Nie tylko dla żony, ale i jej znajomych.

Jeśli Bledsoe chciał rozjrzeć jego rany, udało mu się to znakomicie, stwierdził Bentz.

Błysk w oku Bledsoe potwierdzał, że o to mu chodziło.

– Poszukajmy osoby, która za tym wszystkim stoi – powiedział Bentz.

– Co oczywiście oznacza, że ty jesteś poza podejrzeniami. – Bledsoe wypił łyk kawy, żeby ukryć uśmiech.

– Nie porwałem własnej żony! – Bentz po raz kolejny nakazał sobie zachować spokój.

Bledsoe chce tylko zwalić wszystko na niego. Jak zawsze.

Jakby i bez tego sprawy nie były wystarczająco skomplikowane, zobaczył Dawn Rankin idącą korytarzem. Poczula na sobie jego wzrok i w pierwszej chwili mocno zacisnęła usta, zaraz jednak zmusiła się do uśmiechu i podeszła bliżej.

– Znowu tutaj? – zapytała. – Nie możesz trzymać się z daleka, co?

– To sprawa służbowa – uciął Hayes i Bentz nie musiał odpowiadać.

Dawn jak zwykle popadała w skrajności. W jednej chwili Bentzowi wydawało się, że dawno o nim zapomniła, że mu wybaczyła; w następnej syczała jak rozjuszona żmija. Miał

szczęście, że nie byli razem długo.

– Daj znać, jeśli mogę w czymś pomóc – powiedziała z ledwie wyczuwalną nutą ironii w głosie i odeszła.

– Ale sztuka – mruknął Bledsoe. – Może jednak miałeś szczęście, że wybrałaś Jennifer Nichols.

Bentz nie nabrał się na przyjazny ton. Bledsoe tylko szuka okazji, by mu dokopać. Na szczęście

zadzwoił jego telefon i odszedł, zabierając swoją kawę.

– Więc tyle wiemy na razie – zaczął Hayes, kiedy w końcu zostali tylko we troje: on, Martinez i Bentz. – W grobie leżała Jennifer. W chevrolecie znaleźliśmy różne odciski palców, ale tylko twoje, Bentz, były w policyjnych bazach danych. Ciągłe szukamy. W

samochodzie nie było innego materiału dowodowego, nasi ludzie nie znaleźli ciała sobowtóra Jennifer w oceanie.

– Bo ona żyje. Znowu ją widziałem.

– Co?

– Dzisiaj rano. – Uściślił Bentz. – Na cmentarzu.

– I nie raczyłeś nas o tym poinformować? – zapytała Martinez.

– Nie byłem pewien. Jasne? Hayes zbył go machnięciem ręki.

– A teraz mamy fotografię i kopertę. Ponieważ sprawca na razie zachowuje ostrożność, idę o zakład, że te materiały też są czyste, ale i tak sprawdzimy, może będą jakieś odciski albo DNA. No i to. – Podniósł kasetę z nagraniem z motelu. – Rzućmy na to okiem, porównajmy z nagraniem z kamery w Santa Monica. A ty – spojrzal na Bentza – zgłosisz zaginięcie Olivii.

Nadamy sprawie oficjalny bieg. FBI na pewno także się z tobą skontaktuje.

Hayes, jak zwykle, pilnował najdrobniejszych szczegółów. Postępował zgodnie z przepisami. Czyli marnował czas, i to od samego początku tej szalonej sprawy. Bentz niemal widział ziarenka piasku przesypane się w klepsydrze. Im więcej czasu mija, tym większe ryzyko, że już nigdy nie odnajdzie Olivii ani człowieka, który to wszystko zaplanował.

– AYolanda Salazar i jej brat?

– Nadal go szukamy. Nie przyszedł dzisiaj do pracy, opuścił poranne zajęcia.

– Czyli ukrywa się.

– Na to wygląda.

Cholera! Jego zdaniem Fernando stanowił klucz do całej sytuacji. On na pewno zna tożsamość sobowtóra Jennifer. Ba, prawdopodobnie współpracuje z tą osobą. Muszą go odnaleźć.

– Pojawi się prędzej czy później – powiedział Bentz. – Idziemy. Martinez zeskokczyła z biurka.

Hayes odsunął krzesło.

– Może los się do nas uśmiechnie.

Martinez już szła korytarzem, ale zatrzymała się i spojrzała na Hayesa przez ramię.

– Jasne. I może mój chłopak Armando padnie dzisiaj na kolana i wręczy mi zaręczynowy pierścioneł z trzykaratowym brylantem – zachnęła się. – Wybaczenie, ale nie liczyłabym na to.

Łódź nie stanęła w płomieniach. Ani przed, ani po wizycie porywaczki.

Olivia nie wiedziała, dlaczego oszczędzono jej śmierci w płomieniach, ale odetchnęła –

czas płynął, a ona żyła dalej. Uspokoila się. Odrobinę. Wiedziała, że psychopatka, która ją porwała, w końcu ją zabije, ale najpierw osiągnie swój cel.

Czego mogła chcieć?

Olivia nie miała pojęcia, ale za żadne skarby nie sprawi jej tej satysfakcji, nie da się zabić.

Z pewnymi oporami zjadła kanapkę, chociaż obawiała się, że może być zatruta. Ale nie.

Przeżyła. Wypiła też napój i skorzystała z wiadra jako toalety. Obrzydliwe, ale spełniło swoją funkcję.

Przez cały czas rozmyślała o swoim losie.

Musi uciec, nieważne jak. Nie może liczyć, że Bentz czy policja pospieszą jej na ratunek.

Nie, pomyślała, wpatrzona w wiosło na ścianie; musi to zrobić sama.

Rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby jej się uwolnić, ale niczego nie dostrzegła. Wracała wzrokiem do wiosła. Gdyby udało jej się jakoś go dosięgnąć, mogłaby uderzyć porywaczkę, ogłuszyć ją i zdobyć kluczyki.

Och, dałaby dużo, żeby odwrócić sytuację, zamknąć tę sukę w klatce i przechadzać się po pomieszczeniu z paralizatorem i kanistrem benzyny.

Przyglądała się wiosłu. Drewniane, pomalowane w czerwone, białe i niebieskie paski, wydaje się na tyle ciężkie, że da się nim ogłuszyć kobietę. I właśnie to chciała zrobić.

O ile oczywiście wymyśli sposób, żeby je dosięgnąć.

Czuła kołysanie łodzi i wiedziała, że znajduje się przy przystani. Porywaczka twierdziła, że nikt nie usłyszy jej krzyków, ale to chyba kłamstwo. Olivia rozróżniała krzyki mew i głosy ludzi, warkot silników, ale wszystkie dźwięki docierały do niej, jakby stłumione, zapewne dlatego, że była tu sama, i poprzez szelesty i skrobanie szczurów podświadomie nasłuchiwała kroków porywaczki.

Wcześniej, tuż po odejściu wariatki, krzyczała, gdy była przekonana, że zaraz spłonie żywcem. Zdjęła buty, waliła nimi w pręty klatki, głuchy odgłos niósł się echem po pomieszczeniu. Ale nikt jej nie słyszał. Nikt nie wszedł na pokład „Merry Anne”, jeśli wierzyć wypłowiałemu napisowi na

kamizelce ratunkowej.

Teraz, ochrypła od krzyku, kulila się w kącie swej celi, obserwowała, jak gaśnie blask zachodzącego słońca i pomieszczenie ponownie pogrąża się w ciemności. To straszne.

Denerwujące. Upiorne. Nie da się jednak ponieść wyobraźni.

Cały czas szukała wyjścia z opresji. Musi być jakieś logiczne rozwiązanie, musi być jakiś sposób, by ocaliła siebie i nienarodzone dziecko.

Jako psycholog zgłębiała działanie ludzkiego umysłu. Poznawała różne podejścia do osób, które traciły kontakt z rzeczywistością. I teraz musi opracować plan.

Jasne. Gdyby miała dość siły, roześmiałaby się w głos. Psycholog nie dotrze do pacjenta, który nie chce pomocy, a w każdym razie nie ma co liczyć na sukces.

Podkuliła kolana, podciągnęła je pod brodę. W jaki sposób człowiek racjonalnie myślący może dogadać się z kimś, kto stracił kontakt z rzeczywistością? Nie odróżnia dobra od zła?

Jest zły do szpiku kości?

– Boże, dopomóż – szepnęła.

Zapadła noc. Znowu była sama w nieprzeniknionej ciemności.

– Przykro mi z powodu twojej żony. – Corrine O'Donnell skończyła wpisywać dane do zgłoszenia.

Bentz miał za sobą kilka godzin z FBI, teraz trafił tutaj, do wydziału osób zaginionych.

Niezbędna robota papierkowa, wiedział o tym, ale wychodził z siebie, czując, jak czas przecieka mu między palcami.

– Tak. – „Przykro” nie oddaje nawet ułamka strachu, który go pożerał, przerażenia na myśl, że Olivta jest w rękach wariatki.

– Nie martw się. Znajdziemy ją. – Uśmiechnęła się i nagle przypomniał sobie, że kiedyś mu na niej zależało, bardziej jako na przyjaciółce niż kochance, ale w przeszłości wiele ich łączyło, schodzili się i rozstawali.

– Jesteś szczęśliwa z Hayesem? – zapytał.

– No cóż... chciałabym powiedzieć, że jestem w siódmym niebie, ale wiesz, w moim wieku, oboje mamy za sobą smutne doświadczenia, oboje mamy się na bacności, oboje już sporo wycierpieliśmy. Może jesteśmy zbyt ostrożni. – Wycofała się, jakby się zorientowała, że powiedziała za dużo. – Podpisz tutaj. – Wskazała miejsce w formularzu. – Dopilnuję, by trafiło do wszystkich – obiecała z uśmiechem.

– Dzięki. – Bentz złożył podpis i skinał głową.

– Powodzenia. – Pochyliła się nad klawiaturą komputera, żeby wypełnić swoje zadanie w poszukiwaniach jego żony.

Oby nie musiał liczyć tylko na szczęście.

Skorzysta z każdej pomocy. Nieważne, czy to łut szczęścia, czy boska interwencja.

Gotów jest zawrzeć pakt z samym diabłem. Zrobi wszystko, byle Liwie była bezpieczna.

Montoya wylądował na lotnisku LAX, odebrał bagaż i poszedł do wypożyczalni samochodów. Wybrał mustanga, nowszy model niż jego wóz w Nowym Orleanie, i zadzwonił

do Bentza.

– Jestem w Los Angeles – stwierdził bez wstępów, gdy partner odebrał.

– Co? Gdzie?

– Miałem już dosyć, że traktujesz mnie jak chłopca na posyłki. Uznałem, że bardziej ci się przydam na miejscu. Będę bardziej pomocny.

Bentz roześmiał się głucho.

– Mów – polecił Montoya.

Wysłuchał ostatnich rewelacji na temat wizji Jennifer, porwania Olivii i zdjęcia, które otrzymał Bentz.

– Więc teraz w sprawę zaangażowało się FBI – podsumował Bentz. Montoya się zachnął, wypełnił wymagane formularze i wziął kluczyki do mustanga. Bentz świetnie sobie radził z federalnymi, ale on wolał pracować bez nich. Owszem, biuro ma mądrych agentów, nowoczesny sprzęt i duże zasoby, ale Montoya i tak wolał pracować sam. Po swojemu.

– Gdzie jesteś? – zapytał, idąc na parking.

– W Whitaker College. Fernando Valdez nie pojawił się ani na zajęciach, ani w pracy, ale liczę, że przyjdzie na wieczorny wykład.

– Pracuje w Blue Burro, tak?

– Owszem.

– Byłeś już tam?

– Nie. Ale byli chłopcy z LAPD.

– Może jeszcze tam zajrzę. A potem wynajmę pokój w tej spelunie, którą ostatnio nazywasz domem – mruknął Montoya. – Jeśli znajdziesz Fernanda, zadzwoń.

– Jeśli go znajdę.

– Musi gdzieś być. Trzeba tylko szukać, myśląc jak ten dupek, a znajdziesz go. Myśl jak glina, człowieku. – Rozłączył się i cisnął torbę na tylne siedzenie. Mapa i GPS zaprowadzą go do Encino, a tam znajdzie knajpę Blue Burro.

Mówił po hiszpańsku równie płynnie jak po angielsku. Przy odrobinie szczęścia czegoś się dowie.

W Whitaker College Bentz zaparkował koło sali gimnastycznej i poszedł do kantyny studenckiej. Stał w kolejce za dwiema rozchichotanymi studentkami, odebrał zamówienie –

hot doga z frytkami i pepsi w butelce – i usiadł przy stoliku w rogu, za sztuczną palmą w donicy. Jedząc, nie odrywał wzroku od drzwi. Grupki młodzieży wchodziły i wychodziły.

Niektórzy wyglądali raczej na uczniów szkoły średniej, inni byli całkiem dorośli – uzupełniali brakujące przedmioty z lat studenckich albo wracali na studia, by zacząć nowe życie. Goci, punki, dyskotekowe laleczki, komputerowcy – byli tu wszyscy. Analizował każdą twarz, ale nie widział Fernanda Valdeza wśród studentów zajętych nauką jeźdźnictwem, plotkami i muzyką.

Nie dziwiło go to. Fernando najwyraźniej unikał policji.

Choć od rana nie miał nic w ustach, prawie nie czuł smaku wyschniętych frytek i wiekowej parówki. Myślami był gdzie indziej, przy Olivii. Oby żyła. Cała. Zdrowa.

Jest twarda. Pamiętaj o tym. Już raz poradziła sobie z psychopata.

Z jednej strony to strata czasu, że tak siedzi tu, licząc, że zjawi się Fernando Valdez, ale nie miał innego tropu. Tylko Fernanda.

Wstał i poczuł skurcz w nodze. Nie zwrócił na to uwagi. Wyrzucił resztkę posiłku do śmieci. Zgodnie z instrukcją na plakacie przy drzwiach umieścił tackę w odpowiednim pojemniku, zabrał pepsi i wyszedł przez przeszklone drzwi w zapadający mrok.

Nie było jeszcze ciemno, ale znowu nadciągała mgła, osiadała na chodnikach, pochłaniała alejki.

Myślał o żonie. Miał do siebie pretensję, że był takim idiotą, że miał klapki na oczach, jeśli chodzi o Jennifer, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co ma, że żyje u boku kobiety, którą szczerze kocha i której ufa.

– Idiota – mruknął, idąc do Sydney Hall, dwupiętrowego betonowego budynku o wdzięku i stylu więzienia.

Zewnętrzne schody prowadziły na drugie piętro, drzwi na parterze z sal wykładowych wychodziły na szeroką werandę. Bentz szybko się zorientował, że w środku nie ma korytarzy.

Fernando, idąc na dramatopisarstwo i zajęcia z angielskiego odbywające się w sali na piętrze, będzie musiał przejść tędy.

Pił colę, obserwując owady krążące wokół lampy nad drzwiami do sali numer 134.

Studenci schodzili się powoli. Być może Fernando się nie pojawi. Yolanda na pewno ostrzegła go przed Bentzem, a wcześniejsze nieobecności – na rannym wykładzie i w pracy –

sugerowały, że postanowił zachować ostrożność.

Teraz może już być w Tijuanie albo jeszcze dalej za meksykańską granicą. Przecież to blisko.

Z drugiej strony, chłopak jest obywatelem amerykańskim, urodzonym i wychowanym w Los Angeles, więc pojawi się prędzej czy później.

A wtedy Bentz będzie na niego czekał.

Może już dzisiaj.

Może później.

Ale nie odpuści.

Oby los się w końcu do niego uśmiechnął. Za żadne skarby nie spędzi kolejnej nocy w motelu, czekając, aż zadzwoni jego telefon, wpatrzony w koszmarną fotografię Olivii. Ana myśli, że ona tkwi gdzieś tam, sama, przerażona. .. Nie, nie mógł nawet o tym myśleć.

Oparł się o ścianę przy schodach i obserwował, jak drzwi do sali wykładowej otwierają się i zamykają za kolejnymi grupkami przyszłych dramatopisarzy. Fioletowy zmierzch przechodził w czerń wieczoru.

Ani śladu Fernanda.

No chodź, ty draniu. Pokaż się. Odgłos kroków umilkł, studenci przestali przychodzić.

Bentz zerknął na zegarek. Dziesięć po siódmej. Do sali od pięciu minut nikt nie wszedł.

A zatem Fernando nie przyjdzie. Znowu.

– Cholera. – Bentz dopił resztę coli, obserwując, jak ćma uderza o klosz, i już miał wyrzucić pustą butelkę, gdy zobaczył, jak ktoś biegnie wśród mgły. Mężczyzna, stwierdził.

Minął salę gimnastyczną i na ukos przecinał wielki trawnik.

Bentz znieruchomiał. Wyteżył wzrok.

Biegacz zwolnił, a Bentz rozpoznał Fernanda Valdeza. Mały dupek jednak się pokazał.

Mam cię, pomyślał Bentz. Poczul, że serce bije mu szybciej. Wreszcie. Coś zaczyna iść po jego myśli! Nie odrywając wzroku od chłopaka, Bentz ukrył się w załomie schodów. Co chwila wyglądał, by się upewnić, że dzieciak idzie w tę stronę. Musi poczekać, aż znajdzie się wystarczająco blisko, nie chciał go spłoszyć.

Fernando dyszał ciężko, biegł, jakby gonił go sam diabeł, był zlany potem.

Zbliżał się.

Jeszcze trochę. Z odznaką w dłoni Bentz czekał na właściwy moment.

Fernando wszedł na schody.

Teraz!

Bentz wyskoczył z cienia i zatarasował mu drogę. Błysnął odznaką.

– Fernando Valdez? Policja. Stop!

– Cholera! – Fernando już odwracał się na pięcie, ale Bentz to przewidział, złapał go za ramię. Na tyle mocno, że Fernando krzyknął: – Au! Puść mnie!

– Na twoim miejscu nie stawiałbym oporu – zauważył spokojnie Bentz. Noga dawała mu się we znaki. Nie teraz, błagam. – Nie jesteś notowany, masz czyste konto i może nawet świetlaną przyszłość, jeśli teraz zechcesz współpracować i powiesz, gdzie jest twoja dziewczyna.

– Co? Oszalałeś! Puszczaj! – Szarpał się, ale Bentz trzymał mocno.

– Posłuchaj uważnie: powiesz mi kto, co, gdzie, jak i kiedy i wszystko, co o wiesz, o tym cholernym planie, w którym bierze udział twój samochód i kobieta, która podszywa się pod moją byłą żonę. Kto za tym stoi? Gdzie dziewczyna, która udaje Jennifer? I najważniejsze: gdzie jest moja żona?

– Człowieku, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Daruj sobie, Valdez. To już koniec.

Nagle w oczach chłopaka pojawił się błysk zrozumienia.

– Mówię poważnie – dodał Bentz.

– Ty? – zapytał, krzywiąc się z niesmakiem. Wreszcie dodał dwa do dwóch i skojarzył nazwisko Bentza. – Mam zaufać tobie? Zabójcy mojego brata?

– Radzę ci, bo inaczej zaciągnę cię do więzienia, i to zanim się obejrzysz.

– Nie mam ci nic dopowiedzenia.

– Świetnie. Załatwimy to na posterunku. – Bentz ciągnął go w stronę samochodu.

Pomyślał, że poprosi o pomoc strażnika przy parkingu.

Odeszli od Sydney Hall. Chłopak usiłował się wyrwać, szarpał się tak mocno, że Bentz z trudem go zatrzymał.

– Słuchaj, nie myśl, że się wymigasz – warknął Bentz. – Ze mną nie ma żartów.

– Daj mi spokój, dupku!

– Nie mogę.

– Czego ode mnie chcesz, do cholery? – Fernando zacisnął usta. Mrok podkreślał ostrość jego rysów.

– Już ci mówiłem. Chcę znać prawdę.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Jasne. – Wolną ręką Bentz wyjął komórkę i zadzwonił do Hayesa. Jeden dzwonek.

Drugi. – No, już. – Trzeci dzwonek. – Dawaj!

Tym razem detektyw odebrał.

– Hayes.

– Tu Bentz. Mam Fernanda Valdeza.

Szli w stronę sali gimnastycznej. Studenci przyglądali się im ciekawie, ale nikt się nie zatrzymał, nie zapytał, o co chodzi.

– Co? – Hayes się zdziwił. – Gdzie go znalazłeś?

– W Whitaker College. – Zerknął na Fernanda. – Najwyraźniej nie chciał stracić wykładu o dziewiętnastej.

Fernando szarpnął się, ale Bentz tylko mocniej przytrzymał jego ramię.

– Jezu, człowieku! – jęknął chłopak, ale przestał się szarpać.

– Już jadę – powiedział Hayes. – Będę tam za kwadrans, może za dziesięć minut.

– Czekamy – odparł Bentz. – Jestem uzbrojony, ale wolałbym nie robić mu krzywdy.

Bentz poczuł, jak młody człowiek się spina i klnie pod nosem po hiszpańsku. Wreszcie i on się przestraszył.

– Spotkamy się na zachodnim parkingu, koło budki strażnika – zaproponował Bentz.

– Dobra.

Bentz się rozłączył. Gdy chował telefon, Valdez znowu próbował się wyrwać, Bentz poczuł ból w chorej nodze. Jęknął z bólu, na jego czole pojawiły się kropel potu.

– Nie złamałem prawa – upierał się Valdez.

Sądząc po jego uśmiechu, cierpienie Bentza sprawiło mu przyjemność.

– Pomogę ci, jeśli ty pomożesz mnie – odezwał się Bentz. – Jeśli masz odrobinę rozumu w głowie, powiesz mi o dziewczynie, której pożyczasz samochód. Tej, która podszywa się pod moją żonę.

– Oszalałeś. Nie mam pojęcia, o czym mówisz! – Fernando obstawał przy swoim, ale w jego oczach pojawił się błysk strachu, jakby czuł, że pętla sprawiedliwości zaciska mu się na gardle.

– Będzie szybciej, jeśli się przyznasz przed aresztowaniem.

– Aresztowaniem? Odbiło ci.

– Czyżby?

Doszli do parkingu. Nigdzie nic widział strażników. Gdzie oni się podziewają, kiedy ich potrzebuje? Bentz rozglądał się po parkingu i mówił do Fernanda:

– Masz mniej więcej trzy minuty do przyjazdu Hayesa. – Bentz najchętniej wydusiłby z niego prawdę. Prawdę... odpowiedzi... Miejsce pobytu Olivii. – Na twoim miejscu chciałbym, żeby funkcjonariusze uznali, że pomagasz w dochodzeniu, bo w tej chwili LAPD chce cię wsadzić za kratki.

– Proszę bardzo. – zachnął się Fernando. – Nie mam nic do ukrycia. – Gdy patrzył na Bentza, w jego wzroku płonęła nienawiść. – Ale ty... Ty spocona świnió. Mam nadzieję, że bardzo cierpisz.

Bentz go nie puszczał, nawet żeby wytrzeć pot z czoła. Sobowtór Jennifer mu się wymknął, ale tego smarkacza nie wypuści z rąk.

– Daruj sobie, młody. Jeśli nie zaczniesz mówić, długo nie wyjdiesz z pudła. Powiedz, gdzie jest twoja dziewczyna, gdzie przetrzymujesz moją żonę. Zaplanowaliście to razem, prawda? Ty byłeś biegaczem? Ty wykonujesz najgorszą robotę?

– Bzdury!

– Dobra, ja gadam bzdury, a ty pójdziesz siedzieć za porwanie. – Bentz cały czas myślał o uwięzionej Olivii. Zacisnął dłoń na ramieniu chłopca. – Porwanie i kilka zabójstw...

Rozdział 37

W Blue Burro było ciasno, tłum gości wypełniał salę z pomalowanym sufitem. Na drewnianych belkach przycupnęły drewniane papugi. Między gośćmi kręcili się kelnerzy w czarnych spodniach, białych koszulach i kolorowych bandanach na szyi. Nosili tace pełen półmisek z jedzeniem, rozstawiali miseczki guacamole. Co jakiś czas zbierali się dokoła jednego stolika, nakładali klientowi wielkie sombrero na głowę i śpiewali hiszpańskie „Sto lat”.

Lokal tętnił życiem.

Montoya domyślał się, że policja już pytała o Fernanda, więc wolał nie rzucać się w oczy.

Schował obrączkę do kieszeni i usiadł przy barze, zajął jeden z nielicznych wysokich stołków niedaleko obrotowych drzwi do kuchni. Zamówił whisky u barmanki, która wyglądała, jakby nie miała jeszcze dwudziestu jeden lat.

Głośna meksykańska muzyka nikła w gwarze rozmów i szczęku szkła, ale Montoya nasłuchiwał, czekał na coś, co pozwoli mu dowiedzieć się czegoś więcej o Fernandzie Valdezie, jego siostrze, srebrnym chevrolecie, kobiecie, która nim jeździła. Powoli sącył

drinka i zerkając w lustro nad barem, dyskretnie obserwował salę.

Otaczał go beztroski gwar. Kończył już drinka, gdy wychwycił imię Fernando w strzępach rozmów dobiegających z kuchni. Coś o tym, że nie zadzwonił, kelnerka narzekała, że musiała za niego zostać na wieczornej zmianie. Owszem, cieszy się, że więcej zarobi, ale była wściekła, że właśnie on zmusza ją do dodatkowej pracy, i to przy dziecku, i w ogóle.

Musiała dzwonić do matki i prosić, żeby zajęła się dzieckiem. Czy coś takiego. Montoya słyszał zaledwie urywki rozmowy, tylko dzięki temu, że kelnerka miała bardzo wysoki głos.

Montoya słuchał uważnie, nie okazując zainteresowania. Gdy drzwi do kuchni otworzyły się, mignęła mu krągła buzia dziewczyny o zaciśniętych ustach. W czarnych włosach, zebranych w kok na karku, widniały platynowe pasma. Była wściekła i wydawało się, że powodem jej gniewu jest właśnie Fernando.

– Oj – mruknął do barmanki, gdy drzwi zamknęły się ponownie, a z kuchni nadal dobiegał donośny głos dziewczyny. – Ktoś wstał lewą nogą.

– Acacia nigdy nie jest zadowolona. – Uśmiechnęła się do niego i wsypała lód do szklanki.

– W każdym razie nie z Fernanda – mruknął. Podniosła wzrok, by na niego spojrzeć.

– Znasz go? Pokręcił głową.

– Niezbyt dobrze. Chodziłem na wieczorne zajęcia do Whitaker College, potrzebne mi do pracy. Pracuję w ubezpieczeniach. Fernando chodził ze mną na jedne zajęcia. Mówił, że tu pracuje.

– Już niedługo, jeśli wkrótce się nie stawi – stwierdziła, kręcąc głową. Nakładała kostki lodu do kieliszków. – To ryzykant. Kobieciarz. Acacia się o to złości. Chciałaby, żeby się ustatkował.

– Z nią?

Barmanka spojrzała na niego jak na idiotę.

– Oczywiście, że z nią. Jest ojcem jej dziecka.

– Tak? Nic mi o tym nie mówił.

– No jasne. Acacia twierdzi, że byli już razem kilka lat temu. Zabawili się na imprezie i wpadła. – Spojrzała na Montoyę. – Dzieciak jest do niego podobny jak dwie krople wody.

Fernando tego nie kwestionuje, tylko się nie angażuje.

Nowy rys, pomyślał Montoya. Do baru podeszła zdenerwowana kelnerka i wyrecytowała zamówienie.

– Szybko, dobrze? Zapomniałam wcześniej i kobiety przy szóstce strasznie się wkurzyły.

– Już się robi. – Barmanka szykowała drinki, najpierw dla kelnerki, potem dla czwórki gości przy barze.

Montoya uznał, że więcej się od niej nie dowie, a nie chciał zwracać na siebie uwagi, wypytując o gościa, którego ledwie zna.

Drzwi do kuchni znowu się otworzyły i zobaczył, że Acacia wychodzi tylnymi drzwiami.

Zapłacił szybko za drinka, zostawił suty napiwek i wyszedł na parking owiewany chłodnym wiatrem. Począł, aż zmniejszy się ruch, wszedł do sklepu po drugiej stronie, kupił paczkę cameli i wrócił do restauracji.

W nadziei, że spotka Acacię na przerwie, poszedł na tyły restauracji – grupa kucharzy i kelnerów tłoczyła się przy służbowym wejściu. Montoya wyjął papierosa i wsunął do ust.

Macał się po kieszeniach, udając, że szuka ognia. Zbliżył się do roześmianej, rozbawionej grupy pracowników restauracji.

Acacia także tam była, właśnie kończyła papierosa. W świetle latarni wydawała się jeszcze bardziej rozgniewana. Marszcząc czoło, zaciągnęła się ostatni raz.

Śmiechy ucichły, gdy się zbliżył.

– Mogę prosić ogień? – zapytał po hiszpańsku.

Kucharz, wielki byk z cienkim wąsikiem, opasany brudnym fartuchem, skinął głową.

– Pewnie. – Rzucił mu zapalniczkę. Montoya złapał ją w locie.

– Dzięki.

Acacia zdusiła niedopałek i już miała wejść do środka. Montoya zapalił.

– Widzieliście może Fernanda? Wszyscy umilkli.

– Nie? – Zmarszczył brwi. – Słyszałem, że tu pracuje, a wisi mi kasę. Chciałem ściągnąć dług.

Początkowo wszyscy milczeli; pewnie już słyszeli, że gliny go szukają. Potężny kucharz w brudnym fartuchu wyglądał, jakby chciał zaraz wejść do ośrodka. Zdusił niedopałek w przepelnionej popielniczce.

– Coś nie tak?

Milczeli, aż w końcu Acacia nie zdołała dłużej ukryć irytacji. Gniewnie potrząsnęła głową.

– Wisi ci kasę? To ustaw się w kolejce. Montoya odrzucił zapalniczkę kucharzowi.

– Tobie też? – zapytał.

Wielki kucharz zniknął we wnętrzu. Drobnny kelner ruszył tuż za nim.

– Nawet sobie nie wyobrażasz ile.

– Powiedz. – Poczęstował ją papierosem.

Wzruszyła ramionami, wzięła papierosa, zapaliła, patrzyła, jak wychudzony kot chowa się w śmietniku.

– Jest mi winien całe życie, rozumiesz? Mnie i swojemu synowi. – Zaciągnęła się mocno, wypuściła ustami kłęb dymu.

– Macie dziecko?

– No. Roberto... mówię na niego Bobby. Myślisz, że Fernando zajmuje się nim? Że go w ogóle odwiedza? Płaci alimenty? – Westchnęła. – O nie, uganiam się za tą dziewczuchą.

Montoya nic nie mówił, palił, milczał i słuchał.

– Namieszała mu w głowie, mówię ci. Jeździ jego samochodem, spotyka się z nim w szkole. W college'u. Poszedł tam, żeby wyjść na ludzi, żeby zostać księgowym, jak jego siostra, i wtedy... poznał ją, tę... Tę aktorkę i nagle, proszę bardzo, chce pisać sztuki! –

Zmrużyła oczy. – A co ja z tego będę miała? Nic. Nawet w pracy muszę go zastępować, nie wyrabia się, bo musi być z Jada. – Skrzywiła się z niesmakiem i cisnęła niedopałek na ziemię.

– Kto wie, gdyby nie Roberto, może zabiłabym sukinsyna!

Olivia słyszała rytmiczny stukot z góry.

Poprzez trzaski i szelesty docierał do niej odgłos kroków.

Ktoś wszedł na pokład.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że to porywaczka, więc nie krzyczała; wołała nie ryzykować, że wariatka ponownie ją zaknebluje.

Boże, oddałaby wszystko za jakąś broń.

W tej chwili mogła najwyżej cisnąć dzbankiem z wodą i oblać napastniczkę, ale jedyne, co tym osiągnie, to zaskoczy ją i wyprowadzi z równowagi.

Nagle zapaliły się światła. Olivia mrugała szybko, chcąc się przyzwyczaić do jasności.

Porywaczka schodziła powoli. Niosła niewielką skrzynkę.

– Jak się dzisiaj mamy? – zapytała ze sztuczną wesołością.

Olivia najchętniej odparłaby: „Wręcz kwitnąco”, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Uznała, że najlepszym sposobem na wariatkę jest trwać przy swoim. Nie jest to proste, jeśli się tkwi w cuchnącej klatce, ale jeśli uda jej się zmusić porywaczkę do mówienia, może zdoła wycisnąć z niej informacje, a jednocześnie psychopatka wyrzuci z siebie gniew.

Olivia zdołała zachować spokój. Opanować paraliżujący strach.

– Widzę, że zjadłaś. Dobrze, bardzo dobrze. Musisz być silna.

Olivia znieruchomiała. Do czego ona zmierza? Przecież nie wie o dziecku?

Oczywiście, że nie. Nikt nie wie o dziecku. Nawet twój mąż, a zważywszy na rozwój wypadków, być może nigdy się nie dowie.

Wołała o tym nie myśleć. Znajdzie sposób. Uratuje się. Ze względu na dziecko.

– Więc jak, głodna? – Kobieta wyjęła z torby plastikową siatkę i cisnęła do klatki kolejną kanapkę i butelkę wody.

Olivia najchętniej uderzyłaby ją.

Nie mogła jednak.

Spokój, tylko spokój. Zagaduj ją, niech mówi.

– Kim jesteś? – zapytała ponownie.

– Chciałabyś wiedzieć, co? – Uśmiechnęła się pod nosem, jakby bawiła ją rola rezolutnej

siedmiolatki.

– Właściwie to tak, chciałabym. I jeszcze jedno. Ten sacharynowy uśmieszek? Nie działa.

Usta psychopatki wykrzywiły się gniewnie.

– Ależ owszem, działa. To ja jestem na zewnątrz.

– Kim jesteś?

– Przyjaciółką... Powiedzmy: bliską przyjaciółką twojego męża – odparła z goryczą.

– Ale znałaś Jennifer.

Oczy porywaczki pociemniały.

Olivia trafiła w czuły punkt. Dlaczego? Co dla niej znaczyła Jennifer?

– Nie przepadałam za tą suką. – Porywaczka nagle uśmiechnęła się do własnych myśli. –

Ale w ciągu minionych lat bardzo się zaprzyjaźniłam z jej przyjaciółkami. Wiesz, do tego stopnia, że się sobie zwierzałyśmy.

Żołądek Olivii podskoczył do gardła.

– Wyciągałaś z nich informacje, a potem je zabiłaś? – Oczywiście domyślała się, że to właśnie ta kobieta ma na sumieniu śmierć Shany i Lorraine, ale słyszeć to na własne uszy pod pokładem lekko rozkołysanej łodzi i widzieć przy tym uśmiech satysfakcji na twarzy kobiety, to co innego. O wiele straszniejszego.

– Niczego się nie spodziewały. Olivii zrobiło się niedobrze. Uspokój się. Myśl.

– A potem tylko mi zawadzały. – Porywaczka składała statyw do kamery, regulowała długość nóżek, mocowała je do podłogi za pomocą śrub. Zmarszczyła nos, rozejrzała się. –

Jeżu, ale tu cuchnie. Mój ojciec woził psy od portu do portu. Owczarki.

– Więc to ty do mnie dzwoniłaś? To byłaś ty, prawda? – Olivia ściągała ją na ziemię, chciała wiedzieć jak najwięcej.

– Mój Boże, ależ z ciebie bystra dziewczyna – kpiła z niej porywaczka. – Twoje IQ

pewnie sięga gwiazd. Oj, chyba nie. Gdybyś była taka mądra, nie siedziałabyś tu teraz. O, proszę... – Pochyliła się, przełożyła stronę w albumie i teraz patrzyła na ślubną fotografię Ricka i Jennifer. Panna młoda miała na sobie białą koronkową suknię z długim trenem, pan młody, o wiele młodszy niż Rick, którego znała, był dumny i przystojny w ciemnym fraku.

Na plastikowych przekładkach widniały krwawe smugi, pamiątki po kroplach krwi rozartych na ich twarzach. – To jest niezłe. – Trąciła album stopą i ponownie zajęła się kamerą.

Olivię przeszył dreszcz.

– Co ty właściwie robisz? – zapytała.

– Szykuję wszystko, żebyś mogła zapłacić.

– Zapłacić?-powtórzyłaOlivia.

– Za grzechy męża.

– Nie rozumiem.

Wariatka odwróciła się i uśmiechnęła lekko.

– Pewnie, że nie rozumiesz.

– Posłuchaj, wypuść mnie, dobrze?

– Och, oczywiście, po dwunastu latach planowania, czekania, szukania sobowtóra Jennifer, mam sobie odpuścić? Dlaczego? Bo, twoim zdaniem, to dobry pomysł? – Patrzyła Olivii prosto w twarz, jej lodowate oczy były martwe jak wzrok demona. – Niczego nie rozumiesz, co? Bentz musi zapłacić. Poczuć ten sam ból, co ja. Zrozumieć, jak to jest stracić ukochaną osobę i żyć dalej, dzień za dniem, ze świadomością, że nie tylko cię skazał na śmierć, ale też zniszczył własne życie. Czym jest całkowita, przerażająca samotność? –

Nakręcała się, mówiła coraz głośniejszym, energiczniejszym głosem, poczerwieniała na twarzy, zaciskała pięści. – Opanowała się jednak, uspokoiła oddech, rozluźniła dłonie i mówiła dalej ochryplym szeptem: – Przez niego przesłam przez piekło, Liwie, a teraz jego kolej. Czas, żeby i on doświadczył bólu. Żeby wiedział, jak to jest. Nie ma pojęcia, że zabiłam Jennifer, nawet tego nie podejrzewał. Też mi wielki detektyw! Tyle nagród za bohaterstwo! Czysta kpina! –

Dopiero teraz dostrzegła szok na twarzy Olivii i roześmiała się gorzko. – Tak, tak. Nie wiedziałaś o tym, prawda? Jennifer spokojnie gnije sobie w grobie, chyba że już ją wykopali.

Oczywiście, że to ona. Ta wredna suka owinęła sobie Bentza dokoła palca. Kochał ją, rozumiesz? Miał na jej punkcie obsesję, a to była dwulicowa szmata! Okropne. Zdradzała go, i to w kółko, zdradzała go, do cholery, a on ją kochał. – Dygotała z wściekłości, ale nie przestawała montować statywu. – Nawet gdy go zdradziła z jego własnym bratem, księdzem!

Ojcem jej dziecka! A on i tak wziął ją z powrotem! Masochista!

Naprawdę jej odbiło. Przepelniały ją nienawiść i chęć zemsty.

– To dawne dzieje – zauważyła Olivia.

– Nie jesteś ciekawa, jak to zrobiłam? W jaki sposób ją sprzątnęłam?

– Jennifer?

– Oczywiście, że Jennifer! Przecież nie rozmawiamy o królowej angielskiej! To było proste – przechwalała się. – Podmieniłam jej tabletki, dodałam czegoś do alkoholu.

Czekałam. A potem jechałam za nią i dopilnowałam, żeby miała wypadek. – Rozkoszowała się wspomnieniem. Umilkła. – Wiem, to było mało osobiste, tchórzliwe, posłużyłam się samochodem, ściagałam ją, straszyłam. Ale podziałało.

– Naprawdę ją zabiłaś? – Olivia chciała to usłyszeć jeszcze raz.

– O, nie. Sama się zabiła. Zapomniałaś już? A jeśli chodzi o liścik samobójczy, nawet nie wiedziałam, że istnieje. Sama go napisała, dużo wcześniej. Nasza Jennifer nie była zbyt stabilna psychicznie. A Bentz... I tak nie miał jej dosyć. Nawet rozwód go nie wyleczył.

Ciągle do niej wracał. Niektórzy nigdy się niczego nie uczą. – Zachichotała. – Ale on tak.

Dzisiaj dostanie nauczkę.

Olivia czuła, jak strach ścian jej krew w żyłach. Z trudem formowała słowa:

– Co on ci takiego zrobił?

– Nie wiesz? Naprawdę? – Umilkła na chwilę pogrążona w myślach.

– Zostawił mnie. I to nie raz, tylko dwa, za każdym razem dla tej suki, która ciągle łamała mu serce. – Spojrzała na ścianę, skupiła się na niewidocznym punkcie, widzialnym tylko dla niej. – Kochałam go. Przyjęłam go z powrotem, ufałam mu, wierzyłam w niego... – Urwała.

Miała łzy w oczach. – A on mnie zostawił. Samą. A po śmierci Jennifer szukał ucieczki w butelce. Czy pozwolił, żebym się nim zajęła? Nie! – Pociągnęła nosem, wyprostowała się.

– Ten tchórz wyjechał z Los Angeles, trafił do Nowego Orleanu, poznał ciebie. – Kręciła głową. – Nigdy nie ogląda się za siebie. A ty, żona, która powinna znać wszystkie jego tajemnice, nie wiesz nawet, kim jestem?

Fakt. Olivia nie mogła jej skojarzyć.

W głosie wzgardzonej kochanki brzmiał smutek.

– Może tak będzie lepiej. Nie musisz wiedzieć. Ale Bentz... On zrozumie. Zrozumie i będzie musiał żyć z tym do końca swoich dni.

Olivia patrzyła w obiektyw i poczuła fale mdłości. Boże, zaraz zwymiotuje. Cięża? Czy strach?

– Co chcesz zrobić? – zapytała nieswoim głosem.

– A jak to wygląda? Będę kręcić. To kamera cyfrowa. Nakręcę film z tobą w roli głównej.

Olivii stanęły przed oczami sceny z udziałem więźniów wojennych; oprawcy wymuszają na nich zeznania i wyznania wiary, wszystko z lufą przy skroni, z maczetą na gardle. Zaczęła dygotać. Usiłowała się uspokoić: myśl logicznie. Na razie nic się nie stało.

– To dla potomności. – Zadowolona, że kamera i statyw zajmują właściwą pozycję, wariatka odpowiednio ustawiła obiektyw. – No dobra, możemy zaczynać. – Wcisnęła guzik i włączyła kamerę, stanęła przed klatką, poza zasięgiem rąk Olivii, ale w polu widzenia obiektywu.

– Cześć, RJ – powiedziała, jej głos był bez tej chrypki, jaką słyszało się w rozmowach telefonicznych. – Mam nadzieję, że znajdziesz ten film, podobnie jak Łódź i żonę.

Co? O Boże, nie!

– Powinno ci się udać – ciągnęła. – Kamera jest nie tylko wodoszczelna – jest przeznaczona do filmów podwodnych. Jak widzisz, mam Olivię... Przez cały dzień była moim gościem tutaj, na „Merry-Anne”, myślałam, że bardziej się zaprzyjaźnimy, ale... Wiesz co, nie będę dłużej owijała w bawełnę, powiem szczerze: strasznie mnie nudzi. – Spojrzała na Olivię. – Skarbie, przywitaj się z Rickiem. Pomachaj mu. Pokaż, że nic ci nie jest. Jeszcze.

Olivia nawet nie drgnęła. Po pierwsze, zeszywniała ze strachu, po drugie, nie sprawi wariatce tej satysfakcji.

– Oj, chyba Liwie jest w złym humorze. Może coś ci powie, kiedy już sobie pójde.

Będziecie mieli trochę czasu dla siebie, kiedy będę pruć na pełne morze. Mogłabym ją załatwić równie łatwo jak moje pozostałe kochane przyjaciółki: Shanę, Lorraine i Fortunę.

Tally mi umknęła, ale czasem nie można mieć wszystkiego, prawda? A ja w końcu mam Liwie? Przyjaciółki Jennifer bardzo mi pomogły, dzięki nim dowiedziałam się mnóstwa rzeczy o tobie, RJ, o Jennifer, o waszym wspólnym życiu. Biedaczka, nie umiała trzymać języka za zębami. Mówiła im wszystko: jak spędzaliście weekendy, gdzie kochaliście się po raz pierwszy. A przyjaciółki to zapamiętały.

Olivia umierała w duszy, czuła ogrom jej zdrady – psychopatka najpierw się z nimi zaprzyjaźniła, wykorzystała i potem zamordowała.

– Więc zabiłaś je? – zapytała. Łódź kołysała się na falach.

– Oczywiście! – Spojrzała na Olivię z irytacją i pogardą, najwyraźniej rozmawia z idiotką. – Jak na psychologa, powoli łączysz fakty. Nie miałam wyjścia. Mogłyby skojarzyć jedno z drugim i wszystko by popsuły. A tak, policja podejrzewa twojego męża.

– Więc zamordowałaś pięć osób, trzy przyjaciółki Jennifer i bliźniaczki?

– No nie! – Odwróciła się w jej stronę z wściekłością na twarzy. – Nic miałam z tym nic wspólnego. Zamordował je ten sam świr, który zabił siostry Caldwell przed laty. Też sobie wybrał moment na powrót! – zachnęła się.

– Nie mieści mi się w głowie, jak w ogóle mogłaś pomyśleć, że maczałam w tym palce.

To seryjny morderca; podnieca go zabijanie niewinnych.

– A ciebie nie – dodała Olivia, starała się mówić spokojnie, chłodno.

– To wszystko część planu. Bentz musi zrozumieć.

– Ale ty też zabijasz niewinnych.

– Shana McIntyre niewinna? O, nie. Przyjaciółki Jennifer musiały zginąć. To co innego.

– Śmierć to śmierć.

– To jest zemsta. Morderca bliźniaczek to wariat. Sam zasługuje na śmierć.

– Jesteś równie chora jak on.

Wariatka posłała Olivii wściekłe spojrzenie.

– Ty idiotko. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Nie pojmujesz tego, co?

– Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, nerwowo zaciskała dłonie, jakby się bała, że zaraz straci nad sobą kontrolę.

I dobrze. Olivia wolałaby zmierzyć się z nią w walce, niż tkwić w cuchnącej klatce.

– Tu nie chodzi o mordercę bliźniaczek, idiotko. Nie dzisiaj. Dzisiaj chodzi o ciebie –

powiedziała i spojrzała w obiektyw. – I o ciebie, RJ. To...

– zatoczyła łuk ręką obejmując tym gestem całe pomieszczenie i klatkę – ostatni akt.

Koniec. Dzisiaj wszystko się kończy: zagadki, przebieranki, lata czekania. Samotność. – Jej głos się załamał. – Wreszcie będzie po wszystkim. A wiesz, jak? – Uśmiechnęła się zimno. –

Zaraz ci powiem. – Jej usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. – Zatopię łódź. Dzisiaj.

– Co? – Olivia jęknęła. Ogarnęła ją dławiąca fala paniki. Boże, nie mówi poważnie. Ale w głębi serca wiedziała, że ta wariatka, morderczyni, która poprzysięgła Bentzowi zemstę, jest w stanie to zrobić. – Nie – szepnęła. Z trudem trzymała się na nogach. – Błagam, nie.

– Ależ tak. „Merry Annę” wypłynie w morze po raz ostatni. Z tobą pod pokładem. –

Ponownie spojrzała w kamerę i mówiła do Bentza: – Zadbam, żeby łódź tonęła powoli.

Kamera przez cały czas będzie rejestrowała twoją żonę, więc zobaczysz, jak klatka wypełnia się, powoli, ale stale. Najpierw będzie jej zimno, będzie drżała, przerażona myślą, że stąd nie ma ucieczki, ale desperacko będzie szukała wyjścia. Będziesz widział jej panikę i słyszał jej krzyki, zobaczysz ze szczegółami jej żalosne wysiłki, by zaczerpnąć jeszcze jeden haust powietrza. Będzie unosiła usta i nos nad wodę, aż w końcu wciągnie wodę w płuca i pogodzi się ze śmiercią. Zobaczysz przerażenie w jej oczach, Bentz, i będziesz wiedział, że jej los był

w twoich rękach.

– Nie! Błagam! – Olivia wpadła panikę. Musi ją powstrzymać. – Nie możesz – mówiła bez namysłu.
– Ja... jestem w ciąży. – Psychopatka nie zabije nienarodzonego dziecka.

– Niemożliwe. – Wstrząsnęło nią to wyznanie. – Bentz jest bezpłodny.

– Nie żartuję! Jestem w ciąży! To niewinna istota. Nie chcesz chyba jej śmierci? – Olivia z najwyższym trudem zachowywała spokój, nie dawała po sobie poznać, jak bardzo się boi. –

Nie jesteś jak seryjni mordercy, prawda? Jesteś inna! – Usiłowała dotrzeć jakoś do morderczyni.

– Dziecko? – Szeptwała, jakby do siebie, z niedowierzaniem. – Bentza? Nie... Ale...

– To prawda! – Może to coś da, może warto było odwołać się do jej pokręconego systemu wartości.
– Przecież nie chcesz zabić niewinnego dziecka.

Morderczyni zmrużyła oczy i spojrzała na Olivię.

– Co za tandetne, żalosne kłamstwo. Nie jesteś w ciąży! Olivia podeszła bliżej.

– Jestem! Będę miała dziecko!

Porywaczka machnęła ręką, jakby chciała opędzić się od tej myśli, która wyraźnie wytrąciła ją z równowagi. W jej głosie znów zabrzmiał gniew.

– To i tak bez znaczenia. Nawet jeśli jakimś cudem jesteś w ciąży, to jeszcze lepiej. Bentz będzie patrzył na waszą śmierć, twoją i dziecka, wszystko w kolorze. Słyszałeś, RJ? Śmierć jej i domniemanego dziecka będzie na taśmie i będziesz mógł w kółko oglądać jej rozpacz i cierpienie. Idealnie. Warto było tyle czekać.

– Nie! Posłuchaj, nie wiem, kim jesteś ani dlaczego to robisz, ale proszę, przestań. –

Olivia, mimo wzburzenia, ciągle mówiła spokojnie. Przekonała się już, że błagania tylko podsycają ego porywaczki; musi spróbować inaczej. Rozproszyć jej uwagę. – Opowiedz, jaki masz problem z Bentzem. Może z nim porozmawiam i...

– Porozmawiasz z nim? Czy ty mnie nie słuchasz? – Zakryła sobie uszy dłońmi, złapała się za głowę,

jakby się bała, że się rozleci na kawałki. – Nie rozumiesz?

Olivia wyczuła, że porywaczka jest na krawędzi, ale nie cofnęła się. Cały czas patrzyła jej w oczy.

– Nie rób tego – mówiła spokojnie. – Posłuchaj. Jeśli...

– Dosyć! – W okrągłych oczach płonęła furia. – Gadaj, ile chcesz, ale nie dam się na to nabrać, rozumiemy się? To już koniec. Umrzesz, Liwie, i to jeszcze dzisiaj.

Wściekła, ale opanowana, sprawdziła ustawienia kamery i pobiegła na górę.

Tym razem zostawiła włączone światła.

Kamera rejestrowała każdy ruch Olivii.

Usłyszała odgłosy z góry, a potem potężny silnik obudził się od życia. Podłoga zadrgała.

Łódź ruszyła.

– O Boże – szepnęła pobudzona do działania.

Obeszła klatkę, sprawdziła każdy pręt, choć wiedziała, że nie da rady ich wyłamać.

Nie wydobędzie się stąd.

Z przerażeniem myślała o swoim losie: jest skazana na śmierć z rąk psychopatki. Jej dziecko nigdy nie zobaczy świata.

Ogarnął ją dławiący smutek.

Umrze przed okiem kamery.

Jej śmierć przejdzie do historii.

Rick Bentz będzie cierpiał do końca życia.

Wiedziała o tym.

Wiedziała też wariatka.

Już niedługo będzie po wszystkim, chyba że wydarzy się cud.

Wtedy także Bentz się o tym dowie.

Rozdział 38

Dentz wrócił do SoCal nakręcony kofeiną, adrenaliną i brakiem snu. To wszystko jednak tłumził strach o Olivię. Umierał z przerażenia. Czas mijał, a on wiedział tyle samo co wcześniej, czyli nic.

Fernando Valdez milczał jak zakłęty.

Bentz stał po drugiej stronie weneckiego lustra i niemal rwał sobie włosy z głowy przez całe trzygodzinne przesłuchanie tego chłopaka. Hayes i Martinez zasypywali go pytaniami, sugerowali, że może mieć poważne kłopoty, ale Fernando tylko rozpierał się w krześle i chował za splecionymi ramionami.

– Komu pożyczałeś samochód siostry? Srebrnego chevroleta? – pytał Martinez.

– Jednej... koleżance. Ze szkoły.

– Nazwisko?

– Jada. Nie znam jej nazwiska.

Bentz od razu pognął do innego pomieszczenia, gdzie, na swoje nieszczęście, zastał tylko Bledsoe, którego poprosił, by wyszukał kobiety o imieniu Jada notowane w policyjnych bazach danych. Tymczasem w pokoju przesłuchań Martinez odgrywała dobrą policjantkę.

– Miło z twojej strony, że jej pomagasz, gdy nie ma kasy i w ogóle – mówiła. – Wydajesz się dobrym kumplem. Ale wiedziałeś, że Jada może być zamieszana w kilka morderstw?

Fernando z uporem kręcił przecząco głową.

– Pomagałeś jej popełnić te zbrodnie? – zapytała Martinez. W jej ciemnych oczach pojawiło się łagodniejsze światło. – Może nawet o tym nie wiedziałeś. Może tylko gdzieś ją podwiozłeś. Nie wiedziałeś, co robi. – Wzruszyła ramionami. – W końcu ty tylko pomagałeś koleżance.

– Nie zrobiłem nic złego. Nikogo nie zabiłem. Wreszcie jakaś odpowiedź.

– Ej, Fernando. – Hayes trącił go łokciem. – Mamy twoje odciski palców. – Chłopak zamykał się w sobie, kiedy je pobierali. – Na pewno pokryją się z tymi, które znaleźliśmy w samochodzie. Może też z tymi z miejsc zbrodni.

– Nie! Przysięgam! – Fernando odwrócił się, usiadł do nich tyłem. Znowu splótł ręce na piersi. – Nie zrobiłem nic złego.

– Nikt tak nie twierdzi. – Martinez starała się go uspokoić. – Twoja siostra, twoi wykładowcy... Wszyscy wyrażają się o tobie w samych superlatywach. I dlatego myślimy, że możesz nam pomóc. Szukamy pewnej kobiety. Nazywa się Olivia Bentz. Jasne włosy, ciemne oczy. Widziałeś ją, Fernando?

Bentz patrzył przez lustro i czuł, jak jego życie rozpada się na kawałki, gdy chłopak przecząco pokręcił głową.

– Olivia Bentz zaginęła – ciągnął Hayes. – I mamy powody przypuszczać, że twoja przyjaciółka Jada maczała w tym palce. Co powiesz na ten temat?

– Nie! – Valdez nie dawał za wygraną.

Bentz najchętniej przebiłby pięścią szybę, złapał go za gardło i wydusił z niego prawdę.

Ponieważ Fernando nie odmówił zeznań i nie poprosił o adwokata, detektywi przesłuchiwali go dalej. Bentz słuchał uważnie.

Bledsoe sprawdził; w bazie danych nie było kobiet o imieniu Jada, które trafiłyby do policyjnych kartotek w ciągu minionego półtora roku. Kolejny ślepy zaułek. Rano zdobędzie jej dane z rejestru uczelni, ale na razie ma związane ręce.

W końcu Bentz zostawił nachmurzonego chłopaka w rękach Hayesa i FBI – pewnie go wypuszczą i dadzą mu ogon. Na posterunku nie miał nic więcej do roboty.

Jadąc, myślał o zdjęciach, nad którymi pracowali specjaliści LAPD. Biegacz zarejestrowany przez kamerę na molo w Santa Monica wyglądał tak samo jak ten, którego zarejestrowała kamera w jego motelu. Było w nim coś znajomego, miał wrażenie, że powinien umieć wyobrazić sobie jej twarz.

Kobieta? Owszem, właściwie byli tego pewni. Sprawdzali zapisy z kamer przemysłowych i kwity z parkomatów w okolicy motelu w czasie doręczenia koperty, nagrama z molo, z którego Jennifer skoczyła do morza, i wszelkie dostępne materiały z okolicy, w której spłonął

samochód Sherry Petrocelli. Ale Bentz się nie łudził. Ktoś, kto zabija z taką łatwością, wie, jak uniknąć zdemaskowania.

Geniusz zbrodni?

Ktoś z policji?

Prowadził auto instynktownie, zaciskał dłonie na kierownicy, czuł na sobie światła reflektorów. Myśli kłębiły się w jego głowie.

Ktoś, kto żywi do niego urazę. Osobistą.

I rozkoszuje się zemstą.

Jada, sobowtór Jennifer, zna odpowiedzi na te pytania. A Fernando ją kryje.

A w tej chwili Olivia siedzi w klatce, uwięziona, bo nikt nie jest w stanie znaleźć choćby strzępka informacji na temat porywacza. Bentz czuł, jak jego życie się rozpada, jak wali się wszystko, w co wierzył. Kobieta, która odmieniła jego życie, zrobiła z niego lepszego człowieka, teraz przez niego cierpi.

Zjechał z autostrady, trafił na korek. Ciekawe, czy w motelu czeka na niego kolejne przerażające zdjęcie żony.

– Nie zabijaj jej – szepnął.

Światła samochodu z przeciwka oślepiły go, zerknął w boczne lusterko i zobaczył swoje odbicie. Wyglądał, jakby się postarzał. Był udręczony. Dręczył go duch.

Zaparkował na starym miejscu, wyjął kluczyki ze stacyjki i znowu spojrzął w lusterko.

Tym razem skupił się nie na swoim odbiciu, ale na kobiecej postaci na skraju parkingu.

Jennifer!

O nie. Nie mogła się teraz pokazać. Odwrócił się.

Zniknęła.

Zdenerwowany wysiadł z wozu i stanął obok, słuchał, jak silnik się uspokaja i nadciąga noc.

Gdzie ona była?

Pod latarnią?

Koło fikusa?

Szedł coraz szybciej przez pusty, zakurzony parking, pod migoczącym kolorowym neonem reklamującym motel i jego atrakcje – basen i bezprzewodowy Internet.

Czyżby dostrzegł ruch po drugiej stronie kwietnika?

Ktoś biegnie?

Może to nie ona.

Ale puścił się biegiem wpatrzony w postać przed nim – ciemnowłosą kobietę. *Deja vu.*

Dziwne wrażenie. Przypomniał sobie, jak biegł za nią stromą ścieżką nad urwiskiem, jak się odwróciła i posłała mu całusa, zanim skoczyła w odmęty. Pamiętał, jak biegł za jej cieniem w ruinach zajazdu w San Juan Capistrano. I dzisiaj, rano, na cmentarzu. Czego chcesz, suko? Już wiem, że nie jesteś Jennifer. Tylko udajesz.

Przyspieszył, nie zwracał uwagi na przejeżdżające samochody, na światła ruchu.

Skoncentrowany na niej, przebiegł przez jezdnię na czerwonym, słyszał gniewne krzyki i klaksony. Nie zwracał na to uwagi. Biegł coraz szybciej. Zaboląta go noga. Nie reagował.

Doganiał ją, ale nadal dzieliła ich cała przecznica.

Co jest?

Stare wspomnienie pojawiło się nie wiadomo skąd i *deja vu* ogarnęło go całkowicie. W

innych czasach, w innym miejscu...

Przypomniał sobie, jak biegł za Jennifer przez park w Point Fermin, wśród promieni słońca przenikających przez listowie. Dogonił ją w altanie i całował do utraty tchu. Byli spoceni i zdyszani, czuł jej piersi przywierające do jego ciała. Uniósł jej ręce nad głowę, pchnął ją na pień drzewa i kochał się z nią tam, w cieniu.

Och...

Cholera...

Kolejne wspomnienie. Plaża w Santa Monica, tuż po zachodzie słońca. Biegł za nią po plaży, pod płonącym horyzontem, morze muskało ich stopy, diabelski młyn kręcił się tuż nad oceanem...

Idiota. Przestań. Zapomnij o niej. Dogoń ją i raz na zawsze wyrzuć Jennifer z myśli. To Olivia jest twoją miłością. Twoim życiem.

Jennifer skręciła, biegła przez parking.

Zacisnął zęby i biegł, coraz szybciej, szybciej.

Po chwili był przy wejściu do garażu oświetlanym słabą żarówką. Rozejrzał się. Nikogo.

Nasłuchiwał.

Poprzez oszalałe bicie swego serca usłyszał odgłos kroków, stóp uderzających o betonowe stopnie. Zobaczył klatkę schodową i ruszył w tamtą stronę. Kolano eksplodowało bólem, gdy ruszył w górę. Zobaczył ciemną czuprynę. Jakby poczuła jego wzrok, odwróciła się, uśmiechnęła złośliwie i pobiegła dalej.

Cholera!

Na trzecim piętrze?

Czy na czwartym?

Trzymając się poręczy, parł coraz wyżej. Serce mu waliło, nie mógł złapać tchu, był zlany potem. Nie poddawaj się. Nie daj jej uciec. To twoja szansa!

Na trzecim piętrze wszedł na parking, ale zobaczył tylko kilka samochodów mieniących się mdło w słabym świetle.

Wrócił na klatkę schodową, wszedł wyżej. Wyteżał słuch, chcąc usłyszeć coś jeszcze poza swoim tętnem. Na czwartym wydawało mu się, że mu mignęła po drugiej stronie parkingu, i usłyszał jej kroki. Ruszył w tamtą stronę, minął kolumnę, i zobaczył ją, jakieś trzydzieści metrów dalej. Naciskała przycisk na breloczku.

Zapaliły się światła w granatowym SUV-ie.

Nie!

Nie pozwoli jej uciec!

Otworzyła drzwiczki, spojrzała na Bentza, uśmiechnęła się prowokacyjnie i posłała mu całusa.

– Jennifer! – zawołał.

W tej chwili z cienia wyłonił się mężczyzna z pistoletem wycelowanym w kobietę.

Bentz potknął się z wrażenia.

– Policja. Stać! – Poleciał Reuben Montoya z kamienną twarzą, z palcem na spuście. –

Jada Hollister, jest pani aresztowana.

Póki łódź płynie, ma czas.

Znajdzie drogę ucieczki... jakoś.

W kółko chodziła po klatce, szukała drogi ratunku. Na darmo. Kamera jest poza jej zasięgiem, w przeciwieństwie do cholernego albumu z wyblakłymi zdjęciami i smugami krwi.

Najwyraźniej psychopatka nakręcała się, plamiąc krwią, swoją albo cudzą, zdjęcia Bentza.

No dobrze, album w skórzanej oprawie jest na wyciągnięcie ręki. Wysunęła dłoń i przekładała ciężkie stronice. Z narastającym przerażeniem patrzyła na sceny z życia Bentza: Rick i James jako dzieci. Rick w szkole średniej, w rękawicach bokserskich, przy worku treningowym. Rick w college'u, w akademii policyjnej... i młodsza wersja porywaczki, z Rickiem w barze, oboje uśmiechnięci, z papierosem i drinkiem, najwyraźniej razem.

Tak jak mówiła.

Psychopatka i Bentz byli parą.

Porzucił ją – dwukrotnie.

Dla Jennifer.

Sama to powiedziała, a zdjęcia stanowiły potwierdzenie. Olivia zagryzła wargi i oglądała sceny z jego życia z Jennifer, z innymi kobietami, zapewne po rozstaniu z żoną. Znowu pojawiła się porywaczka. Tym razem już nie uśmiechała się tak promiennie.

Skąd taka obsesja?

Olivii było niedobrze.

Przewróciła jeszcze kilka stron, kolejne wspólne zdjęcia rodziny, a potem... potem pojawiła się ona. Ślub. Ona i Bentz na imprezach dobroczynnych.

Oczy zasły jej łzami, gdy widziała łączącą ich miłość utrwaloną na fotografiach. Błysk w jej oku, uśmiech na twarzy Ricka.

Boże, co się z nim stało?

Serce bolało ją na myśl o wszystkim, co straciła. A teraz już za późno. Psychopatka nie zadowolila się śmiercią Jennifer. Jeśli już, to tylko spotęgowało jej obsesję na punkcie Ricka Bentza, a nowym celem stała się Olivia. A teraz, tak jak kiedyś Jennifer, zginie w starannie zaplanowanym, wyreżyserowanym wypadku.

Olivia zamknęła oczy. W tym momencie poczuła ostry ból w podbrzuszu.

Tak ostry, że wstrzymała oddech. Boże drogi. Oparła się o pręty, zacisnęła na nich dłonie, kłykcie pobiegały pod wpływem przeszywającego bólu.

Czuła, że łódź przyspiesza, pruje wodę, mknie na miejsce ostatecznego spoczynku.

Ból powoli ustępował. Uniosła głowę, odetchnęła głęboko. Nic jej nie będzie, ani jej, ani dziecku. Znajdzie jakiś sposób, by ich wyciągnąć z tej mami. Musi tylko pomyśleć... O Boże!

Kolejna fala bólu.

Ostrego jak nóż.

Jęknęła.

Dziecko?

Poronienie?

Nie, nie, nie!

Oddychała szybko, usiłowała się skupić, wziąć się w garść. Panikuje.

Nic nie grozi dziecku, z ciążą wszystko w porządku. Wszystko w porządku.

Ale ból nie ustępował. Zerknęła na otwarty album, poczuła kolejne ukłucie bólu.

Dziecku nic nie jest!

Oddychała głośno, płytko i szybko. Skurcze trwały. Nie była w stanie myśleć.

Dziecku nic nie jest, nic, nic, nic!

Zacisnęła zęby pod wpływem bólu, jaki wywołała przerażająca myśl, że straci kiełkujące w niej

życie. Wtedy poczuła krew. Ciepłą, gęstą. Leniwy strumyk. Krwawi. Cholera jasna, krwawi.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – zawołał Bentz, idąc w stronę partnera przez opustoszały parking.

– Ratuje twój żaloszny tyłek. – Montoya cały czas trzymał podejrzaną na muszce.

Bentz podszedł do kobiety; cały czas nie wierzył własnym oczom, tak bardzo była podobna do Jennifer.

– Jada... – Poza tym, że do złudzenia przypominała jego pierwszą żonę, był pewien, że jej nie zna. – Kim jesteś?

Nie odpowiedziała. Zrobił to za nią Montoya.

– Nazywa się Jada Hollister, studiuje aktorstwo w Whitaker College. Niosła aktorka.

Przyjaciółka Fernanda Valdeza.

– No jasne. – Bentz mierzył ją rozwścieczonym wzrokiem. Z trudem opanował się, by nie rozerwać jej gołymi rękami. – Gdzie Olivia?

– Co? Kto?

– Moja żona. Prawdziwa żona. Gdzie jest? – warknął.

Nadal zachowywała spokój i zimną krew, które opanowała do perfekcji. Nawet nie drgnęła.

– Nie mam pojęcia. Bentz nie wytrzymał.

– Mam dosyć bzdur, jasne? Gdzie, do cholery, jest moja żona?

– Na twoim miejscu powiedziałbym mu – poradził Montoya. Oparła dłonie na biodrach.

– Aleja nie wiem.

– No to się skup – syknął Bentz.

– Zlituj się – zachnęła się. – Co to jest, tekst z tandetnego westernu?

Z wyższego poziomu zjeżdżał samochód, mercedes. Kobieta za kierownicą, Murzynka w barwnej chuście na głowie, zobaczyła broń w dłoni Montoi, przyspieszyła i sięgnęła po telefon. Dzwoni po policję, pomyślał Bentz.

– Zaraz będzie tu LAPD – oznajmił z lodowatym spokojem. – Zapewniam cię, że potraktują cię lepiej, jeśli powiesz, gdzie jest moja żona. I to natychmiast.

– Kiedy ja nie wiem. – Jada ściągnęła brwi. Odprowadzała wzrokiem znikającego mercedesa.

– Nazywasz się Jada Hollister?

– Tak, tak.

– I przyjaźnisz się z Fernandem Valdezem.

– Można to tak nazwać.

– Płacił ci za udawanie Jennifer? – zapytał Bentz. Zawahała się, więc dodał:

– Nie żartowałem, kiedy mówiłem o policji. Jesteś zaplątana w wielokrotne morderstwo i porwanie mojej żony. Jeśli nie zaczniesz mówić, dopilnuję, żebyś resztę życia spędziła za kratkami.

– Bzdura! Nic nie zrobiłam!

– Czyżby? Moim zdaniem siedzicie w tym razem z Fernandem i razem pójdziecie na dno.

Jada wodziła wzrokiem od Bentza do Montoi, zatrzymała spojrzenie na pistolecie wycelowanym w nią.

– O Jezu. – Zagryzła usta. Ciągle ze sobą walczyła.

– Poprawisz swoją sytuację, jeśli powiesz nam prawdę o twoim chłopaku – naciskał

Montoya.

– Moim chłopaku? Fernando?

– On to wszystko wymyślił. Roześmiała się.

– Nie wymyśliłby, co zjeść na śniadanie. To nie on – prychnęła pogardliwie.

– Więc kto?

Zmrużyła oczy z wyrachowaniem. Po chwili podjęła decyzję, westchnęła.

– Ktoś, kogo znał. Kobieta.

– Co za kobieta? – dopytywał się Bentz.

Jada zmierzyła Montoyę pogardliwym wzrokiem.

– Odłóż to.

Schował broń i wyjął z jej dłoni kluczyki do samochodu.

– Ktoś ci płacił, żebyś doprowadzała mnie do szału.

– Chyba tak. – Wzruszyła ramionami.

– Wiesz, że tak! – Boże, najchętniej wydarłby z niej prawdę siłą. – Posłuchaj, jesteś w nie lada tarapatach. – Czy ona tego nie pojmuje? – Zginęli ludzie.

– Wyjął z kieszeni zdjęcie uwięzionej Olivii, podsunął jej pod nos. – Proszę, zobacz moją żonę. Tę, która zaginęła. Porwała ją twój a przyjaciółka, ta, która cię wynajęła. – W jego głosie wyczuwało się wściekłość. Dłoń z fotografią drżała.

– To nie jest moja przyjaciółka. – Jada pobladła wpatrzona w fotografię. Skrzywiła się, widząc strach w oczach Olivii i zdartą skórę wokół jej ust.

– Mamy jeszcze inne zdjęcia – ciągnął Bentz niskim, groźnym głosem.

– Zwłok. Może chciałabyś zobaczyć Shanę McIntyre w basenie? Albo Lorraine Newell z mózgiem na ścianie? A może Fortunę Esperanzo...

– Dosyć! – Miała łzy w oczach. – Na miłość boską, nic nie wiem o morderstwach! To znaczy... zatrudniła mnie wariatka, chciała, żebym kogoś udawała. To miała być rola.

Twierdziła, że jeśli ufarbuję sobie włosy na ciemniejszy odcień i trochę je podkrecę, włożę zielone szkła kontaktowe i wypcham policzki, będę wyglądała jak ta cała Jennifer. – Na dowód wyjęła szkła kontaktowe z oczu, które nagle stały się niebieskie, i protezę z ust.

Zmieniła się.

– Miała też fiolkę perfum, kazała mi ich używać, więc... Zrobiłam to. Musicie mi uwierzyć. To miała być nieszkodliwa zabawa.

– Akurat.

– Naprawdę. Mówiła, że to tylko taki kawał. Chciała postraszyć byłego chłopaka. No i miała mi dużo zapłacić.

– Jak dużo?

– Dwadzieścia pięć kawałków. Trzydzieści, jeśli skoczę z Devil's Caldron. Wpadła na to, gdy jej powiedziałam, że kiedyś skakałam ze skał do morza.

– Trzydzieści tysięcy dolarów. – Bentz splunął z niesmakiem. – He to wychodzi? Osiem kawałków za życie?

– Mówiłam już, nic nie wiem o żadnych morderstwach – powtórzyła z przejęciem. Nagle spoważniała, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. – Chciałam się wycofać, ale mi nie pozwoliła. Naprawdę myślałam, że to tylko kawał, wiecie, takt rozbudowany dowcip, jak w telewizji. Myślałam, że dzięki temu wypłynę, że to początek kariery. Dała mi scenariusz, podsuwała wskazówki przez telefon, do wynagrodzenia doszło kilka darmowych wycieczek do Nowego

Orleanu. Obowiązywała jedna zasada – mam nie dać się złapać. Nie dotrzymałam warunku, jak widać. – Umilkła, wbiła wzrok w płamę oleju na ziemi.

Bentz miał wrażenie, że bardziej jej żal straconych pieniędzy niż kobiet, które zginęły.

– Kim ona jest? Kto cię zatrudnił? – zapytał.

– Nie wiem. Nigdy jej nie widziałam. Rozmawialiśmy przez telefon.

– Jak ci płaciła?

– Gotówką... – Jada mówiła o tym niechętnie. – Powiedziała, że oszczędzała na to od lat.

Zostawiła mi kasę w szatni, w szafce w siłowni w Santa Monica, blisko promenady.

– Już ci zapłaciła?

– Częściowo. Na razie pięć tysięcy jako zaliczkę. – Umilkła, jakby w końcu zrozumiała, w jak trudnej jest sytuacji.

– Potrzebny mi adres siłowni. Jesteś członkiem?

– Tak. Ale nie... nie płacę. Miałam się tam kręcić, ładnie wyglądać, pływać, sami wiecie.

Bentz najchętniej zadusiłby samolubną sukę gołymi rękami, ale stłumił to pragnienie i pomyślał o Olivii. Musi ją ratować.

– Potrzebny nam scenariusz – zauważył Montoya.

– Tak, tak.

– A jaką rolę gra w tym wszystkim Fernando Valdez? – zainteresował się Montoya.

– Żadną. – Wzruszyła ramionami. – Miałam go wykorzystać, poznać, zainteresować sobą, sprawić, żeby robił dla mnie różne rzeczy.

– Na przykład pożyczał samochód. Przewróciła oczami i westchnęła.

– Zasłona dymna – stwierdził Bentz. – Żeby nie patrzył we właściwą stronę.

– Chyba tak. – Jada podniosła głowę. – Miałam trzymać się z dala od policji, a już jak ognia unikać człowieka o nazwisku Hayes.

– Hayes? – Bentz z trudem oddychał.

– Tak. Myślałam, że może też w tym siedzi. Jonas Hayes? Glina na manowcach? O, nie.

– Myślisz, że... ? – Montoya wydawał się czytać w jego myślach. Bentz pokręcił głową.

– Nie, to nie on.

– Ja tylko mówię, co wiem. – Jada wzruszyła ramionami, jakby nic jej to nie obchodziło.

Powracała dawna pewność siebie. – Kiedyś powiedziałam, nie pamiętam dokładnie, ale zapytałam ją, co się właściwie dzieje. Odparła, że mam się nie martwić, że wszystko ma pod kontrolą, że Jonas się tym zajmie albo jej powie.

– W łóżku. – Bentz nagle był pewien.

– Nie wiem. – Jada przewróciła oczami, teraz niebieskimi. – Może. Nie: może. Wszystko pasuje. Bentz podejrzewał, że za tym wszystkim stoi policjant. A jeśli to policjant z dostępem do baz danych, ktoś szanowany w Parker Center, kto poprzez Jonasa Hayesa dowie się, jak się rozwija śledztwo? Zawsze może wtedy wyprzedzać ich o krok.

Corrine O'Donnell.

Kobieta, którą rzucił dwa razy. Oba dla Jennifer. Skrzywił się, nie chciał w to uwierzyć...

i nagle przypomniał sobie jej sztucznie zatroskany głos, gdy zgłaszał zaginięcie Olivii. Jak mógł nie zwrócić na to uwagi? Corrine, związana z Jonaszem, który stanowił jedyne ogniwo łączące Bentza z LAPD.

Teraz wiedział już, dlaczego Jada była w stanie uprzedzić każdy jego krok. Zaszło mu w gardle, gdy wspominał miniony tydzień: martwe kobiety, wizje Jennifer, pościgi samochodowe.

Czy to możliwe?

Czy naprawdę za tym wszystkim stoi Corrine?

A Hayes? Matko Boska, jaką rolę on odgrywa w tym wszystkim?

Jonas Hayes wiedział o wszystkim, co robił Bentz, obstawał, by postępowali zgodnie z zasadami. Wycie syren przecinające nocną ciszę rozniosło się echem po parkingu i wyrwało Bentza z zadumy. Jedzie LAPD.

– Obyś mówiła prawdę – zwrócił się do Jady.

– Ja tylko chcę dostać moją forszę. – Spojrzała na niego z nadzieją. Montoya patrzył na nią pogardą.

– No cóż, nie liczyłbym na to. Wiesz, ja też chciałbym być Bradem Pittem, ale czasami nie wszystko układa się po naszej myśli.

Skrzywiła się.

– No to masz pecha, Brad – syknęła. Bentz niemal widział, jak obracają się trybiki w jej umyśle. – A tak przy okazji, żądam adwokata. Nie powiem ani słowa, póki nie zawrzemy ugody.

Martinez przystanąła przy biurku Hayesa i podała mu powiększone zdjęcia Olivii.

– Oto, co im się udało zrobić w laboratorium.

Technicy przeanalizowali fotografię, powiększyli ją i wyostrzyli, szukając najmniejszych szczegółów i ukrytych elementów.

– Wysłali ci to pocztą elektroniczną.

– Mam – mruknął Hayes. Padał ze zmęczenia. Porównał oba obrazy – na monitorze i na papierze.

– To łódź – ciągnęła Martinez. Dotknęła opuszką palca miejsca za głową Olivii. –

Widzisz te niewyraźne kształty? To kamizelki ratunkowe. A ten kształt na ścianie? Chyba w paski? – Podała mu kolejne powiększone zdjęcie. – Wygląda jak wiosło.

– Łódź. Więc przetrzymuje ją na wodzie? – Jonas dotknął krawata, pogrążony w myślach.

– Na przystani? W marinie? W suchym doku? – Szukał kolejnych szczegółów.

– Albo na morzu.

– Cholera. – Coś w tych zdjęciach nie dawało mu spokoju.

– Może trzeba będzie skoordynować poszukiwania ze Strażą Przybrzeżną. – Martinez ściągnęła go na ziemię i podała kolejne zdjęcie. – Na rym jest coś, czego nie widać gołym okiem. Technicy uważają, że to końcówka nazwy łodzi widoczna na kole ratunkowym.

Litery: n, n, e.

Hayes na moment zamknął oczy i zaraz znowu uniósł powieki. Rzeczywiście. To wygląda jak koło ratunkowe. Z ledwo widocznymi literami n, n, e.

Kończówka nazwy łodzi?

Zamrugnął powiekami, poczuł ogarniające go niedowierzanie. Nie. To niemożliwe.

Nie.

Cholera, nie.

Ale łódź wydawała się znajoma.

Widział te koła, te wiosła. Poczuł, jak lodowata dłoń ściska mu wnętrzności... Nie, to niemożliwe... A jednak miał dowód przed oczami.. Te litery na kole ratunkowym... To końcówka nazwy „Mény Annę”, łodzi, na której kilka razy wypływał z Corrine...

Ogarnęła go panika. Przypomniawszy sobie wszystkie odwołane randki, telefony nie wiadomo skąd,

szalony seks, który nigdy nie przerodził się w ciepłą bliskość, zrozumienie dla jego pracy i ciągle pytania, i zainteresowanie tym, co robi...

– To jest łódź – powiedział stanowczo, choć każde słowo raniło do krwi. Jak mógł być tak głupi? Tak ślepy? – Nazywa się „Merry Anne”, na cześć Merry, matki Corrine O’Donnell.

Nazwę wymyślił jej ojciec.

– Corrine? – powtórzyła Martinez, patrząc na niego, jakby zwariował. – Przecież to...

– Moja dziewczyna, wiem. – Było mu niedobrze, zdrada go dławiała.

– Chciałam powiedzieć, że to policjantka.

– Co tylko pogarsza sprawę, bo to ona jest morderczynią, i to ona ma Ohwię Bentz na pieprzonej „Merry Anne”. – Przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy, po czym sięgnął po telefon. – Dzwonię do mariny, niech sprawdzą, czy łódź jest w porcie.

– A jeśli nie?

Wolał nie myśleć o tym, jak daleko od brzegu mogła odpłynąć Corrine, świetna żeglarka.

– Zawiadomimy Straż Przybrzeżną.

Rozdział 39

Tak, jak ja to widzę, mamy dwa wyjścia – zaczął Montoya. Jechali do Parker Center w ślad za wozem patrolowym, który zabrał Jadę Hollister. – Wersja A: mówisz Hayesowi prosto z mostu, że jego dziewczyna to psychopatka i morderczyni. Wersja B; pomijasz go i mówisz komuś wyżej, na wypadek gdyby Hayes też był w to zaplątany.

Bentz bębnił palcami w okno wynajętego mustanga.

– Instynkt mi podpowiada, że Hayes jest czysty. Jakżeby nie? Poświęcał tyle czasu, żeby mi pomóc. Nie może być w dwóch miejscach jednocześnie.

– Więc zdaj się na instynkt. – Montoya skinął głową i skręcił tak ostro, że zapiszczały opony. Zwolnił, by po chwili znowu przyspieszyć. – Do tej pory instynkt cię nie zawiódł. Ale musimy szybko działać i odnaleźć Corrine. O ile to ona ma Olivię.

Bentz skinął głową. Cały czas miał przed oczami zdjęcie żony, przerażonej, za kratami.

Wszystko przez niego.

Trzymaj się, zaklinał ją w myślach. Jeszcze trochę, wkrótce tam będę.

– Wiesz, co mnie drażni? Że za tym wszystkim stoi glina. – Montoya patrzył na ciemną wstęgę drogi.

– Jeden z nas. Ktoś z wydziału.

Glina. Ta myśl nie dawała Bentzowi spokoju. Kobieta, na której kiedyś mu zależało, z którą się kochał. Corrine. To ona niosła śmierć i zniszczenie. To ona porwała Olivię i chciała ją zabić, jeśli jeszcze tego nie zrobiła.

Ma gdzieś zasady.

Mieli jechać za wozem patrolowym do Parker Center, zgłosić, czego się dowiedzieli, i zebrać wszelkie możliwe dane o miejscu pobytu Corrine O'Donnell.

– Znajdziemy ją – mruknął Montoya. Jego twarz wydawała się ponura i spięta w świetle deski rozdzielczej. – Znajdziemy Olivię i załatwimy tę O'Donnell.

Bez pardonu.

Bez zwłoki.

Bez litości, jeśli będzie się powoływała na pracę w policji i błagała o litość.

A jeśli Hayes jest w to wplątany, on także pójdzie na dno.

W szczęce Bentza drgał mięsień. Bębnił nerwowo palcem, wzrok utkwiał w mroku za szybą.

Zadzwonił telefon. Zerknął na wyświetlacz – Jonas Hayes.

– Hayes – powiedział do Montoi i przygotował się na stek kłamstw. Jeśli ten sukinsyn jest w jakikolwiek sposób w to zamieszany...

Montoya łypnął groźnie i zacisnął dłonie na kierownicy. Odebrał.

– Bentz – odchrząknął.

– Posłuchaj, wiem, gdzie jest Olivia. – Hayes mówił cicho, powoli, jakby walczył z wszechogarniającą wściekłością, która zaraz zburzy jego opanowanie.

– Gdzie? – Bentz zachował czujność. Zerknął na Montoyę.

– Na łodzi. Tyle nam dała analiza zdjęcia i... O Jezu, to nie wszystko – wydusił z siebie. –

Poznałem łódź po sprzęcie na ścianach.

– Poznałeś...

– Tak. To „Merry Annę”. Merry jak w Merry Christmas, i Annę, z „e” na końcu. Należała do ojca Corrine. Dostała ją w spadku.

– O'Donnell? – zapytał Bentz ostrożnie, choć przecież znał prawdę. Musiał najpierw poznać teorię

Hayesa, żeby nie popełnić błędu. – Corrine O’Donnell więzi Olivię na łodzi?

– Jezu, Bentz, sam nie mogę w to uwierzyć, ale... Do cholery, wykorzystwała mnie. W

każdym razie jadę teraz do mariny, ale wygląda na to, że wyprzedza nas o krok. Straż z Marina del Rey twierdzi, że „Merry Annę” nie ma w porcie.

– Gdzie ta marina? – zapytał. Hayes podał mu niezbędne informacje, Bentz przekazał je Montoi i wprowadził do systemu GPS. – To na pewno Corrine?

– Tak, to ona. Myślę... Jezu, gdy pomyślę, że przekazywałem jej informacje... Wiesz, jak to jest, glina z gliną... Nie przeszło mi przez myśl, że ona... – Hayes stracił panowanie nad sobą. – Zabijała kobiety, które uważała za przyjaciółki.

Bentz zacisnął usta.

– Na to wygląda.

– Cholera. – Po krótkim milczeniu Hayes wziął się w garść. – Poinformowałem Straż Przybrzeżną. Szukają jej, ale zna się na żeglowaniu. Równie dobrze może już być w drodze do Meksyku.

– A Olivia może być martwa. Hayes odczekał chwilę.

– Tak. – W jego głosie był szczery żal. – Tak mi przykro, Bentz.

– Spotkamy się w marinie – odparł sztywno Bentz.

– Już tam jadę. Wezwałem posiłki. Łódź już na nas czeka.

Bentz się rozłączył, a jego partner już przyciskał gaz do dechy i słuchał wskazówek GPS; na zachód, w stronę Pacyfiku. Do Olivii.

Olivia poczuła ruch.

Silnik zmienił rytm.

Serce stanęło jej w gardle. A więc to już!

Silnik umilkł, łódź się zatrzymała. Przez chwilę pod pokładem panowała śmiertelna cisza, wyczuwało się tylko lekkie kołysanie. A potem usłyszała cichy chłupot fal obijających się o burtę na bezkresnym oceanie.

Jak daleko są od brzegu?

Od ludzi?

Zagryzła usta i słuchała. Nikt nie wie, gdzie jest. Nikt nigdy jej nie znajdzie. Nigdy w życiu nie czuła

się równie samotna, jak tu, pod pokładem starej łajby.

Skurcze ustąpiły, choć przenikliwy ból powracał co kilka minut. Zmusiła się, by wstać.

Musi walczyć.

Tylko jak?

Nie poddawaj się! Nie wolno!

Opanowała strach i usiłowała wziąć się w garść. Starła się nie myśleć o tym, że ciągle krwawi, powoli, tak, ale krwawi. Traci dziecko, którego tak bardzo pragnęła.

Wyprostowała się, gdy usłyszała przeraźliwy zgrzyt metalu o metal. O Boże.

Morderczyni rzuca kotwicę.

Przez chwilę nie mogła się ruszyć.

A więc miała zginąć tutaj, gdzieś u wybrzeży Kalifornii. Powoli, w męczarniach.

Myśl, Olivio! Myśl! Jeszcze żyjesz!

Tłumaczyła sobie, że nie mogą być zbyt daleko od brzegu, jeśli ktoś ma znaleźć łódź, jej zwłoki i kamerę.

Porywaczka jest dokładna, jej plan dopracowany w najmniejszym szczególe, czas zaplanowany co do sekundy. Ta maniaczka musi mieć kontrolę. Wybrała właśnie to miejsce, czekała na tę chwilę od lat, rozkoszowała się wizją śmierci Olivii.

– O nie – powiedziała na głos. – Nie poddam się bez walki.

Jak to mawiała babka Gin? Póki jest życie, jest i nadzieja.

A ona przecież żyje.

Jeszcze.

Musi być sposób, by przechytrzyć wariatkę... Udać, że się załamała, że porywaczka wygrała? Może wtedy popełni błąd.

Tak myślisz? Liczysz, że kobieta, która poświęciła dwanaście lat na planowanie tego, popełni tak karygodny błąd?

Nie. Wymyśl coś pewniejszego. Olivio, możesz liczyć tylko na siebie.

Musi ją pokonać. W rozgrywce psychologicznej.

I to szybko. Boże drogi, czas ucieka. Już wkrótce łódź zacznie tonąć. Czyż nie taki był

plan? Matko Boska! Olivia nie wyobrażała sobie gorszej śmierci niż ta, która ją czeka; podczas prób wydostania się, w potokach zimnej wody, której jest coraz więcej i więcej, a ona kurczowo chwytła ostatnie hausty powietrza...

Z bijącym szaleńczo sercem, złana lodowatym potem, gorączkowo szukała wyjścia z pułapki.

Przestań. Uspokój się. Nie panikuj. Właśnie tego chce, właśnie na to liczy. Oddychaj głęboko, policz do dziesięciu i myśl logicznie.

Nad jej głową psychopatka coś przestawiała, uruchamiała swój plan. Olivia musi się spieszyć!

Odetchnęła głęboko, zdusiła strach i usiłowała się opanować. Wiedziała, że morderczynie chce, by kamera zarejestrowała jej rozpacz, by Bentz był świadkiem rozpaczliwej walki o życie. Celem porywaczki jest nękanie Bentza: najpierw duchem Jennifer, teraz – powolną, bolesną śmiercią Olivii.

O to chodzi.

O kontrolę.

Strach.

Chcąc pokrzyżować jej plany, Olivia musi pozbawić ją najwyższej nagrody – zemsty nad Bentzem.

Odpowiedź nasuwała się sama: musi wyłączyć kamerę.

Ale jak?

Gdyby zdołała dosięgnąć wiosła, mogłaby zrzucić kamerę ze statywu i ogłuszyć porywaczkę... Ale to nie wchodzi w grę. Już próbowała ściągnąć je ze ściany – bez powodzenia. Tak samo, jeśli chodzi o wędki czy statyw.

Nie ma mowy.

Ma do dyspozycji tylko trzy rzeczy: wiadro, dzbanek z wodą i album ze zdjęciami.

Zaczęła od dzbanka. Chlusnęła jego zawartością na kamerę.

Woda rozprysła się dokoła, zmoczyła jej rękę.

Kamera i czerwone światelko nagrywania nawet nie drgnęło.

– Świetnie. – Usiłowała przepchać dzbanek między prętami, ale nie było to możliwe, nawet gdy ścisnęła go, by stał się węższy.

Zamachnęła się, wyciągała rękę, usiłując dosięgnąć kamery. Nie.

– Cholera.

Zdeterminowana po raz kolejny rozejrzała się wokół i jej wzrok zatrzymał się na albumie.

Oprawiony w sztuczną skórę, pełen zdjęć, wycinków z gazet, foliowych przekładek. Był zbyt gruby, by go przeciągnęła między prętami.

Co nie znaczy, że nie może go podrzeć i jakoś wykorzystać poszczególnych stron. Z

sercem na ramieniu wyciągnęła rękę po album. Musnęła go palcami. Przywarła barkami do krat. Zacisnęła zęby, zmusiła się od większego wysiłku i położyła na nim opuszki palców.

Nacisnęła, ale spocony palec się ześlizgnął. Znow przeszył ją kolejny ból. Skrzywiła się.

– Cholera.

Uparcie ponawiała próby, wyciągała rękę, dotykała albumu, przyciągała go do siebie.

Nad jej głową dudniły kroki porywaczki. Przesuwa coś, szykuje się. Przygotowuje śmierć Olivii i jej dziecka.

Nie! Nie będzie myślała o niczym poza ucieczką. I nie przerazi się skurczów, które sprawiały, że skręcała się z bólu.

– Wytrzymaj – powtarzała sobie, nie wiedząc, czy mówi do siebie, czy do dziecka.

W końcu album znalazł się koło klatki. Obiema rękami wrywała poszczególne strony, rozpięła zatrzask spinający grubą księgę. Naprędce sklecony plan musi się udać! Musi.

Ze względu na nią. Na Bentza. Na dziecko.

Montoya nacisnął na hamulec i mustang z piskiem opon zatrzymał się w marinie. Jeszcze nie zdążył się zatrzymać, a Bentz już biegł w stronę nabrzeża. Ból w nodze przypominał, że dzisiaj bardzo ją nadwerężył.

Miał to w nosie. Biegł po chodniku, wzdłuż kei, do motorówki Straży Przybrzeżnej, z Montoyqu boku. Odbili do brzegu, płynęli na otwarte morze, ale za wolno, za wolno.

Szybciej, do cholery, szybciej!

Z niepokojem wpatrywał się w ogrom Pacyfiku. Boże drogi, jak ją znajdą? Zdławił

strach, powtarzał sobie, że mają czas, ale klął pod nosem, a każde uderzenie serca niosło grozę.

Ledwie oddalili się od brzegu, kapitan dodał gazu. Statek ożył.

Za ich plecami szalała feeria świateł, które odbijały się w wodzie i na szczęście gasły, im dalej

wyłąywali w morze. Ślizgacz ciął wodę, bryzgi fal i wiatr oślepiały Bentza, który przeczesywał wzrokiem ciemność, modląc się o życie żony. Ma jeszcze czas.

Montoya i Hayes naradzali się, zagłuszał ich szum silników i wiatru.

Planowali.

Ale Bentz myślał tylko o Olivii i o tym, przez co przechodzi. Był słaby, bezradny. Tyle szkoleń, tyle lat w policji, a nie może nic zrobić, by ją ratować.

Zacisnął dłonie na poręczu. Trzymaj się, myślał. Boże, Liwie, trzymaj się.

Każdy odgłos docierający z góry, każdy krok, każde przesunięcie krzesła sprawiały, że Olivia dygotała nerwowo.

– Skup się – powtarzała sobie. – Skup się.

Ale sytuacja się zmieniła, silnik... inny odgłos... i wtedy to zobaczyła. Woda na podłodze plamiła album... na razie jest jej mało, ale...

– Błagam, nie. – Na myśl o śmierci pod wodą zrobiło jej się niedobrze. Skąd ona się bierze? Czy może ją jakoś zatamować? Zatkanąć przeciek?

Boże, skąd ta woda? W panice odwróciła się, przeczesywała wzrokiem pomieszczenie, ale nie widziała nic, żadnej szczeliny w podłodze, żadnej dziury w burtach. Nic nie może zrobić. Plan psychopatki wszedł w życie. Nie ma innego wyjścia. Może tylko liczyć, wbrew wszystkiemu, że jej działanie pokrzyżuje plany wariatki. Musi dalej robić swoje.

Zacisnęła usta, wyrwała ostatnią stronę z albumu i wciągnęła je wszystkie, razem z okładką, do klatki, a tam zdjęła plastikowe osłonki z kartek. Zakrwawione zdjęcia Bentza i jego bliskich opadły na ziemię. Olivia zwinęła kartonik w rulon, wychyliła się przez kraty i uderzyła w kamerę. Zamachnęła się kilka razy, zanim ją trafiła.

Bum!

Kamera nawet nie drgnęła.

– Cholera! Jeszcze raz. Nic.

Kamera stała nieruchomo. Czerwone światełko, złośliwe, wrogie oko, przyglądało się jej, rejestrowało jej daremne wysiłki.

– Bydlę – syknęła i zamachnęła się znowu. I jeszcze raz.

Nic.

– Cholera!

Coraz więcej wody. Zalewała podłogę, chlupała zimna i mokra pod stopami. Przełknęła ślinę. Jak długo tonie taka łódź?

Godzinę?

Dwie?

Czy krócej?

Odetchnęła głęboko, uspokoiła się.

Skoncentrowała.

Zamachnęła się jeszcze raz.

Buch! Mocny cios, ale kamera ledwo się zachwiała. Może zabrała się do tego od złej strony... Spojrzała na statyw i wycelowała. Dawaj, dasz radę! Szybciej! Czas ucieka!

Statyw był przykręcony do podłogi, ale teleskopowe nóżki mogą się okazać chwiejne w złączach.

Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Zwijiała kolejne strony z albumu i waliła w najbliższą nogę statywu, wstrząsała nim, chybotąła, a pod pokładem rósł poziom wody i jej panika.

– Zdychaj, draniu – mruknęła i porwała okładkę. Była grubsza, solidniejsza, wyczuwała pod sztuczną skórą plastik albo metal.

Nieważne.

Tylko na chwilę przestała, by nasłuchując, określić, gdzie jest porywaczka, ale niczego nie słyszała, wszystko zagłuszało skrzypienie łodzi. Woda sięgała jej łydek.

Tonie.

Walcz, Olivio! Dasz radę!

Przerażona uderzała raz za razem, waliła w nogę statywu, wkładała w to całą siłę, zaciskała dłonie na prowizorycznym narzędziu.

Buch, buch, buch!

Wszystko umilkło.

Żadnych kroków, żadnego szurania, tylko przerażająca cisza w napełniającym się wodą pomieszczeniu pod pokładem. Olivia szczękała zębami, palce jej zdrętwiały, strach wziął

górze.

Daj mi siłę, modliła się bezgłośnie. Siłę.

Kroki. Szybkie, gniewne.

Olivia znieruchomiała, uniosła okładkę albumu po raz ostatni. Zimna woda chlupotała już na wysokości jej kolan. Czowała w głowie każde uderzenie serca. Wyostrzone zmysły kazały słuchać. Kroki. Spojrzała na schody i w tej chwili otworzyły się drzwi.

– Co do cholery! – Wrzasnęła porywaczka. – Co to za hałas? Co ty tam wyprawiasz?

Cholera!

Kroki na schodach. Nie!

Przecież nie jest jeszcze gotowa!

Kolejny cios, w który włożyła całą siłę. Porywaczka w piance brnęła przez wodę do klatki. Kamera się zachwiała. Olivia wymierzyła ostateczny cios. Nóżki nie wytrzymały, kamera wpadła do wody.

– Nie! Co to ma być? – Na twarzy porywaczki malowało się przerażenie. – Ty suko, przestań! – Brnęła przez słoną wodę, usiłowała dosięgnąć kamery, zanim zniknęła pod wodą.

Olivia osunęła się na kolana, szukała kamery, nie zwracała uwagi na wodę zalewającą jej oczy. Wstrzymała oddech. Szukała. Musnęła kamerę, ale woda zniosła ją w bok. Spróbowała ponownie, ruchem dłoni powodowała ruch wody w swoją stronę.

– Ej! – wrzasnęła morderczynie. – Nie! Przestań! Co ty wyprawiasz, do cholery? – Brnęła w stronę klatki.

Olivia zacisnęła dłoń na kamerze. Szarpnęła z całej siły. Uderzyła aparatem o pręty klatki, niemal ją upuściła.

Porywaczka rzuciła się do przodu.

Olivia, dławiąc się wodą, przeciągnęła kamerę na swoją stronę klatki.

Było jej zimno, krztusiła się wodą, ale nie zwracała na to uwagi; wymierzyła obiektyw w porywaczkę, rozjuszoną, znieruchomiałą w wodzie po kolana.

– Oddawaj.

Olivia upewniła się, że czerwone oko nadal się świeci, kręciła dalej.

– Oddawaj, ty dziwko!

– Sama sobie weź. – Nawet jeśli porywaczka wyjmie teraz pistolet czy paralizator, nie odda skarbu.

Morderczyni wpadła w szal.

– Powiedziałam... – Nagle zobaczyła zdjęcia pływające w klatce.

– Co? Zniszczyłaś album? – Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. – Nie! Jak mogłaś! –

Zbierała poszczególne zdjęcia wypływające z klatki. – Nie, nie, nie! Tak nie może być! Nie tak miało być! – Unosiła zdjęcia wysoko nad głową, strząsała z nich wodę. – O Boże, co ty narobiłaś? Nie możesz... – Zobaczyła kolejne fotografie w głębi klatki, poza jej zasięgiem, rozrzucone, pozbawione osłony zakrwawionego plastiku. – Nie! – Manipulowała przy pliku kluczy, za wszelką cenę chciała odzyskać album. – Nie, to nie tak!

Olivia filmowała.

– Zobacz, co narobiłaś! – Była w hysterii, musiała uratować resztki mokrych fotografii. –

Wszystko zepsułaś! Wszystko! – Frustracja i paranoja narastały, aż nagle, chyba dopiero teraz, zdała sobie sprawę, że jest w obiektywie kamery.

– Oddawaj! I to już.

Olivia była wściekła. Zmarznięta i przemoczona, wycelowała obiektyw porywaczkę, –

Chcesz odzyskać kamerę, suko? To po nią przyjdź.

– Jest! – Szyper przekrzykiwał szum wiatru i warkot silnika. Pruli ciemną wodę, zostawiając za sobą białą smugę.

– O cholera, tonie, Bentz wyteżył wzrok i zobaczył „Merry Annę” w potężnym świetle reflektora.

Serce stanęło mu w gardle, gdy zobaczył, o czym mówił szyper; łajba pochylała się na bok, nikła pod wodą.

– Nie – szepnął z niedowierzaniem. Boże, nie! Wbrew głosom sprzeciwu, założył piankę

– chciał wejść na pokład, choć kapitan nagle zwolnił. – Bliżej!

– Nie, poczekamy na Straż Przybrzeżną powiedział. Ratownicy już dobijali do małej łodzi. – Poczekaj.

Nie ma mowy.

– Bliżej. – Bentz nie dawał wygraną.

Myślał, że Montoya się sprzeciwi, ale ten spojrzał na Hayesa.

– Bliżej.

Slizgacz zbliżył się do tonącej łajby.

– Słuchaj, Bentz, zostaw to zawodowcom – mówił Hayes. Od tonącej „Meny Annę” dzieliło ich niecałe dziesięć metrów. – Będziesz im tylko przeszkadzał.

– Jestem zawodowcem – przypomniał mu i przeszedł przez poręcz. – A tam jest moja żona.

Kątem oka widział, że Hayes szykuje się do skoku, chce go powstrzymać, ale Montoya zatarasował mu drogę.

– Puść go.

Bentz skupił się na łodzi, coraz bliższej. Sześć metrów... cztery... dwa... Skoczył.

Plan morderczyni rozsypywał się jak domek z kart. Po kolei wyławiała mokre zdjęcia.

– Nie, nie, nie! – zawodziła. Chwilowo zapomniała o więźniu. – Tyle pracy... Tyle lat...

Boże, to niemożliwie... Moje zdjęcia! – Wydawało się, że zaraz się rozplacze.

Woda sięgała im już do pasa. Olivia nie zwracała uwagi na ból i zimno, kręciła dalej. Na powierzchni wody unosiły się plastikowe osłonki i zdjęcia nasiąknięte wodą. Olivia przywarła plecami do prętów. Łódź przechylała się niebezpiecznie. Za kilka minut będzie po wszystkim. Musi zdobyć klucze!

Wszędzie unosiły się strony z albumu.

Olivii wydawało się, że usłyszała jakby głucho uderzenie. O Boże, czyżby łódź pękła?

Wariatka też to usłyszała, na chwilę odzyskała przytomność, po raz kolejny zdała sobie sprawę, że Olivia ją filmuje.

– Oddawaj!

– Powiedziałam: chodź i weź ją sobie! – Olivia stała twardo, oparta o pręty, z obiektywem wycelowanym w twarz wariatki.

Woda podnosiła się coraz wyżej.

– Cholera! – Porywaczka jedną ręką tuliła do siebie mokre zdjęcia, drugą mocowała się z pękiem kluczy.

– Kim jesteś? – zapytała Olivia. – Powiedz widzom, jak się nazywasz, żeby wiedzieli, że to ty. Chwileczkę.. Jesteś Dawn? – Zagadywała, przypomniała sobie, że Bentz kiedyś romansował z policjantką o tym imieniu.

– Przestań.

– A może Bonita... tak?

– Ta suka? O, nie! – Prychnęła z niesmakiem. – Bentz na pewno ci o mnie mówił.

– Nie sędzę.

Kolejny głuchy odgłos. Boże, toną!

– Na pewno tak. Corrine. Słyszałaś?

Olivia przecząco pokręciła głową. Więc to jest Corrine O'Donnell. Oczywiście, że o niej słyszała, ale nie sprawi wariatce tej satysfakcji. Łódź zatrzeszczała niebezpiecznie.

– Corrine. Pracowaliśmy razem. I spotykaliśmy się. Jezu, sypialiśmy ze sobą i... kochał

mnie. My... Spotykaliśmy się i dwa razy niemal ze sobą zamieszkaliśmy, ale wtedy... wtedy mnie zostawił. Dwa razy. Oba dla Jennifer... – Urwała. – Oni zawsze odchodzą, wiesz?

Wszyscy, co do jednego, ale Bentz... byłam na tyle głupia, że mu zaufałam, i to dwukrotnie, a on zostawił mnie samą, całkiem samą... – Wzdrygnęła się, jakby zdała sobie sprawę, że powiedziała za dużo, i ponownie skupiła się na Olivii. – Powinnam była cię potraktować paralizatorem! – Przepłynęło kolejne zdjęcie, na którym była ona i Bentz.

Pisnęła rozpaczliwie i wyjęła je z wody. Mało brakowało, by mocując się z zamkiem, upuściła klucze.

– Ale chciałam, żebyś walczyła, chciałam, żeby RJ zobaczył, jak rozpaczliwie szukasz powietrza, a teraz... – Jęknęła.

Klucze wysunęły się z jej dłoni, wpadły do klatki.

W panice wsunęła rękę między pręty, żeby je wyłowić.

Olivia wyczuła swoją szansę. Odepchnęła porywaczkę. Jeśli uda jej się wyłowić klucze i otworzyć furkę, może dotrze do schodów...

Łódź zaskrzypiała głośno, ponuro. Światła zamigotały. Olivia miała serce w gardle.

Teraz albo nigdy!

Nabrała tchu, zobaczyła klucze na ziemi, zanurkowała. Włosy i ubranie unosiły się wokół

niej jak chmura. Klucze kusiły na dnie.

Z przerażeniem zobaczyła rękę porywaczki wijącą się między prętami i zahaczającą palcem o klucz!

Nie, pomyślała. Płuca ją paliły, brzuch bolał. Nie!

Wynurzyła się w tej samej chwili co porywaczka, wysunęła ręce spomiędzy prętów, wplątała palce we włosy wariatki i pociągnęła w dół.

Porywaczka walczyła, miotała się, szarpała.

Olivia nie dawała za wygraną. Skoro ona ma utonąć, zabierze wariatkę ze sobą! Olivia miała wrażenie, że zaraz pękną jej płuca. Boże, pomóż mi.

I znów wydawało jej się, że coś słyszy.

Ale to nie trzask kadłuba, to co innego. Krzyki?

Kroki?

Czyżby ktoś wszedł na pokład? Och, tak, tak!

Światła znowu zamigotały.

Zaczerpnęła nowy haust powietrza zmieszanego z morską wodą.

Kaszłąc i prychnając, przyciągnęła głowę napastniczki bliżej prętów i zamachnęła się aparatem. Trzask! Przerazający głuchy odgłos, aparat uderzył w czaszkę.

Woda zabarwiła się krwią.

Krzyki na pokładzie!

– Ratunku! – zawołała! – Ratunku! Tu, na dole!

Corrine złapała ją za szyję i pociągnęła pod wodę. Olivia nabrała w płuca wody i powietrza i obie zanurzyły się pod powierzchnię.

Nie, nie, nie!

Olivia walczyła ze wszystkich sił.

Corrine zacisnęła dłonie. Patrzyły sobie w oczy; Corrine uśmiechała się, otaczały ją ciemne włosy i krew, w oczach błyszczało szaleństwo. Mam cię, mówiła bez słów. Umrzecie tutaj, ty i twoje dziecko!

Płuca Olivii stanęły w ogniu.

Świat wirował. Usiłowała oderwać palce Corrine od swojej szyi.

Nie wytrzyma, musi odetchnąć!

Z wysiłkiem zamachnęła się i ponownie uderzyła Corrine aparatem.

Światła zgasły.

Czy to kroki? Głosy? A może śpiewy anielskie?

W ciemności poczuła, że kamera wysuwa się z jej palców... Czowała dłoń Corrine na szyi...

Czowała, że odpływa w ciemność i chłód...

Bolał ją brzuch, pomyślała o dziecku i o Bentzu. Kocham was, pomyślała i zobaczyła światło, jasne światło na końcu tunelu.

Umieramy, rozumiała, unosząc się lekko. Moje dziecko i ja... umieramy...

Światła zgasły w chwili, gdy Bentz i dwóch ratowników ze Straży Przybrzeżnej weszli pod pokład. Zobaczył jeszcze dwie kobiety, walczące, rozdzielone kratą; Olivia w środku, Corrine na zewnątrz. Woda była czerwona od krwi.

– Nie! – Jego głos niósł się echem.

Zeskoczył ze stopni i zaczął iść przez ciemne pomieszczenie.

– Spokojnie, człowieku! – Jeden z ratowników zapalił latarkę, która spowiła wszystko dziwnym, upiornym światłem.

Bentz brnął w stronę klatki, kierował się dziwnym światłem latarki. Jak przez mgłę słyszał za sobą kroki pozostałych. Ratownicy mieli łomy, latarki, kamizelki ratunkowe.

Czoło Corrine przecinała głęboka rana, z której płynęła krew.

– Bentz – powiedziała na jego widok i uśmiechnęła się szaleńczo. – Ty draniu. To wszystko twoja wina. Ona umrze i twoje dziecko też, wszystko przez ciebie.

– Nie! – ryknął, odciągnął ją pchnął w stronę ratowników. – Aresztujcie ją!

– Nie! Nie możesz! – Corrine pluła wodą i krwią.

Bentz nie zwracał na nią uwagi, wyciągnął ręce do Olivii, która się od niego oddalała, taka blada, taka zimna.

– Liwie! – Podtrzymał jej twarz nad wodą. – Olivio! Łódź jęknęła głośno jak śmiertelnie ranny wieloryb.

– Idziemy. – Jeden z ratowników włączył silną lampę podwodną, oświetlił klatkę i Olivie unoszącą się na powierzchni w aureoli złotych włosów.

– Mamy ją! – Ratownik znalazł klucze i otworzył klatkę. Drugi tymczasem prowadził

Corrine na górę. Łódź coraz bardziej przechylała się na bok.

– Niech pan ją zostawi, ja się tym zajmę.

– Nie.

– Bardzo proszę! – Mówił ostro, ale Bentz nie zwracał na to uwagi. Olivia to jego żona.

Ledwie oddycha, ale żyje. Niósł ją na górę. Zakaszłała.

– Olivia?

Zakaszłała znowu, głośno, głęboko. Tulił ją do siebie, gdy pluła morską wodą. Łódź zatrzeszczała złowrogo, zatrzęsła się.

– Zabieramy się stąd, i to już! – Ratownicy pchali ich, poganiaли.

– Trzymaj się – powiedział, czując, że stara łajba nie wytrzyma naporu wody.

– Teraz! – Przy pomocy ratowników przeniósł ją na ślizgacz, a „Merry Annę” z rozpaczliwym trzaskiem zniknęła pod powierzchnią.

Ratownik medyczny zajął się Olivią, drugi, kilka metrów dalej, otulił Corrine kocem.

Ledwie oddychała, wpatrywała się w jeden punkt.

– Czuję puls – krzyknął ratownik, ale Bentz miał to w nosie. Interesowała go wyłącznie Olivia i ich dziecko... Czyż nie to mówiła Corrine? Że zabije jego żonę i dziecko?

– Rick? – szepnęła Olivia, gdy zdjęli z niej mokre ubranie i owinęli kocem.

Mrugała powiekami, szukała jego dłoni, leżała na koi zaledwie dwa metry od skutej Corrine.

– Jestem tutaj, kochanie. – Mówił ochryple, miał łzy w oczach.

– Ja.. Straciłam nasze dziecko. – Spojrzała na niego. Z trudem przełknął ślinę. – Byłam w ciąży. Powinnam ci powiedzieć.

– Nieważne. – Przywarł do jej dłoni. – Nic ci nie jest. Tylko to się liczy.

– Ale dziecko...

– Będą następne, Olivio – powiedział i zamknął jej usta pocałunkiem. – Obiecuję.

Epilog Olivia powoli uniosła powieki. Otaczało ją niesamowicie jasne światło. Była w szpitalu, od okna biła jasność.

Wszystko będzie dobrze. Ani tobie, ani dziecku nic się nie stało. Odebrała tę wiadomość, choć nie padło ani jedno słowo.

– Słucham? Kim jesteś? Postać tylko się uśmiechnęła.

– Olivia?

Zamrugnęła. Głos Bentza ściągnął ją na ziemię.

– Widziałeś to? – zapytała i spojrzała w okno pełne nieba różowego o świcie.

– Co? – Podążył za jej wzrokiem.

– Tam był ktoś... Albo coś... – Ale kiedy zobaczyła jego minę i zorientowała się, że myśli, że go wrabia, pokręciła głową. – Pewnie mi się to przyśniło.

– Jak się czujesz?

– Jak osoba, która musi stąd wyjść. – Spędziła w szpitalu dwa dni, była na obserwacji po przebytych koszmarze, ale dziecko nadal miało się dobrze, jej także nic nie było.

– Zobaczę, czy uda mi się coś załatwić.

– Błagam cię, użyj wszystkich wpływów.

– Masz to jak w banku.

Pochylił się i pocałował ją w usta, była to delikatna pieśczota i zapowiedź czegoś więcej, gdy już wrócą do domu, do Nowego Orleanu.

Nie mogła się doczekać powrotu, chciała snuć plany związane z dzieckiem i zapomnieć o koszmarze Los Angeles.

– Miasto Aniołów, też mi nazwa – mruknęła złośliwie i spojrzała w okno. Myślami wróciła do ducha, którego tam widziała, dałaby sobie rękę uciąć.

Bentz powiedział, że wyłowiono kamerę z „Meny Anne” tuż przed zatonięciem. Olivia zarejestrowała cały atak Corrine. Nie ma wątpliwości – wariatka spędzi resztę życia za kratkami.

W ciągu minionych dni prasa opisała wszystko ze szczegółami. Olivia zerknęła na stół przy łóżku – leżał na nim egzemplarz „LATimes” z ostatnią wersją historii.

Corrine sfingowała wypadek, by trafić do Parker Center, za biurko – tym sposobem miała dostęp do informacji o nowych sprawach i mogła śledzić rozwój kariery Ricka Bentza.

Znaleziono materiał dowodowy łączący ją z zabójstwami Shany McIntyre, Lorraine Newell, Fortuny Esperanzo i Sherry Petrocelli.

O'Donnell zostawiła za sobą szlak śmierci i rozpaczy – pisał dziennikarz. – Nie powstrzymała się nawet przed porwaniem żony Bentza, mieszkanki Nowego Orleanu”.

Biedny Hayes, pomyślała Olivia. Wykiwała go. W kółko powtarzał Bentzowi, że był

idiotą, ślepcem, że nie widział znaków ostrzegawczych, i przysięgał, że do końca życia nie zbliży się do żadnej kobiety.

– Wkrótce mu przejdzie – orzekł Bentz.

Montoya wrócił do żony, do Nowego Orleanu, LAPD wracało do dawnego życia, bez niespodzianek w rodzaju Ricka Bentza. Co prawda wszystko wskazuje na to, że Fernando Valdez i Yolanda Salazar byli tylko nie znaczącymi pionkami w planie Corrine, podobnie jak Jada Hollister, ale LAPD miało ich pod lupą.

LAPD odniosło kolejny sukces – Bledsoe, przy pomocy dwóch policjantek i czatów internetowych, znalazł kogoś, kto pasował do profilu sprawcy – Donovana Caldwell, starszego brata sióstr Caldwell. Wszystko skazywało na niego. Przypuszczano, że powrót Bentza pobudził go do działania, a uwaga mediów była dla niego największą nagrodą.

Corrine kategorycznie zaprzeczała, jakoby miała coś wspólnego ze śmiercią bliźniaczek, więc traktowano to jak dwie osobne sprawy zabójstwa sióstr i zbrodnie Corrine O'Donnell.

Jej czyny przysporzyły wydziałowi niemało kłopotów.

Żyła, była w szpitalu dobrze strzeżona. Uważano, że chciała się zemścić na Bentzu za to, że dwukrotnie ją rzucił. Sytuację pogarszał fakt, że gdy rozstał się z nią po raz drugi, jej matka zginęła w wypadku samochodowym, jadąc ją pocieszyć. Hayes powiedział, że Corrine, która przewinęła się przez wiele rodzin zastępczych, zanim adoptowali ją O'Donnellowie, panicznie bała się samotności, bała się samotnej starości, choć starannie to przed wszystkimi ukrywała. Kiedyś wyznała mu, że po śmierci przybranej matka bardzo cierpiała, gdy ojciec ożenił się z kobietą, z którą od lat miał romans. Czuli się wtedy porzucona i samotna.

A nieudany związek z Bentzem i dwukrotne zerwanie spotęgowały jej samotność.

Wzięła wtedy na cel nie tylko jego ówczesną żonę, którą zamordowała, ale i Olivie, z którą ożenił się później.

Choć Bentz nie odzyskał pełni władzy w nodze, coraz rzadziej posługiwał się laską i trzymał się dzielnie podczas dochodzenia w Los Angeles. Melinda Jaskiel zadzwoniła z propozycją – może wracać do pracy, pod warunkiem że nadal będzie chodził na fizjoterapię, a lekarz będzie kontrolował liczbę godzin, które spędzi w pracy.

– Skoro tak uparcie chcesz się pakować w kłopoty, rób to tam, gdzie mogę cię kontrolować – powiedziała.

– Dobre wieści. – Bentz wszedł do pokoju Olivii. Prawie nie utykał.

- Lekarz chce jeszcze raz cię zbadać i możemy zmykać. Moim zdaniem po prostu mu się podobasz.
- Tak jest, geniuszu, na pewno o to chodzi – odparła ze śmiechem.
- Dzwoniłem do Kristi i wszystko jej powiedziałem – ciągnął. – Zgadnij, kto oszalał z radości na wieść, że będzie starszą siostrą? – Roześmiał się do tej myśli. – Ani się obejrzymy, a Kristi wyjdzie za mąż, urodzi dziecko... i nasze będzie się bawiło w jednej piaskownicy z siostrzenicą albo siostrzeńcem. ‘
- Dotknął podbródka. – Coś nie tak?
- Wiem, już wiem. – Olivia stłumiła uśmiech. – Jesteś za stary, by być ojcem. No trudno, mój drogi, czy tego chcesz czy nie, stało się! Szykuj się na niemowlaka!
- Jestem gotów – powiedział, mrugnął do niej i pocałował ją. – To ty nie wiesz, w co się pakujesz.
- No to się przekonam! – Otoczyła jego szyję ramionami i uśmiechnęła się promiennie. –

Czekałam na to całe życie!

Podziękowania

Jest wiele osób, którym chciałabym podziękować za pomoc i wiedzę, jakimi służyli mi podczas pisania tej książki. Wyrazy wdzięczności pragnę przekazać Rosalind Noonan, koleżance po piórze i przyjaciółce, za nieustającą pomoc, a także wszystkim z wydawnictwa Kensington Publishing za niewyczerpane pokłady cierpliwości; w szczególności dotyczy to mojego redaktora, Johna Scognamiglio. Na gorące podziękowania zasłużyli także: Nancy Bush, Ken Bush, Matthew Crose, Niki Crose, Michael Crose, Larry Sparks, Ken Melum, Kelly Foster, Darren Foster i moja agentka Robin Rue.

Jeśli kogoś pominęłam – a nie byłoby w tym nic dziwnego, bardzo przepraszam.

Od autorki

Zdaję sobie sprawę z tego, że nagięłam zasady i majstrowałam przy procedurach policyjnych tylko po to, by ubarwić akcję powieści; niniejsza książka w najmniejszym stopniu nie odzwierciedla pracy wydziałów policyjnych w Los Angeles w Kalifornii czy w Nowym Orleanie w Luizjanie,

Table of Contents

